

Suzanne Brockmann

Przynęta doskonała

Podziękowania

Przede wszystkim dziękuję Lee Brockmann i Edowi Gafmeyowi, którzy zechcieli przeczytać szkic mojej powieści. (Dziękuję również Deede Bergeron i Patricii McMahan, które czekały w pogotowiu, by w każdej chwili pomóc!).

Dziękuję cudownym ludziom pracującym w Ballantine Books, którzy wkładają wiele trudu, aby najnowsza część cyklu, w której występuje SEAL Team Sbeten, Troubleshooters Inc. i Zespół FBI do Zwalczenia Terroryzmu Maksa Bhagata, trafiła do rąk czytelników tak szybko, jak to tylko możliwe: Ginie Centrello, Lindzie Marrow, Arielle Zibrak i Signe Pike. Dziękuję również mojemu wspaniałemu wydawcy Shaunie Summers.

Dziękuję Gail LeBlanc za pożyczenie mi swego nazwiska!

Dziękuję Vivian Tonnies za pomoc przy tłumaczeniu powieści na język niemiecki, Erice Schutte za przygotowanie informacji na temat Kenii i emerytowanej major Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych Michelle Gomez za tyle rzeczy, że nie da się ich wymienić!

I dziękuję miejscowemu zespołowi: Edowi, Jasonowi i Melanie Gaffney oraz Sugar i Spice - najwspanialszym sznaucerom na świecie.

Dziękuję również Ericowi Rubenowi, Steve'owi Axelrodowi i Tinie Trevaskis.

Dziękuję wszystkim, którzy byli zaangażowani w Target: Tampa weekend: Mai Stoskopf z EMA, Gilly Hailparn i zespołowi ds. reklamy z Ballantine Books oraz moim cudownym gościom: Catherine Mann, Alesii Holliday i Chuckowi Pfarrerowi.

Pozdrawiam serdecznie koordynatorki zespołu wolontariuszy: Suzie Bernhardt, Karen Metheny i Sue Smallwood - dzięki którym było możliwe trwające cały weekend spotkanie z czytelnikami, jak również wszystkim wspaniałym wolontariuszom: Elizabeth i Lee Benjaminom, Lee Brockmann, Jeanne Glynn, Michelle Gomez, Kim Harkins, Stephanie Hyacinth, Beki i Jimowi Keene, Reginie LaMonica, Kayowi Luecke, Laurze Luke, Jeanne Mangano, Heather McHugh, Peggy Mitchell, Barbarze Mize, Dorbertowi Ogle, Gail Reddin, Marli Snead, Shannon Short, Erice Shutte i Melissie Thompson. Wszystkiego najlepszego!

Ekstra podziękowania dla Mai za wymyślenie promocyjnego hasła „Wojna toczy się w tobie” dla (fikcyjnego!) filmu American Hero i dla Kathy Lague za to, że zgodziła się, by Max wykorzystał jej

pomysł z olbrzymimi widelcami latającymi w przestrzeni kosmicznej, które śnią mu się w nocnych koszmarach.

Ostatnie - choć wcale nie najmniejsze - podziękowania chcę złożyć moim czytelnikom. Uwielbiam otrzymywać od was listy i e - maile, dyskutować z wami w internecie i spotykać się w trakcie podpisywania książek.

Jak zawsze biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność za wszystkie popełnione błędy, a także za to, na co sobie pozwoliłam.

Odwiedźcie moją stronę
www.SuzanneBrockmann.com/Appearances.

Prolog

Północna część Waszyngtonu, D.C.

Wrzesień 1986

Dziewiętnaście lat temu

Max miał jeszcze najwyżej pięć minut. Za pięć minut snajperzy z brygady antyterrorystycznej dotrą na miejsce. Za pięć minut z Leonarda D'Angelo zostanie mokra plama na marmurowej posadzce banku, którą będzie musiała zetrzeć mopami ekipa sprzątaczy o wyjątkowo odpornych żołądkach.

Lenny zawinił, bo zachował się jak skończony idiota. Wszedł z pistoletem w kieszeni do podmiejskiego oddziału Westfield National Bank.

Na dodatek cała ta heca z braniem zakładników była kolejnym złym pomysłem.

Gdyby jednak nawet agent FBI Max Bhagat nie spędził ostatnich piętnastu minut w wozie patrolowym, oglądając materiał z kamer zainstalowanych w banku i słuchając przez superczuły mikrofon o dużym zasięgu dramatu, który właśnie rozgrywał się wewnątrz, i tak nie uwierzyłyby, że Lenny zasłużył na to, by umrzeć za swoje błędy.

Najwyraźniej Lenny wszedł do banku i zażądał, by kasjerka wypłaciła mu z pewnego konta czterdzieści siedem tysięcy osiemset siedemdziesiąt trzy dolary i dwanaście centów. Problem polegał na tym, że nie umiał podać właściwego numeru identyfikacyjnego dającego dostęp do tych pieniędzy, więc po krótkiej konwersacji uzupełnionej mnóstwem gwałtownych gestów kasjerka wezwała pracownika ochrony. I właśnie wtedy Lenny wyciągnął swój mały pistolecik. A zaraz po tym wystrzelał niedużą, zgrabną dziurkę w dźwiękochłonnych płytkach pokrywających sufit.

To zaskakujące wydarzenie sprawiło, że prawie każdy z obecnych wówczas w banku zalał się łzami - nie wyłączając rabusia, który wciąż jeszcze pochlipywał jak dzieciak.

Tak zwany pracownik ochrony natychmiast wręczył Lenny'emu własną broń, nie usiłując nawet wytrącić pistoletu z dłoni napastnika, a rozbroiwszy się całkowicie, polecił zakładnikom, żeby usiedli na podłodze i założyli ręce na kark, co uczynili wszyscy z wyjątkiem dwojga małych dzieci, które matki trzymały na rękach.

Zakładnicy stłoczyli się pod jedną ze ścian. Główna kasjerka pospieszyła, żeby przygotować wypłatę dla Lenny'ego, ale jej chęć współpracy okazała się nieco spóźniona.

Huk wystrzału zwabił na miejsce najpierw miejscowego gliniarza, potem policję stanową, a potem - ponieważ przypadkiem jedna z kasjerek była spokrewniona z sędzią federalnym - oddział FBI, którego najmłodszym członkiem był właśnie Max. Teraz dookoła banku aż roilo się od wozów policyjnych; wszędzie błyskały migacze, a oficerowie - w mundurach i w cywilu - wyskakiwali na ulicę, lecz zatrzymali się w bezpiecznej odległości, poza zasięgiem strzału niewielkiego pistoletu Lenny'ego.

Wkrótce stało się jasne dla członków z sił specjalnych, że napastnik nie miał zielonego pojęcia o spokrewnionej z VIP-em kasjerce i że jest kompletnym amatorem. Miało to swoje dobre i złe strony.

Dobra polegała na tym, że Lenny zupełnie nie wiedział, jak się organizuje skok, i cały czas stał jak wryty na środku banku. Znajdował się dokładnie naprzeciw ogromnego owalnego okna i w związku z tym stanowił doskonały cel dla snajperów z oddziału SWAT.

Złą stroną było to, że do chwili przybycia antyterrorystów Lenny stanowił jednak potencjalne zagrożenie. Facet nie wypowiedział ani jednego spójnego zdania od czasu, gdy Max zaczął się przysłuchiwać. Płakał przez cały czas, wydając z siebie przypominające zwierzęce odgłosy pojękiwania, i trzymał w wyciągniętych rękach zarówno swój pistolet, jak i broń strażnika.

- Niech mi pan pozwoli tam wejść, sir - Max zwrócił się z prośbą do szefa zespołu Ronalda Shawa, który odpowiadał za tę operację.

Ale Shaw tylko pokręcił głową, nie zadając sobie trudu, żeby odezwać się do młodzika. Max pracował w tym zespole zaledwie od kilku tygodni i był przekonany, że Shaw nie znał nawet jego nazwiska.

Mimo wszystko nalegał dalej.

- Sir, coś się dzieje z tym facetem. Chciałbym spróbować z nim porozmawiać.

Leonard D'Angelo nie był notowany, nie miał żadnej kryminalnej przeszłości. Nie wlepiono mu nawet mandatu za złe parkowanie. Desperacko szukając jakichkolwiek informacji o napastniku, Max zadzwonił do przyjaciela, który pracował w sektorze podatkowym.

Dowiedział się, że Lenny D. był ciężko pracującym i płacącym podatki pracownikiem branży budowlanej. Miał żonę i małego syna.

Wyglądało na to, że Lenny jest zupełnym przeciętniakiem albo przynajmniej był nim do chwili, zanim mu odbiło.

Utrata pracy, domu, odejście żony i dzieci...? To mogło być mnóstwo różnych spraw.

Max spróbował zadzwonić do żony Lenny'ego pod ich domowy numer, ale tam usłyszał tylko nagraną wiadomość: „Ten numer został odłączony”.

To nie wróżyło nic dobrego.

Zgodnie z procedurą Max zażądał, aby miejscowa policja pofatygowała się z wizytą do maleńkiego mieszkania państwa D'Angelo, bo do głowy przyszła mu makabryczna myśl, że być może Lenny wyrznął w pień całą rodzinę, zanim zdecydował się wkroczyć na drogę przestępstwa.

Ale Max sam nie wierzył w ten scenariusz. Gdyby ten gość przejawiał mordercze skłonności, już zrobiłby użytek z broni. No i co z tym żądaniem wypłaty konkretnej sumy co do centa... O co on poprosił? O dwanaście pieprzonych centów. Max nie miał dużego doświadczenia, ale już na pierwszy rzut oka wyglądało mu to na coś w rodzaju przestępstwa popełnionego w afekcie. Może chodziło o pieniądze, które facet zmarnował albo źle zainwestował?

Jednego był pewien - coś tu nie pasowało. No bo dlaczego, na litość boską, Lenny nie odbierał telefonu, żeby z nimi porozmawiać? Musiał przecież wiedzieć, że czekają na zewnątrz. Czternaście policyjnych wozów to było coś, czego tylko ślepy mógłby nie zauważyć.

Niewykluczone, że Max kompletnie się mylił. Może Lenny rzeczywiście zabił swoją rodzinę. Ale nawet jeśli tak było, to najwidoczniej jego mordercza wściekłość nieco ostygła. Teraz stał tylko na środku banku i zalewał się łzami.

Max gotów był założyć się o swoje życie, że spokojnie wszedłby drzwiami frontowymi, podszedłby do Lenny'ego i po prostu odebrał mu pistolety.

- Chciałbym spróbować - powiedział znów do Shawa.

- To zbyt niebezpieczne - odparł Shaw, stojąc przy samochodzie i spoglądając na monitor, na którym widać było płaczącego napastnika.

Kamera przekazująca ten obraz wyposażona była w zoom najnowszej generacji i chociaż szyba dzienna odbijała światło, widać było ostre zbliżenie twarzy Lenny'ego pokrytej smugami łez. - Lepiej zrób coś, żeby on odebrał wreszcie ten telefon.

Ronald Shaw za kilka tygodni miał odejść na emeryturę. Czy to możliwe, że bał się zapaskudzić swoją zawodową przeszłość, wydając pozwolenie podjęcia działań jednemu z najmłodszych i najbardziej zielonych negocjatorów? Nawet jeśli oznaczało to konieczność zastrzelenia Leonarda D'Angelo bez spróbowania negocjacji?

Niech to diabli. Max sądził, że człowiek taki jak Ronald Shaw potrafi wymyślić coś lepszego.

- Sir, dzwoniemy bez przerwy pod każdy numer banku - poinformował szefa Max. - On nie podnosi słuchawki.

- No to próbuj dalej, Matt - rozkazał krótko Shaw, odchodząc od samochodu.

- Max! - wrzasnął do pleców przełożonego. - I do kiedy mam tak próbować? Aż snajperzy wpakują Lenny'emu kulkę w łeb?

Ale Shaw zdążył się już oddalić.

Smitty Durkin stał na ulicy i ryczał przez megafon.

- Panie D'Angelo, musi pan natychmiast odebrać telefon! D'Angelo, niech pan odbierze telefon!

Kiedy palec Smitty'ego ześlizgnął się z przycisku, megafon wydał z siebie piekielny pisk.

Na monitorze telewizora, w największym zbliżeniu kamery Leonard D'Angelo nawet nie mrugnął. Wprawdzie znajdował się wewnątrz banku, ale mimo wszystko dźwięk megafonu był cholernie głośny. Tak przeraźliwie głośny, że aż skóra cierpła.

I nagle Max doznał olśnienia. Już wiedział. Może „wiedział” to za mocne słowo. Bardziej pasuje „mocno podejrzewał”.

Leonard D'Angelo nie odbierał telefonu, ponieważ nie słyszał dzwonka. Max przypuszczał, że Leonard D'Angelo co prawda nie jest ślepy, za to prawdopodobnie ma problemy ze słuchem.

Chryste, a Max nie miał niczego, na czym mógłby pisać, z wyjątkiem notesu formatu A4, który nosił w aktówce. Był o połowę mniejszy, niż trzeba, ale mimo to musiał wystarczyć.

Wewnątrz vana znalazł się też pisak - z rodzaju tych, które trudno usunąć - przymocowany żyłką do osłony przeciwsłonecznej. Max złapał go i pociągnął z całej siły.

Pisał w biegu, przeciskając się między umundurowanymi policjantami; wydostał się z ochronnego kręgu wozów policyjnych i wybiegł na środek ulicy, prosto przed szklane drzwi prowadzące do banku.

JESTEM NIEUZBROJONY. Max w jednym ręku trzymał w górze kartkę i jednocześnie drugą ściągał z siebie marynarkę. Odpiął kaburę i upuścił ją na jezdnię, a potem pozbył się w ten sam sposób drugiego pistoletu, który nosił przypięty na plecach na wysokości krzyża.

W tym czasie Lenny zdążył go zauważyć. Max widział, jak mężczyzna kręci głową, bez przekonania unosząc broń w stronę drzwi, przez które Max musiałby przejść, aby dostać się do wnętrza budynku.

Pospiesznie odwrócił kartkę. CHCĘ WEJŚĆ DO ŚRODKA, ŻEBY POROZMAWIAĆ, napisał i podniósł wysoko.

Ale Lenny nadal kręcił głową.

Max rozsupłał krawat i wykrochmaloną na sztywno białą koszulę, a potem podkreślił słowa i jeszcze raz uniósł pierwszy komunikat. JESTEM NIEUZBROJONY.

Lenny nie przestawał kręcić głową, za to do uszu Maksa dotarł głos Rona Shawa, a raczej jego wrzask.

- Co ten cholerny kretyn wyrabia?!

Oczywiście to Max był tym kretynem, którego miał na myśli Shaw.

Kopnięciem zrzucił buty, ściągnął skarpetki, a następnie podwinął dół spodni. Nic tam nie ma pod nogawkami, Lenny. Widzisz? Jeszcze raz podniósł pierwszą kartkę. JESTEM NIEUZBROJONY.

Nie, odpowiedział Lenny, kręcąc głową.

- Wynoś się stamtąd, Bhagat! - wrzasnął Shaw. No i co? Wreszcie udało mu się zapamiętać, jak Max się nazywa. - Snajperzy są na pozycjach, a ty stoisz na linii strzału!

Wszyscy miejscowi policjanci wraz z całą grupą cywili gapili się, jak Max rozpina spodnie. Ale... O, cholera. Na śmierć zapomniał, co dziś ma pod spodem.

Max Bhagat był dumnym właścicielem pięćdziesięciu siedmiu par praktycznych białych slipków - ale kiedy ubierał się dzisiejszego ranka, wszystkie akurat były w praniu. Musiał przekopać swoją szufladę z bielizną i kiedy okazało się, że może wybierać między

bokserkami w różowe serduszka a czarnymi gatkami z wyszytym czerwonymi cekinami napisem „ogier” - obie pary stanowiły podarunek od Elisabeth, eksprzyjaciółki, z którą związek okazał się poważną pomyłką - zdecydował się na te z cekinami.

Teraz Max nie miał wyboru. Nie zamierzał stać beczynnie i przyglądać się, jak Leonard D'Angelo dostaje kulkę między oczy.

Z drugiej jednak strony myśl, że odtąd będzie znany w Federalnym Biurze Śledczym jako „Pan Cekinek” albo, Boże uchroni, „Ogierek”, była również nie do zniesienia.

Pozostała mu jeszcze trzecia możliwość.

Zdejmując spodnie, zahaczył palcami o slipki i je także ściągnął.

Tym razem, gdy podniósł kartkę, dla każdego w promieniu przynajmniej dwóch skrzyżowań stało się jasne, że Max jest naprawdę zupełnie bezbronny.

Stojący wewnątrz Lenny aż otworzył usta ze zdumienia. Nie kręcił już głową, a trzymająca pistolet ręka opadła znacząco, więc Max podniósł kartkę z drugim komunikatem.

I nagi, jak go Pan Bóg stworzył, wkroczył do banku.

Max stał przed biurkiem Ronalda Shawa i czekał, aż burza trochę ucichnie, starając się jednocześnie zapamiętać, żeby od dzisiejszego dnia koniecznie trzymać w szafce służbowej zmianę bielizny.

To całkiem możliwe, że miał niewielkie uczulenie na wełnę.

- Nawet nie raczysz słuchać tego, co mówię, co? - ryknął głośniejsz Shaw.

Cholera.

- Szczerze mówiąc, sir, kiedy zaczął pan powtarzać wszystko trzeci raz, rzeczywiście się wyłączyłem - przyznał Max spokojnie. - Czy jest coś, co chciałby pan dodać?

Shaw zaczął się śmiać.

- Jesteś bardzo pewny siebie, Bhagat, zgadza się? - spytał, siadając za biurkiem.

Max zastanowił się.

- Myślę, że bezpieczniej będzie powiedzieć, że mam dany od Boga talent do odczytywania ludzkich intencji, sir.

Po wejściu do banku potrzebował mniej więcej czterech sekund, aby zabrać pistolety z rąk Leonarda D'Angelo.

Okazało się, że Max miał rację - ten gość nie był kryminalistą, nie mówiąc już o tym, że nie był zdolny do zastrzelenia kogokolwiek.

Leonard D'Angelo był przybitym po stracie syna ojcem, który popełnił mnóstwo głupich błędów.

Jego dwuletni syn urodził się z wadą serca. D'Angelo i jego żona sprzedali dom i zebrali wszystkie oszczędności, żeby zapłacić za operację, która miała naprawić wadliwą zastawkę. Ale ich syn zmarł na stole operacyjnym.

Kierowany irracjonalnym poczuciem krzywdy i pogrążony w głębokiej żałobie Lenny poszedł do doktora i zażądał zwrotu pieniędzy, jako że zabieg nie uratował życia ich chłopcu.

Kiedy lekarz odmówił, Lenny w jakiś sposób dowiedział się, gdzie ten człowiek ma konto i poszedł tam odebrać pieniądze, które - jak uważał - powinny mu zostać zwrócone.

Potrzebował ich, żeby odnaleźć żonę, która niepokieszona po stracie dziecka zabrała ich jedyny samochód i odjechała w siną dal.

- Mówiłem ci, żebyś nie wchodził do banku - przypomniał Shaw.
- Specjalnie wydałem ci polecenie...

- Z całym szacunkiem, sir - przerwał mu Max - powiedział mi pan, żebym zrobił coś, by D'Angelo odebrał telefon. A jak miał go odebrać, skoro nie słyszał, że dzwoni?

Max zamierzał wejść do środka - bez ubrania, a zatem nieuzbrojony - i zacząć rozmawiać z D'Angelo. Gdyby napastnik okazał się skłonny do dialogu, Max podniósłby słuchawkę. A ponieważ niedosłyszający D'Angelo z pewnością nie mógłby prowadzić konwersacji przy użyciu normalnego telefonu, wykorzystując pióro i notes, Max stałby się łącznikiem pomiędzy porywaczem a negocjatorem FBI znajdującym się na ulicy.

Miał tylko nadzieję, że w trakcie rozmów ktoś podeśle mu jego spodnie.

Max mówił już Shawowi o tym wszystkim. Prawdę powiedziawszy, kilka razy. A także wszystko przedstawił na piśmie.

Oświadczył też, że zanim zaofiarował się służyć za pośrednika, przyszło mu do głowy najprostsze rozwiązanie: zaproponować napastnikowi oddanie mu broni.

I tamten człowiek to właśnie zrobił. Z wyraźną ulgą.

Max także poczuł ulgę. Od tamtej chwili, kiedy zakładnicy wybiegali na zewnątrz budynku, a policja i FBI wpadli do środka, notes służył już tylko jako urzędowa osłona intymnych części Maksa.

Smitty Durkin przyniósł mu jego rzeczy z wyjątkiem gatek, które jakimś cudem zniknęły. Max miał nadzieję, że wysunęły się przez którąś z nogawek, a silny podmuch wiatru wcisnął je pod czyjś samochód albo w jedną z kałuż, które zostały na jezdni po padającym zeszłej nocy deszczu.

- Podziwiam pana, sir - oświadczył Max. - Bardzo pana podziwiam. Pańskie akta jako szefa zespołu są czymś naprawdę godnym uwagi. Nigdy nie powiedziałbym tego głośno poza czterema ścianami pańskiego biura, ale moim zdaniem popełnił pan dzisiaj poważny błąd. Powinien pan pozwolić mi wejść do tego banku. Myślę, że zdaje pan sobie z tego sprawę.

Gdyby Leonard D'Angelo dziś zginął, byłaby to wyłączna wina Ronalda Shawa. Tylko jego. I Shaw powinien podziękować Maksowi, że zapobiegł tragedii.

Ale Shaw nie odezwał się ani jednym słowem. Po prostu siedział w swoim fotelu i gapił się na Maksa. Jego wzrok był lodowaty; gdyby Shaw nie miał opinii bezstronnego w osądach albo gdyby raz czy dwa nie wybuchnął śmiechem, który bardziej przypominał szczekanie psa, Max mógłby się obawiać, że posunął się za daleko.

Na razie wykorzystał przedłużającą się ciszę do oglądania, jak Shaw w niezwykle subtelny sposób staje się niedostępny i trudny do rozgryzienia. Nie chodziło bynajmniej wyłącznie o pozbawione emocji spojrzenie czy kamienną twarz. To dotyczyło mowy ciała. Shaw trzymał łokcie na oparciu fotela, otwierając się w ten sposób na rozmówcę.

Ciekawe. Ta niewymuszona poza rzeczywiście wzmacniała wyraz pozbawionego słów przekazu, który brzmiał mniej więcej tak: Drzyj, gnojku, bo nie masz zielonego pojęcia, co teraz powiem albo zrobię.

Tyle że Max wiedział swoje. Mimo całego wrzasku Shaw wreszcie go zauważył.

Minęły całe trzy minuty, zanim Shaw się odezwał, a Max zwyczajnie stał tam, ze spokojem znosząc spojrzenie swego szefa i siłą woli powstrzymując odruch przełykania.

- Moim następcą będzie Kurt Herdson - powiedział w końcu Shaw.

Max nawet nie mrugnął, słysząc jak szef nieoczekiwanie zmienia temat.

- Tak jest, sir. Wiem o tym.

- Znasz go?

- Nie, sir.

- To formalista. - Uśmiech, którym Shaw obdarzył Maksa nie należał do szczególnie przyjemnych. - Ty chyba cenisz bezwzględną uczciwość, Bhagat, więc powiem jasno: on będzie cię nienawidził jak cholera.

- Tak, sir, pewnie tak - zgodził się Max i też się uśmiechnął. - Już się nie mogę doczekać.

Shaw znów zaczął się śmiać. I znów zmienił temat.

- Jesteś żonaty, chłopcze?

- Nie, sir.

- Chcesz posłuchać dobrej rady? Ożeń się, i to szybko. Kiedy zostaniesz szefem zespołu, nie będziesz miał czasu, żeby uganiać się za kobietami. Do diabła, nie będziesz miał czasu, żeby złapać oddech. Jeśli jest gdzieś ktoś, bez kogo nie możesz żyć, przykuj go do siebie, zanim odejdzie w siną dal. Pamiętasz to stare powiedzenie? „Żony czekają, a dziewczyny odchodzą”. To niestety prawda, zwłaszcza w tym biznesie.

Max pokręcił głową.

- Ja... Ja nie... Naprawdę doceniam pańską radę, sir.

Nawet jeśli gdzieś tam była dziewczyna, bez której Max nie mógł żyć, to jeszcze nie zdążył jej spotkać.

- Nawet jeśli lubisz się zabawić, ogierze... - Shaw podkreślił ostatnie słowo - ... to lepiej, gdy znajdziesz kogoś na stałe, zwłaszcza kiedy ten ktoś będzie czekał na ciebie w domu, prał twoje ciuchy i gotował ci kolację.

Na te słowa Max skrzywił się w środku. Z różnych powodów. Był zadowolony, że żadna z kobiet pracujących w biurze nie słyszy tej rozmowy.

- Jeśli chodzi o pranie, to nieźle sobie radzę, sir. A skoro poruszyliśmy ten temat...

Ale Shaw machnął niecierpliwie.

- Nikomu nie wydam twojego sekretu, możesz być pewien. A teraz się wynoś, mam dziś jeszcze masę roboty.

Max skierował się w stronę drzwi, ale Shaw zatrzymał go, zanim zdążył je za sobą zamknąć.

- Bhagat!

- Tak, sir?

- Dziękuję.

Max skinął głową. Niepotrzebna śmierć Leonarda D'Angelo byłaby piekielnym balastem, który Shaw musiałby dźwigać do końca życia.

- Nie ma za co, sir. Ja też dziękuję - i zamknął za sobą drzwi.

Był już w połowie drogi do biurka, kiedy dotarło do niego to, co powiedział Shaw.

Kiedy już będziesz szefem zespołu... „Kiedy”, nie „jeśli”.

Niech to diabli. Max uśmiechnął się pod nosem. Wszystko układało się wspaniale.

Cztery dni później w East Meadow na Long Island - w wybudowanym po drugiej wojnie światowej na jednym z przedmieść Nowego Jorku osiedlu identycznych domków - Gina Vitagliano poszła do pierwszej klasy.

Rozdział Pierwszy

Kwatera Główna FBI, Waszyngton, D.C.

20 czerwca 2005

Dzień dzisiejszy

To był naprawdę dzień jak z bajki. Błękitne niebo. Niska wilgotność powietrza. O tej godzinie niewielki jeszcze ruch na ulicach. Zielone światło na każdym skrzyżowaniu. Miejsce na parkingu w odległości mniej więcej rzutu oszczepem od wejścia do biura.

Drzwi windy rozsunęły się natychmiast po dotknięciu przycisku i w ekspresowym tempie wjechał na swoje piętro. Drzwi rozsunęły się znowu i ujrzał odbicie własnej postaci w lustrze wiszącym w foyer.

Prezentował się po prostu wspaniale. W ulubionym czarnym garniturze i nowej koszuli, którą kupił sobie w prezencie, Jules Cassidy nie wyglądał na zwykłego, przeciętnego agenta FBI, tego był pewien. Wsunął do kieszeni okulary przeciwsłoneczne, poprawił krawat i sprężystym krokiem ruszył wzdłuż korytarza.

Kiedy wyglądasz dobrze, czujesz się dobrze. To jasne jak słońce.

Miejsce przy biurku Larondy w recepcji świeciło pustkami, ale drzwi do gabinetu Maksa Bhagata były już starannie zamknięte.

Mimo że Jules był dziś naprawdę wcześnie, jego przełożony, legendarny szef zespołu FBI, znany wszystkim młodszymi, pełnym lekceważenia, za to niezbyt oryginalnym podwładnym jako „ten Max” - choć nigdy, przenigdy nikt nie ośmielił się go tak nazwać w jego obecności - zdołał go wyprzedzić.

Choć, szczerze mówiąc, równie prawdopodobne było, że Max zwyczajnie zasiedział się do wyjątkowo późnej godziny.

Ale tego i tak by nikt nie odgadł. Max nigdy nie wyglądał na wymiętego, nawet jeśli był na nogach od siedemdziesięciu dwóch godzin. Pewnie gdyby w zoo przy obsłudze zwierząt zdarzył się jakiś dziwny wypadek i Max wpadł do basenu hipopotama, pierwszą rzeczą, jaką powiedziałaby, odzyskawszy przytomność, byłoby: „Niech ktoś mi przyniesie świeżą koszulę!”.

Gość trzymał w biurze co najmniej dwie kompletne zmiany ubrania, nie wspominając o golarkach elektrycznych w szufladzie biurka, teczce, schowku na rękawiczki w samochodzie i przypuszczalni jeszcze ze dwóch miejscach, o których Jules nie miał zielonego pojęcia.

Max nie był dziś jedynym rannym ptaszkiem w biurze. Do Julesa doleciał fantastyczny aromat świeżo parzonej kawy. Max był co prawda błyskotliwym negocjatorem, ale parzenie kawy zdecydowanie przekraczało jego możliwości.

Francuska wanilia. Wielki Boże, Jules uwielbiał francuską wanilię. Choć nie udało mu się dotrzeć do biura przed Maksem oraz tajemniczą osobą, która przygotowała kawę, to i tak ten dzień mógł zaliczyć do zdecydowanie udanych.

Przystanął przy kąciку kuchennym i - dzięki Ci, Panie! - zauważył, że ktoś umył jego ulubiony kubek i postawił na suszarce. Co prawda pojemnik na kawę okazał się pusty, ale w dzbanku na podgrzewaczu została jeszcze solidna filiżanka życiodajnego płynu.

Telewizor był włączony na CNN Headline News, ale bez dźwięku. Kiedy Jules napełniał kubek z Myszka Miki resztką kawy z dzbanka, stanowczo zbyt przystojny prezenter uśmiechnął się do niego promiennie, jakby chciał powiedzieć: „Dzień dobry, kochanie. Dziś spotka cię coś fantastycznego”.

W tym momencie zaczęły się reklamy.

Ekran wypełnił się jakąś ponurą sceną batalistyczną z CBSÓW drugiej wojny światowej, utrzymaną w kolorze sepii - bez wątpienia anonsująca History Channel. Ale po chwili obraz bitwy rozmył się zastąpiony w pełni kolorowym zbliżeniem twarzy młodego żołnierza w hełmie; jego pięknie zarysowane kości policzkowe pokrywał kurz zmieszany z potem.

Chryste Panie! To przecież policzki Robina Chadwicka! To nie była reklamówka History Channel ani Batmana, tylko reklama filmu. I to właśnie tego filmu.

Sięgając pośpiesznie po pilota, Jules o mały włos nie popatrzył sobie ręki, a kubek wyslizgnął mu się spomiędzy palców i z hukiem roztrzaskał o dno zlewozmywaka. Kawa chlapnęła - och, nie! - prosto na nową, czyściutką koszulę.

Czym prędzej włożył poparzoną dłoń pod strumień zimnej wody, a drugą ręką podkręcił dźwięk w telewizorze. Wiedział, że nie powinien. Absolutnie należało wyłączyć ten cholerny telewizor, ale Jules nie mógł się na to zdobyć.

Zagrzmiała chóralna muzyka; obraz rozmył się ponownie i tym razem na ekranie ukazał się inny młody aktor, także zabójczo

przystojny, tyle że o ciemnej karnacji, podczas gdy Robin był blondynem.

Adam Wyndham.

Kłamliwy, wredny sukinsyn, eksprzyjaciel Julesa.

Chryste, jako aktor wyglądał po prostu super.

To znaczy wyglądał świetnie w filmie, w dodających urody światłach i w ostrym makijażu. Właśnie to Jules chciał powiedzieć. To nie była żadna masochistyczna, pełna tęsknoty za pojednaniem myśl, która tłukła mu się po głowie.

Nie, nie, wszystkie sprawy dotyczące Adama zostały już szczęśliwie zakończone.

Jules dalej trzymał palce pod zimną wodą, a obraz na ekranie ponownie się zmienił; tym razem obaj bohaterowie siedzieli ramie przy ramieniu, przyodziani w ekwipunek bojowy z czasów drugiej wojny światowej, cudowni i oszałamiająco wspaniali, a ich cichy śmiech zagłuszała gromka muzyka - najwyraźniej zwiastun filmu miał sugerować widzom, że mają do czynienia z wielowątkowym melodramatem.

Potem znów nastąpiło cięcie i Jules ujrzał kolejną scenę; obaj mężczyźni - nadal ramie przy ramieniu - biegli po plaży w sam środek walki z bronią gotową do strzału.

Obraz zatrzymał się i obaj zamarli w pół kroku; kolory zbladły, wracając do początkowej sepii, a gdzieś zza ekranu czyjś głos oznajmił: American Hero. Prawdziwa wojna toczy się w tobie... Od piątku tylko w wybranych kinach".

Nowa, droga koszula Julesa została poplamiona, jego ulubiony kubek roztrzaskał się w drobny mak, kawa o smaku francuskiej wanilii przepadła, a w filmie robił za gwiazdę jego były ukochany. Ten cholerny film, z którego powodu Jules przez ostatnie dwa miesiące omijał szerokim łukiem wszystkie kina - żeby przypadkiem go nie zobaczyć - i przez który przestał prenumerować „Entertainment Weekly”, żeby o nim nie czytać, miał premierę dopiero w nadchodzący piątek.

Niech to szlag.

No dobrze. Mimo wszystko niebo za oknem nadal było błękitne, a w drzwiach - jak anioł miłosierdzia - pojawiła się Deb Erlanger, koleżanka z zespołu agentów, przynosząc z sobą trochę nadziei i woń kofeiny.

- Cześć, Jules. Idziemy do Starbucksa. Kupić ci coś?

Jej partner, Joe Hirabayashi, stał tuż za nią. Co to było, do diabła? Narodowy Dzień Wczesnego Wstawania?

Jules wyłączył dźwięk w telewizorze.

- Myślicie, że zaczęli tam sprzedawać ubrania na specjalne okazje?

Jules, podobnie jak Max, trzymał w biurze zapasową koszulę; ale w przeciwieństwie do niego wykorzystał ją przed dwoma dniami i zapomniał przynieść następną. Yashi obejrzał go.

- O kurczę, chłopie. Ta koszula jest do niczego - ocenił zwięźle, jak przystało na wyznawcę zen.

- Czy nie masz dziś przypadkiem czegoś w rodzaju inspekcji? - spytała Deb. - Z Peggy Ryan?

Tak, Deb. Dokładnie tak. Prawdę powiedziawszy, dzisiejsze spotkanie z Peggy nie było „czymś w rodzaju inspekcji”. Zdecydowanie podpadało pod kategorię spotkań niezwykle istotnych.

Jules miał otrzymać awans. Jak dotąd dostał pomyślne oceny od wszystkich szefów zespołów z wyjątkiem Peggy, z którą miał spotkać się dzisiaj.

Peggy należała do osób, które walczyły z własną homofobią, udając, że ktoś taki jak Jules po prostu nie istnieje. W przeszłości Jules starał się ułatwić jej to zadanie i schodził jej z drogi.

Jednak od tego spotkania żadne z nich nie mogło się wykręcić. Popołudnie zapowiadało się wyjątkowo interesująco, tego był pewien.

- Może to akurat wyjdzie ci na dobre - powiedział Yashi, podbródkiem wskazując ciemny ślad, który Jules bez przekonania starał się osuszyć papierowym ręcznikiem. - Mówię o tych plamach po kawie. Od razu wyglądasz bardziej po ludzku. - Zmarszczył się komicznie. - Gdybyś jeszcze, no wiesz, zrobił zeza...

- Zdecydowanie potrzeba ci piernika i espresso z dodatkową porcją bitej śmietany - rzekła Deb. - Zaraz będziemy z powrotem.

I właśnie wtedy zjawił się George Faulkner, blokując im przejście. Z trudem łapał oddech, co wszystkich zaskoczyło. Jules nie miał pojęcia, że George w ogóle wie, co to znaczy biegać.

- Gdzie jest Laronda? - spytał tonem, który zapowiadał jakieś nieszczęście.

- Dzisiaj jej nie będzie - powiedziała Deb.

- Dlaczego? - Jules nie wiedział, że Laronda miała dziś wolne.

Laronda była asystentką do spraw administracyjnych. Dzień bez Larondy był mniej więcej tak samo produktywny i wesoły jak dzień spędzony na waleniu młotkiem w kciuk. W kółko i w kółko to samo. I tylko „au” i „au”.

- Klub dyskusyjny, którego członkiem jest jej syn, przeszedł do finałów krajowych - wyjaśniła Deb. - Tak ni stąd, ni zowąd... Absolutny strzał w dziesiątkę. Max powiedział, żeby sobie wzięła kilka dni wolnego i pojechała z dzieciakiem do Bostonu. Nie będzie jej do piątku.

Niedobrze. Niedobrze!

- Max powinien to zobaczyć. - George był dziś skupiony na jednym temacie.

Trzymał przed sobą coś, co wyglądało na wydruk e - maila.

- Dziewczyna, która ją zastępuje, powinna tu dotrzeć w ciągu godziny - oznajmił Yashi. - Połóż to na biurku Larondy, to się tym zajmie.

- O nie - powiedział Jules. Ostatnim razem, kiedy ktoś z zewnątrz zastępował Larondę, wszystko szło dwa razy gorzej niż zwykle. - Jeśli chcemy dziś w ogóle coś zrobić, musimy pracować na zmiany.

Deb i Yashi od razu zaczęli mrużyć coś pod nosem, ale Jules ich powstrzymał.

- Siedzimy przy biurku Larondy po godzinie - powiedział nieznoszącym sprzeciwu tonem. - Ostatecznie każdy z nas jakoś to przeżyje, że od czasu do czasu musi popracować w charakterze sekretarki Maksa. Świetnie o tym wiecie.

Cholera, cholera, cholera!

No to tyle wyszło z planów, żeby wyskoczyć gdzieś po nową koszulę przed spotkaniem z Peggy Ryan.

- Ja idę na pierwszy ogień, potem Yashi, następnie George, a na końcu ty, Deb...

- Skoczę kupić dodatkową kawę - zdecydowała Deb.

- Dobrze. Yash, zadzwoń do Fran i Manny'ego, niech podnoszą dupy z łóżek - zarządził Jules. - I niech tu przyjeżdżają, tylko prędko.

- George, chcesz coś ze Starbucksa? - zapytała Deb.

- Słuchaj, Max naprawdę powinien to zobaczyć - upierał się George, tym razem zwracając się prosto do Julesa. - I to zaraz.

Psiakrew. Jules wziął wydruk i przebiegł go oczyma, podczas gdy Deb schyliła się i czytała mu przez ramię. To była lista ofiar pod

makabrycznym tytułem „Cywile zabici w wybuchu w kawiarni w centrum Hamburga”. Ostatni atak terrorystyczny w Niemczech przeprowadzono zaledwie wczoraj rano, ofiar było niewiele, ale media i tak w kółko wałkowały ten temat. Normalnie wybuch samochodu pułapki mógł spowodować o wiele gorsze skutki.

Na liście ofiar było tylko kilka nazwisk.

- To nie nasza działka - przypomniał Jules George'owi. - Tym zajmuje się zespół Friska. Wiem, że Max lubi we wszystkim być na bieżąco, ale chyba nie ma potrzeby, żeby właśnie tym...

- O tak, niestety jest - przerwał George.

- O cholera. - Deb wciągnęła gwałtownie powietrze, wskazując na sam dół listy.

Yashi także pochylił się, żeby rzucić okiem, i... Jules powędrował wzrokiem za palcem Deb i ujrzał dwa słowa, na których widok serce mu niemal stanęło. Gina Vitagliano. Dwukrotnie sprawdził tytuł. „Cywile zabici...”.

- O Chryste, nie... - wykrztusił. Nie Gina Vitagliano.

Jedyna kobieta, która zdołała przeniknąć do pokrytego teflonem serca Maksa Bhagata. Kobieta, której nie tylko pozwolił odejść, ale którą odpychał i odrzucał tak długo, aż sama zrezygnowała i go opuściła.

Ale to wcale nie znaczyło, że przestał ją kochać. Słodki Jezu...

- Ktoś musi mu o tym powiedzieć - szepnęła Deb.

Jules podniósł oczy i przekonał się, że wszyscy patrzą na niego. Jakby był szefem ich zespołu albo kimś w tym rodzaju. To nie fair, pomyślał, jeszcze nie otrzymał awansu.

- Taak... Ja mu to powiem - odezwał się w końcu, ale sam nie mógł poznać własnego głosu. - Gina była też moją przyjaciółką.

Chryste... Gina była... Nienawidził samej konieczności wypowiedzenia tych słów. Boże, jak to mogło się stać?

Po drugiej stronie okna bezchmurne niebo kłuło w oczy błękitem. Jules pożałował, że nie może cofnąć się w czasie o parę godzin, do chwili kiedy radiowy budzik powitał go radosną piosenką. Tym razem wyłączyłby go, odwrócił się na drugi bok i z powrotem poszedł spać.

Niestety, nie mógł tak po prostu odłożyć na później tego, co nieuchronne. W jakiś sposób, tak czy inaczej, wszyscy będą musieli przebrnąć przez ten straszny, potworny dzień.

Jules odchrząknął; gardło bolało go jak diabli.

- Yashi, dowiedz się, co Gina robiła w Niemczech... Słyszałem, że ostatnio była w Kenii z...

Cholera, jak to się nazywało? Takie duperele szybko wylatywały mu z głowy.

- ... AIDS Awareness International. Skontaktuj się z nimi i wyciągnij jak najwięcej informacji. George, znajdź Waltera Friska. Chcemy wiedzieć wszystko, co ma na temat tego wybuchu, i to zaraz. A ty idź po kawę - zwrócił się do Deb. - A potem pomożesz George'owi. No, ruszajcie się.

Wszyscy rozbiegli się w mgnieniu oka.

Kiedy Max zobaczy e - mail, będzie miał z pewnością cholernie dużo pytań, a Jules nie potrafi odpowiedzieć na żadne z nich.

Przynajmniej na razie.

Wytarł zaczerwienione oczy, poprawił krawat i z ciężkim sercem, w poplamionej koszuli, która już nikogo w tym momencie nie obchodziła, powlókł się w długą drogę dzielącą go od biura Maksa.

Arlington, Wirginia

12 stycznia 2004

Siedemnaście miesięcy wcześniej

Max musiał zebrać całą swoją wolę, żeby się odprężyć. Pilnował, żeby nie napinać ramion ani nie zaciskać pięści i - co najtrudniejsze - nie zacząć zgrzytać zębami ze zdenerwowania.

Udało mu się założyć nogę na nogę i lekko unieść brew. Wiedział, że to w połączeniu z półuśmiechem, który błąkał się gdzieś w kącikach ust, sprawiało, iż wyglądał na przyjaźnie nastawionego wobec rozmówcy i otwartego na poruszane tematy.

Ostatecznie był negocjatorem FBI - nie, był uznanym negocjatorem FBI - od tylu lat, że nie wystarczyłoby mu palców u rąk i nóg, żeby je zliczyć. Przez ten czas zdążył wypróbować swoje czary na zatwardziałych kryminalistach i zdesperowanych terrorystach - mężczyznach i kobietach, którzy zbyt często byli gotowi, by umrzeć.

Dzisiejsza dyskusja powinna być przy tym bulką z masłem. Grzeczna rozmowa w gronie trzech racjonalnych i trzeźwo myślących osób. Tylko Max, Gina i Rita Hennimen, terapeutka do spraw konfliktów małżeńskich, znaleziona przez Ginę na „żółtych stronach”.

Bez wątpienia właściwy tytuł mógłby brzmieć: „Najgorszy koszmar Maksa”.

Nigdy w życiu nie był jeszcze tak przerażony.

Gina obserwowała go, siedząc na przeciwnym krańcu kanapy. Celowo ubrała się dziś jak nastolatka, w obcisły T-shirt, który nie stykał się u dołu z sięgającymi do bioder dzinsami. Nie mógł patrzeć na nią i nie myśleć o seksie - o tym, jak oplata go nogami i wysyła gdzieś w przestrzeń kosmiczną.

Max odchrząknął i poprawił się na kanapie, wskutek czego podniósł lewą rękę odrobinę za wysoko i znów przeszył go rozdzierający ból.

Chryste, czy to ramię nigdy nie przestanie go boleć? Został postrzelony w klatkę piersiową; pocisk przebił płuco, odbił się rykoszetem i roztrzaskał obojczyk, co Maksowi najbardziej dawało się teraz we znaki.

Kiedy Rita kończyła czytać formularze, które oboje wypełnili w poczekalni, Gina pochyliła się w jego stronę.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Tak.

Przez moment patrzyła na niego badawczo, a potem powiedziała:

- Jedną z podstawowych zasad terapii jest szczerłość. Kiedy wejdzie my do tego pokoju, musimy mówić prawdę. Inaczej wszystko będzie można o kant dupy potłuc.

Siadając na kanapie, Max zaczął laskę o oparcie; właśnie w tej chwili upadła z łoskotem na podłogę. Dzięki Bogu. Schylił się, żeby ją podnieść, a kiedy się wyprostował, Rita spoglądała na nich z uśmiechem, gotowa do pracy.

- A więc od czego zaczynamy? - spytała.

Gina nie spuszczała z niego oka.

- Dobre pytanie. O czym chciałbyś porozmawiać, Max?

- O koszykówce - oświadczył, a Gina zaczęła się śmiać, dokładnie tak jak oczekiwał.

- Chyba popełniłam błąd, bo powiedziałam mu, że musi być szczerzy - zwróciła się do Rity. - W tym cały problem. Zgodnie z przekonaniem Makska nie powinniśmy się tutaj znaleźć, ponieważ nie jesteśmy małżeństwem. Nie jesteśmy razem - łączy nas tylko przyjaźń. Tyle tylko, że coś między nami istnieje. Przeszłość. Chemia. Ach, no i fakt, że prawdopodobnie jestem w nim zakochana, też ma pewnie jakieś znaczenie. Chociaż Max z pewnością ci powie, że nic podobnego, że to, co czułam przez te wszystkie lata, jest jedynie czymś w rodzaju „przeniesienia uczuć”. Tak jak ci mówiłam przez telefon, byłam w samolocie, który został porwany, a Max ocalił mi życie...

- Sama ocaliłaś sobie życie - przerwał jej.

- Najwyraźniej to zależy od interpretacji - Gina zwróciła się do terapeutki. - Ja wiem, że to on mnie ocalił. On z kolei, będzie się sprzeczał, że nic podobnego. Chodzi o różnicę wieku, ale prawdę mówiąc, nie mam problemu z...

Rita zerknęła na podkładkę, najwyraźniej porównując daty urodzenia. Niewiele czasu zabrało jej zorientowanie się, że Gina miała dwadzieścia pięć lat, a Max był prawie dwadzieścia lat starszy. Rita jednak była doskonałym fachowcem i nawet nie mrugnęła okiem. Uśmiechnęła się tylko, gdy podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie.

- Miłość nie bawi się w matematykę - zauważyła.

Tak, ale ludzie się bawią, i w dodatku na ogół dobitnie wyrażają swoją opinię. Na przykład Debra, jedna z pielęgniarek na oddziale

rehabilitacji, gdyby tylko mogła, samym spojrzeniem zmieniałaby Maksa w kupkę dymiącego popiołu już wiele tygodni temu... Jednak w tym momencie Max postanowił milczeć i pozwolić Ginie mówić.

- Nie potrafię go zmusić, żeby ze mną porozmawiał - poskarżyła się Gina. - Za każdym razem, gdy tylko próbuję, kończy się na tym...

Och, nie, ona chyba nie powie tego na głos!

- ... że lądujemy w łóżku.

No i powiedziała!

- Pomyślałam, że jeżeli przyjdziemy tutaj... - mówiła dalej Gina. - No cóż, myślałam, że kiedy pani jest z nami w jednym pokoju, to mamy szansę na normalną rozmowę zamiast... No wie pani.

Niezależnie od tego, jak straszne były nocne koszmary, rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza. Max poczuł się tak, jakby znów był szesnastoletnim chudym chłopcem, mniejszym od rówieśników, którego zmuszono, żeby nago wędrował po korytarzu szkoły w poszukiwaniu swojej szafki.

Bez wątpienia nadszedł czas, żeby się obudzić. Chwytał mocno łaskę.

- Przykro mi, ale ja nie mogę tego zrobić.

Z trudem podniósł się z kanapy, choć jednocześnie przyszło mu do głowy, jak śmieszna była ta próba ucieczki. Mógł w każdej chwili opuścić ten pokój, ale nie potrafił uwolnić się od myśli, które beładnie tłukły mu się po głowie.

Gina także poderwała się z miejsca i stanęła mu na drodze.

- Max. Proszę. Tyle jest spraw, o których nigdy nie rozmawialiśmy i udajemy, że one nie istnieją. - Odetchnęła głęboko. - Na przykład Alyssa.

O Chryste. Max roześmiał się, ponieważ zaoszczędziło mu to kilka setek dolarów, które niewątpliwie musiałyby wydać na dentystę, żeby naprawić szkody w uzębieniu będące rezultatem nadmiernego zaciskania szczęk. Jednak nawet on, prawdziwy mistrz w zgrzytaniu zębami, nie potrafił robić tego, gdy się śmiał.

- Wybaczysz nam na moment? - zwrócił się do Rity.

Ale Gina skrzyżowała ramiona. Najwyraźniej nie miała zamiaru nigdzie wychodzić.

- O to właśnie chodzi w całej terapii, Max - wybuchnęła. - Żeby mówić o rzeczach, o których inaczej nie potrafimy rozmawiać. Właśnie tutaj, w obecności Rity.

No więc dobrze. Naprawdę zaczynał tęsknić za wędrówką nago i szukaniem szafki. Albo za tym koszmarem, który często dopadał go, gdy Max był dzieckiem. Gigantyczne widelce spadające z kosmosu. Przez całe lata sypiał na boku, żeby wślizgnąć się między ich zęby i uniknąć śmierci przez nadzianie.

- Może wrócimy do tego trochę później? - zasugerowała Rita. - To chyba szczególnie drażliwy temat.

- Nie, nie - zaprzeczył. - Mylisz się, wcale nie.

I zwrócił się do Giny.

- Alyssa Locke już u mnie nie pracuje. Wiesz o tym. Nie rozmawiałem z nią od...

Chciał powiedzieć „kilku tygodni”, ale to nie była prawda.

- Wiem, że przychodziła do ciebie do centrum rehabilitacji - przerwała mu. - Nie uważasz, że to dziwne, że nawet słówkiem mi o tym nie wspomniałeś?

„Dziwne” było wyłącznie rozmawianie o tym przy udziale widowni, jakby brali udział w jakimś cholernym reality show. Zgoda, Rita to była tylko jedna osoba, ale Max czuł, że w jakiś sposób notuje wyniki w tym swoim notesie. Kiedy minie ich pięćdziesięciminutowa sesja, pochyli się w jego stronę ze współczującym uśmiechem i powie: „Twoja podróż tutaj się kończy. Możesz iść do domu”.

Boże, jak pragnął iść do domu!

Nie do centrum rehabilitacji. Nie do tej żalösnej namiastki domu, jaką było jego mieszkanie. I na pewno nie do domów rodziców; zresztą każde z nich mieszkało na innym wybrzeżu.

Cóż więc mu pozostało?

Gina najwyraźniej czekała na jego odpowiedź. Czy nie uważał, że to dziwne...?

- Nie było o czym wspominać - wyjaśnił. - Alyssa przychodziła w sprawach zawodowych. Nie miałem zamiaru... - Westchnął ciężko. - Zresztą ona nie jest tematem do rozmowy. Oczywiście może być, jeśli naprawdę chcesz odgrywać tu jakąś cholerną operę mydlaną.

Na te słowa Gina zachnęła się, a Max ugryzł w język. Nienawidził samego siebie jeszcze bardziej niż zwykle.

- Gina, proszę cię - odezwał się cicho. - Ja naprawdę nie potrafię.

- Czego nie potrafisz? Rozmawiać? - odparowała, nawet nie starając się ukryć bólu, jaki pojawił się w jej oczach.

Bólu, który zwykle tak starannie potrafiła maskować. To złamało Maksowi serce.

- Przecież rozmawiamy - powiedział.

- Wiesz, że co drugi dzień odbieram pocztę z twojego mieszkania, prawda? I sądzisz, że nie domyśliłam się, że ta fantazyjna koperta od Alyssy i tego, jak mu tam, to było zaproszenie na ślub?

Znowu Alyssa.

- Sam - odpowiedział.

Narzeczony Alyssy miał na imię Sam. Gina odwróciła się do Rity.

- Prawda wygląda tak, że zaledwie kilka miesięcy temu Max poprosił Alysę, żeby za niego wyszła. Pracowała u niego i zakochał się. Tyle tylko że Max ma swoje zasady dotyczące związków z podwładnymi, więc wmawiał sobie, że są tylko przyjaciółmi... Przynajmniej tak mi mówił Jules. Po prostu przyjaciółmi... Aż pewnego dnia poprosił ją o rękę.

Zaśmiała się, ale przypuszczał, że z tego samego powodu co on, żeby uniknąć kłopotów z zębami.

- Jest coś, o co nigdy nie odważyłam się zapytać, Max. Czy ty i Alyssa przyjaźniliście się w ten sam sposób co my?

- Nie. - Pokręcił głową. - Alyssa i ja nigdy... Ona tylko dla mnie pracowała.

- Niektórym mężczyznom to wcale nie przeszkadza - zauważyła Rita.

- Ale mnie tak - rzeki stanowczo.

- A więc honorowe postępowanie jest dla ciebie ważne. - Rita zapisała coś w notatniku, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Maksa.

- Posłuchaj - odwrócił się do Giny - przykro mi, ale to zaczyna być zbyt osobiste. Chodźmy gdzieś w jakieś ustronne miejsce, gdzie będziemy mogli...

- ... uprawiać seks? - przerwała mu.

Max zamknął na chwilę oczy.

- Porozmawiać.

- Tak jak wtedy, kiedy dostałeś zaproszenie od Alyssy? - drążyła temat.

Boże.

- A co chciałaś, żebym wtedy powiedział? „Hej, zgadnij, co dziś dostałem”?

- Biorąc pod uwagę, że nawet nie wymówiliśmy jej imienia od czasu, gdy zostałeś postrzelony i o mało nie umarłeś, wydaje mi się, że powinieneś chociaż coś bąknąć na ten temat! - zawołała podekscytowana. - A ty nie pisałeś ani słówka. Przyszłam do ciebie i miałeś superokazję, żeby mi o wszystkim powiedzieć, a pamiętasz, czym się wtedy zajmowaliśmy?

Tak, Max świetnie pamiętał. Cholernie trudno było zapomnieć, jak naga Gina przeciągała się w jego łóżku. Zerknął niepewnie na Ritę, ale ona była wystarczająco bystra, by domyślić się, o co chodziło.

Tyle tylko, że tamtej nocy to Gina go uwiodła. Często tak robiła. Zwykle to ona wykonywała pierwszy ruch. Zresztą, prawdę mówiąc, nigdy jej nie powstrzymywał. Owszem, próbował się opierać, ale bez przekonania. I ani razu mu się nie udało.

Bo jeśli tak chętnie obdarowywała go swymi wdziękami, to dlaczego miał nie korzystać?

No i czyż nie był największym kłamcą na świecie? Prawda wyglądała tak, że bardzo pożądał tej dziewczyny. Dniem i nocą. Ich związek był niewłaściwy pod każdym względem i Max świetnie wiedział, że powinien się trzymać od niej z daleka, ale nijak nie potrafił. Toteż godził się na wszystko, co proponowała. Chciwie. Jak narkoman, który zdaje sobie sprawę, że wcześniej czy później zostanie pozbawiony dostępu do rozkoszy.

- Cofnijmy się odrobinę - zaproponowała terapeutka. - Do historii, o której mi wspominałaś. - Odwróciła się do Giny. - Mogę zdradzić Maksowi co nieco z tego, co mówiłaś mi przez telefon?

- Proszę bardzo.

- Popraw mnie, jeśli się w czymś pomylę - poprosiła Rita. - Poznaliście się kilka lat temu, kiedy Gina była pasażerką porwanego samolotu. To zdarzyło się jeszcze przed jedenastym wrześniem. Samolot stał na lotnisku w... - Poszukała czegoś w notatniku.

- W Uzbekistanie - odezwał się Max.

- A ty znalazłeś się tam jako negocjator FBI? Zawsze myślałam, że w Stanach nie dyskutuje się z terrorystami.

- Bo tak jest - powiedział. - Ale z nimi rozmawiamy. Próbujemy przekonać, żeby się poddali. W trudniejszych wypadkach staramy się zyskać na czasie. Słuchamy ich skarg, udajemy, że chcemy negocjować, a w tym czasie antyterrorysty - akurat wtedy byli to

chłopcy z SEAL - przygotowują się do przejęcia siłą kontroli nad samolotem.

- Rozumiem. - Rita skinęła głową.

- W rzeczywistości trwa to, powiedzmy, trzydzieści sekund - zwróciła się do terapeutki Gina. - Ale wygląda na coś strasznie skomplikowanego. Muszą wywalić drzwi i pozabijać terrorystów, starając się przy tym nie zrobić krzywdy żadnemu z pasażerów. Przygotowanie do takiej akcji zabiera mnóstwo czasu.

Rita spojrzała uważnie na Ginę.

- A ty byłaś przez cały czas na pokładzie. Przez te wszystkie... godziny?

- Dni - wtrącił Max z ponurą miną i usiadł z powrotem.

To było coś, o czym Gina powinna porozmawiać, żeby się raz na zawsze z tego otrząsnąć - z traumatycznego doświadczenia, jakim było przetrzymywanie w charakterze zakładnika. Mimo że Max nie znosił żadnych terapii, dałby sobie nawet rękę uciąć, gdyby tylko pomogło to Ginie zamknąć tamten rozdział.

- Porywacze zdobyli listę pasażerów, z której wynikało, że na pokładzie znajduje się córka senatora Crawforda, Karen.

- Tyle tylko że nie wiedzieli, iż jej bilet został skradziony - wtrąciła Gina.

- Zażądali, żeby wstała. Oczywiście nie zrobiła tego, ponieważ jej tam nie było. Terroryci nie mieli o tym pojęcia, więc zagrozili, że jeśli się nie ujawni, to zaczną po kolei zabijać pasażerów. Wtedy Gina podniosła się z miejsca, udając, że jest tamtą dziewczyną.

W tym miejscu Max musiał przerwać i odchrząknąć. Niewiarygodna, bezinteresowna odwaga Giny ciągle budziła w nim cholerny podziw.

- Potem zabrali ją do kokpitu, z dala od pozostałych pasażerów.

- W dodatku cały czas trzymając na muszce. - Rita odetchnęła ciężko. - Byłaś tam sama?

Gina potrząsnęła głową.

- Nie byłam sama. Max był ze mną.

Niech to diabli porwą! Zawsze tak mówiła.

- Znajdowałem się wtedy w terminalu lotniska - powiedział do terapeutki. - Przez radio utrzymywałem kontakt z samolotem. Gina służyła nam jako pośredniczka, ponieważ terroryci nie zgodzili się

rozmawiać bezpośrednio ze mną. Mówiłem więc do niej, wiedząc, że tego słuchają.

- To chyba nie był jedyny powód, dla którego ze mną rozmawiałeś - zauważyła.

Miała rację. Od samego początku czuł, że ona dziwnie go przyciąga, na co absolutnie nie powinien sobie pozwolić.

- Czy opowiedziała ci o wszystkich obrażeniach, jakie odniosła, kiedy podobno byłem z nią w tym samolocie? - zapytał Ritę Max. Zaczął wyliczać na palcach. - Zwichnięty nadgarstek, złamane żebra, podbite oko, cała masa innych zacięć i kontuzji...

- Oczywiście, wspomniała mi, że ją zaatakowali - przerwała mu Rita.

- Nie, nie! Nie używajmy słowa „atak” - zawołał Max. - Wolę brutalną szczerość. Nazwijmy to po imieniu - gwałt.

To słowo zdawało się dźwięczeć w ciszy, jaka teraz zapadła. Max czuł, jak zaciska mu się gardło, a żołądek zwija w supeł. O Boże...

- To musiało być straszne, Max - powiedziała łagodnie Rita. - Wszystko słyszeć i być świadkiem tego, co się działo. Gina opowiadała mi, że były tam kamery. To druzgocące przeżycie, że w dodatku wszystko widziałeś.

Dlaczego właściwie zwracała się do niego?

- Jeszcze bardziej druzgocące dla Giny, nie sądzisz?

- W końcu zaczęłam sobie to wybaczać, Max - powiedziała Gina.

- Boże, przecież to właśnie ty uświadomiłeś mi, że to nie moja wina, że nie zrobiłam nic, żeby ich sprowokować. Czemu nie wyświadczysz tej przysługi samemu sobie?

Terapeutka odwróciła się teraz w jego stronę.

- Pozwól, że to razem zgłębimy. Czy pamiętasz, co czuleś, co...?

- Chyba żartujesz!

Oczywiście, że nie żartowała. Terapeuci nie żartują. Prawdę mówiąc, dla terapeutów żartowanie z klientami znajduje się na czele Wielkiej Listy Czynów Zabronionych, razem ze zbyt częstym używaniem pierdzących poduszek i sztucznych wymiocin, nie wspominając już o wkładaniu białych fartuchów po Świącie Pracy.

Max nareszcie zrozumiał. Nie przyszli dziś tutaj z powodu Giny. Przyszli pomóc jemu.

Jakby to mogło coś zmienić. Jakby przywoływanie wspomnień o gniewie i poczuciu winy mogło skończyć się czymś innym niż kolejnym napadem bólu i frustracji.

Znowu podparł się laską, żeby wstać.

- Jestem wykończony. Przykro mi, naprawdę nie mogę...

- No to co zrobimy? - spytała cicho Gina. - Czy nasz związek jest tylko tymczasowy? Wiesz, cały czas ustalam to sama ze sobą. Będę tu jeszcze tylko ten następny tydzień, dopóki Max nie wyjdzie ze szpitala. Zostanę, dopóki nie urządzi się w centrum rehabilitacji. Poczekam, aż nauczy się chodzić bez laski... Ale tak naprawdę okłamuję samą siebie. Ja po prostu czekam, bo mam nadzieję, że... sama nie wiem. - Zaśmiała się boleśnie. - Myślałam, że jeśli będziemy często się kochać, pewnego dnia obudzisz się i powiesz mi: „Nie mogę żyć bez ciebie”.

Chryste!

- Nie mogę dać ci tego, czego pragniesz - wyszeptał.

- Nawet jeśli pragnę tylko, żebyś ze mną porozmawiał? - Jej oczy napełniły się łzami. - Był kiedyś czas... Kiedyś o wszystkim mi mówiłeś.

Na to Max nie miał żadnej odpowiedzi. Co mógłby powiedzieć? „Ależ skąd, prawdę powiedziawszy, opuszczałem to i owo”.

Milczenie, jakie zapadło, zdawało się nie mieć końca. Wreszcie Rita przerwała tę ciszę.

- Gina, jeśli mogłabyś teraz powiedzieć coś Maksowi... cokolwiek... to co by to było?

- Żeby przestał mnie traktować, jakbym zaraz miała przeżyć jakieś załamanie nerwowe. Nawet gdy się kochamy, jesteś taki... taki uważający. Jakbyś za każdym razem zabierał do łóżka tego całego boeinga... Czy nie możesz zwyczajnie... pozwolić, żeby to odeszło w zapomnienie?

Max nie potrafił ująć tego w słowa - swojego gniewu, wściekłości, że musiała przez to przejść. Zapomnieć? Puścić w niepamięć? Jak mógłby puścić w niepamięć coś, co ciągle trzymało go za jaja? Nie umiał nawet nazwać swoich uczuć, a im bardziej próbował, tym bardziej chciało mu się wyć. Jednak zamiast tego odchrząknął, żeby oczyścić gardło.

- Ja po prostu nie mogę - powtórzył raz jeszcze i ruszył w stronę drzwi.

Ale Gina go dopadła.

- Nie chce mi się wierzyć, że mogłam być tak głupia, żeby myśleć, że coś takiego nam pomoże - usłyszał jej głos. - Przykro mi, że przeze mnie zmarnowałaś tyle czasu - zwróciła się do terapeutki.

- Gina, zaczekaj. - Rita zerwała się na równe nogi.

Teraz stali już wszyscy troje. Czy to nie zabawne?

Ale Gina zdążyła już zamknąć za sobą drzwi. Cicho, ale zdecydowanie. Tuż przed nosem Maksa.

No cóż, właściwie wszystko poszło tak, jak można się było spodziewać. Max sięgnął do gałki u drzwi. Powrotna droga do centrum rehabilitacji z pewnością upłynie im w ponurym milczeniu.

- Czy kiedykolwiek powiedziałeś jej, jak bardzo ją kochasz? - rzuciła za nim Rita.

Jakoś udało mu się ukryć zaskoczenie. To nie twój zasrany interes, pomyślał. Równie dobrze to on mógłby pytać, dlaczego miałby mówić Ginie coś takiego. Pragnął, by odnalazła w życiu szczęście i spokój, a nie uda jej się osiągnąć jednego ani drugiego, dopóki on nie stanie się wspomnieniem z przeszłości.

- Choć szczerze mówiąc, mam wrażenie, że ona o tym wie, prawda? - dodała Rita.

- Czasami cała miłość świata nie wystarczy - odparł.

Rita skrzywiła się lekko.

- Och, mój drogi. Świat byłby naprawdę straszliwie ponurym miejscem, gdyby urządzono go według twoich zasad.

Chryste. Oszczędź mi psychoanalizy kogoś, kto wcale mnie nie zna. Rita nie rezygnowała łatwo.

- Czego się boisz, Max?

Opierając się mocniej na lasce, Max pokręcił tylko głową i powlókł się w ślad za Giną.

Kwatera Główna FBI, Waszyngton, D.C.

20 czerwca 2005

Dzień dzisiejszy

Peggy Ryan właśnie mówiła coś do Maksa. Jules słyszał, jak śmiała się z czegoś, co ich szef powiedział. Nie przestała nawet wtedy, gdy Max ryknął: „Wejść!”.

Oboje podnieśli głowy, gdy Jules uchylił drzwi i zamiast wejść, zatrzymał się w pół drogi.

I Max już wiedział.

Może to zabrzmiało trochę głupio, ale Jules widział, jak to się stało. Max popatrzył na niego, zerknął na papiery, które Jules trzymał w ręku, a potem spojrzął mu prosto w oczy, spoważniał i najwyraźniej już wiedział.

Wcześniej opierał się o zagłówek fotela, ale teraz usiadł wyprostowany i czekał na złe wieści. Na jego twarzy trudno było się doszukać jakichkolwiek emocji.

- Gina? - zapytał tylko, a Jules przytaknął.

Max nie mógł wiedzieć, że Gina znalazła się na terenie Niemiec, nie wspominając już o tym, że zaplątała się w pobliże kawiarni, w której nastąpiła eksplozja. Chociaż Jules podziwiał swojego szefa, uważał go za błyskotliwego, utalentowanego i zdolnego do niesłychanego bohaterstwa, akceptował również jego metody kierowania wydziałem, to jednak twardo stąpał po ziemi. W przeciwieństwie do wielu kolegów był pewien, że Max nie dysponuje nadprzyrodzonymi zdolnościami czytania w ludzkich myślach.

A to oznaczało wyłącznie jedno - że Max spodziewał się takiej wiadomości.

Najwyraźniej każdego dnia, odkąd Gina wyjechała, czekał na przerażającą informację.

Co za piekielny sposób na życie.

Peggy Ryan chyba niczego nie dostrzegła. Nawet na chwilę nie przestała trajkotać na temat sprawy, nad którą właśnie pracowała, kiedy Jules wręczał Maksowi listę zabitych.

Jules odwrócił się ku niej i przerwał jej w pół słowa.

- Proszę pani, proszę stąd wyjść.

Zamrugnęła skonsternowana, a na jej twarzy pojawiło się święte oburzenie.

- Słucham?

- I to już. - Jules chwycił ją za rękę i wyciągnął z fotela.

- Co ty wyprawiasz?! Zabieraj łapy, ty... ty gnojku - zaskrzeczała, przepychając się przez drzwi.

Na zewnątrz George tkwił przy biurku Larondy z komórką przyciśniętą do ucha, i czekał, aż Jules się przy nim zatrzyma.

- Jej ciało jest w Hamburgu - oznajmił.

- Dzięki. Wyjaśnij Peggy, o co chodzi.

Jules rzucił to polecenie ponad głową wściekłej jak diabli Peggy i zamknął jej drzwi przed nosem.

Ale wtedy przyszło mu do głowy, że być może to on znalazł się po niewłaściwej stronie drzwi. Nie mógł się zdobyć na to, żeby się odwrócić i spojrzeć na Maksa, który tkwił za biurkiem nieruchomy i milczący jak głaz.

Chyba byłoby lepiej, gdyby wrzeszczał i tłukł wszystko, co popadnie. Gdyby wybił dziurę w ścianie. Max rzadko tracił panowanie nad sobą, ale kiedy się to zdarzało, było wydarzeniem na miarę trzęsienia ziemi.

- Czy mogę panu jakoś pomóc, sir? - wyszeptał ciągle zwrócony ku drzwiom.

- Czy jej rodzina już się z nami skontaktowała? - głos Maksa brzmiał całkiem normalnie, jakby pytał o coś mniej więcej tak dokuczliwego jak poranne korki na Capital Beltway.

- Nie wiem - odparł, powoli się odwracając.

Max ciągle siedział za biurkiem. Po prostu siedział. Jules nie mógł niczego odczytać z jego twarzy ani oczu. Wyglądało to tak, jakby zamknął się w sobie, a jego serce przestało bić.

- Ale się dowiem - kontynuował Jules. - Dowiemy się także, dlaczego Gina znalazła się w Hamburgu, czemu wyjechała z Kenii, co robiła i gdzie mieszkała... Wszystkie informacje przekażę panu natychmiast, jak je otrzymam. George właśnie mi mówił, że jej ciało...

Tu głos odmówił mu posłuszeństwa. Nic nie mógł na to poradzić. Jej ciało. Ciało Giny. Mój Boże...

- ... że jej ciało ciągle jest w Hamburgu - wydusił Jules.

- Niech Laronda zamówi mi bilet na najbliższy lot do Niemiec - powiedział Max, ciągle tak samo beznamiętnie.

Ale zaraz chyba dotarło do niego, co przed chwilą powiedział, i Jules przez moment zauważył przebłysk emocji, które jego szef z całych sił starał się ukryć.

Cholera!

Jednak w mgnieniu oka Max pozbierał się i znów emanował z niego niewzruszony spokój.

- Ach, prawda, Laronda ma dziś wolne.

- Ja to zrobię.

Boże, co za dzień na załatwianie podobnych spraw. Laronda wiedziałaby doskonale, co należy zrobić i co powiedzieć... Na przykład: „Czy jedzie pan do Hamburga, żeby zidentyfikować ciało Giny i przywieźć ją do domu, czy zlokalizować i zdziętkować tych terrorystów, którzy są odpowiedzialni za tamten wybuch? Bo ta druga ewentualność chyba nie jest najlepszym pomysłem, jeśli nie zamierza pan zakończyć swojej kariery”.

Jules chrząknął znacząco.

- Może nie powinien pan jechać tam sam...

- Połącz mnie z Walterem Friskiem - polecił krótko Max. - I znajdź telefon rodziców Giny. Laronda ma go gdzieś w komputerze.

Jules położył już rękę na gałce, ale się zawahał.

- Max... Mój Boże, tak mi przykro... - głos ponownie mu się załamał. - Z powodu pańskiej straty. Z powodu straty, jaką poniósł cały świat.

Max podniósł oczy. To coś niesamowitego, kiedy ktoś spogląda na ciebie takim bezdusznym, pustym wzrokiem.

- Chcę w ciągu dwóch minut mieć na biurku tę rezerwację.

- Tak jest, sir.

Jules zamknął za sobą drzwi i zabrał się do roboty.

Rozdział Drugi

Kenia, Afryka

18 lutego 2005

Cztery miesiące wcześniej

Więc gdzie mamy ich ulokować? - spytała Gina.

- Namioty? - Molly zanurzyła we wrzątku pierwszy ze szpitalnych nocników, które przyniosła do wyparzenia.

- Mol, wcale mnie nie słuchasz. - Gina zrobiła to samo z następnym, starając się nie poparzyć palców przy wyjmowaniu go z garnka. - Nie chodzi o namioty. Nie będzie żadnych namiotów, za to zjedzie tu cały autobus wolontariuszy.

Molly zatrzymała się, jednocześnie odsuwając nadgarstkiem ze spoconej twarzy kosmyk niesfornych rudawych włosów.

- Ma tu przyjechać cały autobus wolontariuszy? To wspaniale!

- Większość posiedzi tu tylko kilka dni. Tylko dwóch zostaje na stałe - poinformowała ją Gina.

Znowu. Gina kochała czule Molly, ale kiedy jej współlokatorka z namiotu skupiła się na czymś istotnym, trudno było oderwać ją od tego zajęcia.

W tym wypadku Molly absorbowwały trzynastoletnie dziewczyny, które trafiły do szpitala z zagrażającą ich życiu infekcją.

Będą miały szczęście - jak powiedziała im ze swoim okropnym niemieckim akcentem siostra Maria - Margarita - jeśli choć jedna przeżyje nadchodzącą noc.

- Po moim trupie - mruknęła na to Molly i zabrała się do sterylizowania wszystkiego, co tylko mogło być potrzebne dla najnowszych pacjentek.

- I kiedy przyjeżdża ten autobus? - pytała teraz Ginę.

- Za kilka godzin. Cholera jasna! - zaklęła, bo z rozpędu wsadziła palce do garnka z wrzątkiem.

- Cukier! - oznajmiła Molly, rzucając Ginie ostrzegawcze spojrzenie, które znaczyło: „Uwaga, robot na godzinie piątej!”.

Przebywające w obozie zakonnice można było podzielić na dwie kategorie. Jedne były ludzkie, śmiały się, śpiewały i życzliwie odnosiły się do rozmaitych wieśniaków oraz przyjeżdżających tu do pracy wolontariuszy; te zawsze dostrzegały jasne strony życia. Drugie Molly ochrzciła mianem „robotów”. Te przez cały czas bacznie obserwowały zgromadzenie w poszukiwaniu najmniejszego śladu

grzechu i wszystko, co odbiegało od absolutnej doskonałości, budziło ich dezaprobatę. Dla robotów, jak powiedziała Ginie Molly, problem stanowiła zbyt pełna szklanka. Przecież może się rozlać, nie rozumiesz?!

I właśnie tego typu zakonnica spoglądała teraz na nie, marszcząc brwi.

Pewnie dlatego, że Gina i Molly odważyły się podwinąć rękawy, ponieważ w kuchni było piekielnie gorąco.

- Moim zdaniem powinnyśmy się zatroszczyć, żeby tych dwóch nowych dostało wygodne kwatery - powiedziała Gina, kiedy razem z Molly dźwigały ciężki gar, żeby wylać jego zawartość do zlewu. Wolontariusze i tak zmieniali się wyjątkowo często, a jeśli w dodatku warunki panujące w obozie okazały się bardziej prymitywne niż zwykle... - Chyba nie chcemy, żeby siostra Grace i Leslie Pollard zmieniły zamiary i uciekły stąd następnym transportem.

- Siostra może spać na pryczy obok pozostałych zakonnice - zauważyła Molly, kiedy wracały do szpitalnego namiotu. Wzięła maskę chirurgiczną ze sterty leżącej przy wejściu i zasłoniła twarz.

Gina postąpiła tak samo, odruchowo sięgając po koński ogon, żeby przeciągnąć go ponad gumką - tyle tylko że go już nie było. Palce napotkały fale szokująco krótkich kędziorków. Boże, Max dostałby szału, gdyby ją teraz zobaczył. Co prawda nigdy nie przyznał się do tego głośno, ale uwielbiał jej długie włosy.

Ale to, co uwielbiał, nie miało już żadnego znaczenia. Ten człowiek raz na zawsze zniknął z jej życia. Jeśli przez ponad rok, odkąd Gina wyjechała z Waszyngtonu, nie zaczął jej szukać, znaczyło to, że nigdy nie zacznie.

Za nic nie chciała być jak Molly, która czekała i czekała, aż tak zwany przyjaciel o nazwisku Jones w jakiś cudowny sposób pojawi się na tym odludziu. Wprawdzie Molly zaklinała się na wszystkie świętości, że już o nim nie myśli, ale Gina i tak wiedziała lepiej.

To zdarzało się przede wszystkim wieczorami, kiedy skończyły pracę. Molly udawała, że czyta książkę, ale po jakimś czasie zaczynała patrzeć przed siebie nieobecny wzrokiem i...

Już minęły prawie trzy lata, odkąd Molly ostatni raz widziała tego drania. Przez ten czas nie zadał sobie nawet trudu, żeby wysłać choćby jedną kartkę.

Oczywiście kto jak kto, ale ona coś wiedziała na ten temat. Kartki od Maksa również znajdowały się w teczce z napisem „brak”.

Ale usychać z tęsknoty przez trzy lata to naprawdę śmieszne. Nawet jeden rok był wystarczająco okropny; Gina obchodziła tę szczególnie ponurą rocznicę kilka miesięcy temu. To był ostateczny moment, żeby przestać się łudzić i czekać na coś, co nigdy się nie wydarzy. Trzeba wreszcie skończyć z gdybaniem i zacząć działać.

Może akurat jeden z mężczyzn, którzy mieli przyjechać dziś po południu, okaże się jej księciem z bajki? Może zakocha się od pierwszego wejrzenia, padnie jej do stóp i zaofiaruje się zostać w obozie tak długo, jak długo ona tu będzie?

To wcale nie było niemożliwe. Cuda czasami się zdarzają.

Oczywiście jeśli okaże się, że wysiadająca z autobusu ekipa to same dziadki albo mnisi, albo - co najbardziej prawdopodobne - podstarzali mnisi, to może trzeba będzie rozważyć ponownie propozycję Paula Kibathi Jimmo, który nie do końca żartował, oferując ojcu Benowi cztery ciężarne kozy w zamian za rękę Giny.

Paul był nieprzystojnie przystojnym, porządnie wykształconym i niesamowicie uprzejmym młodym człowiekiem, który wygrał stypendium na Purdue University w Indianie. Musiał wrócić do Kenii w połowie pierwszego roku studiów, kiedy zmarł jego starszy brat - prawdopodobnie na AIDS, choć nikt nie mówił o tym głośno - żeby poprowadzić rodzinną farmę.

Ta farma zresztą znajdowała się sto kilometrów dalej, na zupełnym pustkowiu. Gina nie wiedziała tego na pewno, ale była gotowa założyć się o całą gotówkę, którą miała na koncie, plus dom rodziców na Long Island, że w kuchni Paula brakowało mikrofalówki.

Całkiem możliwe, że również dachu.

To zupełnie jej nie pasowało, nawet jeśli nie brała pod uwagę drobnego faktu, że Paul był już żonaty z kenijską dziewczyną o imieniu Ruth.

- Ta druga, jak tam jej na imię, może mieszkać w naszym namiocie - zaproponowała Molly, mierząc puls Winnie i unosząc prześcieradło, że by sprawdzić opatrunek na paskudzącej się ranie.

Gina musiała przymknąć powieki; modliła się w duchu, żeby... Nie, na szczęście krew nie przesiąkała przez bandaż. Dzięki Bogu. Nie wyglądało to tak dobrze godzinę temu, kiedy pomagała siostrze Maurze zmienić opatrunek. Mimo wszystko w tym miejscu z całego

serca należało dziękować Bogu nawet za najmniejsze błogosławieństwo.

Molly podniosła oczy i spojrzała na Ginę.

- Jak ona się nazywa?

- Leslie Pollard - odparła Gina. - Jest Angielką. Pewnie ma z osiemdziesiąt lat i spodziewa się, że zaraz po przyjeździe dostanie herbatę.

Ale na pewno nie tego, że będzie musiała spać w śpiworze na przegniłej podłodze namiotu.

- Nawet jeśli znajdziemy gdzieś jeszcze jedno rozkładane łóżko, to i tak nie uda się nam...

- Możemy spać we dwie na jednej pryczy. - Molly przesunęła się w stronę Narari, podczas gdy Gina pomagała malej Patrice pociągnąć łyk wody. - Ty i ja. I tak któraś z nas będzie musiała siedzieć w nocy przy tych dziewczynkach. Chociaż... Jesteś pewna, że Leslie nie jest mężczyzną?

Boże, co za pomysł! Ale przecież imię Leslie można nadać zarówno chłopcu, jak i dziewczynce.

- Na liście AAI figurowała jako pani Leslie Pollard - powiedziała Gina. - Zakładając, że się nie pomylili...

- A to wcale nie jest wykluczone - zauważyła z przekąsem Molly. Wilgotną ręką pogładziła spocone czoło Narari. - Ciii, kochanie... Leż spokojnie. Jesteś tu wśród przyjaciół...

Ale Narari potwornie cierpiała. Jej rana znów się otworzyła i wszędzie było pełno krwi.

- Sostro! - zawołała Molly i po chwili zakonnica wbiegła do namiotu.

Solidna porcja morfiny złagodziła ból dziewczynce. Gina musiała wyjść na świeże powietrze, podczas gdy Molly pomagała siostrze Marii - Margaricie zmienić bandaż.

Na zewnątrz wcale nie było mniej gorąco czy duszno. Mimo wszystko po ciasnoci namiotu przestrzeń przynosiła złudzenie ulgi.

Gina usiadła na ławce na prawo od wejścia, przygotowanej prawdopodobnie z myślą o osłabłych pacjentach.

Jej matka, pielęgniarka na oddziale urazowym, prawdopodobnie uśmiełaby się, gdyby ją teraz zobaczyła. Ale z pewnością by ją przytuliła i powiedziała to co zawsze: „Nie każdy nadaje się do pracy w izbie przyjęć”.

Co ona tu właściwie robi? Gina zastanawiała się nad tym każdego dnia.

Nie upłynęło nawet kilka minut, kiedy skrzypnęły drzwi i Molly wyszła na zewnątrz.

- Dobrze się czujesz?

- W porównaniu z Narari... - Gina zaśmiała się smutno i otarła łzy wierzchem dłoni. Nawet nie zauważyła, kiedy zaczęła płakać. - Taak... To znaczy nie. - Pokręciła głową i spojrzała na Molly. - Co za rodzice mogą zrobić coś takiego własnemu dziecku?

- W zeszłym roku o tej porze było ich dziewięć - szepnęła Molly. - Oczywiście nie wszystkie aż tak chorowały... Przynajmniej nie tak jak te dziewczynki. Nóż, którego używano w tym roku, musiał być wyjątkowo brudny.

Pieszczotliwie zwichrzyła króciutkie włosy Giny.

- Może pójdziesz i posprzątasz nasz namiot? Przy okazji wyświadczyć mi przysługę i wepchnij do mojej skrzynki zdjęcia tych przystojniaczków z kalendarza, dobrze? Nie sądzę, żeby lady Leslie doceniła wdzięki naszego lutowego pana tak jak ty albo ja.

Gina wybuchnęła śmiechem. Molly zawsze potrafiła ją rozbawić.

- Wiesz, kiedy wreszcie dorosnę, chciałabym być podobna do ciebie - powiedziała całkiem serio.

- Och, a jeśli już mówimy o mojej skrzynce, to pogrzeb tam i znajdź resztkę earl greya. Może jeśli wystąpimy ze stosownym powitaniem, to nasza dama zostanie tu dłużej niż miesiąc.

- Jesteś pewna, że nie potrzebujesz przerwy? - spytała Gina na odchodnym. - Bo ja naprawdę...

- Czuję się świetnie - skłamała Molly. - Poza tym ty o wiele lepiej potrafisz sprzątać. - Mówiąc to, otworzyła drzwi. - A jak już skończysz, to dla naszego dystyngowanego gościa możesz upiec parę ciasteczek.

Gina znów się roześmiała. Czekolada kończyła im się na ogół czterdzieści osiem godzin po nadejściu paczki z domu. Jednak tym razem zostało jej parę sztuk fig.

- Chyba ci się to przyśniło! - zawołała za Molly.

- Śni mi się każdej nocy! - odkrzyknęła przyjaciółka. - Bez wyjątku.

Ale Gina wiedziała, że to nieprawda. Molly czasami wołała coś przez sen, ale nie o czekoladzie. No chyba że w jej rodzinnym stanie Iowa sprzedawano czekoladę o nazwie Jones.

Ostatnio Gina zaczęła modlić się nocami: „Boże, nie pozwól, żebym przez całe lata marzyła o Maksie...”.

Oczywiście zaraz po wyjeździe z Waszyngtonu myślała o nim prawie bez przerwy. Teraz zdarzało się jej to trzy, najwyżej cztery razy. Na godzinę. Taak... W tym tempie skończy z nim raz na zawsze gdzieś w okolicach dziewięćdziesiątych urodzin.

Rzecz jasna, to wszystko mogło ulec zmianie w ciągu zaledwie kilku godzin. Może książkę w bajki naprawdę znajduje się w tym autobusie... Gina tylko rzuci na niego okiem i zakocha się jak wariatka.

I za dwa miesiące z trudem będzie sobie mogła przypomnieć, jak brzmiało nazwisko Maksa.

Taki scenariusz nie wydawał się prawdopodobny, choć z drugiej strony nie był całkiem niemożliwy. Podczas pobytu tutaj Gina uwierzyła w jedno: czasami cuda naprawdę się zdarzają.

Ona jednak nie miała zamiaru siedzieć z założonymi rękoma i czekać na cud. Jeśli trzeba będzie, to wyjedzie stąd i sama go poszuka.

Postanowiła, że zdobędzie szczęście i nada swojemu życiu sens. Do cholery, nawet jeśli by to miało ją zabić.

Szpital Sarasota, Sarasota, Floryda

1 sierpnia 2003

Dwadzieścia dwa miesiące temu

Max zastanawiał się, czy nie umrzeć.

To pewnie nawet w przybliżeniu by tak nie bolało.

Problem w tym, że kiedy tylko otwierał oczy, nawet odrobinę, widział, jak Gina spogląda na niego z niepokojem.

Całkiem możliwe, że w czasie mglistej wieczności wypełnionej bólem, jaka minęła od czasu, gdy przywieziono go tu z sali operacyjnej, Gina nawet na moment nie odeszła od jego łóżka.

Jeśli to nie był sen.

Lecz kiedy zebrał siły, żeby otworzyć oczy, słyszał jej głos. Słyszał, jak do niego mówi.

- Zostań ze mną, Max. Nie odchodź. Jesteś mi potrzebny...

Czasami milczała. Niekiedy tylko płakała. Cichutko, tak żeby nie mógł słyszeć.

Ale on i tak słyszał. Dźwięk jej płaczu przedzierał się przez otaczającą go mgłę o wiele skuteczniej niż cokolwiek innego.

A może to wcale nie był sen. Może tak wyglądało piekło.

Tyle tylko że czasami czuł, jak ona bierze go za rękę; czuł na dłoni miękkość jej warg, a pod palcami gładkość policzka. W piekle trudno było się spodziewać takich wrażeń. Nie mógł jednak wydobyć z siebie głosu, żeby jej o tym wszystkim powiedzieć; potrzebował całych sił, żeby oddychać, żeby zmuszać serce do bicia.

I zamiast umierać, żył. Nawet jeśli to oznaczało, że będzie zmuszony raz jeszcze zdefiniować pojęcie cierpienia. Bo ból, którego doświadczał wcześniej, zanim został postrzelony w pierś, w niczym nie przypominał tego, z którym miał do czynienia teraz.

Ale nawet ta tortura zdawała się niczym, kiedy słuchał łkania Giny.

A potem, pewnego wieczoru po prostu się obudził. Otworzył szeroko oczy. I mógł mówić.

- Gina...

Mówił całkiem głośno, a przecież wcale nie chciał jej obudzić.

Ale obudził. Gina spała, podwinąwszy swoje piękne długie nogi, skulona na stojącym obok łóżka fotelu. Teraz usiadła wyprostowana, odgarnęła włosy z twarzy i wyciągnęła rękę, żeby nacisnąć guzik wzywający pielęgniarkę.

- Max!

Wiedział, że na zawsze zapamięta tę chwilę, nawet jeśli będzie żył pięćset lat. Ten wyraz jej twarzy. Dosłownie promieniała wewnętrznym blaskiem, choć w kącikach oczu ciągle skrzyły się łzy.

A potem widział już tylko radość - mieszankę miłości, nadziei i niezmaconego niczym szczęścia. Prawdę mówiąc, ten widok przestraszył go jak diabli.

Jak to możliwe, żeby ktoś był aż tak szczęśliwy? I w dodatku on to sprawił, po prostu wymawiając jej imię.

- O mój Boże - łkała. - O mój Boże! Błagam, nie zasypiaj znowu. Nie...

- Pić - wyszeptał, ale ona pobiegła już do drzwi.

- Diana, Diana, obudził się! - Płakała rzewnie, tak była szczęśliwa.

Zwykle zalewała się łzami, kiedy coś poszło nie po jej myśli, tak jak wtedy w jego samochodzie... Kiedy to było? Chryste, czy to zdarzyło się zeszłej nocy?

Gina była potwornie zmartwiona, a on znów popełnił ten błąd, że poszedł do jej pokoju w motelu. Żeby z nią pogadać. Tylko pogadać. Ale ona, kiedy tylko przestała płakać, zaczęła go całować, a potem on pocałował ją, a potem...

O Boże.

Gdzie był i co robił?

Zasnął twardo zaraz po tym, jak skończyli się kochać, i po raz pierwszy od wielu lat spał naprawdę znakomicie. Doskonale to pamiętał.

Tyle tylko że obudził się w łóżku Giny. W jedynym miejscu, gdzie - jak sobie przysięgał - nigdy się nie znajdzie. To także pamiętał.

Mimo wszystko pragnął tam zostać. Na zawsze.

Oczywiście uciekł stamtąd jak najszybciej, raniąc poważnie uczucia Giny i...

Chwileczkę...

Być może kręciło mu się w głowie, a ból nie ustępował nawet na chwilę i przez to widział świat niezupełnie wyraźnie, lecz zdołał zauważyć mnóstwo kubeczków po kawie i puszek po napojach rozrzuconych po pokoju. Kilka bukietów nie pierwszej świeżości zajmowało każdy skrawek wolnego miejsca, a obok nich piętrzyły się

stosy książek i czasopism. Nie wspominając o tym, że najwyraźniej Gina była po imieniu z zespołem pielęgniarek...

Półprzytomny czy nie, Max nie potrzebował wszechstronnego wykształcenia ani lat doświadczenia nabytego w FBI, żeby się zorientować, że leży w łóżku dłużej niż dzień czy dwa.

- Jak długo...? - wydusił z siebie, kiedy Gina odgarnęła włosy z jego twarzy.

Czuł na czole chłodny dotyk jej palców.

Wiedziała, co miał na myśli.

- Kilka tygodni - odparła. - Przykro mi, ale nie mogę dać ci nic do picia, dopóki nie przyjdzie pielęgniarka.

- Tygodni?! Niemożliwe.

- Tak dobrze się czułeś zaraz po operacji. - Gina ścisnęła jego dłoń w swojej. - Ale potem, po kilku dniach temperatura ci skoczyła i... O Boże, Max, byłeś bardzo chory! Lekarze powiedzieli, żebym się przygotowała na najgorsze!

Tygodnie. Siedziała tu z nim od tygodni.

- Myślałem... - wykrztusił z trudem. - Myślałem, że pojechałaś do... do Kenii.

- Zadzwoiłam do AAI i przełożyłam wyjazd.

„Przełożenie” nie było tak dobre jak „odwołanie”. Myśl o Ginie, która jedzie do Kenii, doprowadzała Maksa do białej gorączki. Tak samo jak myśl, że ma jechać dokądkolwiek, gdzie jest mniej bezpiecznie niż w Islandii. Tamtejsi mieszkańcy nie zawracali sobie głowy zamykaniem drzwi na noc.

- Do kiedy?

- Bezterminowo. - Ucałowała jego dłoń i przyłożyła do rozpalonego policzka. - Nie martw się. Zostanę, dopóki będziesz mnie chciał.

- Chcę cię - wyszeptał, zanim zdołał się powstrzymać.

To były dwa najbardziej szczerze słowa, jakie kiedykolwiek do niej powiedział. Wymknęły mu się, bo znajdował się pod wpływem środków przeciwbólowych lub sprawiła to radosna wiadomość, że znowu udało mu się oszukać śmierć. A może to blask promieniujący z twarzy Giny podziałał na niego jak serum prawdy?

Szczęście mu dopisało, ponieważ pielęgniarka wybrała sobie ten właśnie moment, żeby wejść do pokoju. Tryskała energią i od progu

wołała radośnie „Cześć”. Gina odwróciła się, by ją powitać, ale zaraz znowu spojrzała na Maksa.

- Przepraszam cię, kochanie, co mówiłeś?

Być może Max pozwolił sobie na chwilę słabości albo może był to skutek bólu i zamroczenia lekami, lecz nigdy nie udałoby mu się zrobić takiej kariery w swoim zawodzie, gdyby popełnił dwa razy ten sam błąd.

- Chcę wody - powiedział i Gina za zgodą pielęgniarki przytknęła mu do ust chłodny brzeg kubka.

Kenia, Afryka

18 Mego 2005

Cztery miesiące wcześniej

Między mężczyznami, którzy wysypali się z autobusu, rzeczywiście znajdował się jeden wyjątkowo atrakcyjny egzemplarz.

Miał blond włosy, uroczy niemiecki akcent i doprawdy zachwycające kolana, ale kiedy Gina podeszła bliżej, zrozumiała, że to szef grupy wolontariuszy, którzy mieli zostać w obozie jedynie przez kilka dni.

Stało się jasne, że seksowny blondyn to ojciec Dieter; a to z kolei oznaczało, iż szanse Giny na to, że rozkocha go w sobie od pierwszego spojrzenia, mieszczą się w przedziale od nikłych do żadnych, ze wskazaniem na to drugie.

Kolejną niewiarygodną informacją było to, że autobus okazał się prawdziwym autobusem, a nie dziewięćosobowym rozklekotanym volkswagenem vanem, który wzbijał tumany kurzu, podskakując na wybojach tak zwanych dróg prowadzących od wsi do wsi.

W grupie ojca Dietera znajdowało się dwudziestu czterech wolontariuszy - o dziesięciu więcej niż na liście, którą widziała Gina. Dwudziestu czterech facetów, którzy nie przywieźli z sobą namiotów ani bagaży, za to wszyscy byli księżmi i w związku z tym obowiązywał ich celibat. Brr!

W dodatku większość z nich została dotknięta miejscową wersją zemsty Montezumy i rzygała jak stado kotów.

Ojciec Ben i siostra Maria - Margarita biegali w panice - o cholera! - w poszukiwaniu chętnych do kopania kolejnych latryn, a także starali się wyselekcjonować tych gości, którzy najpilniej potrzebowali pomocy, żeby przenieść ich w cień.

Nie chcieli zabierać ich prosto do szpitala, dopóki nie upewnią się, co spowodowało chorobę, na wypadek gdyby to świństwo okazało się zaraźliwe.

A jeśli to coś zaraźliwego, to niech Bóg ma ich wszystkich w opiece!

Doprawdy, w AAI zawsze można liczyć, że przyjazd autobusu z wolontariuszami przysporzy roboty miejscowej załodze.

W zamieszaniu Gina dostrzegła Paula Jimmo. Musiał jechać konno jako ochrona autobusu, bo groźnie wyglądającą strzelbę

przewiesił przez plecy, kiedy pomagał siostrze Helenie uprzątnąć kantynę i zamienić ją w tymczasową kwaterę.

Machnął do niej ręką i uśmiechnął się szeroko - białe zęby błysnęły w jego stanowczo zbyt przystojnej twarzy - usiłując ją zatrzymać. Jednak w tym momencie Gina miała inne zadanie: musiała w tym chaosie odnaleźć jej wysokość Leslie Pollard i upewnić się, że nie ucieknie z krzykiem do Nairobi, aby złapać tam najbliższy samolot lecący na Heathrow.

Tylko że z wyjątkiem nowej zakonnicy, siostry Gracji, wśród przybyłych nie widać było żadnej kobiety.

Gina podeszła do ojca Dietera, bo wyglądał na kogoś, kto wszystko wie.

- Przepraszam... - zaczęła. A święty człowiek - z bliska o wiele mniej przystojny ze względu na mocną opalenizną - spojrzał na nią i z wymiotował cały obiad prosto na jej stopy.

- O Chryste, chyba mamy mały problem - odezwał się za jej plecami jakiś głos z angielskim akcentem.

Niestety Gina nie mogła odwrócić się i sprawdzić, kto to, ponieważ ksiądz zwinął się w kłębek i zaczął z wolna się przewracać, jakby chciał ucałować piaszczystą ziemię, zbyt chory, by czuć zawstydzenie - co akurat w tej sytuacji nie było takie złe. O wiele lepiej się stało, że stracił przytomność, niżby miał zacząć przeproszać albo, co gorsza, próbować po sobie posprzątać.

Siostra Maria - Margarita pospieszyła, żeby zabrać księdza - dzięki Ci, Boże - i zostawiła Ginę, żeby opłukała nogi pod strumieniem wody.

Psiakrew.

- Obawiam się, że ojciec Dieter nie spożywał gulaszu z kozła, który obwiniamy o spowodowanie zatrucia - mówił dalej głos żywcem wyjęty z BBC Masterpiece Theatre.

Oczywiście w najmniejszym stopniu nie przypominał głosu kobiety.

Gina odwróciła się i w szklach okularów przeciwsłonecznych ujrzała własną twarz, na której malowała się konsternacja.

- Proszę, niech pan nie mówi, że nazywa się Leslie Pollard - wykrztusiła błagalnie.

Ale oczywiście to był właśnie on, a ona stała przed nim z wymiocinami między palcami stóp. Ciekawe, czy dziś spotka ją jeszcze coś gorszego?

Westchnął ciężko.

- A co, znowu na liście występowałem jako Miss?

- Nie - odparła. - Jako Mrs.

- Ach. A czy tak jest... lepiej? - podniósł przyciemniane szkła przyczepiane do normalnych okularów i zamrugał, spoglądając na nią zza zwykłych soczewek. Jego oczy miały nieokreślony brązowy kolor, a twarz, dokładnie pokryta filtrem przeciwsłonecznym, była miejscami wręcz biała. Najwyraźniej Leslie należał do wolontariuszy typu B.

- Jestem Amerykanką. - Gina wyciągnęła na powitanie rękę. - O tak, lepiej. Choć w tym wypadku dość nieznacznie. Nazywam się Gina Vitagliano i pochodzę z Nowego Jorku.

To było wszystko, co zwykle musiała powiedzieć.

Leslie Pollard podał jej bezwładną i wilgotną dłoń. Taak... Zdecydowanie reprezentował typ B.

Właściwie od razu mogła się tego domyślić, patrząc na jego koszulę w paskudną kratę, która wisiała na wychudzonej, typowo brytyjskiej postaci. Tak, taki mężczyzna rzadko opuszczał swoje londyńskie mieszkanie ubrany inaczej niż w tweedową marynarkę, spodnie i krawat, na którym widniały plamy po herbacie wypitej w poprzednim tygodniu.

Był zdecydowanie wyższy od niej. Trudno te było zauważyć na pierwszy rzut oka, gdyż - tradycyjnie dla typu B - straszliwie się garbił. Spod przyklapniętego kapelusza wysuwały się strąki siwiejących brudnych włosów. Trudno powiedzieć, czy ten brud był efektem długiej jazdy autobusem, czy skutkiem niedostatecznej dbałości o higienę, co stanowiło oznakę typowej dla typu B przypadłości - chronicznej depresji.

Gina przypuszczała, że raczej chodzi o to drugie.

Wolontariusze typu B przyjeżdżali do nich zwykle po jakiejś okropnej tragedii osobistej. Podobnie jak ci spod znaku A, C czy D chcieli zacząć wszystko od początku, szukać sensu życia i „poczuć różnicę”. W przeciwieństwie do pozostałych przez całe dotychczasowe życie nie nocowali ani razu na kempingu. O tak, mieli

jak najlepsze chęci, lecz byli źle wyekwipowani i całkiem nieprzygotowani do tak mało luksusowego stylu życia.

Zwykle w ciągu pierwszego tygodnia pytali, gdzie znajduje się najbliższa pralnia. Czasami zakonnice - te ludzkie zakonnice - zaczynały nawet robić zakłady. Siostra, która podała datę najbardziej zbliżoną do dnia, kiedy typ B rezygnował z misji, zgarniała całą pulę.

Ten też tu długo nie zagrzeje miejsca, pomyślała Gina.

Ciekawe, że mimo siwych pasm we włosach facet wydawał się całkiem młody. W ciągu tych dwóch albo trzech tygodni, jakie tutaj wytrzyma, naprawdę może coś osiągnąć. Na przykład pomoże ojcu Benowi wykopać nową studnię.

Ale zaraz potem Leslie Pollard zarzucił sobie na ramię worek z rzeczami i podniósł z ziemi laskę, która leżała obok. Wspaniale. Ta laska wyglądała całkiem jak ta, której Max używał w centrum rehabilitacji.

Znakomicie. Wolontariusz, który nie tylko nie potrafi poruszać się bez wsparcia, ale dodatkowo będzie jej bez przerwy przypominał człowieka, o którym usilnie starała się zapomnieć.

Gina zmusiła się do uśmiechu.

- No cóż, serdecznie witamy. Czy zechce mi pan wybaczyć na moment, ale muszę pójść po wodę, żeby... no rozumie pan, zmyć z siebie te wymiociny?

W odpowiedzi uśmiechnął się niewyraźnie. Mimo wszystko Gina czuła się wdzięczna nawet za małe cuda. Czasami reprezentanci typu B okazywali się w ogóle pozbawieni poczucia humoru, więc nawet słaby uśmiech był lepszy niż nic.

- Prawdę mówiąc, gdyby tylko zechciała mi pani wskazać drogę do mojego namiotu... - powiedział uprzejmie.

- Ależ tak - odparła Gina. - Właśnie o tym chciałam pomówić. Właśnie czekamy na transport z namiotami i chwilowo, no cóż, obawiam się, że będziemy zmuszeni mieszkać wspólnie w kwaterach.

Kiwnął głową, ledwie jej słuchając, bo zajęty był rozglądaniem się dookoła.

- Oczywiście. Proszę mi wierzyć, po takiej podróży jestem gotów spać gdziekolwiek.

Gina uwierzyłaby mu bez zastrzeżeń, gdyż widziała, co się dzieje. Mimo wszystko zdobyła się na kolejny uśmiech.

- Dobrze. Zrobiłam trochę miejsca na pańskie rzeczy w namiocie, w którym mieszkam z moją przyjaciółką Molly Anderson...

- Słucham?!

I nagle Leslie Pollard całą uwagę skupił wyłącznie na niej, Jego spojrzenie momentalnie stało się przenikliwe, co wzbudziło w Ginie pewien niepokój. Cofnęła się o krok, jednocześnie zastanawiając się, że może źle go oceniła i że raczej reprezentował typ A, a nie B.

Zamrugął gwałtownie, jakby chciał udawać Hugh Granta.

- Przepraszam? Przygotowała mi pani miejsce w pani namiocie?! To nie wchodzi w rachubę! Moim zdaniem takie rzeczy absolutnie nie powinny się zdarzać. Czy w AIDS Awareness International nie obowiązują żadne reguły dotyczące zasad zachowania i zamieszkania? Czy bez przerwy zaprasza pani do namiotu obcych, to znaczy obcych mężczyzn?!

Bez wątpienia mówił całkiem serio. Najwyraźniej Leslie Pollard był jeszcze bardziej pruderyjny niż siostra Podwójne M.

- Gdyby pozwolił mi pan skończyć - Gina zirytowała się nieco - dowiedziałby się pan, że zarówno ja, jak i moja współlokatorka przez kilka następnych dni prawie cały czas będziemy zajęte w szpitalu. Nawet bez najazdu stada rzygaczy mamy tu kilka pacjentek - małych dziewczynek - które wymagają opieki na okrągło, więc nocami będzie pan miał cały namiot do dyspozycji. A jeśli w ciągu dnia będą panu potrzebne pańskie rzeczy, wystarczy zapukać, zanim pan wejdzie. Opróżniłam dla pana jedną ze skrzynek... W zamku jest klucz. Nie jest bardzo duża, ale lepiej wsadzić tam wszystkie wartościowe rzeczy i dobrze ich pilnować. Jedna z siostr, Lea, jest kleptomanką.

Leslie zamrugął ze zdumienia.

- Żartowałam - zapewniła go Gina. Najwyraźniej źle oceniła poczucie humoru gościa. - Nie ma tu żadnej Lei i... Zresztą, to nieważne. Trzeci namiot po prawej stronie. Na stoliku stoi puszka z herbatą, a obok niej leży kartka „Witamy serdecznie, panno Pollard”. Proszę rozgościć się i czuć jak u siebie.

Z tymi słowami oddaliła się, żeby poszukać wreszcie wody.

Leslie Pollard stał z całym swoim dobytkiem w drzwiach namiotu.

Na stole rzeczywiście była puszka earl greya, o której wspominała ta, no jak jej na imię... Gina. Obok stał czajnik, puszka z paliwem i najwyraźniej napoczęty pojemnik z figami. Na ten widok

zaburczało mu w żołądku. Oczywiście ostatnio żołądek często burczał mu z głodu, bo Leslie starał się intensywnie schudnąć.

Znalazł również karteczkę, o której mówiła tamta dziewczyna. „Witamy serdecznie w naszym skromnym domu, Miss Pollard”.

Rzeczywiście, kiedy przyjrzał się z zewnątrz rzędowi namiotów, doszedł do wniosku, że w życiu nie widział żadnego równie sfatygowanego. Płótno cerowano już tyle razy, że więcej było lat niż oryginalnego materiału, a konstrukcja przypominała pochylonego ze starości muła. Stary i ohydny - w dodatku pewnie zawodny podczas burzy - w zwyczajne dni spełniał jeszcze swoje zadanie.

Jeśli w tym obozie kiedykolwiek zdarzały się zwyczajne dni... W świętym schronieniu apostołów dobra, opętanych misją naprawiania tego wyjątkowo gównianego kawałka świata, który zresztą wcale nie zasługiwał na zbawienie.

Bez wątpienia w tej części Afryki przypadało na metr kwadratowy więcej księży i zakonnic niż gdziekolwiek indziej, dokąd zdarzyło mu się podróżować. Jeśli ktoś pragnął odpuszczenia grzechów, powinien koniecznie się tu wybrać.

A mimo to Gina o ciemnobrązowych włosach i zabójczym ciele naprawdę sądziła, że... Że co? Że nikt się tym nie przejmie? A może nikt by nie zauważył, że wolontariusze nagle mają koedukacyjne sypialnie?

Zgodnie z regulaminem AIDS Awareness International - w biurze w Nairobi wręczono mu okazałych rozmiarów broszurkę - niezonatym mężczyznom i niezamężnym kobietom nie było wolno „bratać się na osobności”. Obowiązywał również zakaz wspólnego oddalania się poza teren obozu. Tymczasowi pracownicy byli zachęcani do podróżowania i spędzania wolnego czasu w grupach, a trójka stanowiła tu magiczną liczbę.

Autorzy broszurki twierdzili, że regulamin został stworzony w celu ochrony pracowników, a także by dawać oczywisty przykład poszanowania przez AIDS Awareness International rozmaitych miejscowych zwyczajów i kultur ludów Kenii.

I jak się do tego miało dzielenie namiotu z dwiema atrakcyjnymi dziewczynami?

Nijak.

Pełen niedowierzania poszedł więc porozmawiać z groźną zakonnica o twarzy nazistki. Pomyślał, że najlepiej będzie dowiedzieć się u źródła, dokąd ma pójść i gdzie się podziać dzisiejszej nocy.

Jednak zarząd obozu najwyraźniej dostał specjalne zezwolenie na rozpieszczanie nowo przybyłych chłoptasiów, bo siostra Brunhilda także zgodziła się, że czasowe zamieszkanie w żeńskim namiocie, podczas gdy obie dziewczyny nocują w szpitalu - gdzie, na podłodze? - będzie dobrym rozwiązaniem problemu przeludnienia. Oczywiście dała mu jasno do zrozumienia, że na wszystko będzie miała baczenie, a sądząc po wyglądzie, należała do osób, które śpią z otwartymi oczyma.

Jeśli w ogóle zwracała sobie głowę czymś takim jak sen.

Tak więc był tu, gdzie był.

Położył worek i laskę na łóżku najbliższym drzwi, tym, do którego metalowej ramy przymocowano pustą skrzynkę.

Dziewczyny przyszyły kawałki jaskrawego materiału do dachu namiotu; gdzieniegdzie zwieszał się aż do podłogi, dzięki czemu to miejsce wyglądało nieco egzotycznie zamiast tylko żałośnie i nędznie. Na obu pryczach leżały ufarbowane na kolorowo kapy, poza tym w namiocie znajdował się zrobiony domowym sposobem stoliczek i para krzesel, a także przeladowana do niemożliwości półka na książki zmontowana z kilku starych skrzynek.

Wszystkie kawałki wolnej przestrzeni wypełnione były świeczkami, rzeźbami i rozmaitej maści bibelotami, a także fotografiami, rysunkami i małymi kolekcjami, z których każda miała własną historię, dzięki czemu ten wypłowiwały namiot w zapomnianym przez Boga zakątku świata zmienił się w najbardziej przytulne miejsce, w jakim przebywał od wielu lat.

Zauważył, że na stole leżała jeszcze inna kartka. „Proszę pić tylko wodę z butelki”. To zdanie podkreślone zostało trzykrotnie i zakończone sześcioma wykrzyknikami.

Przypomniało mu to o rzygających jak koty księżach. Pomyślał, że dobrze będzie, jeśli stąd wyjdzie i zaproponuje swoją pomoc przy obsłudze chorych. Dzięki temu będzie mógł oprzeć się pokusie przeszukania prywatnych dokumentów, listów czy zapisków. Przysięgał sobie przecież, że tego nie robi. A przynajmniej, że nie da się złapać.

Poza tym kiedy mieszkańcy obozu położą się spać, szanse na to, że ktoś wejdzie tu i zastanie go przy grzebaniu w cudzych rzeczach, jeszcze zmaleją.

Nawiasem mówiąc, wyglądało na to, że wszystkie interesujące przedmioty zostały bezpiecznie zamknięte w jednej z większych skrzynek, które nawet początkujący włamywacz mógłby otworzyć w ciągu sekundy. Pospiesznie odsunął zamek błyskawiczny w swoim worku, wrzucił do pustej skrzynki ubranie i zatrzasnął wieko.

Kosztowności muszą zostać schowane gdzie indziej. Zresztą nie było ich tak wiele. Puszki silver fox, teatralnego sprayu do włosów - nie do odzyskania tu, na końcu świata - powędrowały między płócienny dach namiotu a fałszywy sufit z kolorowego materiału. Zawiesił je wysoko na maszcie tak, żeby nie można było dostrzec ich z zewnątrz ani od środka. Paszport schował do kieszeni, tak samo jak resztkę pieniędzy.

Wyszedł z namiotu i zrobił już kilka kroków w stronę kantyny, kiedy przypomniał sobie o czymś i rzucił się z powrotem. Jezu Chryste! Co to za bezmyślna, głupia pomyłka! Co go opętało, do diabła, kiedy dotarł już tak daleko?

Nikt go nie widział. Dzięki Bogu.

Serce waliło mu jak młot, kiedy podnosił z pryczy laskę i opierając się na niej z całej siły, kuśtykał w stronę wyjścia.

Rozdział Trzeci
Lotnisko Dullesa
20 czerwca 2005
Dzień dzisiejszy

Jules wiózł Maksa na lotnisko. W radiu trwała właśnie jakaś niesamowicie ożywiona dyskusja na temat alternatywy dla kopalnych źródeł energii i to plus rytmiczne szuranie wycieraczek usuwających z przedniej szyby krople wieczornego deszczu skutecznie zniechęcało ich do mówienia czegokolwiek poza tym, co absolutnie niezbędne. Wreszcie Max odchrząknął.

- Dodzwoniłeś się do tego hotelu w Hamburgu?

Jules natychmiast ściszył radio.

- Tego, gdzie Gina...?

- Tak.

- Owszem. Nikt nie wchodził do jej pokoju - poinformował Jules.

- I tak długo, jak będzie pan płacił za pobyt...

- Mówiłem już, że będę.

- Tak jest, sir. Właśnie to im powiedziałem. Kierownik hotelu obiecał, że powiesi na drzwiach kartkę „Proszę nie przeszkadzać”. Pokój będzie wyglądał dokładnie tak jak wtedy, gdy go opuszczała.

Max skinął głową.

- Dobrze - mruknął i podkręcił radio.

Jules pochylił się, żeby znowu je ściszyć.

- Ale jej pokój nie jest miejscem przestępstwa - delikatnie zwrócił uwagę swojemu szefowi. - Ona nie była...

- Wiem - uciął dyskusję Max, ale Jules nie przestawał się dziwić.

- To przecież był zupełny przypadek - zauważył. - Mam na myśli śmierć Giny. To nie ma nic wspólnego z pańską osobą i nie może się pan obwiniać o to, co się stało. Po prostu Gina znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Max wyciągnął rękę i znów podkręcił radio głośniej.

- Jedź - polecił krótko.

Więc Jules jechał, a w tym czasie Teri Gross w imieniu słuchaczy wypytywała Willie Nelsona, co sądzi o paliwie ekologicznym.

Jules spojrzał z ukosa na Maksa.

Jego podręczna torba nie była większa od dużej aktówki. Jules uznał to za dobry znak: szef najwyraźniej rzeczywiście zamierzał

polecieć do Hamburga zidentyfikować Ginę, zabrać z hotelu rzeczy i wrócić z jej ciałem - o Boże! - pierwszym możliwym rejsem.

Victor, brat Giny, chciał spotkać się z nimi na lotnisku w Nowym Jorku i Jules miał zadzwonić do niego z informacją, kiedy wracają. Rozmawiał już dzisiaj z Victorem kilka razy i zapewniał rodzinę Vitagliano, że Max zamierza przywieźć zwłoki Giny do domu.

Irytujące i trudne do zniesienia w ustach nowojorczyka frazesy o wdzięczności tym razem zabrzmiały prosto i wyjątkowo szczerze. Vic oświadczył, że dzięki wielkoduszności Maksa on i jego bracia będą mogli pocieszać rodziców w trudnym dla wszystkich okresie żałoby, zamiast lecieć do Europy.

Doprawdy, zasługiwali na to, żeby ciało siostry dostarczono jak najszybciej.

Jules znów zerknął na Maksa. Gdyby zamierzał rozpocząć polowanie na terrorystów, chyba zabrałby ze sobą więcej bagażu.

Mimo wszystko nie zaryzykowałby zakładu o to, co znajduje się w walizeczce Maksa. Była stanowczo zbyt mała, by pomieścić bazookę lub obrzyna, choć z drugiej strony rozkładany półautomatyczny karabinek zmieściłby się w niej bez trudu. Tak samo jak cały arsenał pistoletów.

Swoją drogą to ciekawe, czy wielki i wszechmocny Max Bhagat zostanie przy wejściu na lotnisko poproszony o położenie walizeczki na taśmie przejeżdżającej przez urządzenie prześwietlające bagaże promieniami Roentgena, czy też przepuszczą go bez gadania.

Kiedy wjechali na pętlę prowadzącą na lotnisko, deszcz wyraźnie zelżał, za to ruch samochodowy przybrał na sile. Jules skręcił w drogę prowadzącą na parking i wtedy Max wreszcie raczył się odezwać.

- Po prostu wysadź mnie przy hali odlotów.

Nadeszła chwila prawdy.

Przez większą część drogi Jules specjalnie koncentrował się na informacjach dotyczących paliwa z soi, żeby nie myśleć o tym, w jaki sposób powiedzieć o czymś Maksowi, kiedy nadejdzie decydująca chwila.

- Proszę się na mnie nie wściekać - zaczął i odwrócił oczy.

Nie wściekać? Oczywiście, że Max będzie zły jak wszyscy diabli! Wściekłość była dla Maksa siłą napędową. Wiadomo, że jej nie okazywał, ale Jules świetnie wiedział, co szef czuje w głębi ducha, ponieważ sam czuł to samo.

Nie bez powodu powstawały rozmaite filmowe ramoty o agencji FBI, który po śmierci ukochanej wpada w szal i okrutnie mści się na winowajcach. Te same cechy charakteru, dzięki którym zarówno Max, jak i Jules byli dobrymi kandydatami do robienia kariery w służbach specjalnych, w tym wypadku sprawiały, że trudno im było siedzieć z założonymi rękoma i czekać, aż ktoś inny odnajdzie terrorystów odpowiedzialnych za zamordowanie Giny.

Jules chrząknął i zaczął od początku.

- Wiem, że nie będzie się to panu podobało...

Kiedy mijali halę odlotów, Max obrzucił tęsknym spojrzeniem podjazd prowadzący do miejsca, gdzie wysiadali ludzie spieszący się do samolotu.

- Nie potrzebuję niańki - oznajmił ponuro.

- Nie - zgodził się Jules. - Oczywiście, że nie. Ale potrzebuje pan przyjaciela.

Max parsknął pogardliwie.

- Nie jesteście przyjaciółmi, Cassidy...

Jules zatrzymał samochód przy automacie do wydawania biletów i wyciągnął rękę przez okno, żeby nacisnąć guzik, podczas gdy Max mówił dalej:

- ... a jeśli wydaje ci się, że pragnę twojego towarzystwa...

- Wydaje mi się, że pragnie pan towarzystwa Giny - odparł spokojnie Jules. - I nie sądzę, żeby ktokolwiek inny spełniał pańskie oczekiwania.

Ale Max nie dał się zbić z tropu. Obrzucił Julesa przeciągłym, pełnym pogardy spojrzeniem.

- Chyba naprawdę zależy ci na tym awansie - oświadczył.

O kurczę!

- Wie pan, że tak - odparł Jules, podczas gdy bramka się otwierała.

Przejechał przez nią, pochylając lekko głowę, żeby przez ciągle mokrą przednią szybę dostrzec znaki prowadzące na parking długoterminowy. W końcu je zauważył i skierował się w przecznicę prowadzącą na sam koniec parkingu. Nie odrywał oczu od kierunkowskazów, ponieważ było ogólnie wiadomo, że na widok zagniewanej miny Maksa podwładni robią w gacie ze strachu, a on miał w podręcznym bagażu jedynie czystą koszulę i pieczołowicie zwiniętą parę dzinsów.

Czuł na sobie stalowe spojrzenie szefa, kiedy mijał tabliczkę z napisem „Brak miejsc” i skręcał w stronę podjazdu prowadzącego na wyższą kondygnację.

- Chociaż, wiesz... to wrzeszczenie i sponiewieranie Peggy Ryan chyba przesądziło sprawę - powiedział jak gdyby nigdy nic. - Wściekła się jak diabli, nie uważasz? Jestem w tym niezły. Doprawdy, to był wspaniały moment. Jeśli zaś chodzi o zapłatę gotówką za bilet last minutę do Hamburga, była to po prostu pewna forma zabezpieczenia. Doszedłem do wniosku, że jeśli chodzi o nas, preferencje seksualne są bez znaczenia.

Max znowu wydał z siebie przypominające śmiech parsknięcie, ale Jules nie mógł się połapać, czy to dobry, czy zły znak.

- Powinienem wywalić cię z roboty.

- Możesz tak zrobić, Max - zgodził się Jules. - Ale pewnie wtedy Peggy także odejdzie. Na znak solidarności, ponieważ tak bardzo mnie lubi. A ponieważ mimo wszystko jadę do Hamburga, niezależnie od tego, czy pan Max mnie wywali, czy nie, to proszę mi powiedzieć, jakie odniesiesz z tego korzyści?

W końcu Jules dostrzegł niewielki skrawek wolnej przestrzeni, który wyglądał na ostatnie wolne miejsce na całym wielopoziomowym parkingu. Znajdowało się w kącie najbardziej odległym od wejścia do terminalu, lecz mimo to, wjeżdżając na nie, zmówił w duszy dziękczynną modlitwę do patrona od wielopoziomowych garaży, a przy okazji również do jego rycerskiego brata - bohatera, który wynalazł walizkę na kółkach. Max znowu milczał jak zaklęty, ale kiedy Jules wyjmował kluczyki ze stacyjki, zdecydował się na ostatnią rozpaczliwą próbę.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi.

Jules wziął się w garść i odważnie odwzajemnił pełne wściekłości spojrzenie Maksa.

- Możesz nie myśleć o mnie jako o przyjacielu - oświadczył - ale ja uważam cię za kogoś mi bliskiego. Zawsze byłem traktowany w robocie uprzejmie i z szacunkiem, więc postanowiłem się odwdzięczyć, niezależnie od tego, czy się to podoba, czy nie. Nie zamierzam udawać, że wiem, co czujesz w takim momencie, ale Gina była także moją przyjaciółką i wiem, jak bardzo boli mnie to, co się stało. No więc dalej, kochany. Wyżyj się na mnie. Bądź opryskliwy. Nawet nie musisz ze mną gadać, nie wezmę sobie tego do serca.

Usiądę grzecznie obok ciebie w samolocie, a kiedy będziemy na miejscu, zajmę się wszystkimi przygotowaniami. Zatroszczę się o wszystkie szczegóły: dokąd powinniśmy iść i co robić, więc nie będziesz musiał zaprzętać tym sobie głowy, Max. I bez względu na wszystko pójdę do tej kostnicy, ponieważ nikt nigdy nie powinien przeżywać czegoś takiego w samotności, zwłaszcza kiedy może liczyć na wsparcie oddanego przyjaciela.

Długo, bardzo długo Max nie odezwał się ani słowem. Po prostu siedział i miazdżył Julesa pełnym nienawiści spojrzeniem.

- Powiniennem cię zabić, a twoje ścierwo wepchnąć do bagażnika - wycedził w końcu.

Cholera! Jules musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby nie wybuchnąć gniewem. Wreszcie skinął głową i nawet udało mu się wzruszyć ramionami, co - jak miał nadzieję - wyglądało nonszalancko.

- No cóż, naturalnie mógłbyś spróbować...

Max siedział przez chwilę bez ruchu, gotując się z wściekłości. Potem pokręcił głową, wysiadł z samochodu i pomaszerował w stronę terminalu, nie zwracając sobie głowy czekaniem na Julesa.

Ten zaś złapał w biegu płaszcz przeciwdeszczowy i pobiegł za Maksem.

Centrum Rehabilitacji Sheffield, McLean, Wirginia

11 listopada 2003

Dziewiętnaście miesięcy wcześniej

- Nie rób tego - poprosił Max.

Zamknął oczy, żeby Gina odłożyła swój nowy aparat cyfrowy i przestała pstrykać zdjęcia, dzięki którym potomność miałaby okazję się przekonać, jakim był mięczakiem: o czwartej po południu ubrany w wygodną piżamkę i otulony kołderką leżał na łóżku w centrum rehabilitacji gotów do drzemki.

- I jak dziś poszło? - spytała.

- Dobrze - skłamał.

W rzeczywistości dzisiejsza sesja była koszmarna. W dodatku poczuł się zniechęcony, kiedy przekonał się, jaki jest słaby i jak szybko się męczy. I jak bardzo wyczerpują go najprostsze ćwiczenia.

Gina przeszła przez pokój do biurka, które stało przy ścianie tuż obok łóżka, i ostrożnie odłożyła aparat. Kupiła to cholerne gówno z okazji planowanego wyjazdu do Kenii. Max miał nadzieję, że fakt, iż wyjęła aparat z pudełka i uczyła się go używać, nie oznaczał, że termin podróży został już ponownie ustalony.

Kenia... Mój Boże.

Max próbował kiedyś przemówić Ginie do rozumu, żeby opanowała nieco podekscytowanie i rozpoczęła studia na wydziale prawa. Miał swoje wejścia na Uniwersytecie Nowego Jorku. Dzięki jego rekomendacji zostałyby tam przyjęta w mgnieniu oka.

- Kevin mówił mi, że jego zdaniem strasznie cierpiełeś, ale nie chciałeś zrezygnować. - Szturchnęła go, żeby przesunął trochę nogi, i usadowiła się na skraju łóżka. - Był naprawdę pod wrażeniem.

Kevin należał do tych wylewnych i przesadnie reagujących fizykoterapeutów, którzy rozdmuchują każde, nawet całkiem nieistotne wydarzenie. Stara pani Klinger dochodząca do formy po wylewie podniosła odrobinę palec wskazujący u lewej ręki! Hura! Ajay Moseley utrzymał w ręku ołówek i po raz pierwszy od wypadku naskrobał liścik do swojej babci! Ho, ho! Zapomnijcie o tym, że biedny dzieciak już nigdy nie będzie chodził. Wyrzucicie z pamięci fakt, że jego drobne, szczupłe ciało zostało tak uszkodzone, że potrzebna była nowa nerka, bez której musiał być wciąż dializowany.

Max gapił się biernie na Ginę.

- Jeśli pytałaś już Kevina, to czemu jeszcze i mnie pytasz?

- Bo uwielbiam patrzeć, jak robisz tę stoicką minę. - Pochyliła się w jego stronę. Jej usta znalazły się niebezpiecznie blisko jego warg, a oparta na udzie dłoń parzyła mu skórę. - To cholernie mnie podnieca.

Żartowała. Chciała być dowcipna, to jasne. Świetnie o tym wiedział, ale mimo to poczuł suchość w ustach.

Nagle zorientował się, że patrzy jej z bliska w oczy. Z bardzo bliska.

I że jej pożąda jak diabli. Taak... Doktor Yao miał rację. Zdecydowanie powracał do dawnej formy. Musiał przywołać na pomoc całą siłę woli, żeby nie wyciągnąć ręki do Giny. Naprawdę. Dobrą wiadomością było to, że ona chyba tak samo jak on była poruszona tą nieoczekiwaną i pełną erotyzmu energią, która nimi zawładnęła. Poruszona i chętna, by się jej poddać.

Wreszcie odwróciła się, wstała i podeszła do okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

Nie całowali się od tamtej nocy, kiedy otrzymał ten fatalny postrzał. Od tamtej nocy, kiedy on... A raczej oni...

Poprawka - ostatnio Gina całowała go dość często, zarówno w szpitalu na Florydzie, jak i wtedy gdy przeniesiono go do D.C. Ale to były zwykłe pocałunki typu „No, to do zobaczenia”. Nic w rodzaju tych, jakie połączyły ich pamiętnej nocy.

Nie chodziło o to, że nie mogli się namiętnie całować, gdy Max był podłączony do tych wszystkich rurek i urządzeń, tylko że przez jego szpitalny pokój dniem i nocą przewalał się tłum odwiedzających.

Teraz widział, jak Gina opiera czoło o okienną szybę. Jego pokój jednoosobowy był dość niewielkich rozmiarów, lecz za to z okien roztaczał się naprawdę wspaniały widok. Znacznie przyjemniejszy niż obleśna, zaśmiecona okolica, którą oglądał z sypialni we własnym mieszkaniu.

- Zadzwoił mój brat, Victor. Tak ni z tego, ni z owego. - Gina zerknęła przez ramię. - Dziś wieczorem przylatuje do Waszyngtonu. Będzie tu pierwszy raz. Opuścił szkolną wycieczkę w siódmej klasie, bo akurat miał zapalenie gardła.

- Zaprowadź go koniecznie pod pomnik ofiar drugiej wojny światowej - powiedział Max zadowolony, że zmienili temat. Na wpół oczekiwał, że Gina posunie się dalej. Że dojdzie do konfrontacji i zapyta: „Czy myślałeś o tym, żeby mnie pocałować? Bo odniosłam wrażenie, że miałeś na to ochotę”.

I co powinien jej w takim wypadku odpowiedzieć? „Kochanie, nie ma ani jednej chwili w ciągu dnia, żebym o tym nie myślał...”. Tak, to z pewnością by im pomogło.

- Mam go na liście - nareszcie Gina odwróciła się do niego i usiadła na parapecie, a pęd powietrza z wentylatora uniósł wysoko jej spódnicę. Musiała ją przytrzymać oburącz. - Zaplanowałam zwiedzanie na cały dzień. Ściana Wietnamu, Muzeum Holocaustu, wojny koreańskiej, pomnik Lincolna... - wyliczała na palcach. - Ale i tak myślę, że prawdziwym powodem jest sprawdzenie, co tu porabiam. Chyba moja rodzina nieco się krzywi. Wiesz, chodzi o to, że mieszkam z Julesem.

Ciekawe, jak bardzo by się krzywili, gdyby Max zdecydował się na pozaszpitalną terapię i wrócił do swojego mieszkania, zamiast sterczeć tutaj. Gdyby tak postąpił, Gina wpadłaby sprawdzić, czy niczego mu nie brakuje, i najdalej dziesięć minut po jej przyjsciu znów wylądowałiby w łóżku. A dziesięć minut po tym, jak skończyliby się kochać, Gina rozpakowałaby walizkę i powiesiła w jego szafie swoje sukienki.

Prawda wyglądała tak, że siły woli starczało mu jedynie na krótko. Gdyby zaczęła się upierać i próbowała zmienić tekst o facetach zgrywających stoików, którzy ją podniecają, w coś więcej niż niewinny żarcik, ustąpiłby jak amen w pacierzu. Zupełnie nie potrafił się przed nią obronić i prosił Boga, by Gina nigdy się o tym nie dowiedziała. Bo jeśli to odkryje...

Chociaż z drugiej strony... Ten pokój nie był tak publicznym miejscem jak szpitalna sala, lecz mimo wszystko od czasu do czasu ktoś pukał do drzwi, Gina nie mogła więc przycisnąć go do muru. Po prostu nie mogła...

I to był właśnie drugi powód, dla którego zdecydował się na leczenie szpitalne.

W ten sposób, zamiast przeprowadzić się do Maksa, Gina zamieszkała z Julesem Cassidym, bo segment młodego agenta znajdował się stosunkowo blisko centrum rehabilitacji. Nawiasem mówiąc, Max nigdy nie zgodziłby się, żeby zamieszkała sama u niego. Okolica, w której mieszkał, nie była bezpieczna, zwłaszcza dla samotnej młodej kobiety.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy dwukrotnie włamano się do jego mieszkania, choć tak naprawdę nie było tam co kraść.

- Oni chyba nie wierzą, że Jules jest gejem - wyjaśniała Gina, pod chodząc do łóżka. - Albo się boją, że jestem tak seksowna, że mogłabym go sprowadzić na właściwą drogę. - Przewróciła oczami i zaczęła się śmiać. - Tak naprawdę to Vic nie jest taki strasznie ortodoksyjny. Chyba nawet nie zna nikogo, kto byłby homoseksualistą. Założyliśmy się z Julesem: ja daję Victorowi najwyżej dwanaście godzin, zanim wymyśli jakąś wymówkę, żeby wrócić do domu, a Jules twierdzi, że Vic zostanie trochę dłużej. - Zatrzymała się i usiadła na brzegu łóżka. - Pielęgniarka mówiła, że niedawno miałeś masaż, ale nie wyglądasz na zrelaksowanego.

Chryste Panie, ależ ona była piękna! Max przypomniał sobie piosenkę Vanna Morrisona Dziewczyna o orzechowych oczach. Jej melodia dźwięczała mu w głowie, ilekroć Gina uśmiechała się do niego tak jak teraz.

- Wiesz, czego ci potrzeba? - zapytała.

Zebrał wszystkie siły, bo wiedział, że słowa, jakie padną zaraz z jej ust, będą cholernie bliskie prawdy.

- Potrzebuję mnóstwa rzeczy - odparł spokojnie. - Pokoju na świecie. Społeczeństwa bez przemocy. Końca religijnego fanatyzmu...

- I czegoś miłego na zakończenie. Powinieneś być o to poprosić. - Gina patrzyła na niego figlarnie i uśmiechnęła się bez skrępowania.

Przez pół sekundy nie rozumiał, o co jej chodzi. A potem wszystko do niego dotarło i on także zaczął się śmiać.

- Chyba nie mają w ofercie takiego masażu. Nawiasem mówiąc, ten masażysta - jak mu tam, Pete - zdecydowanie nie jest w moim typie.

- Za to ja jestem - powiedziała i Max przestał się śmiać.

O, do diaska! Okay. Max zdążył już zaliczyć trochę zdrowych fantazji seksualnych, które zaczęły się, gdy miał około dziesięciu lat i po raz pierwszy ujrzał Ann - Margret w Viva Las Vegas puszczonej na kanale jedenastym w Million Dollar Movie. A potem - aż do dzisiaj - w jego marzeniach pojawiała się hojnie obdarzona przez naturę, niewiarygodnie wspaniała młoda dama, która zamykała drzwi do - tu proszę wypełnić według uznania: biura, klasy, łazienki, sali konferencyjnej, sypialni itd. itp., a następnie podchodziła do Maksa z wiele mówiącym uśmiechem, jednocześnie ściągając z siebie niezwykle seksowną bieliznę.

- Hej! - odezwał się, kiedy spódniczka Giny opadła na podłogę, jednak ta próba powstrzymania jej zabrzmiała mniej niż entuzjastycznie. - To nie jest...

- Ciii... - upomniała go, przykładając palec do ust. - Nic nie mów.

Gina najwyraźniej nadal robiła zakupy w Victoria's Secret. Okazało się, że dziś ma na sobie niesamowicie atrakcyjny i prawie przezroczysty biustonosz oraz wyjątkowo skąpe majteczki stringi. Oczywiście. Popołudniowe słońce, które wlewało się przez okno, sprawiało, że jej pępek skrzył się, a naga skóra połyskiwała kusząco.

Miała taką piękną skórę. Max wiedział na pewno, jak gładka i miękka będzie pod jego dłońmi, pod ustami...

- Gina... - wyszeptał, ale zabrzmiało to jak westchnienie.

Uśmiechnęła się, sadowiąc obok niego na łóżku; oparła się na kolanach i znów pochyliła w jego stronę. Ale tym razem nie zatrzymała się. Zaczęła go całować. Najpierw w usta, jednocześnie manipulując przy przyciskach łóżka żeby opuścić je do bardziej poziomej pozycji. Czuł, jak jej gładkie ciało przesuwają się pod jego palcami.

- Gina - spróbował ponownie, ale uciszyła go namiętym pocałunkiem.

Nie przestając go całować, ściągnęła z niego przykrycie, rozwiązała piżamę, a potem... znów zaczęła całować. O tak. Jego usta były teraz całkowicie wolne; czuł, że powinien kazać jej przestać i włożyć ubranie. Przecież byli tylko przyjaciółmi.

Pamiętał tę dyskusję - całe dwa zdania - czy to było wtedy, gdy już leżał w szpitalu?

- Nie chcę cię sprowadzić na złą drogę - powiedział jej wtedy. - To, co zaszło między nami tamtej nocy...

Przerwała mu.

- Jestem tu jako twój przyjaciel.

I właśnie teraz ten „przyjaciel”...

O Chryste...

- Gina - jeszcze raz zdobył się na wysiłek, ale nie mógł nabrać w płuca dość powietrza, by wyznać, jak bardzo czule i prawdziwie ją kocha, choć nie oczekuje od niej tego rodzaju związku.

Kłamca. Tak naprawdę chciałby trzymać ją pod swoim biurkiem, żeby robiła to, co w tej chwili. Sześć, siedem razy dziennie.

Uuuch!

Jej majteczki dołączyły do leżących na podłodze ciuchów. Max poczuł, jak Gina zakłada mu prezerwatywę, którą wytrzasnęła nie wiadomo skąd, i siada na nim okrakiem. Najpiękniejsza, niesamowicie żywa, najwspanialsza, najodważniejsza, najbystrzejsza, najbardziej wesoła i ekscytująca kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał, siedziała teraz na nim naga i jęczała z rozkoszy, ponieważ on był wewnątrz niej.

To było coś niewiarygodnie podniecającego.

Z zamkniętymi oczyma, twarzą skierowaną ku górze i rozrzuconymi na ramionach włosami poruszała się wolno w górę i w dół; Max patrzył na nią i czuł, że zaczyna się pocić z wysiłku, starając się opóźnić nadejście rozkoszy. Chciał ją taką zapamiętać, wyryć w mózgu niezatarte wspomnienie tej chwili i tej kobiety. Kobiety, której pożądał każdą komórką swego ciała, każdym oddechem...

Jej delikatne usta, lekko rozchylone i kusząco wilgotne. Jej długą szyję, tak pełną wdzięku i elegancji. Jej ciemne rzęsy, rzucające cienie na brzoskwiniowe policzki. Jej pełne, pięknie zarysowane piersi i jej ciało, pełne pożądania, gładkie, miękkie i zachęcające...

I to wszystko należało do niego. Wyłącznie do niego. Orgazm nadszedł niespodziewanie, wdzierając się w głęb z siłą i intensywnością, która sprawiła, że zaczął wykrzykiwać jakieś głupstwa.

Tak. Tak?

Co, tak? Tak, przeżył orgazm. Wspaniały orgazm. To nie był żaden żart.

Czuł, że ona także się rozluźnia, więc otworzył oczy i zmusił się do koncentracji, choć serce waliło mu młotem, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Pragnął patrzeć teraz na Ginę; chciał z tego potwornie głupiego błędu wyciągnąć dla siebie jak najwięcej, ile tylko się da.

Bo to był błąd, który więcej nie miał prawa się powtórzyć.

Kiedy skończyła, nie opadła bezwładnie na jego ciało - ze względu na świeże szwy na klatce piersiowej i obolały, dopiero co zagojony obojczyk. Po prostu siedziała na nim ze splecionymi mocno ramionami i ściskając między udami jego ciało, starała się uspokoić oddech. Oczy nadal miała zamknięte i w aureoli słonecznego blasku wlewającego się do wnętrza wyglądała jak pogańska kapłanka, która właśnie odprawia modlitwy.

A potem otworzyła oczy i spojrzała w dół, lekko przy tym marszcząc brwi.

- Czy ta wystawa w Muzeum Szpiegostwa jest jeszcze otwarta? - spytała jak gdyby nigdy nic. - Vic na pewno będzie chciał tam iść.

Co?!

- Nie, chyba już ją zamknęli - odpowiedziała sama sobie. - To była tylko czasowa ekspozycja, prawda?

- Ja nie... - wykrztusił. - Nie pamiętam.

Był zdumiony, że tak łatwo wróciła do rozmowy na temat wizyty brata, jak gdyby nie skończyli przed chwilą uprawiać seksu. Nawet nie zdążył jeszcze wysunąć się z jej wnętrza. Z drugiej strony - ta część jego „ja”, która zawsze czekała w pełnym rozbawienia napięciu na to, co Gina powie lub zrobi potem, znów zaczęła odczuwać coś w rodzaju podniecenia.

Ostatecznie siedziała na nim naga kobieta, a Gina należała do tych kobiet, które potrafią być nagie przez duże „N”.

Była niewiarygodnie piękna.

- Będziesz miał coś przeciw temu, że wykorzystam twojego laptopa? Chcę coś sprawdzić w Google.

Nie, dopóki nie włożysz ubrania.

Max zdążył ugryźć się w język, zanim powiedział to na głos. Żartobliwe przekomarzanie się mogło zmienić to, co zrobili z czystej głupoty, w początek poważnego związku.

Coś miłego na zakończenie, dupku. Gina nie szukała żadnego zakończenia.

Już otworzył usta, by jej oznajmić, że nie może tego zrobić, że jeszcze nie czuje się gotowy i być może nigdy nie będzie gotowy na to, czego ona pragnie, kiedy ktoś zastukał do drzwi.

- Pora na mierzenie ciśnienia.

Gałka u drzwi zagrzechotała, kiedy pielęgniarka próbowała wejść, lecz zamek wytrzymał. Dzięki Bogu. Po chwili rozległo się energiczne pukanie.

- O cholera - Gina złapała oddech i zaczęła się śmiać, jednocześnie złażąc na podłogę.

Pochyliła się, żeby uwolnić go od prezerwatywy, której przed chwilą używali, i napotkała... go. Spojrzeli sobie głęboko w oczy, ale na nic nie było czasu. Gina zgarnęła pospiesznie swoje ciuchy i popędziła do łazienki.

- Panie Bhagat? - Pielęgniarka znów zapukała. Tym razem zdecydowanie głośniej i mocniej. - Dobrze się pan czuje?

Kurczę blade, pewnie, że tak!

- Proszę wejść - zawołał i podciągnął pod brodę przykrycie, jednocześnie szukając po omacku przycisku, który ustawiłby łóżko w pozycji siedzącej. To samo urządzenie miało funkcję wzywania pielęgniarki, a także możliwość zwolnienia blokady drzwi, co zostało wyraźnie zaznaczone obok odpowiedniego guzika.

- Drzwi są zamknięte - odkrzyknęła, jakby sam o tym nie wiedział.

- Och, najmocniej przepraszam - powiedział, wycierając czoło brzegiem prześcieradła.

„Tak bardzo pan się spocił, panie Bhagat? Dlaczego?“. - „Musiałem tylko...“. Momencik, zaraz odkryję, jak to działa...

Wykorzystał tę dodatkową sekundę na przyglądanie włosów i uporządkowanie piżamy, a potem modląc się, żeby pielęgniarka miała katar i nie wyczula unoszącego się w powietrzu zapachu seksu, nacisnął guzik zwalniający blokadę drzwi.

- Proszę się nie zamykać w ciągu dnia - skarciła go, wchodząc do pokoju i kierując się w stronę łóżka.

Dziś dyżur miała Debra Forsythe, kobieta mniej więcej w tym samym wieku co on, którą przez moment widział na recepcji, kiedy tu przyjechał. Jechała wówczas do domu, żeby załatwić jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę ze swoimi dziećmi i nie sprawiała wrażenia szczęśliwej.

- W nocy zresztą też - dodała. - Przynajmniej dopóki nie spędzi pan u nas kilku dni.

- Przepraszam. - Posłał w jej stronę przepaszający uśmiech, ale pielęgniarka przyglądała mu się podejrzliwie spod przymkniętych powiek.

Nie odzywając się słowem, założyła mu rękaw i napompowała odrobinę za mocno. Auu! W tym czasie Gina wychyliła głowę z łazienki.

- Wydawało mi się, że ktoś pukał - oświadczyła beztrąsko. - O, cześć! Debbie, mam rację?

- Debra.

Pielęgniarka zerknęła na Ginę i znów odwróciła się do Maksa. Zacisnęła mocno usta, co odczytał jako oznakę dezaprobaty, ale potem

skoncentrowała się na wskazaniach urządzenia pomiarowego i przycisnęła mu stetoskop do ramienia.

Gina wysunęła się do pokoju i zaczęła skradać się w stronę łóżka, robiąc przy tym do Maksa jakieś dziwne miny. Posłał jej pytające spojrzenie, więc w okamgnieniu podniosła wysoko spódniczkę, ukazując wszystko, co chciałby zobaczyć. A to oznaczało... O Chryste!

Pielęgniarka zwróciła się gwałtownie w jej stronę i spiorunowała spojrzeniem, ale Gina błyskawicznie przerwała przeszukiwanie podłogi i zdążyła się wyprostować.

Gdzie, do diabła, mogły się podziać jej majteczki?

W odpowiedzi na pełne złości spojrzenie Gina uśmiechnęła się słodko.

- Powinien teraz mieć prawidłowe ciśnienie. Jest bardzo odprężony, przed chwilą skończył masaż.

- Wie pan co? Nie wyglądał pan na takiego gagatka, kiedy zobaczyłam pana wczoraj na recepcji - powiedziała Debra do Maksa, zapisując w karcie wyniki badania.

Za jej plecami Gina powróciła do przeglądania podłogi, ale znów wyprostowała się z niewinną miną, zanim Debra zdążyła odwrócić się w jej stronę.

- Chyba tego szukasz, co?

Debra schyliła się i... Na końcu jej pióra wisiały majteczki. Musiały leżeć tuż obok łóżka i pielęgniarka wyczuła je pod pantoflem.

- Ups - powiedziała Gina.

Max bez trudu spostrzegł, jak potwornie jest zawstydzona, lecz stało się tak tylko dlatego, że tak dobrze ją znał. Po sekundzie zmusiła się do jeszcze bardziej promiennego uśmiechu i spróbowała się wytłumaczyć.

- No, ja po prostu... Rozumiesz, on był w szpitalu tak długo...

- A mężczyźni mają swoje potrzeby, tak? - warknęła najwyraźniej niczym niewzruszona Debra. - Możesz mi wierzyć, znam te teksty na pamięć.

- Wcale nie - zaprzeczyła gorąco Gina. Najwidoczniej cały czas starała się obrócić wszystko w żart. - To ja mam swoje potrzeby.

Jednak na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że akurat ta pielęgniarka straciła poczucie humoru najpóźniej w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku.

- Więc powinnaś sobie znaleźć do zabawy kogoś mniej więcej w twoim wieku - parsknęła pogardliwie. - Właśnie przywieźli do nas zawodowego hokeistę. Jest we wschodnim skrzydle. Na drugim piętrze - ściszyła głos do konspiracyjnego szeptu. - Ma masę forsy. To absolutnie twój typ, jestem tego pewna.

- Słucham?!

Gina nie miała zamiaru puścić płazem podobnej obrazy.

Być może nie miała na sobie majtek, lecz wychowanie i poglądy rodem z Long Island stanowiły dla niej powód do dumy. Oparła obie ręce na biodrach, przygotowując się do ataku.

Z kolei Debra znów odwróciła się do Maksa.

- Przyjmowanie gości w nocy jest surowo zabronione - oświadczyła, wydymając wargi i ruszając w stronę drzwi. - Bez wyjątków.

- Jak śmiesz?! - Gina stanęła jej na drodze. - Jak śmiesz mnie osądzać, kiedy nie masz zielonego pojęcia, kim jestem i co tu robię!

Debra uniosła jedną brew.

- No cóż - oświadczyła zimno. - To chyba twoją bieliznę widziałam tu na podłodze, prawda, kochanie?

- Dokładnie - odparowała natychmiast Gina. - Moją bieliznę, a nie opis mojej osobowości, podsumowanie życiowych dokonań czy też świadectwo z college'u.

- Jeśli choć przez sekundę miałaś złudzenia, że podobna sytuacja jest tu czymś absolutnie wyjątkowym, to... - przerwała jej Debra.

- Wystarczy - wtrącił się Max.

Oczywiście Gina w ogóle nie zwróciła na niego uwagi.

- Wcale tak nie myślałam. Wiem to na pewno! - zawołała. - Jest czymś wyjątkowym, ponieważ ja jestem wyjątkowa, ponieważ Max jest wyjątkowy, ponieważ...

Debra wreszcie zaczęła się śmiać.

- Och, skarbie, jesteś jeszcze taka... młoda. Powiem ci coś, choć zwykle nie zawracam sobie głowy, żeby to mówić dziewczętom takim jak ty. Jeśli dziś znajduję na podłodze majteczki, to tylko kwestią czasu jest, kiedy znajdę następne. I przykro mi, że cię muszę rozczarować, ale następnym razem, kiedy jakaś dziewczyna wyjdzie z łazienki... No cóż, raczej będzie to kto inny, nie ty.

- Po pierwsze... - odezwała się Gina lodowatym tonem - ... jestem kobietą, nie dziewczyną. A po drugie, babciu... Chcesz się założyć, że to nie będę ja?

- Powiedziałem, że już wystarczy - powtórzył ostro Max i obie natychmiast zwróciły się w jego stronę.

Najwyższy czas. Ostatecznie Max zdążył się przyzwyczać, że jedno jego chrząknięcie stawiało na baczność wszystkich obecnych.

- Pani Forsythe, chciała pani zmierzyć mi ciśnienie. Zdaje się, że już to pani zrobiła, więc życzę miłego dnia. A co do ciebie, Gina... - Chciał jej powiedzieć, żeby rozsypała majteczki i je włożyła, ale zabrakło mu śmiałości. - Siadaj - poleciał, wskazując krzeselko stanowiące część stolika do pisania, który można było rozstawić obok łóżka. - Proszę - dodał zaraz po tym, jak stojąca już w drzwiach Siostra Chodząca Złość pozwoliła sobie na złośliwy uśmiezek.

- Nie mogę - powiedziała. - Vic przylatuje parę minut po siódmej. Jeśli zaraz nie wyjdę, na pewno nie zdążę go odebrać. Pochyliła się, żeby go pocałować, i to prosto w usta. - Mmm... - mruknęła i znów go pocałowała, tym razem dłużej. Nie spieszyła się z zakończeniem, bo znowu zostali sami. - Dzięki za cudowne popołudnie - szepnęła i czułym gestem odsunęła w tył jego włosy.

Taak... Jeśli już byli przy tym temacie...

- Posłuchaj, powinniśmy... - zaczął, ale ona chwyciła aparat i popłynęła w stronę drzwi, machając na pożegnanie.

I zostawiła go trzymającego w ręku...

Tak, kiedy się całowali, wepchnęła mu coś w otwartą dłoń.

Majteczki.

Oczywiście.

Świetnie wiedział, dlaczego to zrobiła. Chciała, żeby spędził następne kilka godzin rozmyślając, jak ona paraduje bez bielizny po terminalu lotniska.

Taak...

No to tyle, jeśli chodzi o drzemkę.

Rozdział Czwarty

Kenia, Afryka

22 lutego 2005

Cztery miesiące wcześniej

Czterdzieści osiem wyczerpujących godzin po tym, jak biedna Narari wydała ostatnie tchnienie, do Molly zaczęło powoli docierać, że pozostałe trzy dziewczynki najpewniej pozostaną przy życiu. Przynajmniej na razie. Kobiety, które zostały okaleczone w ten sposób, często walczyły z nawracającymi infekcjami. I to poważnymi. Skomplikowane mogło być nawet urodzenie dziecka, często wręcz niebezpieczne. A gdy mężczyźni, których poślubią - a raczej, którym zostaną sprzedane przez rodziców - będą nosicielami wirusa HIV ryzyko, że się od nich zarażą, zwiększy się wielokrotnie.

Ryzyko? Większość miała to pewne jak w banku.

Molly poszła wziąć prysznic w czasie, gdy rodzina Narari przyjechała po ciało, ponieważ siostra Podwójne M zabroniła jej z nimi rozmawiać. Kąpała się o wiele dłużej niż trzeba, pozwalając, żeby strumień wody walił ją po głowie i splukiwał łzy, których nie mogła i nie chciała powstrzymywać. Razem z tymi łzami próbowała wyrzucić z siebie złość na rodziców Narari, na zakonnicę i na siebie samą.

Za to, że nie starczyło jej czasu, by lepiej poznać te dziewczyny. Za to, że nie wyczuła grożącego im niebezpieczeństwa i nie pomogła uciec. Że nie zdołała ich ochronić.

Upłynęło mnóstwo czasu, zanim Molly zakręciła kran. Zmęczona do granic wytrzymałości stała, czekając, aż woda przestanie z niej skapywać; nie chciało się jej ruszyć, choć wiedziała, że w końcu będzie musiała.

Tak naprawdę nie miała gdzie się teraz podziać.

W ich namiocie spała Gina. Posiadanie współlokatorki miało - jak wszystko - swoje wady i zalety.

Chwała Bogu, że przynajmniej nie miała na karku dwóch osób. Dzisiejszego ranka pozbyły się wreszcie angielskiego gościa, kiedy autobus z klerykami ruszył w drogę powrotną do Nairobi.

Strasznie żałowała, że nie udało jej się z nimi zobaczyć. Rozmowa z kimś nowym zawsze stanowiła miłe urozmaicenie. Niestety, niektórzy z nowo przybyłych nadal chorowali, a tutejszy szpitalik nie był odpowiednio wyposażony.

Gina opowiedziała, jak jej zwymiotowano na stopy, co sprawiło, że Molly natychmiast pomyślała o Davie Jonesie, choć oczywiście ten człowiek nazywał się całkiem inaczej.

Nauczyła się mówić o nim tylko w ten sposób - choć tak naprawdę nazywał się Grady Morant - ponieważ zbyt wielu złych ludzi chciało widzieć Moranta martwego. I chociaż wątpiła, czy któremuś z nich chciałoby się przebyć długą drogę z lasów południowej Azji do tego leżącego na odludziu wspaniałego zakątka Kenii, to jednak z doświadczenia wiedziała, że zło miewa bardzo długie ręce.

Właśnie dlatego przyzwyczaiła się nawet myśleć o nim jako o Jonesie, oczywiście w tych rzadkich momentach, kiedy w ogóle pozwalała sobie na wspominki.

Jak na przykład teraz.

Jedno z ich pierwszych spotkań wyglądało właśnie w ten sposób, że Jones zwymiotował do jej butów do biegania; nic więc dziwnego, że opowiadanie Giny obudziło w niej tamte wspomnienia.

Dzięki Bogu buty Molly nie znajdowały się wówczas na jej nogach. Oboje z Jonesem siedzieli wówczas w jej namiocie, w obozie, który wyglądał zupełnie jak ten, wyjąwszy drobny fakt, że znajdował się w zupełnie innej części świata, na małej, skąpanej w bujnej zieleni indonezyjskiej wysepce.

Amerykański emigrant i przedsiębiorca - jak uprzejmie nazywano tutaj przemytników - był strasznie chory, a Molly opiekowała się nim najlepiej, jak potrafiła. Okazywała mu wówczas taką samą uprzejmość, na jaką mógłby liczyć, nawet gdyby nie był tak oszłamiająco przystojny.

Poznali się podczas jego choroby i wkrótce nawiązali gorący romans. I tak jak większość gwałtownych romansów również ten skończył się źle.

Mimo wszystko przez pewien czas Molly odruchowo wszędzie wypatrywała Jonesa, gdziekolwiek się znalazła. Podświadomie czekała, że pewnego dnia zjawi się i stanie przed nią. Naprawdę sądziła, że ją odszuka, bo nie potrafi żyć bez niej długo. Przecież tak bardzo ją kochał. I pewnie nadal kocha, niezależnie od tego, gdzie przebywa. Molly wierzyła w to z całego serca.

Ale teraz, po upływie prawie trzech długich lat, przestała już czekać i wypatrywać go. Pozwalała sobie na obsesyjne rozmyślanie o

nim tylko wówczas, gdy romantyczne myśli mogły nieco złagodzić realne cierpienie dnia codziennego. Jak na przykład wtedy, gdy trzynastoletnie dziecko umierało na skutek czyjejś okropnej ignorancji.

Molly skończyła szczotkować włosy i wsadziła z powrotem do swojej szafki przybory do kąpeli. Powiesiła ręcznik na sznurku i zaczęła się zastanawiać, czego w danej chwili potrzebuje bardziej: jedzenia czy snu.

Jedzenie zwyciężyło, toteż po wyjściu z umywalni skierowała się w stronę kantyny.

O tej porze - a było wczesne przedpołudnie - kantyna świeciła pustkami. Nigdzie nie było widać nawet siostry Helen, wszechwładnej królowej kuchni, niesamowicie uroczej, lecz potwornie gadatliwej niewiasty. Jednak w tej chwili Molly bardzo pragnęła samotności; poza tym domyślała się, że za chwilowe zniknięcie siostry Helen odpowiada siostra Podwójne M, choć diametralnie różne temperamenty obu zakonnice często prowadziły do kłótni.

Molly wzięła tacę i naląła sobie kubek herbaty; potem ukroiła chleba i nałożyła z garnka jakąś bosko pachnącą potrawę z jarzyn, którą Helen trzymała na ogniu, żeby zawsze mieć ją w pogotowiu dla personelu szpitala.

To całkowicie zrekompensowało jej brak czekolady.

Odwróciła się, żeby zanieść tacę na stół, i...

Tuż za progiem stał ten Anglik, Leslie Jakośćam, i ciężko wspierał się na lasce. Dziwne, że nie słyszała, jak otwierał drzwi. Zupełnie jakby zmaterializował się w nadprzyrodzony sposób.

Dotychczas widziała go tylko z daleka i teraz po raz pierwszy spotkali się twarzą w twarz. Wyglądał dokładnie tak, jak opisała go Gina - potwornie chudy, a do tego paskudnie przygarbiony. Jego fatalnie obcięte włosy przypominały fryzurę dziecka z plakatów organizacji humanitarnych, a na twarzy miał tyle filtru, że spokojnie mógłby przyczepić sobie skrzydła i nie ryzykując poparzeń, okrążyć słońce, gdyby wpadł mu do głowy taki pomysł. Okulary w oprawce wyglądającej na dwudziestoletnią w połączeniu z nieco oszołomioną miną dopełniały obrazu podróżującego w czasie profesora antropologii.

Molly znajdowała się tak daleko od wejścia, że nie mogła stwierdzić, czy mało uprzejme spostrzeżenie Giny, że facetowi

brzydko pachniało z ust, mijało się z prawdą, czy też wręcz przeciwnie, lecz nie czułaby się absolutnie zaskoczona, gdyby Gina miała rację. Gość wyglądał raczej na zaniedbanego.

- Masz na imię Leslie, prawda? - zagadnęła, uśmiechając się. W sumie to nie była jego wina, że pozbawił ją chwili samotności... Typowy Anglik wiecznie poszukujący miejsca, gdzie mógłby dostać filiżankę herbaty. - Nazywam się Molly Anderson.

Nie ruszył się nawet o cal; w sposobie, w jaki trzymał laskę, było coś, co zwróciło uwagę Molly na jego ręce. Spojrzała na ogromne dłonie, wcale nie tak blade, jak się spodziewała, i na długie mocne palce. Nieznajomy ścisnął laskę tak mocno, że pobieleły mu kłykcie.

Jego ręce wyglądały jak...

Wielki Boże! Spojrzała twardo w oczy ukryte z ciemnymi szklami i...

Rzucił się w jej kierunku, ale było już za późno. Taca, którą trzymała w ręku, uderzyła z trzaskiem o drewnianą podłogę przy akompaniamencie brzęku metalowych sztućców, a hałas był przy tym taki, że obudziłby nawet umarłego.

Anglik zaklął jak szewc; nieznajoma postać przemówiła dobrze znanym Molly głosem Davida Jonesa.

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak cholernie trudno jest dorwać cię choć na chwilę samą?

Czy w końcu ona także zaczęła mieć halucynacje? Ale wtedy on zdjął ciemne okulary i mogła wyraźnie zobaczyć jego oczy.

- To ty - szepnęła bez tchu, a jej oczy zaszyły łzami. - To naprawdę ty...

Wyciągnęła do niego obie ręce, ale cofnął się o krok. Słyszała, jak siostry Helen i Grace biegną przez teren obozu, żeby sprawdzić, skąd ten hałas; jak osłaniają dłońmi oczy i gapią się uparczywie, jakby mogły cokolwiek widzieć poprzez płócienne ściany.

- Nie możesz dać po sobie znać, że wiesz, kim jestem - szybko powiedział Jones, a jego głos zabrzmiał nisko, chrapliwie. - Nie możesz nikomu się wygadać, nawet twojemu przyjacielowi, księdzu na spowiedzi, rozumiesz?

- Więc grozi ci jakieś niebezpieczeństwo? - spytała. Dobry Boże, David był taki chudy! A ta laska, czy naprawdę była mu potrzebna, czy tylko miała kogoś oszukać? - Zaczekaj, dobrze, a ja zaraz...

- Nie, stój! Nie możemy... - Znów cofnął się w stronę wyjścia. - Jeśli wypaplesz komukolwiek, Mol, przysięgam, że znowu zniknę i więcej mnie nie zobaczysz. Chyba że... chyba że nie życzysz sobie, żebym tu był... Jeśli tak, to nawet nie mogę cię obwiniać...

- Nie!

Tyle tylko zdążyła powiedzieć, zanim siostra Helen otworzyła drzwi i zaczęła przyglądać się bałaganowi na podłodze, by po chwili przenieść spojrzenie na ściągniętą twarz Molly.

- Och, moja najmilsza! - zawołała i pospieszyła w jej kierunku.

- Obawiam się, że to moja wina - oznajmił Jones z brytyjskim akcentem. Jego głos w niczym nie przypominał teraz tego, który przed chwilą słyszała Molly. - Całkowicie moja. Przyniosłem panie Anderson złe wieści i nawet nie pomyślałem, że tak bardzo się nimi przejmie.

Molly zaczęła płakać. To był więcej niż doskonały sposób, by ukryć śmiech, który ją ogarnął, gdy usłyszała ten wystudiowany akcent. Po policzkach spływały jej strumienie łez, a ona w żaden sposób nie mogła ich powstrzymać. Helen poprowadziła ją do stołu i pomogła jej usiąść.

- Och, moja najmilsza. - Uklękła przed nią, czule ściskając dłoń Molly. Na jej okrągłym obliczu malowała się prawdziwa troska. - Powiedz mi, kochanie, co się stało?

- Mamy wspólnego znajomego - odpowiedział za nią Jones. - Nazywa się Bill Bolten. Usłyszał, że wybieram się do Kenii, pomyślał, że jeśli przypadkiem spotkam pannę Anderson, to może jej przekazać, że ostatnio pewien ich przyjaciel... no cóż, umarł. W końcu i tak szydło wyszłoby z worka, prawda? Ten gość nazywał się Grady Morant, znany także jako David Jones.

- Och, moja kochana - powiedziała znów Helen, przykładając dłoń do ust w odruchu szczerzego współczucia.

Jones pochylił się ku zakonnicy i zaczął szeptać, ale tak, by i Molly mogła wszystko usłyszeć.

- Jego samolot spadł i spłonął... Ekspłodował zbiornik paliwa... Kompletna miazga... Nikt nie miał szans ująć z życiem...

Molly zakryła twarz rękoma, ledwie potrafiła zebrać myśli.

- Bill martwił się, że panna Anderson może się o tym dowiedzieć od kogoś innego... Ale najwyraźniej nie miała o niczym pojęcia.

Molly pokręciła głową. Nie, wszystkie tego typu wiadomości rozchodzą się przez pocztę pantoflową, i to nadspodziewanie szybko. Pracownicy sezonowi znają następnych pracowników... Z pewnością doszłyby do niej pogłoski o śmierci Jonesa, gdyby nie to, że stał teraz przed nią we własnej postaci.

I czyż to nie byłoby okropne?

- Jestem naprawdę zadowolony - mówił żarliwie Jones z miną zawodowego pokerzysty. - Bardzo zadowolony. Nawet nie wiecie, jak bardzo... - Odchrząknął. - Nienawidzę przynosić złych wieści, ale pani... hm... przyjaciel był kimś w rodzaju kryminalisty, przynajmniej tak mi opowiadano. Słyszałem, że pewien baron narkotykowy wyznaczył cenę za jego głowę - kilka milionów - koniecznie chciał go widzieć martwego. Od lat bezlitośnie na niego poluje... Moim zdaniem Jones musiał kiedyś dla niego pracować. Obawiam się, że wplątał się w bardzo paskudne towarzystwo. I niebezpieczne. Skończyło się na tym, że musiał stale uciekać. Niebezpiecznie było nawet pójść z nim na drinka, bo można było zginąć w trakcie strzelaniny. I wyobraźcie sobie, jak na ironię ten baron narkotykowy umarł dwa tygodnie przed Jonesem. Biedak nigdy się o tym nie dowiedział, ale wreszcie był wolny.

Patrząc w jego oczy, o których śniła przez tak wiele miesięcy, Molly wszystko zrozumiała. Jones mógł pojawić się tutaj tylko dlatego, że handlarz narkotyków imieniem Chai, niebezpieczny i sadystyczny drań, który ścigał od lat jej ukochanego, wreszcie opuścił ziemski padół.

- Całkiem możliwe, że ten, kto przejął kontrolę nad biznesem tego barona, także będzie chciał tropić tego nieszczęśnika - kontynuował Jones. - Oczywiście, raczej nie zada sobie trudu, żeby szukać go po różnych zakątkach świata... Chociaż, kiedy ma się do czynienia z tak niebezpiecznymi typami, trzeba ciągle mieć się na baczności.

Wiadomość została odebrana.

- Zresztą Jones nie musi się już o nic martwić - dodał. - Wszystkie ziemskie sprawy już go nie dotyczą. Sądzę, że tam gdzie teraz przebywa, musi być piekielnie gorąco.

Tak, w Kenii panował nieziemski upał. Molly zakryła dłonią usta, udając, że chce zdławić szloch, choć tak naprawdę chciało jej się śmiać.

- Pss... - zganiała go Helen przekonana, że ich rozmówca nawiązuje do wiekuistego ognia. - Proszę nie mówić takich rzeczy. Widzi pan przecież, że ona go kochała. Czy Jones to ten mężczyzna, o którym tyle razy nam opowiadałaś?

Molly spojrzała na minę Jonesa i zrozumiała, że Helen wydała jej sekret. Teraz równie dobrze mogła wyznać prawdę.

Wytarła oczy w chusteczkę, którą Helen trzymała w pogotowiu, i odważnie popatrzyła mu w oczy.

- Bardzo go kochałam. I zawsze będę go kochać - powiedziała do mężczyzny, który przejechał dla niej pół świata, który czekał całe lata, zanim uznał, że jest wystarczająco bezpieczny, by się z nią połączyć, i który naprawdę myślał, że być może ona wcale nie życzy sobie go widzieć...

„Jeśli nie chcesz, żebym tutaj był - a nie mogę ci mieć tego za złe, jeśli nie chcesz - powiedz tylko słowo...”.

- Był dobrym człowiekiem - dodała po chwili milczenia. - Dobrym człowiekiem o dobrym sercu. - Głos jej zadrżał, ponieważ teraz również w jego oczach pojawiły się łzy. - Zasłużył na wybaczenie... Jestem pewna, że przebywa teraz w niebie.

- Wątpię, czy trafi do nieba - wyszeptał. - Przynajmniej nie powinien... - Chrząknął i założył okulary. - Bardzo żałuję, panno Anderson, że sprawiłem pani tyle bólu. W dodatku zapomniałem się przedstawić. Gdzie się podziały moje maniery?

Mimo że miał na nosie okulary, jego spojrzenie wyraźnie mówiło, iż pragnąłby ją pocałować.

Ale z tym musieli poczekać do chwili, kiedy Jones wślizgnie się do jej namiotu. Nie, przecież Molly mieszka z Giną! To raczej ona będzie musiała złożyć mu potajemną wizytę.

„Później” - przekazała mu wzrokiem, jednocześnie wyciągając rękę. Po raz pierwszy od lat ich palce zetknęły się i poczuła dotyk mężczyzny, którego kochała.

Nie musiała zbytnio się wysilać, żeby jej płacz wypadł przekonująco. Helen pomogła jej podnieść się z krzesła.

- Chodź, kochanie, odprowadzę cię do namiotu, a potem przyniosę coś do jedzenia.

Zanim Molly wyszła z kantyny, odwróciła się i spojrzała na Lesliego Pollarda, który właśnie pomagał siostrze Grace uprzątnąć z podłogi bałagan.

Gina nie miała racji: Leslie wcale nie miał nieświeżego oddechu.

Centrum Rehabilitacji Sheffield, McLean, Wirginia

13 listopada 2003

Dziewiętnaście miesięcy wcześniej

Gina znalazła Maksa w sali rekreacyjnej. Siedział przy stoliku przy oknie z filiżanką kawy, zagłębiony w lekturze. Ciekawe, co to za książka, pomyślała. Może jakieś romansidło?

Uśmiechnęła się na samą myśl, że Max mógłby czytać coś, co nie jest bezpośrednio związane z jego pracą, i cofnęła się za drzwi. Zatrzymała się w cieniu tuż za progiem, tak żeby nie mógł jej zauważyć, jeśliby przypadkiem podniósł głowę. Czekwała, aż jej brat wyjdzie z toalety, bo nie chciała zniknąć mu z oczu. Tak samo nie chciała znaleźć się z Maksem sam na sam, żeby przypadkiem nie zaczął mówić, że podczas jej ostatniej wizyty popełnili ogromny błąd, uprawiając seks.

To był ich pierwszy raz od... od tamtego pierwszego razu, który przydarzył się wiele miesięcy temu, tuż przedtem, nim Max został postrzelony. To, że się znowu kochali - ni mniej, ni więcej tylko tu, w centrum rehabilitacji - było prawie tak samo zaskakujące dla niej jak dla niego. Nie chciała teraz omawiać tej kwestii, choć była przygotowana do walki, jeśli zajdzie potrzeba.

Boże, ten sposób, w jaki patrzył na nią, kiedy myślał, że ona tego nie widzi... Co prawda nie zdarzało się to zbyt często. Najczęściej wtedy, gdy Max był wyczerpany albo gdy dopiero co się obudził.

Max jej pragnął, a Gina świetnie o tym wiedziała. Była tego pewna, tak samo jak tego, że niebo jest błękitne, a Ziemia okrągła.

Ta świadomość ośmieliła ją do tego stopnia, że zaledwie przedwczoraj pozwoliła sobie na odegranie małej scenki uwodzenia. Poza tym coś sobie uświadomiła w czasie tych bezkresnych dni i nocy, kiedy Max balansował na krawędzi śmierci.

Przekonała się, że kocha tego mężczyznę z całego serca.

I nagle wszystkie powody, dla których była gotowa odejść od niego, wyjechać do Kenii i zacząć nowe życie, przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

A Max poprosił inną kobietę, Alysę Locke - wspaniałą, imponującą kobietę, która pracowała razem z nim w biurze - żeby za niego wyszła. Co z tego? Alyssa go nie chciała. Okazała się na tyle głupia, żeby odrzucić te oświadczyzny. I dobrze. Jej strata.

A zysk Giny.

Nawet jeśli miałyby to oznaczać, iż dostanie go wyłącznie dlatego, że Max przeżył miłosny zawód. Już jej nie obchodziło, że jest tą drugą. Mogła być nawet piątą, to nie miało znaczenia.

Śmiertelne niebezpieczeństwo, w jakim znalazł się Max, sprawiło, że wszystkie te głupstwa przestały się liczyć. Teraz pragnęła tylko być blisko niego.

Dwa dni temu dowiodła, że jej teoria, jakoby seks był słabym punktem Maksa, jest ze wszech miar słuszna. Teraz była pewna, że ich wzajemne przyciąganie to klucz do jego serca. I bezwstydnie postanowiła wykorzystać to odkrycie, żeby osiągnąć zamierzony cel: stać się częścią życia Maksa. A że związki z kimś, kto przeżył zawód miłosny, zwykle kończyły się źle, kiedy kochanek odchodził w stronę dal... No cóż, tym razem stanie się inaczej. Gina miała zamiar dołożyć wszelkich starań, żeby zatrzymać Maksa.

Właśnie odwrócił kartkę książki.

Całkiem miło było patrzeć na niego, kiedy jej nie widział.

Kiedy nie myślał o sytuacjach alarmowych.

Ubrany był w spłowieale dzinsy i koszulę, która musiała być odległą kuzynką koszul hawajskich, a nogi wsunął w kaptcie. Nosił tego typu koszule - tak samo jak klapki - z konieczności, bo obolały obojczyk nie pozwalał na włożenie przez głowę zwykłego T-shirtu. Przyznał, że zrezygnował z noszenia trampek, bo nie mógł ich zawiązać.

Na nosie miał okulary. Gina wiedziała, że kiedy do niego podejdzie, szybkim ruchem ściągnie je i schowa do kieszeni. Być może przez szkła do czytania nie widział jej dostatecznie dobrze albo może była to zwykła próżność.

A może strach przed starością?

Koniecznienie musiała się dowiedzieć, dlaczego różnica wieku pomiędzy nimi stanowiła dla Maksa tak wielki problem. Miło byłoby o tym kiedyś porozmawiać.

Ha! Tak jakby Max miał kiedykolwiek ochotę z nią rozmawiać.

Co on ostatnio powiedział? Że najpierw rak świśnie, a ryba zaśpiewa?

Przyzwyczaiła się myśleć, że Max potrafi rozmawiać. Bóg jeden wie, ile godzin przegadali przez telefon, kiedy po porwaniu samolotu Gina próbowała poskładać na nowo swoje życie. Jednak dopiero

ostatnio przyszło jej do głowy, że tak naprawdę specjalnością Maksa było coś zupełnie innego. Max potrafił słuchać.

Gina zupełnie się przed nim otworzyła, powierzyła mu wszystkie sekrety, marzenia, nadzieje... a w zamian nie otrzymała prawie nic. Wiedziała, że lubi Jimiego Hendriksa; że jego rodzice rozwiedli się, gdy był w college'u; że miał upośledzoną umysłowo siostrę; że w czasie szkoły średniej był zbyt nieśmiały, by mieć dziewczynę, za to na studiach przez trzy lata kochał się jak szalony w panience o imieniu Beverly. Ich drogi rozeszły się, kiedy Max skończył wcześniej szkołę; Beverly poślubiła kogoś innego i miała już dwoje dzieci.

Gina była absolutnie pewna, że coś tam pominął w tym opowiadaniu, choć nie omieszkał zaznaczyć, że te dzieci są mniej więcej w jej wieku.

Opierając się o framugę, przyglądała się, jak Max zakreśla flamastrem jakiś ustęp. To tyle, jeśli chodziło o podejrzenia, że Max czytuje romanse; no, chyba że chciał zaznaczyć jakiś szczególnie interesujący fragment i wykorzystać go przy następnej okazji, kiedy będą nadzy i sami.

Jakiś stukot i podniesione głosy dochodzące od strony stołu bilardowego sprawiły, że Max spojrzał w tamtym kierunku, a Gina schowała się głębiej w cień.

- Tak! Hurra!

To krzyczał młody chłopak w specjalnym, wyjątkowo wysokim i budzącym przerażenie fotelu inwalidzkim, który grał w bilard z jedną z pielęgniarek. Wyglądał mniej więcej na dwanaście lat, ale Gina sądziła, że dzieciak jest po prostu drobny.

Upuścił kij na wyłożoną płytkami podłogę i jeździł jak szalony dookoła stołu, wykonując przy tym dzikie harce.

- Kto wygrał? No kto? Ja wygrałem!

Miał anielsko piękną twarz - wielkie piwne oczy i delikatną, lekko brązową skórę - ale jego ręce i ramiona wyglądały tak, jakby niedawno skończył ciężką harówkę w piekle. Były tak poparzone, że właściwie nie przypominały już rąk. Pozostałości palców wyglądały jak pokręcone szpony drapieżnego ptaka, a szerokie, grube blizny szpeciły ramiona.

- Ajay, bądź cicho - upomniała go pielęgniarka. - Ten pan próbuje czytać.

Chłopak siedział w pozycji, która sugerowała, że jego nogi są zupełnie bezwładne - z kolanami lekko przechylonym na jedną stronę i złączonymi stopami. Zwinnie przesunął fotel w kierunku Maksa, używając pilota umieszczonego pod prawą dłoń.

- Wie pan, trenuję, żeby być mistrzem, kiedy skończy mi się forsa z polisy. Jest pan gotów stracić dwadzieścia baksów?

Max uśmiechnął się i odłożył książkę.

- Dzięki, ale teraz raczej nie. Za chwilę powinna przyjść moja przyjaciółka.

Właśnie w ten sposób mówił o Ginie. Nie „moja dziewczyna”. Nie „ukochana”.

Świetnie. Choć to określenie bardzo ją przygnębiło, uznała, że lepiej wiedzieć, niż żyć w nieświadomości.

Zobaczyła, jak Ajay wyciąga rękę.

- Nazywam się Ajay Moseley. Po wypadku samochodowym.

Najwyraźniej był to sprawdzian, a Max zdał go śpiewająco. Bez zawahania ujął zniekształconą dłoń dziecka i mocno ją uściskał.

- A ja Max Bhagat. Zostałem postrzelony.

- Tak, wiem. Jest pan wielkim bohaterem i wszyscy w kółko rozmawiają wyłącznie o panu. Pan FBI, któremu jakiś drań strzelił prosto w pierś, a mimo to zdołał jeszcze obalić faceta na ziemię i przytrzymać. Dobra robota. - Ajay oparł się o tył fotela. - A wie pan, jak o mnie tu gadają? „Biedny mały Ajay, pewnie niedługo umrze, jeśli nie znajdą dla niego nerki”. - Tu zaszlochał z wdziękiem i udał, że ociera łzy.

Max pokręcił głową.

- Wcale nie. Jesteś zupełnie jak ja. Też zasłużyłeś sobie na duże T z dużym S.

Ajay zmrużył na moment oczy.

- No może... A co to znaczy, to T coś tam?

- Twarda Sztuka - wyjaśnił Max.

Ajay roześmiał się, bo słowa Maksa wyraźnie sprawiły mu przyjemność.

- Cholera, chyba ma pan rację.

- Ajay, musimy już iść do Kevina - powiedziała pielęgniarka.

- Do Kevina oprawcy? - zawołał Ajay. - Och, co za szczęśliwy dzionek. Czy już miał pan okazję spotkać Kevina, panie FBI? - Bez wysiłku zmienił akcent na kalifornijski. - „Chłopie, nie tak! Pchaj to mocniej! Obaj wiemy, że jutro będziesz w o wiele lepszej formie, nawet jeśli dziś boli tak, że za chwilę krew ci polecą z uszu”.

- Taak... - Max się zaśmiał. - Dwa razy dziennie chodzę do tej sali tortur na ćwiczenia. A na imię mam Max.

- No to jak, może zagramy w bilard jutro rano? - zapytał Ajay. - Na przykład około dziesiątej? I nie musisz zabierać z sobą portfela. Przynajmniej do czasu, kiedy się okaże, czy jesteś lepszy ode mnie.

Pielęgniarka delikatnie popchnęła jego fotel.

- Jestem pewna, że pan Bhagat ma mnóstwo...

- A więc o dziesiątej - przerwał jej Max. - Choć czekaj... O dziesiątej kończę zajęcia z Kevinem, a potem muszę chwilę

odsapnąć... Może być dziesiąta trzydzieści? Oczywiście, jeśli przeżyję?

- Pani LeBlanc - Ajay zwrócił się do pielęgniarki przesadnym angielskim akcentem. - Proszę sprawdzić mój rozkład zajęć - szczególnie starannie wymówił słowo „rozkład” - i zaznaczyć tam poranne spotkanie z moim przyjacielem Maksem. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - No to do jutra, kolego.

Gina cofnęła się w głąb korytarza, kiedy pielęgniarka skierowała fotel w stronę wyjścia, ale było już za późno. Max zdążył ją zauważyć.

- Cześć. Więc Victor wrócił już do Nowego Jorku? - spytał na wstępie.

- Nie, przyszedł ze mną. - Gina wskazała na przejście, gdzie ostatni raz widziała brata. - Chyba flirtuje gdzieś z pielęgniarkami.

Weszła do sali.

- Jak się czujesz?

Popatrzył na nią ostrożnie. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Ciągle za dużo śpię.

- To dobrze - zauważyła. - Dzięki temu szybciej odzyskasz siły.

I tak znaleźli się sam na sam. Obydwoje myśleli o jednym, o ich ostatnim spotkaniu, o tym, jak Gina popchnęła Maksa na łóżko, a potem usiadła na nim, i...

O tak, zdecydowanie o tym właśnie myślał. Starał się to ukryć, ale bez powodzenia.

Może pomyśl, żeby przyjść tu dzisiaj w towarzystwie brata jako przyzwoitki, był całkiem chybiony. Gdyby zjawiała się sama, może wcale nie doszłoby do dyskusji, której tak się obawiała. Może jedynie musiałaby pozwolić, żeby Max popatrzył w jej oczy i wyczytał w nich, jak bardzo pragnie się z nim kochać, a wtedy tylko wyciągnęłyby do niego rękę i...

- Przepraszam...

Oboje, Max i Gina, jak na komendę odwrócili się do drzwi i zobaczyli tę samą pielęgniarkę, która grała w bilard z kalekim chłopcem.

- Przepraszam, że państwu przeszkadzam - zaczęła niepewnie. - Jestem... Mam na imię Gail - powiedziała i wyciągnęła rękę. - Nie mieliśmy dotąd okazji się spotkać, bo głównie zajmuję się Ajayem.

Miała miłą szczerą twarz i ciepły uśmiech.

- Chciałam tylko powiedzieć... No cóż, mam nadzieję, że nie będą państwo mieli mi za złe, ale Ajay ma brata, Ricka... Rick bez przerwy obiecuje mu, że go odwiedzi, a tak naprawdę przez ostatnie półtora roku pokazał się tutaj raz... Dlatego chciałam prosić, żeby nie obiecywał pan mu nic, czego nie będzie pan mógł dotrzymać. Przepraszam, to zabrzmiało tak obraźliwie... Ale chodzi mi o to, żeby nie przeżywał już żadnych rozczarowań. On pokazuje światu pogodną twarz, ale to właśnie ja słyszę, jak Ajay płacze nocami - zakończyła tonem usprawiedliwienia.

- Ile on ma lat? - spytał Max.

- Czternaście - odpowiedziała Gail. - Nie jestem pewna, czy to sam wypadek, czy lekarstwa, jakie zażywał po nim, wpłynęły na zahamowanie wzrostu. Wiem tylko, że to prawdziwy cud, że w ogóle żyje. Zginęła cała jego rodzina z wyjątkiem Ricka, bo akurat nie było go w samochodzie. Minęły już trzy lata, a Ajay na przemian jest stąd wypisywany i wraca z powrotem. Za każdym razem robią mu jakąś operację. Najpierw miał problemy z gojeniem się ran, a teraz doszły kłopoty z nerkami.

Max skinął głową.

- Proszę mu powiedzieć, że spotykamy się jutro o dziesiątej trzydzieści.

Gail uśmiechnęła się, ale widać było, że dalej się niepokoi.

- Max przyjdzie na sto procent - zapewniła Gina. - W dodatku na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, by pani zadzwoniła do niego, by mu przypomnieć.

- Absolutnie - wtrącił Max. - Jeśli dzięki temu pani poczuje się lepiej...

- Bardzo dziękuję - powiedziała Gail.

- No no - odezwała się Gina z podziwem, kiedy pielęgniarka zniknęła za drzwiami. - W tej instytucji pracują osoby, które naprawdę przejmują się pacjentami. Może powinnam być zazdrosna?

Głupie pytanie otworzyło furtki, które powinny pozostać zamknięte.

- Musimy porozmawiać o tym, co wydarzyło się przedwczoraj - oświadczył natychmiast.

- Jak sobie życzysz. - Usiadła naprzeciw niego. - A o czym konkretnie chcesz rozmawiać, dzika bestio? O tym, że dzięki tobie miałam chyba najwspanialszy orgazm w życiu?

Max zamknął oczy.

- Gina...

Pochyliła się w jego stronę i ściszyła głos.

- Albo może o tym, jak usiadłam na tobie i wprowadziłam cię w siebie, a ty wchodziłeś we mnie coraz głębiej, bardzo głęboko, i, mój Boże, czułam się tak niesamowicie...

- Przestań!

- ... wspaniale. Wiedział, że jest bez szans.

Gina sięgnęła po jego rękę.

- Jeszcze zanim stąd wyszłam, myślałam o tym, jak będziemy znowu się kochać. I o tym, jak było nam dobrze. I wystarczy, że siedzę tu obok ciebie, a już ogarnia mnie podniecenie.

Nie wyjął ręki z uścisku Giny. A kiedy podniósł głowę i popatrzył w jej oczy, zobaczył w nich prawdziwy ogień.

- Wiem, co próbujesz osiągnąć - odezwał się. - I chcę ci powiedzieć, że to...

- Działa? - skończyła za niego, śmiejąc się, bo jej słowa naprawdę zrobiły na nim wrażenie.

I to właśnie takie, jak chciała. Gdyby byli teraz w jego pokoju, znowu zaryglowałyby drzwi.

A on by się nie sprzeciwiał. Świetnie o tym wiedziała. Albo raczej robiłby to bez przekonania. Postanowiła mocniej go przycisnąć.

- Wiesz, myślałam, że jeśli często będziemy uprawiać seks, to przestanę tak bardzo cię pożądać. Ale okazało się, że jest dokładnie odwrotnie. - Przysunęła się bliżej i szepnęła słodko: - Bez przerwy myślę o tobie, Max. Dniem i nocą. Czasami wydaje mi się, że mogłabym się kochać z tobą co godzinę, a i tak nie miałabym dość. Chciałabym cię mieć w środku, powiedzmy, przez dwa tygodnie, non stop.

O, taak... To było celne uderzenie. Czuł się trochę niezręcznie, kiedy Gina szczerze i bez ogródek mówiła o tak intymnych sprawach, ale z drugiej strony jej słowa zaczynały go podniecać. Czyż to nie zabawne?

- A co potem? - spytał. - Co po tych dwóch tygodniach?

- Nie wiem - odpowiedziała uczciwie. - Może spróbujemy i zobaczymy, co z tego wyjdzie? Ostatecznie, to przecież nam nie zaszkodzi...

- Owszem, zaszkodzi - odparł cierpkim tonem. - Tobie zaszkodzi, a ja tego nie chcę. Posłuchaj, Gina...

- O, tutaj jesteście.

Gina podniosła głowę i ujrzała brata idącego w ich stronę. Max skorzystał z okazji, żeby wysunąć rękę z jej dłoni. Cholera, Victor jak zwykle wybrał sobie fatalny moment. A może wręcz przeciwnie, może akurat dobrze się stało.

- Cześć, Max! - zawołał dziarsko.

Max nie podniósł się z krzesła, żeby go powitać. Wciąż jeszcze trzymał w pobliżu laskę, bo widocznie czuł się niezbyt pewnie na własnych nogach. A może tym razem w grę wchodziła całkiem inna sprawa. Gina miała nadzieję, że tak.

Vic zamknął dłoń Maksa w stalowym uścisku, jakby chciał zgnieść mu wszystkie palce. Gina zawsze dostawała szału, kiedy widziała, jak jej brat zaczyna zgrywać macho.

- On jest znacznie młodszy, niż zapamiętałem - powiedział do niej Vic.

Znakomicie. Wielkie dzięki, drogi bracie.

- Widzieliśmy się co prawda krótko, przed kilkoma laty - zwrócił się do Maksa. - Wygląda na to, że postrzały ci służą.

Gina nie wytrzymała.

- To chyba największa głupota, jaką kiedykolwiek od ciebie słyszałam - warknęła do brata, który właśnie wysunął się na prowadzenie jako najgłupszy z jej trzech bardzo głupich braci.

- O co ci chodzi? - Vic wzruszył ramionami i rozejrzał się za krzesłem. - Mówiłem tylko, że Max świetnie wygląda. No wiesz, jak na starszego faceta. Co, chyba trochę schudłeś na tym szpitalnym wikcie, nie?

- Tak, Victor. Tu nazywają to dietą umarłaków - odpowiedziała Gina i zwróciła się do Maksa. - Mój brat naprawdę jest kompletnym idiotą.

- Okay, wszystko w porządku - odparł, na przemian zginając i prostując palce. Bez wątpienia sprawdzał, czy Victor przypadkiem któregoś nie złamał. - Ciągłe mieszkasz na Manhattanie, Vic?

- Nie, biuro przeniosło się do Jersey mniej więcej rok po jedenastym wrześniu. Dojazdy kompletnie mnie wykańczały, więc w końcu załadowałem graty i przeniosłem się na drugą stronę rzeki. Mieszkam teraz w pieprzonym Hackensack i prawie każdego ranka, kiedy się budzę, zastanawiam się, jak do diabła, do tego doszło.

- Znam to uczucie - odparł Max.

Ten komentarz był skierowany do Giny, ale udała, że nie wie, o co chodzi.

- Możesz zawsze rozejrzeć się za nową robotą - zauważyła.

- Na tym rynku? Nie sądzę. - Victor pokręcił głową. - Przy moim szczęściu zaraz by się rozeszły jakieś plotki i zanim bym się obejrzał, wyleciałbym z firmy. Nie mamy tyle farta, Geen, żeby wciąż jakaś linia lotnicza przelewała nam na konto forszę z odszkodowania.

- Farta? - powtórzył Max z niedowierzaniem.

Max najwyraźniej pomyślał, że brat Giny naprawdę uważa za szczęśliwy zbieg okoliczności fakt, iż siostra znalazła się na pokładzie porwanego samolotu, którym ona i jazz - band z jej college'u lecieli na tournée do Europy. I że pieniądze, które dostała od linii lotniczej, sprawiły, że ta cała gehenna w sumie się jej opłaciła.

Pospiesznie dotknęła ramienia Maksa.

- On miał zupełnie co innego na myśli.

Victor chyba nawet nie zauważył, że właśnie nadepnął Maksowi na wyjątkowo bolesny odcisk.

- Nawiasem mówiąc, kupiłem sobie segment, kiedy raty kredytu były wyjątkowo niskie. Potem sprawy nie wyglądały już tak dobrze.

Max z całej siły zacisnął zęby, aż zadrgały mu mięśnie na policzkach.

- Wszystko w porządku - szepnęła Gina. - To wcale mnie nie dotknęło.

Nigdy nie powiedział ani słowa na ten temat - nigdy by się na to nie odważył - ale Gina wiedziała, że Max ciągle gryzie się tym, co ona przeżyła jako zakładniczka na pokładzie tamtego samolotu.

I to jak.

Pan Ciężko Myślący zerknął na zegarek.

- Chyba musimy powoli się zbierać - oznajmił, podnosząc się z krzesła. - Mam jeszcze spotkać się w Fairfax z kilkoma kumplami z college'u.

Znowu wyciągnął rękę do Maksa.

- No to cześć. Miło było znowu cię zobaczyć, chociaż to trochę głupio, że ty i moja mała siostrzyczka...

- Już wystarczy, Victor - przerwała mu Gina.

W odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Powiedziałem tylko, co myślę. To zwykła uczciwość. Przecież to ty zawsze bręczysz mi nad uchem, żebym był uczciwy.

- To teraz idź sobie z tą uczciwością na korytarz - zarządziła.

- Wszystkiego dobrego, chłopie. - Vic kiwnął Maksowi ręką na pożegnanie i wyszedł.

- Jeśli Vic nie wróci szybko do domu, to wsadzą mnie za morderstwo - powiedziała, gdy zostali sami. - Gdybyś tylko słyszał te bzdury, którymi zasypuje Julesa. Za wszelką cenę próbuje go skłonić, żeby biedak się przyznał, że tak naprawdę wcale nie jest gejem. Weź tylko pomyśl, chłopie - zaczęła naśladować głos brata. - Na przykład Catherine Zeta - Jones. Wyobraź sobie, wracasz z roboty do domu, a tu ona leży nago w twoim łóżku. I co, może chcesz mi wmówić, że zostawiłbyś w spokoju takie cacko? Nie wierzę.

Max uśmiechnął się, ale z jego oczu nie zniknął ponury wyraz.

- Powinnaś mi pozwolić, żebym to ja wykonał egzekucję.

- Ciągłe cię to dręczy, prawda? - spytała Gina. - To, co przydarzyło mi się w tamtym samolocie. - Nie czekała na odpowiedź.

- Szkoda, że nie widziałeś swojej miny, kiedy Vic zrobił tę durną uwagę o odszkodowaniu. Powinniśmy o tym porozmawiać, Max. Może za dwa tygodnie?

Miała nadzieję, że nawiązanie do wcześniejszej konwersacji przywoła na jego usta uśmiech, ale spotkał ją zawód. Max znów zacisnął zęby.

Pochyliła się w poprzek stolika, żeby go pocałować. Nie odpowiedział jej tym samym, ale również nie próbował się odsunąć.

- Victor ma samolot jutro o dwunastej trzydzieści - powiedziała. - Podrzucę go rano na lotnisko, a potem, kiedy skończysz grać w bilard, spotkamy się w twoim pokoju. Nie będziesz miał kłopotów, żeby mnie rozpoznać - kobieta, która usiądzie na twoim łóżku z lunchem w rękę, by wkrótce się rozebrać do naga, to właśnie ja.

Pocałowała go jeszcze raz i zanim zaczął sprzeczkę, skierowała się ku drzwiom.

Oczywiście niewykluczone, że Max wcale się nie pojawi. Że - jak określił to Vic - zostawi w spokoju takie cacko.

Obejrzała się i dostrzegła w jego wzroku pożądanie.
I już wiedziała, że Max przyjdzie.

Rozdział Piąty
Hamburg, Niemcy
21 czerwca 2005
Dzień dzisiejszy

Ciało Giny znajdowało się już na lotnisku. Wyższy stopniem szef miejscowego zespołu FBI Walter Frisk osobiście pofatygował się, żeby spotkać Maksa tuż przy samolocie, co z pewnością było zasługą Julesa Cassidy'ego.

Frisk potrząsnął ręką Maksa, wybąkał coś na temat żalu po stracie, a potem rozkazał lokalnym ochroniarzom przeprowadzić gości przez odprawę i terminal aż do kostnicy, pilnując przy tym, żeby nikt ich nie niepokoił ani nie zadawał zbędnych pytań.

Wszystko to także załatwił Jules. Bez wątpienia młody agent miał jaja. Kiedy dotarli pod drzwi pomieszczenia, gdzie trzymano ciała zabitych, Jules podziękował Friskowi i uprzejmie, aczkolwiek zdecydowanie odprawił faceta, mówiąc mu - nie prosząc! - żeby razem z ochroniarzem zaczekał na zewnątrz.

W ten sposób zapewnił Maksowi odrobinę prywatności, żeby mógł wejść do środka sam.

I Max wykorzystał tę sposobność, choć miał wrażenie, że jego nogi są z ołowiu. Przygotował się psychicznie na tę chwilę, bo niezależnie od tego, jak ciężkie wydawały mu się ostatnie dwadzieścia cztery godziny, najbliższe kilka minut z pewnością będzie jeszcze gorsze.

Gina nie była sama. Pod białymi ścianami piętrzyły się tuziny trumien opatrzonych identyfikatorami, które bez wątpienia zawierały zwłoki pozostałych ofiar ataku terrorystycznego, a także turystów, którzy w czasie wakacji doznali ataku serca lub ulegli wypadkowi samochodowemu, oraz kilku emigrantów, nareszcie gotowych, by wrócić w rodzinne strony.

Ktoś ulokował otwarty pojemnik z ciałem Giny - Max ciągle nie mógł się zmusić do myślenia o nim jak o trumnie - na stole znajdującym pośrodku pomieszczenia. Prawdopodobnie ten sam ktoś naciągnął białe prześcieradło na jej twarz. Max stał przez dłuższą chwilę, wpatrując się w prześwitujący spod całunu profil ukochanej.

Na jej wydatny nos.

Gina żartobliwie nazywała go swoim dziobem. Swoją przepustką do ekstradujej porcji tiramisu, kiedy jadła kolację w Małej Italii.

Nigdy jej nie powiedział, że jego zdaniem dzięki temu nosowi jej twarz przypomina jeszcze bardziej twarz egzotycznej piękności. Nigdy nie powiedział, jak bardzo go kocha.

Jak bardzo ją kocha.

Mijały minuty. Wiele, wiele minut.

Max nie podnosił prześcieradła. Po prostu nie mógł się ruszyć.

Nie chciał widzieć jej w majestacie śmierci.

Mimo to wiedział, że będzie musiał spojrzeć. Nie mógł zabrać jej do domu, dopóki nie potwierdzi jej tożsamości.

Lecz dopóki jej nie ujrzał, dopóki nie dotknął zimnej, zastygłej twarzy, mógł udawać, że wszystko to pomyłka. Że tak naprawdę Gina nie umarła. Że w jej oczach ciągle jeszcze mienia się iskierki, które widział tam, kiedy się śmiała i pochylała w jego stronę, by go pocałować.

Zostanę, dopóki mnie będziesz chciał.

Ale nie została. Udało mu się ją przekonać, że nie jest mu potrzebna.

A teraz Gina nigdy już go nie pocałuje. I to dlatego, że on tak cholernie bał się tego związku.

- Max, wchodzę! - Jules Cassidy z głuchym trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

Chryste Panie. Max z trudem wydobył z siebie głos.

- Nie! - Ten dźwięk bardziej przypominał warknięcie niż normalne słowo.

Ale Cassidy nawet się nie zawahał.

- Kochany, stoisz tu już prawie pół godziny - powiedział miękko.
- Umówmy się, że to ja podniosę to prześcieradło, żebyśmy mogli ją zobaczyć, dobrze?

Najwidoczniej było to jedno z tych pytań, na które nie oczekuje się odpowiedzi, bo Jules nie dał Maksowi czasu na odpowiedź. Po prostu wyciągnął rękę i...

O Boże, Boże, Boże! Gina była straszliwie poparzona. Max wzdrygnął się, odskoczył, ale potem...

Zatrzymał się. Miał wrażenie, że uszło z niego całe powietrze, jakby otrzymał potężny cios w żołądek. Nie mógł oddychać, nie potrafił wykrztusić słowa.

Ale Jules mógł.

- To nie ona! - wyszeptał z niedowierzaniem. - Chryste, to nie jest Gina!

Ktokolwiek leżał w tej trumnie, był młody, płci żeńskiej, z długimi ciemnymi włosami i wydatnym nosem. Za życia ta dziewczyna musiała wyglądać zupełnie jak Gina, zwłaszcza z pewnej odległości. O zmroku.

Lecz niezależnie od tego, kim była, nie była Giną Vitagliano.

Przez moment wydawało się całkiem prawdopodobne, że Max zacznie wymiotować.

Powstrzymał się siłą woli, bo wiedział, że pochłonie to zbyt dużo cennego czasu.

Zamiast tego odwrócił się i uważnym spojrzeniem obrzucił rzędy trumien stojące dookoła pomieszczenia. Jules, sprytny chłopak, w lot zorientował się, o co szefowi chodzi, i ruszył z pomocą.

Zamki nie były zatrzaśnięte. Wieko odskoczyło i...

Jakiś starszy mężczyzna.

- Przepraszam, że panu przeszkodziłem, sir. - Jules Cassidy delikatnie opuścił pokrywę.

Max chwycił wieko następnej.

- Jemu to wisi, on nie żyje - warknął w stronę Julesa.

Pstryknięciem otworzył zamki, podniósł wieko trumny i zamarł, ponieważ leżała tam kolejna młoda kobieta o długich ciemnych włosach, lecz - dzięki Bogu - to również nie była Giną.

I w tym momencie coś w nim pękło. Musiał wydać z siebie jakiś niepokojący dźwięk, bo Jules w jednej chwili znalazł się przy nim. Jules, jedyny człowiek, jakiego znał, który wpadł na pomysł, by przeproszać nieboszczyka. Albo który odważył się podtrzymać swojego szefa; szefa, którego surowość i brak tolerancji dla głupich błędów - „wystarczy jedno potknięcie i wylatujesz z zespołu” - były wręcz legendarne.

- Znajdziemy ją, kochany, nie martw się - wyszeptał Maksowi wprost do ucha. - Na pewno. Ale jeśli mam być szczerzy, to raczej nie tutaj.

Przez kilka sekund wydawało się całkiem możliwe, że to Jules jest jedyną podporą Maksa.

- Boże, jakbym chciał, żeby ona żyła - Max wydusił z siebie te słowa, po raz pierwszy pozwalając sobie na emocje. Pragnął tego tak bardzo, że obawiał się, iż nie będzie zdolny do bezstronnego osądu

sytuacji. Oderwał się od Julesa i wytarł z łez twarz. Do diabła, póki nie znajdzie Giny, szkoda czasu na płacz.

- Naprawdę uważasz, że ona żyje?

We wzroku Julesa dostrzegł uprzejmość i sporą dozę współczucia i to doprowadziło go do szału.

- Cholera, nie zgrywaj mi tutaj jakiegoś pieprzonego przyjaciela, dobrze?! Wcale nie jesteś moim przyjacielem! Niech to diabli wezmą! - wrzasnął, choć świetnie wiedział, że nie powinien rozmawiać w ten sposób z żadnym podwładnym. - Ty tylko dla mnie pracujesz! Odpowiadaj mi tak jak doświadczony agent, jakby twoja robota zależała od tego, czy powiesz prawdę.

Jules skinął głową i zamknął drugą trumnę, tym razem po cichu przepraszając jej właściciela.

- Nie po raz pierwszy mam do czynienia z czymś takim - wyjaśnił spokojnie. - Myślę o niewłaściwym umieszczeniu ciała. Wie pan o tym równie dobrze jak ja, sir. Takie pomyłki zdarzają się całkiem często.

Otworzył zamki w kolejnej trumnie, a Max zacisnął zęby, kiedy unosili jej wieko.

Młody mężczyzna. Bardzo młody i bardzo martwy. Gdzieś tam jego matka wyplakiwała sobie oczy.

- Ale sądzę, że na tym etapie powinien pan pozwolić sobie choć na odrobinę nadziei - dokończył Jules, przechodząc do następnych zwłok.

Max znowu musiał wytrzeć oczy. Nie płakał wcale, gdy był przekonany, że Gina nie żyje. Ta nieszczęsna nowina zmieniła jego serce w głąz. Jednak teraz te głupie łzy za nic nie chciały przestać płynąć.

Nadzieja nie była jedynym uczuciem, jakie go przepełniało. Drugim był strach. Jeśli Gina rzeczywiście żyje, to gdzie się podziewa? Jeśli nie znalazła się wśród martwych, mogło jej grozić poważne niebezpieczeństwo.

- Chyba będzie nam tu potrzebna pomoc - Jules spojrział przez ramię na trumny stojące nawet po sześć jedna na drugiej. - Ja mogę tu zostać, a Frisk niech podeśle nam któregoś ze swoich ludzi.

Na moment umilkł, żeby się przekonać, czy Max w ogóle go słucha.

- Tak samo będziemy potrzebować dwukrotnego sprawdzenia kodu DNA w laboratorium. Wie pan o tym, prawda?

- Taak...

Z niektórych zabitych w wybuchu zostały jedynie porozrywane cząstki ciał... Kiedy Max to sobie uświadomił, przestali się mazać.

- Może pojedziesz do hotelu? - zasugerował Jules. - A ja w tym czasie porozumiem się z ludźmi Friska i sprawdzimy, czemu ta obca dziewczyna figurowała na liście jako Gina Vitagliano. No wiesz, czy miała przy sobie paszport Giny, czy może paszport został odnaleziony gdzieś w rumowisku i ktoś doszedł do wniosku, że należał właśnie do niej? Na Boga, Max, jeśli paszport Giny został zgubiony lub skradziony...

Mogło się tak zdarzyć. Gina mogła wpaść gdzieś na krótko, na przykład do Berlina. Albo gdzie indziej. I nawet nie zauważyć, że zniknął jej paszport. Psiakrew, mogła w ogóle nie wiedzieć, że uważa się ją za zmarłą!

Jeśli paszport Giny został skradziony, to ona sama mogła teraz przebywać w hotelu...

- Wiem, że to pewnie pobożne życzenia - zauważył Jules. - Chociaż z drugiej strony nie pierwszy raz zdarza się tego typu bałagan i... oj!

Nadmiar nadziei powalił Maksa na kolana. Zbyt duże emocjonalne obciążenie, którego nie mógł złagodzić, płacząc jak mała dziewczynka, dało w końcu o sobie znać i pojawiło się niebezpieczeństwo, że Max po prostu padnie trupem.

Jules przykucnął za nim i zbadał mu puls.

- Hej, dobrze się czujesz, szefie? Nie szykuje ci się zawał albo na przykład coś w rodzaju wylewu?

- Odpieprz się - burknął Max i uderzył go po rękę. - Jeszcze nie jestem aż tak stary.

- Jeśli naprawdę myślisz, że choroby serca zależą wyłącznie od wieku, to powinieneś koniecznie pogadać z jakimś kardiologiem. Może jutro?

- Ja tylko się... potknąłem - odparł Max, ale kiedy próbował się podnieść, okazało się, że nadal ma kłopoty z zachowaniem równowagi. Cholera jasna.

- A może po prostu odczułeś nagłą potrzebę, żeby paść na kolana i pomodlić się - zażartował Jules, kiedy Max opuścił głowę i czekał,

aż przestanie mu się kręcić w głowie. - To brzmi bardziej wiarygodnie. „Drogi Panie Boże, to ja, Max. Wiem, że nieco zaniedbywałem Cię w ciągu ostatnich czterdziestu hm... lat, ale jeśli dasz mi jeszcze jedną szansę, to zapewniam, że tym razem powiem Ginie, jak bardzo ją kocham. Bo teraz widzę wyraźnie jak diabli, że zatajenie tej istotnej informacji nie wyszło na dobre żadnemu z nas, prawda?”.

- Zrobię, co... - zaczął Max, ale urwał nagle. Do diabła z tym wszystkim! - Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć - warknął.

- Racja, absolutnie nie musisz. - Jules zignorował próby odepchnięcia i pomógł Maksowi dźwignąć się z podłogi. - Ale moim zdaniem powinieneś pomyśleć o jakiejś przemowie typu „Wybacz, że byłem takim skretyniałym dupkiem”, na wypadek gdybyś się spotkał twarzą w twarz z Giną. Choć muszę przyznać, że taka zagrywka z padaniem na kolana też może zrobić na niej wrażenie. Zdecydowanie masz uzdolnienia aktorskie, wiedziałeś o tym?

Max wygładził garnitur i otrzepał jakiś pyłek ze spodni. Nabrał potężny haust powietrza, a potem powoli wypuścił. Musi pamiętać o oddychaniu, to wszystko.

Gina na pewno nie czeka na niego w pokoju hotelowym. Życie nie jest takie proste.

Ciągle nie miał pojęcia, dlaczego w ogóle wyjechała z Kenii ani nawet z kim podróżowała.

- Chcesz, żebym z tobą pojechał do tego hotelu? - pytał Jules. - Bo może tym razem potkniesz się i złamiesz nos albo...

- Nie. - Max pokręcił głową. - Potrzebuję cię tutaj.

Jules był tu poza Maksem jedyną osobą, która mogła zidentyfikować Ginę. Ciągle istniało prawdopodobieństwo, że ona znajduje się w którejś ze skrzynek, że tylko przez pomyłkę włożono gdzie indziej jej ciało.

Szansa, że jednak będzie potrzebna jakaś skrzynia, aby zawieźć ją do domu, była całkiem spora.

Max musiał o tym pamiętać. Bo nawet jeśli Gina pozostała przy życiu, to zaginęła bez wieści. Wszystko jednak wskazywało na to, że nie pozostała. Nawet jeśli nie znalazła się wśród ofiar wybuchu, jej paszport mógł wpaść w ręce osoby, która nie chciała, żeby Gina zgłosiła jego kradzież. W najbardziej optymistycznej wersji Gina mogła teraz leżeć związana w jakiejś zaryglowanej szczelnie piwnicy

na odludziu. W pesymistycznej znajdowała się pod brudną podłogą tego pomieszczenia.

Mimo to szanse Maksa na odnalezienie Giny żywej były znacznie większe niż wówczas, gdy wchodził do tego pomieszczenia. I za to dziękował losowi.

Jules trzymał już dłoń na gałce drzwi, a z pozycji jego ciała Max odczytał jasne pytanie: gotów?

Po raz ostatni wytarł twarz. Był gotów jak jeszcze nigdy dotąd, ale najpierw odchrząknął, bo musiał jeszcze coś powiedzieć.

- Dziękuję, Cassidy.

Chyba po raz pierwszy w życiu Jules Cassidy nie próbował zażartować. Zresztą nie skomentował słów szefa również w żaden inny sposób. Zwyczajnie pochylił głowę i popchnął drzwi tak, że stanęły otworem.

- Ależ naprawdę nie ma za co, sir - powiedział, kiedy obaj wychodzi li na zewnątrz.

Sir.

Nie „kochany”. Nawet nie „Max”.

Nie powiedział tego tutaj, gdzie ktoś przypadkiem mógłby ich usłyszeć. Ale kiedy szli korytarzem w stronę Friska i czekającego razem z nim ochroniarza, Jules nie zdołał się powstrzymać.

- No to co z moim awansem? - zamruczał tak cicho, że nawet Max miał kłopoty z usłyszeniem go. - Mam go już w kieszeni, prawda, płaczliwy chłoptasiu?

I wtedy Max zrobił coś, co jego samego zaskoczyło. Zaczął się śmiać. Zaledwie kilka godzin temu, gdy wchodził do terminalu na lotnisku w Hamburgu, by zidentyfikować ciało Giny, myślał, że już nigdy nie będzie się śmiał. I proszę.

Kenia, Afryka

23 lutego 2005

Cztery miesiące wcześniej

Było już po północy, kiedy Molly w końcu przyszła do jego namiotu.

Jones czekał na nią i wiedział, co powinien zrobić. Nie przypuszczał tylko, jak ciężko mu będzie dotrzymać postanowienia.

- Nie możesz tu wejść - oznajmił na wstępie, ale Molly już zdążyła wślizgnąć się do środka.

- Nikt mnie nie widział - powiedziała i zaczęła go całować.

Ciekawe, co właściwie sobie wyobrażał? Że Molly będzie potulnie czekać na zewnątrz? I że zrozumie, że chociaż niebezpieczeństwo nieco się zmniejszyło, to jednak nie zniknęło całkowicie i że tak naprawdę wcale nie mogą być pewni, czy nikt jej nie śledził, kiedy wchodziła do tego namiotu?

Chryste, czy naprawdę był tak głupi i wierzył, że kiedy znajdzie się z nią sam na sam, będzie w stanie odsunąć się i powiedzieć, żeby przestała go całować? Czekał przecież całą wieczność, żeby znów być z nią, i ten czas dłużył mu się jak cholera...

Całowała go wyjątkowo zachłannie. I on, choć był takim bohaterem, nie zdołał się powstrzymać i odpowiedział tym samym.

Całował ją, choć wiedział, że nie może i nie powinien. Zresztą, niech diabli porwą ostrożność. Miał wrażenie, że trzyma w ramionach ogień, więc przycisnął ją do siebie jak najmocniej; tyle lat tłumił w sobie pożądanie.

Molly przesuwiała palcami po jego plecach, ramionach i szyi, aż w końcu zaczęła gładzić go po włosach, jakby chciała się upewnić, że on naprawdę jest tuż przy niej. W pewnym momencie jego dłonie spoczęły na jej zdumiewająco zgrabnym tyłeczku, wówczas objęła go ciasno jedną nogą, jakby pragnęła znaleźć się jeszcze bliżej ukochanego.

- Jesteś taki mizerny... - wyszeptała bez tchu. - A ta laska... Na pewno nic ci nie jest?

- Nie. Wszystko w porządku. Laska służy mi wyłącznie jako podpórka.

Czuł, że musi jej przypomnieć, by nazywała go teraz Leslie albo Les. Do czorta, a tak dobrze mu było w skórze Dave'a Jonesa. Jako Jones poznał kiedyś Molly. I to w Jonesie zakochała się bez pamięci.

Molly znowu zaczęła go całować, a potem... Tak, zdecydowanie chciała być jeszcze bliżej, więc rozpięła mu spodnie, podniosła spódnicę, wspięła się nieco wyżej i...

Jones usłyszał dźwięk, jaki w uniesieniu wydała z siebie Molly, wiedział, że jego głos musiał zabrzmieć podobnie. Tylko nagła myśl, że zachowują się zbyt głośno, powstrzymała jego gwałtowność, kiedy jednym pchnięciem wszedł w Molly.

O Boże, Boże... Dzięki Ci, wielkie dzięki!

Chociaż wcale nie wyglądało to tak, jak wiele razy sobie wyobrażał.

W najbardziej fantastycznej wersji ich spotkania Molly całowała go delikatnie na powitanie i był to doprawdy słodki powrót do domu. Była czuła i pełna ciepła, a jej prześliczne oczy zawsze wypełniały się łzami. Jedna z nich spływała po policzku, więc starł ją kciukiem, a potem objął dłonią jej prześliczną twarz i szepnął, że od dawna marzył o tej chwili.

Zamiast tego całował ją teraz łapczywie i próbował stłumić dźwięki, jakie wydobywała z siebie, kiedy wyprostowana jak struna stawała na czubkach palców, podczas gdy on pieprzył ją po raz pierwszy od tylu lat. A raczej kochał się z nią w niezwykle gwałtowny sposób. Molly nie lubiła, kiedy używał słowa na „p”.

Zupełnie inaczej odnosiła się do słowa na „eh”. Nigdy nie wykorzystał tego w swoich fantazjach, choć może powinien. Najwyraźniej nie tylko on był na zbyt długotrwałej diecie, jeśli chodzi o seks.

Molly czekała na niego, tego był pewien, tyle tylko że jej pozostawała jedynie ślepa wiara w jego powrót. Nic nie wiedziała o planach, które snuł, by ją odnaleźć. Nie miała pojęcia, że każdego dnia, odkąd się rozstali, pracował w pocie czoła, żeby ten moment wreszcie nadszedł.

Od dłuższego już czasu dziękował Bogu za wiele rzeczy, a teraz do tej listy dopisał ciemność panującą w namiocie. Każdy człowiek ma granice wytrzymałości, których nie powinno się przekraczać.

Poczuł, że Molly nagle zwolniła - dzięki Bogu, ponieważ jemu zostały najwyżej trzy sekundy do...

Chryste, przecież nie założył prezerwatywy! Wskoczył z niej tak gwałtownie, że natychmiast zrozumiała, o co chodzi.

- Ja mam - szepnęła i zaczęła szukać czegoś w kieszeni.

Przyniosła prezerwatywę na ich pierwsze spotkanie i Jones wiedział, że to nie był przypadek. Przyszła tu z zamiarem natychmiastowego powrotu do dawnych układów, gorąca i przepełniona pożądaniem, taka sama jak wtedy, gdy ją zostawił. I nie zadawała żadnych pytań typu: „No i co właściwie robiłeś przez ostatnie trzy lata?”.

Dyszac ciężko i starając się dojrzeć w ciemności dusznego namiotu zarys jej twarzy, Jones czuł, jak na nowo wypełnia go miłość do Molly.

Jego kobiety.

No cóż, tak naprawdę nigdy jej tego nie powiedział, ale teraz nie było już na to czasu.

- Zostaw ją na następny raz - powiedział, ale Molly sięgnęła w dół.

- Nie, Molly, stop! - nawet po ciemku widział niedowierzanie w jej oczach. - I tak jesteśmy tu za długo.

Zapiął błyskawiczny zamek w spodniach, choć nie przyszło mu to łatwo, koszulę zostawiając na wierzchu. Wytrzeł oczy rękawem, przyliżał włosy, po omacku znalazł okulary Lesliego i wsunął na nos.

- Popraw spódnicę - polecił.

Najwyraźniej nie zrozumiała, o co mu chodziło, bo nie wykonała najmniejszego ruchu, dopóki nie chwycił jej mocno za rękę i nie wyciągnął z namiotu w noc zalaną księżycowym blaskiem.

- Obawiam się, że to bardzo niestosowne, panno Anderson - odezwał się głośno z brytyjskim akcentem, kuśtykając w stronę oświetlonej mimo późnej pory kantyny. - Nie powinna pani przychodzić do mojego namiotu o tej godzinie, w dodatku bez przyzwoitki.

- Bardzo przepraszam - odparła. Molly nie do końca wyglądała jak kobieta, która właśnie przed chwilą skończyła się kochać. Nie, zaczerwieniona, zalana łzami twarz i splątane włosy mogły świadczyć o tym, że ich właścicielka jest w żałobie i oszalała z rozpacz. Oczywiście, jeśli obserwator miał odpowiednio bujną wyobraźnię. - Ja tylko chciałam...

- Wiem, że chciała mi pani zadać mnóstwo pytań na jego temat. Na temat pani zmarłego przyjaciela.

Sięgnął do kieszeni spodni po chusteczkę, wykorzystując przy tym okazję, żeby spróbować inaczej ułożyć jądra, które teraz były

potwornie ściśnięte. Niestety, nic z tego. Z góry był skazany na porażkę.

Zanim wręczył chusteczkę Molly, na wszelki wypadek wytarł w nią usta. Boże uchowaj, może zaczęła używać szminki, która mogła pozostawić na jego twarzy wiele mówiące ślady.

- Nie bardzo wiem, co jeszcze mógłbym pani powiedzieć - dodał.
- Spotkałem go zaledwie kilka razy.

Trudno było stwierdzić, co najbardziej ją rozbawiło - pozory dobrego wychowania, boleśnie prawdziwe kuśtykanie czy fakt, że miał przy sobie chusteczkę do nosa. Molly wytarła oczy i wydmuchała nos.

- Słyszałam tylko plotki... Jakieś głupoty, coś o tym, że zabił tamtego mężczyznę i że uciekł z jego żoną - powiedziała. - Ale potem słyszałam, że ją także zamordował.

Ależ skąd. Więc ta dawna historia przebyła tak długą drogę i dotarła aż do Afryki? W dodatku została przekreślona i częściowo zmieniona jak wiadomość w obiegającej cały świat grze w głuchy telefon. Lecz mimo to...

- Ale ja go dobrze znałam - ciągnęła Molly. - Nie skrzywdziłby nawet muchy.

Hm... Jones zanotował sobie w pamięci, że musi wrócić do tego tematu w bardziej dogodnym czasie. Teraz inne sprawy były na pierwszym miejscu. W końcu wyszli z kręgu namiotów, więc pochylił się do Molly i znowu ściszył głos.

- To bardzo ważne, żebyś niczego nie robiła inaczej niż zazwyczaj, Mol... Być może to idiotyzm i paranoja, lecz jeśli przypadkiem słyszałaś o... Posłuchaj, nie chcę, żeby do niewłaściwych osób dotarły wieści o tym, że moja udzielająca się charytatywnie eksdziewczyna nagle zaczęła robić słodkie oczy do kogoś, kogo poznała zaledwie parę dni wcześniej. Oczywiście jeśli sypianie z przypadkowymi facetami nie weszło ci w krew.

- Wiesz przecież, że nie - przerwała mu.

Taak... Z zadowoleniem skinął głową.

- W takim razie każdy, kto ma odrobinę rozumu w głowie, doda dwa do dwóch i zorientuje się, kim jestem.

Zatrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu. Nie pozwoliła sobie na dłuższą poufałość, bo przecież o tej porze w kantynie siedziała zwykle siostra Maura, przygotowując sobie herbatę w trakcie przerwy

w szpitalnym dyżurze. Wprawdzie nie powinna zobaczyć ich w świetle księżyca, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Rozumiem, że musimy być dyskretni - powiedziała, a jej oczy znowu zaszyły łzami. - Ciągłe nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś. O rany, ta fryzura naprawdę jest fatalna.

- Byliśmy dyskretni w Indonezji - przypomniał jej Jones. Zdjął okulary i przetaił je rąbkiem koszuli. Musiał coś zrobić z rękoma, bo inaczej zaczęłyby odgarniać włosy z twarzy Molly albo chwycił ją w ramiona, namiętnie pocałował i skończył to, co zaczęli w jego namiocie. - Ile czasu upłynęło, zanim cały obóz wiedział? Dwa dni czy może trzy?

- Może będziemy musieli nawet bardziej... - zaczęła, ale wszedł jej w słowo.

- Dyskrecja nie wystarczy - oświadczył stanowczo i wsunął okulary na nos. - To, co dziś zdarzyło się między nami... Mol, więcej nie możemy się tak spotykać!

- Zdarzyło się między nami? - powtórzyła z wyrzutem. - Chyba w połowie!

Tak, on też o tym pamiętał.

- Przynajmniej na razie tak musi pozostać - dodał.

- Mówisz serio, prawda? - spytała, badawczo patrząc mu w oczy.

Bardzo starał się sprawiać wrażenie stanowczego. Oczywiście w teorii było to znacznie łatwiejsze jako część jego wspaniałego planu.

- Powinniśmy tak zrobić - powiedział, jakby chciał też sobie przypomnieć o własnych postanowieniach.

- Jak długo ma trwać ta „chwila”?

- Kilka miesięcy.

Molly roześmiała się z niedowierzaniem.

- Chcesz mi powiedzieć, że przejechałeś pół świata, żeby...

- Wypić z tobą kawę. Usiąść przy tym samym stole, naprzeciwko ciebie. Psiakrew, Mol, wystarczy mi, jeśli będę mógł siedzieć w tej samej kantynie co ty... Nawet niekoniecznie przy tym samym stole.

- Przez kilka miesięcy - sprecyzowała. - Masz na myśli odcinki czasu, w których zwykle zamyka się całkowity cykl księżyca?

- Tak - odparł krótko. - A zaczniemy od tego, że nawet nie będziesz ze mną rozmawiać przez, sam nie wiem, może kilka tygodni.

Powoli zaczynała ją ogarniać wściekłość. Zupełnie nie pojmowała, co on chce przez to osiągnąć.

- Nie mówisz chyba poważnie, że...

- Jones nie żyje - znów przerwał jej w pół zdania. - Pomyśl o tym. Ja jestem tylko osobą, która przywiozła ci tę nowinę. Pamiętasz to powiedzenie, że posłańców, którzy przynoszą złe wiadomości, należy zastrzelić? Zgoda, chrześcijańskie damy zwykle nie strzelają do ludzi, ale sądzę, że niezbyt chętnie przebywają w ich towarzystwie, przynajmniej przez pewien czas.

- Jestem wystarczająco dorosła, by nie łączyć złych wiadomości z tym, kto je przynosi. A może nie zauważyłeś tych kilku dodatkowych zmarszczek na mojej twarzy spowodowanych przez upływ czasu?

- Musimy to rozegrać tak, żeby wyglądało wiarygodnie - powiedział. - Nie pojmujesz, sam fakt, że tu jestem, napawa mnie przerażeniem? Nie chcę znowu ściągnąć na ciebie niebezpieczeństwa, Molly. Bóg jeden wie, że będę się smażył w piekle za to, co robiłem ostatnio...

Przerwała mu niecierpliwym machnięciem ręki, odsuwając na bok zarówno jego śmiertelne grzechy, jak i lata spędzone na rozpaczliwych próbach ratowania się.

- Więc sądzisz, że jeśli będę cię ignorować przez tydzień lub dwa, to ludzie, którzy nas obserwują - i ci, którzy nie tylko obserwują, powinnam dodać - dadzą się przekonać, że ty to nie ty? I co potem?

Właśnie w tej chwili jedna z osób, które z pewnością nie ograniczały się do biernej obserwacji - znana wszem wobec megiera, siostra Maria - Margarita - otworzyła skrzypiące drzwi dużego, rozpiętego na drewnianej ramie namiotu, w którym sypiały zakonnice. Zawiązując pas dookoła habitu, ruszyła szybkim krokiem w ich kierunku. Jones musiał się pospieszyć.

- Potem zaczniemy powoli działać. Od czasu do czasu będziemy rozmawiać w kantynie, aż w końcu zaprosisz mnie na herbatę. Oczywiście w ciągu dnia i w obecności twojej współlokatorki. Będziemy to przeciągać w nieskończoność przez wiele miesięcy, tyle czasu, ile potrzebuje taki dziwoląg jak Leslie Pollard, żeby uświadomić sobie, że się w tobie zakochał. No a potem jeszcze trzeba mu dać szansę, żeby wziął się w garść i coś z tym zrobił.

Siostra była już dosłownie kilka kroków od nich. Leslie odwrócił się w jej stronę.

- Ogromnie przepraszam, czy przeszkodziliśmy siostrze w nocnym wypoczynku? Panna Anderson nie mogła zasnąć ze zmartwienia, co wydaje się naturalne po otrzymaniu tak strasznych wiadomości... Przyszła do mojego namiotu, by zadać mi kilka pytań, a ponieważ z oczywistych względów nie jest to odpowiednie miejsce do konwersacji, więc... Pomyślałem, że może wstąpimy na szklanę ciepłego mleka. - Pochylając się do zakonnicy, ściszył głos do konspiracyjnego szeptu: - Była tak zrozpaczona, że nie chciałem zostawiać jej samej.

Siostra Maria - Margarita nie zaczęła paplać jak większość kobiet w podobnej sytuacji, nie objęła czule Molly ani nie okazała krzty współczucia. Prawdę mówiąc, obrzuciła Jonesa spojrzeniem, w którym trudno było doszukać się czegokolwiek poza podejrzliwością.

Lecz prawdopodobnie w ten sam sposób patrzyła na każdego mężczyznę, który stąpał po tej ziemi.

Jones odwrócił się do Molly, rzucił jej przepraszające spojrzenie i zaczął się żegnać.

- Zostawiam panią w dobrych rękach, panno Anderson.

- Dziękuję, że był pan tak uprzejmy, panie Pollard - odrzekła z wdziękiem. - Jeszcze raz przepraszam za zawracanie panu głowy i... za wszystko.

Dokładnie wiedział, co miała na myśli. Wracając powoli do swojego namiotu, doszedł do wniosku, że nadchodzące miesiące będą najdłuższymi w całym jego życiu.

Rozdział Szósty

Centrum Rehabilitacji Sheffield, McLean, Wirginia

7 grudnia 2003

Osiemnaście miesięcy wcześniej

- Jaki byłeś jako dziecko? - Gina przerwała ciszę, jaka zwykle następowała po udanym seksie.

Zazwyczaj Max trzymał ją wtedy w ramionach i sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego.

Przyszło jej do głowy, że zamiast leżeć bez ruchu i rozkoszować się tymi momentami, mogłaby nakłonić go do powiedzenia czegoś o sobie. Jednakże Max tylko pokręcił głową.

- Nigdy nie byłem dzieckiem - odparł.

Zaśmiała się i podniosła głowę, żeby na niego popatrzeć.

- Owszem, byłeś. No dalej, opowiedz mi coś. Na przykład jaki był twój ulubiony... program telewizyjny?

Znowu pokręcił głową.

- Rzadko oglądałem telewizję.

- Pewnie Aniolki Charliego - rzuciła i zaczęła chichotać, kiedy Max przewrócił oczyma. - Założę się, że tak jak inni chłopcy powiesiłeś sobie zdjęcie tej, no jak jej tam, Farrah, na ścianie w college'u.

- Bez komentarza. - Uśmiechnął się do niej. - W college'u bardziej interesowała mnie muzyka niż oglądanie telewizji. To znaczy czasami oglądaliśmy Saturday Night, ale... Pamiętam Chrissie Hynde z Pretenders... Była seksowna jak cholera i w dodatku naprawdę potrafiła śpiewać.

Muzyka. Bez przerwy rozmawiali o muzyce. Tak łatwo było o tym rozmawiać.

- Więc jaki był twój ulubiony program, kiedy miałeś, powiedzmy, dziesięć lat?

- Chryste, nie mam pojęcia! - zawołał. - Oglądałem to, co akurat chcieli oglądać brat i siostra. Byli o tyle starsi ode mnie... Tim był fanem sportu, więc mnóstwo razy oglądaliśmy baseball i koszykówkę. A kiedy mojego rodzeństwa akurat nie było w pobliżu... Mój dziadek uwielbiał Elvisa. Razem z nim oglądałem filmy o Elvisie.

Filmy o Elvisie. To było naprawdę zabawne.

- Ile lat miałeś, kiedy dziadek dostał wylewu? - spytała.

- Dziewięć.

- O cholera. To musiało być straszne.

- Taak...

Przez moment milczała i po prostu patrzyła na Maksa w nadziei, że powie coś więcej, choć intuicja podpowiadała jej, że nic z tego. Pamiętała, że kiedyś wyznał jej - a zdarzyło się to dawno temu - że miał dziewięć lat, kiedy siostra po raz pierwszy próbowała popełnić samobójstwo. To był dla Maksa naprawdę fatalny rok.

Pierwszy z wielu kolejnych.

Nic dziwnego, że czuł się tak, jakby wcale nie miał dzieciństwa.

Pochyliła się, żeby cmoknąć go w policzek, ale on w ostatniej chwili odwrócił głowę i w namiętnie ją pocałował.

Boże, ten facet naprawdę potrafił całować. Pocałunek był doskonałym znakiem interpunkcyjnym, który kończył niewygodną konwersację. Poza tym mógł być początkiem jednej z tych nocy, kiedy potrzebowali dwóch prezerwatyw.

Tym razem, niestety, było już zbyt późno, a ona nie mogła zostać tu przez całą wieczność. Chociaż tak naprawdę bardzo tego chciała.

Delikatnie wysunęła się z jego ramion.

- To jaki film z Elvisem lubiłeś najbardziej? - spytała.

Roześmiał się.

- No mów - ponagliła. - To nic trudnego, możesz spokojnie odpowiedzieć.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Tak naprawdę oglądałem je tylko dlatego, że dziadek miał na to ochotę.

- No więc...? - Gina uniosła się i podparta na łokciu, żeby spojrzeć na Maksa z góry. - Godzinami siedziałeś z nim w salonie i robiłeś w pamięci równania kwadratowe, gapiąc się gdzieś w przestrzeń?

Znowu wywrócił oczyma.

- No dobrze - powiedział. - Tylko... Daj mi chwilę. Więc miałem dziewięć lat, tak? A mój dziadek tracił umiejętność mówienia, kiedy siadał przed ekranem. On... Sam nie wiem, ale moim zdaniem wyglądał na kogoś absolutnie szczęśliwego. Czasem nawet śmiał się na głos. Cholera, chętnie bym wlaźł do któregoś z tych filmów i został tam na zawsze, gdyby to tylko było możliwe. Więc dobrze, miałem ulubiony film - Follow that Dream. Pewnie nic ci to nie mówi, prawda?

- Hej, ja też przeżyłam całkiem znaczący okres zafascynowania Elvisem! - zawołała Gina. - Chodzi ci o ten z bagażówką i gromadą dzieciaków, tak?

Max zaczął się śmiać.

- O kurczę. Sekretny klub wielbicielek Elvisa.

Gina uwielbiała, kiedy Max uśmiechał się w taki sposób.

- Miałam cioteczną babcię, która w swoim apartamencie w Bayside miała na ścianach tylko dwa obrazki. Na jednym był Jezus, a na drugim Elvis.

- W czarnym aksamicie?

- Tak jest. Mój brat idiota wmówił mi wtedy, że to jeden z najważniejszych świętych, a ja... No cóż, wierzyłam mu jak głupia. Wstyd się przyznać, ile miałam lat, kiedy się dowiedziałam, że to był żart.

Tym razem na nią przyszła kolej, żeby odwrócić wzrok. W odpowiedzi rozległ się cichy śmiech.

- Święty patron rock and rolla - odezwał się Max. - Ja po prostu go lubię. To znaczy, on był tylko stopniem prowadzącym do bardziej wyrafinowanej muzyki, ale jeśli o mnie chodzi, to wiele rzeczy zaczęło się właśnie od Elvisa.

Znowu wrócił do muzyki. No dobrze.

- Grałeś jako dziecko na jakimś instrumencie?

Popatrzył na nią uważnie, najwyraźniej zastanawiając się, czy ten temat jest bezpieczny.

- Kiedy byłem w średniej szkole, bardzo chciałem nauczyć się grać na gitarze. Właśnie wtedy odkryłem Hendriksa. Słuchałaś go?

Skinęła głową.

- No więc poszedłem do nauczycielki muzyki w naszej szkole... Dała mi skrzypce, które trzymała zawsze gdzieś pod ręką dla dzieciaków, żeby najpierw spróbowały, zanim zdecydują się wypożyczyć instrument na cały rok.

- Skrzypce?!

- Tak. Najwyraźniej w naszej szkole każdy musiał od tego zacząć. Pamiętam, jak ta wiedźma powiedziała mi, że muszę sobie zasłużyć na prawo uczenia się gry na gitarze.

- O kurczę - jęknęła z podziwem. - Twoja nauczycielka muzyki przyprawiłaby moją o atak serca. W pokoju nauczycielskim doszłoby

do walki na noże. Podejrzewam, że nigdy już nie poszedłeś na lekcję muzyki?

- Niezupełnie - przyznał. - No cóż, skąd mogłem wiedzieć, że to takie trudne? - prychnął z pogardą. - Boże, co to była za klęska. Zawsze wszystko mi wychodziło, aż tu nagle...

- Ze skrzypcami ci nie wyszło - dokończyła za niego. - To chyba jeden z najtrudniejszych instrumentów do opanowania. Ale to głupio ze strony tej nauczycielki!

- Tak - zgodził się Max. - Ja słuchałem kawałków takich jak Crosstown Traffic albo AU Along the Watchtower, a ona chciała, żebym nauczył się grać na tym gównianym pudle Three Blind Mice, choć nigdy nie udało mi się zagrać ani jednego czystego dźwięku.

Nie pomogło nawet to, że tolerancja dla hałasu w naszym domu spadła do pięciu kresek poniżej zera. Chciałem powiedzieć, że Hendriksa mogłem słuchać w słuchawkach, ale jeśli chodzi o ćwiczenie na instrumencie... - Wzruszył ramionami. - Rzuciłem wszystko w diabły po pierwszym tygodniu.

- Czy to właśnie wtedy twoja siostra...

- Tak - uciął krótko. - A jaki był twój ulubiony film z Elvisem?

Okay. I tak Ginie udało się wydobyć z niego więcej, niż się spodziewała, biorąc pod uwagę, że opowiedział jej tę historię ze skrzypcami, więc teraz postanowiła sobie odpuścić.

- Ten, w którym grał ksiądz - odrzekła. - Pamiętasz? Myślałam wtedy, że Elvis jest święty.

- A ile miałaś lat, kiedy odkryłaś, że to nieprawda? - spytał Max.

- W trzeciej klasie. To było coś okropnego. Taki gnojek z piątej klasy - nazywał się Patrick O'Brien - gadał bez przerwy o tym, że Elvis ćpał jak najęty i że zwyczajnie przedawkował. Skończyło się na tym, że dałam mu w zęby i podbiłam oko. Dopadłam go w szkole na boisku i zlałam niemiłosiernie. Dyrektorka z miejsca odesłała mnie do biblioteki... Miałam kompletnie zabłocone ubranie i cała ta sytuacja była strasznie upokarzająca. A ona kazała mi przygotować szczegółowy materiał na temat śmierci Elvisa. - Gina ciężko westchnęła. - To był naprawdę paskudny dzień. Pamiętam, że matka była akurat w pracy, więc wujek Frank - mieszkał wtedy u nas w piwnicy, ponieważ miał jakieś kłopoty ze znalezieniem roboty - przyszedł do szkoły, żeby mnie odebrać. Mordobicie na terenie szkoły to poważna sprawa. Zostałam zawieszona w prawach ucznia na dwa

dni, a w dodatku kazano mi przed powrotem do szkoły iść i przeprosić Patricka i jego rodziców. A ja wiedziałam, że to tylko pogorszy sprawę... Wyobraź sobie, że jesteś dzieckiem, a tu jakaś smarkula z trzeciej klasy przychodzi do ciebie do domu, i...

Max uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Biedny gnojek.

- Ciebie to śmieszy, ale ja wtedy byłam naprawdę przygnębiona - ciągnęła. - Miałam złamane serce. Więc jak to, wszystkie moje modlitwy diabli wzięli, bo za patrona obrałam sobie jakiegoś farbowanego antyświętego? Ten mój bohater tak naprawdę był zwykłym ćpunem? Pamiętaj, że pochodzę z rodziny, z której wyszło wielu strażaków i policjantów. W naszym domu narkotyki stały na równi z morderstwami i podpaleniami. - Znowu przytuliła się do Maksa i ciasniej owinęła jego ramieniem. - Nie chce mi się wierzyć, że nigdy nie opowiadałam ci tej historii. Bo nie opowiadałam, prawda?

- Nie. - Sięgnął, żeby odgarnąć jej włosy, które osunęły mu się na twarz.

- Wujek Frank posadził mnie naprzeciw siebie i powiedział, że bohaterowie też czasami popełniają błędy - kontynuowała Gina. - Że mimo swoich wad Elvis może być uważany za pewien rodzaj świętego, ponieważ wniósł odrobinę światła w życie tak wielu ludzi. Takich jak cioteczna babcia Tilly, która nie miała innych powodów, by czuć się szczęśliwa, odkąd zmarł jej mąż Herman. Poza tym kazał mi wziąć prysznic i zmienić ubranie - mówiła dalej. - Potem zawiózł mnie prosto do domu rodziny O'Brienów i powiedział, co mam mówić, żeby Patrick nie mógł mnie terroryzować przez resztę roku. - Parsknęła pogardliwie. - Frank przekonał mnie, że muszę pomóc Patrickowi odzyskać dumę i w związku z tym powiedzieć coś takiego: „Przepraszam, ale nie miałam racji. Dziękuję, że mnie nie zbiłeś, ponieważ jestem tylko dziewczynką, i to młodszą od ciebie, a ty z pewnością wiesz o tym, że chłopcy nie powinni bić dziewczynek”. To bardzo do mnie pasowało. „Ale on mnie uderzył - wrzasnęłam - a poza tym to ja wygrałam tę walkę, uczciwie i słusznie. Co z moją dumą?!”. Więc Frankie zgodził się, żebym napisała karteczkę i dała ją Patrickowi tak, żeby jego rodzice nie zauważyli. A na tej karteczce było napisane: „Jeśli jeszcze raz usłyszę, jak mówisz, że Elvis ćpał, to pożałujesz tego do końca życia”. - Roześmiała się beztrąsko. - A

kiedy wróciliśmy do domu, Frankie pierwszy raz pozwolił mi pograć na swojej perkusji... Nam, dzieciakom, nie wolno było nawet jej dotykać, ale wtedy kazał mi usiąść i urządził mi prawdziwą lekcję... To było coś niesamowitego. Oczywiście od tamtej pory, kiedy wszyscy wyszli z domu, zakradałam się do piwnicy, żeby pograć. Myślę, że Frank o tym wiedział... W każdym razie po tym zajściu Patrick O'Brien zawsze schodził mi z drogi.

Max uśmiechał się do niej.

- Mój dziadek zacząłby cię adorować.

Dawno temu Max opowiedział jej historię o tym, jak jego dziadek poznał babcię - Amerykankę - w Indiach, a stało się to w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku. Oboje mieli po trzynaście lat, kiedy babcia Maksa, Wendy, odłączyła się od grupy dziewcząt ze szkoły, a Raza Bhagat odprowadził ją całą i zdrową do domu. Potem poszedł i w jakimś obłądnie krótkim czasie - chyba w ciągu dwóch tygodni - nauczył się angielskiego, żeby móc się z nią łatwiej porozumieć.

Najwyraźniej fascynacja okazała się obustronna. Pobrali się w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku, choć wtedy ich związek uważano za międzyrasowy i dość skandaliczny. Sprawę pogarszał fakt, że Raza nie należał do wysokiej kasty.

Po drugiej wojnie światowej Raza, Wendy i ich syn Timothy, ojciec Maksa, przeprowadzili się do Ameryki, gdzie nie uważano ich za wyrzutek, zwłaszcza od kiedy Raza dostał dobrze płatną pracę w przemyśle lotniczym.

Raza z entuzjazmem zaaklimatyzował się w ojczyźnie żony, w kraju, gdzie matematycznie uzdolniony młody człowiek pochodzący z rodziny robotniczej nie musiał spędzać całego życia na przerzucaniu gnoju.

- Też bardzo bym chciała go poznać - powiedziała Gina. - I twoich rodziców.

W spojrzeniu, którym obrzucił ją Max, dostrzegła coś na kształt niedowierzania.

- O co chodzi? - spytała.

- O nic.

- Ile miałaś lat, kiedy się rozwiedli?

Westchnął ciężko.

- Byłem na pierwszym roku college'u - mruknął niechętnie. - Czy naprawdę musimy o tym mówić?

- To musiało być dla ciebie ciężkie przeżycie - Gina nie dała się zrazić.

No dalej, Max! Powiedz mi o tym, co cię dręczy...

- Nie - odparł. - Wtedy już wszystko mieliśmy za sobą.

- Jeśli tak, to czemu nie chcesz o tym rozmawiać?

- Bo nie ma o czym - wyjaśnił spokojnie. - Robiłem to, co zawsze. Dostawałem świetne stopnie. Wcześniej zrobiłem dyplom. Posłuchaj, Gina, zaczyna się robić późno.

No tak. Z punktu widzenia Maksa ich rozmowa wkroczyła na niebezpieczne obszary, więc robił to, co zawsze. Próbował się jej pozbyć.

Jednak atak złości mógłby tylko pogorszyć sprawę. Jeśli Gina zacznie się wściekać, Max jeszcze bardziej zamknie się w sobie.

Udała więc, że niczym się nie przejmuje.

- Więc co, jutro wielki dzień? - zaczęła mu dokuczać. - Grasz w karty z Ajayem?

- Gina, chodzi mi o ciebie. Musisz wyjść o przyzwoitej porze, żeby bezpiecznie dotrzeć do mieszkania Julesa.

- Tak, a jutro rano odebrać twoją pocztę. To naprawdę wyczerpujące.

Wcale się nie uśmiechnął. Gina czuła, że jeszcze słowo i Max powie, żeby wracała do Nowego Jorku i złożyła papiery na wydziale prawa uniwersytetu. A wtedy ona nie zdoła opanować złości i...

I skończy się na tym, że wyjdzie stąd w nie najlepszym humorze. Szkoda byłoby zepsuć w ten sposób taki miły wieczór... Bo był miły, nawet jeśli to ona musiała przez cały czas podtrzymywać rozmowę.

- Co innego wymyśliłeś jako ujście dla twojej kreatywności? - spytała, zanim powiedział coś głupiego.

- Co takiego?

To pytanie wyraźnie go zmieszało. Boże.

- Po tym, jak zrezygnowałeś ze skrzypiec - wyjaśniła. - Ja bym chyba zwariowała, gdyby nie moja perkusja.

- Przecież nie masz tu perkusji - zwrócił jej uwagę. - Została w Nowym Jorku.

Wrr...

- Taak... - odparła. - Ale nic nie szkodzi. Dwie przecznice od mieszkania Julesa jest studio nagraniowe i mają tam całkiem niezły instrument. Właściciel, Ernie, nie ma nic przeciwko temu, żebym

przychodziła, kiedy studio jest wolne, by trochę... Naprawdę ci o tym nie mówiłam?

- Nie. - Max zmarszczył brwi. - Co to za Ernie?

- Och, czyżbyś był zazdrosny? - Pocałowała go szybko, żeby nie zdążył odpowiedzieć. - Jest żonaty i ma dwoje dzieci, jeśli o to ci chodzi. Przestań wreszcie robić uniki i odpowiedz na moje pytanie. Więc co robiłeś? Pisałeś wiersze? Albo... och, już wiem, założyłeś album z wycinkami, prawda?

Zaczął się śmiać, a ona miała nadzieję, że zgadła.

- Tak. Miałem mnóstwo wolnego czasu na takie sprawy.

- Ale ja pytam na serio. - Nadała się. - A może próbowałeś malować albo rzeźbić?

- Niektórzy ludzie rodzą się po to, żeby tworzyć sztukę, inni zaś po to, żeby siedzieć na widowni.

Gina usiadła prosto i odwróciła się do niego.

- Chyba tak naprawdę wcale w to nie wierzysz, prawda? - spytała z urazą. - To równie głupie jak powiedzenie dziecku, które chce grać na gitarze, że najpierw musi nauczyć się na skrzypcach. Nawiasem mówiąc, to dwa zupełnie różne instrumenty.

- Ciii... - powiedział, nie przestając się uśmiechać. - Ludzie śpią.

- Uwielbiam, kiedy się uśmiechasz. - Od razu się rozchmurzyła. - Stanowczo za rzadko to robisz.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki uśmiech zniknął.

- Wiem - powiedział. - Bardzo przepraszam.

Przez dłuższą chwilę patrzyli się na siebie bez słowa. Zmęczeni. I przestraszeni. Przynajmniej ona. I niepewna. Usiłowała postępować z nim ostrożnie, a to było wyczerpujące. Na dodatek przepełniała ją obawa, że któregoś dnia on po prostu powie, że już dosyć, że dłużej nie mogą tego ciągnąć.

Nie wiedziała, co on czuje, ponieważ nigdy jej tego nie zdradził.

Proszę - modliła się w duchu do Świętego Elvisa. - Daj mi jakiś znak.

Max nie musiał mówić, że ją kocha, choć gdyby coś takiego usłyszała, wcale nie byłoby jej przykro.

Fakt, że leżeli nago w jego łóżku, pewnie odgrywał tu jakąś rolę, ale jak zawsze, gdy na siebie patrzyli w ten sposób, coś zaczynało iskrzyć. Coś zaczynało im świtać.

Co my tu robimy, Max? - miała ochotę spytać, ale na głos powiedziała coś całkiem innego.

- Już późno.

- Tak - przytaknął.

A potem zupełnie ją zaskoczył. Zaczął jej śpiewać. Cicho i trochę fałszywie, ale zdecydowanie w stylu Elvisa.

- Wielki Boże, czuję, jak rośnie we mnie żar...

Gina zaczęła się śmiać. Max wyciągnął do niej rękę, a jego spojrzenie jasno mówiło, że ona nigdzie nie idzie. Przynajmniej nie w tej chwili.

Hotel Elbe Hof, Hamburg, Niemcy

21 czerwca 2005

Dzień dzisiejszy

Gina nie czekała na niego w swoim pokoju w hotelu Elbe Hof. Prawdę mówiąc, Max wcale się tego nie spodziewał. Choć, Chryste, do końca miał nadzieję, że jednak tak.

Na podłodze tuż za progiem leżała koperta; bez wątpienia zawierała rachunek hotelowy, który wsunięto pod drzwi. Max wziął go, wchodząc do środka.

Nie zadał sobie trudu, żeby włączyć światło; zasłony były odsunięte, a popołudniowe słońce zalewało jasnym blaskiem dwa starannie posłane łóżka. Wyposażenie pokoju odpowiadało temu, czego można się było spodziewać w hotelu tej klasy: łóżka, komoda, biurko z telefonem, telewizor. Wyściełane krzesła i stojąca na podłodze lampa. Stoliczek do kawy i krzesło pod oknem.

Ogólnie wystrój wnętrza sprawiał wrażenie nijakiego; Max mógł znajdować się teraz w dowolnym miejscu na świecie, gdzie przygotowano pokój z myślą o amerykańskich turystach.

Mógłby, gdyby nie unoszący się w powietrzu zapach. Gina nie używała perfum, przynajmniej nie takich, jakie sprzedają we flakonach, ale jej szampon, mydło i lotion wydzielały słodką woń.

W łazience zapach był intensywniejszy. Tak jakby Gina wcale stamtąd nie wyszła, tyle tylko że on nie mógł jej zobaczyć.

Podkład do makijażu leżał na blacie obok umywalki, najwyraźniej niedawno używany. Jakby Gina opuściła ten pokój dosłownie przed chwilą i zamierzała zaraz wrócić.

W sypialni na biurku, komódce, nawet na każdym wolnym skrawku podłogi piętrzyły się stosy książek w papierowych okładkach. Gina żartowała, że jej odcinek w serialu *Girls Gone Wild* powinien rozgrywać się w księgarni. Jediną rzeczą, która mogła ją skłonić do podniesienia spódnicy w publicznym miejscu, była obietnica, że z wyprzedzeniem dostanie najnowszą książkę Deana Koontza albo J.D. Robb.

W odległym zakątku Kenii, gdzie dotąd pracowała, trudno było znaleźć jakąkolwiek księgarnię. Maksa zaczęły dręczyć wyrzuty sumienia. Powinien pomyśleć o tym i kupić jej kilka nowości, a potem kazać Julesowi, żeby je wysiał. Z pewnością nie wymagało to ani czasu, ani wysiłku.

Rzucił trzymaną w ręku kopertę na łóżko, żeby mieć wolne ręce, i zaczął otwierać szuflady.

Gina należała do osób, które lubią trzymać rzeczy w szafach. Zamiast przechowywać je w torbie - jak czyni podczas podróży większość ludzi - używała hotelowej komody.

Zapewne tak samo było i tym razem.

W szafie wisiały jakieś ciuchy, więc Max podszedł bliżej, żeby rzucić na nie okiem.

Były tam rzeczy niewątpliwie należące do Giny. I do kogoś jeszcze.

Ale nie znalazł wśród nich koszul ani marynarki, a na dole szafy nie dostrzegł tenisówek w męskim rozmiarze. Ten ktoś musiał być kobietą.

Max patrzył na sukienkę, która nie pasowała ani do stylu, ani do rozmiaru Giny, i poczuł... Co? Ulgę?

Niezupełnie.

Zresztą może i było to coś na kształt ulgi. W rejestracji hotelowej figurowała Gina Vitagliano i jej gość. Aż do tego momentu Max był skłonny przypuszczać, że tajemniczy gość to pewnie jakiś mężczyzna.

Na przykład Leslie Pollard, który mniej więcej cztery miesiące temu przyjechał do obozu, gdzie pracowała Gina. Anglik, lat trzydzieści kilka, naukowiec.

Podobno fascynujący.

Przynajmniej tak opisała tego sukinsyna w krótkim liście wysłanym do Julesa. „Poznałam najbardziej fascynującego mężczyznę na świecie”.

Ale jeśli tym, co czyniło Pollarda tak atrakcyjnym w oczach Giny, nie była skłonność do noszenia kwiciastych sukienek w krzykliwych kolorach, to towarzyszem jej podróży musiał być ktoś inny.

Jules pokazał mu liścik Giny po tym, jak trochę pogrzebał w przeszłości faceta i odkrył, że - według zapisów w AIDS Awareness International - Pollard został wolontariuszem po tym, jak zmarła kobieta, która od ponad dziesięciu lat była jego żoną.

Przez chwilę pracował także w innych organizacjach charytatywnych w Chinach, w Azji Południowo-Wschodniej i w Indiach. Pochodził z małego miasteczka w Anglii, gdzie wykładał w prywatnej szkole dla bogatych dziewcząt. Badanie, jakie

przeprowadziły władze szkoły, zanim jeszcze poważnie pomyślano o zatrudnieniu go, z pewnością było bardziej szczegółowe niż większość tych zleczanych przez rząd.

Leslie Pollard był - jak poinformowano Julesa w biurze AIDS Awareness International, co z kolei on przekazał Maksowi - skromnym, uduchowionym człowiekiem, który wciąż opłakiwał utratę ukochanej żony.

Jednak Gina - z jej umiłowaniem życia, pozytywnym stosunkiem do świata, poczuciem humoru i ciałem gwiazdy filmowej - miała wszystko, co trzeba, by każdego mężczyznę nauczyć brać życie pełnymi garściami... I nauczyć znów kochać.

Chryste, cała ta historia wyglądała jak żywcem wyjęta z wiejskiej powieści. Oto Gina ucieka aż do Kenii, żeby uleczyć złamane serce; złamane przez fatalny związek z Maksem, który był szczęśliwy, mogąc z nią sypiać zawsze, kiedy chciała, ale który okazał się zbyt wielkim kutasem, żeby otworzyć się i podzielić z nią prawdziwe uczucie.

Tymczasem Pollard poświęcił się pracy dla drugiego człowieka po tym, jak umarła jego żona; prawdopodobnie na jakąś bolesną i nieuleczalną chorobę, być może na raka. Jest delikatny, wrażliwy i zraniony do głębi - a mimo to nie boi się mówić o swoich uczuciach. Z kolei ona jest szczerą, zabawną, a przy tym tak cholernie piękną i tak żywą, że aż zapiera dech w piersiach.

Podczas poszukiwań zaginionej kozy - nie, lepiej nich to będzie zgubione dziecko - znajdują się sam na sam gdzieś na pustkowiu, z dala od obozu. Żeby uciec przed chłodem przytulają się i nagle wzbiera w nich niepokonana żądza, i...

Taaak... To rzeczywiście pomaga. Wyobrażanie sobie, jak to musiało być, kiedy Gina i ten pieprzony Anglik po raz pierwszy się kochali, z pewnością pomoże mi ją odnaleźć, doszedł do wniosku.

Jeszcze raz dokładnie przejrzał ubrania Giny, grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek z restauracji albo innych wskazówek, które pomogłyby zlokalizować miejsca, gdzie bywała. Starał się skoncentrować, ale wciąż myślał o tym, jak niewyobrażalnie trudne byłoby to zadanie, gdyby tam w kostnicy rzeczywiście leżała Gina.

Co prawda powstrzymywało go to od wyobrażenia sobie Giny w ramionach Pana Fascynującego, ale i tak co chwila czuł pod powiekami piekące łzy.

Taak... To także nie pomagało jasno myśleć. „Mazgajowaty chłoptaś”, jak powiedział Jules. Do diabła, co mi się dzisiaj stało?

Gina trzymała w szufladzie ubrania odpowiednie na kemping. Szorty z pojemnymi kieszeniami. Dżinsy. T-shirty. Sportowe pulowery. Grube skarpety. Bieliznę... No może nie całkiem z gatunku tych najsolidniejszych. Jak zwykle ulubione falbanki i koronki.

O Boże.

Ale wśród rzeczy Giny nie było wizytówki Bin Ladena ani żadnego z jego kumpli.

Na blacie biurka wałała się masa papierów. Broszury reklamujące miejscowe muzea. Zniszczony plan miasta. Krótki spis rzeczy, które koniecznie trzeba kupić, nakreślony znajomym niechlujnym pismem Giny. „Mydło, balsam przeciwsłoneczny, waciki, woda mineralna, krakersy...”.

Nie było tam jednak żadnych pokwitowań transakcji dokonanych za pomocą karty...

W ogóle żadnych rachunków ani paragonów.

Max rozejrzył się w poszukiwaniu walizek i znalazł dwie puste torby podróżne na kółkach wepchnięte na półkę w szafie.

Sięgnął, żeby je zdjąć, i... Cholera, co tam jest w środku?

Ta leżąca na spodzie wydawała się o wiele za ciężka jak na pustą torbę. W dodatku była zamknięta i przytwierdzona za rączkę do półki z metalowych prętów za pomocą jednego z tych tanich rowerowych zamków zamykanych na kombinację cyfr.

Tak jakby podobne zabezpieczenie mogło powstrzymać ewentualnego włamywacza!

Max wyjął scyzoryk i jednym ruchem przeciął rączkę.

Torba była własnością Giny. Jej nazwisko zostało wypisane niezmywalnym markerem. Max położył ją na łóżku, odsuwając na bok kopertę, którą wcześniej tam rzucił...

No tak. Musiał być zmęczony albo zdekoncentrowany, ponieważ ta koperta nie miała nic wspólnego z hotelem, jak wcześniej Max przypuszczał. Została przysłana pocztą - stempel na znaczku był doskonale widoczny. List został zaadresowany do Giny i za pośrednictwem recepcji przekazany do pokoju osiemset siedemnaście.

Nadawcą była tajemnicza firma AMC mieszcząca się tu, w Hamburgu.

Max trzymał w ręku otwarty scyzoryk, toteż najpierw zajął się torbą podróżną Giny, rozcinając starannie materiał wzdłuż suwaka.

W środku znajdował się...

Cyfrowy aparat Giny i, tak jak się spodziewał, mnóstwo paragonów.

Usiadł na łóżku i zaczął przeglądać jeden po drugim. Gina pisała bezpośrednio na każdym pokwitowaniu, skąd pochodziło i za co płaciła. Kolacja, kolacja, kolacja, lunch, śniadanie, lunch. Książki, książki, książki, książki...

Było ich tam mniej więcej dwa tuziny, różnej wielkości i kształtu, bardziej i mniej czytelnych. Max postanowił, że przejrzy dokładnie każdy z nich po tym, jak dowie się, co kryje skrót AMC.

Chwileczkę...

Na samym spodzie leżała większa kartka złożona na trzy, żeby pasować do pozostałych. Papier był bardzo cienki, półprzezroczysty, więc Max mógł przeczytać od tyłu i do góry nogami kilka wyraźnych słów reklamujących American Medical Clinic.

AMC.

Rozłożył papier i...

To był rachunek za usługi medyczne.

Na samej górze widniało imię i nazwisko Giny, adres hotelu i numer jej pokoju: osiemset siedemnaście. Najwyraźniej była u lekarza i...

Chryste!

Zrobiono jej test ciążowy!

Max jednym ruchem rozerwał zapieczętowaną kopertę i wyszarpnął z niej list.

AMC rzeczywiście oznaczało American Medical Clinic.

I znowu nazwisko Giny oraz jej tymczasowy adres wydrukowano na samej górze.

„Szanowna pacjentko” - tak zaczynał się list.

Pod spodem znajdowało się kilka krótkich akapitów napisanych staranną angielszczyzną. Na samym początku informowano, że wyniki testu już są, lecz nie podano jakie.

Oczywiście, że nie.

W drugim akapicie skarcono Ginę za to, że nie zjawiała się na umówioną wcześniej wizytę. Mimo to powinna za nią zapłacić, ponieważ wizyta nie została odwołana z dwudziestoczerogodzinnym wyprzedzeniem.

Trzeci akapit okazał się najbardziej wstrząsający. Przypominano tam o konieczności opieki prenatalnej.

Max przeczytał to zdanie kilka razy, ale ostatnie słowa ciągle nie chciały zniknąć.

Opieka prenatalna.

Czyżby Gina rzeczywiście zaszła w ciążę?

Chyba że... No jasne, to przecież był standardowy formularz. Data wizyty, którą Gina opuściła, została dopisana ręcznie.

Klinika tego typu, przeznaczona dla kobiet, prawdopodobnie podkreślała przy każdej okazji znaczenie opieki prenatalnej.

To jeszcze niczego nie przesądzało.

A jeśli faktycznie była w ciąży, to co z tego? Wolałby widzieć ją żywą i przy nadziei niż martwą i nie w ciąży.

Znowu zadawał sobie pytanie, jak mógł być takim cholernym głupcem. Musiał pochylić się i położyć głowę na kolanach, bo nagle poczuł, że zabrakło mu tchu i kręci mu się w głowie. Gina zostałaby, gdyby ją o to poprosił. Byłaby bezpieczna i...

Gdyby została, to dziecko mogło być jego.

Do diabła, czy ta myśl nie była przerażająca? Co miałby począć z niemowlęciem ktoś taki jak on?

Jednak cała sprawa nie podlegała dyskusji. Gina wyjechała.

Najwidoczniej udało mu się osiągnąć to, co zamierzał - na dobre usunął ją ze swojego życia. Utracił ją na rzecz innego mężczyzny, który okazał się zbyt głupi, samolubny albo beztroski, żeby otoczyć ją właściwą opieką.

Chyba że Gina zakochała się w tym sukinsynu i jej ciąża wcale nie była przypadkowa.

Jeśli tak właśnie było, to czemu potencjalny ojciec nie towarzyszył jej w tej podróży? I kim, do cholery, była ta kobieta, której rzeczy wisiały w szafie?

Oprócz ubrań w tym pokoju nie znajdowało się nic, co pomogłoby ją zidentyfikować.

Max znalazł rachunki Giny. Gdzie były paragony tej drugiej kobiety?

Wstał z łóżka, żeby zakończyć poszukiwania, pozostał jeszcze kosz na śmieci.

Kenia, Afryka

23 lutego 2005

Cztery miesiące temu

Davida Jonesa nie było już wśród żywych.

Gina pomagała Molly oswoić się z tą straszną nowiną i zastępowała ją na dyżurach w szpitalu.

Zasugerowała też, żeby urządziły dziś nocne czuwanie. Tylko one dwie plus butelka wina, którą siostra Helen zaproponowała im na tę smutną uroczystość, i wspomnienia, którymi Molly - bez rumienienia się - mogła się podzielić z przyjaciółką.

Molly zgodziła się chętnie - jej zdaniem to całkiem dobry pomysł - ale zaskoczyła Ginę, i to dwukrotnie.

Po pierwsze oświadczyła, że leczy się z alkoholizmu, więc butelka wina odpada, choć bardzo jest wdzięczna siostrze Helen za jej ofiarność.

Po dłuższym namyśle Gina doszła do wniosku, że ta informacja wcale nie powinna jej zdziwić. Molly zwierzyła się jej kiedyś, że swoją karierę w organizacji charytatywnej zaczęła jako prawdziwa wolontariuszka typu B. Cięża w wieku nastu lat, dziecko oddane do adopcji, zmarły przyjaciel... Molly przez całe lata walczyła, by odnaleźć właściwą drogę.

Drugą niespodzianką było to, że koniecznie chciała zaprosić na czuwanie Lesliego Pollarda.

Mimo że ten pomysł w pierwszej chwili wydawał się jej co najmniej dziwaczny, Gina szybko doszła do wniosku, że Molly nie tylko pragnęła opowiadać o Jonesie, lecz przede wszystkim o nim słuchać, a ten jękający się Anglik z włosami zwisającymi w brudnych strąkach najwyraźniej znał jej ukochanego. No, może nie tyle znał, ile miał sposobność spotkać go kilka razy.

Wyglądało na to, że czekają niezwykle wieczór. Rzecz jasna, jeśli Ponurak przyjmie zaproszenie.

Gina skończyła sterylizować szpitalne nocniki i poszła do kantyny, żeby przynieść lunch Winnie i pozostałym dziewczętom.

W środku upalnego dnia życie w obozie zaczynało wyraźnie zwalniać bieg i w tym stwierdzeniu nie było za grosz przesady.

Ten obóz, w którym i tak wszystko wlokło się w żółwym tempie, w okolicach południa zapadał w śpiączkę.

Urodzoną i wychowaną w Nowym Jorku Ginę to rozleniwienie z początku doprowadzało do szału. Za każdym razem musiała wziąć kilka głębokich oddechów, żeby się powstrzymać od klaśnięcia w dłonie i zawołania: „Szybciej! No, ruszać się szybciej!”. Sama nie miała zwyczaju sypiać w dzień i te drzemki wydawały się jej zwykłą stratą czasu.

Teraz jednak całkiem jej to odpowiadało. Cały obóz zapadał w sen, więc miała trochę przestrzeni tylko dla siebie. Zupełnie jakby znalazła się w którymś odcinku Star Treka, kiedy kapitan Kirk zorientował się, że jest zupełnie sam na pokładzie Enterprise. Okazało się, że został przyspieszony do takiej prędkości, że członkowie jego załogi nie mogli go dostrzec i... Nie, chyba pokręciła ten odcinek z tym, gdzie Obcy budują replikę statku kosmicznego, a potem...

Cholera jasna. Osiemnaście miesięcy bez seksu i już zaczęła upodabniać się do swojego kuzyna Karola przez duże K, który spędzał stanowczo zbyt wiele czasu na rozważaniach, czy jeśli pan Spock zakocha się w Winifred, da radę wpadać do Buffyverse.

Karol przez duże K był dziwakiem, i to nie tylko dlatego, że było oczywiste, iż przeciwności się przyciągają i pan Spock jest na najlepszej drodze, żeby zadurzyć się w Buffy, wielka mi rzecz.

- Przepraszam! Przepraszam panią!

Gina odwróciła się i ujrzała jakąś kobietę przyczajoną w cieniu namiotu z prysznicami. Sprawiała wrażenie bardzo młodej, prawie dziecka; mogła mieć zaledwie osiemnaście lat albo coś około tego. Ubrana była w suknię w żywych kolorach, która na pierwszy rzut oka wyglądała na drogą. Na litość boską, skąd ona się tu wzięła?

- Muszę z panią pomówić, ale nikt nie może nas widzieć razem. - Akcent wskazywał na to, że pochodziła z wyższych klas; z ciemnobrązową twarzą, absolutnie nieskazitelną, i wielkimi, wyrazistymi oczami sprawiała wrażenie absolutnej piękności. - Czy możemy wejść do środka?

Do umywalni?

Strach tej dziewczyny był wręcz namacalny, toteż Gina potakująco skinęła głową.

- Oczywiście.

Znak na zewnątrz był przekreślony na stronę „Mężczyźni”, ale cały obóz i tak będzie spać jeszcze co najmniej godzinę. Nawiasem

mówiąc, o tej porze generator nie działał, więc każdy, kto miałby ochotę się wykapać, mógłby liczyć najwyżej na letnią wodę.

Dziewczyna otworzyła obramowane drewnem drzwi.

- Proszę się pospieszyć - ponagliła Ginę, co zabrzmiało jak ponury żart, zważywszy na fakt, że sama poruszała się w sposób charakterystyczny dla miejscowych kobiet - wolno i ostrożnie, jakby każdy krok sprawiał jej ból.

Kiedy się ruszyła, stało się oczywiste, że nie bez powodu robiła wrażenie pulchnego paczuszka. Była w zaawansowanej ciąży.

- Czy potrzebuje pani lekarza? - spytała Gina. - A może pielęgniarki?

Wiele kobiet w tym regionie Kenii nie zgadzało się na badanie przez lekarza mężczyznę. A raczej to ich mężowie nie wyrażali na to zgody.

Zarówno ojciec Ben, jak i AIDS Awareness International od lat starali się znaleźć lekarkę, która zechciałaby pracować w tym obozie. Zakonnice posunęły się nawet do tego, że zaczęły zbierać pieniądze, by wysłać siostrę Marię - Margaritę do szkoły medycznej. Jeśli już o tym mowa, to Gina była pewna, że raczej to siostra Podwójne M mogłaby uczyć wykładowców ginekologii czy higieny w Harvard Med, jak zorganizować opiekę pre- i neonatalną dla kobiet Trzeciego Świata.

- Mamy tu naprawdę bardzo doświadczone pielęgniarki - mówiła Gina, żeby dodać nieznanym otuchy.

- O tak, tak, wiem - zawołała dziewczyna. - Przyjechaliśmy tu, mój mąż i ja, żeby spotkać się z położną. Ale mój mąż, widzi pani, jest światłym mężczyzną i zdecydował, że powinnam odwiedzić lekarza, co niestety oznacza, że będzie obecny przy badaniu i... - Uchyliła lekko drzwi i wyjrzała na zewnątrz. - Mam niedużo czasu. Wszyscy myślą, że odpoczywam. Zaprowadzili mnie do namiotu i... Czy to pani jest tą Amerykanką, o której tyle słyszałam?

- Owszem, jestem Amerykanką - przyznała Gina. - Tylko...

Dziewczyna chwyciła obie ręce Giny w swoje dłonie.

- Potrzebuję pomocy - powiedziała prędko. - Moja siostra Lucy za kilka tygodni kończy szesnaście lat. Kiedy to się stanie, powiedzą, że wyraziła zgodę, i zrobią z nią to, co zrobili ze mną.

O cholera!

- Ale to nielegalne - rzuciła Gina i poczuła się jak skończona idiotka.

Co za głupoty opowiada tej dziewczynie. Oczywiście, że to nielegalne!

- Tak, wiem - zgodziła się nieznajoma. - Ale niech pani spróbuje iść z tym do prokuratora w miejscu takim jak Narok. To duże miasto, a mój wuj ma tam farmę i tam właśnie mieszka Lucy. Teraz jest u mnie z wizytą, ale ona i ciotka wracają do siebie za tydzień od najbliższej środy. Więc widzi pani, że musimy to zrobić jak najszybciej.

- Zrobić? - powtórzyła jak echo Gina.

- W ciągu kilku dni postaram się wywołać małe zamieszanie - oznajmiła dziewczyna. - Już dałam Lucy niewielką sumę pieniędzy, które udało mi się zaoszczędzić, i trochę biżuterii... Mamy przyjaciela, tam na północy, w Marsabicie, który pomoże jej dostać się do Londynu. Przez rok mieszkaliśmy w Wielkiej Brytanii, dopóki nie umarł mój ojciec. Znamy tam kilku ludzi, którzy się nią opiekują. Ona już jest gotowa do wyjazdu. Proszę, niech mi pani pozwoli powiedzieć Lucy, że może tu do pani przyjść i pani pomoże jej dojechać do Marsabitu.

- Oczywiście - automatycznie odpowiedziała Gina.

Święci Pańscy...

- Dziękuję. - Dziewczyna aż rozplakała się ze szczęścia. - Niech Bóg panią błogosławi. Kobieta, która pracuje z kuchni u mojej teściowej, powiedziała, że pani pomogła uciec wszystkim jej siedmiu córkom... I że jest pani aniołem, żeby tyle zaryzykować dla jej dzieci. Powiedziała, że są ludzie, którzy nienawidzą pani za to, oni postarają się, żeby pani zniknęła na zawsze, jeśli tylko ośmieli się pani przekroczyć granice tego obozu, ale że mimo to mogą liczyć na pani pomoc.

A więc o to chodziło...

To był powód, dla którego Molly - jedyna poza Giną Amerykanka - stale odrzucała propozycje wyjazdu na safari i wycieczki w głąb kenijskiej głuszy. Bo mogła stać się obiektem ataku za zorganizowanie stałej trasy podziemnego przerzutu dla kenijskich dziewcząt.

- Niech pani wraca do namiotu. - Gina poprowadziła dziewczynę do drzwi. - A ja poszukam Molly, zgoda? To ona jest tą Amerykanką, o której pani opowiadano... Ja jestem tylko... jej pomocnicą.

Przynajmniej o tej chwili, pomyślała Gina. Wyjrzała, żeby się upewnić, czy nikogo nie ma na zewnątrz umywalni.

- Proszę powiedzieć Lucy, żeby pytała o Molly albo o Ginę... Że będziemy na nią czekać i odstawimy ją bezpiecznie do Marsabitu.

Dziewczyna tylko skinęła głową i zniknęła. O cholera, Gina ponieważ się zorientowała, że zapomniała zapytać ją, jak ma na imię.

Postanowiła zaczekać w środku kilka minut. Na wypadek gdyby ktoś je obserwował, wołała nie wychodzić z umywalni zaraz za tamtą dziewczyną. Chociaż jeśli rzeczywiście były śledzone, to liczenie do dziesięciu czy nawet tysiąca i tak mijało się z celem. Wiadomo przecież, że jeśli namiot nie ma tylnego wyjścia, a dwie osoby wychodzą z niego jedna po drugiej, to musiały się spotkać w środku.

Dlaczego w ogóle zawracała sobie głowę jakimś czekaniem?

Po krótkim namyśle doszła do wniosku, że robi tak, ponieważ podobnie postępowali szpiegowie w filmach. Co za idiotyczny powód!

Gina należała do najgorszych kłamców na całym świecie. Wybiegi i podstępny stanowczo nie były jej mocną stroną.

Z kolei Molly wydawała się mistrzynią w tym fachu.

Przez te wszystkie miesiące, kiedy tak blisko się przyjaźniły, Gina nic nie podejrzewała.

Ciekawe, jakie jeszcze tajemnice ukrywała przed nią współlokatorka?

Gina wystawiła głowę i... O cholera! Leslie Pollard kierował się prosto w stronę tego namiotu, z ręcznikiem przewieszonym przez ramię.

Najwyraźniej wybrał ten właśnie dzień na comiesięczne ablucje.

Instynktownie cofnęła się do środka. Po namyśle - bardzo krótkim namyśle, bo przyszło jej to do głowy dosłownie w następnej sekundzie - doszła do wniosku, że zamiast się chować, powinna popchnąć drzwi i śmiało wyjść na zewnątrz. Następnie należało radośnie pomachać do Ponuraka i zawołać głośno - na wypadek gdyby w ogóle go to obchodziło - że problem z odpływem wody został już szczęśliwie rozwiązany.

Takie rozwiązanie ciągle jeszcze wchodziło w grę.

Nagle usłyszała dźwięk rozsuwanego zamka błyskawicznego, który rozległ się echem w ciszy namiotu.

Psiakrew.

A może to nic złego? Ten odgłos oznaczał, że Leslie usadowił się w przedziale służącym do przebierania i odprawiał tam medytacje, dzięki którym mógł bez obrzydzenia wejść w bliski kontakt z wodą i mydłem.

Wszystko, co musiała teraz zrobić, to wyslizgnąć się z za zasłony i na palcach podejść do drzwi...

Łaaa! Gdyby życie miało coś na kształt ścieżki dźwiękowej, zgrzyt igły drapiącej staroświecką winylową płytę postawiłby na nogi cały obóz!

Bo najwyraźniej Leslie Pollard sądził, że jest sam w namiocie i w związku z tym wcale nie zadawał sobie trudu, żeby wejść do przebieralni.

Oślupiał na jej widok, tak jak i ona, gdy ujrzała go aż tak nieubranego. Na szczęście dla niej nie mógł wydobyć z siebie głosu, żeby zapytać, co ona robi w umywalni, kiedy znak na zewnątrz wskazywał, że teraz jest pora mężczyzn.

Jednak któreś z nich zdecydowanie musiało coś zrobić, więc Gina pisnęła „Cześć”, ponieważ - cholera! - stojący w samych gatkach Leslie Pollard wcale nie był tak wychudzony ani pryszczaty, jak sobie to wyobrażała.

Nie spędzała upojnych godzin na wyobrażaniu sobie Lesliego. Co to, to nie. Jednak facet sprawiał wrażenie o wiele młodszego, niż sądziła, miał około trzydziestki, a nie pięćdziesiątki.

Poza tym był nieźle poznaczony bliznami. Opalenizna na jego ciele zaczęła już blednąć, ale bez wątplenia nie miał ani jednego pryszczaka, przynajmniej ona nic takiego nie dostrzegła. W górze ud jego skóra była już całkiem biała i...

Psiakrew!

Właściwie mógł odwrócić się do niej plecami. Zamiast tego jednym zwinnym ruchem sięgnął po ręcznik i oplótł go dookoła bioder, a mięśnie na jego ramionach i klatce piersiowej naprężyły się tak jak u aktorów grających główne role w kinie akcji.

Oczami wyobraźni ujrzała tytuł filmu: Wielki Dzień Lesliego Pollarda.

Zachichotała na samą myśl o plakacie reklamującym taki film, a to był błąd. Poważny błąd. Niech Bóg broni, żeby jakiś obcy facet miał się roześmiać, kiedy przypadkiem zobaczy ją w samej bieliźnie, pospiesznie udała więc, że dopadł ją atak kaszlu.

- Przepraszam, ale ten kurz... Proszę sobie nie przeszkadzać, ja tylko sprawdzam...

Rurkę, chciała powiedzieć, ale w porę ugryzła się w język. Taki tekst mógł zostać opacznie zrozumiany. „Sprawdzam rurkę” mogło łatwo zmienić się w „sprawdzam twoją rurkę”, czego wcale nie miała na myśli. Absolutnie nie. Oczywiście, zanim zakrył się ręcznikiem, zauważyła jego opaleniznę, a tu i ówdzie jej brak, to znaczy, w pewnych rejonach...

- ... ciśnienie wody - skończyła. - Same dobre wiadomości. Ciśnie nie się poprawiło. Jest całkiem... no, przyzwoite i... - Jakoś dała radę do trzeciej do drzwi. - Miłego dnia - rzuciła na pożegnanie.

No dobrze.

Obóz ciągle pogrążony był w drzemce, toteż udało jej się dojść do namiotu, który dzieliła z Molly, bez oglądania odsłoniętych wdzięków któregoś ze współpracowników. Na przykład siostry Marii - Margarity.

Kiedy wpadła do środka, Molly ze zdumienia przewróciła buteleczkę z lakierem do paznokci.

- Niech to szlag - zakląła, starając się ogarnąć bałagan.

Miała na sobie turkusowy szlafrok, ręcznik owinięty dookoła głowy, a na twarz nałożyła trochę błotnej maseczki Giny.

Taak... To popołudnie wyglądało coraz dziwniej. Zamiast pogrążyć się w żalu i zalewać łzami poduszkę, Molly urządziła sobie coś, co Gina nazywała „dniem piękności”, zakończonym pomalowaniem paznokci u stóp na czerwono.

Oczywiście, każdy cierpi na swój sposób.

- Strasznie przepraszam, że ci przeszkodziłam - zaczęła Gina - ale to naprawdę nie może czekać...

Hotel Elbe Hof, Hamburg, Niemcy

21 czerwca 2005

Dzień dzisiejszy

Max tracił cenny czas, usiłując skłonić pracownicę recepcji American Medical Clinic do pogwałcenia zasad ochrony prywatności pacjenta.

Wiedział, że tamci nie mają prawa podać mu osobistych danych dotyczących Giny, zwłaszcza przez telefon, ale mimo to nie mógł się powstrzymać.

Ledwie zaczął wyjaśniać, kim jest i co porabia w Hamburgu, oraz opowiedzieć o odkryciu obu rachunków i listu z AMC, kiedy kobieta po drugiej stronie słuchawki po prostu mu przerwała.

- Chwileczkę, proszę poczekać.

No i Max czekał. Czekał i czekał. Wiedział, że ma to służyć wytrąceniu go z równowagi, ale czekał cierpliwie, bo i tak miał zbyt mało śladów, którymi mógł podążać.

Czekając, zaczął kłaść na łóżku pokwitowania i rachunki Giny, żeby ułożyć je według dat.

Po dokładnym przejrzaniu ich zorientował się, że Gina płaciła również za śniadania, obiady i kolacje swojej przyjaciółki.

Chyba że dosłownie jadła teraz za dwoje.

Wspaniale. Teraz wiedział już dokładnie, gdzie i co jadła w czasie pobytu w Hamburgu oraz w jakich sklepach kupowała książki - zawsze w pobliżu hotelu - lecz niewiele ponadto.

Badanie zawartości kosza na śmieci nic nie wniosło do sprawy. Tak samo skrupulatne przeszukanie hotelowego pokoju nie przybliżyło go ani trochę do odkrycia, kim była tajemnicza towarzyszką Giny.

Wszystko to wydawało się idiotyczne i dziwne, zupełnie jakby Gina podróżowała z Anonimową Jane. Albo może raczej z Jane Bond. Kimkolwiek była ta kobieta, jej tożsamość została lepiej ukryta niż niektórych agentów operacyjnych, z którymi Max miał styczność w czasie swojej kariery w FBI.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że taki brak jakichkolwiek wskazówek to absolutny przypadek?

Czekając na linii na dalszą część rozmowy, jeszcze raz sprawdził ubrania Giny w poszukiwaniu metek z pralni i odkrył, że kiedyś musiała wszyć dosłownie w każdą część garderoby coś, co

przypominało identyfikatory. W każdym ubraniu odnalazł dwa małe skrawki dodatkowego materiału.

Same identyfikatory zostały odcięte.

W słuchawce odezwała się znów ta kobieta o zgrzytliwym niemieckim akcencie.

- Przykro mi, sir. Bez specjalnego formularza podpisanego przez pacjentkę...

- Chciałbym się tylko umówić na wizytę u lekarki, która ją badała - przerwał jej Max i zerknął na paragon. - Doktor Liesle Kramer.

Na moment w słuchawce zapadła cisza.

- Może być wrzesień? - zapytała w końcu. - Siódmy września. To będzie środa...

Dopiero za trzy miesiące!

- Przepraszam, ale pani źle mnie zrozumiała. Jestem z...

- Owszem - ucięła krótko. - Zrozumiałam. Jest pan z FBI albo przynajmniej tak pan twierdzi. Niestety, obawiam się, że pańska historyjka nie jest oryginalna...

- Co takiego?!

- Kilka razy w tygodniu odbieramy telefony z FBI, policji, CIA... Zupełnie jakby te magiczne słowa miały sprawić, że udostępnimy poufne informacje o naszych pacjentkach.

W tym momencie zabrzączał telefon Maksa, powiadamiając o kolejnym połączeniu. Zerknął na wyświetlacz - to był Jules.

- Tak, rozumiem - powiedział pojednawczo do recepcjonistki z AMC. - Ale ja naprawdę jestem...

- Przykro mi, sir. Proponuję, żeby porozmawiał pan bezpośrednio ze swoją przyjaciółką, jeśli chce pan dowiedzieć się czegoś o stanie jej zdrowia. My nie przykazujemy żadnych informacji bez specjalnego formularza podpisanego...

- Niech pani posłucha - przerwał jej szorstko. - Ona zaginęła, a ja staram się ją odnaleźć. Chcę porozmawiać z doktor Kramer, żeby się dowiedzieć, czy Gina przyszła na wizytę sama, czy z kimś.

- Naprawdę bardzo mi przykro...

- Czy doktor Kramer przyjmuje dziś wieczorem? - Z nagłówka listu wynikało, że akurat tego dnia w AMC są wieczorne wizyty.

- Niestety, sir, nie udzielamy również informacji o pracujących u nas lekarzach.

Żeby nie dostały się w ręce potencjalnych szaleńców. Nie dopowiedziała ostatnich słów, ale Max wyczuł, że właśnie to miała na myśli.

- Do usłyszenia - powiedziała jeszcze i rozłączyła się.

Niech to szlag. Jules zdążył już zrezygnować, więc Max musiał oddzwonić.

- Dowiedziałeś się czegoś o tej kobiecie, która jeździła z Giną? - zapytał, jak tylko Jules podniósł słuchawkę.

Młody agent nie wydawał się zniechęcony brakiem konwencjonalnego powitania, na przykład „dzień dobry”.

- Nie - odparł. - Przynajmniej na razie. Chociaż czekam właśnie na telefon od George'a. Miał złapać naszego współpracownika w Nairobi, który właśnie jedzie do tamtego obozu, tak że będziemy mogli porozmawiać z księdzem prowadzącym cały ten interes. Komunikacja w tamtych rejonach jest dosyć kiepska, więc nie ma innej możliwości, żeby się z nim skontaktować. Nazywa się Ben Sodano. To znaczy ten ksiądz tak się nazywa. Dam ci znać zaraz, jak tylko się czegoś dowiem od George'a.

- Co jeszcze masz? - spytał Max.

- Jesteśmy w kontakcie z firmą obsługującą kartę kredytową Giny. Od dnia wybuchu nie przeprowadzono żadnej transakcji.

- Cholera!

- Taak... Przykro mi - powiedział Jules. - A teraz powiem ci coś, co jeszcze bardziej ci się nie spodoba. Tego samego dnia, kiedy zdarzył się wybuch, tą kartą ktoś zapłacił za bilet w jedną stronę z Hamburga do Nowego Jorku. Na popołudniowy rejs tego samego dnia i na nazwisko Giny. Poza tym wcześniej tego dnia zrobiono duży przelew - dwadzieścia tysięcy dolarów - na konto firmy o nazwie NTS, która w dziwny sposób chyba wcale nie istnieje.

Chryste.

- Próbujemy ją wytropić, ale jak dotąd bez powodzenia - oznajmił Jules.

- Czyli ta karta została skradziona - doszedł do wniosku Max.

Wolał nie zastanawiać się, co to może oznaczać. Jeśli zarówno paszport, jak i portfel Giny zostały skradzione...

- Tak przypuszczamy - powiedział Jules. - Chociaż poczekaj, jest coś jeszcze. I to coś dziwnego. Gina miała także drugą kartę w innym

banku. Z niej też podjęła sporo gotówki - dziesięć tysięcy dolarów - zaledwie dziesięć dni przed wybuchem, jeszcze w Nairobi.

- O co tu chodzi, do diabła? - zdumiał się Max.

Dziesięć tysięcy dolarów gotówką?!

- O! - zawołał Jules. - Właśnie mam telefon od George'a! Pozwól, że do ciebie oddzwonię za kilka minut...

Przerwał połączenie, a Max zamknął swoją komórkę. Niech to diabli wezmą, w co ta Gina się wplątała?!

Jakiś skurwiel nie tylko wpędził ją w ciążę, ale w dodatku wyciągał z niej pokaźne sumy, aż w końcu ukradł jej kartę kredytową, paszport i... I ją zabił. Nie! Boże, proszę, nie!

Cyfrowy aparat Giny leżał na jej łóżku. Max wziął go do ręki.

No, dalej, Cassidy! Oddzwoń wreszcie!

I powiedz, że udało się dorwać tego księdza z Kenii i że Gina wróciła do obozu cała i zdrowa, i...

Zostawiając tu wszystkie swoje rzeczy? Gdyby chodziło tylko o ciuchy i przybory do makijażu, Max mógłby jeszcze mieć nadzieję. Ale Gina na pewno nie zostawiłaby książek.

Telefon ciągle nie dzwonił i nie dzwonił, więc Max włączył aparat. Na pewno Gina jak zwykle miała w karcie pamięci dziesiątki zdjęć, które chciała zachować...

Na malutkim ekraniku najpierw ukazała się jego fotografia.

Ciekawe, dlaczego jej nie skasowała? Może ciągle jeszcze coś dla niej znaczył? Albo zachowała jego podobiznę jako ostrzeżenie. Coś w rodzaju: „Nigdy nie zapominaj, jak popieprzony był twój układ z tym gnojkiem...”.

To zdjęcie nie należało do szczególnie udanych. Prawdę mówiąc, wprawiło go w zakłopotanie.

Max siedział wyprostowany na swoim łóżku w Sheffield. Gina pstryknęła tę fotkę następnego dnia po tym, jak tam przyjechał. Po pierwszej sesji terapeutycznej wyglądał jak kupa gówna, a w dodatku spoglądał w obiektyw z nieukrywaną złością, ponieważ wcale nie życzył sobie, żeby robiła mu zdjęcie.

Nie życzył sobie także obecności Giny w jego pokoju. Zupełnie, jakby mogło ją to powstrzymać od... „Wiesz, czego ci potrzeba? Czegoś miłego na zakończenie”.

Nacisnął przełącznik i przeszedł do następnego zdjęcia. I znów zobaczył siebie. Tym razem w towarzystwie Ajaya. Wielki Boże...

Właśnie grali w karty w pokoju rekreacyjnym w centrum rehabilitacji - Ajay uśmiechnięty od ucha do ucha, mimo że siedział w fotelu inwalidzkim i że jego poparzone i pokryte bliznami ręce przypominały jakieś straszliwe szpony.

Akurat było Boże Narodzenie i wszędzie wisiały świąteczne gadzety. Max zaśmiewał się z czegoś, co chłopak powiedział - bez wątplenia musiał to być jakiś śmiesznie durny dowcip. Dzieciak od razu - już w trakcie pierwszego spotkania - zorientował się, że kretyńskie kawały wprawiają Ginę w dobry humor, a kiedy Gina się śmiała, Max też się śmiał.

Następne zdjęcie musiało być zrobione przez Ajaya. Gina siedziała na kolanach Maksa przy tym samym stole, przy którym wcześniej grali w karty; ręce zaplotła wokół jego szyi, a na głowę włożyła czapkę z rogami renifera, którą przyniosła chłopcu w prezencie.

Max spoglądał w obiektyw z nieco wymuszonym uśmiechem i wyglądał, jakby bał się nawet dotknąć Giny. Jakby bał się, że zostanie to utrwalone na filmie, bał się, że...

Cholera, chętnie wszedłby teraz do tej fotografii. Miał ochotę walnąć się w czoło i powiedzieć sobie... Właśnie, co powiedzieć?

Ciesz się tą chwilą, durniu. Wykorzystaj ją. Poczuj jej smak i ją docień. Bo jak amen w pacierzu to nie będzie trwać wiecznie.

Rozdział Siódmy

Centrum Rehabilitacji Sheffield, McLean, Wirginia

6 stycznia 2004

Siedemnaście miesięcy wcześniej

To zaczynało przypominać grę. Max starał się trzymać w pobliżu Ajaya albo Julesa, podczas gdy Gina w delikatny sposób próbowała się ich pozbyć. Żeby zostać sam na sam z Maksem.

Choć, szczerze mówiąc, Max w ogóle się nie przykładał. Mniej więcej co drugi dzień dawał za wygraną.

I wkrótce stało się to jego ulubioną częścią tygodnia. Gina. Siedząca na nim okrakiem.

To interesujące, jak szybko seks przestał być jedynie okazjonalnym luksusem, a stał się absolutnie niezbędną koniecznością. Czymś w rodzaju uzależnienia.

Prawdziwym niebezpieczeństwem było jednak to, że Gina we wszystkim świetnie się orientowała.

- Dzień dobry, Debra - usłyszał, jak pozdrowiła którąś z pielęgniarek.

Już dźwięk jej głosu sprawiał, że ciśnienie mu się podnosiło. Dziś przyszła sama, bez Julesa, a to znaczyło, że Max powinien sięgnąć po telefon i powiedzieć Ajayowi, żeby wpadł do niego pograć w karty.

Ale nie wykonał nawet najmniejszego ruchu. Nie chciał dziś grać w karty. Po prostu siedział i przysłuchiwał się, jak obie kobiety rozmawiają o pogodzie.

- ... wystarczy kilka płatków śniegu, a już wszyscy zaczynają ciągnąć nosem jak moja cioteczna babcia Lucia.

Prawdę mówiąc, to Gina prowadziła dyskusję. Debra wydawała tylko niewyraźne pomruki w rodzaju „Taak...”, „Mm...”, „Uhuu...”.

- Mam kuzyna, który uczy w piątej klasie w szkole tuż za granicami Bostonu. Powiedział, że oni nigdy nie zamykają szkoły z powodu czegoś mniejszego niż prawdziwa zamieć śnieżna. Max jest u siebie?

- Tak. Uciał sobie drzemkę.

- Dzięki. Wślizgnę się tam cichutko jak myszka.

- Mm.

I właśnie w tym momencie Ginę poniosło. Najwidoczniej miała już tego dość.

- Co ty właściwie masz przeciwko mnie? - rzuciła tamtej prosto w twarz, bez ogródek.

Nie podniosła przy tym głosu nawet o ćwierć tonu. Max słyszał wszystko tylko dlatego, że drzwi do jego pokoju były uchylone, a one stały tuż obok.

Debra wydała z siebie nerwowy chichot. Tak, tak, Debra. Masz się czego obawiać. Powinnaś się bać jak diabli. Gina potrafiła zmienić się w pitbula, jeśli zachodziła taka konieczność, i raczej nie odejdzie stąd, dopóki nie otrzyma odpowiedzi, która ją usatysfakcjonuje.

Ale Debra nie miała zamiaru podejmować dyskusji.

- Nie bądź śmieszna, kochanie. Nic nie mam przeciw tobie.

Nic z tego. Max wyobraził sobie, jak Gina krzyżuje ręce. Pierwszy znak, że jest gotowa do walki.

Poddanie się nie wchodziło w grę dla żadnej ze stron.

- No, nie krępuj się! Obie wiemy, że nie mówisz prawdy. Dokładnie zdaję sobie sprawę z tego, co sobie myślisz za każdym razem, gdy tutaj wchodzę. - Gina podniosła głos i zaczęła naśladować piskliwy głos starszej pani. - Ach, witaj, kochanie. Czas na małe pieprzonko dla pana Bhagata, prawda?

- A może masz zamiar zaprzeczyć... - W głosie Debry brzmiało wyraźne napięcie.

- Nie.

O Boże!

- Seks jest istotną częścią naszego związku i nie mam zamiaru twierdzić, że jest inaczej - powiedziała Gina. - Wcale się tego nie wstydzę, bo dlaczego miałabym się wstydzić? Ja go kocham.

To nie było nic nowego, ale mimo wszystko słyszeć, jak ona mówi to na głos...

Gina nie miała zamiaru zrezygnować.

- Czy możemy zacząć od początku? Albo przynajmniej czy mogłabyś być dla mnie grzeczna? I co, myliłaś się z tymi majteczkami na podłodze, prawda? Jednak nie przychodzą tu do niego tuziny pańienek...

- Przykro mi, ale nie mam zamiaru tego komentować. Musisz sama go o to zapytać.

- Ale z ciebie suka - rzekła spokojnie Gina, a pielęgniarka aż zachłysnęła się z oburzenia. - Dlaczego uparcie usiłujesz mi wmówić...

Debra zaczęła mówić głośniejszym głosem, żeby przerwać Ginie.

- Nie muszę znosić podobnych...

- A ja nie muszę nawet sekundy dłużej znosić twoich małostkowych podejrzeń - odparła Gina. - Myślisz, że jak młoda dziewczyna sypia ze starszym mężczyzną, to od razu niszczy czyjś szczęśliwy dom, tak? Chcesz coś wiedzieć? Max nigdy nie był żonaty, więc twoje przypuszczenia są po prostu głupie. Nikt go nie chce, tylko ja! Tylko ja jestem na tyle szalona, żeby mieć nadzieję, że uda mi się z nim zbudować związek na dłużej, ale powiem ci, że to już wysysa ze mnie wszystkie siły.

Och!

Ale Gina jeszcze nie skończyła.

- A ty, tylko dlatego że twój mąż poszedł sobie do jakiejś młodszej...

- Skąd o tym wiesz? - parsknęła ze złością Debra. - Moje prywatne sprawy nie są...

Gina natychmiast zmiażdżyła ją jak walec parowy.

- Deb, przykro mi, że twój stary okazał się skończonym kutasem i tak bardzo cię, zranił, ale Max naprawdę nie jest do niego podobny. Od lat siedzi w swoim mieszkaniu jak w norze i nikt do niego nie zagląda. Ożenił się ze swoją robotą, a ja dzięki temu zostałam jego panią... No cóż, niech tak zostanie. Mnie to bardzo odpowiada. Hej, nie odchodź, jeszcze nie skończyłam! I tak za długo musiałam znosić twoje pełne dezaprobaty milczenie. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to wykrztuś to wreszcie!

- Przykro mi, ale nie jesteś jedyną kobietą, która go tu odwiedza - odparła Debra lodowatym tonem. - To nie moja rzecz mówić, kto tam wchodzi i zamyka za sobą drzwi, ale jeśli masz trochę rozumu, to musisz wiedzieć, że każdy gość podpisuje się na recepcji.

- Peggy Ryan, Deb Erlangen, jego asystentka Laronda - wymieniła Gina jednym tchem. - No i Frannie Stuart. To są dziewczyny, które pracują u niego w biurze, koniec kropka. I ty świetnie o tym wiesz. Wiesz co, Debra? Zapomnij o tej rozmowie, dobrze? Możesz mnie dalej ignorować. Nie jestem zainteresowana przyjaźnią z kimś tak toksycznym jak ty.

Max zacisnął powieki, bo usłyszał, jak Gina delikatnie otwiera, a potem zamyka za sobą drzwi.

- Cholera - mruknęła pod nosem. - Cholera jasna. Ciekawe, czemu mnie to w ogóle obchodzi?

Przez moment stała bez ruchu i patrzyła na niego, a on postarał się oddychać wolno i spokojnie. Tak jakby spał. Uprzedziła go, że przyniesie mu lunch; po chwili usłyszał, jak podchodzi do biurka i stawia na blacie dwie papierowe torby. Wreszcie usiadła, ale nie na łóżku, tylko na stojącym obok krześle.

- Wiem, że nie śpisz. - Westchnęła ciężko. - I wiem, że słyszałeś każde słowo.

Max otworzył oczy i spojrzał na nią. Żaluzje zasunięte były w ten sposób, że światło padało wyłącznie na sufit. W półmroku jej twarz pulsowała delikatnym blaskiem, a rysujący się na niej smutek był wręcz namacalny. Nagle pożałował, że nie ma pod ręką aparatu.

A Gina próbowała się tłumaczyć.

- Kiedy mówiłam, że to wysysa ze mnie wszystkie siły, to miałam na myśli... - zająknęła się.

- Że wysysa, tak? - skończył za nią.

Zaśmiała się, ale jej spojrzenie pozostało ponure. Serce mu pękło na ten widok, bo za żadne skarby świata tego nie chciał.

Musiała być szalona, że się na niego zdecydowała. To dobrze, że miała tego świadomość, bo następnym krokiem Giny będzie dojście do wniosku, że jednak nie jest wystarczająco stuknięta.

Właśnie tak jak sobie życzył.

- Ja tylko... - zaczęła Gina. - Myślałam... Sama już nie wiem, Max, co o tym myśleć. Ja zwyczajnie... Ja cię kocham, ale... Mój Boże...

Patrzył na nią i po raz pierwszy nie potrafił odczytać jej myśli. Zwykle Gina tryskała nadzieją i optymizmem. Pewnością siebie. Ale teraz mógł w niej dostrzec jedynie smutek.

Może to już koniec. Może Gina zaraz wstanie i wyjdzie z tego pokoju. I odejdzie z jego życia.

Miał wrażenie, że sam siebie obserwuje. Wiedział, że nie powinien sobie na to pozwolić, ale nie mógł siedzieć bez ruchu i czekać, by to się stało. Zamiast tego wyciągnął do niej rękę. Przesłanie było jasne: chodź tutaj. Nigdy dotąd nie zrobił pierwszego kroku. Zawsze inicjatywa wychodziła od niej. I jeżeli smutek w jej oczach zmienił się w coś innego, a wzrok zasnuła lekka mgiełka, to on tego nie widział. Zamknął oczy i pociągnął ją na łóżko.

Zwykle Gina była całkiem naga, kiedy wślizgiwała się do jego pościeli; tym razem nie zdążyła pozbyć się garderoby, co też było sexy, tyle że w całkiem inny sposób.

Oczywiście dla Maksa Gina była sexy, kiedy mówiła „dzień dobry” pielęgniarkom; kiedy grała w karty z Ajayem; kiedy krzywiła się komicznie na widok różowego ciasteczka przypominającego kształtem śnieżną kulę, które zdaniem Ajaya było najwspanialszym smakołykiem świata. I kiedy się śmiała, kiedy mówiła, kiedy oddychała...

Miał zamiar tylko przytulić ją mocno, pozwolić, by położyła głowę na jego piersi i otoczyć ją ramionami, ale kiedy Gina przesunęła nogą po jego udzie, napotkała... hm, entuzjastyczną reakcję na jej tak bliską obecność.

Roześmiała się i sięgnęła po pilota, żeby zablokować drzwi.

- No cóż, przynajmniej teraz czuję się nieco mniej niepożądana.

Zacząła go całować, ale on odsunął się, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Zawsze cię pożądam, Gina. Wiesz, że chodzi mi o coś innego.

- No więc o co? - spytała. - Ale uprzedzam, jeśli uraczysz mnie jakąś pieprzoną opowieścią o tym, jak to na mnie nie zasługujesz, to jak amen w pacierzu zacznę wrzeszczeć.

- To, czy na ciebie zasługuję, czy nie, nie ma tu znaczenia - odparł. - Po prostu nie sędzę... - poprawił się - ... to znaczy, uważam, że nie mogę dać ci tego, czego potrzebujesz.

- Chcesz się założyć? - szepnęła.

Pocałowała go namiętnie i jak zawsze Max był zgubiony.

Pomógł jej zdjąć to, co konieczne, przesuwając palcami po jej skórze, gładkiej, doskonałej, podczas gdy Gina sięgnęła po prezerwatywę i... Tak.

- Max?

Otworzył oczy i napotkał jej uważne spojrzenie; włosy Giny spadały w nieładzie na jej ramiona, przez na wpół rozpiętą koszulę widział czarny, połyskliwy biustonosz, który ledwie mieścił kształtne, pełne piersi.

Twarz Giny była pełna powagi, a w jej oczach kryło się pytanie.

- Max... - wyszeptała. - Czy dla ciebie liczy się tylko seks? Czy to wszystko... czy z twojej strony to tylko taka gra między nami?

Zastanowił się. W ciszy, która teraz zapadła, mógł usłyszeć skrzypienie Ziemi, która wstrzymała na moment swój nieustanny ruch, jakby cały wszechświat czekał na jego odpowiedź.

Były tylko dwie możliwości: A - nie i B - tak. Max zdecydował się na C. Zacisnął powieki i obdarzył Ginę długim, namiętym pocałunkiem, modląc się w duchu, żeby zarówno zrozumiała, jak i nie zrozumiała tego, czego on sam nie pojmował.

I najwyraźniej, nawet jeśli nie była to absolutnie trafna odpowiedź, to zupełnie jej wystarczyła.

Kenia, Afryka

23 lutego 2005

Cztery miesiące wcześniej

- Każdy, no zgoda, prawie każdy, kto zaczyna bawić się w wolontariat, przeżył w przeszłości jakąś tragedię - mówiła Gina, podczas gdy Molly kończyła przygotowywać namiot na wizytę Dave'a Jonesa.

Molly wygładziła jeszcze przykrycie łóżka, a potem sprawdziła, czy woda w czajniku zaczęła się już gotować. Zaczęła, toteż Molly nalala wrzątku do dzbanka na herbatę.

- Na przykład siostra Helen - kontynuowała Gina. - Opowiadała mi, że postanowiła poświęcić życie Bogu po tym, jak jej siostra została zamordowana, a stało się to w jej salonie.

Gina ciągle niepokoiła się o Molly. Dzisiejszego popołudnia przeżyła coś w rodzaju szoku, odkrywszy, że przyjaciółka bardzo aktywnie pomaga uciekającym dziewczynom.

- A siostra Podwójne M też dźwiga ciężki bagaż - nie dawała za wygraną.

Cały czas starała się skłonić przyjaciółkę, żeby pozwoliła sobie pomóc.

- Wiem, wiem - burknęła Molly. - Ale mimo to nie będę żadnej z nich prosić, żeby mi pomogła odstawić Lucy do Marsabitu.

Po kolei podnosiła do migającej lampy każdy z kubków do herbaty, by upewnić się, że nie wpełzło do nich nic paskudnego.

Zdaniem Molly Gina nic by nie zyskała, wplątując się w niebezpieczną grę. Minęło zaledwie kilka krótkich lat od chwili, kiedy przeżyła piekło na pokładzie porwanego samolotu.

- Nawiasem mówiąc, nie wybieram się na północ sama - dodała. - Mam przyjaciela, na którego mogę liczyć.

Podniosła rękę, żeby powstrzymać ewentualne pytania Giny.

- Nieważne kto to, wystarczy, że Lucy będzie miała dobrą opiekę.

- Co takiego?! - nie wytrzymała Gina. - Więc mam zapomnieć, że wiem cokolwiek na ten temat?! A jeśli zjawi się tu następna dziewczyna?

- Wtedy zrobisz to co dzisiaj i po prostu mi powiesz. A ja się nią zajmę - oznajmiła Molly. - Posłuchaj, Gina, bardzo mi przykro. Powinam cię o tym uprzedzić całe wieki temu.

- Owszem - burknęła Gina.

Molly czuła, że Gina złości się na nią nie dlatego, że jej nie wciągnęła do współpracy, lecz że tak istotną sprawę trzymała przed nią w tajemnicy, mimo iż były przyjaciółkami od dawna.

A teraz Molly miała następną rzecz do ukrycia. I to o wiele poważniejszą. Lecz wiedziała, że jeśli w ogóle poruszy tę sprawę, wypaple wszystko w ciągu kilku minut.

O tym, jak Jones tu przybył. Wydawało się, że to najlepsze wyjście z sytuacji - powiedzieć Ginie, że Leslie Pollard i Dave Jones to jedna i ta sama osoba. Już nie byłoby przykrego zdziwienia, że Molly maluje sobie paznokcie u stóp zamiast zalewać się łzami. A Molly nie musiałaby czuć się winna, że znowu coś ukrywa przed najlepszą przyjaciółką.

Zasadnicza zaleta takiego rozwiązania polegała jednak na tym, że Jones mógłby spokojnie wpadać do nich na herbatę, a w oczach opinii publicznej wszystko byłoby jak należy - tyle tylko że on i Molly mieliby okazję, żeby otwarcie ze sobą rozmawiać.

Przy Ginie, ma się rozumieć. Zasady obowiązujące w obozie wymagały obecności przyzwoitki.

Ale nawet w takich warunkach byłoby to znacznie lepsze niż ostrożne szeptki, gdy przypadkiem mijali się w kantynie w czasie posiłków.

Z pewnością Jones podzieli jej punkt widzenia.

- No, rusz się! - zawołała do Giny. - Pomóż mi sprzątać.

Gina bez specjalnego entuzjazmu zabrała się do porządkowania swojej części namiotu. Polegało to na tym, że zabrała ze sznurka na bieliznę skarpetki, które uprała i powiesiła tam dawno temu.

- Chyba nie myślisz, że ten cały Pollard naprawdę pojawi się tu dziś wieczorem? - spytała kąśliwie, wrzucając skarpetki do swojej skrzynki.

Ale tego akurat Molly była pewna.

- A dlaczego miałyby nie przyjść? - spytała.

W odpowiedzi Gina tylko pokręciła głową.

I właśnie w tym momencie Jones zastukał o framugę.

Serce Molly aż podskoczyło z radości. Musiała sobie na siłę przypomnieć, że przecież zgromadzili się tu na coś w rodzaju stypy, więc otwierając drzwi, zrobiła odpowiednio smutną minę.

- Witam, panie Pollard. Proszę wejść.

- Dziękuję.

Przez moment ich spojrzenia się spotkały, ale to wystarczyło, by Molly uśmiechnęła się od ucha do ucha. Przestań, wariatko, zgaśniła się w duchu.

Jones miał na sobie jedną z tych okropnych kraciastych koszul, zapiętą pod szyję i ze starannie opuszczonymi mankietami. Na głowę włożył przeciwsłoneczny kapelusz, mimo że na dworze od dawna panował już mrok. Nie powitał jej uśmiechem, ale wciskając się do namiotu, zdołał jakoś otrzeć się o Molly. Wielki Boże.

- Nalać panu herbaty? - spytała nienaturalnie wysokim głosem.

- Poproszę - odparł.

Usadowił się na jednym z dwóch krzeseł i krótkim kiwnięciem głowy powitał Ginę.

Nalewając herbatę, Molly czuła na sobie jego wzrok. Nagle odniosła wrażenie, że w namiocie jest strasznie gorąco. Gina chrząknęła znacząco.

- A więc, hm, Leslie... - zaczęła nieprzyjemnym tonem, co samo w sobie zdawało się dziwne. Kiedy ostatni raz Gina była wobec kogoś nieuprzejma? - Jak dobrze, hm, znał pan Davida Jonesa?

Jones także chrząknął.

- Obawiam się, że niezbyt dobrze - odparł.

Molly podała mu kubek z herbatą, rzucając jednocześnie błagalne spojrzenie.

- Moim zdaniem powinniśmy powiedzieć Ginie prawdę o...

W odpowiedzi popatrzył na nią takim wzrokiem, że nie miała wątpliwości, że to ostrzeżenie.

- Prawda wygląda tak, że przebywając w Indonezji, Jones ściągnął na siebie gniew pewnych bardzo niebezpiecznych ludzi - powiedział. - Gdyby nie zginął, to i tak pewnie w końcu wpadłby w ich ręce, ponieważ nie był dość ostrożny.

I na wypadek gdyby Molly nie odczytała jasno tego przesłania, natychmiast przeszedł do opowiadania długiej i zawilej historii o podróży z Nairobi w autobusie pełnym kleryków.

Odwrócona plecami do Giny Molly zaczęła robić do niego miny.

Nie zakłóciło to w niczym toku myśli Jonesa, który opisawszy ze szczegółami wygląd autobusu, przeszedł do opisywania jadących nim osób.

- Ojciec Dieter... No cóż, oczywiście panie go znają... Ojciec Dieter potrafi naprawdę pięknie śpiewać...

Molly zupełnie wystarczyło do szczęścia, że może tam siedzieć, popijać herbatę i słuchać jego głosu, nawet gdyby recytował z pamięci całą książkę telefoniczną. Obserwując zgrabne palce Jonesa obejmujące kubek, przywoływała z pamięci dotyk jego rąk...

Jak długo jeszcze będą musieli bawić się w to udawanie?

Jones z pewnością wiedział, o czym ona myśli, bo celowo unikał jej wzroku. I cały czas trzymał się swojej historyjki.

- Ojciec Tom opowiedział nam, że jako dziecko mieszkał w Manili. Miał siedem lat, kiedy zaatakowali ich Japończycy.

Po przeciwnej stronie namiotu Gina siedziała nienaturalnie cicha i spokojna. Skuliła się na swoim łóżku daleko od Jonesa i zupełnie zamknęła się w sobie. Skrzyżowała ramiona i lekko odwróciła głowę do ściany.

- Matka Toma została zamordowana - ciągnął Jones. - Przypuszczam, że raczej w brutalny sposób. Jego starszy brat Alvin zdołał uciec razem z nim do dżungli.

Molly patrzyła, jak Gina ogląda dokładnie przetarty rękaw swojej bluzki. Wyglądało na to, że woli patrzeć na cokolwiek, byle nie na ich gościa. A on mówił dalej.

- We dwóch stworzyli coś w rodzaju pary partyzantów... W czasie wojny mieli na koncie poważne akcje sabotażowe.

Czy to możliwe, żeby Gina po prostu czuła się niezręcznie w jego towarzystwie?

Ostatecznie nie każdego dnia w ich namiocie przesiadywali nieznajomi mężczyźni. A jeśli już, to zwykle byli to księża lub tacy z Podwójnym P, jak nazywała ich Gina, czyli Porządni Pięćdziesięciolatekowie, najczęściej szczęśliwie żonaci.

- Udało im się tak dokładnie wtopić w tłum miejscowych, że nigdy nie zostali złapani - monotonnym tonem kontynuował Jones. - Pewnie nikt nie spodziewał się, żeby dzieci mogły być sprawcami tak wielkich zakłóceń w dostawach. Wyrosli na naprawdę ciekawych ludzi. Alvin zresztą jeszcze żyje i mieszka w San Francisco. Wtedy miał zaledwie jedenaście lat.

W tym miejscu gładko przeszedł do szczegółowego opisywania zalet ojca Jurgena.

Może Jones był podobnego wzrostu i budowy jak któryś z terrorystów, którzy wzięli Ginę do niewoli i trzymali na muszce pistoletu?

Albo jego śmieszny udawany akcent przypominał jej któregoś z napastników?

Wydawało się, że Gina pogodziła się z gehenną, którą przeszła, mimo iż stało się to zaledwie kilka lat temu. Robiła wrażenie zdrowej na umyśle i dobrze przystosowanej do życia.

Oczywiście kluczowe w całej tej sprawie były słowa „wydawać się”. Ostatecznie Molly nie mogła wiedzieć, co naprawdę działo się w głowie Giny.

A było całkiem możliwe, że nic dobrego.

Pamiętając wszystko, Molly i Gina musiały porozmawiać.

- Nie mogę sobie przypomnieć... - dotarły do niej słowa Jonesa - ... czy to ojciec Dieter czy ojciec Jurgen śpiewał zwrotkę Baltazara z We Three Kings, kiedy wjeżdżaliśmy do Nakuru, ale skłonny jestem przy puszczać, że to raczej ojciec Jurgen.

Zamilkł na sekundę, a Molly natychmiast wykorzystała okazję.

- Może jeszcze herbaty, panie Pollard?

Zerknął na zegarek.

- Nie, dziękuję. Zrobiło się późno i powinienem już iść.

Chyba żartował. Przecież przyszedł nie dalej jak piętnaście minut temu. Molly prychnęła skonsternowana, zanim zdążyła się opanować. Gina pochyliła się w przód.

- Mieliśmy dziś wspominać Davida Jonesa - zauważyła. - Ja go nie znałam, więc się nie przydam, ale pan miał okazję go spotkać. Jaki był David Jones?

Jones zerknął na Molly.

- No cóż... Był... był wysoki.

- Wysoki? - Gina także rzuciła spojrzenie w kierunku Molly, ale jej wzrok jasno mówił: Słyszałaś, co powiedział ten idiota?

- Bardzo wysoki. Wyższy ode mnie - poprawił się Jones i podniósł się z krzesła. - Naprawdę muszę iść.

Wręczył Molly swój kubek - oczywiście postarał się, by ich palce się zetknęły, aczkolwiek trwało to dosłownie ułamek sekundy - a potem podziękował za gościnę, życzył wszystkim dobrej nocy i wymaszerował z namiotu.

Molly nie czekała, aż jego kroki ucichną w oddali, tylko od razu odwróciła się do Giny.

- Dobrze się czujesz?

- A ty dobrze się czujesz? - odparowała Gina, choć starała się mówić sotto voce. - Boże, co to za beznadziejny dupek! Chciałaś przecież porozmawiać o Jonesie, a co on jedynie pamiętał? Że Jones był wysoki? Poza tym czy rzeczywiście uważał, że obchodzi mnie to, czy czwarty, czy piąty rząd siedzeń w autobusie ma jeszcze oryginalną wyściółkę?!

Molly zakryła ręką usta żeby ukryć uśmiech. Rzeczywiście trochę przesadził.

- Niektórzy ludzie gadają od rzeczy, kiedy są zdenerwowani - próbowała go wytłumaczyć. A niektórzy klepią byle co po to tylko, żeby inni nie mieli szans się odezwać.

Gina znów usiadła na swojej pryczy i zakryła oczy.

- O Boże, Molly, co ja mam teraz zrobić? Sam fakt, że dziś się tu zjawiał... Najwyraźniej jest zainteresowany, ale tylko dlatego, że uważa mnie za totalnie zboczoną.

- Hej! - zawołała Molly. - Zaczekaj! Zupełnie nie wiem, o czym mówisz.

Gina usiadła prosto, a na jej ładnej buzi powaga mieszała się z przerażeniem i rozbawieniem.

- Nie mówiłam ci o tym, ale gdy tylko skończyłam rozmawiać z siostrą Lucy - a schowałyśmy się w umywalni, żeby nikt nas razem nie widział - wypuściłam ją pierwszą a sama odczekałam minutę czy dwie, bo wydawało mi się, że lepiej będzie, jeśli nie wyjdziemy stamtąd razem. Ale zanim wyszłam, on zdążył tam wejść.

On.

- Leslie Pollard? - upewniła się Molly.

Gina skinęła głową.

- Zupełnie zgłupiałam, kiedy zauważyłam, że nadchodzi. Wiem, że to zabrzmi idiotycznie, ale po prostu się schowałam. Właściwie powinnam wymknąć się dopiero wówczas, kiedy on odkręcił prysznic, ale pomyślałam, że może zostawić odsuniętą zasłonę, bo na pewno wydaje mu się, że jest sam.

Molly zaczęła się śmiać.

- O rany!

- No właśnie - podchwyciła Gina. - O rany! Kiedy chciałam po cichu stamtąd zwać, okazało się, że nie wszedł do przebieralni, tylko stoi obok ławki... Wiesz gdzie?

Molly przytaknęła. Ławka stała w centralnej części umywalni.

- A na sobie ma wyłącznie gatki - dokończyła Gina, przewracając oczami. - O Boże!

- Naprawdę? - spytała Molly. Widocznie Jones bardzo serio potraktował zmianę tożsamości. Dawniej nienawidził noszenia jakiegokolwiek bielizny, lecz najwyraźniej doszedł do wniosku, że to nie pasuje do postaci Lesliego Pollarda. - Bokserki czy krótkie gatki?

Gina rzuciła jej zdumione spojrzenie, lecz sama już także zaczynała się śmiać. Dzięki Bogu.

- Krótkie gatki. Bardzo krótkie gatki. - Zakryła dłonią usta. - Och, Molly... On chyba postanowił wykąpać się w południe, bo myślał, że będzie w umywalni sam, więc będzie mógł... no wiesz... umówić się na intymne spotkanie z panią Rasią.

O cholera!

- A teraz ja to wiem, a on wie, że ja wiem, dlaczego pewnie uważa, że celowo zacząłam się w prysznicach w czasie przeznaczonym dla mężczyzn. A to, że przyszedł tu dzisiaj na herbatę, zamiast ukrywać się gdzieś przede mną, na przykład w swoim namiocie, oznacza... coś okropnego, nie sądzisz? Czy wspomniałam ci już, że on ma niesamowite ciało?

Molly pokręciła głową. O cholera!

- Nie.

- Taak... - powiedziała Gina odrobinę zbyt poważnie, jakby zastanawiała się nad tą sprawą. - Kto by pomyślał, że pod tymi okropnymi ciuchami Leslie wygląda jak młody bóg? I może dlatego dostałam takiego bzika na jego punkcie.

- Chcesz powiedzieć... że on cię pociąga? - spytała Molly.

- Nie! - zawołała Gina. - Wielki Boże, absolutnie nie! Nic do niego nie czuję. Stałam tam, a on... Pamiętasz, jak mówiłam, że on ma w sobie coś z Hugh Granta?

Molly skinęła głową. Ulżyło jej tak, że nie mogła wykrztusić ani słowa.

- No cóż, miałam na myśli nie tego Hugh. On jest zbudowany jak Hugh Jackman. A pod tym kapeluszem i okularami kryje się silna szczeka, ostro zarysowane kości policzkowe... Gadam jak napalona

seksuolizka. I owszem, ja to doceniam, ale do pewnego poziomu, a poza tym...

Popatrzyła na biurko, gdzie leżał jej aparat cyfrowy. Wyjęła go ze skrzynki kilka godzin wcześniej.

To znaczyło, że tego popołudnia poświęciła kilka godzin na przeglądanie zachowanych fotek.

A wśród nich na pewno było przynajmniej kilka zdjęć Maksa.

Nagle ulga, jaką Molly poczuła na wieść, że nie będzie musiała stawić czoła komplikacjom związanym z zauroczeniem Giny osobą Lesliego Pollarda, przestała mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Pożałowała, że ktoś po prostu nie ukradł Ginie tego cholernego aparatu. Może to pomogłoby jej zacząć żyć przyszłością.

- Kochanie, nie musisz koniecznie tłumaczyć się, że nic nie czujesz do Pollarda - powiedziała, łagodnie gładząc dłoń Giny. - Wcześniej czy później spotkasz kogoś i będziesz wiedziała, że to ten i...

Gina westchnęła ciężko.

- Wiem. Ja tylko... - znów przewróciła oczyma. - Pomijając fakt, że Leslie interesuje się mną tylko dlatego, że uważa, że mam skłonność do perwersji, podejrzewam, że... No cóż, przyjechał tutaj, prawda? Z AIDS Awareness International. Więc musi być miły. Nudny, ale miły. A ja za żadne skarby świata nie chciałabym zranić jego uczuć, więc... Nie zapraszaj go więcej na herbatę, dobrze? Niech nie przychodzi do naszego na miotu. Jeśli zacznę go unikać, to wkrótce zrozumie, że nie jestem zainteresowana jego osobą.

Nie zapraszać go więcej na herbatę? Jeszcze czego!

- Wiem, że to zabawne... - Gina dalej snuła wynurzenia - ... zobaczyć kogoś takiego jak Leslie w zupełnie innym, nieoczekiwanym świetle. Na przykład patrząc na niego, nie myślisz przecież: O rany, jak ten facet musi wspaniale wyglądać nago. Ciekawe, czego jeszcze o nim nie wiemy. Jak sądzisz, może należy do tych facetów, którzy nazywają swojego penisa jakimś imieniem? Albo ma przekłuty język, albo...

- A jeśli się mylisz? - przerwała jej Molly. - Jeśli Leslie wcale się tobą nie interesuje?

- Co?

Na twarzy Giny pojawił się wyraz całkowitego zaskoczenia. Najwyraźniej myślała, że Pollard mógł przyjść tu ze względu na Molly, a nie na nią, nawet nie przemknęła jej przez głowę.

To ukłuło boleśnie dumę Molly i wzbudziło gniew.

- Uważasz, że jestem dla niego za stara? - spytała odrobinę za ostro.

- Ty? Dla Lesliego? - wyrwało się Ginie, ale zaraz zorientowała się, jak obraźliwie zabrzmiały te słowa, i zaczęła się wycofywać. - Oczywiście, że nie jesteś za stara! To znaczy, w ogóle nie jesteś stara. Najwyżej trochę starsza od niego. Bo wiesz, on jest chyba młodszy, niż sądzisz. Ja też myślałam, że on ma nie wiadomo ile lat, ale po tym... no wiesz... przypuszczam, że ma najwyżej trzydzieści dwa, może trzydzieści trzy lata.

Gina wkopywała się coraz bardziej i świetnie o tym wiedziała.

- Co wcale nie znaczy, że jest dla ciebie za młody - paplała dalej. - Tylko ja nie myślałam, że ty... No bo ty... Ty przecież jesteś w żałobie - dodała, ale była na tyle bystra, że zaraz zastanowiła się nad tym, co powiedziała. Popatrzyła na pomalowane na czerwono paznokcie u stóp, a następnie w oczy Molly i wreszcie dotarło do niej, że Molly wcale nikogo nie oplakuje.

- O mój Boże - nagle zaświtała jej nieprawdopodobna myśl. - Leslie to...

- Ciii... - przerwała jej Molly. - Nie mów tego głośno.

Gina gapiła się na nią, a jej oczy ze zdumienia zrobiły się wielkie jak spodki.

- O cholera! Więc mam rację? Kurwa mać!

- A więc tak - dodała bez tchu. - Boże. Następna tajemnica, tak? Nie zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

Jej gniew niemal natychmiast przerodził się w radość.

- Och, Mol, ty wstrętne babo! Będę się gniewać na ciebie później, obiecuję, ale to coś niesamowitego! Tak się cieszę ze względu na ciebie! Boże, chyba zaraz zemdleję! - objęła mocno Molly. - Wiedziałaś, że on ma przyjechać? Napisał czy...

Molly pokręciła głową.

- Tak po prostu zjawił się tu jak gdyby nigdy nic? - Gina ze wszystkich sił starała się mówić szeptem. - Och, mój Boże! Chyba zwariowałaś z radości, co?

W oczach Molly zalśniły łzy.

- I to jak. Gina, nie wolno ci nikomu o tym powiedzieć.

- Nie powiem, przysięgam.

- Chciałam cię we wszystko wtajemniczyć, ale to on zdecydował, że nie. Za jego głowę jest wyznaczona wysoka cena, boi się, że pewni ludzie nie zaprzestaną poszukiwań.

- Ludzie? - powtórzyła jak echo Gina.

- Ludzie z otoczenia faceta, który wyznaczył tę cenę - wyjaśniła Molly. - Może zresztą chodzi o zwykłych łowców nagród, nie mam pojęcia. Wiem jedynie, że on jest zdecydowany postępować wyjątkowo rozważnie. Boi się, że jeśli rozejdą się plotki o moim ognistym romansie z chłopakiem, który dopiero co przyjechał do obozu, wzbudzi to poważne podejrzenia. I ma rację. Ludzie uwielbiają plotkować, więc... - Potrząsnęła głową. - I mimo że pragnę tego jak diabli, nie mam zamiaru w najbliższej przyszłości zakradać się do jego namiotu. On twierdzi, że nie ma czegoś takiego jak dyskrecja... i że być może będzie trzeba poczekać kilka miesięcy, zanim pozwolimy sobie - na przykład - na trzymanie się za ręce.

- O Chryste.

- Mówi, że nawet nie będzie mógł zbyt często przychodzić na herbatę, ponieważ to mogłoby zwrócić czyjąś uwagę.

- Niekoniecznie - odparła Gina. - Ludzie będą widzieć to, co zechcemy, zwłaszcza przy naszej niewielkiej pomocy. To ja będę zapraszać go na herbatę. Będę siadać przy nim w czasie kolacji, a ty przecież możesz się do nas przyłączyć, prawda? Poza tym napiszę kilka listów... Na przykład do Pammy w Nairobi. Czy ty przypadkiem mi nie mówiłaś, że Electra wybiera się do Sri Lanki? Do niej też napiszę. „Spotkałam najbardziej interesującego mężczyznę pod słońcem...”. I za kilka miesięcy dam mu kopa, a ty wtedy będziesz mogła zacząć go pocieszać po przeżyciu miłosnego zawodu... Ty dziwko.

Molly zaczęła się śmiać, bo słowa Giny na nowo obudziły w niej nadzieję.

- Myślisz, że to naprawdę się uda?

- Możesz się założyć o swój tyłek - powiedziała Gina. - A teraz pytanie za milion dolarów. Czy Jones...

- Leslie. Teraz tak się nazywa.

- Racja. Czy on wie, że nie możesz wyjechać z obozu bez uzbrojonej eskorty, bo w przeciwnym razie zostaniesz napadnięta i zabita? To dokładny cytat z tego, co mówiła ta siostra Lucy.

- Oj, przestań! - odparła Molly. - To gruba przesada, przecież wiesz.

Naprawdę pomyślała, że pytanie za milion dolarów powinno dotyczyć nazw penisa. Jeśli nie, to oznacza, że Gina wymyśla rzeczy, które jeszcze bardziej psują jej i tak nie najlepsze samopoczucie.

- Wie czy nie wie? - upierała się Gina.

- Wiesz przecież, że nie! - odparowała Molly. - I nie zamierzam informować go o podobnych bzdurach. Przynajmniej nie teraz. I tak będzie wystarczająco nieszczęśliwy, kiedy się zorientuje, że wiesz, kim jest. Gina, on mnie ostrzegął, że wyjedzie, jeśli nie będę grać według jego reguł.

- W porządku. - Gina usiadła na łóżku i skrzyżowała nogi. - W takim razie ja też mu nie powiem. Pod warunkiem, że zgodzisz się, żebym pomagała Lucy.

Rozdział Ósmy
Hamburg, Niemcy
21 czerwca 2005
Dzień dzisiejszy

Brat Giny Victor zadzwonił do Julesa zaraz po tym, jak przestał płakać. Wybąkał coś prześmiesznego, żeby się wytłumaczyć, dlaczego przerwał rozmowę - podobno miał połączenie na drugiej linii - ale Jules nawet przez sekundę nie dał się na to nabrać. „Więc co mówiłeś? Gina miała się znajdować wśród ofiar tego okropnego ataku terrorystycznego, ale być może wcale nie zginęła? Ojej, muszę odebrać drugi telefon, to na pewno biblioteka. Pewnie mają dla mnie wreszcie tę książkę, na którą czekam...”. W porządku.

- Więc to na pewno nie jest Gina? - spytał teraz Vic.

- Na pewno. Tak samo na pewno jej ciało nie zostało omyłkowo umieszczone w innej trumnie. Po prostu nie ma jej w kostnicy. I jak na razie również testy DNA wypadły negatywnie. - Odetchnął głęboko i po chwili dodał: - Ale to wcale nie znaczy, że Gina żyje.

Powtarzał to ostatnio wiele, wiele razy... Mały Jasio Fatalista, który roztacza wokół siebie atmosferę smutku i przygnębienia, jednocześnie przedzierając się - w charakterze pasażera - przez zatłoczone ulice Hamburga.

Jego kierowca był wysokim blondynem o uroczym akcencie, ale niestety wydawał się tak samo radosny jak listopadowy dzień w Schenectady. Z łatwością manewrował między samochodami, wioząc Julesa na miejsce wybuchu, zgodnie z życzeniem Maksa.

Jules wolałby pojechać do hotelu, w którym mieszkała Gina, i tam dołączyć do swojego szefa. Wcale nie był pewien, co ciekawego ma wyniknąć z oględzin miejsca zdarzenia. Ale do jego zadań nie należało dociekanie, dlaczego Max go tam wysłał. Miał wykonać polecenie albo umrzeć, wsadzając sobie igłę w oko. Lub gdziekolwiek indziej, gdzie mogłaby wejść.

Mimo wszystko, jeśli Maksowi nie chodziło o odnalezienie w tym gruzowisku czegoś, co należało do Giny - jej pantofla albo pierścionka, który zwykle nosiła na palcu - to ta cała wyprawa wydawała się całkiem bezsensowna.

Zupełnie jakby Max na siłę chciał wynaleźć mu jakieś zajęcie, żeby trzymać go z dala od hotelu.

Aha, pomyślał Jules, i pewnie o to chodziło. Po prostu Max chciał w samotności przeszukać rzeczy osobiste Giny. Uświadomi sobie wreszcie, że wypuszczenie jej z rąk było najgłupszym, najbardziej kretyńskim posunięciem pod słońcem.

- To naprawdę wspaniała wiadomość - oznajmił Vic, jakby nie dotarły do niego ponure słowa ostrzeżenia.

- To wcale... - zaczął znowu Jules, ale Vic przerwał mu w pół słowa.

- Tak, tak - powiedział. - Chodzi ci o to, że nie ma jej wśród ofiar. Przecież to zrozumiałem. Nie wciskaj nam teraz tej pieprzonej historyjki o szklance, która jest w połowie pusta. Czy możesz trzymać się potwierdzonych faktów?

Ale Victor nie przyjmował do wiadomości wszystkich faktów, lecz jedynie te, które były pozytywne i niosły pewną nadzieję.

Nadzieja - jak Jules świetnie wiedział - była bardzo pozytywną rzeczą, oczywiście w określonych ilościach. Ale jeśli rosła tak bardzo, iż przesłaniała rzeczywistość, jeśli wszystkie niepomysłne wieści miały być ignorowane tylko dlatego, że podpierały teorię o przeżyciu Giny... No cóż, nadzieja mogła narobić niezłego bałaganu, kiedy prawda wreszcie pokaże swoje paskudne oblicze.

- Paszport Giny został znaleziony przy kobiecie, którą podejrzewamy o przynależność do komórki terrorystycznej. - Jules powtórzył dokładnie to, co przed chwilą powiedział Maksowi. Jego zdaniem to nie była szczególnie dobra wiadomość. Prawdę mówiąc, nawet całkiem zła. Oznaczała ona, że co prawda Gina nie zginęła w wybuchu, ale prawdopodobnie zmarła kilka dni wcześniej. Ale Jules doszedł do wniosku, że jeśli przekaże tę informację w zawoalowanej formie, to pewnie Victor nie pojmie, o co chodzi.

- Ta kobieta miała paszport w specjalnym woreczku pod bluzką - wyjaśnił.

Naoczni świadkowie potwierdzili, że kobieta, którą Jules i Max znaleźli w trumnie Giny, wysiadła z volkswagena jetty i wbiegła do kawiarni pół sekundy przedtem, nim samochód eksplodował.

To właśnie był szczegół, o którym Jules powiedział Maksowi, lecz którego dotychczas nie ujawnił rodzinie Giny. Tak samo nie mógł się zdobyć na to, by im powiedzieć, że na nazwisko Giny ktoś kupił bilet lotniczy do Nowego Jorku - w jedną stronę - na ten sam dzień, w którym nastąpił wybuch.

W żargonie FBI taka sytuacja nazywała się Wielką Wariacką Zagadką. Bo jeśli ktoś zapłacił niezłą sumkę za to, by polecieć do Nowego Jorku, to czyż nie wydaje się dziwne, że potem idzie i wysadza się w powietrze w jakiejś zapyziałej kafejce na obrzeżach Hamburga?

Mimo wszystko nie mieli dotąd absolutnej pewności, że Gina osobiście nie kupiła wspomnianego biletu. I właśnie między innymi z tego powodu Jules musiał porozmawiać z jej bratem.

- Czy ostatnim razem, kiedy Gina dzwoniła, nie wspomniała nic o przyjeździe do domu? - spytał Victora. - Na przykład z jakąś krótką wizytą?

- Nie.

- A czy nie chciała zrobić wam, dajmy na to, niespodzianki? - dążył dalej. - Nie macie jakiejś babci albo kogoś takiego, kto miałby urodziny? A może chodziło o rodzinny zjazd? Wesele? Pogrzeb? Wiesz, o jakąś imprezę, na której nikt się Giny nie spodziewał, a tymczasem...

- Nie. Nawet nie wiedzieliśmy, że ona jest w tych cholernych Niemczech - odparł Victor stanowczo. - Z tego, co słyszeliśmy ostatnio, miała zostać w Kenii jeszcze przez dziewięć miesięcy... - Urwał nagle. - Czy to możliwe, żeby ciągle była w Afryce? Że jej paszport został skradziony, skopiowany czy coś w tym stylu?

- Nie. W końcu udało nam się porozmawiać z Benem Soldano, księdzem, który jest szefem obozu AIDS Awareness International, gdzie pracowała Gina. - Jules już wpadł na ten pomysł. - Ona i jej przyjaciółka Molly Anderson wyjechały z Kenii w ostatni czwartek.

- Jesteś pewien, że ten gość nie wciska wam kitu?

- Biorąc pod uwagę, że obie były na liście pasażerów Lufthansy w samolocie lecącym do Hamburga... Nie wspomnę już o tym, że Soldano jest księdzem, a Pan Bóg bardzo nie lubi, jak kapłani kłamią... Niech to szlag! - Jules wyrzwał przez okno akurat w chwili, gdy jakiś autobus przemknął z rykiem przed twarzami Adama i Robina, które stanowiły część olbrzymiego billboardu reklamującego American Hero. Der Amerikanische Held. Ab Donnerstag. Manche Kriege fuerst Du in Dir, co zostało przetłumaczone słowo w słowo pod tytułem filmu. - O Jezu!

- Co?!

- Nic takiego - odparł Jules. - Przepraszam.

Jak ostatni idiota sądził, że będzie tu bezpieczny, jako że filmy dotyczące drugiej wojny światowej nie mogły liczyć w Niemczech na szczególnie entuzjastyczne przyjęcie.

I okazało się, że wpadł po uszy.

- O co chodzi? - upierał się Vic. - Nie możesz wołać „Niech to szlag”, potem „O Jezu”, a następnie wmawiać mi, że nic się nie stało.

- To nie chodziło o Ginę - Jules zaśmiał się z goryczą. - Naprawdę, Vic, lepiej, żebyś nie wiedział.

- Przestań mi tu pieprzyć głupoty, tylko mów zaraz, o co chodzi!

- No więc, mój eksprzyjaciel i jego... nowy kochanek grają w filmie, który najwyraźniej wszedł do dystrybucji na całym świecie - powiedział Jules, co tak do końca nie było prawdą. Robin tylko raz przespał się z Adamem; to miał być jedynie eksperyment, jak twierdził aktor, rzekomo heteroseksualista. Jules jednak nie zamierzał wprowadzać Victora w tak zawile sprawy. - Wszędzie, gdziekolwiek się ruszę, trafiam na ich zdjęcia... No, rozumiesz, na reklamy filmu. Teraz jestem tutaj, w tych cholernych Niemczech... - użył dokładnego określenia Victora - ... i znowu nie udało mi się od nich uciec.

Cisza.

- Jesteś tam jeszcze? - zapytał po chwili. - Czy może słowa „eksprzyjaciel” i „kochanek” spowodowały rozległy atak serca?

- Nie... - usłyszał głos Victora. - Tylko... tylko pomyślałem, że to musi cholernie boleć, to wszystko. Czy to... czy to Tom Cruise?

Jules zaczął się śmiać. Dlaczego cała poprawna seksualnie i tylko nieco homofobicznie nastawiona męska część populacji w Ameryce uważała, że Tom Cruise jest gejem? Czy dlatego, że wydawał im się atrakcyjny i to budziło ich przerażenie?

- Nie, skarbie. On ma na imię Adam. Raczej nie możesz go znać, bo to jego pierwszy pełnometrażowy film.

Lecz sądząc z szumu, jaki towarzyszył premierze American Hero, na pewno nie ostatni.

- Chybabym się wściekł, gdybym zobaczył którąś z moich eks na ja kimś billboardzie. - W głosie Victora brzmiało szczere współczucie. - Przykro mi, że cię coś takiego spotyka. Zwłaszcza w trakcie... No wiesz... Wiem, jak bardzo przejmujesz się Giną.

To było bardzo dziwne - usłyszeć pełne delikatności słowa z ust człowieka, który pewnego razu zapytał Julesa, czy homoseksualizm to tylko taka przykrywka, żeby łatwiej było podrywać laski. Vic

naprawdę użył tego słowa - „laski”. Kim trzeba być, żeby powiedzieć coś takiego? Choć z drugiej strony ten sam dżentelmen zapytał, czy Julesowi nie wydaje się obrzydliwe, że taki stary facet jak Max macza fiuta w kimś tak młodym jak Gina.

No cóż, to rzeczywiście wydawało się obrzydliwe, kiedy Vic ujmował rzecz w taki sposób. Zwłaszcza że mówił o rodzonej siostrze.

Pfuj!

- Dzięki, ale widok mojego eks na billboardzie jest niczym w porównaniu z tym, co przeżywa wasza rodzina - odpowiedział Jules. Kierowca skręcił właśnie w uliczkę, która wybrukowana była kocimi łbami. Budynki w tej części miasta wyglądały jak wyjęte z bajki. - Hej, czy Gina wspominała ci o jakimś Lesliem Pollardzie? Z Anglii. Pojawił się w ich obozie w Kenii około czterech miesięcy temu...

- Nic mi to nie mówi, ale zapytam Leo i Bobby'ego. I mamę. Ona i Ginie nie były ze sobą tak blisko jak dawniej. Wiesz, przed tym porwaniem samolotu. Mówisz Lester, jak mu tam dalej?

- Leslie - poprawił go Jules.

- Chłopie, przecież to żeńskie imię.

- Prawdę mówiąc, niezupełnie - odparł Jules. - Może być dla obu pici.

- No może i tak, ale czy normalni rodzice dadzą dzieciakowi na imię Leslie? - spytał Jules. - Jezu, to przecież zupełnie, jakby wytatuowali na czole tego biednego głupka „Jestem pedałem” i posłali go do szkoły, żeby go tam ktoś zabił.

Jules chrząknął znacząco. No to tyle, jeśli chodzi o wrażliwość.

- Tak tylko gadam - zreflektował się Via - Nie ma się o co obrażać.

- Nie było w tym nic obraźliwego.

- Wiesz, że mam rację. Chodzi mi o nadawanie takiego imienia.

- O, to już było trochę bardziej obraźliwe - zauważył Jules, kiedy samochód zatrzymał się przy krawężniku. Zanosiło się na to, że resztę drogi do miejsca wybuchu będzie musiał pokonać na piechotę.

- Proszę na mnie poczekać - polecił kierowcy, wysiadając. Nie spodziewał się, żeby miał spędzić tu wiele czasu.

Victor taktownie, choć może niezbyt zgrabnie, zmienił temat, podczas gdy Jules zamachał swoją odznaką przed oczyma uzbrojonego strażnika stojącego obok ogromnej betonowej barykady, która miała... No właśnie, co miała? Zapobiec następnemu

samobójczemu atakowi, jeżeli potencjalny zamachowiec chciałby wjechać samochodem w te szczątki? A może chodziło o to, by stworzyć iluzję bezpieczeństwa w świecie, który nie był już bezpieczny.

- Co sądzisz o tym, co bez przerwy powtarzają w wiadomościach? - zapytał Via - Że ta eksplozja w Hamburgu zdarzyła się tylko dlatego, że jakieś cholerne dupki popełniły błąd, po prostu spieprzyły robotę, bo to wcale nie miało wydarzyć się tam... Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

W światowych mediach panowało przekonanie, że wybuch w Hamburgu był rzeczywiście czymś w rodzaju pomyłki.

- Faktycznie, te eksplozje mogły nastąpić przypadkowo - przyznał Jules, grzebiąc jednocześnie w kieszeni w poszukiwaniu chusteczki. Przycisnął ją mocno do nosa, kiedy wędrował między rozrzuconymi szczątkami ofiar. Boże, co za smród!

- No i co to znaczy, do kurwy nędzy? - ponaglił go Via

Znaczyło to tyle, że zdaniem analityków zamiast jednej megaeksplozji w niezbyt ważnej ze strategicznego punktu widzenia części miasta terroryści planowali trzy albo cztery oddzielne zamachy.

Bomby powinny wybuchnąć w czterech samolotach pasażerskich lecących nie tylko do Nowego Jorku, ale także do Londynu, Paryża i Madrytu.

To miało sens. To tłumaczyło odnalezienie paszportu, biletu lotniczego na nazwisko Giny i głupotę czterech samobójców obecnych wówczas w samochodzie, bo przecież pojedynczy męczennik wykonałby to zadanie z równie dobrym skutkiem.

No, chyba że ich celem było zdmuchnięcie z powierzchni ziemi stałych klientów bywających w ciastkarni i kawiarni pana Schneidera.

- Przepraszam, Vic, ale nie mogę zagłębiać się w szczegóły - oznajmił Jules. - Przynajmniej nie teraz.

Victor nie był jednak tak głupi, jak czasem wynikało z jego wypowiedzi.

- Ta dziewczyna, która leżała w trumnie zamiast Giny... - zaczął.
- Ta, przy której znaleziono jej paszport. Jeśli ona rzeczywiście była terrorystką... Może chciała lecieć do Nowego Jorku, żeby po drodze wysadzić samolot albo na miejscu podłożyć bombę gdzieś na lotnisku, ewentualnie zaatakować jakiś budynek na Manhattanie... Mam rację? - Zaśmiał się. - No dobra, nie musisz na to odpowiadać. Nie chcę, żebyś

miał potem jakieś kłopoty. Tylko, wiesz co... Ludzie, którzy planują coś tak cholernie potwornego... Raczej nie powiedzieli grzecznie „poproszę”, kiedy odbierali Ginie paszport, prawda?

- Raczej nie - przyznał Jules.

Victor zamilkł na moment; ponura rzeczywistość znacznie przytłumiła obudzoną niedawno nadzieję.

- Czy twoim zdaniem dacie radę ją odnaleźć? - zapytał cicho. - Jeśli ona, no wiesz... Jeśli ona jest...

Martwa.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - obiecał Jules.

Następnie wyłączył komórkę, skręcił za róg i stanął jak wryty. O rany!

Krater po wybuchu był wielki i głęboki i Jules zrozumiał, dlaczego Max wysłał go tutaj. Musiał to zobaczyć na własne oczy. Bo jego oczy były jedynymi na całym kontynencie, którym Max mógł zaufać tak samo jak swoim. To doprawdy był piekielny komplement i Jules postanowił, że musi to sobie później przemyśleć.

Bo teraz...

Boże Wszchemogący, to musiał być wypadek!

A do tego cholerny cud. Fakt, że bomba wybuchła w takim zaułku, naprawdę należało rozpatrywać w kategorii cudów. Gdyby feralny samochód znajdował się kawałek dalej na północ, ofiary zapewne liczono by w tysiącach zamiast w tuzinach. Wyraźnie był to odpowiednik przedwczesnego wytrysku w wykonaniu jakiegoś niedoświadczonego zamachowca.

Jules upewnił się, że ma rację, po rzuceniu okiem w głąb krateru. Gdyby terroryści zamierzali użyć samochodu pułapki, to z pewnością wzmocniliby bagażnik w taki sposób, aby siła wybuchu skierowała się w górę i na boki, a nie w ziemię. W takim wypadku również zginęłoby o wiele więcej osób.

Sądząc po rozmiarach dziury, każdy, kto znajdował się w pobliżu samochodu - na przykład ciało należące do kogoś, kto został zamordowany, gdyż potrzebowano jego paszportu, i wrzucony do bagażnika - przestał istnieć.

W takim wypadku było całkiem prawdopodobne, że nie udałoby się odnaleźć niczego, co by umożliwiło identyfikację DNA.

Choć z drugiej strony, jeśli ktoś patrzył na krater i miał choćby mgliste pojęcie o rozmiarach bagażnika jetty - który był całkiem spory

jak na mały samochód, ale jednak nie olbrzymi... Jules nie mógł uwierzyć, że czyjekolwiek zwłoki mogły zmieścić się do bagażnika, jeśli znajdowały się tam materiały wybuchowe w ilości potrzebnej do wywiercenia w ziemi tak wielkiej dziury.

Wszystkie te informacje nie wydawały się jednak szczególnie przydatne, gdy chodziło o odnalezienie Giny. Pomogły jednak im skreślić jeszcze jedną lokalizację z listy zatytułowanej „Miejsca w Hamburgu, gdzie być może zginęła Gina Vitagliano”.

Problem jednak w tym, że nieskończoność minus jeden to ciągle ogromna liczba.

Nie odrywając chusteczki od nosa, Jules skręcił w stronę uliczki, gdzie czekał na niego samochód z kierowcą.

Kenia, Afryka

25 lutego 2005

Cztery miesiące wcześniej

- Nie mogę uwierzyć, że mu powiedziałaś! - wyszeptała Gina.

- A ja nie mogę uwierzyć, że naprawdę sądziłaś, że tego nie zrobię - odpowiedziała jej Molly równie cicho. - Od kiedy to przyjaciele uciekają się do szantażu?

- Hej! - Jones próbował się wtrącić, ale został całkowicie zignorowany.

Usiadł więc z powrotem na łóżku Molly.

- Być może zaraz po tym, jak jeden z przyjaciół przekona się, że drugi go okłamuje - odparła Gina.

- Och, o tym wcale się nie przekonałaś - rzuciła jej Molly prosto w twarz. - Bo ja cię nie okłamałam!

- Dokąd idziesz? - Gina zaczęła naśladować samą siebie, a potem odpowiedziała piskliwym głosem Molly. - „Tylko złapać trochę świeżego powietrza”. Trochę minęłaś się z prawdą, co? Na przykład trzeba było powiedzieć: „Idę pomóc paru miejscowym dziewczynom uciec od rodziców w miejsce, gdzie będą bezpieczne”.

Ta sprzeczka - prowadzona półgłosem, żeby nikt nie mógł jej podsłuchać - wydawała się jeszcze bardziej niezwykła wskutek tego, że Gina trzęsała się w pościeli chora na coś, co coraz bardziej przypominało wczesne stadium zakażenia wirusem żołądkowym, który nie tak dawno powalił cały autobus księży.

Jones nie złapał wirusa. Prawdopodobnie dlatego, że nie było w nim nic, co w najmniejszym choćby stopniu trąciło świętością.

Molly na zmianę klęła Ginę i przyciskała zmoczoną w zimnej wodzie szmatkę do jej rozpalonego czoła.

- Nie odgrywaj mi tutaj melodramatycznych scen - powiedziała teraz. - Jestem tylko pośredniczką.

- Na razie - poprawiła ją Gina. - Ostatecznie to ty jesteś potencjalnym celem. - Popatrzyła na Jonesa. - Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Molly zostanie zaatakowana, jeśli tylko opuści obóz. Wspominała ci o tym?

- Zaatakowana? Jezu, Molly! - W głosie Jonesa brzmiało przerażenie.

Jak na komendę obie odwróciły głowy w jego stronę.

- Ciii...

To mogłoby wyglądać całkiem śmiesznie, gdyby sprawa nie była poważna. Na myśl o Molly, która z własnej woli naraża się na niebezpieczeństwo, żołądek ścisnął mu się boleśnie.

- Mam wam coś do powiedzenia - oznajmił, starając się nie podnosić głosu.

- Zgoda - przyznała Molly. - Może kiedyś faktycznie coś mi groziło, ale przez cały zeszły rok Paul Jimmo szmuglował te dziewczyny na swoją farmę, a potem...

- Chcę wam coś powiedzieć - powtórzył z naciskiem Jones.

No, może nie tyle powiedzieć, ile połapać się w tym wszystkim, co usłyszał przez ostatnie kilka minut. Zaczynając od tego, że Gina podobno sama odkryła - jak twierdziła Molly - że Leslie Pollard jest Davidem Jonesem.

Oczywiście to także było oszustwem, bo tak naprawdę Jones wcale nie nazywał się Jones. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Morant. Grady Morant. Jones był tylko pojedynczym ogniwem w długim łańcuchu pseudonimów, ale oczywiście Gina nie miała o tym zielonego pojęcia.

Niektóre fakty wydawały się teraz o wiele bardziej jasne.

Paul Jimmo, młody i przyjaźnie usposobiony Kenijczyk, który regularnie odwiedzał obóz, dopiero co został poważnie ranny w trakcie plemiennych zatargów o prawo do wody. Przetransportowano go śmigłowcem do szpitala w Nairobi, ale na razie nie było wiadomo, czy jego obrażenia są poważne.

Piętnastoletnia kenijska dziewczyna o imieniu Lucy ukrywała się obecnie na terenie obozu, a dokładnie w namiocie Jonesa. Najwyraźniej Molly umówiła się wczoraj z Paulem Jimmo, żeby zabrał Lucy na północ, do Marsabitu.

Oczywiście wszystkie plany wzięły teraz w łeb.

- Dlaczego ta dziewczyna ucieka? - spytał Jones, - Chcą ją wydać za mąż?

Molly i Gina wymieniły spojrzenia, a jego serce zamarło. Cokolwiek miały mu powiedzieć, na pewno nie było to nic dobrego.

- Wiesz, co oznacza okaleczanie kobiet? - spytała Gina.

Pokręcił głową.

- Nie. Ale pewnie zaraz się dowiem.

- Chodzi o okaleczanie narządów płciowych - wyjaśniła. - W skrócie określa się to jako obrzezanie.

Psiakrew!

- Tak, tak. Wiem, co to jest.

Chodziło o obrządek rytualnego przejścia od dzieciństwa do dorosłości i było to równie okropne jak samo opowiadanie o tym. W słownictwie medycznym ten zabieg określano jako wycięcie łechtaczki. Zwykle jednak przeprowadzali go ludzie, którzy z medycyną nie mieli nic wspólnego, używając do tego noży czy zwykłych odłamków szkła, oczywiście w żaden sposób niesterylizowanych. Na samą myśl o tym przeszył go dreszcz.

- Kiedyś uważałam, że wiem, co to jest - powiedziała Gina. - A potem przyjechałam tutaj.

- To wchodzi w skład rytuału oczyszczenia - wyjaśniła Molly. - W pewnych kulturach uważa się, że żeńskie narządy płciowe są nieczyste... I że stosunek z nieobrzezaną kobietą może być dla mężczyzny niebezpieczny.

Jones zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Więc to wygląda mniej więcej tak: „Uważaj, bo zaraz cię dotknę nieczystą częścią ciała”. I co, wszyscy mężczyźni uciekają z krzykiem?

Jones przybywał z całkiem odmiennego świata.

- Wycięcie łechtaczki jest tylko częścią całego procesu - poinformowała go Molly. - Niektóre plemiona dodatkowo praktykują coś, co nazywa się infibulacją.

- To, co zostało po pierwszym zabiegu, zszywa się razem, więc kiedy rana się zagoi, dziewczyna zasadniczo jest „zamknięta” na amen; pozostawia się jej jedynie dziurkę niewiele większą od łebka od szpilki - dorzuciła Gina. - To ekwiwalent naszego pasa cnoty... Co za wspaniały sposób, żeby utrzymać w ryzach wszystkie kobiety i dziewczyny, prawda? Nawet jeśli fakt wycięcia łechtaczki nie odstraszy niewczesnych adoratorów, to z pewnością powstrzyma ich to, że penetracja jest fizycznie niemożliwa.

- A potem jest jeszcze gorzej - wtrąciła Molly pełna współczucia na widok poblądłej twarzy ukochanego. - Kiedy wychodzą za mąż, w noc poślubną ich małżonek musi rozciąć lub rozerwać bliznę, żeby...

- Tak, tak - przerwał jej Jones. - Już zrozumiałem.

No właśnie, na widok czegoś takiego on z pewnością rzuciłby się do ucieczki, wrzeszcząc w niebogłosy.

- Oczywiście wspomniane rozkosze czekają je jedynie wtedy, jeśli uda im się przeżyć rytuał inicjacyjny - powiedziała Gina. - Narari się nie udało.

Narari? O cholera, więc te małe dziewczynki, które leżały w szpitalu...? Nie mogły mieć więcej niż trzynaście lat!

Jones popatrzył na Molly, a ona tylko skinęła głową.

- W Kenii obowiązuje teraz nowe prawo - powiedziała. - Rzekomo zabrania okaleczania dziewcząt mających mniej niż szesnaście lat. W dodatku podobno dziewczyna powinna wyrazić zgodę na poddanie się temu zabiegowi.

- Ale to nieczęsto się zdarza w tej części świata - dodała Gina. - Nieobrzezana dziewczyna nie może dowieść swojej niewinności, więc żaden mężczyzna nie zechce pojąć jej za żonę. To z kolei oznacza, że jej rodzina straci pieniądze, które dostałaby od pana młodego. Dziewczyna może powiedzieć „nie”, ale jeśli rodzina, którą ją żywi i daje dach nad głową, powie „tak”...

- Ta dziewczyna, Lucy, nie wyraziła zgody - dorzuciła Molly.

Jones skinął głową.

- Wszystko w porządku, ale jak chcecie ją dostarczyć do Marsabitu, kiedy Paul Jimmo leży na oddziale intensywnej opieki medycznej?

Centrum Rehabilitacji Sheffield, McLean, Wirginia

9 stycznia 2004

Siedemnaście miesięcy wcześniej

Starszy brat Ajaya wreszcie wpadł z wizytą. Jego nieobecność dała się szczególnie zauważyć podczas świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. I nagle któregoś dnia zjawił się bez wcześniejszego uprzedzenia; jak gdyby nigdy nic wszedł do pokoju rekreacyjnego, gdzie Max i Ajay rozgrywali właśnie partyjkę remika w oczekiwaniu na przyjście Giny.

- Cześć, Jayman...

Ajay podniósł głowę i zamrugał z niedowierzaniem.

- Hej, Ricky, to naprawdę ty? - Dzieciak zareagował niezbyt entuzjastycznie, co dawało do myślenia, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, z jaką czcią zawsze wyrażał się o bracie. - Wreszcie znalazłeś tu drogę?

Wysoki i chudy Rick Moseley był znacznie starszy, niż Max sobie wyobrażał; miał dwadzieścia kilka lat. Miał też o wiele bielszą karnację, prawie jak mieszkaniec Skandynawii, i włosy, które byłyby blond, gdyby ich właściciel zechciał je umyć. Niestety zwykle nie zadawał sobie aż tyle trudu. Jego ciuchy wyglądały tak, jakby w nich sypiał.

Choć cała masa młodszych osób ciężko pracuje, żeby osiągnąć ten wymięty i niechlujny wygląd, w tym wypadku raczej nie chodziło o zachowanie pewnego stylu. Ten facet zwyczajnie przypominał żula, który sypia gdzieś na wysypisku śmieci, w tym samym ubraniu, w którym chodzi w dzień.

W dodatku przez cały czas przestępował z nogi na nogę, jakby nie mógł choćby przez chwilę się nie ruszać.

- Chłopie! - Rick obszedł szerokim łukiem stół i skierował się do olbrzymiego, panoramicznego okna wychodzącego na piękną okolicę.

- Ale masz tu widoki, co?

- Tak - odparł Ajay. - Faktycznie super.

Rick nie objął brata; nie zdobył się nawet na to, żeby dotknąć jego ramienia. Być może nie chciał przeszkodzić mu smrodem, jaki wokół siebie roztaczał, ale Max szczerze wątpił, by to właśnie stanowiło powód jego wstrzemięźliwości. Rick nawet nie popatrzył na Ajaya. Podczas całej rozmowy gapił się na coś za oknem, oczywiście jeśli

można tę sztywną wymianę zdań nazwać rozmową. Nawet nie padło standardowe: „Jak się masz?”.

Ajay starał się wziąć na siebie ciężar konwersacji, kiedy stało się oczywiste, że Rick nie radzi sobie zbyt dobrze.

- Hej, a jak tam Cindy?

- Ashley - poprawił go Rick. - Z Cindy już skończyłem. Ashley jest o wiele fajniejsza. No wiesz, w samochodzie... Boże, co to za widok.

Max chrząknął znacząco.

- O, hej, to jest Max - Ajay odczytał sygnał. - Max, to właśnie jest Ricky. Jesteśmy przyrodni braćmi; mówię to na wypadek, gdybyś się nad tym zastanawiał - wyjaśnił. - Mój tata zrobił sobie małe bara - bara z jego mamusią. Mieliśmy wspólną siostrę, ale ona... No wiesz.

Max wiedział. Ona nie przeżyła wypadku.

Stojący przy oknie Rick przesunął rękoma po twarzy.

Na pewno było mu ciężko pogodzić się z utratą całej rodziny. Bez wątplenia okropnie się czuł, kiedy patrzył na młodszego brata, który siedział na wózku inwalidzkim niezdolny do zrobienia samodzielnego kroku, w dodatku z tak potwornie pokiereszowanymi rękoma. Max mógł to sobie tylko wyobrazić.

Z drugiej strony niechęć do patrzenia na chłopca została zinterpretowana jednoznacznie: że młodszy brat budził w Ricku wstręt. Przynajmniej w taki sposób odbierał to Ajay. Ukrył okaleczone ręce za połami zbyt długiej koszuli, jakby były czymś, czego należy się wstydzić.

- Max. - Rick wreszcie raczył odwrócić się w ich stronę. - Pracujesz tutaj, Max? Zastanawiam się, że gdybyś nie mógł odwiedzić Ajaya do jego pokoju, to my...

- Max jest pacjentem - wyjaśnił Ajay odrobinę bardziej piskliwym głosem niż zwykle. - Możesz w to wierzyć albo nie, ale on gra ze mną w karty dlatego, że ma ochotę.

- Szczęściarz z niego - zażartował Rick, zbliżając się z tyłu do fotela Ajaya. - Niektórzy z nas muszą płacić rachunki. - Pociągnął za wózek brata, ale on nawet nie drgnął. - Jak się uruchamia to cholerstwo?

- Tam jest hamulec - wyjaśnił Max. - Musisz go zwolnić... Wiesz, że Ajay potrafi używać pilota.

- Nie, sam to zrobię. - Rick szarpnął hamulec nieco za mocno, przez co Ajay musiał się chwycić oparcie fotela, ale zaraz znowu schował rękę.

Max podniósł się z krzesła, ale Rickowi udało się w końcu uruchomić wózek i wywieźć brata z pokoju.

- Jak pielęgniarki cię traktują? Dobrze? - Max usłyszał jego słowa, gdy wyjeżdżali na korytarz.

Odpowiedź Ajaya już do niego nie dotarła.

Max zorientował się, że idzie za nimi, oczywiście nie tak blisko, żeby deptać im po piętach.

Kiedy dotarł do recepcji, korytarz prowadzący do pokoju Ajaya był pusty. Ajay i jego brat zniknęli.

Max stał przez chwilę niezdecydowany. Kusiło go, żeby przejść się pod drzwiami Ajaya i sprawdzić, czy je zamknęli. Sprawdzić, czy cokolwiek da radę usłyszeć.

Pomyślał jednak, że to czyste wariactwo. Stanowczo zbyt długo pracował w siłach specjalnych. Ostatecznie nie każdy musi być kryminalistą.

Rick nie był niebezpieczny, nie stanowił zagrożenia, przynajmniej nie dla własnego brata. Był zaledwie dwudziestoparoletnim wałkonem, który miał za sobą ciężką sobotnią noc; który walczył rozpaczliwie o to, żeby po strasznej tragedii znów pozbierać się do kupy. Nie był w tamtym samochodzie z Ajayem owego feralnego dnia, ale wydawało się oczywiste, że w pewnym sensie tak samo odniósł poważne obrażenia.

Max zmusił się, żeby skrócić w prawo i wyjść przez drzwi frontowe do ogrodu, gdzie w osłoniętym od wiatru miejscu stały wygodne ławeczki. Było to niezwykle miłe miejsce, zwłaszcza przy tak ciepłym dniu, doskonale do tego, by poczekać na Ginę.

Miłe i ogólnie dostępne.

Ledwie zdążył usiąść, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i z hukiem walnęły w ścianę.

Wybiegł przyrodni brat Ajaya.

I to miała być wizyta. Nie minęło nawet pięć minut od chwili, gdy wytoczył wózek z Ajayem z pokoju rekreacyjnego.

Najwyraźniej bardzo się spieszył. Klął głośno na czym świat stoi i o mały włos nie przewrócił starszego pana, który nieopatrznie wszedł mu w drogę - sympatycznego dżentelmena imieniem Ted, który

podczas drugiej wojny światowej służył na okręcie podwodnym. Ted szedł właśnie odwiedzić swoją siostrę.

Max podniósł się z trudem.

- Hej! Zaczekaj! - zawołał.

Rick się nie zatrzymał. Nawet nie zwolnił kroku. Max powlókł się w stronę wejścia do budynku, a w tym czasie Rick dopadł wreszcie swojego samochodu - był to poobijany pikap z tablicami rejestracyjnymi z Wirginii Zachodniej - wdrapał się na miejsce kierowcy i ruszył z piskiem opon.

Starsza pani Lane zostawiła swój wózek inwalidzki na zewnątrz damskiej toalety, więc Max bez wahania przywłaszczył go sobie, opadł na siedzenie i pojechał wzdłuż korytarza.

Drzwi do pokoju Ajaya stały otworem.

O mało co nie zabił się, skręcając prosto w ścianę, żeby się zatrzymać; instynktownie wychylił się zbyt daleko i uraził złamany obojczyk. Chryste! Podciągnął się, żeby wstać, odepchnął wózek tak, żeby pojechał z powrotem w poblizze toalety, i zapuka! w drzwi, jednocześnie uchylając je nieco szerzej.

Ajay siedział przy oknie.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - Rick wybiegł w takim pośpiechu...

- Ashley czekała na niego w samochodzie. - Głos Ajaya był nabrzmiały od powstrzymywanych łez.

Na podłodze leżały tabletki. Mnóstwo tabletek zmiażdżonych podeszwą czyjegoś buta.

- Co tu się stało? - zapytał Max.

- Nic.

- Rozsypałeś butelkę tylenolu? - zapytał, choć świetnie wiedział, że było całkiem inaczej.

Schylił się, żeby podnieść jedną z tabletek i przyjrzeć się jej z bliska.

- Taak... - mruknął Ajay. - Było tak, jak mówisz. Wiesz, strasznie mnie boli głowa... Chyba muszę się położyć.

- To wcale nie jest tylenol - odparł Max.

- Chyba żartujesz. A na butelce jest napisane...

- Co ty wyprawiasz? - huknął na niego Max. - Ukradłeś to z szafki z lekarstwami dla swojego brata, tyle że pomyliłeś się i zabrałeś niewłaściwą butelkę?

- Nie! Odpieprz się ode mnie! Nawet nie masz pojęcia... Niech to szlag!

- Wiem, że Ricky jest ćpunem. Co on zażywa, Ajay? Metamfetaminę?

- Wynoś się!

- Musi stale potrzebować forsy, zgadza się? To dość kosztowny nałóg.

- Nie masz prawa wchodzić tutaj i...

- Tak samo wiem... - ciągnął Max, nie zwracając uwagi na słowa chłopca - ... co się dzieje, kiedy skradzione lekarstwa sprzedawane są na ulicy dla celów rozrywkowych. Ktoś bierze je dla żartu, nie mając pojęcia, jak bardzo osłabia to jego reakcję, potem siada za kółkiem, wjeżdża w inny samochód i zabija przy tym całą rodzinę. I robi to tak skutecznie, jakby starł ich z powierzchni ziemi.

- Ja wcale ich nie ukradłem! - Ajay płakał już rzewnymi łzami. - Nie ukradłem! Chciał, żebym to zrobił, ale odmówiłem! Powiedział, że trzymają tu taki lek, który nazywa się oxy coś tam, że jest tego mnóstwo i że mogę sam się obsłużyć, a nikt nawet nie zauważy. Tylko że ta szafka jest zamykana na klucz, a leki są dokładnie opisane, ale nawet gdyby tak nie było, to nie jestem złodziejem! On być może tak, ale ja nie! Te pigułki to były moje lekarstwa, tyle tylko, że on ich nie chciał!

Max zorientował się już, że po podłodze wala się co najmniej kilka rodzajów tabletek. Ajay prawdopodobnie od dawna oszukiwał pielęgniarki i udawał, że zażywa lekarstwa, podczas gdy w rzeczywistości nawet nie wkładał ich do ust.

Bo chciał je oszczędzić dla swojego okrutnego przyrodniego brata - nałogowca...

Niech to szlag.

- Cześć, chłopcy. - Gina zapukała do drzwi i uchyliła je szerzej. - Co...

- Zawołaj pielęgniarkę - polecił jej Max. - Ten idiota nie brał żadnych leków od... - spojrzał na Ajaya. - Od jak dawna?

- Od Bożego Narodzenia - wychlipał chłopiec. - Tak strasznie mi przykro. Po prostu chciałem, żeby przyjechał mnie odwiedzić, więc powiedziałem, że zdobyłem to, czego sobie życzył. Tyle tylko że nie o to chodziło, więc rzucił mi to w twarz...

Gina wróciła niemal natychmiast, a za nią wbiegła nie tylko Gail, ale również Debra i dyżurny lekarz.

- Ale spaprałeś sprawę, chłopie - podsumował Max.

- Wiem - płakał Ajay. - Wiem.

Gina pociągnęła Maksa za rękaw i skierowała się w stronę drzwi.

- Chodź. Muszą go zbadać.

- Bardzo przepraszam! - zawołał za nimi Ajay. - Nie chcę, żebyś się na mnie złościł, Max.

- Za późno... Już się zezłościłem. Wiedziałeś, że twój brat ma problem, i nie poprosiłeś o pomoc. Wiesz, co ja bym zrobił, gdyby to mój brat uzależnił się od narkotyków? Poszukałbym pomocy, bo chociaż dużo wiem, nie wiem wszystkiego o tym, jak pomagać narkomanom. A ty jesteś dzieckiem, w dodatku na wózku inwalidzkim. Poważnie okaleczonym. Jak masz zamiar pomóc Ricky'emu? Przekupując go, żeby przyszedł cię odwiedzić?

- Myślę, że Ajay i tak ma wystarczające wyrzuty sumienia - wtrąciła pielęgniarka o imieniu Gail, jednocześnie delikatnie popychając ich w stronę wyjścia na korytarz.

Ale Max jeszcze nie skończył.

- To wcale mu nie pomaga - rzucił w kierunku Ajaya. - Robisz to wyłącznie z czysto egoistycznych pobudek.

- Wiem - załkał Ajay. - Wiem.

- Chcesz pomóc bratu? - spytał Max. - Pomogę ci się dowiedzieć, z kim musisz porozmawiać i co trzeba zrobić, chociaż muszę cię ostrzec, że nie każdego można uratować. Rick musi chcieć pomóc sobie sam...

- Panie Bhagat, teraz to naprawdę niczego nie zmieni. - Gail miała taką minę, jakby chciała zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

Max nie dał się zbić z tropu.

- Jak doktor skończy cię badać, przyjdź do pokoju rekreacyjnego, jeśli to głupie niezażywanie leków przez ponad trzy tygodnie nie załatwiło ci wycieczki do szpitala. Będziemy z Giną tam na ciebie czekać. Gail też może przyjść. Może zasugeruje, w jaki sposób pomóc twojemu bratu. Jak już porozmawiamy, chcę skończyć naszego remika, bo jestem gotów się założyć, że mam wygraną w kieszeni.

Z jednej strony Gina ciągnęła go za rękaw, a z drugiej Gail delikatnie go wypychała, toteż Max znalazł się w końcu na korytarzu.

Drzwi zatrzasnęły się natychmiast, właściwie prosto przed jego nosem.

Stał tam przez chwilę, kręcąc głową i dysząc jak kowalski miech. Był wkurzony jak diabli. Trzy tygodnie! Co sobie ten Ajay wyobrażał?

A co on sobie wyobrażał, dając się tak ponieść gniewowi?

Gina objęła go w pasie i przytuliła mocno. Czuł na plecach miękkość jej ciała.

- Ona nie ma racji, wiesz przecież. W tym, że to nie pomoże.

- Tak - prychnął w odpowiedzi. - To świetny pomysł nazwać kalekiego dzieciaka głupcem i samolubem.

- Postąpiłeś tak, jak ci nakazywała uczciwość - odparła Gina. - Myślę, że dlatego Ajay tak cię lubi. Nie wciskasz mu kitu, ale jednocześnie nie wgniatasz go w glebę. Ty po prostu z nim po ludzku rozmawiasz. - Objęła go mocniej, a potem wypuściła z objęć. - Mój brat pracuje jako opiekun społeczny.

Wyjęła telefon komórkowy i idąc w stronę pokoju rekreacyjnego, zaczęła przeszukiwać spis telefonów.

- On co prawda pracuje w samym Nowym Jorku, ale może wie o jakichś programach tutaj, w naszym okręgu. Rozumiesz, chodzi mi o Ricka.

Ciekawe, który to z jej trzech starszych braci? Makler, nauczyciel czy strażak...

Gina przycisnęła słuchawkę do ucha.

- Strażak, czyli Rob, pracuje także jako nauczyciel w Hofstrze. Vic jest brokerem, ale Leo też pracuje na Wall Street. Zarobił tyle kasy, że mógł przejść na emeryturę w wieku dwudziestu ośmiu lat, ale zaczęło mu się nudzić, więc poszedł z powrotem do szkoły i... - przerwała i zaczęła mówić do słuchawki. - Hej, Tammy, tu Gina. Jest tam gdzieś w pobliżu mój braciszek? - Zaśmiała się. - Tak, dzięki - i znowu zwróciła się do Maksa: - Może zacząłbyś odróżniać moich braci, gdybyśmy częściej rozmawiali zamiast... Tak, Lee, to ja. - Uniosła jedną brew, spoglądając przy tym znacząco na Maksa i bezgłośnie dokończyła zdanie. - Nie, jestem jeszcze tutaj, w D.C. - powiedziała do brata. - No cóż, tak naprawdę to są przedmieścia, w Wirginii...

Pokój rekreacyjny był pusty, więc Max podszedł do okna, podczas gdy Gina dalej rozmawiała przez telefon, a jej śmiech spowijał go jak welon.

Ironią było to, że doszli w swoim związku - jeśli w ogóle ktoś tak określiłby ich układ - do takiego punktu, w którym to on był stroną unikającą rozmowy. Osiągnął wysokiej klasy mistrzostwo w udawaniu, że śpi.

Gina natomiast nieźle opanowała sztukę przeskakiwania z tematu na temat.

- Oddzwoni i poda nam kilka telefonów - oznajmiła Gina, chowając komórkę do torebki. Usiadła na parapecie plecami zwrócona do szyby i popatrzyła Maksowi prosto w oczy.

- Wiesz, naprawdę chciałabym, żebyś był wobec mnie tak szczery, jak jesteś wobec Ajaya.

Cholera jasna! Max westchnął ciężko.

- Posłuchaj, wiem, że teraz nie jest odpowiedni moment - powiedziała spokojnie. - Jesteś zdenerwowany tym, co zrobił Ajay, a poza tym... Jules wspomniał, że podrzucił ci tu trochę papierów, co oznacza, że pracujesz intensywniej niż zwykle. Mogłabym tylko dodać, że lekarze zalecili ci coś wręcz przeciwnego, ale... Znalazłam tę kobietę, tę terapeutkę, która zajmuje się doradzaniem kłócącym się parom.

O Boże.

- Gina...

- Rozmawiałam z nią przez telefon chyba ze dwie godziny - mówiła dalej jak gdyby nigdy nic. - Opowiedziałam jej o wszystkim. O gwałcie i o innych sprawach.

Gdyby chciała, żeby Max zamknął się w sobie, nie mogła wybrać lepszego tematu. Zamknął oczy, żeby wyrzucić z myśli obraz Giny leżącej na podłodze samolotu, walczącej z całych sił, by uciec, krzyczącej z bólu i przerażenia...

- Spodobała mi się - przyznała Gina. - Większość terapeutów działa mi na nerwy, ale akurat ona... Odniosłam wrażenie, że naprawdę się przejmuje, dlatego umówiłam wizytę na piątek.

Uśmiechnęła się smutno, kiedy Max napotkał jej spojrzenie. Namawiał ją na ponowne rozpoczęcie terapii od tak dawna, że oboje nie mogli sobie przypomnieć od kiedy.

- To wielki postęp z mojej strony, co? Pójdiesz tam ze mną?

- Oczywiście - odparł. - Ale...

Przed chwilą powiedziała, że pragnie z jego strony szczerości.

- Ale my tak naprawdę nie jesteśmy parą, prawda?

To zabrzmiało o wiele bardziej szorstko niż wtedy, kiedy to zdanie przemknęło mu przez głowę.

- To znaczy, tu jest tak... Sam nie wiem, może chodzi o to odosobnienie, jak przypuszczam. Mam wrażenie, że to wszystko nie jest rzeczywiste. - Zaplątał się na dobre, więc próbował jakoś to wytłumaczyć. - Co prawda jest styczeń, ale ja czuję się tak, jakbyśmy przeżywali jakiś letni romans.

Max w żaden sposób nie potrafił sobie wyobrazić, jak to wszystko będzie wyglądało, kiedy stąd wyjdzie i powróci do dawnego życia.

- Lekarze mówią, że będę żył.

Oboje odwrócili się i ujrzeli Ajaya, który przejeżdżał właśnie przez próg.

- Daj nam jeszcze sekundę - zawołał do chłopca, ale Gina zdążyła już wstać.

- Nie trudź się, świetnie cię zrozumiałam - oznajmiła spokojnie, ale w jej głosie słychać było głęboką urazę.

Niech to diabli!

To nie był pierwszy raz, kiedy ją zranił, i na pewno nie ostatni.

I tak właśnie się to zaczęło.

To był początek końca.

Rozdział Dziewiąty

Hotel Elbe Hof, Hamburg, Niemcy

21 czerwca 2005

Dzień dzisiejszy

Max musiał odłożyć komórkę, bo tak trzęsły mu się ręce. Molly Anderson.

Tak nazywała się tajemnicza towarzyszka Giny, a jej tożsamość dodatkowo potwierdził telefon od Julesa Cassidy'ego. Pracownica organizacji charytatywnych nie zmieniła się bardzo od chwili, gdy Max widział ją po raz ostatni przed kilkoma laty. Ciągle nosiła długie kręcone włosy w czerwono-brązowym kolorze ziemi z San Francisco. Jej uśmiech nadal był ciepły i szczery.

Przeglądając zdjęcia zachowane na karcie pamięci w aparacie Giny, Max zrozumiał, dlaczego Gina zaginęła i dlaczego jej paszport znalazł się w kieszeni obcej kobiety. Wiedział już, co się za tym kryje.

To musiało mieć coś wspólnego z Gradyem Morantem alias David Jones i diabli wiedzą jak jeszcze, bo w grę wchodził co najmniej tuzin innych tożsamości.

Po prostu musiało.

Grady Morant był naprawdę niebezpiecznym gościem - amerykański emigrant i były oficer armii amerykańskiej poszukiwany był w Stanach listem gończym za wiele przestępstw, w tym za dezercję i handel narkotykami.

Przez krótki czas Morant wyobrażał sobie, że jest zakochany w Molly Anderson. Wszystko skończyło się jednak na tym, że sprzedał ją za walizkę wypchaną gotówką.

Max opadł ciężko na łóżko i zaczął czynić sobie wyrzuty. Jeśli Gina zginęła, to wyłącznie z jego winy. Chryste.

Podniósł aparat i jeszcze raz zaczął przeglądać zdjęcia; po prostu nie mógł się powstrzymać od patrzenia na nie. Gina i Molly stały w grupie nieznanymi kobiet. Niektóre z nich były uśmiechnięte, inne miały poważne miny. Gina, z króciutko przystrzyżonymi włosami, trzyma za rączki dwoje kenijskich dzieci, zaśmiewając się przy tym do rozpuku. Molly w hawajskiej koszuli tańcząca na tle wnętrza namiotu. Jakiś mężczyzna o siwiejących włosach i w okularach przeciwsłonecznych, które odbijały błysk flesza, siedzi wyprostowany sztywno, z filiżanką w ręku. Gina stoi za jego krzesłem, rękoma obejmuje go czule za szyję i uśmiecha się, patrząc wprost w obiektyw.

Następne zdjęcie tego samego mężczyzny, tym razem samego, w pozie takiej, jakby miało to być zdjęcie do paszportu...

Max nie potrzebował widzieć identyfikatora wszytego w podkoszulek, aby domyślić się, że to musi być ów fascynujący Pollard.

Otrzymali jego rysopis od księdza prowadzącego obóz AIDS Awareness International. Razem z alarmującą nowiną, że Pollard zniknął zaraz po tym, jak Molly i Gina wyjechały do Niemiec.

Tak, to prawda. Pollard powiedział wszystkim adios dwa dni przedtem, zanim przed kafejką w Hamburgu wybuchła bomba, zabijając młodą kobietę, w której kieszeni znajdował się paszport Giny.

Max z zasady nie wierzył w zbiegi okoliczności. Pollard musiał być zaangażowany w to coś... Cokolwiek to było. Urowadzenie? Porwanie?

Dobry Boże, byle nie zabójstwo.

Według US Intel - Jules zdobył te informacje, zanim Max zdążył o nie poprosić - nigdzie nie znaleziono żadnej wzmianki, żeby ktokolwiek o nazwisku Pollard odleciał z Kenii do jakiegokolwiek miasta w Europie. Żaden człowiek o podobnym nazwisku nie pojawił się także na którymkolwiek z niemieckich lotnisk. Max nakazał swoim ludziom rozszerzyć poszukiwania i sprawdzić listy pasażerów pociągów i statków. Ale i tak wiedział, że nic nie znajdą.

Wpatrzył się uważnie w zdjęcie z aparatu Giny, starając się dopasować twarz nieznanego do rysów Grady'ego Moranta, ale bez powodzenia. Widział tamtego człowieka tylko raz - w dodatku było to po tym, jak Morant dostał solidne lanie.

Max otworzył komórkę, wybrał numer biura w D.C. i kazał Peggy odnaleźć zdjęcie Moranta z okresu, gdy służył w amerykańskim wojsku, i jak najszybciej przesłać je mailem.

Wyłączając aparat, zdał sobie sprawę, że zbliża się już zachód słońca. Złocista tarcza schowała się za budynkami stojącymi po przeciwnej stronie ulicy, które rzucały teraz długie cienie. Bez światła padającego z ekranu aparatu pokój wydawał się całkiem ciemny i...

Nad biurkiem migało czerwone światełko automatycznej sekretarki, ledwie widoczne nawet w półmroku.

Max poderwał się na równe nogi. Do diabła, jak mógł tego nie zauważyć? Czyżby kompletnie się pogubił? Tyle tylko że wchodząc

do tego pokoju, z pewnością spojrzął na telefon. Pamiętał, jak zakodował sobie w pamięci, że światelko automatycznej sekretarki nie migało.

Pstryknął włącznik lampy stojącej na biurku. Mimo że słaba żarówka dawała niewiele światła, w jej blasku wydawało się, że kontrolka sekretarki jest ciemna.

Kurwa mać.

Podniósł słuchawkę i nacisnął „play”. Prawdopodobnie było to standardowe powitanie oraz życzenia miłego pobytu w mieście plus...

- Masz nową wiadomość - odezwał się automat rzeczowym kobiecym głosem. Te słowa wypowiedziane zostały nienaganną angielszczyzną z przyjemnym dla ucha niemieckim akcentem. - Wiadomość pierwsza, pozostawiona dziewiętnastego czerwca, o godzinie szóstej pięćdziesiąt siedem rano.

- Cholera, gdzie wy się podziewacie? - teraz odezwał się męski głos, wyraźnie zdenerwowany. - Musicie czym prędzej wynosić się z Hamburga!

Połączenie było okropne i na linii ciągle coś trzeszczało. Trudno było poznać, czy ten głos należy do Amerykanina, czy raczej do kogoś mówiącego brytyjskim akcentem. Max musiał wyęczać słuch, żeby w ogóle rozeznąć słowa.

- Wyjdźcie z hotelu, natychmiast! Nie pakujcie się, zostawcie rzeczy i po prostu się wynoście! Jezus, idźcie nawet do ambasady amerykańskiej, jeśli musicie. Siedźcie tam i nie ważcie się po nic wychodzić, rozumiano? Grozi wam niebezpieczeństwo...

W tym miejscu nastąpiły jakieś zakłócenia, a potem cisza.

- Koniec wiadomości - oznajmił głos z komputera. - Aby usunąć wiadomość, naciśnij siedem. Aby odtworzyć ją ponownie, naciśnij dwa. Aby zachować wiadomość...

Max natychmiast wcisnął klawisz oznaczony dwójką. „Masz nową wiadomość”, powiedział komputer. A to oznacza, że Gina i Molly jej nie otrzymały. Mimo to - słuchając jeszcze raz nagrania - otworzył komórkę i wybrał numer Julesa Cassidy'ego.

- Gdzie jesteś? - spytał, gdy Jules odebrał telefon.

- Dopiero co wyjechałem z miejsca zdarzenia - odparł młody agent. - Straszne korki. To zdecydowanie wygląda mi na wypadek... Mam na myśli wybuch. Co się stało, szefie? Potrzebuje mnie pan gdzie indziej?

- Tutaj - powiedział Max. - I to zaraz. Chcę dostać cyfrową kopię wiadomości, którą jakiś niezidentyfikowany facet zostawił na sekretarce Giny.

Wcisnął jeszcze raz klawisz „play” i zbliżył komórkę do głośnika, żeby Jules mógł coś usłyszeć.

- Myślisz, że to ten Pollard? - spytał Jules.

- Sam nie wiem - odparł ponuro Max. Upewnił się, że wiadomość nie zostanie skasowana, kiedy odłoży słuchawkę. - Posłuchaj, chcę, żebyś skopiował na laptopa jedno zdjęcie z aparatu Giny.

Max postanowił wysłać plik ze zdjęciem do swojego laboratorium i zespołu w Waszyngtonie. Na pewno będzie to trwało krócej niż wysyłanie całego aparatu do komórki FBI w Hamburgu. Zresztą zespół Friska i bez tego miał pełne ręce roboty.

- Kierowca mówi, że ciągle zostało nam jakieś czterdzieści minut jazdy - przekazał Jules. - I to tylko wtedy, gdy ruch trochę się zmniejszy. A co jest na tym zdjęciu?

- Nie co, tylko kto - odparł Max. - Leslie Pollard. Gina pstryknęła zdjęcie jakiemuś facetowi i według mnie to musi być on. Peggy szuka dla mnie zdjęcia Grady'ego Moranta. Mam zamiar dać oba zdjęcia analitykom, żeby zrobili komputerowe porównanie twarzy.

- Okay - powiedział Jules. - Grady Morant... Czy to ten sam Grady Morant, o którego kazałeś mi się po cichu dowiadywać... Czekaj, kiedy to było? Zaraz po uprowadzeniu von Hopfa, zgadza się?

Kilka lat wcześniej Max włączył Julesa do zespołu, który miał za zadanie odnaleźć porwanego VIP - a, syna emerytowanego agenta CIA. Facet został uprowadzony przez którąś z licznych grup rebeliantów, przemytników narkotyków, terrorystów i złodziei, którzy założyli obóz na jednej z odległych indonezyjskich wysepek.

To była ta sama wyspa, na której w owym czasie jako wolontariuszka w Korpusie Pokoju pracowała Molly Anderson.

VIP powrócił szczęśliwie na łono rodziny, ale zanim kurz zdążył pokryć akta tej sprawy, Molly Anderson wplątała się w bardzo niebezpieczną sytuację z powodu swojego związku z... - trafiony, zatopiony - ... Gradym Morantem.

Kiedy z powrotem znaleźli się w Nowym Jorku, Max wyznaczył Julesowi zadanie - dyskretne zbieranie informacji, bez pozostawiania jakichkolwiek śladów. „Dowiedz się wszystkiego, czego ci się uda, o

dawnym podoficerze sił specjalnych Gradym Morancie, ale rób to bardzo dyskretnie". Widząc zdziwione spojrzenie młodego agenta dodał: „Po prostu nie życzę sobie telefonów w typie »o co wam, kurwa, chodzi« z Pentagonu albo z CIA, jasne?».

- On podobno wtedy zdezerterował, prawda? - spytał teraz Jules.
- I co, sądzisz że ten Pollard to właśnie Morant?

- Sądzę, że powinniśmy wyeliminować taką możliwość - odparł Max. - A to można osiągnąć, porównując dwa zdjęcia.

Zdaniem Maksa Morant musiał maczać w tym palce. Niech to diabli!

Kiedy Gina zdecydowała się ponownie przystąpić do AIDS Awareness International, Max na serio zaniepokoił się, że ona jedzie do Kenii z tą samą Molly Anderson. Ich wspólny przyjaciel - dowódca Navy SEAL Ken Karmody - przedstawił sobie obie kobiety, które odtąd utrzymywały nieprzerwany kontakt dzięki poczcie elektronicznej.

Lecz po drobiazgowym śledztwie Max musiał uznać, że Molly najprawdopodobniej zerwała wszelkie więzi łączące ją z Morantem. Przeprowadziła się do Afryki, podczas gdy Morant bywał widziany - aż do niedawna - w swoim małym samolociku, jak szybuje po niebie nad Indonezją. Molly nie utrzymywała z nim kontaktu, a przynajmniej Max nic na ten temat nie wiedział.

Ale to nie wystarczyło. Max dołożył wszelkich starań, żeby dowiedzieć się o wszystkim, zachować pełną kontrolę, zapobiec klęsce i odwrócić nadciągającą tragedię.

- Zaczekaj chwilę - powiedział Jules, żeby przerwać przeciągające się milczenie. - Czy nie przysłano nam kiedyś czegoś w rodzaju raportu z nagłówkiem „Sprawa zamknięta”, gdzie było jak byk napisane, że Morant został uznany za zmarłego? Pokazywałem to panu, prawda? I kiedy to było, tak mniej więcej? Cztery czy pięć miesięcy temu.

- Taak... - przypomniał sobie Max. Prawdę mówiąc, okazał się wówczas na tyle głupi, że poczuł nawet coś w rodzaju wyrzutów sumienia. - Ale muszę to sprawdzić. Chcę wiedzieć, czy ktokolwiek widział ciało albo czy zrobiono analizę porównawczą uzębienia nieboszczyka z kartą stomatologiczną Moranta?

- Zajmę się tym - obiecał Jules.

Max podejrzewał, że odpowiedź będzie brzmiała „nie”. I że Morant wciąż jest wśród żywych.

Jules starał się nadążyć za myślami szefa.

- Więc uważasz, że Morant upozorował swoją śmierć, żeby pojechać za Molly Anderson, ponieważ... ponieważ nie może bez niej żyć?

Cassidy jak zawsze okazał się beznadziejnym romantykiem.

- Moim zdaniem raczej usłyszał o nagrodzie, jaką Molly dostała za pomoc w uratowaniu tego, jak mu tam, von Hopfa...

- Aleksa von Hopfa - podpowiedział Jules, tak jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

- ... i pojechał do Kenii, żeby odebrać swoją działkę.

A gdyby Molly ośmieliła się mu sprzeciwić, Morant potrafiłby sprawić, żeby zniknęła bez śladu, i zgarnąć wszystko dla siebie. Gina pewnie była w tej sprawie jedynie bezstronnym obserwatorem, ale Morant potrafił wyciągać korzyści z każdej nadarzającej się okazji, więc po prostu mógł sprzedać jej paszport temu, kto zaofiarował najwyższą cenę.

Chryste.

Max nigdy nie powinien się zgodzić, żeby Gina znalazła się w pobliżu Molly Anderson, ale to było łatwe do przeprowadzenia jedynie w teorii. W rzeczywistości nie mógł jej niczego zabronić. Chociaż mógł mieć takie prawo, gdyby tylko zechciał. Mógł powiedzieć: „Zostań, bo cię kocham, bo moje zasrane życie będzie jeszcze gorsze, jeśli odejdziesz”. Gdyby to zrobił, pewnie teraz kręciłaby się gdzieś z pobliżu. Przez chwilę, ma się rozumieć.

- Nie kupuję tego - oznajmił Jules. - To się nie zgadza z opinią na temat Moranta, kiedy służył w wojsku. Był przykładnym...

- Był także przykładny, kiedy uczył ochroniarzy Nang - Klao Chaia, jak mają pilnować transportów heroiny.

- Tak naprawdę to nie przekazał im niczego, czego nie mogliby się dowiedzieć z internetu - sprzeciwił się Jules. - O ile wiem, przez większość czasu służył Chaiowi jako medyk.

Cholera, ten chłopak potrafiłby wybronić samego szatana. Oświadczam uroczyście, że upadek z nieba nie był jego winą...

- Pamiętaj, że Chai wyciągnął go z pierdła. Wiesz, jak tam torturują więźniów?

- Można wyjść ze skrzywioną na zawsze psychiką - odparł Max napiętym głosem.

- Hej! - zawołał Jules. - Skarbie, wiem, o czym myślisz, ale sobie odpuść. To nieprawdopodobne, żeby to była jakaś forma zemsty. A jeśli nawet, to z pewnością nie przeciw tobie. Pozwoliłeś mu przecież zwiać.

Tak, tak! Tak właśnie było.

Max pozwolił mu zwiać.

Temu sukinsynowi.

Trzymał Moranta w areszcie i pod wpływem chwili jakiegoś cholernego współczucia pozwolił mu się wymknąć.

Bo ten skunks zgrywał pieprzonego Hana Solo i poświęcił zarówno siebie, jak i walizkę wypchaną gotówką, co ostatecznie uratowało życie paru ludziom, w tym także wspomnianemu już VIP - owi. Morant został bardzo pobity i zamglony bólem gotów był wracać do Chaia po jeszcze większe tortury, ale w końcu wytropił go oddział SEAL i wyciągnął z bagna.

Max ułatwił Morantowi ucieczkę ze szpitala. To wcale nie było łatwe. Sukinsyn musiał wyjść stamtąd na złamanej nodze.

Ale wyszedł. I zniknął.

A teraz Gina zaginęła i prawdopodobnie już nie żyła.

Jules, sprytny mały drań, prawidłowo odczytał milczenie Maksa.

- Nie możesz się za to winić. - Westchnął.

- Zadzwoń do Friska - polecił zwięźle Max. - Niech sprawdzi, czy któryś z jego agentów nie kręci się przypadkiem koło tego hotelu. I tak musieliby tu wpaść, żeby sprawdzić ten pokój, więc niech zrobią to wcześniej. Upewnij się, czy mają ze sobą sprzęt do skopiowania tej wiadomości. Aha, i zadzwoń do ambasady amerykańskiej. Może Gina i Molly siedzą gdzieś tam w bezpiecznym miejscu.

Mówiąc te słowa, poczuł, jak żołądek kurczy mu się ze zdenerwowania. Boże, ile by dał za to, żeby to była prawda! Ale Jules natychmiast rozwiązał jego nadzieje.

- Nie ma ich w ambasadzie - oznajmił. - Przykro mi, ale już o tym pomyślałem i... Niech to szlag! Znowu utknęliśmy. Cholera, i to chyba na dobre... - Ktoś właśnie wysiadł z samochodu stojącego przed nami. - Niech mi pan pozwoli zadzwonić do tego hotelu. Muszą mieć tam przecież jakieś centrum konferencyjne albo coś w tym stylu i

laptopa, którego może pan wynająć albo pożyczyć, żeby skopiować to zdjęcie.

Oczywiście. Bogu niech będą dzięki, że przynajmniej jeden z nich zachowa! zdolność trzeźwego myślenia.

- Zaraz zadzwonię na recepcję - powiedział Max. - A ty przyjeżdżaj tu jak najszybciej.

Kenia, Afryka

25 lutego 2005

Cztery miesiące wcześniej

Molly była gotowa krzyczeć.

Zgodnie z zasadami obowiązującymi w AIDS Awareness International potrzebowali towarzystwa przyzwoitki. Żeby uszanować rozmaite zwyczaje rdzennych mieszkańców tych ziem, nieżonaty mężczyzna i niezamężna kobieta nie mogli wypuścić się sami w czterodniową podróż na północ.

Do diabła, nie wolno im było razem pójść na zakupy do sklepu spożywczego, gdyby taki znajdował się gdzieś w pobliżu.

Ona i Jones alias Leslie Pollard koniecznie potrzebowali trzeciej osoby, żeby odwieźć małą Lucy w bezpieczne miejsce.

A Gina spędziła ostatnie pół godziny na nieustannym wymiotowaniu.

- Tak czy inaczej pojedę z wami - zaklinała się. Była blada jak płótno i na zmianę trzęsła się z gorączki lub zlewała potem, ale mimo wszystko zmuszała się do pogodnego uśmiechu. - Naprawdę mogę jechać. Po prostu zjadłam coś niedobrego, ale już czuję się znacznie lepiej.

Trudno było w to uwierzyć, zwłaszcza że przy ostatnich słowach pochyliła się na bok, gwałtownie szukając wiadra.

Z każdą chwilą było coraz bardziej oczywiste, że jej choroba nie ma nic wspólnego z jedzeniem. Złapała tego samego wirusa, który nie tak dawno rozłożył całą ekipę wizytujących obóz księży. Przywieźli go z sobą jako ekstraupominek.

Proszę Cię, Panie Boże - modliła się w duchu Molly, wycierając wilgotnym gałgankiem czoło Giny - nie pozwól mi zachorować, dopóki Lucy nie znajdzie się w Marsabicie.

- Myślę, że spokojnie można powiedzieć, że nigdzie nie jedziesz - oświadczyła na głos.

- Połóżcie mnie z tyłu samochodu - zaproponowała słabo Gina.

- I co, może cię przywiązać, żebyś nie podskakiwała na wybojach? Hej, czemu mi to wcześniej nie przyszło do głowy?

- Mówię całkiem serio, Mol. - Gina chwyciła rękę przyjaciółki. - Posłuchaj, w każdej chwili wujowie Lucy mogą się zorientować, że jej nie ma. Wtedy dodadzą dwa do dwóch i przyjdą prosto tutaj.

Molly świetnie o tym wiedziała. Musieli stąd wyjechać, i to jak najszybciej.

Zaraz.

Jones gotów był zabrać Lucy i jechać z nią na północ. Lecz mężczyzna z Zachodu podróżujący sam z nastoletnią dziewczynką... Z pewnością zostaliby zauważeni i zatrzymani na przesłuchanie. Urowadzenia dzieci były tutaj poważnym problemem, tak samo jak we wszystkich słabo rozwiniętych krajach świata. To przedsięwzięcie wydawało się zbyt niebezpieczne.

Tak samo z różnych powodów było niemożliwe, aby tylko Molly pojechała z dziewczynką. Między innymi dlatego, że Jones - jak to określiła Gina? - zesrałby się ze strachu.

Właśnie z tego powodu Molly posłała go, żeby przyprowadził tu siostrę Helen. Tyle tylko że kiedy zastukał do drzwi namiotu, razem z nim do środka weszła siostra Maria - Margarita, postrach całego obozu.

Co on właściwie sobie wyobrażał? Molly spojrzała na niego okrągłymi ze zdumienia oczyma, w których kryło się bezgłośnie „nie!”.

W odpowiedzi tylko pokręcił głową.

- Mamy problem - oświadczył. - Wszyscy w obozie złapali chyba to samo co Gina. Siostra Helen, siostra Grace... Dokumentnie wszyscy. Przyprowadziłem więc ostatnią zakonnice, która jeszcze trzyma się na nogach.

- Gdzie jest ta dziewczynka? - spytała poważnie siostra Podwójne M. Och, wielki Boże, więc w dodatku jej powiedział...

Ale Jones znowu pokręcił głową.

- Nawet nie wspomniałem, o co chodzi.

- No i czego tak wytrzeszczasz gały? - zbeształa Molly zakonnica. - Nie jestem głupia. Widziałam, jak tu przybiegła. A kiedy dostaliśmy karteczkę od żony pana Jimmo o tym, że wylądował w szpitalu, z tajemniczą wzmianką „A więc nie będzie mógł zająć się tą małą”... - Spojrzała surowo na Molly. - Od razu wiedziałam, że to twoja sprawka. Tylko nie przypuszczałam, że wmieszasz w to pana Pollarda. A przynajmniej nie tak szybko.

Molly miała dwa wyjścia. Powiedzieć prawdę albo kłamać. Wybrała to pierwsze, bo nienawidziła kłamców.

- Postanowiłam zabrać dziewczynkę tam, gdzie będzie bezpieczna - oświadczyła wprost. - Pan Pollard zgodził się nam towarzyszyć i miałam nadzieję, że siostra Helen pojedzie jako trzecia.

Siostra Podwójne M pokręciła stanowczo głową.

- Ona jest chora. A nawet gdyby nie była, to i tak nic z tego. Serce Molly zmarło z przerażenia.

- Wie przecież siostra, że przepisy AIDS Awareness International dotyczące przyzwoitek są mocno przestarzałe...

- Jeśli prosisz o zezwolenie na złamanie tych reguł, to moja nieodwołalna odpowiedź brzmi „nie” - odparła zakonnica z poważną miną.

- Możemy przecież założyć obrączki - zasugerował Jones. - Będziemy udawać, że jesteśmy małżeństwem.

- A jeśli ktoś was zauważy? - spytała siostra. - A tak będzie z pewnością. - Znowu pokręciła głową. - Reguły w AIDS Awareness International zostały ustalone z myślą o zdobyciu zaufania przedstawicieli wszystkich kultur w tym regionie, a niektórzy z nich przywiązują wielką wagę do takich spraw. Tak, łamiąc te reguły, uratujecie jedno dziecko, ale ile dzieci straciecie później? Ciężko pracujemy na to, żeby miejscowa ludność nas zaakceptowała. Chcemy im podsunąć inną możliwość, na przykład jakąś mniej bolesną ceremonię inicjacji dla tych dziewcząt... Edukację, możliwość uczenia się.

- Lucy może być naszą przyzwoitką - rzekła Molly. - Przynajmniej w tamtą stronę. A w Marsabicie wynajmiemy kogoś, żeby pojechał z nami na południe.

To było jedyne rozwiązanie... Musiało być.

Lecz na siostrze Podwójne M ten pomysł nie wywarł większego wrażenia.

- A co będzie, jak tu przyjadą wujowie i kuzyni Lucy? - spytała. - I będą jej szukać? Wściekną się, bo będą przekonani, że to my ją stąd wywieźliśmy. Co mam powiedzieć, jeśli zapytają, gdzie jesteście?

- Na farmie Paula Jimmo - odpowiedziała Molly. - Żeby pomóc jego rodzinie, bo on leży w szpitalu. To zresztą wcale nie będzie kłamstwo, naprawdę tam wstąpimy w drodze na północ.

- A jeśli odkryją, że to wcale nie był cel waszej podróży? - siostra Maria - Margarita dalej nie była przekonana. - Przejrzą na wylot waszą historyjkę. A AIDS Awareness International będzie znana nie

jako organizacja, która zajmuje się pomocą medyczną i edukacją, lecz jako mafia, która wykrada stąd ich dziewczęta. - Mówiąc to, nie przestawała kręcić głową. - Nie. Jeśli mimo mojego sprzeciwu wyjedziecie stąd dziś w nocy, nie zgodzę się, byście tu wrócili.

Molly opadła ciężko na swoją pryczę. Prośenie zakonnic o pomoc zawsze przypominało ruletkę... I tym razem Molly przegrała.

- W takim razie zapakuję od razu swoje rzeczy - powiedziała cicho.

Ludzie pracujący tutaj byli jej przyjaciółmi, rodziną i na samą myśl o tym, że musi ich opuścić, pękało jej serce, ale w grę wchodziło życie dziewczynki, która im zaufała. Co będzie, jeśli każą jej stać i przyglądać się bezczynnie, jak wujowie Lucy zabierają ją siłą do domu? Wrzeszczącą i kapiącą, bez jakiegokolwiek szansy na pomoc?

Molly sięgnęła pod łóżko, wydobyła stamtąd swój plecak i postawiła obok siebie.

- Gina, czy będziesz mogła zapakować do skrzynki to, czego nie... - zaczęła, rozpinając po kolei kieszenie, ale przerwał jej Jones.

- A jeśli powie im siostra, to znaczy wujom Lucy, że nasza nieobecność jest zupełnie legalna? Na przykład, że wyjechaliśmy w podróż poślubną?

Co?!

- Molly i ja - wyjaśnił, żeby nie było żadnych wątpliwości.

Nie tylko ona gapiła się na niego z otwartymi ustami.

- To rozwiązałyby obydwaj problemy, prawda? - ciągnął niezrażony. - Zarówno sprawę przyzwoitki, jak i tę drugą... Wypożyczymy z naszego obozu ciężarówkę i wyjedziemy na kemping... żeby spędzić trochę czasu sam na sam. Bóg jeden wie, że zawsze marzyłem o tym, żeby zobaczyć Marsabit. A jeśli przypadkiem zabierzemy w tę podróż jakąś autostopowiczkę, to chyba jest to wyłącznie nasza sprawa, co? Niemająca nic wspólnego z AIDS Awareness International.

- Ciekawe, czy ktoś wam uwierzy, że pobraliście się akurat w czasie epidemii? - zauważyła Gina.

- To tylko niewinne kłamstewko - odparł Jones. - Zawsze można powiedzieć, że to się stało tuż przedtem, zanim ludzie zaczęli chorować. - Odwrócił się do zakonnic. - Będzie siostra mogła wziąć na swoje sumienie taki malutki grzech, żeby uratować dziewczynkę? -

Nie czekając na jej odpowiedź, popatrzył na Molly. - Jesteś gotowa na to, żeby wyjść za męża?

Boże, on mówił serio! Co w takim razie z jego wcześniejszymi obawami, że ktoś może zwrócić na nich uwagę? Że jeśli ona nagle przeprowadzi się do jego namiotu, wzbudzi to poważne podejrzenia? A jeśli już o tym mowa, to nagle zapomniał również o swoim starannie wypracowanym akcencie.

- Leslie... - powiedziała dobitnie, żeby oprzytomniał. - To czyste szaleństwo.

- Nie, jeśli dzięki temu uda się nam uratować Lucy. - Chyba pojął jej subtelną sugestię, bo znów mówił jak rodowity Brytyjczyk. - Owszem, ledwie się znamy, choć ja naprawdę cię lubię. I to bardzo. Może komuś ten pośpiech będzie wydawał się dziwny, ale dla ludzi - mam na myśli twoich przyjaciół - którzy znają twoją wielkoduszność... Oni zrozumieją, że zrobiłaś to po to, żeby ocalić Lucy.

Teraz Molly także pojęła, o co mu chodzi. Wśród pracowników organizacji charytatywnych pocztą pantoflową rozejdzie się wieść, że oto poślubiła dopiero co poznanego człowieka, aby uratować życie małej dziewczynki. Z kolei miejscowi będą uważać, że była to miłość od pierwszego wejrzenia... Zresztą to nie miejscowych obawiał się Jones.

- Myślisz, że to się uda? - spytała bez tchu.

- Tak - szepnął, nie spuszczać z niej oczu. - Na pewno.

Siostra Podwójne M ze wszystkich sił starała się ostudzić ich emocje.

- Niewinne kłamstewko to jedna sprawa, ale małżeństwo jest sakramentem, a sakrament nie powinien być przyjmowany pochopnie...

- Nikt nie przyjmuje tego pochopnie, siostro - ucięła Gina. Co prawda czuła się chora jak diabli, ale musiała coś powiedzieć tej wiedźmie. - Jeśli naprawdę zamierzasz ją poślubić, Leslie, to powinieneś uklęknąć i załatwić tę sprawę jak należy.

Jones zignorował obydwie panie i zwrócił się do Molly.

- Czy chcesz za mnie wyjść? - spytał, znów zapominając o akcencie. - To znaczy, czy naprawdę chcesz? Bo potem możemy postarać się o unieważnienie, jeśli... jeśli nie będziesz chciała być... no wiesz, żoną. Moją żoną.

Molly stała bez ruchu i patrzyła w oczy mężczyzny, którego kochała z całego serca. Ujrzała w nich cień wątpliwości, jakby naprawdę myślał, że...

- Czy mam rozumieć, że rzeczywiście mi się oświadczasz? - spytała w końcu. - Bo nie zadałeś mi konkretnego pytania... Ale gdybyś to zrobił, to moja odpowiedź zdecydowanie brzmiałaby „tak”.

Nie zasypał jej pocałunkami, kiedy to powiedziała. Nie w obecności tego Attyli w przebraniu siostry zakonnej. Ale Molly była pewna, że tego właśnie pragnął.

Zamiast tego ukląkł na jedno kolano i obejrzał się na Ginę.

- Czy teraz dobrze?

- Moim zdaniem znakomicie - odparła z uśmiechem.

Jones ujął dłoń Molly i popatrzył w górę.

- Wyjdź za mnie - powiedział.

- To wcale nie jest pytanie, to rozkaz - zaprotestowała Gina. - Spróbuj jeszcze raz.

Molly zaczęła się śmiać... Choć właściwie trudno byłoby jednoznacznie stwierdzić, czy to miał być śmiech czy płacz.

- Molly, czy zechcesz zostać moją żoną?

- Tak - powiedziała natychmiast. - Żeby uratować Lucy - dodała na użytek siostry Podwójne M.

Zakonnica chrząknęła znacząco i Molly odwróciła się ku niej gotowa do kolejnego starcia.

Stara kobieta miała łzy w oczach.

- Przeprowadzę tu ojca Bena - powiedziała. - Doprawdy, Pan Bóg używa różnych tajemnych sposobów, aby pomagać swoim dzieciom.

Pięć minut później, kiedy w tym samym namiocie składali małżeńską przysięgę, z leżącą na łóżku Giną jako świadkiem, po słowach „tak, chcę” oboje dodali „żeby uratować Lucy”.

Ale obydwójce wiedzieli, że to nieprawda. Bo to Lucy uratowała ich.

McLean, Wirginia

28 stycznia 2004

Siedemnaście miesięcy wcześniej

Gina nie wierzyła własnym uszom.

- Powiedziałaś „nie”?!

Jules zerknął w lusterko wsteczne, a potem zamrugał kierunkowskazem i zjechał na lewy pas.

- To bardzo poważny krok.

- To zwykła randka - oświadczyła stanowczo. Siedziała obok niego na fotelu pasażera, a on wiozł ją do Sheffield na spotkanie z Maksem. Jej samochód został w warsztacie - znowu coś nawaliło w układzie elektrycznym. - To zaledwie jedna, nic nieznacząca randka. Spotkanie po pracy na drinku. To nawet nie kolacja.

Mimo że Jules pracował dziś w domu - co samo w sobie stanowiło niesamowite wyzwanie, odkąd Gina ciągle gościła w jego mieszkaniu - miał na sobie służbowy strój FBI. Zanim wsiadł do samochodu, zdjął z siebie marynarkę, ale i bez niej prezentował się znakomicie. Biała koszula, podwinięte rękawy, poluzowany krawat, okulary przeciwsłoneczne, falujące włosy, doskonale ukształtowany nos, idealna linia podbródka, pięknie zarysowane kości policzkowe... Do tego wszystkiego zabójczy uśmiech ukazujący równe białe zęby... Całkiem możliwe, że Jules był najprzystojniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkała.

Wydawało się dziwne, że nikt nie próbował go podrywać na ulicy. Zresztą może nie było w tym nic dziwnego. Gina na pierwszym roku college'u mieszkała z dziewczyną, która - podobnie jak Jules - była pod każdym względem olśniewająca i doskonała. I która tak samo jak on większość wieczorów spędzała samotnie, bo chłopcy bali się zaproponować jej randkę.

- Chyba nie chodzi o to, że Stephen ci się nie podoba - zauważyła.

Jules zaczął rzucać na Stephena ukradkowe spojrzenia dokładnie od chwili, kiedy van zatrzymał się przy krawężniku, a nowy sąsiad zaczął wnosić swoje meble do apartamentu odległego o kilka numerów od domu Julesa. Przez ostatnie kilka tygodni i on, i Gina spędzali mnóstwo czasu przy oknie, wypatrując nieznajomego i chichocząc z byle powodu albo wybiegając do samochodu po coś,

czego rzekomo zapomnieli zabrać, tylko po to, żeby z bliska zerknąć na tego przystojniaka.

Wysoki, ciemny i bajecznie urodziwy nowy sąsiad, Stephen, miał najpiękniejsze orzechowe oczy i najdłuższe rzęsy, jakie Gina widziała u jakiegokolwiek mężczyzny poza Julesem. Oczywiście chodzi o rzęsy, bo jeśli mówimy o oczach, to Jules miał tęczówki w intensywnym kolorze mlecznej czekolady.

- No cóż, zainteresowanie z daleka to jedna rzecz... - Jules westchnął. - Ja po prostu... Po prostu wiem, że się rozczaruję. Stephen z moich marzeń jest o wiele doskonalszy niż ten rzeczywisty.

- A jeśli wcale nie? A może ten chłopak jest nawet lepszy niż twoje najbardziej dzikie wyobrażenia? - spytała Gina.

Jules zaśmiał się z pogardą.

- Bardzo wątpię. Nawiasem mówiąc, chodzi, jakby miał włączony tempomat...

- Popraw mnie, jeśli się mylę... - zaczęła Gina - ... ale chłopak, który podrywa byle kogo, któremu chodzi tylko o seks, raczej nie ma zwyczaju pomijać milczeniem zaproszenia na drinka, co?

- Taak... - przyznał Jules. - No cóż, chyba że po prostu chce się napić.

- Chyba jesteś tchórzem - rzuciła Gina.

Jules prychnął z oburzeniem.

- Wcale nie!

- Ależ tak. Poza tym nie odpowiedziałeś na moje pytanie - zauważyła. - Co będzie, jeśli pójdziecie na drinka i przekonasz się, że Stephen jest wspaniały?

Jules dał znak kierunkowskazem i skręcił na zjazd do centrum rehabilitacji.

- Wiesz... Ja chyba nie jestem jeszcze gotowy. I wszystko jedno, czy on jest wspaniały, czy nie.

Ale Gina zrozumiała.

- Jesteś tchórzem, a do tego podwójnym tchórzem. Po prostu boisz się, że ten facet okaże się naprawdę super i że się zaangażujesz. I tu dochodzimy do sedna sprawy: wciąż myślisz, że Adam da kopa Branfordowi i wróci do ciebie na kolanach. No i co wtedy zrobisz, ty mój biedaku?

Jules westchnął.

- Nie przeszkadzaj sobie. Wiem, że jeszcze nie skończyłaś. Ale równie dobrze możesz to zrobić teraz.

- Jak długo zamierzasz siedzieć z założonymi rękoma i czekać na tego...

- Tego dupka?

- Coś w tym stylu. Chcesz, żeby wrócił i powiedział, że znów popełnił błąd? - spytała Gina. - A poza tym cóż to za pretensjonalne imię rodem z Los Angeles. Bradford. Tfu! Adam nie ma gustu. Daj sobie wreszcie z nim spokój, mówię serio. Stephen jest super...

- Wiesz, że cię kocham - przerwał jej. - Ale skoro już jesteśmy przy naszych słabościach i klęskach, to chciałbym zauważyć, że to nie ja uciekam do Kenii. „Halo, AIDS Awareness International? - zaczął naśladować wysoki głos Giny. - Chcę żebyście wiedzieli, że zamierzam poświęcić wszystko, i to nieodwołalnie, dla mężczyzny, który nie chce albo nie może się przyznać, że mnie kocha, i który dopiero co porównał nasz związek, przepraszam, naszą przyjaźń, bo choć pieprzymy się jak króliki za każdym razem, gdy tylko nadarzy się okazja, to jesteśmy tylko parą przyjaciół - do letniego szczeniackiego romansu”.

Gina wydała z siebie nerwowy chichot.

- O kurczę, rzeczywiście musiałam nieźle nadepnąć ci na odcisk, wspominając Adama, bo teraz zachowałeś się jak skończony sukinsyn - odezwała się odrobinę drżącym głosem.

Jules westchnął głęboko.

- Przepraszam - powiedział i jego mina dowodziła, że naprawdę zrobiło mu się przykro.

Sięgnął po jej rękę. Ich dłonie spotkały się w połowie drogi i Gina oplotła palcami jego palce, ściskając mocno.

- W porządku - szepnęła. - Wiesz, masz całkowitą rację.

- Ty też - odpowiedział jej w ten sam sposób. - Stephen budzi we mnie przerażenie, bo faktycznie wydaje mi się doskonały pod każdym względem. Jest... Jest taki miły, rzutki i zabawny. To prawie brzmi jak żart, prawda? Nie mówiłem ci o tym, ale parę dni temu, gdy wracałem do domu, on spacerował z psem... Porozmawialiśmy trochę i... wielki Boże. Masz zupełną rację. Nie chcę się przyznać przed samym sobą, że nie przeboleiałem tamtego, jak tam mu na imię, bo tylko skończony...

- Głupiec? - podsunęła Gina.

- Tak. Trzeba naprawdę być skończonym głupcem, żeby tęsknić za takim gadem jak Adam, podczas gdy z zasięgu ręki pojawia się ktoś taki jak Stephen.

Ginie serce kroilo się na widok jego męki.

- W porządku - powiedziała. - Może masz rację. Może nie jesteś jeszcze gotów, żeby się zaangażować.

- A co z panią, droga Julio? - spytał, wjeżdżając na parking. Skierował się w stronę wolnego miejsca niedaleko głównego wejścia.
- Jest pani gotowa, żeby dla Romea rzucić wszystko na jedną szalę?

- Sama nie wiem. - Pokręciła głową. - Obiecałam, że zostanę, dopóki będzie mnie potrzebował. Może to tylko pobożne życzenia, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że tak jest... Że on mnie potrzebuje.

- Och, kochanie. - Jules objął ją serdecznie. - Przepraszam, że byłem taki wstrętny.

Znamienne, że nie wyraził swojego zdania na interesujący ją temat, to znaczy, czy Max naprawdę jej potrzebuje. Gina zrozumiała sugestię i nie próbowała drażnić tej kwestii.

- Nad czym Max teraz tak pilnie pracuje? - spytała.

Przez ostatnie kilka dni wydawał się wręcz przyklejony do telefonu.

Wczoraj w ogóle go nie widziała.

Miała spotkać się z nim w porze kolacji, ale na mieście był straszny ruch, lało jak z cebra, kontrolka poduszki powietrznej bez przerwy się włączała, a w dodatku Ginę złapały straszne skurcze. Kiedy zadzwoniła, by powiedzieć, że się spóźni, odpowiadał jej monosylabami, aż w końcu zezłościła się i w ogóle odwołała spotkanie.

Miała nadzieję, że poczuje się rozczarowany.

Ale Max nic nie powiedział. Mruknął tylko: „Mam pilny telefon”.

- Wiesz chyba, że nie mogę ci nic powiedzieć - oznajmił Jules, gramoląc się z samochodu.

- Pewnie to dotyczy tej próby zamachu w Afganistanie - odparła i też wysiadła. - Zgadłam? Tam jest kilku terrorystów, którzy...

- Wszędzie na świecie są miejsca, gdzie można znaleźć kilku terrorystów - wpadł jej w słowo Jules. - Gina, wiesz przecież, że właśnie na tym polega nasza praca, ale wyświadczyć sama sobie przysługę i nie próbuj rozmawiać z Makssem na ten temat.

Włożył marynarkę, a na to jeszcze płaszcz. Był naprawdę chłodny dzień.

- Super - burknęła Gina i okręciła się szalem. - Kolejny temat, którego należy unikać.

Wyjęła z samochodu stos komiksów, które przywiozła dla Ajaya. I dla Maksa, bo podejrzewała, że on także je czyta. O mało co nie wysunęły jej się z rąk, więc próbowała je łapać, jednocześnie trzymając kwiaty, które chciała dać starszej pani Klinger.

- Możesz wziąć tamto pudło? - zawołała.

Jules wziął z tylnej kanapy futerał na gitarę.

- Naprawdę chcesz to dać Maksowi? - spytał z niedowierzaniem.

Gina wiedziała, że Max nigdy nie zdobyłby się na to, żeby kupić sobie instrument.

- Zawsze chciał mieć gitarę - oznajmiła.

- Max?! - Jules sceptycznie pokręcił głową.

- Myślę, że chyba mogę udzielić mu kilku lekcji.

- Umiesz grać?

- Troszeczkę - odparła. - Na tyle, żeby prześlizgnąć się przez kilka chórków w AU Shook Up.

- Będę mógł popatrzeć, jak uczysz go tej piosenki? - spytał. - Bardzo proszę. Max grający Elvisa... - Roześmiał się na samą myśl. - Wiesz co, jeśli ujrzę to na własne oczy, to chyba do końca życia tego nie zapomnę.

- Max jest fanem Elvisa - powiedziała, kiedy szli przez parking.

- Chyba żartujesz.

- Naprawdę.

- Powiedział ci o tym? - Jules ciągle nie mógł uwierzyć.

- Tak - odparła. - On czasami ze mną rozmawia. Wyobraź sobie, że nawet mówi pełnymi zdaniami.

- Naprawdę wymówił te słowa? Powiedział: „Ja, Max Bhagat, jestem fanem Elvisa”?

- Błagam, przestań nawet myśleć o tym, żeby mu dokuczać - poprosiła. - Przysięgam, Max ostatnio strasznie spoważniał. Chyba przez ten zamach, o którym teoretycznie mam nic nie wiedzieć. Wyjątkowo spoważniał. Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam uśmiech na jego twarzy.

- Max się uśmiecha? - W głosie Julesa brzmiało niedowierzenie.
- Najpierw wmawiasz mi, że jest fanem Elvisa, a teraz, że naprawdę widziałas, jak się uśmiecha?

- Przestań - zachichotała Gina. - Albo zaproszę do nas na kolację tego nowego sąsiada, Stephena. A do kompletu mojego brata Victora. „Chłopie, no chłopie, tylko trzy słowa - Sarah Michelle Gellar. Powiedz mi prosto w twarz, że nie zrobiłbyś tego z Sarah Michelle Gellar”.

- Dobrze już, dobrze - skapitulował Jules, otwierając przed nią drzwi - Wygrałaś.

Rozdział Dziesiąty

Hotel Elbe Hof, Hamburg, Niemcy

21 czerwca 2005

Dzień dzisiejszy

Przesyłając zdjęcia z aparatu Giny na komputer pożyczony z hotelowego centrum konferencyjnego, Max wściekał się na siebie chyba już po raz czterdziesty w ciągu ostatniej pół godziny za to, że nie zabrał własnego laptopa.

Pukanie do drzwi rozległo się w najlepszym momencie, bo za chwilę przegryzłby sobie żyłę, zgrzytając, połamałby wszystkie zęby, a na koniec wyrzucił ten sprzęt przez okno.

- Szybko przyjechałeś - powiedział do Julesa, otwierając szeroko drzwi.

- Cześć, Max.

I nagle świat zaczął poruszać się w zwolnionym tempie. Przez chwilę, która trwała chyba pół jego życia, Max stał bez ruchu jak kamienny posąg, patrząc w oczy Grady'ego Moranta alias Dave'a Jonesa alias cholernego dupka, który w tym samym stopniu co on był odpowiedzialny za zniknięcie Giny.

Od dwóch dekad służył w FBI, więc jakaś część jego umysłu automatycznie przełączyła się na autopilota, szybko rejestrując wszystkie istotne informacje.

Ręce - w górze i puste, specjalnie trzymane tak, żeby Max mógł je widzieć.

Wybrzuszenie z lewej strony marynarki - być może wypchany portfel, ale raczej jakaś broń.

„Cześć, Max”... Morant oczekiwał, że to on otworzy drzwi, musiał więc wiedzieć, że Max tu jest.

Większy i cięższy od Maksa przynajmniej o dwadzieścia pięć funtów.

W przeszłości członek sił specjalnych, musi więc być obeznany z walką wręcz.

Ale to było w latach dziewięćdziesiątych. Mnóstwo czasu upłynęło od chwili, gdy Morant odszedł z armii. Wystarczająco dużo, żeby stracić ostrość reakcji i doskonałą kondycję fizyczną... Żeby zwyczajnie sflaczać.

Chociaż ten skurwiol nie wyglądał na sflaczałego.

Spokojny głos doktora: „Dobrze pan wygląda, Max. Obojczyk wygoił się znakomicie. Tylko... Niech pan sobie odpuści na jakiś czas”.

Ale część osobowości Maksa, w której dominował obłąkany szaleniec, nie chciała odpuścić i poczekać, aż te wszystkie spostrzeżenia zostaną posortowane przez umysł, lecz doszła do wniosku, że najlepszym posunięciem będzie sięgnąć pod marynarkę, wyrwać stamtąd pistolet, a potem trzymając Moranta na muszce, wciągnąć go do pokoju i przepytwać, gdzie podziewa się Gina.

I ta szalona część osobowości Maksa pozwoliła się wciągnąć w wir chaosu i poddała furii, obawie i dzikiej frustracji.

Powróciło druzgocące wspomnienie chwili, gdy zobaczył nazwisko Giny wypisane czarno na białym na liście ofiar zamachu terrorystycznego.

Ujrzał znów tamto ciało okryte całunem, z twarzą, która nie była jej twarzą.

Szok zmieszany z wściekłością i bólem zaczął teraz wypierać nadzieję, która zdążyła już wykiełkować w sercu Maksa.

Poczuł nieodpartą potrzebę, żeby chwycić Moranta i wciągnąć go do środka. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem, ale Max tego nie słyszał.

Wiedział jedynie, że Morant rąbnął w krzesło i rozpląszczył się na ścianie obok okna.

Max był tuż za nim, trzymając w ręku odbezpieczony pistolet, nieznaną mu bliżej astrę, którą chyba przed chwilą wyrwał z rąk Moranta. Cisnął ją w poprzek pokoju i jednym ruchem wywalił krzesło, które stało mu na drodze.

Morant podniósł się z podłogi, mówiąc coś, czego Max nie dosłyszał, bo w jego głowie rozszalała się straszna burza.

- Gdzie jest Gina?! - wrzasnął, usiłując przekrzyczeć jej łoskot. - Ty łajdaku, lepiej mi powiedz, gdzie ona jest, albo zatłukę cię jak psa! Rozerwę cię na strzępy i to zaraz, ty skurwysynu!

Morant próbował ratować się ucieczką dookoła stolika, ale Max złapał go, podciął mu nogi i obaj zwałili się na podłogę, pociągając za sobą lampę, która się stłukła.

Max rąbnął przy tym głową o krawędź łóżka, ale gwiazdy tańczące przed oczyma nawet na moment nie osłabiły jego furii. Próbował dobrać się Morantowi do gardła, chwytając pełnymi

garściami jego pas, koszulę i włosy, i było mu wszystko jedno, czy coś widzi, czy nie.

- Powiedziałem, że nie wiem, gdzie ona jest...

O Jezu! Sukinsyn rąbnął Maksa pięścią w twarz, ale niewiele mu to pomogło, brakowało rozpędu. Ale potem Max poczuł w ustach smak krwi. Może ból zdążył minąć podczas szamotaniny, gdy Morant desperacko walczył o wolność. Łokciem uderzył napastnika w bok, pozbawiając go tchu, ale mimo to Max się nie wycofał. Morant pomyślał, że zyskał sekundę albo dwie, i popełnił błąd. Dźwignął się, żeby uciec i w ten sposób ustawił się tak, jak Max sobie życzył. Błyskawicznie opasał ramieniem szyję Moranta i jednocześnie kolanem nacisnął plecy, boleśnie wbijając je w kręgosłup.

- Postradałeś zmysły? - wykrztusił Morant, zanim Max zdążył zacisnąć ramię i w ten sposób uniemożliwił nabranie powietrza, którego Morant potrzebował, by mówić.

By oddychać.

Oczywiście Morant był zbyt dobrze wyszkolony, by po prostu leżeć i umierać. Przetoczył się na plecy, na Maksa, starając się wyrwać z uchwytu słabszego przeciwnika. Całym ciałem rzucił się na ścianę i zaczął w nią równomiernie uderzać, próbując w ten sposób zmiażdżyć Maksa albo przynajmniej rozluźnić morderczy uścisk.

A był to prawdziwy uścisk śmierci. Max chciał zabić Moranta. Właściwie już zabijał Moranta.

Nieszczęśnik wbił palce w ramię Maksa i jednocześnie dołożył starań, by dosięgnąć jego twarzy, oczu, ale bezskutecznie. Walczył, rzucając się jak ryba wyciągnięta z wody, aż Max zorientował się, że Morant próbuje wyjąć coś z kieszeni.

Ani nóż, ani pistolet, tylko tani plastikowy długopis.

Dobrze wyszkolony człowiek potrafi zabić długopisem albo przynajmniej poważnie zranić, więc Max schował twarz w szerokie bary Moranta i przygotował się na kolejny atak.

Max Bhagat wyraźnie pękł. Jones widział już wcześniej takie przypadki - zarówno w siłach specjalnych, jak i w służbie Chaia - wśród mężczyzn, których naciskano zbyt mocno i popychano zbyt daleko.

Nawet sam tego doświadczył w więzieniu.

Tortury - taktyka, której celem było rozwiązanie więzniom języków, najwyraźniej zupełna nowość dla Amerykanów - potrafiły złamać najtwardszego.

Zdrowy rozsądek gdzieś zniknął i człowiek w pełni poddawał się instynktowi. Podejmowane decyzje i czynione wybory niewiele miały wspólnego z osobistymi przekonaniem albo pojmowaniem dobra czy zła.

Cholernie oczywiste wydawało się, że Max albo nic nie słyszy, albo też myślami błądzi gdzieś daleko, gdzie nie docierają urywane okrzyki Jonesa: „Nie wiem, gdzie jest Gina, ale wiem, że są razem z Molly i że obie żyją!”.

Albo: „Ty cholerny półgłówku, jesteśmy po tej samej stronie!”.

A potem, w miarę jak dłonie Maksa zaciskały się coraz bardziej na jego szyi, Jones nie mógł już wymówić ani słowa. Nie mógł już złapać oddechu.

Co do cholery...?

Możliwość, że za chwilę umrze, wydawała mu się wielce prawdopodobna, choć nie potrafił sobie wyobrazić, że to może się zdarzyć właśnie tutaj. I to teraz. W taki sposób. Nie był na to przygotowany.

Pomyślał o Molly i zaczął mocniej walczyć o życie, ale przed oczyma przelatywały mu na zmianę rozbłyśki światła i ciemne plamy, które całkowicie uniemożliwiały mu zobaczenie czegokolwiek. Przyszło mu do głowy, że za chwilę straci przytomność.

Nie powiedziawszy Maksowi tego, co tamten koniecznie powinien wiedzieć.

Niech to szlag!

Ostatkiem sił zaczął gorączkowo szukać w kieszeni długopisu, który zwykle nosił w spodniach, przeklinając się za to, że tak bezwzględnie podporządkował się wpojonym w armii zasadom, by nigdy niczego nie zapisywać. Nigdy nie zostawiać śladu. I kiedy Max przeszuka później jego ubranie, nie znajdzie żadnej wskazówki.

Jednym palcem otworzył długopis, dziękując Bogu, że ma go ze sobą. Zaczął go nosić, żeby nie ganiać tam i z powrotem do ich namiotu albo szpitalnego biura za każdym razem, kiedy Molly pytała, czy ma przy sobie coś do pisania.

Jezu! Ściana była zbyt daleko, żeby mógł do niej sięgnąć...

Ręka zadrżała mu konwulsyjnie i długopis wysunął się z pomiędzy palców. Poszukał go po omacku i na szczęście znalazł.

Szarpnięciem podciągnął rękaw i zaczął pisać na własnym przedramieniu wykorzystując ostatnie kilka sekund życia, dopóki świat nie zaczął pogrążyć się w mroku, aż w końcu zapadła ciemność.

Centrum Rehabilitacji Sheffield, McLean, Wirginia

28 stycznia 2004

Siedemnaście miesięcy wcześniej

Jules wkroczył do budynku za Giną, dzierżąc w dłoni gitarę Maksa.

No dobrze, właściwie to jeszcze nie była jego gitara, ale Julesowi podobało się, kiedy tak ją nazywał. Zupełnie nie pasowała do wizerunku Maksa, podobnie jak dziwaczne kraciaste spodnie od piżamy i T-shirt ze Snoopym, w którym to stroju Jules ujrzał swojego szefa kilka miesięcy temu w późnych godzinach nocnych.

Gina też miała swój udział w dzisiejszym Świącie Niespodzianek.

Siostra Chodząca Złość skończyła właśnie pracę w recepcji, a Święta Gina pozdrowiła ją z uroczym uśmiechem na twarzy, jakby nie istniały między nimi żadne nieporozumienia, i pokazała stos komiksów, które dźwigała pod pachą.

- Cześć, Debra. Gdzie się podziewa Ajay? Znalazłam mu parę ostatnich X - manów.

Jules nie słyszał odpowiedzi Debry, bo przytrzymał drzwi, żeby przepuścić parę wyglądającą na profesjonalnych hokeistów; widocznie przyjechali odwiedzić swojego kolegę z zespołu, który powoli wracał do zdrowia.

Hej, ten uroczy blondynek przyciągnął powłóczyście spojrzenie Julesa, kiedy dziękował mu za okazaną uprzejmość. Czyż to nie interesujące? Oczywiście chłoptaś wyglądał zaledwie na dwadzieścia lat, poza tym mógł być po prostu naiwnym Kanadyjczykiem i... Nic z tych rzeczy. Jules spostrzegł, jak chłopak zerka na niego drugi raz, wcale się z tym nie kryjąc, a ten dłuższy nieco kontakt wzrokowy zakończyło porozumiewawcze mrugnięcie.

Więc okay. Super. Jules pomyślał, że chyba zacznie oglądać rozgrywki hokejowe.

Dźwięk tłuczonego szkła oderwał go od okna, skąd obserwował parking. Ups! Gina upuściła na podłogę kwiaty przyniesione dla pani Klinger. Słoik po majonezie, w którym trzymała je podczas jazdy, roztrzaskał się o wyłożoną płytkami podłogę.

Komiksy także poszybowały w powietrze. W pierwszej chwili Jules pomyślał, że Gina upadła na kolana, żeby je pozbierać, ale zanim ruszył w jej kierunku, zza kontuaru w recepcji wypadła Debra...

I obie kobiety padły sobie w ramiona!

Chryste Panie... Jules rzucił się pędem w ich stronę; biegnąc, ujrzał, jak Gina ociera łzy, i usłyszał jej pytanie: „Czy Max wie?”.

I dobrze, że usłyszał, ponieważ te słowa znaczyły, iż to nie Max opuścił ten świat. To był ktoś inny, tyle tylko że teraz również Debra zalewała się łzami. Z rozdzierającą serce pewnością Jules zdał sobie sprawę, o kogo może chodzić. Te dwie kobiety, które nie lubiły się tak bardzo, łączyło tylko jedno...

- To Max go znalazł - załkała Deb.

- Och Boże, nie! - płakała Gina.

- Kogo znalazł? - Jules przycupnął obok nich, choć w zasadzie już wiedział, jaka będzie odpowiedź.

Ajay. Obie uwielbiały Ajaya.

- Ale przecież tak dobrze się czuł - powiedziała Gina, jakby to mogło przywrócić chłopcu życie.

- Czy to była niewydolność nerki? - spytał Jules.

Deb pokręciła głową, jednocześnie wycierając oczy.

- Infekcja. Zupełnie rozwalila mu układ odpornościowy. Przy kolacji skarżył się na ból gardła, więc zmierzyłam mu temperaturę. Była może odrobinę wyższa niż normalnie, więc nikomu z nas nie przyszło do głowy, że... Ale kiedy Max go znalazł, zaledwie kilka godzin później, dzieciak był już rozpalony jak diabli. Zawieźliśmy go jak najprędzej do szpitala, gdzie około północy zmarł na izbie przyjęć. Jego biedne małe serduszko po prostu nie wytrzymało...

Teraz już wszyscy płakali jak bobry.

- Biedny Max - westchnęła Gina. - To musiało go wytrącić z równowagi. - Zaczęła gramolić się z podłogi. - Lepiej pójdę go poszukać. Nie mogę uwierzyć, że do mnie nie zadzwonił.

A Jules bez trudu mógł w to uwierzyć. Max mógł być wytrącony z równowagi, ale z pewnością nie dał tego po sobie poznać. Nie tylko Ginie. A może przede wszystkim Ginie. Jules pomógł Debrze dźwignąć się z podłogi.

- To musiało się zdarzyć zaraz po tym, jak dzwoniłam wczoraj wieczorem - uświadomiła sobie Gina.

- Nie, nie, kochanie - odezwała się Debra. - To nie była zeszła noc. To stało się przedwczoraj.

O, cholera!

Gina z początku nie uwierzyła. Jules widział, jak ze wszystkich sił stara się pojąć sens tego, co przed chwilą usłyszała.

- Jesteś pewna? Rozmawiałam wczoraj z Maksem i...

Jules bez trudu dokończył po cichu jej myśl... i nawet słówkiem mi o tym nie wspomniał.

Ajay umarł, a Max nie pofatygował się, żeby o tym powiedzieć.

Gina odwróciła się na pięcie i pomaszerowała prosto do pokoju Maksa.

- O, cholera... - jęknęła Deb i wskazała na rozbite szkło na podłodze. - Ja posprzątam ten bałagan, a może pan spróbuje zająć się tym.

Debra dobrze dobrała słowa „może pan spróbuje”. Jules złapał gitarę Maksa i popędził za Gina.

- Skarbie, może powinnaś nieco zwolnić, policzyć do dziesięciu...

- Po co? Nie mam zamiaru mówić czegoś, czego bym potem miała żałować. Nie martw się, wszystko sprowadza się do trzech absolutnie niewinnych słów: Idź się pieprzyć. Może zresztą dodam jeszcze czwarte: Max.

- Posłuchaj, Gina...

- Naprawdę myślałam, że on mnie potrzebuje - ciągnęła dalej. - Boże, chyba w życiu się tak nie pomyliłam!

Drzwi do pokoju Maksa były zamknięte, lecz Gina nie zadała sobie trudu, żeby zapukać.

Max stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz, trzymając przy uchu słuchawkę, ale odwrócił się na odgłos kroków Giny. Być może w jej spojrzeniu był taki ogień, że natychmiast zorientował się, iż prośenie, aby chwilę zaczekała, zupełnie mija się z celem.

- Za chwilę do ciebie oddzwonię - powiedział do słuchawki i zamknął ją z trzaskiem.

Max był mistrzem negocjacji, ale w tym wypadku musiałby być cudotwórcą. Jules został na korytarzu. Wiedział, że powinien odwrócić się i odejść, ale nie mógł. To było jak obserwowanie w zwolnionym tempie zderzenia dwóch rozpędzonych pociągów.

- Nie sądzisz, że śmierć Ajaya jest czymś, o czym być może chciała bym wiedzieć? - spytała na powitanie.

Max nawet się nie ruszył.

- Myślałem... - zaczął i pokręcił głową. - Wczoraj nie czułaś się zbyt dobrze - powiedział.

- Nie czułam się dobrze o piątej dwadzieścia pięć po południu - sprecyzowała. - A to było szesnaście godzin po tym, jak umarł. - Zaczęła płakać. - Jezu, Max! Nie mogłeś po prostu zadzwonić?

Nic nie odpowiedział, bo cóż mógłby powiedzieć?

- Co, byłeś aż tak strasznie zajęty? - szlochała. - No cóż, nieszczęścia chodzą po ludziach, prawda? Mali chłopcy umierają każdego dnia, więc jeden mniej czy więcej co to za różnica?

Julesowi wydawało się oczywiste, że Max czuje się po prostu fatalnie. Że jest zdruzgotany. Że po prostu nie wiedział, jak jej to powiedzieć, tak samo jak nie wie, co powiedzieć teraz... Że nie potrafi znaleźć odpowiednich słów, by wyrazić swój żal.

Ale może Jules widział to, co chciał widzieć... A tak naprawdę stał przed nimi milczący, niewzruszony i pozbawiony wszelkich emocji człowiek.

- Co z tobą jest nie tak? - szepnęła Gina.

Jej słowa zawisły w powietrzu podobnie jak drobinki kurzu tańczące w promieniach słońca wpadającego przez okno. Wszyscy troje stali przez chwilę w milczeniu.

Dopóki ciszy nie przerwał dzwonek telefonu Maksa.

Max odchrząknął.

- Przykro mi - powiedział napiętym głosem. - Uprzedzałem cię wiele razy, że nie mogę dać ci tego, czego potrzebujesz.

- Też tak uważam - odparła. - Ale dzięki, że się starałeś. Och, chwileczkę... Tak naprawdę to się nie starałeś.

Odwróciła się do Julesa, który jak ostatni idiota stał na korytarzu i przyglądał się tej scenie.

- Wezmę taksówkę, żeby wrócić do twojego mieszkania.

- Jules może cię odwieźć - powiedział Max, nie zwracając uwagi na telefon, który dzwonił jak szalony.

- Wiem, że macie służbowe sprawy do omówienia - odparła sztywno.

- To może poczekać.

- Ależ nie musi - powiedziała, wychodząc z pokoju.

Jules trzymał w ręku nieszczęsną gitarę.

- Co mam z tym zrobić? - spytał.

- Zostaw ją. - Wzruszyła ramionami i odeszła.

Jules wszedł do środka w tej samej chwili, kiedy jego szef odbierał telefon.

- Bhagat - powiedział. - Tak - zamknął oczy. - Tak...

Musiał wiedzieć, że Gina już nie wróci. Czy obchodziło go to, że nie pofatygowała się nawet, by powiedzieć „do widzenia”?

Jules czuł, że żołądek kurczy mu się ze zdenerwowania. Ostrożnie postawił w kącie gitarę. Boże, jaka szkoda!

Max otworzył oczy, zobaczył, że Jules ciągle stoi obok i przez zaciśnięte zęby rzucił mu bezgłośnie: „Idź”, jednocześnie machając niecierpliwie, jakby chciał odpędzić natrętną muchę.

- Przykro mi, że tak to się skończyło, sir - powiedział Jules, choć nie był pewien, czy Max w ogóle go słucha.

Hotel Elbe Hof, Hamburg, Niemcy

21 czerwca 2005

Dzień dzisiejszy

Nie było wątpliwości, że dobry agent FBI szalony agent FBI nie będzie efektywnie pracował, jeśli w pokoju nie ma dobrego agenta FBI.

Nie wspominając o drobnym fakcie, jakoby niepoczytalność była integralną częścią działania.

Kiedy Grady Morant opadł bezwładnie na podłogę, Max powrócił do rzeczywistości i natychmiast przyszedł mu do głowy dwie niepokojące myśli. Po pierwsze, że ten sukinsyn nawet nie próbował dziabnąć go trzymanym w rękę długopisem, a po drugie, że jeśli naprawdę był martwy, to nie pomoże Maksowi odnaleźć Giny.

Poprawka. Jeśli Morant pozostanie martwy, nie pomoże odnaleźć Giny.

Ostrożnie, na wypadek gdyby utrata przytomności okazała się udawana, Max zwolnił uścisk i...

Dobra wieść była taka, że Max nie musiał odpierać ataków Moranta i uważać, by drań nie wsadził mu długopisu w oko.

Zła wyglądała tak, że Max nie miał zielonego pojęcia, ile czasu upłynęło od chwili, kiedy zamknął przeciwnika w morderczym uścisku - albo raczej jak dawno tlen po raz ostatni dotarł do mózgu tego zasańca.

Max przetoczył ciało Moranta na plecy, podniósł mu podbródek i sprawdził, czy ma drożne drogi oddechowe. Ups! No tak, właściwie mógł to sobie darować. To przecież właśnie on, Max, był przyczyną, dla której ten sukinsyn się zadławił.

Wtłoczył powietrze w usta Moranta - no, dalej, dalej! - na wszelki wypadek usuwając długopis z zasięgu jego rąk i przeszukując kieszenie, czy nie ma tam innej broni, którą mógł przeoczyć podczas walki. Pochylił się, żeby sprawdzić puls, i właśnie wtedy zauważył na nadgarstku granatowy atrament. Co, do diabła...? Zamiast wbić w Maksa ten cholerny długopis, Morant zaczął pisać powieść?! I do tego na swoim pieprzonym przedramieniu?!

Zobaczył słowa „Gina” i „żyje” - o Chryste! - ale za cholerę nie udało mu się odnaleźć pulsu. Tłocząc powietrze w płuca tego sukinsyna, próbował znaleźć puls na tętnicy szyjnej. Gdyby puls

wrócił, znaczyłoby to, że facet tylko zemdłał, ale były to chyba wyłącznie pobożne życzenia.

Cholera jasna!

Max zaczął uciskać z całej siły klatkę piersiową Moranta, tłocząc też w jego usta powietrze, aż ustalił się stały rytm tych czynności.

No dalej, dalej, proszę cię, dobry Boże... Dalej...

Był już bliski wsadzenia palców w gardło sukinsyna, żeby sprawdzić, czy w czasie walki nie uszkodził tam czegoś istotnego. Bo gardło Moran - ta spuchło i powietrze nie mogło się tamtędy przedostać...

Ale wtedy nagle wyczuł puls - tak! - w tej samej chwili Morant zaniósł się kaszlem i plunął Maksowi prosto w twarz śliną zmieszaną z krwią i Bóg wie czym jeszcze.

Na szczęście nie były to wymiociny.

Drżącymi rękoma Max wytarł zroszone potem czoło i mocno szturchnął Moranta w bok, żeby tamten wyrzucił i wykasłał to, co jeszcze miał do wykasłania.

Max oparł się o ścianę i starał uspokoić oddech. Krew leciała mu z nosa, może niezbyt intensywnie, ale i tak go to irytowało.

- Chcesz, żeby cię zawieźć do szpitala? - zapytał w końcu. Czasami gardło od środka jest tak posiniaczone, że wymaga to interwencji medycznej. Niekiedy nie wystarczy przestać kogoś dusić, żeby gość powrócił do życia.

Oczywiście ta wiedza nie wynikała stąd, że Max miał zwyczaj dusić ludzi. Jednak kiedyś uczył się trochę anatomii. Wiedział, które miejsca na ciele człowieka są tak wrażliwe, że uderzenia w nie mogą doprowadzić do śmierci, a gardło należało do tych szczególnie podatnych na uszkodzenia.

Ale Morant pokręcił głową.

- Nie trzeba.

Był to zaledwie szept, ale Maksowi to wystarczyło. Morant przetoczył się z powrotem na plecy, zamknął oczy i skupił na oddychaniu.

Jego ubranie nie podarło się podczas walki tak bardzo jak ubranie Maksa. Jeden rękaw marynarki Maksa zwisał w okolicach nadgarstka, a w dodatku puścił szew na plecach. Max poczuł chłód, kiedy powietrze dotarło do jego koszuli mokrej od potu.

Za to Morant wyglądał zdumiewająco dobrze jak na kogoś, kto właśnie wyrwał się z objęć śmierci; jak na kogoś, kto podobno zmarł kilka miesięcy temu; jak na kogoś, kto był poszukiwany przez rządy zbyt wielu krajów za zbyt dużą liczbę rozmaitych przestępstw.

Jego ubranie nie należało do szczególnie drogich - było raczej typowe dla pracownika organizacji charytatywnej - i trudno było je zniszczyć w czasie bijatyki. Luźne spodnie, wysokie buty, dżinsowa koszula i taka sama kurtka.

Facet sprawiał wrażenie człowieka, któremu Afryka zdecydowanie służy. Zdrowy. Szczupły.

Max trącił nogą rękę Moranta, żeby przeczytać to, co było napisane na przedramieniu. Wyglądało to na coś w rodzaju adresu mailowego. RoyallyEffed@freemail.com... Potem litery P i W, i coś co wyglądało jak... krzesło?

„Gina + Molly żyją”, a następnie „ratuj je”, podkreślone trzy razy. Potem coś, co wyglądało na „wyśledź”... a potem jakiś zakrętas zupełnie nie do odczytania. Podobnie jak reszta, ale Max nie musiał czytać nic więcej, by dojść do wniosku, że o mały włos nie zabił zupełnie niewinnego człowieka.

Człowieka, który poświęcił ostatnie, jak sądził, sekundy życia, żeby próbować przekazać informacje, które pomogłyby ocalić Ginę i Molly.

To było doprawdy upokarzające.

- Bardzo mi przykro - wycedził Max.

Miał wrażenie, że powiedzenie: „Przepraszam, że próbowałem cię zabić” wypadnie niezbyt przekonująco. Nawet nie będzie całkiem uczciwe, bo Max nie próbował. Max to zrobił.

Morant odwrócił głowę w stronę Maksa.

- Pachnie tu tak, jakby ona tutaj była - szepnął. - Moja żona.

Co...?! Max odetchnął głęboko. W porę przypomniał sobie, że oddychanie to dobra rzecz.

- Założę się, że nigdy nie pomyślałeś, że ktoś taki jak ja może wypowiedzieć te słowa jedno po drugim - powiedział jeszcze i zaniósł się kaszlem. Potem odchrząknął, żeby oczyścić gardło i dodał: - Ja zresztą też nie.

- Molly? - zapytał Max.

- Tak, Molly. - Morant popatrzył z niedowierzaniem. Mówił ochryplym głosem i tak miało pozostać jeszcze przez jakiś czas. - A o kim pomyślałeś? O Ginie?

Max wytarł nos w podarty rękaw.

- Mam dziś szczególnie fatalny dzień - powiedział.

Gina, która odnajduje szczęście w ramionach niebezpiecznego, poszukiwanego listem gończym kryminalisty pasowałaby do tego jak ulał. Choć akurat słowo „dzień” niezupełnie odpowiadało prawdzie. „Fatalny rok” brzmiał znacznie lepiej.

- Zawsze mówiła, że jesteś błyskotliwy - powiedział Morant. - Skończony kutas, ale błyskotliwy. Nie udowadniaj mi teraz, że nie miała racji.

Czy określenie „kutas” pochodziło od Moranta, czy też Gina faktycznie tak go oceniała? Zresztą ta sprawa nie powinna go teraz obchodzić.

- Gdzie one są? - spytał, zamiast drążyć poprzedni temat. - Kto je uprowadził? Leslie Pollard? Zażądałeś dowodu, że w ogóle żyją?

- Są w Indonezji - odparł Morant. - Wszystko, co wiem o człowieku, który je porwał, to jego inicjał - E. - i rysopis. Tylko za bardzo się nie podniecaj. Jest kompletnie bezużyteczny. Facet jest średniego wzrostu, przeciętnej budowy ciała, jego karnacja też nie bardzo rzuca się w oczy... Poza tym ma ciemne włosy, nosi wąsy i mówi taką angielszczyzną jak brytyjska królowa, z lekkim akcentem, być może francuskim. A może to jeden z twoich przyjaciół?

Max pokręcił głową. Sądząc z opisu to mógł być każdy. Nawet on sam ze sztucznymi wąsami jak inspektor Clouseau.

- Nie sędzę, żeby nazywał się Leslie Pollard - ciągnął dalej Morant. - Na pewno nie jest Lesliem Pollardem, ponieważ osobiście pochowałem Pollarda, a raczej to, co z niego zostało, w Tajlandii. A dzięki tamtejszej faunie nie było tego zbyt wiele, kiedy go znalazłem. - Uśmiechnął się ponuro. - Pomyślałem, że nie będzie już potrzebował imienia ani nazwiska, choć niestety jego paszport także został pogryziony na drobne kawałeczki.

A więc Grady Morant alias Dave Jones był także Lesliem Pollardem, który poślubił Molly Anderson. Przynajmniej tak twierdził.

Brakowało tych fragmentów układanki, które dotyczyły Giny. Max pamiętał jej list skierowany do Julesa: „Spotkałam najbardziej fascynującego mężczyznę na świecie”.

- Wiedziałeś, że Gina jest w ciąży? - spytał znienacka.

W odpowiedzi ujrzał w oczach Moranta błysk kompletnego zaskoczenia plus coś jeszcze. Nie był pewien, co to takiego, ale zaskoczenie widział wyraźne. Nikt nie jest aż tak dobrym aktorem.

- Gina?

- A więc to nie twoje dziecko - rzekł Max.

- Do diabła, nie. - Morant zaśmiał się i nagle spowaźniał. - Jezu, to dlatego próbowałeś mnie zabić?

- Czy widywała się z kimś? - Max zupełnie zignorował pytanie. - Może z tym E.?

- Nie - Morant był pewien. - Tamten facet pokazał się w obozie... Przynajmniej sędzę, że to był ten sam gość, od którego dostałem e-mail. Ale to zdarzyło się dopiero po tym, jak Molly i Gina wyjechały do Niemiec. Przyleciał wynajętym helikopterem, pogadał z siostrą Helen, która potem powiedziała, że widziała go pierwszy raz w życiu. To właśnie od niej pochodzi jego opis, bo ja widziałem go tylko z daleka. A tak nawiasem mówiąc, wyglądał na biznesmena.

Wspaniale.

- Czy Gina wyjeżdżała z obozu? Na przykład na weekendy albo... Nie wiem, w czasie wolnych dni?

Było możliwe, że poznała tego E. na przykład w Nairobi.

- Nie - zaprzeczył Morant. - To znaczy ona i Molly tylko raz pojechały do Nairobi przez cały czas, kiedy byłem w obozie. A jeśli chodzi o wolne dni... Ona nigdy nie przestawała pracować. Tak samo nigdy o nikim nie opowiadała. O przyjacielu czy kochanku, czy... Zresztą ja tam byłem mniej więcej cztery miesiące... Całkiem możliwe, że jej związek zdążył się już zakończyć.

Czy kiedykolwiek wspominała o nim, Maksie? Oczywiście poza nazywaniem go kutasem.

To pytanie nie miało związku z prowadzonym śledztwem, ale Max czuł, że Gina musiała o nim napomknąć. Skąd inaczej Morant mógłby wiedzieć, że on przyleci do Hamburga, żeby jej szukać?

- A Molly? - spytał. - Czy kiedykolwiek wyjechała z obozu bez ciebie? Czy myślisz, że mogła wplątać się w jakiś związek z...?

- Nie - wybuchnął Morant. - I niech cię szlag trafi za takie sugestie.

Tego typu pytanie, czy uprowadzoną osobę łączyło coś z porywaczem, było standardowym pytaniem w każdym dochodzeniu. Z punktu widzenia porywacza było o wiele łatwiej zaprzyjaźnić się z ofiarą i skłonić ją, by dobrowolnie wsiadła do samochodu. Jeśli ten facet plątał się gdzieś w pobliżu... Nie w obozie, ponieważ byłoby jasne, że jest tam obcy, ale na przykład w Nairobi?

Jeśli Max chciał odnaleźć Ginę, musiał sprawdzać każdy ślad. Już zapamiętał, by kazać sprawdzić Peggy wszystkie wypożyczalnie helikopterów w Kenii.

- Po prostu nie chcesz uwierzyć, że Gina wcale nie była małym, nie winnym aniołkiem - usłyszał głos Moranta. - I zamykasz oczy, żeby nie widzieć, kim była naprawdę. Kobieta z krwi i kości, która... - Urwał gwałtownie. - Wiesz, może się mijam z prawdą, mówiąc, że nie miała przyjaciela. Był tam pewien Kenijczyk... Paul Jimmo. Został zabity krótko po tym, jak przyjechałem. Cały obóz niezwykle to przeżywał, a szczególnie Gina.

Paul Jimmo.

Jego nienawiść do martwego Paula Jimmo nie pomoże odnaleźć Giny. Mimo to Max nie mógł pozwolić, by to słowo przeszło niezauważone.

- Zabity?

- To była potyczka w ramach wiecznego sporu o prawa do wody - wyjaśnił Morant. - Nie wydaje mi się, żeby był w to zaangażowany. Raczej znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

No i czy to nie wspaniale? Max wolał wcale się nie zastanawiać nad tym, że jeśli Gina naprawdę była związana uczuciowo z Paulem Jimmo, to miała cholerne szczęście, iż nie znalazła się wówczas u jego boku.

Teraz jednak musiał się skupić na tym, by ją odnaleźć.

- Czy to ty zostawiłeś wiadomość na sekretarce? - spytał. - Żeby Gina i Molly schroniły się w ambasadzie?

- Tak, ja.

- Nie odebrały jej - oznajmił Max. - Kiedy tu wszedłem, wciąż była nową wiadomością.

- Tak myślałem, zakładając, że nie poszły do ambasady. E. przysłał mi dowód, że żyją... Nawiasem mówiąc, jest to zdjęcie w

formacie jpg przysłane mailem. Są na nim obie i siedzą obok telewizora, w którym akurat nadają niedzielne rozgrywki w piłkę nożną. Oczywiście to mogło zostać cyfrowo zmienione, ale wątpię. Wygląda na to, że trzymają je w jakieś hurtowni czy czymś w tym rodzaju. Telewizor to jeden z tych małych tanich odbiorników.

Boże, więc Gina żyła! A przynajmniej było tak w niedzielę wieczorem...

Ręce Maksa znowu zaczęły się trząść jak w febrze.

- Co ty, dobrze się czujesz? - Morant usiadł prosto, po czym natychmiast złapał się za głowę. - O Jezu...

Stęknął z bólu, a zaraz potem zrobiło mu się słabo i przez chwilę i świat zawirował przed oczyma.

Zresztą nie on jeden tak się czuł. Max też miał wrażenie, że widzi przed sobą roje migoczących gwiazd.

- Chcę zobaczyć to zdjęcie - zażądał.

- Wszystko z nimi w porządku - zapewnił Morant i znów położył się i na wznak. - Wyglądały całkiem dobrze... No, może nie sprawiały wrażenia szczególnie szczęśliwych, ale też nie były ranne. Ktokolwiek je uwięził, j wie, jak wygląda ten biznes, i potrafi zatroszczyć się o porwanych.

- Chcę zobaczyć to zdjęcie - powtórzył Max. - A potem wyślemy maila to tego sukinsyna i powiemy, że nic, absolutnie nic się nie wydarzy, dopóki nie porozmawiam z Giną przez telefon.

I co jej powiesz, Max? Przepraszam?

- Tak naprawdę to przede wszystkim musimy się stąd zbierać. - Morant znowu usiadł, tylko tym razem znacznie wolniej i ostrożniej. - I tak już za dużo czasu tu jestem...

Przechylił głowę to w jedną, to w drugą stronę, trzymając ręce na karku.

Ktokolwiek je uwięził, wie, jak wygląda ten biznes...

Biorąc pod uwagę, w jakim towarzystwie Morant obracał się w Indonezji, można było śmiało twierdzić, że on też znał się na tym biznesie. A w tamtej części świata uprowadzenia dla okupu były całkiem niezłym interesem.

- ... a to wymaga trochę czasu, żeby teraz połączyć się z nim on - line - dokończył myśl.

Max uciął krótko.

- Mieliście w tym obozie w Kenii dostęp do internetu?

Wiedział świetnie, że to bardzo wątpliwe. Jak w takim razie ów tajemniczy E. skontaktował się z Morantem?

- Nie - odparł Morant. - Mogliśmy uważać się za szczęściarzy, jeśli była ciepła woda, kiedy szliśmy się kąpać.

- Ale miałeś adres e - mailowy?

Na tego typu pytania Morant miał sprytną odpowiedź.

- Kiedy pracowałem dla faceta o nazwisku Chai...

- Masz na myśli tego handlarza narkotyków i mordercę Nang - Klao Chaia? - sprecyzował Max.

Przez chwilę Morant milczał i patrzył na Maksa.

- Okay - powiedział wreszcie. - Tak, mówimy o tym samym człowieku. Punkt dla ciebie. Zgoda, masz mnóstwo powodów, żeby mi nie ufać. Czy masz zamiar wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia, czy znów stłuczysz mnie na kwaśne jabłko? Prawdę mówiąc, jestem gotów i na to, i na to.

- Słucham - odparł Max.

- Ale nie jestem gotów siedzieć tu jak ostatni dupek i z założonymi rękoma czekać, aż przyjadą tu twoi kumple i zaciągną mnie za dupę do pierdła - oświadczył Morant. - Jeśli właśnie planujesz coś takiego...

- Więc kiedy pracowałeś dla Chaia... - ponaglił go Max.

Morant zaczął raz jeszcze od początku. Cholernie dobrze wiedział, że nie ma wyjścia.

- Więc kiedy pracowałem u Chaia, czasami kontaktowaliśmy się przez internet. I kiedy dotarłem do Hamburga, rzeczywiście w skrzynce czekała na mnie wiadomość. Pisana tym samym szyfrem, którego używaliśmy przedtem, kierowała mnie na wcześniej założone konto mailowe. Kimkolwiek są ci porywacze, są niezli w tym, co robią.

- Ile pieniędzy zażądali? - spytał Max, podczas gdy Morant usiłował się podnieść. Max wyciągnął pistolet i skierował go w stronę przeciwnika. - Nie powiedziałem, że możesz wstać.

Morant popatrzył na niego, a potem przeniósł spojrzenie na broń. Najwyraźniej nie zrobiło to na nim większego wrażenia.

- Jeśli się stąd nie ruszymy, i to w najbliższej przyszłości, to znaczy zaraz, zjawią się tu twoi kołesie z biura FBI w Hamburgu, zobaczą, jak sobie siedzę na podłodze, i zrobią wszystko, co w ich

mocy, żeby odesłać mnie jak najszybciej do Stanów. A w takim wypadku wszyscy dostanie my po dupie. Ty, ja, Molly i Gina.

Zapewne Morant wcale się nie bał pistoletu w ręku człowieka, który dziś już raz go zabił. Zabił, ale i przywrócił do życia.

- Zastrzelę cię jak psa - oświadczył Max. - Wiem, że nie wierzysz...

- Ależ wierzę ci, wierzę - zapewnił Morant. - Prawdę mówiąc, nawet na to liczę, jeśli już do czegoś dojdzie. Ale wcześniej słówko ostrzeżenia. Jeśli zrobisz to tutaj, będziesz miał cholernie dużo kłopotu z przetransportowaniem moich zwłok z powrotem do Indonezji.

I nagle wszystko stało się jasne. Te prawie nieczytelne słowa na ramieniu Moranta. To nie było „wyśledź”, to było „wymień”. „Wymień je na mnie”.

Oni nie chcieli pieniędzy - ci ludzie, którzy porwali Ginę i Molly. Oni chcieli Grady'ego Moranta.

I jeśli nie udałooby się ocalić ich w inny sposób, Morant był gotów poświęcić siebie.

- Nie wiem dokładnie, kto to zrobił - powiedział cicho. - Ale kimkolwiek są ci ludzie, muszą mieć związek z Chaiem. A to znaczy, że nie będą przestrzegać żadnych zasad... Ich celem jest zranić mnie tak bardzo, jak to tylko możliwe. Jeśli dostaną mnie żywego, nie uwolnią Molly ani Giny. Zamiast tego będę się musiał przyglądać, jak umierają.

Chryste!

- Nie pozwolę, żeby tak się stało - kontynuował Morant - ale będę potrzebował twojej pomocy. - Uśmiechnął się ponuro. - Twojej i tych chłopców z Navy SEAL, którzy pracowali dla ciebie, kiedy spotkaliśmy się ostatnio. Wyjaśniłem ci, jak to działa... Nawiasem mówiąc, ta sprawa nie polega na negocjacji. Użyjesz swoich wpływów, żeby pomóc mi odnaleźć Molly i Ginę, a potem wydostać je stamtąd całe i zdrowe. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli i będę żył po całej tej sprawie, oddam się do twojej dyspozycji. Sam możesz napisać przyznanie się do winy, a ja podpiszę wszystko, co zechcesz. Ale ani ty, ani twój pieprzony rząd nie tkniecie mnie małym palcem, dopóki nie będę miał pewności, że Molly nic już nie grozi. I gwarancji, że tak będzie również w przyszłości.

Max patrzył uważnie na Moranta. Zgodnie z zasadami obowiązującymi w FBI nie powinien wchodzić w podobny układ. Ale nie można było oczekiwać, że podejmie właściwą decyzję, kiedy życie Giny znajdowało się w niebezpieczeństwie. Lecz czy naprawdę był gotów powierzyć komuś innemu troskę o jej bezpieczeństwo?

Komu mógł tak bez końca zaufać?

Morant miał rację, najpierw powinni się stąd wynieść. Kiedy zjawi się zespół Friska, szanse Maksa, by rozwiązać to po swojemu, spadną niemal do zera.

Pospiesznie zabezpieczył broń i wsadził do kabury, a następnie pozbierał z podłogi to, co pozostało z jego marynarki.

- Zabieraj swój pistolet - rzucił w stronę Moranta. - Idziemy. I oczywiście w tym momencie okazało się - ponieważ był to ten zwariowany, popieprzony i fatalny rok - że jest już za późno. Ktoś zapukał do drzwi.

Rozdział Jedenasty

Gdzieś we wschodniej Europie

Dokładna data: nieznana

Dzień dzisiejszy

Gina i Molly żyły. Przynajmniej na razie. Gina słyszała, że współczynnik przeżywalności pośród uprowadzonych spada znacząco w chwili, gdy wsiądą z porywaczem do samochodu. Zastanawiała się, jak to wygląda w przypadku osób, które zostają wepchnięte do metalowego kontenera, w jakim przewozi się towary na statkach. Chociaż po raz pierwszy od wielu dni nie były trzymane na muszce pistoletu, który dzierżyła w łapach baba rozmiarów volkswagena znająca angielski akurat na tyle, żeby kazać im siedzieć cicho.

- Wszystko w porządku? - z ciemności dobiegł do niej szept Molly.

Gina miała w pośladku drzazgę, pamiątkę po niefortunnym spotkaniu z drewnianą paletą. Poza tym nie raz i nie dwa w ciągu ostatnich mrocznych dni przychodziło jej do głowy, że oto jej życie zmierza do gwałtownego końca. Ach, no tak, w dodatku siedziała zamknięta w skrzyni bez odrobiny światła.

„Wszystko w porządku” jakoś dziwnie nie pasowało do sytuacji.

Ale przynajmniej ta skrzynia była dość duża. Nie aż tak, by wstać, ale dało się tam wygodnie siedzieć, a nawet obie z Molly miały dość miejsca, żeby się położyć.

- Tak, ze mną wszystko dobrze. A co u ciebie? - spytała, ponieważ drzazga w tyłku była niczym w porównaniu z tym, co musiała przeżywać Molly.

Z pewnością lekarz, który instruował Molly, żeby sobie odpuściła na parę dni, nie to miał na myśli.

- Jestem trochę obolała - przyznała Molly. - A poza tym mam mdłości. Nic nowego, prawda? Gina, tak strasznie mi przykro...

- Mnie też - przyznała Gina.

Kiedy ciemność zaczynała ją przytłaczać, przysuwała twarz bliżej krótkiego gumowego węża, który dostarczał im powietrze z zewnątrz. Gdziekolwiek się znajdowały, śmierdziało tam jakimś olejem napędowym. Wszędzie była wilgoć, cuchnęło i panowały ciemności.

Boże, jak tęskniła teraz za Maksem. Marzyła, żeby się zjawił i ją uratował. Chciała usłyszeć jego głos, jak mówi, żeby siedziała cicho, bo on już jest w drodze.

I że żałuje, że okazał się takim gnojkiem, że ją kocha i przez resztę życia pragnie pozostać jej osobistym niewolnikiem, by w ten sposób zmasakrać swoje winy.

Zresztą dopóki śniła o rzeczach niemożliwych, dopóty mogła wyobrażać sobie, co tylko chciała.

- Nie mogę uwierzyć, że nie uciekłaś, kiedy była okazja - szepnęła do Molly. - On trzymał broń wycelowaną we mnie.

- Co, i miałam cię zostawić? - zbuntowała się jej przyjaciółka. Gina usłyszała, jak Molly się rusza. - Nigdy. Zresztą im chodziło o mnie.

Coś tu jest w środku. Jakieś butelki. Plastikowe.

- A to imię, które wciąż powtarzał tamten Włoch - spytała Gina, ochoczo sięgając w ciemność, żeby sprawdzić, co tam znajdzie. - Grady Morant?

- To jest prawdziwe imię i nazwisko Jonesa.

Tak właśnie Gina myślała. Molly powiedziała kiedyś, że Dave Jones to tak samo przybrane nazwisko jak Leslie Pollard, ale nigdy nie zdradziła, jak naprawdę nazywa się jej mąż. Grady. Ho, ho... Nie wyglądał jak Grady.

- A ci ludzie z pistoletami, którzy byli w studiu Gretty? - spytała. Jej dłoń natrafiła na coś, co przypominało koc. Nie jeden, lecz dwa. - Czy oni też szukali Grady'ego Moranta?

Wściekli ludzie z pistoletami w dłoniach, którzy zaczęli bezładną strzelaninę w studiu fałszerza... To cud, że Molly ani Gina nie zginęły na miejscu.

Ta kobieta, Gretta - właśnie ona przygotowywała dla Jonesa nowy i bardzo drogi fałszywy paszport - została zabita. Pociski przeszły ją na wylot, a krew tryskała strumieniami i przez kilka straszliwych chwil Gina znów znalazła się na pokładzie tamtego samolotu, kiedy terroryści zastrzelili pilota, a on upadł obok niej na podłogę w kabinie... Widziała, że brakuje mu połowy głowy, podczas gdy Alojzije Nabulsi bił ją i poniewierał, wciskając się na siłę w jej ciało z nienawiścią, choć to wcale nie była jej wina...

O Boże, jeszcze chwila, a zacznę rzygać, pomyślała.

- Nie mam pojęcia, kim oni byli - szepnęła Molly, kiedy Gina siedziała ze schyloną głową, modląc się, żeby mdłości wreszcie ustąpiły. - On nas uratował, wiesz? Ten Włoch.

Uratował?! Czy Molly była przy zdrowych zmysłach?

Uratował, zabierając je pod groźbą użycia broni do obskurnego, zawilgoconego składziku, gdzie kazał im godzinami siedzieć na drewnianych paletach i milczeć, podczas gdy sam organizował to wygodne lokum w metalowej skrzyni?!

Najważniejsze pytanie oczywiście brzmiało: po co to zrobił?

- Wydawał się naprawdę skruszony, kiedy nas tu zamykał - zauważyła Molly. - Powiedział, że nie chciał nam zrobić krzywdy.

- Kłamał - odparła Gina, a jej głos zabrzmiał jak żywcem wyjęty z Egzorcysty.

Przypominał raczej ochrypnięty skrzek, ale Molly nie zwróciła na to uwagi.

Liczyła na głos butelki.

- Dziewiętnaście, dwadzieścia... Dwadzieścia jeden - oznajmiła triumfalnie. - Mam dwadzieścia jeden butelek z wodą i paczkę pieluch dla dorosłych. Dzięki, Panie Boże, za te drobne łaski.

Dzięki? Dzięki za co? Za to, że jakiś uzbrojony i niebezpieczny włoski bandyta wrzucił paczkę pieluch do tej pływającej klatki, żeby podczas podróży Bóg wie dokąd nie musiały sikać w majtki?

Przez kilka ostatnich tygodni Molly spotykały same nieszczęścia, a mimo to jej optymistyczny stosunek do świata ciągle budził w Ginie zażenowanie. Gina nie miała zwyczaju lenić się w Departamencie dla Myślących Pozytywnie.

- Woda to dobry znak - ciągnęła Molly. - Widocznie chce, żebyśmy dotarli do celu żywe.

Z pewnością, ale co będzie dalej, kiedy już odpakują je na miejscu przeznaczenia?

Nie trzeba było tęgiego umysłu, by zrozumieć, że obie z Molly mają odgrywać rolę przynęty... A przynęta ma to do siebie, że trzyma się ją świeżą tylko do pewnego momentu.

Gina była przekonana, że włoski bandzior miał zamiar zabić je zaraz po przybyciu do składziku, kiedy tylko zrobił im zdjęcie obok małego telewizorka. Takie zdjęcie nazywano „dowodem życia”. Zwykle zakładnicy występowali na nim z gazetą w ręku, ale mecz piłki nożnej na żywo w kablówce widocznie spełniał te same warunki.

Czasami taki dowód wcale nie był dowodem życia, lecz dowodem posiadania. I zaraz po tym, jak zostało to ustalone, zakładnicy mogli stać się zbędni.

Gdzieś niedaleko rozległ się głośny dźwięk, coś jak hałas włączonego silnika. Potem nastąpiło szarpnięcie i Gina poczuła, że gdzieś ruszają.

Bóg jeden wie dokąd.

Na spotkanie przeznaczenia.

Gina nie zdołała się opanować i zaczęła głośno szlochać. Molly przesunęła się w ciemności w kierunku, skąd dobiegał płacz, i objęła mocno przyjaciółkę.

- Chryste Panie, Gina... Jestem śmiertelnie przerażona i tylko mogę sobie wyobrazić, co musi przeżywać ktoś taki jak ty.

- Właśnie - płakała Gina, wycierając łzy brudnymi rękoma. Bez wątpienia przy okazji wyprodukowała na twarzy coś w rodzaju błotka.

- Zamknęli mnie w skrzynce...

Zupełnie jakby była już martwa, tylko o tym nie wiedziała.

- Bardzo tęsknię za Maksem - dodała drżącym głosem.

- Wiem, skarbie, wiem... - Molly objęła ją jeszcze mocniej. - Teraz nawet ja tęsknię za nim, choć żywię do niego urazę, że tak bardzo cię zranił.

Gina zaśmiała się. Choć cała się jeszcze trzęsała, bez wątpienia był to śmiech.

- W życiu nie chowałaś do nikogo urazy.

Skłonność do szybkiego wybaczenia była jedną z głównych cech Molly, podobnie jak wręcz śmieszny optymizm. Jones, czyli Grady, drażnił się z nią kiedyś, mówiąc, że nawet Hannibalowi Lecterowi dałaby drugą szansę. W tym momencie Gina znów zaczęła myśleć o mniej przyjemnych tematach.

- Nie pozwól, żeby ten bandzior, ten pieprzony Wioch, robił z ciebie wariatkę - powiedziała przyjaciółce. - On w ogóle nie widzi w nas ludzi. Jesteśmy jak robaki na jego haczyku. Jeśli akurat potrzebne mu jest nasze życie, będziemy żyły. A jeśli nie... Znasz to powiedzenie: „Jeśli spodziewasz się od ludzi wszystkiego, co najlepsze, dostajesz to, co najlepsze”, prawda? Moim zdaniem w tym wypadku to się nie sprawdzi.

Molly milczała. Zwykle nie robiła tak, gdy się z czymś nie zgadzała, ale tym razem zdołała się powstrzymać. Gina wiedziała jednak, że gdyby była tu odrobina światła, wyraz twarzy Molly natychmiast zdradziłby jej uczucia. Jej sprzeciw zacząłby się od

„ale"... „Ale odzywał się do nas tak uprzejmie..." albo „Ale sprawiał wrażenie prawdziwego dżentelmena..."

- Mówię serio, Mol - uprzedziła ją Gina. - Nie staraj się zaprzyjaźnić z tym dupkiem.

Bo jeśli je stłucze i zgwałci, zanim w końcu zabije, to o wiele gorzej to zniosą.

- Tym razem nie jesteś sama, Gina - oznajmiła Molly. - Przejdziemy przez to razem. Jones na pewno się zjawi i...

- I da się zabić? - skończyła Gina.

- Nie, jeśli cokolwiek będę miała do powiedzenia. - W głosie Molly zabrzmiało stanowcze przekonanie. - I jeśli ty zrobisz tak samo.

Hotel Elbe Hof, Hamburg, Niemcy

21 czerwca 2005

Dzień dzisiejszy

Jules stał z tyłu, kiedy agent Jim Ulster zapukał ponownie do drzwi pokoju hotelowego.

- Jesteś pewien, że to ten pokój? - spytał swoją partnerkę, przysadzistą kobietkę o przyjaznej twarzy, do której mówił Goldie.

- Na pewno ten - odezwał się Jules. - Osiemset siedemnaście.

Goldie, która tak naprawdę nazywała się Vera Goldstein, dwa razy sprawdziła zapiski w notesie.

- Tak - potwierdziła. - To ten pokój. Może pan Bhagat po prostu wyszedł.

- Niemożliwe - odparł Jules.

- Jest pora kolacji - zauważyła Goldie. - Nawet legendy muszą od czasu do czasu coś przekąsić.

Ale Jules nie dał się przekonać.

- Wierz mi, Max nie przerywa roboty po to, żeby zjeść kolację, nawet kiedy sprawa nie dotyczy go osobiście. Na pewno jest w środku, tylko może nie chce, żeby mu przeszkadzano.

- Słyszałam, że jest nieco dziwny w tych sprawach - rzekł Goldie. - Podobno, żeby wejść do jego biura, trzeba mieć wygrawerowane zaproszenie.

Niewysoki, suchy jak rzemień i tryskający niecierpliwością Ulster był zupełnym przeciwieństwem puszystej Goldie. Najwyraźniej nie miał zwyczaju tracić czasu na głupie gadanie. Zapukał do drzwi jeszcze raz, tylko znacznie głośniej.

- Nie. - Jules pokręcił głową. - To nieprawda. Tylko lepiej, żebyś wiedziała, co masz do powiedzenia, jeśli już zaczynasz z nim rozmawiać. Bo jeśli dojdzie do wniosku, że marnujesz jego czas, to powie ci to bez ogródek, chociaż...

- Naprawdę wydaje mi się, że go tam nie ma. - Ulster zerknął na zegarek, sprawdził komórkę i jednym zgrabnym, prawie niezauważalnym ruchem poprawił sobie genitalia w spodniach.

I wtedy drzwi się otworzyły.

- Przepraszam, że musieliście czekać - powiedział Max. - Miałem mały wypadek i właśnie usiłowałem doprowadzić się do porządku.

Uwaga, pomyślał, zaraz tynk zacznie się osypywać z sufitu.

Goldie i Ulster zupełnie zgłupieli, jakby oślepiła ich sława promieniująca z faceta, który podobno był „tym” Maksem Bhagatem. Chociaż użycie słowa „promieniować” w kontekście tego, jak Max wyglądał, było grubą przesadą.

Dla Julesa stało się jasne, że ktoś - i to całkiem niedawno - stłukł jego legendarnego szefa na kwaśne jabłko.

Na tyle niedawno, że z nosa Maksa ciągle sączyła się krew. Zdążył co prawda zmienić koszulę, ale w oczy rzucał się brak marynarki. Trzymał przy nosie ręcznik, podczas gdy dwoje agentów przedstawiło się w taki sposób, jakby byli parą odurzonych spotkaniem ze sławą uczennic. Nawet Ulster zaczął się jękać.

- Zaplątałem się w sznur od lampy - wyjaśnił im jak gdyby nigdy nic. Uroczy, skory do pogawędki Max Bhagat, cholerny łgarz. - Stłukłem to dziadostwo. To znaczy lampę, nie nos. Dzięki Bogu przynajmniej za to.

Zdecydowanie coś tu nie pasowało. Kiedy Max wyglądał tak jak teraz, w pokoju powinny znajdować się jakieś zwłoki albo przynajmniej poobijany i cierpiący nieszczęśnik przykuty kajdankami do umywalki w łazience. I tak jak zwykle się postępować w takich sytuacjach, Max powinien wskazać na tego osobnika i powiedzieć: „Przesłuchaj go, Dano”.

Albo jak w tym wypadku: „Przesłuchaj go, Goldie”. A nie najpierw bla, bla, bla, lampa, a potem bla, bla, bla, nos.

Stojąc na korytarzu, Jules nagle ujrzał przed oczyma Maksa jako całkowicie szalonego, lecz przemiłego Edwarda Nortona w Podziemnym kręgu, który daje z siebie wszystko, biorąc udział w bijatyce, gdzie walczących nie obowiązują żadne zasady.

Dziwne, to było najłagodniejsze określenie.

A potem... potem zrobiło się jeszcze dziwniej.

- Znacie Billa Jonesa z biura w Waszyngtonie? - spytał Max Goldie i Ulstera, odsuwając się o krok, żeby mogli wejść do pokoju.

Kogo?!

Ale rzeczywiście, w pokoju przy biurku siedział jakiś facet z przyciśniętą do ucha słuchawką hotelowego telefonu i z taką miną, jakby odbywał właśnie bardzo ważną rozmowę i w związku z tym nie mógł się nawet pofatygować, żeby otworzyć drzwi.

Większość ludzi zupełnie nie umie oszukiwać, że rozmawia przez telefon i Bill Jones nie należał do wyjątków.

Był wysoki, ciemny, o surowej i niepokojącej urodzie... Jules spotkał go już kiedyś, tylko że absolutnie nie w biurze w Waszyngtonie, a poza tym był pewny jak diabli, że gość używał wówczas innego nazwiska.

W końcu odłożył słuchawkę, ale kiedy Max przedstawiał go agentom Friska, nie zadał sobie trudu, żeby podnieść się z krzesła.

Być może dlatego, że Max połamał mu kolana.

O co tu chodziło, do jasnej cholery?!

- Pracowałeś już kiedyś z Billem, prawda, Cassidy? - Max ubrał te słowa w formę pytania, ale tak naprawdę było to całkiem jasne polecenie.

Więc Jules odpowiedział w ten sam sposób, w jaki odpowiadał na polecenia szefa.

- Tak jest, sir. - Wyciągnął rękę do Jonesa. - Cześć, stary, jak się masz? Miło cię znowu zobaczyć.

W ten sposób Max nie był już jedynym kłamcą w pokoju.

Taak... Bill jakiś tam miał całkiem pogruchotane kostki dłoni. Poza tym na jego szczęście zaczął się formować przepiękny siniak. I co trzymał tak kurczowo lewą ręką ukryte w kieszeni marynarki?

Wszystko wskazywało na to, że nie była to ulubiona maskotka.

Ach, no i popatrzcie tam, do kosza na śmieci. Te zwitki ciemnego materiału to muszą być resztki marynarki Maksa.

Bez wątpienia podarte i zalane krwią, a wszystko przez to nieszczęsne potknięcie się o sznur od lampy.

Dobrze, że udało im się chociaż to wymyślić.

- Obawiam się, że fatygowaliście się tu na próżno - oświadczył Max, ten pełen uroku, charyzmatyczny i przyjazny Max, uśmiechając się przy tym smutno do Ulstera i Goldstein.

To było coś w rodzaju wstąpienia w inny wszechświat. Taki, gdzie pan Spock nosi brodę, a Max bywa w jowialnym humorze.

- Udało mi się przekopiować te zdjęcia na komputer - ciągnął ów uroczy Max. - Już wysłałem w je formacie jpg do naszego zespołu w Stanach, więc będziecie mieli o jedną rzecz mniej do roboty, co chyba nie powinno was zmartwić. Wiem, że Frisk przyciska was niemilosiernie i każdy pada na pysk ze zmęczenia.

Jules skierował się do okna, udając, że interesuje go widok migających wieczorem świateł miasta. Przeszedł nad potłuczoną

lampą i pochylił się w stronę szyby, by zerknąć na gwarną ulicę, przy której stał hotel.

Jego dobremu znajomemu Billowi Jonesowi wcale się nie podobało, że Jules włóczy się po pokoju. Musiał jednocześnie obserwować i Julesa, i Maksa, który wciąż kręcił się w przeciwnym końcu pomieszczenia, a to oznaczało, że gdyby zdecydował się użyć tej swojej maskotki, mógłby zastrzelić tylko jednego z nich.

Chłopak wreszcie podjął decyzję i skupił uwagę na Julesie.

Być może dlatego, że Maksa zdążył już rozbroić. Chociaż chwileczkę... Czy to pas Maksa i jego broń leżała na łóżku? Zupełnie jakby ją tam zostawił, gdy zmieniał koszulę.

Sprawa wyglądała coraz ciekawiej.

Max pogrążony był w głębokiej dyskusji z Goldie i Ulsterem; mówił coś na temat informacji, które dotarły do nich, gdy tylko analitycy przekopali się przez tysiące zdjęć z satelitów.

W odwróconym porządku chronologicznym odszukiwali ślady samochodu, który potem eksplodował w pobliżu kawiarni, aż dotarli do zaniedbanego mieszkania, gdzie miała swoją kryjówkę ta konkretna komórka terrorystyczna. Zauważyli też, że tego samego dnia rano terroryści zrobili sobie przystanek w pewnym miejscu podczas drogi na lotnisko.

- Zatrzymali się obok domu i zakładu rzemieślniczego... - Goldie zajrzała do swojego notesu, ale najwyraźniej miała problemy z odczytaniem własnych bazgrołów. Zmarszczyła brwi i odwróciła się do Ulstera. - Czy to Gretl czy Gretta?

Niech Bóg ją uchroni przed pomyłką, kiedy rozmawia z Makssem Bhagatem.

Jules mógł niejedno powiedzieć na ten temat.

On także unikał popełniania błędów w obecności Maksa. Na przykład nie powinien pozwolić, żeby niebezpieczny kryminalista, który w dodatku prawdopodobnie wie o miejscu przetrzymywania Giny, siedział z łapą w kieszeni, gdzie pewnie znajduje się naładowana broń.

- Gretta Kraus - oznajmił pewnym głosem Ulster, ale ta pewność szybko go opuściła. - Tak mi się wydaje - dodał.

W końcu Jones odwrócił się do Maksa, dając tym samym szansę Julesowi.

- Gretta Kraus? - powtórzył. - Ta fałszywa artystka?

Jules wykorzystał okazję i błyskawicznie stanął za plecami Jonesa.

Schylił się, udając, że coś podnosi z podłogi, a w tym czasie zwinnym ruchem wysunął pistolet z kabury. Wyprostował się tak, żeby nikt nie widział, co trzyma w ręku, a następnie przystanął za wyściełanym oparciem krzesła, na którym siedział Jones, i skierował lufę pistoletu prosto w jego kręgosłup.

Drugą rękę położył na szerokim, muskularnym ramieniu bandyty i zaczął spokojnie mu coś szeptać prosto do ucha. Uśmiechał się przy tym niewinnie, jakby dzielił się z kolegą jakimś drobnym sekretem lub zamierzał poskarżyć się na warunki pracy. „Uwierzysz, że ten kutasina nie da nam nawet dziesięciu minut, byśmy spokojnie mogli zjeść po kawałku pizzy?”.

- Połóż lewą rękę na biurku, przyjacielu - szepnął.

- Tak, to chodzi o Grettę Kraus zajmującą się fałszerstwami - powiedziała Goldie do Maksa. - Świetnie prosperowała, podrabiając paszporty, prawa jazdy, akty urodzenia... Zrobi wszystko, co tylko wymyślisz. No tak, z pewnością w pewnych kręgach była uważana za artystkę.

- Odpieprz się - szepnął Jones i głośniejszym głosem dodał: - Była?

Lewą rękę nadal trzymał w kieszeni.

Na ten widok Jules się wściekł. Pochylił się bliżej i szepnął do Jonesa, żeby nie śmiał nawet głębiej odetchnąć, dopóki nie położy łapy na blacie, bo on zastrzeli go jak psa, ale facet syknął tylko ze zniecierpliwieniem.

A Max, jak zwykle świadom tego, co dzieje się dookoła, poszukał wzroku Julesa i pokręcił głową. Ten ruch był prawie niezauważalny, bo Max uśmiechał się w tym czasie - tak, tak, drodzy chłopcy i dziewczęta, uśmiechał się cierpliwie - do Very Goldstein.

Najwyraźniej było to oczywiste ostrzeżenie, milczące echo słów Jonesa „odpieprz się”. Jednak Jules zastanawiał się, czy Max, który prawdopodobnie działał pod przymusem, jest w stanie podejmować właściwe decyzje.

Postanowił więc zostać na miejscu.

- Poszliśmy tam, żeby zadać parę pytań - kontynuowała tymczasem Goldie. - Ale okazało się, że wszyscy nie żyją... Gretta, jej mąż, ich synowie, nawet asystentka.

- O cholera - jęknął Jones.

- Spece od medycyny sądowej ocenili, że tamci musieli zginąć tego samego dnia, kiedy wybuchła bomba - mówiła Goldie, szukając jednocześnie czegoś w torebce. - Niestety, mieszkali w takiej okolicy, gdzie nikt nie zgłasza na policję, że słyszał strzały, a więc...

Max, kiwając głową na znak, że słucha, podsunął się do łóżka, podniósł kaburę na szelkach i ją założył. Zrozumiałeś, Jules?

Zdecydowanie tak. Ale równie dobrze Jones mógł usunąć wszystkie pociski z tego pistoletu, który Max właśnie wsunął na miejsce, po czym zapiął kaburę.

W tym czasie Goldie gadała jak najęta, przez cały czas grzebiąc w torebce o imponujących rozmiarach.

- ... Kamery w sklepie zostały oczywiście zniszczone, więc przyjęliśmy teorię, że wpadli tam terroryści, pozabijali ich i wzięli to, co ich interesowało: sfalszowane paszporty, wizy i karty identyfikacyjne. Ale potem to pomieszczenie zostało przeczesane ponownie, tym razem z pomocą elektroniki, i w ten sposób odkryliśmy jeszcze jedną kamerę... Z rodzaju tych, które stosuje się do nadzorowania niemowląt. - Triumfalnie wyjęła z torby plastikowe pudełko na biżuterię, w którym znajdowała się płyta DVD. - Nie ma co prawda dźwięku, ale obraz jest bardzo wyraźny. Zrobiliśmy dla pana kopię cyfrowego nagrania, sir, żeby nie musiał się pan przedzierać z powrotem do centrum, by to zobaczyć.

- Dziękuję. - Max wyciągnął do niej rękę, cały czas przesuwał się w stronę wyjścia na korytarz. Potrafił całkiem jasno dawać do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca, choć zwykle załatwiał takie sprawy związłym: „Zamknij za sobą drzwi”. - Chętnie przyjrzę się temu później...

Jednak Ulster nie miał zamiaru tak łatwo ustąpić.

- Nie, sir... Przepraszam, ale chyba nie dość jasno wszystko wyjaśniliśmy...

Mówiąc to, rzucił na swoją partnerkę dość wymowne spojrzenie typu „ty idiotko”, czym kompletnie rozwiął złudzenia, że używając zaimka „my”, chciał wspaniałomyślnie wziąć na siebie część winy.

- Nie mamy oczywiście pewności, ale zdaje się, że pańska... hm... przyjaciółka, Gina, i jej towarzyszka podróży miały... hm...

- Miały jakieś niejasne powiązania z Grettą Kraus - skończyła za niego Goldie. - To chyba ostatnia rzecz, jaką chciałby pan usłyszeć, sir, ale z tego nagrania wynika... - popukała w płytę DVD - ... że były

w pracowni Gretty, kiedy przyjechali terroryści. Ledwie uszły z tego z życiem.

- O cholera. - Jones powtarzał te słowa jak mantrę.

Szczęśliwy Max gdzieś zniknął. Jego sobowtór wziął płytę i położył ją na biurku, podczas gdy Jones włączał komputer.

- Na litość boską, dlaczego w ogóle poszły do Gretty Kraus? - jęknął Max.

Jones zachował milczenie, choć dla Julesa oczywiste było, że kto jak kto, ale akurat on zna odpowiedź na to pytanie.

- Mieliliśmy nadzieję, że może pan wie coś na ten temat - rzekł Ulster, spoglądając na Maksa.

Na monitorze pojawił się obraz, więc obaj, Max i Jones, pochylili się nad biurkiem. Jules widział wszystko ponad szerokimi barkami Jonesa.

Max, ten prawdziwy Max, który niewielkim napięciem mięśni potrafił zmieniać węgiel w diamenty, wykorzystał okazję, żeby przez zaciśnięte zęby szepnąć wprost do ucha Jonesa:

- Zabiję cię, ty draniu. Tym razem zrobię to wolniej i dokładniej, więc...

Ale w tym momencie stanęła za nimi Goldie, więc reszta groźby pozostała niedopowiedziana. Tym razem? Jules mógł tylko domyślać się, co to oznaczało.

Agentka wyjęła z torebki pióro, żeby wskazywać nim pewne szczegóły nagrania. Na monitorze pojawił się statyczny obraz wnętrza, na pierwszy rzut oka przypominającego studio architektoniczne. Deski kreślarskie, taborety, równe ściany, jaskrawe kolory, cięte kwiaty w ceramicznych wazonach... Wszystko to wyglądało jak eleganckie wnętrze żywcem wyjęte z katalogu Ikei. Goldie popukała piórem w monitor.

- To jest Gretta.

Gretta nie przypominała odpychającego fałszerza z jakiegoś hollywoodzkiego horroru, w grubych okularach i z rękoma poplamionymi atramentem, ani żeńskiej wersji Jamesa Bonda w opiętym kombinezonie i z włosami do pasa. Wyglądała jak stuprocentowa niemiecka gospodyni. Takie pięćdziesięcioletnie czupiradło. To dobrze dla niej, że nie odpowiadała tamtym standardom.

Choć momencik... Chyba nie tak do końca dobrze, biorąc pod uwagę, że oglądali kilka ostatnich minut jej życia. Właśnie za chwilę miała zostać najnowszą modelką na plakatach pod tytułem „Przestępstwo nie popłaca”.

- A to jej mąż i synowie. - Pióro Goldie powędrowało w kierunku trzech mężczyzn pochylonych nad komputerem tak samo jak teraz Max, Jones i Jules. No, może jedynie różniło ich to, że Max, Jones i Jules mieli po komplecie własnych zębów, podczas gdy na filmie najstarszy z panów wyjął sztuczną szczękę i położył ją na talerzu obok czegoś, co wyglądem przypominało pączek.

Pfuj.

W pole widzenia weszła jakaś dziewczyna.

- Asystentka Gretty - wyjaśniła Goldie. - Popatrzcie na pana Krausa, kiedy ona będzie wprowadzała tamte kobiety. Dokądś dzwoni.

Na ekranie znów pojawiła się asystentka, a za nią... Tak, zdecydowanie to była Gina, uroczą w krótkich włosach, obok niej szła jakaś inna kobieta. I rzeczywiście, pan Kraus rzucił na nie okiem znad komputera, a potem wsunął na miejsce sztuczną szczękę i wziął do ręki słuchawkę.

Jules patrzył w milczeniu, za to Max i Jones wyraźnie się spięli, a Jones dodatkowo kłął pod nosem jak szewc.

- To ona - oznajmił Max Goldie i Ulsterowi, za wszelką cenę starając się wskrzesić szczęśliwego Maksa, co tym razem nie bardzo mu się udało. - Gina, a to jej przyjaciółka, Molly Anderson. - Zerknął na Julesa. - Znana także jako żona Lesliego Pollarda. Zdaje się, że wyszła za niego całkiem niedawno. Kiedy to było dokładnie... Nie pamiętasz, Bill, co mówił nam na ten temat ojciec Sodano?

- Jakież cztery miesiące temu - odpowiedział Jones napiętym ze zdenerwowania głosem, nie odrywając oczu od monitora.

Jules w końcu się cofnął, bo nareszcie do niego dotarło, o co tu chodzi. Jones był tak samo jak Max osobiście zainteresowany odnalezieniem Giny i Molly. I z różnych powodów - przede wszystkim dlatego, że facet zostałby natychmiast powalony na podłogę, skuty kajdankami i pierwszym transportem odesłany do Stanów - Max nie był skłonny do ujawnienia prawdziwej tożsamości tego osobnika Ulsterowi i Goldie.

Jednakże Jules na dowód zaufania został dopuszczony do poznania prawdy. Udał, że swędzi go coś pod pachą, i zgrabnie wsunął pistolet do kabury.

Na filmie Molly sprawiała wrażenie zalanej. Posągowa rudowłosa piękność, której odzienie i gesty przywodziły na myśl reklamę chrupków śniadaniowych Unicef Mama, gadała jak najęta, lecz Gretta nie przestawała kręcić głową.

- Przykro mi - odczytali z ruchu jej warg. - Nein. Nie.

Gina stała obok, tuląc do siebie swój zmyślny ergonomiczny plecak, jakby chciała być gdzieś daleko stąd.

Jules nie mógł się wręcz doczekać, kiedy się dowie, co one tam robiły. Chociaż podejrzewał, że gdyby zadał pytanie: „Kto z obecnych tu potrzebuje podrobionego paszportu i fałszywej karty identyfikacyjnej?”, tylko jedna osoba podniosłaby pokaleczoną rękę.

Lecz jakim trzeba być łajdakiem, żeby z własnej woli posłać dwie bezbronne kobiety do kryjówki bandytów?

Jules przewidywał, że zaraz po tym jak Max pozbędzie się Ulstera i Goldie, znowu ktoś - a także ktoś drugi - zapłacze się w sznur od lampy.

Molly nie rezygnowała, tylko przez cały czas tłumaczyła coś Gretcie. Jules pożałował, że na tym nagraniu nie ma ścieżki dźwiękowej. Wyobrażał sobie, jak bardzo sfrustrowany musi być Max.

Wreszcie Gretta najwyraźniej wpadła w szal. Wyciągnęła z szafy jakąś teczkę i rzuciła ją na biurko, gestykulując przy tym gwałtownie w stronę Molly.

Może Jules dał się ponieść własnej wyobraźni, ale z ruchu ust Gretty wyczytał pytanie zadane oczywiście po niemiecku: „No i kto mi za to zapłaci? Co? Kto zapłaci?”.

„To” oznaczało zapewne mistrzowską podróbkę znajdującą się w leżącej na biurku teczce. Cokolwiek to było, znajdowało się poza zasięgiem kamery. Jules zgadywał, że chodzi o paszport. I gotów był założyć się o duże pieniądze, że zdjęcie w tym paszporcie do złudzenia przypominało faceta, który siedział tuż przed nim.

Nazwisko w paszporcie mogło być dowolne. Oczywiście poza Morantem, Jonesem czy Pollardem.

„Bill” zdążył już wyekspluatować wymienione wyżej nazwiska, więc z pewnością tym razem wymyślił coś całkiem nowego.

Nazwisko, które nie znajduje się na niczyjej Liście Najbardziej Poszukiwanych.

Na monitorze Gina zaczęła szukać czegoś w plecaku. Otworzyła portfel i po krótkiej sprzeczce z Molly wręczyła Gretcie... kartę kredytową?

Jeszcze większym absurdem zdawało się to, że Gretta ją przyjęła. Zniknęła z pola widzenia kamery, a Gina i Molly przysunęły się bliżej i wróciły do przerwanej wymiany zdań.

- NTS International - mruknął Max.

Oczywiście. To było owa tajemnicza transakcja, która obciążyła kartę Giny dwudziestoma tysiącami dolarów. NTS International było czasową przykrywką dla nielegalnej i niezwykle lukratywnej działalności Gretty Kraus. Nic dziwnego, że policja nie mogła wpaść na jej ślad.

- Teraz jej mąż odbiera telefon, prawdopodobnie ze sklepu - zwróciła uwagę Goldie. Rzeczywiście, widoczny na drugim planie pan Kraus podniósł słuchawkę. Ciekawe, czy przypadkiem ten gość nie miał na imię Klaus? - A teraz wychodzi i...

Pan Kraus wrócił do warsztatu w towarzystwie pewnego mężczyzny, mniej więcej pięćdziesięcioletniego, przeciętnej budowy ciała i przeciętnego wzrostu, o ciemnych włosach i z wąsami.

Jules nigdy wcześniej go nie widział, ale Gina i Molly wyraźnie go rozpoznały. Cofnęły się o krok, jakby budził w nich strach.

- Skurwysyn! - wykrzyknął Jones widocznie znudzony powtarzaniem w kółko „o cholera”. - To chyba jest nasz człowiek, a te dupki tak po prostu wpuściły go do środka.

- Znasz go? - spytał go Max.

Jones żył jeszcze chyba wyłącznie dlatego, że Maksowi dotąd nie udało się pozbyć agentów Friska.

- Nie. A ty?

- Też nie. Kiedy obecni w studiu Gretty zaczęli bezgłośnie gadać jeden przez drugiego, ów tajemniczy mężczyzna od niechcienia wyjął pistolet. Nikomu nim nie wygrażał, ale mimo to widok broni zmienił strach w przerażenie.

I wtedy Gretta Kraus włączyła się w dyskusję, a Gina dyskretnie wysunęła się przed Molly.

Tym razem Max zaczął kłąć jak szewc. Ze złością odwrócił się do Goldie.

- Zidentyfikowaliście go?

- Jeszcze nie - odpowiedziała. - Ta sprawa została uznana za drugorzędną, ponieważ nie wydawało nam się, żeby w jakikolwiek sposób był powiązany z terrorystami... Proszę popatrzeć, gdzie Gina wsadza paszport - do portfela. Spójrzcie teraz, opiera się o biurko Gretty i...

Obiektyw kamery znów skierował się w tamtą stronę i zobaczyli, jak Gina wsuwa swój portfel - solidny, z brązowej skóry - pod stertę papierów rozrzuconych na biurku.

Może starała się ukryć swoją tożsamość. Albo sądziła, że bez dokumentów nie dadzą rady wywieźć jej za granicę.

- Paszport Molly też tam był - powiedział Jones, a potem podniósł wzrok na Goldie i pospiesznie dodał: - Tak mi się wydaje. Nie widzę, że by nosiła jakąś torebkę czy coś w tym rodzaju, więc pomyślałem...

- Uważajcie, zaraz zacznie się strzelanina - wtrącił Jim Ulster.

Nagle towarzystwo zebrane w studiu Gretty podskoczyło nerwowo, jakby z drugiego pomieszczenia doleciał jakiś okropny hałas.

Stojąca tuż obok Giny Gretta osunęła się ciężko na podłogę zalana własną krwią.

- O Boże. - Max wciągnął gwałtownie powietrze, bez wątpienia zauważając przerażenie na twarzy Giny.

Najwyraźniej nie miała pojęcia, co tak naprawdę się wydarzyło, i dalej stała bez ruchu.

Dookoła niej pokój eksplodował, pociski uderzały w otynkowane na biało ściany, w lampy, w wazony z kwiatami... A mężczyzna z wąsami, który przed chwilą powalił Molly, pociągnął ją na podłogę.

W drugim końcu pokoju dwaj młodszy Krausowie złapali za broń - chyba były to jakieś podróbki wojskowych pistoletów maszynowych - i próbowali odeprzeć atak. Ale nieznajomy nie tracił ani sekundy na strzelanie. Krzyknął coś do Giny, którą cały czas trzymał za nadgarstek, a ona natychmiast złapała za rękę Molly. Wtedy pociągnął je obie za sobą, aż zniknęły z pola widzenia kamery.

- Tylne wyjście znajduje się tuż za kamerą, na monitorze po lewej stronie - wyjaśnił Ulster, kiedy młodzi Krausowie padli na podłogę, podziurawieni jak sito.

- Ktokolwiek to był, bez wątpienia ocalił życie Ginie i jej przyjaciółce - zauważyła Goldie.

Być może. Ale dla Julesa było oczywiste, że Max raczej nie przyznałby wąsaczowi medalu za odwagę.

Goldie wyciągnęła rękę i nacisnęła pauzę.

- Reszta materiału jest o tym, jak terroryści niszczą studio i szukają paszportów - powiedziała Goldie. - Znaleźli na biurku portfel Giny... Teraz wiadomo, w jaki sposób weszli w jego posiadanie. Tak samo to tłumaczy, dlaczego ktoś kupił na jej nazwisko bilet lotniczy w jedną stronę i zapłacił jej kartą kredytową. Nie jest już podejrzana o to, że była łączniczką terrorystów.

Czy ci kretyni naprawdę sądzili, że Gina...? Jules prychnął z oburzeniem, choć świetnie wiedział, że ich zadaniem jest brać pod uwagę wszystkie możliwości.

- Chcę wiedzieć, kim jest ten facet - zarządził Max. - Przesuńcie tę sprawę na wyższe miejsce na liście priorytetów. Przepraszam na chwilę - dodał, bo zadzwonił jego telefon.

Odwrócił się, żeby porozmawiać, ale w tym momencie zabrzączał także telefon Julesa.

Kiedy sięgał do kieszeni, rozdzwoniły się komórki Ulstera i Goldie.

To nie był dobry znak. Czwooro agentów i do wszystkich dzwonią w tej samej chwili?

Musiało wydarzyć się coś naprawdę poważnego: zamach na życie prezydenta, uszkodzenie reaktora jądrowego albo...

- Psiakrew! - tym okrzykiem powrócił do życia prawdziwy Max pełen siły. - Nie odbieraj tego, Cassidy! - warknął, uprzednio nacisnąwszy klawisz „mute”.

... albo atak terrorystyczny.

Jules trzymał w ręku swój telefon. Rozpoznał numer dzwoniącego.

- To Yashi - poinformował Maksa.

Z centrali w D.C. Max tymczasem wrócił do przerwanej rozmowy.

- Proszę powtórzyć - powiedział do słuchawki. - Bardzo źle cię słyszę.

- O mój Boże... - usłyszał jęk Goldie. - Tak jest, natychmiast. Oczywiście, madam. Tak, madam.

- Co zrobili?! - Ulster wydawał się tak samo zestresowany. Palcem zatykał jedno ucho, żeby lepiej słyszeć. - O cholera! Tak jest, w porządku. Zaraz tam będziemy.

Jezu, to nie mógł być jakiś drobiazg.

- Co się dzieje? - spytał Jones, kiedy tylko Ulster skończył rozmowę.

- Musimy iść - rzucił Ulster. - Mamy w powietrzu przynajmniej trzy samoloty pasażerskie, z których nadano sygnał SOS. Agenci na pokładach zapobiegli co prawda porwaniom maszyn, ale uważają, że znajdują się tam bomby, które eksplodują przy próbie lądowania.

- Został również odkryty plan serii wybuchów brudnych bomb na terenie Stanów i w kilku miastach europejskich. - Goldie złapała swoją torbę i skierowała się ku drzwiom. - Udało się zlokalizować trzy z nich, ale przynajmniej jeszcze dwie są gdzieś ukryte.

- Chyba mam jakieś kłopoty z połączeniem - powiedział Max do swojego rozmówcy. - Wcale cię nie słyszę. Spróbuj zadzwonić jeszcze raz.

Skończył rozmowę, a Ulster i Goldie zatrzymali się przy drzwiach, czekając na pozwolenie odejścia.

- Idźcie. - Machnął ręką w ich stronę. - Jules!

- Tak, sir?

- Słyszałeś, co się dzieje?

- Tak jest, sir.

Wszystko wskazywało na to, że znaleźli się w obliczu globalnego ataku terrorystycznego. Tego, o którym mówiło się, że nadejdzie - i tym razem byli na niego przygotowani. Najwyraźniej udało się zapobiec większości akcji, a teraz mieli za zadanie powstrzymać resztę.

- Ten telefon, którego nie odebrałeś... - powiedział Max ponuro. - Z pewnością był to ktoś, kto każe ci zbierać dupę w troki i wracać do Nowego Jorku. Kiedy oddzwonisz, powiedzą, żebyś złapał samolot wojskowy, ponieważ wszystkie cywilne lotniska w Stanach zostały zamknięte.

Słodki Jezu!

- Wszystkie?!

- Taak... Ja nie wracam - oznajmił Max. - Z oczywistych względów. Moje zadania przejmie Peggy Ryan, mam do niej pełne zaufanie. Zresztą mam zaufanie do całego zespołu. Do ciebie też. Ale

wiem, że ty i Peggy żyjecie jak pies z kotem... Więc powiedz, dokąd mam cię wysłać, i tam pojedziesz. Jako szef zespołu. W końcu Peggy musi się do ciebie przyzwyczaić.

Co takiego?!

- Przepraszam, sir, ale zabrzmiało to tak, jakby pan nie zamierzał już tam wracać.

Max tylko skinął głową.

- Owszem.

Cholera.

Cholera!

Jules nie spodziewał się, że Max go poprosi, by został i pomógł w poszukiwaniach Giny i Molly. Przynajmniej nie w aż tylu słowach. Ale też nie oczekiwał czegoś w stylu „powiedz mi, dokąd chcesz pojechać”, co znaczyło mniej więcej „życzę ci wszystkiego najlepszego”.

Chociaż to wcale nie świadczyło, że Jules nie może zostać tu w charakterze wolontariusza. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, ilu ludzi potrzeba, by uwolnić zakładników. Ale jeżeli Max sądził, że Jules zdoła sprowadzić mu tutaj dowolną jednostkę sił specjalnych, na przykład Grupę Szesnąstą SEAL, żeby pomogła uratować Ginę i Molly... No cóż, będzie zmuszony przemyśleć to jeszcze raz.

Tamci chłopcy będą nieco zajęci w ciągu następnych kilku dni, bo właśnie do nich należy ratowanie świata i tak dalej.

Tylko co z tego wynikało? Co? Ano to, że Max i ten, jak mu tam... no, Jones, będą osamotnieni w chwili, gdy zaczną dobijać się do drzwi porywaczy.

- Boże, wie pan przecież, jak nie znoszę Peggy Ryan - powiedział do Maksa. - Jest gorsza niż wrzód na dupie. Jeśli panu wszystko jedno, gdzie będę, sir, to wolałbym dalej robić to, co robię, czyli pomagać panu w tej sprawie. Bo nawet jeśli cały świat stanie w ogniu, to nie oznacza, że dwie porwane kobiety zupełnie się nie liczą. Potrzebują ratunku, więc spieszmy je ratować.

Max pokręcił głową.

- To, co zdarzy się w ciągu następnych kilku dni, będzie początkiem wielu karier - zauważył.

Jules przez kilka sekund patrzył na niego w milczeniu.

- Muszę szczerze powiedzieć, że to chyba najbardziej obraźliwa rzecz, jaką kiedykolwiek od pana usłyszałem.

Max ani trochę się nie zawstydził, jakkolwiek jego nos nieco poczerwieniał.

- Ale przez to nie jest ani trochę mniej prawdziwa - odparł.

Jones alias Grady Morant przyglądał im się, nie ruszając się z za biurka. Jednak teraz, kiedy komediowy zespół Ulster i Goldstein opuścił już budynek, lewa ręka Jonesa spoczywała na blacie.

- Dlaczego? - zwrócił się do niego Jules. - Dlaczego Max nie może popatrzeć mi prosto w oczy i powiedzieć, żebym został, że potrzebuje mojej pomocy.

Jones wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie jestem tym... no wiesz... gejem.

Te słowa tak zaskoczyły Julesa, że wybuchnął śmiechem.

- A co to ma wspólnego z...? Czy Jones myślał...?

Okay. Najwyraźniej z tej strony można było nie oczekiwać pomocy. Jones wstał z krzesła.

- Czy możemy się wreszcie stąd wynieść? Musimy pomyśleć, jak się teraz dostać do Dżakarty, jeśli naprawdę wszystkie lotniska zostały zamknięte...

Komórka Julesa znowu zaczęła dzwonić. Jules odwrócił się do Maksa.

- Powiedział pan, żebym wybrał, dokąd chcę jechać, i ja panu powie działem. Co jeszcze muszę teraz zrobić?

Max przez chwilę nad czymś się zastanawiał. W końcu skinął głową.

- Odbierz to - polecił. - I powiedz Yashiemu, że mianowałem cię szefem zespołu... Że prowadzisz śledztwo w sprawie porwania dwóch zakładniczek i potrzebujesz trzech miejsc na najbliższy lot do Indonezji. W wojskowym albo cywilnym samolocie. To nie ma znaczenia, jeśli tylko pozwolą ci zabrać na pokład dwóch pasażerów.

- Ja prowadzę śledztwo? A pan co? Jest moim asystentem? - Jules zaśmiał się, ale Max się nie przyłączył. - Hej, hej! Chwileczkę, sir! Ja...

- Powiedz mu - Max wszedł mu w słowo - że jesteś szefem zespołu i ja na twoje ręce złożyłem rezygnację, a ty ją przyjąłeś.

Co?!

Natrętne brzęczenie komórki zaczęło doprowadzać go do szału. Jules w końcu nie wytrzymał.

- Yash, za chwilę do ciebie zadzwonię - zawołał do słuchawki i rozłączył się. - Proszę o wybaczenie, sir, ale o co tu chodzi, do diabła?

- Nie mogę prowadzić tej sprawy - powiedział cicho Max. - Nie mogę brać udziału w żadnym oficjalnym śledztwie. Gina jest moją... moją dziewczyną.

Całkiem możliwe, że po raz pierwszy powiedział o niej w ten sposób. Prawie się udławił, wypowiadając to słowo.

Lecz zanim Jules pozwolił sobie na jakiś żarcik na ten temat - co to za głupie słowo, żeby prawie się na nim udusić, zresztą Gina nie była żadną dziewczyną, a poza tym nie widział jej od ponad półtora roku. Max znowu się odezwał.

- Ona jest dla mnie wszystkim - szepnął. - Jest całym moim życiem. Bez niej...

Nie kończąc zdania, pokręcił głową.

A Jules aż drgnął, zobaczywszy, że Max ma łzy w oczach. Co prawda widział, jak ten człowiek płacze, kiedy przekonał się, że Gina żyje, ale to była całkiem inna sprawa. Natomiast teraz...

- Wszystko bym poświęcił, żeby ją ratować - przyznał Max. - Twoją karierę także, Cassidy. Więc dobrze, powiem to głośno. Chcę, żebyś tu został i pomógł mi ją odszukać.

Jules nawet się nie zastanawiał.

- Przyjmuję tę propozycję - oznajmił. - I przyjmuję pańską... No, wie pan co.

Rezygnację. To słowo nie chciało mu przejść przez gardło. Max skinął głową.

- Zadzwon do Yashiego - polecił. - Ja spakuję laptopa, żebyśmy mogli kontaktować się z porywaczem. Nazwał się E. Napiszemy do niego maila. Zresztą on już nawiązał kontakt z Morantem za pośrednictwem specjalnego konta. Chcę od niego zażądać dodatkowego dowodu, że one żyją. Wysłał nam zdjęcie, ale ja chcę kontaktu telefonicznego. Och, jeszcze chyba powinienem cię uświadomić, że zawarłem z panem Morantem pewną umowę. Nie tkniemy go palcem, dopóki Gina i Molly nie znajdą się w bezpiecznym miejscu. Potem będzie do naszej dyspozycji. To znaczy do twojej dyspozycji - poprawił się.

- Chyba we śnie - prychnął Jules, wybierając numer Yashiego. - Bo jak pan wie, ten gość nie jest gejem.

Jones zupełnie go zignorował.

- Wiem, że na to raczej nie ma szans, ale powinniśmy zdobyć wszelkie możliwe informacje na temat obu kont mailowych, jego i tego, które założył dla mnie. Może w ten sposób uda się nam namierzyć faceta - powiedział.

- Okay - odparł Jules.

Postanowił też sprawdzić, czy biuro w D.C. dysponuje jeszcze kimś, kto nie otrzymał żadnego zadania, choć wydawało się to całkowicie nieprawdopodobne. Peggy Ryan nie będzie za nim tęsknić, co do tego nie miał wątpliwości, ale wiedział także, że raczej nie będzie skłonna wysyłać na drugi koniec świata kogoś z pracowników w sytuacji, gdy być może gdzieś w stolicy została ukryta brudna bomba.

Ale może w zespole znajdował się ktoś, kogo podejrzewała o homoseksualizm.

Zaczął nagrywać wiadomość na pocztę głosową Yashiego, lecz komórka zabrzęczała, sygnalizując kolejne połączenie. Tym razem była to Peggy Ryan. Wspaniale. Więc będzie miał okazję bezpośrednio porozmawiać z najgorszą wiedźmą na całym Zachodzie.

Spodziewał się, że dyskretny podtekst jej wypowiedzi będzie wyglądał mniej więcej tak: „Dobrze, jedź więc sobie do Indonezji, tysiące mil ode mnie i od ważnych konferencji prasowych, w których będę brać udział”.

Tak samo bez trudu wyobrażał sobie jej ledwie skrywane rozbawienie, że oto w końcu doczekał się mianowania na szefa zespołu agentów, tyle że bez zespołu.

- Cześć, Peg - powiedział do słuchawki, obserwując jednocześnie, jak Jones zwija przewód od laptopa i podaje Maksowi, który chował komputer do torby.

Kto powiedział, że Jules nie ma prawdziwego zespołu, którym będzie dowodził? To był nie tylko prawdziwy zespół, lecz wręcz dream team.

Chwileczkę, ten komputer stanowił własność hotelu. Max właśnie sobie o tym przypomniał, jedynie Jones nie przejmował się takimi drobiazgami. Tak czy inaczej miał zamiar go zabrać, bo laptop w każdej chwili mógł być im potrzebny.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, Max złapał Jonesa za koszulę i przycisnął do ściany.

- Zaczekaj moment - Jules przerwał zwięzłą listę poleceń, jaką właśnie przekazywała mu Peggy i nacisnął klawisz „mute”. - Zostaw go - rozkazał Maksowi.

Max nawet nie drgnął.

- Ten skurwysyn wysłał swoją żonę i Ginę, żeby przywiozły mu nowy paszport od...

- Wcale nie - zaprzeczył gorąco Jones. - Wcale nie kazałem im tam jechać.

- Och, naprawdę? Więc po co Gina i Molly poleciały do Hamburga? Na zakupy?

Istniało poważne niebezpieczeństwo, że cały zespół Julesa znów rozbije sobie nosy, zaczepiwszy się o ten cholerny sznur od lampy.

- Cofnij się - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Już. Najpierw skończę rozmawiać z Peggy, a potem zajmiemy się waszymi problemami.

Max nie zareagował. Dalej nie zwalniał uchwytu.

- To nie była uprzejma prośba, Max.

I stał się cud nad cudami, Max wykonał polecenie. Posłusznie puścił Jonesa i nawet za bardzo go przy tym nie szturchnął.

Stali teraz, spoglądając na siebie z nieukrywanym obrzydzeniem. Jules wrócił do przerwanej rozmowy.

- Przepraszam, Peg. Mów dalej.

Całkiem możliwe, że nazwanie tych dwóch dream teamem było grubą przesadą.

Rozdział Dwunasty
Wyspa Meda, Indonezja
Dokładna data: nieznana
Dzień dzisiejszy

Molly zmrużyła oczy w jaskrawym świetle, kiedy otwarto wreszcie metalową skrzynię, w której podróżowały z Gina przez piętnaście godzin.

Świeże powietrze było prawdziwym darem niebios, więc obie wciągały je w płuca pełnymi haustami.

Ich porywacz przywołał na twarz przepraszający uśmiech, czym prędzej przyciskając do nosa czystą chusteczkę.

- Widzę, że pieluchomajtki nie sprawdziły się tak dobrze, jak się spodziewałem.

- Owszem - warknęła Gina. - Zupełnie się nie sprawdziły. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że w ostatniej fazie podróży dopadła ją choroba morska.

- No cóż, zawsze warto spróbować - oświadczył beztrąsko.

Przystrzyżony i elegancki, z lekko siwiejącymi skroniami, Włoch, który pod groźbą pistoletu wpakował je do tej skrzyni, posługiwał się nienaganną angielszczyzną, z ledwie słyszalnym obcym akcentem. Podobnie jak w Hamburgu był wręcz uprzedzająco grzeczny.

- Moja przyjaciółka jest chora - powiedziała Gina. - Potrzebuje gin - ger ale albo coli... Czegoś, co uspokoiłoby jej żołądek.

Molly zaczęły już przechodzić mdłości, ale była tak głodna, że aż kręciło jej się w głowie. To stanowczo nie było dobre połączenie. Prawdziwy cud, że ona także nie zaczęła wymiotować. Oczywiście jeszcze wszystko mogło się zdarzyć.

Czuła się tak oszołomiona, że nie potrafiła stwierdzić, czy facet tylko przedrzeźnia Ginę, czy też naprawdę mówi to, co myśli. Z drugiej strony trudno ufać człowiekowi, który pakuje dwie dorosłe kobiety do kontenera i wysyła na morze...

Molly nie miała pojęcia, gdzie się obie znajdują, wiedziała tylko, że jest tu znacznie cieplej niż w Niemczech. I że słońce świeci jaśniej, choć światło, które zmuszało je do mrużenia oczu, pochodziło z nagiej żarówki zwisającej pod sufitem.

Jakiś inny mężczyzna, młodszy, o ciemniejszej cerze i bardziej krępy niż ich porywacz, stał z boku i przyglądał się, wymachując trzymanym w ręku łomem, którym wyważył wieko skrzyni, podczas

gdy Molly pomagała Ginie podnieść się z podłogi. A może to Gina pomagała Molly, bo trudno było ocenić, która z nich pewniej stała na własnych nogach.

Starszy mężczyzna odezwał się ostro do młodszego w języku, który w brzmieniu przypominał włoski, bez wątpienia kazał mu uważać na samochód zaparkowany obok. Była to ciemnoniebieska impala pamiętająca czasy, kiedy więcej oznaczało lepiej. Jak na swój wiek wóz był w doskonałej kondycji, podobnie jak jego właściciel.

- Musimy wziąć prysznic i przebrać się - powiedziała Molly z taką godnością, na jaką tylko mogła się zdobyć w tych okolicznościach.

Znajdowały się w garażu bez okien i z betonową podłogą. W betonie Molly spostrzegła kawałki połamanych muszelek i przypomniało jej się, że w podobny sposób przygotowywano zaprawę na Parwati...

- Dobrze się czujesz? - usłyszała szept Giny.

- Jakoś żyję - odparła w ten sam sposób.

Oprócz tego, że wszystko się jej przelewało w żołądku, Molly potwornie bolały pięty, gdyż ciągle kopała w metalowe ściany ich więzienia, by zwrócić na siebie czyjąś uwagę. Poza tym ochrypla od wołania o pomoc.

Ale nikt jej nie usłyszał. Przynajmniej nikt, kogo by to obchodziło.

Starszy mężczyzna zaprowadził je do domu; szły długim korytarzem, aż znalazły się w całkiem ładnym pokoju. Stało tam olbrzymie łóżko, kanapa na bambusowych nóżkach i nawet telewizor, choć jakie były szanse, że w ogóle działał?

Przez otwarte drzwi widać było nowocześnie urządzoną łazienkę wyłożoną białymi kafelkami i z chromowanymi kranami.

W pokoju działała klimatyzacja i dzięki Bogu było tam chłodno. Ogólnie całość sprawiała miłsze wrażenie niż niejeden hotelowy pokój, w którym Molly dotąd się zatrzymywała... Tyle że nie rozciągał się z niego żaden widok.

Bezpornie wynikało to z faktu, że wewnątrz nie było ani jednego okna.

- Jeśli położycie ubrania za drzwiami, to moja synowa je upierze - powiedział porywacz, a następnie skłonił się statecznie i zamknął za sobą drzwi.

Czy to możliwe, że nie przekręcił klucza w zamku?

Gina widocznie pomyślała o tym samym, bo na palcach podeszła do wyjścia i nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły.

Młody mężczyzna, którego widziały w garażu, stał na straży w głębi korytarza. Ciągle dzierżył w ręku łom.

Gina szybko zamknęła drzwi.

- Okay - mruknęła głośno. - Okay...

Odsunęła się od drzwi i ściszyła głos do szeptu. Najwyraźniej czuła się już lepiej.

Molly chciałaby powiedzieć to samo o sobie.

- Więc jest ich troje - szeptała Gina. - Widzieliśmy dotąd tylko dwóch facetów, ale on wspomniał o kimś trzecim... O swojej synowej. Jak dotąd zauważyłam tylko jeden pistolet, a i tak nie widziałam, żeby ostatnio miał go przy sobie... Musimy tylko przygotować jakiś plan, zanim oni tu wrócą... Na przykład poproszę tego z łomem o pomoc. Powiem, że zepsuła się spłuczka w toalecie, a kiedy on tu wejdzie, damy mu w łeb.

Podbiegła do łóżka i odrzuciła narzutę, żeby przyjrzeć się metalowej ramie.

- Musimy spróbować stąd uciec - dokończyła. - I to teraz, zanim zjawi się tu reszta bandy.

Głos Giny stawał się coraz słabszy i słabszy, jakby mówiła z jakiejś wielkiej odległości, a nie siedziała tuż obok Molly. To chyba nie zapowiadało niczego dobrego.

- Pomóż mi, dobrze? - poprosiła Gina, starając się ruszyć materac.

Molly próbowała podejść w jej stronę, ale skończyło się na tym, że opadła na łóżko. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Och, to naprawdę bardzo mi pomogło - zauważyła z przekąsem Gina, po czym spojrzała na przyjaciółkę. - Molly! - zawołała z przerażeniem. - Dobrze się czujesz?

Nagle Molly poczuła pod policzkiem przyjemną szorstkość prześcieradła. Jak to się stało? Zdziwiła się.

- Ja tylko... na chwilę zamknę oczy... - wyszeptała. - Tylko na sekundę... Czy możemy... uciec stąd... trochę później...

Baza Sił Powietrznych Ramstein, Niemcy

22 czerwca 2005

Dzień dzisiejszy

Jules Cassidy zarządził krótką przerwę w czasie jazdy do Bazy Sił Powietrznych Ramstein.

Ta sytuacja przypomniła Maksowi, jak jego ojciec robił przerwy podczas długich rodzinnych wycieczek. Max siedział wówczas z tyłu samochodu, pomiędzy siostrą i bratem; nie tylko dlatego że był najmłodszy, ale również dlatego że potrafił żyć w zgodzie z każdym z nich. Gdyby przyszło im do głowy się pobić, musieliby robić to nad jego głową. Choć, prawdę mówiąc, zdarzyło się kilka nieprzyjemnych momentów, kiedy tamci zjednoczyli siły i sprzysięgli się przeciw niemu. I zwykle w takich chwilach ojciec żądał, żeby natychmiast zamilkli.

Zupełnie tak samo jak Jules Cassidy, kiedy wychodzili z hotelu.

Po drodze do bazy zatrzymali się tylko dwukrotnie: żeby zabrać z wypożyczalni samochód, którym mieli jechać, i żeby zrobić zakupy w centrum handlowym.

Jako odpowiedzialny szef Jules musiał być pewien, że jego zespół jest odpowiednio - i całkowicie - wyekwipowany. Złapał z półki pierwszą parę dżinsów, nie pytając nawet Maksa o rozmiar. Najwidoczniej znał jego upodobania, łącznie ze stylem ubrań i marką.

Jeszcze para tenisówek - i znów wiedział, do jakiego regalu podejść - oraz lekka kurtka i z powrotem znaleźli się w samochodzie zmierzającym do celu podróży.

Było już dobrze po północy, gdy dotarli na miejsce, i dopiero wtedy Jules pozwolił Maksowi i Morantowi odzywać się do siebie.

Najpierw jednak zameldowali się w bazie, by upewnić się, że mają jeszcze godzinę do wejścia na pokład samolotu lecącego do Indonezji. Potem Jules zaprowadził ich na jakiś leżący z boku skrawek asfaltu, gdzie nikt nie mógł ich przypadkiem podsłuchać.

- Kto zaczyna? - spytał, kołysząc się na piętach jak sędzia na ringu.

Grady Morant alias Dave Jones podniósł rękę, ale nie od razu się odezwał. Najpierw rozejrzał się dookoła, dokładnie lustrując to, co działo się na płycie lotniska. Robił to automatycznie, jakby miał to we krwi.

Tak samo postąpił Max. Wiedział, że kiedy wejdą do terminalu, obaj skierują się do tego samego fotela; tego, który stoi tyłem do ściany, bo stamtąd najłatwiej dostrzec każdego, kto przechodzi lub się zbliża.

On i Morant mieli ze sobą wiele wspólnego.

Poza tym że Max nie zszedł na drogę przestępstwa.

W końcu Morant chrząknął, a potem zaskoczył ich zupełnie nieoczekiwanym przyznaniem się do winy.

- Posłuchaj, wiem, że to przeze mnie i tylko przeze mnie Molly i Gina znalazły się w opałach... - Wziął głęboki oddech. - Ale...

Okay, wreszcie nadeszła ta upragniona chwila. Teraz czekała ich opowieść o tym, że tak naprawdę on w niczym nie zawinił.

- Przysięgam, że nie wysłałem ich do warsztatu Krausów - kontynuował Morant. - Nawet nie powiedziałem Molly, gdzie to jest. Nie mam pojęcia, w jaki sposób znalazła to miejsce, i... Prawdopodobnie poszły tam, bo Molly zorientowała się, że ją śledzą, i postanowiła spróbować mnie ostrzec... - Potrząsnął głową przybity. - Niech to diabli porwą. Powinienem wiedzieć, że Krausowi nie należy ufać.

Rzeczywiście było dość jasne, w jaki sposób porywacz trafił na jego ślad, a przez to również na ślad Molly i Giny. Wszyscy widzieli na nagraniu, jak to się stało. Molly i Gina weszły do pracowni, pan Kraus gdzieś zadzwonił, a pięć minut później zjawił się mężczyzna, który przedstawiał się jako E.

Przypadek? Mało prawdopodobne.

Lecz Morant jeszcze nie skończył.

- Musiałem podjąć to ryzyko. Były pewne powody do pośpiechu.

Powody do pośpiechu. Max z trudem opanował pragnienie, by rozerwać draniowi gardło. Powodem zapewne była szansa zarobienia miliona dolarów na interesie, który był jak najbardziej legalny, och, może z wyjątkiem kilku drobiazgów będących naprawdę poważnymi przestępstwami. A może Morant zamierzał poruszyć ich serca, przywołując znacznie bardziej sentymentalne powody? Może w grę wchodziło dobro jego kochanej starej matki? Albo jakiś kuzyn potrzebował pieniędzy na przeszczep nerki?

Max nie miał zamiaru stać beczynnym i słuchać podobnych bzdur. Jules jednak postanowił się wtrącić i skierować rozmowę na całkiem innej tory.

- Jeżeli naprawdę nie chciałeś wysłać Molly do pracowni Krausa, to w jaki sposób zamierzałeś dostać ten paszport?

- Mieliliśmy spotkać się w jakimś barze - wyjaśnił Morant. - W Hamburgu. To znaczy ja miałem się spotkać - dodał. - Ja i któryś z synów Krausa. I miałem zapłacić, oczywiście gotówką. Możecie mi wierzyć, wcale nie chciałem, żeby wówczas Molly znalazła się gdziekolwiek w pobliżu.

- Z Giną to całkiem inna historia, co? - spytał Max. Był tak wściekły, że przed oczyma zaczęły mu się pojawiać niewielkie błyski. - W ogóle się nią nie zajmowałeś, więc fakt, że użyłeś jej karty kredytowej, by zapłacić za twój cholerny paszport, to czysty przypadek, co?

Z pewnością na to właśnie poszła gotówka podjęta z banku w Nairobi.

- A może ukradłeś tę kartę? - zasugerował Max. - A ona o niczym nie miała pojęcia?

Morant wyglądał tak, jakby miał zamiar rzucić się na Maksa.

- Pieprz się - warknął.

- Ty się pieprz!

Jules wszedł między nich.

- To niczego nie da - powiedział spokojnie.

- Nie ukradłem karty kredytowej Giny! - zawołał zapalczywie Morant. - Wiedziała, co mam zamiar zrobić... Mało tego, domagała się, żebym to zrobił. Zresztą nie użyliśmy jej karty. Wyjęła gotówkę w jednym banku, a ja zabrałem tę forszę do innego i wysłałem Krausowi.

- Czy oba te banki znajdowały się w Nairobi?

- Nie - prychnął Morant. - Specjalnie poleciliśmy do Paryża! Oczywiście, że oba były w Nairobi! Posłuchaj, wiem, że jesteś wściekły...

Max był bardziej niż wściekły. Każdy, nawet najmniej utalentowany haker, mógł znaleźć powiązanie pomiędzy tymi pieniędzmi a kartą kredytową Giny. To był tylko jeden z wielu, bardzo wielu sposobów, w jaki porywacz o pseudonimie E. wykorzystał biznesową transakcję Moranta z Krausem do wytropienia tego pierwszego.

- Morant, ile banków jest w Nairobi?

- Cholera, nie mam pojęcia - odparł zapytany. - Tak, niestety zawierzyłem Krausowi... Najwyraźniej popełniłem błąd. No dobra,

uważacie, że to był czysty hazard, tak? A ja nie miałem pojęcia, co innego mógłbym zrobić. Zgoda, powinienem odesłać Molly do Iowa, ale ona nie pojechałaby beze mnie!

- Więc zrobiłeś sobie zdjęcie do paszportu aparatem Giny, tak? - pytał Max. - I wysłałeś je Krausowi drogą elektroniczną? Kopia została tutaj, w pliku.

- Jeśli wiesz, to czemu pytasz? - W głosie Moranta brzmiała prawdziwa desperacja. - Owszem. Czy miałeś nadzieję, że będę kłamał na ten...

- Mój zespół potrzebował mniej więcej dziesięciu minut, żeby na podstawie tego zdjęcia zidentyfikować cię jako Grady'ego Moranta. - Max podniósł głos, żeby przekrzyczeć tego durnia. - A ty to samo zdjęcie wysłałeś Krausowi. Przypuszczam, że pani Kraus zajęło to nieco więcej czasu, może nawet godzinę, ale w końcu odkryła, kto do diabła jest jej kontrahentem i że za pieprzoną głowę jej nowego klienta wciąż jest wyznaczona dość wysoka nagroda! - Max już się wydierał. - To tyle, jeśli chodzi o honorowe załatwianie spraw pomiędzy złodziejami, co, Grady?

- Powiedziałem już, że to moja wina! - odwrzasnął Grady. - Moja, tylko moja wina! Co mam jeszcze powiedzieć, żebyś był zadowolony?! Wiedz, że Gina chciała pomóc! Pytała, czy może pomóc!

- A ty, cholerny dupku, nawet nie potrafiłeś zapewnić jej bezpieczeństwa - parsknął Max. - Co ty sobie myślałeś, do diabła?!

- Myślałem sobie, że jeśli czegoś nie zrobię, i to szybko, to moja żona umrze na pieprzonego raka! - ryknął Morant.

I zaraz potem Grady Morant o mało co się nie rozplakał, choć wciąż jeszcze drżał z gniewu.

- Ty durny, zapatrzony w siebie gnoju - wyszeptał przez zaciśnięte zęby. - Być może ty potrafiłeś tak po prostu odepchnąć Ginę, ale ja nie oddam Molly bez walki!

Nairobi, Kenia

8 czerwca 2005

Trzydzieści dni wcześniej

- Oni chcą, żebym pojechała do Hamburga na biopsję - powiedziała Molly, wychodząc z gabinetu lekarza do poczekalni. Jej twarz była biała jak kreda.

- Co takiego? - Jones wstał z krzesła.

- Chcą, żebym pojechała do Hamburga - powtórzyła. - Do Niemiec.

- Wiem, gdzie jest Hamburg - odparł.

Boże, to przecież nie mogło się zdarzyć! To miała być jedynie mała przerwa w pracy. Zamierzali pojechać do Nairobi, pójść do lekarza, uzyskać potwierdzenie, że guzek znaleziony w piersi jest czymś normalnym, ewentualnie produktem bujnej wyobraźni Molly, zjeść dobrą kolację i spędzić upojną noc w jakimś przyjemnym hotelu, a następnie wrócić rano do obozu.

W ogóle nie planował czegoś w stylu: „Chcą, żebym pojechała do Hamburga”.

Tak, Molly była mniej więcej w tym samym wieku co jej matka, kiedy lekarze odkryli u niej raka piersi. Tak, znaleziony guzek przypominał wielkością i konsystencją ten u jej matki. Znajdował się nawet w tej samej piersi.

- A oni uważają, że co to takiego? - spytał, choć dobrze znał odpowiedź.

Biopsja. Biopsji nie robi się z powodu nabrzmiąłych gruczołów czy infekcji wirusowej.

Molly wślizgnęła się w jego objęcia i mocno przytuliła.

- Nie martw się, to pewnie jakieś głupstwo.

- Mol, to chyba nie jest głupstwo, jeśli oni uważają, że powinnaś się wybrać do tych cholernych Niemiec!

Skrzywiła się lekko, więc odwrócił się do zgromadzonych w poczekalni ludzi, głównie pań w czcigodnym wieku.

- Proszę o wybaczenie, ale pan doktor myśli, że moja żona, którą kocham nad życie, ma raka piersi, więc pewnie za chwilę zacznę kłąć jeszcze bardziej. Czy państwu będzie to przeszkadzało?

Molly wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę drzwi.

- Chodźmy się przejść.

- Mol, moim zdaniem nie powinnaś jechać do Hamburga - powiedział, kiedy tylko znaleźli się na klatce schodowej i zaczęli schodzić na poziom prowadzący na ulicę. - Powinnaś wrócić do domu, do Iowa, i zobaczyć się z tym onkologiem, który leczył twoją matkę. Bo twoja matka czuje się dobrze, tak? Minęło już chyba dwadzieścia lat, a ona jest wciąż w doskonałej formie.

Na parterze było pustawo i o wiele chłodniej niż na zalanej słońcem ulicy. Obok drzwi wejściowych stała ławka, tuż pod jaskrawym malowidłem ściennym.

- Może usiadziemy? - zaproponowała Molly.

Próbowała pociągnąć męża, ale napotkała opór. Jeśli to, co odczuwał wcześniej, można było określić jako strach, to teraz zmienił się on w przerażenie.

- Lepiej chodźmy gdzieś - rzekł. - Albo nie, możemy usiąść. Mol, błagam, jeśli masz mi coś do powiedzenia, to po prostu mi powiedz.

- Ale nie wiem, jak to zrobić. - Jej oczy wypełniły się łzami.

Jones usiadł blisko niej i splótł jej palce ze swoimi.

- Wiesz, że cię kocham, prawda?

Skinęła głową.

- No więc, nie kocham cię dla twoich piersi - oznajmił spokojnie.

- Jeśli jedna... albo nawet obie muszą zostać amputowane, to niech tak będzie. W niczym nie zmieni to moich uczuć do ciebie. W ogóle nic się nie zmieni.

Molly zaczęła płakać.

- Hej! - zawołał. - Miałem nadzieję, że to, co powiedziałem, uczyni cię może nie szczęśliwą, ale przynajmniej...

Przerwała mu pocałunkiem.

- ... szczęśliwszą.

Odsunęła się, żeby na niego spojrzeć.

- Ja też cię kocham - odparła i to wyznanie wywołało nowy potok łez.

- Molly, ty naprawdę mnie przerażasz! - zawołał. - Czy ten lekarz wydał na ciebie wyrok albo coś w tym stylu?

- Nie, to tylko... - Pokręciła głową, patrząc na ich ręce splecione w ciasnym uścisku. Odetchnęła głęboko, zanim się odezwała. - Pamiętasz tamtą noc, kiedy przyszedłeś do kantyny, a ja zrozumiałam, że to ty, i upuściłam tacę?

Tym razem on pokiwał głową, choć nie miał pojęcia, do czego Molly zmierza.

- A potem, tej samej nocy zakradłam się do twojego namiotu i tak, no właściwie przypadkiem, zaczęliśmy się kochać?

Znów skinął głową. Zaczęliśmy się kochać? Spojrzał na nią i nagle podejrzenie zaświtało mu w głowie. Co ona mówiła? Że zaczęli się kochać bez zabezpieczenia?

- Ale ja nie miałem wtedy wytrysku. Jestem pewien, że nie, doskonale pamiętam ten moment.

- Najwyraźniej wcale nie musiałeś mieć - wyszeptała.

Jones siedział w milczeniu przez kilka bardzo długich chwil, zanim zdołał na tyle opanować oddech, żeby się odezwać.

- Mówisz serio? Jesteś...

- W ciąży - dokończyła za niego. - Mniej więcej od czterech miesięcy. A to znaczy, że za pięć miesięcy... O cholera!

- A ja sądziłem, że jesteś w tym... No, jak to się nazywa... Okresie przedmenopauzalnym.

- Zgadza się, jestem - odparta. - Ale najwyraźniej przez kilka ostatnich miesięcy nie miałam miesiączki z innego powodu - popatrzyła na niego badawczo. - Bardzo cię przeraziłam?

- Jak diabli - powiedział. - Ale nie ciążą. Powiedz, czy będziesz mogła być leczona na raka, kiedy jesteś ciężarna?

Więc wiedział już, o co chodzi. Molly odwróciła spojrzenie.

- Będę musiała. Doktor powiedział, że kiedy mija pierwszy trymestr, wydaje się, że pewne dawki chemioterapii nie powinny stanowić zagrożenia dla dziecka...

Ale. Jones zbyt dobrze znał ten wyraz twarzy Molly, wiedział więc, jakie będzie następne słowo.

- Ale...

- Ale nie przeprowadzono jeszcze wystarczającej liczby długoterminowych testów. Nie mam zamiaru podtruwać własnego dziecka.

Więc w tym tkwił problem. To nie lekarz wydał na Molly wyrok śmierci. W pewnym sensie wydała go na siebie sama.

- To powinna być radosna wiadomość - mówiła Molly. - Że jestem w ciąży. Nie powinno być tego dodatku o wyjeździe do Hamburga i o biopsji.

Jones pokręcił głową.

- Z pewnością to wcale nie jest dobre dla dziecka...

Tym razem Molly wiedziała, dokąd on zmierza.

- Moja choroba w żaden sposób nie wpływa negatywnie na malucha.

- Jesteś pewna? - spytał zapalczywie. - Czy w tej sprawie przeprowadzono wystarczająco dużo testów?

- Cii... - uspokoiła go, zerkając na strażnika, który stał przy wejściu. - Chodźmy stąd.

- Nie - powiedział i wstał z ławki. - Nie, Molly. Nie możesz mi uczciwie powiedzieć, że chcesz mieć dziecko i że nie ma dla ciebie znaczenia, że być może nie będzie cię tu, by patrzeć, jak ono dorasta.

- Nie wiemy, co będzie dalej. Jeśli przyjdą wyniki biopsji i okaże się, że jest to pierwsze albo drugie stadium, to czekanie przez kilka miesięcy...

- Przez pięć miesięcy - sprecyzował. - Pięć miesięcy, podczas których nowotwór będzie się rozwijał w przyspieszonym tempie, karmiony estrogenami i hormonami wzrostu, które produkuje twój organizm. To czyste szaleństwo, żeby...

Molly także wstała.

- I tak nie mamy już wyboru - oświadczyła.

- Ależ tak, mamy!

Teraz ją także ogarnął gniew.

- No dobrze - powiedziała. - Owszem, mamy wybór. To mój wybór. A ja decyduję się na badania, wizyty u kolejnych lekarzy i wyjazd do Hamburga na biopsję. Czy to cię satysfakcjonuje?

Co on, do cholery, robił? Zaczął sprzeczać się z kobietą - swoją kobietą - której przed chwilą powiedziano, że być może choruje na raka. Czy jego zachowanie w czymś jej pomoże? Zgoda, był przerażony jak diabli, ale ona także musiała się wystraszyć tej diagnozy.

Wyciągnął rękę i mocno przytulił Molly.

- Tak... - szepnął. - Już wszystko w porządku, Mol. Boże, bardzo cię przepraszam...

Ona także wtuliła się w jego ramiona.

- Ja też przepraszam - odszepnęła.

Nie miał zamiaru pozwolić jej umrzeć. Nie miał zamiaru jej stracić. Jednak trzymając ją w ramionach, wiedział, że tak naprawdę niewiele będzie miał do powiedzenia.

I tak wtrącił się w tę sprawę znacznie bardziej, niż należało.

Wyspa Meda, Indonezja

Dokładna data: nieznana

Dzień dzisiejszy

Molly spała od kilku godzin, kiedy Gina usłyszała, że ktoś delikatnie puka do drzwi. Sama też drzemała, lecz teraz usiadła prosto na łóżku. Serce waliło jej jak młot.

W pierwszej chwili była zbyt zajęta, żeby zastanawiać się, czy się boi. Pomogła Molly zdjąć zabrudzone ciuchy i umyć twarz. Odwinęła brzeg bandaża zakrywającego nakłucia po biopsji, upewniła się, że drobne ranki dobrze się goją i że nie wdała się żadna infekcja. A potem ułożyła Molly po jednej stronie łóżka i przykryła chłodnymi bawełnianymi prześcieradłami.

Od tak dawna sypiała na pryczach, że prawdziwe podwójne łóżko wydawało jej się tak olbrzymie, że aż śmieszne. Czy ktokolwiek na tej planecie potrzebował spać na tak wielkim łożu?

Gina wzięła prysznic, a następnie wypłukała w umywalce swoje rzeczy. Nie ma mowy, żeby położyła je za drzwiami i pozwoliła uprać tej niewidzialnej synowej, o której wspominał porywacz. Gdyby tak zrobiła, mogłaby ich już nie odzyskać, a to znacznie utrudniłoby plany ucieczki.

Oczywiście Molly w swoim obecnym stanie w ogóle nie nadawała się do takich przedsięwzięć. Gdyby tylko znalazł się jakiś sposób, żeby ją stąd wydostać...

Jeśli Gina byłaby tutaj sama, z pewnością już spróbowałaby uciec. Ostatecznie znacznie przewyższała wzrostem tego kurdupła z łomem.

Drzwi lekko skrzypnęły. Najpierw uchylły się na kilka centymetrów, a potem nieco szerzej. Na ten widok Gina ciałniej otuliła się szlafrokiem.

Jeśli chodzi o szlafroki, to były naprawdę przyjemne, zupełnie jak w jakimś drogim hotelu. Połyskliwie białe, z pewnością rzucały się w oczy w ciemności. Uciekanie w nich było mniej więcej tak samo efektywne jak włożenie kapelusza z neonowym napisem: Jestem tutaj!

Gina nie miała ochoty wkładać tego szlafroka - ostatecznie nie znajdowała się w hotelu, tylko w więzieniu - ale klimatyzacja była tak ustawiona, że w pokoju szybko zrobiło się chłodno. Teraz podniosła się z łóżka i mocniej ścisnęła paskiem.

W korytarzu panowały ciemności i nie mogła stwierdzić, kto stoi za drzwiami, dopóki się nie odezwał.

- Anton powiedział, że nie chciałyście wziąć tacy z jedzeniem.

Głos należał do gościa od pistoletu, więc to najwyraźniej facet z łomem miał na imię Anton.

W niewoli trzymali je dwaj mężczyźni, z których tylko jeden był uzbrojony. Człowiek z pistoletem co prawda mówił jeszcze o trzeciej osobie, swojej synowej, ale jak dotąd Gina nie usłyszała nawet szmeru kobiecego głosu. Całkiem możliwe, że wspomniał o niej po to, by dodać im otuchy. Zupełnie jakby miały zacząć myśleć, że wszystko się ułoży, skoro jednym ze strażników jest kobieta. I jakby robiło im to jakąkolwiek różnicę.

Po raz tysięczny Gina zapragnęła, żeby Molly była przytomna i czujna, gotowa do natychmiastowej akcji, gdyby nadarzyła się okazja do ucieczki.

- Nie jesteśmy głodne - skłamała, kiedy mężczyzna z pistoletem wszedł do pokoju.

Prawdę mówiąc, umierała z głodu, ale doszła do wniosku, że gdyby to ona trzymała w niewoli dwie osoby, mając do pomocy tylko jednego faceta, to z pewnością dodałaby do żywności jakichś środków uspokajających.

- Ach tak - odparł. - Ale gdybyście zgłodniały...

W rękę trzymał siatkę, która na oko robiła wrażenie ciężkiej. Zaczął ją rozpakowywać i przyniesione rzeczy ustawiać na toaletce. Rzeczywiście była to żywność - mniej więcej tuzin puszek różnej wielkości. Ułożył je w zgrabny stosik, a na wierzchu zostawił otwieracz do konserw.

- Jeśli chciałybyście coś z tego zjeść na ciepło, to wystarczy powiedzieć.

- Nie - odparła Gina. Wstała i ustawiła się tak, żeby zasłaniać śpiącą Molly. Pograżona we śnie, z wysuniętym spod koca nagim ramieniem, wydawała się taka krucha i bezbronna...

- Jak sobie życzycie.

- Życzymy sobie wrócić do naszego hotelu w Hamburgu - zauważyła cierpko Gina.

- Obawiam się, że to niemożliwe - oświadczył ze skruszoną miną, choć Gina i tak wiedziała, o co chodzi.

Nogi trzęsły się pod nią, ale ścisnęła kolana i uniosła podbródek.

- Dla kogo pan pracuje? - spytała. - Wszystko jedno, ile panu płacą, my zapłacimy więcej.

Westchnął ciężko.

- Obawiam się, że to nie jest takie proste.

- Ale może być - rzekła, choć świetnie wiedziała, że ten człowiek nie trzyma ich tu dla pieniędzy.

Ten pokój, jego wyposażenie, ubranie, jakie miał na sobie porywacz, wszystko wskazywało na to, że sprawy finansowe nie wchodzi tu w grę.

- Możecie się spodziewać, że spędzicie tu trochę czasu - powiedział. - Mówcie mi więc, gdybyście czegoś potrzebowały.

I ruszył w stronę drzwi.

Gina jednak naprawdę potrzebowała tylko Maksa.

Bóg jeden wiedział, gdzie on teraz był i co robił... I czy w ogóle wiedział, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Zresztą skąd miałby wiedzieć? Jediną osobą, która orientowała się, że ona i Molly zostały porwane, był Leslie Pollard alias David Jones, alias Grady Morant.

Biorąc pod uwagę jego przeszłość, wydawało się wysoce nieprawdopodobne, żeby Leslie - David - Grady zwrócił się o pomoc do FBI.

Z pewnością przyjedzie po nie. Po Molly. Gina nie wątpiła w to nawet przez ułamek sekundy. Ale nie będzie mu łatwo tu się dostać. Odnalezienie ich może mu zabrać kilka tygodni. Albo miesięcy.

Gina doszła do wniosku, że musi liczyć tylko na siebie, przynajmniej na razie.

Mężczyzna z pistoletem był tuż przy drzwiach, ale Gina go zatrzymała.

- Jak panu na imię?

- Emilio.

- A ja jestem Molly - skłamała. - Proszę pana, moja przyjaciółka jest naprawdę chora. Czy na dowód dobrej woli nie mógłby pan...

- Obawiam się, że to niemożliwe - przerwał jej, jakby wiedział, że za chwilę poprosi o uwolnienie Molly.

- Ale dlaczego? - nalegała Gina.

To nie miało nic wspólnego z odwagą, choć Gina miała świadomość, że Max byłby odmiennego zdania, gdyby słyszał tę rozmowę. Nie miałby racji.

Chodziło jedynie o to, jak szybko Molly może biegać w swoim obecnym stanie. Z pewnością niezbyt szybko. Szanse Giny na zakończoną sukcesem ucieczkę były bliskie zeru, jeśli będzie zmuszona ciągnąć z sobą Molly.

- Ona także twierdzi, że nazywa się Molly - zauważył porywacz.
- Której z was mam wierzyć?

- Mnie - zapewniła Gina. - Ona kłamie. Proszę na nią spojrzeć, jest taka stara, że równie dobrze mogłaby być moją matką. Czy naprawdę sądzi pan, że ona i Jones... To znaczy Grady... - poprawiła się.

Znowu jej przerwał.

- Moim zdaniem ona jest piękną kobietą, a prawdziwa miłość nie przejmuje się konwencjami - powiedział. - Tak samo uważam, że ona znacznie bardziej pasuje do opisu kobiety Moranta niż ty. Wygląda więc na to, że to ty jesteś kłamczuszką.

Tak oto Gina przekonała się, że jej porywacz stanowi doskonale połączenie Sherlocka Holmesa z Yodą.

- Dlaczego pan to robi? - nie ustępowała. - Wygląda pan na przyzwoitego człowieka...

- Bo oni mają moją żonę - wyjaśnił cicho, a następnie skłonił się i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Rozdział Trzynasty

Wojskowy samolot transportowy C - 130, dwadzieścia osiem tysięcy stóp nad Polską

22 czerwca 2005

Dzień dzisiejszy

Wiele lat minęło od chwili, gdy Jones po raz ostatni leciał wojskowym samolotem transportowym w charakterze pasażera. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś znajdzie się na pokładzie, no chyba że w kajdankach i ze skutymi nogami.

I nigdy, w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że po osiągnięciu wysokości przelotowej podejdzie do niego agent FBI, który wcale nie ukrywa, że jest gejem - pomyślcie tylko, do czego to doszło! - i zapyta, czy życzy sobie kawę z cukrem i śmietanką.

- Może być czarna - odparł.

Kiedy Jules Cassidy zniknął w korytarzyku prowadzącym do kuchenki, Jones zaczął obserwować Maksa, który w drugim końcu kabiny rozmawiał przez komórkę. Zadzwoił nawet do cywilnej organizacji ochroniarskiej pod nazwą Spółka Mediatorów; najwyraźniej miał nadzieję, że tam znajdzie wsparcie przy poszukiwaniach Giny.

Ale z wyrazu jego twarzy łatwo można było poznać, że nic nie załatwił.

- Wszystko w porządku? - zapytał młody agent, wracając ze styropianowym kubkiem wypełnionym aromatycznym płynem. W jego oczach Jones dostrzegł prawdziwe zainteresowanie.

- Taak... - mruknął. - Dzięki.

Rzeczywiście wszystko było w porządku, jeśli nie liczyć szarpiącego nerwy niepokoju o Molly.

Jules usiadł na fotelu obok. Mieli dla siebie cały ogromny przedział, bo bardzo niewielu stacjonujących w Niemczech żołnierzy zmieniało dziś miejsce pobytu. A przynajmniej niewielu z nich przenoszono w rejon Indonezji. To, że w ogóle znaleźli się w powietrzu, zawdzięczali jedynie sile przebiccia i determinacji Maksa. Całkiem możliwe, że odbył rozmowę z wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych.

- Znajdziemy ją - powiedział Jules.

Jak na kogoś, kto nie wyróżniał się imponującym wzrostem, za to był przystojniejszy niż dwie trzecie chodzących po ziemi kobiet, Jules Cassidy tryskał nieziemską wręcz pewnością siebie.

- Znajdziemy ją, gdziekolwiek jest. I Ginę także - powtórzył.

- We trzech? - Jones nie wydawał się przekonany.

Choć prawdopodobnie żaden dzień nie był dobry na atak terrorystyczny, to jednak ten okazał się szczególnie fatalny. Prośba Julesa o wsparcie przez Szesnąstą Grupę SEAL została właśnie odrzucona.

- Jeśli będzie trzeba... - odparł Jules i wcale nie było to bzdurne pocieszenie.

Jules naprawdę tak uważał.

Po drugiej stronie kabiny Max wciąż rozmawiał przez telefon, a na jego twarzy widać było ogromne znużenie.

- Nie jestem pewien, jak powinienem się do ciebie zwracać - mówił dalej Jules, znów przyciągając uwagę Jonesa. - Wiesz, chodzi mi o to, którego imienia mam używać. Masz ich tyle...

- A mów do mnie jak chcesz, do wszystkich diabłów - warknął Jones i zdjął pokrywkę z kubka.

- Tylko że... odniosłem wrażenie, że nie bardzo ci się spodobało, kiedy Max zwrócił się do ciebie per Morant.

Jones pociągnął łyk kawy. Gorący płyn poparzył mu przetyk i popłynął do żołądka.

- A moje niezadowolenie interesuje cię z powodu...

Jules uśmiechnął się.

- Chyba dużo czasu minęło, odkąd byłeś ostatnio członkiem jakiegoś zespołu, zgadza się, Grady?

- Wiesz co - powiedział Jones. - Chyba jednak wolałbym, żebyś nazywał mnie Dave.

- Nie za dobrze ci w skórze Grady'ego Moranta, co? To musi być strasznie dziwne uczucie.

W oczach Julesa błyszczało autentyczne współczucie, kiedy podnosił do ust swój kubek z kawą.

- Ach, rozumiem... W czasie gdy poznałeś Molly, używałeś nazwiska Jones. Teraz już wiem, dlaczego czujesz się do niego przywiązany. A jak ona zwracała się do ciebie?

- Nie twój zasrany interes.

Jules westchnął ciężko.

- Posłuchaj, wiem, że jesteś zdenerwowany...

- Nie masz zielonego pojęcia.

- Racja - przyznał potulnie Jules. - Nie mam. Ale są ludzie, których kocham i o których się martwię, więc wyobrażam sobie, jak musi ci być ciężko... Jeśli to w czymś pomoże, to chcę ci powiedzieć, że moja ciocia Sue wyszła cało z raka piersi. I tak samo mniej więcej tuzin innych kobiet z organizacji, do której należy moja matka. Ludzie jakoś przeżywają tę chorobę.

Jones znał różne techniki sprawowania władzy, od opartej na strachu przed bólem metodzie używanej przez kogoś takiego jak Chai, aż do stawiania siebie na piedestale jako wzoru niesamowitej odwagi, tak jak robił to Max, o czym często opowiadała Gina. Najwyraźniej praca dla Maksa Bhagata była uważana za wyróżnienie, ale każdy agent musiał sobie na to zasłużyć, nawet wtedy, gdy już znalazł się w zespole. Zobaczmy, czy będziesz wystarczająco dobry, żeby dotrzymać nam kroku, a jeśli tak, to być może pozwolę ci ucałować mój pierścień.

Były też techniki oparte na emocjonalnej otwartości, które do perfekcji opanował Jules. Z kolei Jones jako lekarz w armii wiele razy odgrywał komedię pod tytułem „wszyscy jesteśmy kumplami”. Jak ci leci, żołnierzu? Będziesz wkrótce zdrow jak ryba. Skąd jesteś? Wygląda na to, że będziesz mógł złożyć rodzinie wizytę, jeśli tylko wytrzymasz jeszcze trochę...

- Oszczędź mi tego głędzenia - powiedział do Julesa. - I przestań obchodzić się ze mną jak z jajkiem. Mówiłem tak sobie, w przenośni - zreflektowałem się natychmiast. - Wcale cię nie oskarżam, że...

Jules siedział z uśmiechem na twarzy i czekał, aż Jones zapłacze się do reszty.

- Jeśli sobie życzysz, możemy od razu przejrzeć listę rzeczy, których nie wolno mówić - wtrącił, kiedy tamten wreszcie się zakrztusił. - Na przykład: „Nie masz o niczym pojęcia, ty chuju”. Jeśli poczujesz nagłą potrzebę, żeby to powiedzieć, zastąp „chuj” słowem „gnój”. Gnój może być.

Jones zaśmiał się, choć wcale nie było mu do śmiechu.

Z kolei Jules sprawiał wrażenie całkiem odprężonego i swobodnego. Trudno było go nie lubić albo przynajmniej nie być pod wrażeniem jego osobowości.

- Po prostu... Po prostu nie próbuj przenikać moich myśli, dobrze? - powiedział Jones.

- Phi... Jak sobie życzysz, kolego, ale pamiętaj, że jestem po twojej stronie - odparł Jules i zerknął na Maksa, który w odległym końcu kabiny ciągle gadał coś do słuchawki.

Czy to był „zły gliniarz” w porównaniu z „dobrym gliniarzem”, czyli Julesem?

Jones ubrał w słowa to, co obaj myśleli.

- Przeciwnie niż Max, który na serio chciałby mi zrobić krzywdę. Dzięki... No wiesz, za to, że przywołałeś go do porządku.

Jules znowu się roześmiał. Ale jego dobry humor zniknął bez śladu, kiedy zobaczył kolekcję siniaków na ciele Jonesa.

- Rzeczywiście nieźle się pobiliście w hotelu. - Nie ubrał tych słów w formę pytania, więc nie czekał na odpowiedź. - Nie poturbował cię za bardzo, prawda?

Jones pokręcił głową. Prawdę mówiąc, czuł się nieco zawstydzony takim obrotem spraw, bo był sporo większy niż Max. Wyższy i cięższy.

- Nie. Wszystko w porządku.

- Wyobrażam sobie, jak cię przydusił. Pewnie byłeś już jedną nogą na tamtym świecie.

Czy faktycznie...?

- Wszystko w porządku.

Ale Jules wydawał się naprawdę wstrząśnięty. Znowu spojrzał na Maksa. Przez kilka minut siedział w milczeniu, aż wreszcie odchrząknął.

- Wiesz, kilka lat temu Max kazał mi przeprowadzić dyskretne śledztwo dotyczące twojej osoby - powiedział.

- Chyba wiem, o co zaraz zapytasz - odparł Jones. - Odpowiedź brzmi „tak”. Rzeczywiście pracowałem dla faceta o nazwisku Chai.

- Och, nie. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Mamy mnóstwo dowodów na to, że brałeś udział w różnych szemranych interesach. I to nie tylko za pośrednictwem Chaia, lecz całej gromady baronów narkotykowych, rewolwerowców i bandy rozmaitych złodziei.

- Wspaniale - odparł Jones. - Po prostu wspaniale. Dziesięć do dwudziestu lat, jakie miał spędzić w więzieniu, nagle zwiększyło się o jeszcze jedną dekadę. Albo nawet o trzy.

- Czy masz jakiś pomysł, kto z twoich kontrahentów może stać za tym porwaniem? - Jules dopił swoją kawę. - Jakies urazy, może coś w rodzaju wendety... Albo po prostu mało przyjazne uczucia...

- Może będzie szybciej, jeśli zrobimy listę ludzi, którzy nie żywią do mnie mało przyjaznych uczuć.

- Mamy przed sobą długi lot, więc możesz zaczynać.

Młody agent wyjął z kieszeni notes i wręczył go Jonesowi. Gdzieś podczas podróży zdążył przebrać się w dzinsy i t-shirt, a na wierzch włożyć lekką kurtkę, która świetnie maskowała przypiętą w pasie kaburę z pistoletem. Teraz zanurzył rękę w kieszeni i zaczął szukać długopisu.

- Chcę twoją listę porównać z naszą i sprawdzić, czy ktokolwiek, kogo tu umieścisz, miał jakies związki z naszym porywaczem. Nawiasem mówiąc, udało nam się go zidentyfikować jako Emilio Testę. Mówi ci to coś?

- Absolutnie nic.

Jones wciąż miał przy sobie długopis Molly. Znalazł go szybko i machnął nim przed nosem Julesowi.

- Chyba Max musiał podwędzić mi pióro.

- Sukinsyn - zareagował na to Jules. - Więc tak: facet nazywa się Testa. Emilio Giuseppe Testa. Urodzony na północy Włoch, przeprowadził się do Sri Lanki, kiedy dobiegał trzydziestki. To było dawno temu, na początku Ery Wodnika... Obecnie gość ma sześćdziesiąt dwa lata. Z wyglądu oceniałem go na pięćdziesiąt kilka, więc musi się zdrowo odżywiać. CIA w Dżakarcie zebrała na jego temat grubą kartotekę. Mnóstwo przestępstw drobnego kalibru: paserstwo, kantowanie turystów, handel na czarnym rynku... Zajmował się także donosicielstwem. Podrzucił naszym straszonym kuzynom kilka cennych informacji, więc od czasu do czasu wyciągali go z pierdla... Och, tu mamy coś, co z pewnością ci się spodoba. Mniej więcej dwanaście lat temu władze zaczęły podejrzewać, że Testa ma jakiś związek z bandą zajmującą się uprowadzeniami dla okupu, ale nie chcieli go ruszać, bo ofiary zawsze wracały całe i zdrowe. To chyba dobra wiadomość, prawda? Choć może nie, biorąc pod uwagę, że tamci żądają twojej głowy za nasze dziewczyny. Ale my nie możemy im tego dać.

To zrozumiałe, wzięwszy pod uwagę fakt, że chcą, aby Jones spędził pod kluczem następne pięćdziesiąt lat.

- Testa rzekomo już wypadł z gry - ciągnął Jules. - Żyje w zgodzie z prawem mniej więcej od dziesięciu lat, przynajmniej tak utrzymuje mój informator. Może dlatego nigdy się z nim nie zetknąłeś. Chodzą plotki, że się ożenił, ustatkował, ma dzieci... Po prostu przeszedł na emeryturę rezygnując z życia drobnego kryminalisty.

- Już nie - odparł Jones, dodając samozwańczego „generała” Badaruddina do listy, którą właśnie pracowicie gryzmolił. Był na niej również Ram Subandrio, który za panowania Chaia zajmował się pakowaniem ludzi do lochów. Według ostatnich informacji, jakie dotarły do Jonesa, obaj wciąż cieszyli się doskonałym zdrowiem i aktywnie działali w przestępczym biznesie. Choć z drugiej strony w tej części świata tego typu sprawy szybko się zmieniają.

- To prawda - przyznał Jules. - A wiesz, jakie mogą być trzy poważne powody, dla których ktoś porzuca spokojne życie na emeryturze? - Nie czekał, aż Jones mu odpowie. - Strach, przyjemność albo chciwość.

Siedzący w odległym kącie kabiny Max zakończył wreszcie rozmowę i ruszył w ich stronę. Miał poważną minę, co nie wróżyło nic dobrego.

- Nic z tego, wszyscy są zajęci jak cholera. Zadzwoiłem do Mediatorów, ale tam nawet recepcjonistka szykowała się, żeby wyjść i pomagać przy jakiejś operacji.

Jules skinął głową, a Max usadowił się w rzędzie naprzeciwko.

- Biuro FBI w Dżakarcie też jest zawałone robotą. No więc możemy liczyć tylko na siebie. I tak mogło być gorzej. Poza tym jest masa dobrych wiadomości. Zaczniemy od tego, że Gina okazała się sprytną dziewczynką. Mało prawdopodobne, by przyznała się porywaczowi, że jest osobistą przyjaciółką agenta FBI. To powinno być dla niego niespodzianką. Znajdziemy go, a potem zaczniemy śledzić...

Czy ten facet jest przy zdrowych zmysłach, pomyślał Jones.

- Byłeś kiedyś w Indonezji, Max? - przerwał mu. - To ogromny kraj... Setki wysepek. Będzie nam potrzebna łódź, żeby przemieszczać się od jednej do drugiej, i... - Prychnął z rozdrażnieniem. - Jeśli ten Testa nie będzie chciał, żebyśmy go znaleźli, nie namierzemy go łatwo.

Jules spojrzał na niego z zaskoczeniem.

- Nie mówiłem ci? Przepraszam. Najwyraźniej Testa chce być znaleziony. Mój informator odkrył, że on mieszka na wyspie Meda. To mała wysepka w pobliżu wyspy Romang, w północnej części Timoru Wschodniego. Zdaje się, że Testa jakiś tydzień temu wybrał się na małą wycieczkę, ale już jest z powrotem w domu. Nie dalej jak tego ranka widziano go na miejscowym bazarze.

Chryste Panie! Jones był zadowolony, że siedzi.

- Będzie nam potrzebny hydroplan, żeby się dostać tam z Dżakarty... - kontynuował Jules - ... ale nie sądzę, żeby w tamtejszych realiach ekonomicznych był to jakikolwiek problem.

- Testa na pewno się nie spodziewa, że dotrzemy tu z Hamburga tak szybko - wtrącił Max, zwracając się do Jonesa. - Zwłaszcza teraz, kiedy cywile praktycznie nie mają możliwości podróżowania dokądkolwiek. Element zaskoczenia będzie naszym dodatkowym atutem.

Zabrzęczała komórka Julesa.

- Przepraszam na chwilę. - Wstał i odszedł w drugi koniec przedziału.

Czyżby to naprawdę miało być takie proste?

Należało tylko wylądować w Dżakarcie, wypożyczyć jakiś środek lokomocji, którym można by się dostać na tę wyspę Meda, upewnić się że Testa nie ma armii ochroniarzy, którzy pilnują Molly i Giny, a potem kopnąć w drzwi...

I bezpiecznie odstawić je do domu.

Jezu, jak to się stało, że wszystko zdawało się takie proste?

Prawdopodobnie dlatego, że nie mogło być, nie powinno być. Bliskość Timoru Wschodniego, gdzie od kilku dziesięcioleci toczyła się wojna, nie wróżyła dobrze.

Jones zerknął na Maksa, ale on siedział z zamkniętymi oczami. To chyba nie był najlepszy moment, żeby go dręczyć pytaniami o aktualną sytuację polityczną w Timorze Wschodnim i Indonezji.

Też przymknął na chwilę oczy, przypominając sobie własną naiwność w weselną noc, kiedy wierzył, że reszta życia upłynie mu błogo i szczęśliwie.

Wrócił myślami do czasów przed tamtą wizytą u doktora w Nairobi. Zanim wiadomość o chorobie Molly nagle wszystko zmieniła.

Paradoks polegał na tym, że w pełni przygotował się na to, że nie będzie łatwo. Bo choć znów był z Molly, to jednak nie mógł być z nią tak do końca.

Mimo wszystko byli razem. Zaślubieni. I to przez katolickiego księdza. Jego matka płakałaby z radości, gdyby się o tym dowiedziała.

„Panie Pollard, może pan pocałować swoją narzeczoną”.

Molly włożyła się na tę okazję barwną, wzorzystą sukienkę; ten wybór spotkał się z dezaprobatą siostry Podwójne M, pomimo że sukienka miała długie rękawy. Pięknie opinała krągłości ciała Molly i podkreślała kolor jej włosów.

Kochał ten odcień. Kochał ją całą.

Po raz pierwszy pocałował ją jako Leslie Pollard. Delikatnie musnął wargami jej usta, czując na sobie wzrok zakonnicy wypełniających namiot.

Dopiero później tej nocy, po przejechaniu razem z Lucy drogi dzielącej ich od farmy Paula Jimmo, pocałował ją tak, jak pragnął podczas ceremonii.

Paul Jimmo leżał w szpitalu w Nairobi - nawet nie przyszło im do głowy, że następnego dnia wczesnym rankiem umrze od odniesionych ran - ale jego matka i siostry serdecznie przyjęły ich w swoim domu.

Było już późno i Lucy została odesłana do łóżka razem z młodszą z dziewczynek, gdzie szybko zapadła w sen. On i Molly otrzymali pokój, który bez wątplenia był główną sypialnią.

Oczywiście Molly chciała skorzystać z tego nieoczekiwanego sam na sam, żeby porozmawiać. Ledwie poczekała, aż on zamknie drzwi.

- Chcę, byś przysiągł na Biblię, że taki pospieszny ożenek ze mną nie ściągnie na ciebie niebezpieczeństwa.

Zaczął się śmiać.

- Wiesz, moja przysięga na Biblię byłaby całkiem inna od twojej, Mol. Po prostu dla mnie Biblia nie znaczy tyle co dla ciebie.

- No to przysięgnij mi na coś, co ma dla ciebie znaczenie - upierała się.

- Raczej na kogoś - poprawił ją spokojnie. - Zresztą już to zrobiłem... Pamiętasz te przysięgi, jakie złożyłem ci zeszłej nocy? Naprawdę tak myślałem. Nigdy nie zrobię niczego, co mogłoby ściągnąć na ciebie niebezpieczeństwo.

I właśnie wtedy ją pocałował.

Mieli przed sobą całą noc i prawdziwe łóżko do spania. Nie powinien był aż tak się spieszyć, ale do diabła, kiedy Molly znalazła się w jego ramionach, poczuł bijący od niej żar.

Zaczął mocować się z suwakiem z tyłu sukienki, ale nie mógł znaleźć zameczka. Skończyło się na tym, że musiał przerwać pocałunek i odwrócić Molly plecami do siebie.

Zdziwił się, kiedy Molly odsunęła się od niego. Nigdy dotąd nie grzeszyła skromnością, a teraz podeszła do lampki i najwyraźniej zamierzała ją zgasić.

- Chyba żartujesz - powstrzymał ją.

- Nie. Ostatnio trochę przytyłam - odparła.

- Nie zauważyłem. A nawet jeśli tak, to co z tego? Kocham cię. Możesz sobie dalej tyć.

Roześmiała się tak, jak tego oczekiwał.

- Jesteś szalony.

- Wcale nie. - Przytulił ją i znów zaczął całować. - Molly, jesteś piękniejsza, niż cię zapamiętałem. I możesz mi wierzyć, w ciągu ostatnich lat spędziłem mnóstwo czasu sam na sam ze wspomnieniami. Fantazjując o... o tym. I kochając się z tobą. Jak teraz. Przy świetle.

Podniosła na niego wzrok, a w jej oczach zalśniły łzy. Ale mimo to zaczęła się z nim drażnić.

- Chyba musiałeś ostatnio ostro ćwiczyć, że tak pięknie ci to wychodzi „Kochać się z tobą” zamiast...

- Nie! - na pozór wydawał się mocno dotknięty, ale w jego oczach dostrzegła rozbawienie.

- No... może troszeczkę - przyznał, odsuwając włosy z jej twarzy i nawijając sobie na palec jeden kosmyk. - Zresztą... sam nie wiem.

Ćwiczył tyle rzeczy, które chciał jej powiedzieć. „Przyjechałem, jak mogłem najszybciej, żeby cię odnaleźć”. Albo: „Nie było ani jednego dnia, żebym o tobie nie myślał i nie tęsknił za tobą”.

Łzy znów pojawiły się w oczach Molly.

- To było bardzo miłe - powiedziała cicho.

- Pomyślałem, że będę czołgać się u twoich stóp, jeśli tylko pozwolisz mi się do siebie odezwać, nie mówiąc już o...

- O tym, że pozwolę ci się pieprzyć? - wypowiedziała słowa, których kiedyś używał dla określenia tego szczególnego aktu.

Jones zaczął się śmiać. Zawsze go bawiło, kiedy słyszał takie słowa w jej ustach.

- Teraz jestem twoim mężem i nie sędzę, żeby było mi wolno nadal to robić.

Teraz także ona się roześmiała.

- A może chcesz się założyć?

Zacząła go całować, aż wreszcie pociągnęła go za sobą i upadli na łóżko. Próbował zdjąć z niej suknię, ale znowu go powstrzymała.

- Muszę ci się do czegoś przyznać - zaczęła. Jej włosy rozsypały się po białej płóciennej poduszce, a sukienka podwinęła się, ukazując długie, bardzo długie nogi. - Skłamałam. Tak naprawdę wcale bardzo nie przytyłam.

Nie słuchał pochłonięty całowaniem jedwabistej skóry na jej udach. Wędrował coraz wyżej i wyżej, wdychając oszalamiający zapach jej ciała. Boże, jak pięknie pachniała! Jej majteczki z białej koronki też mu się podobały. Były takie delikatne i odpowiednie dla panny młodej. Ale stanowiły przeszkodę na drodze do celu, więc rozdarł je jednym szarpnięciem.

- Hej! - zawołała. - Słyszałeś, co mówiłam? Chciałam ci coś wyznać.

- Nie - zamruczał i znów zaczął ją całować.

Całkiem możliwe, że Molly coś jeszcze mówiła, ale raczej dała sobie spokój.

I tak nie słyszał ani słowa. Może jedynie błagalne „proszę”, kiedy go przyciągnęła. Miała co prawda przygotowaną prezerwatywę, ale przyszło mu do głowy, że tym razem nie muszą jej używać. Byli przecież małżeństwem... Boże, czyżby kompletnie oszalał? W żaden sposób nie mogli pozwolić sobie na dzieci. Czy to możliwe, żeby postradał resztki zdrowego rozsądku?

Pomogła mu ułożyć się na sobie, a potem wyciągnęła rękę i wprowadziła jego członka do wnętrza własnego ciała. Ta jej przeklęta sukienka i jego cholerna koszula oddzielały ich od siebie, a spodnie plątały mu się gdzieś w okolicach kostek. Tyle tylko że tak naprawdę nie miało to znaczenia. Molly przywarła do niego łapczywie, a on nareszcie poczuł, że jest w domu, w domu, w domu...

Dopiero później, znacznie później, kiedy wciąż częściowo leżał na niej, a ona palcami przeczesywała jego włosy i gładziła plecy, przyszło mu na myśl, że to chyba dobrze, że nie zdjął koszuli.

Gdyby to zrobił, na pewno odkryłaby postrzępioną bliznę pod jego prawą łopatką.

Jones miał na sobie więcej blizn, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać; były to pamiątki z lat spędzonych w więzieniu, gdzie tortury były na porządku dziennym. Jednak tę ranę zarobił całkiem niedawno i Molly z pewnością przeraziłaby się na jej widok...

Nagle uniósł się na łokciach i spojrzał na nią z góry, bo zrozumiał, skąd wzięła się u Molly ta niezwykła skromność...

Molly została postrzelona. I to z jego winy.

Tam, w Indonezji.

We dwoje znaleźli walizeczkę wypchaną pieniędzmi. Każdy chciał ją dostać. Drobnymi rzezimieszkowie i rozmaici nieudacznicy. Razem z Molly podjęli jedyną słuszną decyzję i z powrotem ukryli walizeczkę tam, gdzie ją znaleźli.

Ale on dał się ponieść panice. Potem udawał przed samym sobą, że ośwładnęła nim chciwość. No bo czy naprawdę powinien był zostawić taką fortunę ot, tak sobie? Więc zabrał pieniądze i zniknął. Ale nie uciekał przed zbirami, którzy pragnęli odebrać mu tę forszę. Uciekał od Molly. Od tego, jak dobrze mu było razem z nią. Od własnych obaw, że nie potrafi jej ochronić ani zapewnić bezpieczeństwa, przynajmniej dopóki żyje Chai.

Oczywiście źli chłopcy przyszli do niej, domagając się tych pieniędzy. A kiedy ich nie dostali, zaczęli strzelać.

- Pozwól mi to zobaczyć - poprosił.

Podniósł się i pomógł jej usiąść. Molly nie byłaby sobą, gdyby od razu nie zorientowała się, o czym on mówi.

- Wcale nie wygląda tak źle.

- Więc czemu nie chcesz zdjąć sukienki? - spytał.

- Bo to moja noc poślubna, głuptasie - odparła szczerze. - Powinnam mieć piękne wrażenia z tego pierwszego razu, kiedy robiliśmy to ja ko mąż i żona, prawda? Wybacz, może jestem płytka, ale nie chcę kiedyś wspominać, jak męskość mojego oblubieńca skurczyła się do rozmiarów orzeszka na widok tego, co jest pod sukienką.

Wysunęła ręce z rękawów i...

Jezu!

Próbowała odwrócić jego uwagę, zdejmując biustonosz. Kochał jej piersi, ich jędrność i miękkość, i ona świetnie o tym wiedziała, ale...

Chryste!

W pewnym sensie Molly miała rację. Wcale nie wyglądało to tak źle. Wyglądało na to, czym było, na zagojoną ranę po postrzale w górnej części jej ramienia. Mała, lekko wypukła blizna w miejscu wejścia i wyjścia pocisku.

Ale ponieważ wyglądała na ślad po postrzale, Jones poczuł, jak robi mu się słabo.

- Wybacz mi - wyszeptał.

- Ty też mi wybacz - odpowiedziała w ten sam sposób. - Mogło być znacznie gorzej.

Jasne, że tak. Pocisk, który wbił się w jej ramię, mógł trafić w klatkę piersiową. Albo w gardło. Albo w głowę.

Gdyby tak się stało, Molly od trzech lat leżałaby w grobie. On także byłby już martwy. Może nie fizycznie, ale z pewnością emocjonalnie.

Znów ogarnęła go panika. Co będzie, jeśli się mylił, sądząc, że wszystko ułoży się po jego myśli?

Powiedział Molly z pełnym przekonaniem, iż uważa, że są bezpieczni, i ciągle miał nadzieję, że tak właśnie jest. Opowiadka o Molly Anderson, która wychodzi za jakiegoś chłoptasia z AIDS Awareness International, żeby ratować życie kenijskiej dziewczynki, na pewno obiegała już świat. To bardziej niż cokolwiek innego powinno zadziałać na jego korzyść, bo potwierdzało plotki o przedwczesnej śmierci Grady'ego Moranta znanego także jako David Jones.

Wszystko będzie w porządku, dopóki nie będą ściągać na siebie uwagi. Co prawda oznaczało to, że do końca swoich dni Jones musi pozostać Lesliem Pollardem, ale ostatecznie ludziom przytrafiają się gorsze nieszczęścia.

Nie, tym razem rozstroiła go wiadomość, że pewni ludzie chętnie zastrzeliliby Molly i to z powodów, które nie miały nic wspólnego z jego skromną osobą. Bo gdyby pozostał blisko niej i nie spuszczał jej z oka, to może...

Molly obdarzyła go najśłodszym z pocałunków.

- Wszystko w porządku? - spytała.

Odsunął się na tyle, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Ostatni raz robimy coś takiego - oświadczył stanowczo. - Odstawimy Lucy do Marsabitu, wrócimy do obozu i odtąd w każdej wolnej chwili będziemy ćwiczyć, jak się po cichu uprawia seks.

Ostatecznie płócienne ściany namiotów były takie cienkie...

- Chyba będę musiała poświęcać temu dużo czasu... - odparła i znów zaczęła go całować.

- Ewentualnie mogę jeszcze zacząć się uczyć, jak się mówi „Gdzie jest twój tatuś?” z idealnie brytyjskim akcentem - zażartował i zaraz spróbował to zrobić. - „Gdzie jest twój tatuś?”

Molly śmiała się do rozpuku. Uwielbiał jej śmiech.

Ale jak na jego gust jej dobry humor trwał zbyt krótko.

- Wiesz, nie mogę ci niczego obiecywać - powiedziała poważnie. - Mówię o... zresztą wiesz o czym. Jeśli kolejna dziewczynka zjawi się w obozie i poprosi o pomoc...

- Taak... - Tego właśnie się obawiał. - Jeśli już przy tym jesteśmy, to pamiętaj, że nie zgadzam się, byś gdziekolwiek ruszała się beze mnie.

Nigdy. I nie ma żadnych wyjątków. A jeśli znowu wpakujesz się w jakąś niebezpieczną sytuację i ktoś będzie chciał do ciebie strzelać, to wiedz, Molly, że zrobię wszystko, by cię zasłonić.

Jego wyznanie wyraźnie nią wstrząsnęło. To dobrze. Może teraz zechce dwa razy się zastanowić, zanim znów zrobi jakieś głupstwo.

Molly postanowiła rozluźnić nieco napiętą atmosferę.

- Więc zamierzasz być jednym z tych bezwzględnych i wymagających mężów? - spytała kokieteryjnie.

- Mówisz o tych mężach, którzy martwią się, kiedy ktoś strzela do ich żon? - odparował natychmiast. - Owszem, tak.

Zaczął całować bliznę na jej ramieniu, bark, potem szyję, podczas gdy ona usiłowała zdjąć z niego koszulę. Pomógł jej to zrobić, a potem pozwolił, żeby przewróciła go na łóżko i usiadła na nim okrakiem.

- A może masz na myśli pewnego samoluba, przez którego żona nie może wrócić do Stanów, żeby tam żyć jak człowiek? - dodał jeszcze. - Zastanawiałaś się kiedyś nad takim rozwiązaniem? Tam przecież jest twoja rodzina.

W tym zwariowanym Iowa. Co właściwie trzymało Molly w Kenii?

- Moja rodzina jest teraz tutaj - powiedziała po prostu.
Pocałowała go, jakby domyślała się, ile te słowa dla niego znaczą.
Jakby wiedziała, że jej wyjazd byłby dla niego dodatkowym stresem.

Wielki, ciężki i groźny mężczyzna nie powinien mieć wilgotnych oczu ani myśleć, że to najwspanialsza rzecz, jaką w życiu usłyszał. Tak samo nie powinien odczuwać zawrotów głowy, ilekroć patrzy na tę kobietę i powtarza sobie, że teraz nareszcie jest ona jego żoną.

Zawsze udawał, że jego ulubione zdanie brzmi: „Pieprz mnie mocniej”, a nie „Kocham cię”.

Oczywiście Molly nie byłaby sobą, gdyby nie wyszeptała mu do ucha zarówno jednego, jak i drugiego podczas tej upojnej nocy.

I Jones wiedział, że nie krzyczała z rozkoszy wyłącznie dlatego, że zaczęła już ćwiczyć uprawianie seksu po cichu.

Oboje będą potrzebowali mnóstwa czasu, żeby się tego nauczyć. I mnóstwa pracy.

I oczywiście nie wszystko w tej dziedzinie okaże się łatwe.

Wyspa Meda, Indonezja

24 czerwca 2005

Dzień dzisiejszy

Gina zjadła palcami gulasz z małego mięsa. Jadła prosto z puszki, gapiąc się przy tym na wiadomości CNN, bo Emilio zapewnił swym więźniom dostęp do telewizora.

Zgoda, to pewnie nie było mięso małp, ale na puszcze nie znalazła informacji w języku angielskim, mogła więc tylko się domyślać, co to takiego. Na nalepce widniała głowa uśmiechniętej małpki w czerwonej czapeczce, fikuśnie mrużące jedno oko. Gina domyśliła się, że to pewnie logo firmy, które nie ma nic wspólnego z zawartością puszki.

Tak jak wizerunek syreny na puszkach z tuńczykiem.

Kiedy Gina była mała, kategorycznie odmawiała zjedzenia sałatki z tuńczyka, bo bała się, żeby nie zjeść którejś z mniej znanych sióstr Ariela.

Jej trzej starsi bracia niemiłosiernie prześladowali ją z tego powodu. W domu państwa Vitagliano był to stały temat do żartów.

Teraz, siedząc w zamkniętym pokoju gdzieś na drugim końcu świata, niebotycznie odległym od East Meadow i Long Island, Gina oddałaby wszystko, by znowu usłyszeć niewybredne dowcipy swoich braci.

Zaczęła się zastanawiać, co teraz porabiają i o czym myślą. Może zostali dziś w domu ze względu na zagrożenie atakiem terrorystycznym.

Kiedy podchodziła do telewizora, nie łudziła się, że będzie działał. Okazało się jednak, że Emilio musi mieć antenę satelitarną, bo telewizor odbierał HBO, a także Showtime i kilka różnych programów, w których na okrągło nadawano wiadomości.

Minął już ponad rok, odkąd po raz ostatni oglądała Seks w wielkim mieście. Na jednym z kanałów nadawano relację z maratonu, ale Gina przełączyła odbiornik na inny, bo chciała dowiedzieć się, co dzieje się na świecie.

Przeskakiwała z jednego kanału na drugi i słuchała rozmaitych komentatorów, którzy zastanawiali się nad możliwością przeprowadzenia globalnego ataku. W kodzie oznaczonym kolorami stopień zagrożenia został oznaczony jako jaskrawopomarańczowy,

ponieważ Al - Kaida zagroziła, że odpali brudne bomby ukryte w kluczowych miastach świata.

Ciągle nie udało się odnaleźć jednej z nich, która przypuszczalnie znajdowała się gdzieś w rejonie San Francisco. Albo może w Dystrykcie Kolumbii.

Najświeższe wiadomości: Jak przeżyć wybuch brudnej bomby? Proszę posłuchać uważnie szczegółów...

Cholera!

Jeśli celem terrorystów było zastraszenie społeczeństwa, to osiągnęli go, nie detonując ani jednego ładunku, a wszystko dzięki stacjom nadającym wiadomości.

Na innym kanale mówiono o trzech udaremniionych próbach porwania samolotów pasażerskich. Wszystkie trzy maszyny wylądowały szczęśliwie w Nowej Szkocji po długiej i śmiało przeprowadzonej akcji ratunkowej, która polegała na unieszkodliwieniu bomb niezauważonych przy prześwietlaniu bagaży.

Gina mogła sobie tylko wyobrazić, co przeżyli pasażerowie znajdujący się na pokładach tych samolotów. Prawdę mówiąc, potrafiła to sobie wyobrazić odrobinę zbyt dobrze.

Cała seria tych zdarzeń rozpoczęła się od eksplozji bomby na przedmieściu Hamburga w tym samym dniu, kiedy Gina i Molly zostały schwytane i wepchnięte do metalowej skrzyni na jakimś statku.

A więc tak... Myliła się co do tego kontenera. Okazało się bowiem, że były gorsze miejsca na świecie, w których przypadkiem mogła się znaleźć.

Na przykład w strefie zero tamtej eksplozji.

Albo na miejscu, powiedzmy, dwadzieścia cztery B w jednej z uprowadzonych maszyn.

Dzięki Bogu, że nie znalazła czasu, by zadzwonić do swoich rodziców i powiedzieć im, że ma zamiar wpaść na chwilę do Niemiec. Gdyby to zrobiła, teraz szaleliby z niepokoju.

W telewizji nadawano właśnie materiał filmowy z centrum Waszyngtonu. Mężczyźni i kobiety ubrani w kurtki z wyraźnymi, białymi napisami „FBI” na plecach tworzyli pewnego rodzaju kordon bezpieczeństwa dookoła Białego Domu.

Gina pochyliła się w stronę ekranu, czekając, aż mignie wśród nich ktoś podobny do Julesa. Nie spodziewała się ujrzeć Maksa, on z

pewnością był wewnątrz, w gabinecie prezydenta. A może wysiano go do Pentagonu, gdzie przebywał teraz w pokoju odpornym na promieniowanie?

Oba te warianty oznaczały, że nie spieszył jej z pomocą.

Przynajmniej nie w najbliższym czasie.

Zgoda, powtarzała to sobie od samego początku, ale sądząc po rozczarowaniu, jakiego doznała, kiedy włączyła telewizor, nie do końca wierzyła we własne pesymistyczne prognozy.

Teraz to się zmieniło.

Wiedziała, że może liczyć tylko na siebie.

Wyłączyła telewizor, zabrała resztki gulaszu i poszła do łazienki, żeby wypłukać puszkę przed wrzuceniem jej do śmieci.

Koszulka, którą powiesiła na drążku od zasłonki prysznicowej, prawie wyschła, za to majtki wydawały się całkiem wilgotne.

Boże, ile dałaby za to, żeby choć przez chwilę porozmawiać z Maksem. Żeby usłyszeć jego głos.

Powiedziałyby mu: „Cześć, na wypadek gdybym umarła, chcę, żebyś wiedział, że nigdy nie przestałam cię kochać. Aż do samego końca”.

No tak, ale on nie pozwoliłby jej skończyć zdania, gdyby usłyszał tę część o umieraniu. „Przestań myśleć negatywnie - obruszyłby się. - Na pewno nie umrzesz”.

„Ale ciebie tu nie ma, żeby mnie ocalić”.

„Ostatnim razem też cię nie ocaliłem, prawda?”.

Nie musiała zbytnio się wysilać, żeby wyobrazić sobie napięcie, które pojawiało się w jego głosie, gdy rozmawiali o porwaniu tamtego samolotu, choć zdarzyło się to tyle lat temu.

„Przecież nie wkroczyłem do akcji, dopóki terroryści nie zginęli. Dopóki nie było już za późno”.

„Ale byłeś ze mną. Przez cały czas”.

Gina naprawdę nie czuła się samotna na pokładzie porwanego samolotu. Od pierwszej chwili obecność Maksa dodawała jej odwagi... Od momentu gdy przez radio znajdujące się w kokpicie usłyszała jego głos.

„Tak, byłem mniej więcej tak samo użyteczny jak jakiś wymyślony przyjaciel”.

Gina uśmiechnęła się, bo przypomniawszy sobie, że tego typu odzywki zawsze doprowadzały ją do białej gorączki.

„W porządku, mój wymyślony przyjacielu. Co mam teraz robić?”.

Zdażyła już sprawdzić całe pomieszczenie i przekonać się, że nigdzie za meblami ani za portierami nie ma ukrytych drzwi. Otwór wentylatora był stanowczo za mały, żeby próbować tamtędy uciekać. Ściany wydawały się bardzo solidne, na pierwszy rzut oka widać było, że są z betonu.

Za to sufit sprawiał wrażenie gipsowego. Gina próbowała zrobić w nim dziurę za pomocą otwieracza do konserw, ale udało się jej osiągnąć tylko tyle, że całe włosy upyliła sobie na białe. Potrzebna była piła, żeby przetrząść się na zewnątrz, a i tak zabrałoby to mnóstwo czasu. Emilio albo ten gość z łomem natychmiast zauważyliby otwór i wrócili na pozycje wyjściowe.

Albo gorzej. Mogliby ją zwięzać.

Gina naprawdę nie miała zamiaru spędzić reszty życia w więzach.

Usiadła na brzegu wanny, zamknęła oczy i próbowała wyczarować w myślach postać Maksa. Co by jej powiedział, gdyby mogła z nim porozmawiać przez telefon albo gdyby się tu zjawił?

„Dowiedz się, czego oni naprawdę chcą. Żeby przeprowadzić udane negocjacje trzeba wiedzieć, co przeciwnicy chcą uzyskać, nieważne, co mówią, tylko do czego dążą”.

Gdyby był tutaj, oparłby się o blat umywalki, wyglądały jak uosobienie swobody i zadowolenia z siebie.

Cóż to za żart. Max był najbardziej pokreconym człowiekiem ze wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek spotkała. Był też bardzo skryty.

„Czasami to naprawdę trudne wyzwanie, ponieważ niektórzy ludzie nie wiedzą, czego naprawdę chcą” - powiedział jej kiedyś, kiedy rozmawiali. Oczywiście nie rozmawiali o sprawach, które naprawdę miały znaczenie, jak na przykład o tym, co ich łączyło albo co czuli tak naprawdę i co ukrywali głęboko w sercach.

Opowiedział jej, jak kiedyś prowadził negocjacje, a zamachowiec przedstawił całą listę żądań. Pieniądze, helikopter do ucieczki, list z wyjaśnieniem motywów działania wydrukowany w miejscowych gazetach, ułaskawienie podpisane przez gubernatora i tak dalej, i tak dalej... Tak naprawdę chodziło tylko o jedno - żeby ktoś poświęcił mu nieco uwagi i go wysłuchał. Szczerze i z zainteresowaniem.

Max spotkał się kilka razy również z takimi sytuacjami, kiedy celem porywacza było popełnienie samobójstwa, tyle tylko że przy

pomocy brygady antyterrorystów. Ale oczywiście żaden z tych szaleńców się do tego nie przyznawał.

To, czego chciał Emilio, wydawało się jasne i logiczne.

„Oni mają moją żonę”.

Gina musiała dowiedzieć się, kim są ci „oni”. Kto więzi żonę Emilia i dlaczego chce w zamian za jej życie dostać Lesliego alias Davida, alias Grady'ego?

Może powinna pogadać z Emiliem i otwarcie powiedzieć o Maksie. Wyjaśnić, że w tej chwili jest nieco zajęty, ale za tydzień lub dwa przybędzie tutaj, a potem on i jego ludzie z FBI uratują żonę Emilia i...

„... i będą żyli długo i szczęśliwie. Znajdź jakąś wskazówkę”. Odbicie w lustrze zdawało się ją przedrzeźniać. Gina spojrzała na własną twarz i nagle dotarło do niej, jak wygląda. Była opuchnięta i posiniaczona.

Tak samo wyglądała przez kilka tygodni po tym, jak została zgwałcona i pobita. Próbowала rozmawiać z porywaczami, kiedy trzymali ją w charakterze zakładniczki, i odniosła wrażenie, że przynajmniej z jednym z nich udało się jej nawiązać nic porozumienia. Chryste, jak bardzo się pomyliła!

Nie rozumiała ani trochę, czego tamci naprawdę pragnęli. Nie wiedziała, że śmierć uważali za nagrodę... Jej śmierć także była przesądzona, mimo że rozmawiali z nią przyjaźnie, żartowali i śmiali się. W ich oczach była już martwa.

To prawdziwy cud, że udało się jej wyjść z tego cało. Cud, który wyreżyserował Max i jego zespół. Ale jego zdaniem była to totalna klęska. Jego klęska.

„Oni mają moją żonę”, usłyszała w mózgu echo głosu Emilia.

„Nie wierz mu - zaśmiewało się jej posiniaczone i nabrzmiałe odbicie - czy naprawdę niczego się nie nauczyłaś?”

A jeśli Emilio mówił prawdę?

„Otwórz oczy i rozejrzyj się dookoła. Pokój bez okien. Zamki po zewnętrznej stronie drzwi. To nie jest coś, co Emilio zorganizował ot, tak sobie, na ten jeden jedyny raz. Więc czego on chce tak naprawdę?”

„Czego chce naprawdę? - tym razem był to głos Maksa. - Czasem nawet sam może tego nie wiedzieć”.

Widziała tylko jeden pistolet. Dwóch mężczyzn i jeden pistolet. Jeśli kiedykolwiek miał nadejść czas, kiedy mogła wywalczyć sobie wolność, to właśnie nadszedł.

„Nie zapominaj o facecie z łomem - przypomniała jej pokiereszowana twarz w lustrze. - Do tej pory oberwałaś tylko kolbą strzelby. Potrafisz wyobrazić sobie, jak to jest, kiedy ktoś uderzy cię łomem? Nawiasem mówiąc, na razie traktują cię tu dość przyzwoicie. Jeśli ich zaatakujesz, dasz zgodę na użycie przemocy i wtedy Bóg jeden wie, co z tobą zrobią. Ten kurdupel z łomem miał taką minę, jakby przyszło mu do głowy parę niezłych pomysłów”.

Nie, to nieprawda! To tylko strach sprawił, że przypomniała sobie wszystkie okropności. Twarz tego chłopaka z łomem wyrażała jedynie obojętność.

„Tak, tak, powtarzaj sobie takie rzeczy” - drażniło się z nią jej odbicie. Jedno oko było tak spuchnięte, że prawie nie mogła go otworzyć. - „Co więc zamierzasz zrobić? Walnąć Emilia w tył głowy pokrywą od spłuczki w toalecie i przy okazji roztrzaskać mu czaszkę? Zabrać mu pistolet, następnie zastrzelić tego z łomem... Widziałaś już zwłoki, ostatnie nawet całkiem niedawno, jeśli o to chodzi. I co, naprawdę jesteś gotowa kogoś zabić? Spójrz na siebie. Na samą myśl o tym trzęsą ci się ręce. A jeśli nie uda ci się zdobyć pistoletu? Może nie trafisz go w głowę, a wtedy on wyrwie ci broń i cię zabije. Chyba że tego właśnie chcesz, ponieważ wówczas wszystko by się skończyło... Może tak naprawdę chodzi ci o popełnienie samobójstwa przy pomocy Emilia”.

Nie. Gina wstała, odkręciła kran i opłukała twarz zimną wodą.

Zawsze uważała, że lepiej znaleźć się wśród ocalałych niż wśród ofiar. A już na pewno nie zamierzała się poddawać. Z tej opresji też wyjdzie cało, musi tylko dowiedzieć się, jak to zrobić.

„Czego naprawdę chce Emilio? - znów w jej głowie odezwał się głos Maksa. - Czasami może nawet sam tego nie wiedzieć. Czasami nie odważy się przyznać, nawet przed samym sobą...”.

Gina złapała ręcznik i wytarła twarz.

„A czego ty naprawdę chcesz? - spytałaby, gdyby on rzeczywiście stał teraz przed nią. - Czego chcesz ode mnie, to miałam na myśli”.

„Czego chcesz ode mnie?”. W typowy dla siebie sposób Max odwróciłby pytanie, żeby to ona musiała myśleć nad odpowiedzią.

„Uczciwości”, odpowiedziałyby.

„Naprawdę?”.

„Naprawdę. Chcę, żebyś zaczął ze mną rozmawiać. Jak człowiek z człowiekiem. Czy zdajesz sobie sprawę, Max, że przez te wszystkie lata, kiedy się znamy, na palcach jednej ręki mogłabym policzyć dni, kiedy cokolwiek opowiedziałeś mi o sobie... Na przykład o swoim dzieciństwie. Ale nawet wtedy musiałam wszystko wyciągać z ciebie siłą”.

W tym momencie Max z jej wyobraźni uśmiechnął się, tak samo jak czasami uśmiechał się ten rzeczywisty. Jak gdyby znał puentę jakiegoś znakomitego dowcipu i dawał jej trochę czasu, żeby też ją pojęła.

„Jestem, jaki jestem... Najwyraźniej nie jestem tym, kim chciałybyś, żebym był, prawda?”.

„Och, znowu zaczynasz! - zawołała buńczucznie. - Więc to wszystko moja wina, tak?”.

„Tak?” - Patrzył na nią spokojnie, a jego spojrzenie było pozbawione emocji.

Zadziwiająca. Nawet kiedy tylko go sobie wyobrażała, jego obojętność potrafiła doprowadzić ją do szalu. Ale zaraz potem wybuchała bomba.

„To przecież ty mnie opuściłaś”.

„Co takiego? - wykrzyknęła. - Och, znakomicie! Wynoś się! Oczywiście możesz sobie gadać takie bzdury, ponieważ tak naprawdę nie istniejesz. Jesteś we mnie!”.

Po prostu wyobrażała sobie, co Max by powiedział, a wtedy do głosu doszło jej rozdmuchane poczucie winy.

Tak, to ona go opuściła. Zrobiła to, ponieważ żadna osoba przy zdrowych zmysłach nie mogła bez końca walić głową w twardy, niewzruszony mur. Opuściła go, ponieważ chciała czegoś więcej.

Teraz przychodziły jej do głowy tylko rozmowy na temat jego rodziny. Siostra Maksa cierpiała na depresję i ciągle próbowała popełnić samobójstwo... Widok ambulansu przed ich domem stał się dla sąsiadów chlebem powszednim. Boże, jak straszne musiało być codzienne życie z kimś takim. Rodzice Maksa bez przerwy byli wściekli, ciągle przepelnieni strachem i wiecznie w stanie wojny... Jego utalentowany dziadek, mentor i prawdziwy przyjaciel, został pozbawiony możliwości komunikowania się z kimkolwiek na skutek

rozległego wylewu... Brat najbliższego kumpla zginął w Wietnamie... Jego własny brat, jedyny sojusznik w starciu z nieprzyjaznym światem, najbliższy mu wiekiem, nie odniósł sukcesów jako uczeń, uciekł do wojska w chwili, gdy skończył osiemnaście lat, i pozostawił Maksa w tym ciemnym, przygnębiającym domu.

A co z Maksem? Jak sobie z tym radził? Z pewnością nie tylko oglądał filmy z udziałem Elvisa.

„Byłem świetnym uczniem”.

Od razu kiedy jej o tym powiedział, pomyślała, że to doskonała wymówka. Komentarz, który uniemożliwiał im dyskusję o tym, co Max czuł naprawdę.

Lecz mimo to...

„Byłeś świetnym uczniem, bo stopnie należały do tych nielicznych spraw, nad którymi mogłeś utrzymać kontrolę. Mam rację?”.

Wyimaginowany Max popatrzył na nią z ledwie skrywanym zniecierpliwieniem.

„Jeśli masz chęć tak to interpretować...”.

„Staraleś się być perfekcjonistą - odparła oskarżycielskim tonem. - Niestety, nikt nie jest w stu procentach doskonały. Zawsze są sprawy, które wymykają się spod kontroli. Czasami więc ci się nie udawało, a kiedy do tego dochodziło, dostawałeś szału i zawsze uważałeś, że to twoja wina, nawet jeśli w niczym nie zawiodłeś”.

To właśnie ona była jego największą klęską. Sam jej to powiedział. Ocalił cały samolot pełen ludzi, ale nie udało mu się zapobiec brutalnemu atakowi na jej osobę. Nie mógł sobie tego wybaczyć.

Nie liczyło się, że zawiódł z przyczyn, nad którymi nie mógł mieć kontroli. Nie miało znaczenia, że w opinii większości ocalonych spisał się na medal. Gina pozostała przy życiu, dlaczego więc uważał, że to była klęska?

To wszystko nie miało sensu.

Ale wcale nie musiało mieć, ponieważ reakcje Maksa pozbawione były wszelkiej logiki. Były czysto emocjonalne, aż do przesady.

Aż dotąd myślała, że ukrywa przed nią prawdziwe uczucia, ale teraz rzucił jej to wszystko prosto w twarz. Nic dziwnego, że przez te wszystkie lata tak gorliwie zwalczał to, co go do niej ciągnęło. Można dyskutować, czy miał rację, czy też nie. Zgodnie w tym, co mówił, za

każdym razem gdy znajdował się z Giną w jednym pokoju, musiał stawić czoło tamtej upokarzającej klęsce i zwalczać własny ból. Musiał radzić sobie z tym straszliwym poczuciem winy.

„Nie mogę ci dać tego, czego potrzebujesz”.

Ile razy powtarzał te słowa?

A jeśli miał rację?

Może rzeczywiście nie mógł dać jej tego, czego potrzebowała, ponieważ to ona nie dawała mu tego, czego potrzebował. Jej obecność nie pozwalała na to, żeby cierpienie odeszło, a rzekoma klęska przybladła wraz z upływem czasu.

„To ty mnie opuściłaś” - powiedział jej wyimaginowany przyjaciel ciągle oskarżycielskim tonem.

„Tak, ale ty mnie nie szukałeś” - odpowiedziała mu, starając się zdusić łzy.

Max nie szukał jej wtedy i nie będzie szukał teraz.

Delikatne pukanie do drzwi sprawiło, że podskoczyła ze strachu.

- Dobrze się czujesz? - usłyszała głos Molly.

A więc Molly nareszcie się zbudziła.

Gina przetarła oczy, sięgnęła przez miejsce, w którym stał Max z jej wyobraźni, i otworzyła szeroko drzwi.

Molly nadal była blada, ale wyglądała znacznie lepiej. Przynajmniej mogła utrzymać się na nogach.

- A ty jak, w porządku? - spytała Gina.

- Jeszcze trochę niewyraźnie - przyznała Molly. - Będziesz mieć coś przeciw temu, że wezmę prysznic?

Była zbyt uprzejma, żeby spytać, z kim Gina się tak kłóciła. Zresztą jeden rzut oka na malutką łazienkę wystarczył, by przekonać się, że poza nią nie było tam nikogo.

- Oczywiście, że nie - odparła Gina i ściągnęła swoje prawie suche ubranie z drążka na zasłonkę. - Emilio, to znaczy ten facet z pistoletem, przyniósł nam trochę puszek. Jak się wykąpiesz, musisz coś zjeść, a potem pogadamy, w jaki sposób się stąd wydostać.

Rozdział Czternasty
Wyspa Meda, Indonezja
24 czerwca 2005
Dzień dzisiejszy

Jules wiedział, że czekanie to coś, co doprowadza Maksa do szału. To znaczy do jeszcze większego szału niż zwykle. To prawda, jego były szef przeżył naprawdę ogromny wstrząs; Jules znał go wystarczająco długo, żeby od razu zdiagnozować zachowanie Maksa jako rezultat przedłużonego stresu. Żeby nie minąć się z prawdą, należało jasno powiedzieć, że Max Bhagat nie przeżywał tego stresu w skrytości ducha.

Nie, Max szedł na dno wśród fajerwerków i sztucznych ogni.

Fakt, że przetrwał dwanaście rund sam na sam z Gradym Morantem, był czymś naprawdę godnym uwagi.

Nawet on to zauważył.

- Prawie przegrałem - zwierzył się Julesowi.

Chłopie! Czy komuś przyszłoby to do głowy?!

I nawet pozwalał im dyskutować z sobą prawie na serio.

To plus odmowa snu, wpatrywanie się przed siebie przez całe setki mil, a także zupełna transformacja z przyzwoicie ubranego agenta FBI w śmierzącego alkoholem osobnika o wyglądzie terrorysty... Prawda, dzinsy i trampki załatwił Jules, lecz broda i poważnie sfatygowany kapelusz były w całości pomysłem Maksa.

Owszem, przez ostatnich kilka dni nie mieli dostępu do wody i mydła, za to nieznośny upał dobrze dał się im we znaki. No i tak...

Podróż z Dżakarty do wschodniej części Indonezji wyglądała jak jakaś diabelska seria przeskoków hydroplanem z wysepki na wysepkę. I każdy z nich trwał znacznie dłużej, niż się spodziewali. Ostatni odcinek podróży, przejażdżka łodzią w kompletnej ciemności z Kupang na ten odległy skrawek ziemi zawieszony gdzieś w połowie drogi donikąd, wydawał się szczególnie nierzeczywisty.

Potem czekała ich piesza wycieczka w góry przez dżunglę - tak samo w środku nocy - aż do punktu obserwacyjnego CIA, który przypadkowo znajdował się w sąsiedztwie domostwa Emilia Testy.

Punkt obserwacyjny mieścił się w nowoczesnym apartamencie z oknami wychodzącymi na centralny plac, który sądząc z wyglądu, w czasach rozkwitu wyspy pełnił funkcję miejscowego bazaru.

Najwyraźniej w latach siedemdziesiątych wyspa Meda była atrakcją turystyczną. Powstało wówczas wiele stylowych miejsc wypoczynkowych, jak również mnóstwo letnich rezydencji: luksusowych wakacyjnych domów bogatych Europejczyków, którzy musieli pokonywać mnóstwo mil, by uzyskać punkty dla stałych klientów danej linii lotniczej. Lecz bliskość Timoru Wschodniego i tocząca się tam już od dziesiątków lat wojna nadały nowe znaczenie obietnicom biur podróży, które zapewniały turystów, że czekają ich absolutnie niezwykle, niezapomniane wakacje. Najbogatsi z bogatych przestali przyjeżdżać.

Mniej nadziani ludzie, którzy zamieszkali w tych opustoszałych eleganckich willach, nie zawracali sobie głowy konfliktem zbrojnym, który rozgrywał się praktycznie tuż za ich plecami. Zazwyczaj robili jakieś ciemne interesy i nie tylko wprowadzili na tym terenie rządy bezprawia, ale podnieśli to bezprawie na niespotykane wyżyny.

Apartament, w którym chwilowo się znajdowali, CIA zajmowała od roku. Stąd prowadzono obserwację miejscowych rabusiów, z których wielu, jak sądzono, miało związki z Al - Kaidą.

Jego lokator był jednym ze szczęśliwych i przyjaźnie usposobionych sąsiadów pana Testy, od którego dzieliły go zaledwie dwa domy.

W jakim stopniu był to zbieg okoliczności? Bóg jeden wie. Chociaż gdyby okazało się, że Testa rzeczywiście ma powiązania z terrorystami, Julesowi byłoby o wiele łatwiej powiedzieć „tak”, gdy już go złapią, a Max poprosi o pozwolenie uduszenia więźnia.

Jednak w tym momencie takie plany należało odłożyć. Max co prawda się gorączkował, ale Jules był zadowolony z tego przymusowego wypoczynku, a także z tego, że mają schronienie i zapewniony dach nad głową.

- Może też zrobisz sobie przerwę? - spytał, siadając obok Maksa, tuż pod oknem.

Potwierdziła się informacja, że dom Testy, gdzie przetrzymywano Ginę oraz Molly, nie ma tylnego wejścia, a nawet tylnych czy bocznych okien. Przytulony do urwistej ściany po drugiej stronie kwadratowego placu miał tylko jedne drzwi - z przodu.

Gdyby to mieszkanie było właściwym punktem obserwacyjnym... Gdyby informator Julesa z CIA, facet o pseudonimie Benny, przekazał im wiadomości na temat Emilia Testy.

Benny nie zjawił się na umówione spotkanie w dokach Dżakarty, co Julesowi sprawiło olbrzymią przykrość, ponieważ agent miał im dostarczyć cały zestaw gadżetów używanych przez CIA. Urządzenia do podsłuchu. Gogle na podczerwień. Zestaw mikrofonów i minikamer.

W dodatku Benny nie odbierał komórki, musieli więc wsiąść na pokład samolotu bez niezbędnego wyposażenia, co spowodowało kolejną sprzeczkę pomiędzy członkami znakomitego, choć nieoficjalnego zespołu Julesa; dream teamu, który w połowie składał się z kryminalistów, a w połowie z psycholi.

Teraz Max znowu zerknął na mroczny pokój, gdzie Jones chrapał w najlepsze, wyciągnąwszy się na kanapie.

Pan Rozbójnik spędził dziś kilka godzin, wędrując po okolicy, żeby zrobić rozpoznanie terenu.

- Nie sędzę, żeby udało mi się zasnąć - przyznał Max, zwracając się do Julesa. - Trochę się zdrzemnąłem, kiedy lecieliśmy na Kupang.

- Tak, mniej więcej czterdzieści minut - zauważył Jules. - Zresztą chciałbym ci zwrócić uwagę, że to było jakiś czas temu.

Ale Max pokręcił głową.

- Po prostu nie mogę...

Tęsknym wzrokiem spojrzął przez okno na ściany tamtego domu stojącego po przeciwnej stronie brudnego rynku, a Jules pomyślał, że Max oddałby diabłu duszę za aparat rentgenowski, którym mógłby prześwietlić mur i który choćby przez ułamek sekundy ukazałby mu Ginę całą i zdrową.

Dobrze, że wszystkie okna tego budynku wyposażono w lustrzane szyby, w przeciwnym razie Max już by tam był i próbował jak Spiderman wspiąć się po ścianie, by zajrzeć do środka.

Panie Boże, proszę cię, żeby Molly i Gina jeszcze żyły...

- Może powinienes położyć się i chociaż spróbować... - „odpocząć”, miał zamiar powiedzieć, ale Max uciął krótko.

- Nie!

I Jules osiągnął tylko tyle, że Max, zamiast odprężyć się, zaczął zaciskać szczęki, co jego były podwładny obserwował z prawdziwym zaniepokojeniem. Niech to szlag!

- Skarbie, zabijasz mnie.

Nie miał pojęcia, jak pomóc temu człowiekowi. Gdyby na miejscu Maksa był ktokolwiek inny, Jules usiadłby obok, przez chwilę

popatrzyłyby w nocne niebo, a potem zaczął mówić. Oczywiście zaczęłyby od czegoś banalnego, żeby ocieplić atmosferę, zanim przejdzie do poważniejszych kwestii.

Chociaż... Może gdyby spróbował, Max albo otworzyłyby przed nim duszę - cha, cha, jakby to w ogóle było możliwe - albo wstał i poszedł sobie gdzieś, gdzie nie musiałby wysłuchiwać gadania Julesa. W ten sposób oderwałyby się od okna, przez które i tak nie było nic widać, i może choć na parę minut przyłożył głowę do poduszki.

Z pewnością sprawa warta była zachodu.

Oczywiście istniało mnóstwo innych rozwiązań. Na przykład Max mógł chwycić Julesa za gardło i trzymać tak długo, aż ten zemdleje.

W porządku. Zaczniemy rozmawiać. Chociaż z drugiej strony, czy należało zawracać sobie głowę jakąś błahą pogawędką tylko po to, żeby Max się zrelaksował? Jakby te dwa słowa „Max” i „relaks” nigdy dotąd nie znalazły się obok siebie w jednym zdaniu.

Skoro więc nic podobnego nie miało prawa się zdarzyć, to najlepiej było zabrać się do dzieła z entuzjazmem i bez zwłoki.

Zresztą... Czy istniał dobry sposób, żeby oznajmić przyjacielowi, że wybory, jakich dotąd dokonał, były najgłupsze z możliwych, a on sam okazał się, oględnie mówiąc, kompletnym durniem?

Max najwyraźniej świetnie sobie zdawał sprawę z wewnętrznych rozterek Julesa.

- Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to na litość boską wykrztuś to wreszcie, zamiast siedzieć i wydawać z siebie te dziwne dźwięki.

- Co?! Jakie dźwięki?! Przecież nic podobnego nie robię.

- Owszem robisz. - Max pokiwał głową.

- Na przykład? - Jules wyciągnął rękę, żeby zachęcić Maksa do zademonstrowania, o co mu chodzi.

- Na przykład... - Max westchnął ciężko. - Na przykład tak. - I zaczął uderzać językiem o zęby.

Jules zaczął się śmiać.

- To wcale nie są dziwne dźwięki. Dziwny dźwięk to na przykład coś takiego... Łup, łup, łup... - próbował naśladować odgłosy z filmu o trzech komediantach. - Albo wrrr...

- Czasami naprawdę muszę się ciężko napracować, żeby sobie przypomnieć, że jesteś jednym z najlepszych agentów w departamencie - jęknął Max. - Jeśli chcesz mi coś powiedzieć,

Cassidy, to po prostu to powiedz. Albo się zamknij i przestań wzdychać.

- Dobrze - odparł Jules. - W takim razie powiem... - Wziął głęboki oddech i powoli go wypuścił. - No więc tak... Wie pan, Max, że pana kocham. I to bardzo, bardzo mocno.

O rany, co ma dalej mówić, skoro zaczął od czegoś tak banalnego?

Mimo wszystko te spokojne, konkretne słowa sprawiły, że Max nie tylko zechciał się oderwać od okna, ale najwyraźniej zaczął uważnie słuchać. A to wydało się Julesowi nieco podejrzane. Jednak zupełnie zaskoczyło go prawdziwe zatroskanie, jakie dostrzegł w spojrzeniu byłego szefa.

Czyżby Max rzeczywiście myślał, że...? Mało brakowało, a Jules wybuchnąłby śmiechem.

- Och, nie! To wcale nie tak! Ja miałem na myśli taką platoniczną miłość, zupełnie aseksualną!

Zobaczył, jak troska na twarzy Maksa zamienia się w ulgę i zrozumienie. Ten człowiek musiał być naprawdę wykończony, skoro pozwolił dojść do głosu tak prymitywnym instynktom.

- Przepraszam. - Pozwolił sobie na uśmiech. - Ja tylko... - Westchnął głęboko - ... To znaczy mówienie o tym, jak jeszcze bardziej skomplikować i tak pogmatwane sprawy...

To było doprawdy zdumiewające. Max nie wzdrygnął się ze wstrętem na samą sugestię, lecz po prostu martwił się o Julesa i o to, żeby nie zranić jego uczuć. I nawet nie próbował obrócić wszystkiego w kiepski żart. Ale dalej z całą stanowczością twierdził, że on i Jules nie byli przyjaciółmi.

Jules poczuł dziwny ucisk w gardle.

- Nie ma pan pojęcia, Max, jak bardzo sobie cenię pański podziw i akceptację - powiedział cicho.

- Mój ojciec urodził się w Indiach w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku - powiedział nagle Max. - Jego matką była biała kobieta, Amerykanka, a ojciec nie był bogatym Hindusem, lecz pochodził z nizin społecznych. Nietolerancja, której oboje doświadczyli w Indiach i później w Ameryce, sprawiła, że... że stał się zgorzkniałym, nieugiętym i bardzo, ale to bardzo nieszczęśliwym człowiekiem... - Zerknął na Julesa. - Wiem, że pewną rolę odgrywają cechy osobowości i może ty jesteś silniejszy od niego, ale jednak...

Ludzi niszczy się w każdym czasie. I mogą oni albo zostać tam, gdzie są, i tarzać się w błocie, albo robić to, co ty zrobiłeś... I co robisz. Więc sam rozumiesz... Szanuję cię bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

O kurczę!

Płacz był raczej złym pomysłem, więc Jules chwycił się jedynej możliwości. Obrócił wszystko w żart.

- Nie miałem pojęcia, że w ogóle miał pan ojca, Max. W biurze krążyły plotki, że przyleciał pan nie wiadomo skąd na latającym talerzu...

- Wiesz, wolałbym nie spędzić całej nocy na gadaniu o byle czym - przerwał mu Max. - Więc jeśli już powiedziałeś, co zamierzałeś...

O rany...

- Okay - zgodził się Jules. - Nie będę dłużej wałkował tego tematu, ponieważ mniej więcej powiedziałem to, o co mi chodziło. Powiedziałem to, co powiedziałem, ponieważ sądziłem, że wypada jakoś uczcić naszą ośmioletnią znajomość. No wiesz, Max, chciałem najpierw wyjaśnić, jak bardzo cię kocham i za jak wspaniałego człowieka uważam, i to miała być pierwsza część mojego przemówienia...

- Przemówienia... - powtórzył jak echo Max.

- ... ponieważ w części drugiej postanowiłem wielokrotnie, acz w zawołany sposób dać ci do zrozumienia, że jesteś pieprzonym idiotą.

- O Chryste - mruknął Max.

- No więc tak, naprawdę cię kocham - ciągnął Jules. - Jak najlepszego kumpla i przyjaciela... Chcę jeszcze dodać, że tak samo uwielbiam dla ciebie pracować. W Bogu pokładam nadzieję, że jeszcze wrócisz i znów będę twoim podwładnym. Widzisz, ja całkowicie akceptuję cię jako mojego szefa nie dlatego, że zostałeś wyznaczony na to stanowisko przez jakichś skretyniałych ważniaków, ale dlatego, że zasłużyłeś sobie na każdy cal kwadratowy tego wspaniałego biura. Kocham cię nie tylko dlatego, że jesteś bystry i masz otwarty umysł, ale dlatego, że chcesz i potrafisz rozmawiać z ludźmi, którzy reprezentują odmienne poglądy... I kiedy oni mówią do ciebie, ty ich słuchasz. Na przykład tak jak teraz. Bo słuchasz mnie, prawda?

- Nie - odparł Max.

- Kłamca - odparł niezrażony niczym Jules. - Fakt, że tylu ludzi chętnie sprzedałoby własną babcię, żeby tylko znaleźć się w twoim zespole, nie jest przypadkiem. Sir, jest pan kimś nadzwyczajnym, a pańska krótka przemowa do mnie tylko to potwierdza. Budzi pan w nas śmiertelne przerażenie, bo boimy się, że nikomu z nas nie uda się spełnić pańskich wyśrubowanych oczekiwań. Ale ty jesteś tak silny, Max, że zawsze dasz radę pociągnąć nas za sobą, nawet jeśli komuś zabraknie wytrwałości. Niektórzy tego nie rozumieją, nie pojmują, na czym polega twoja charyzma... Wiedzą jedynie, że na twój rozkaz poszliby bez wahania nawet do piekła. Ale widzisz, ja wiem, że ty i tak bylibyś tam pierwszy, a oni musieliby biec, żeby dotrzymać ci kroku. Nigdy się nie wzdragasz, nigdy nie wahasz ani nie pozwalasz sobie na odpoczynek.

Max tkwił nieruchomo przy oknie i nawet na moment nie oderwał spojrzenia od tamtego domu.

- Jak sądzisz, co się stanie złego, jeśli przestaniesz zgrywać supermana i trochę się zdrzemniesz? - spytał Jules cicho. - Jeśli przez jedną godzinę, jeden wieczór... no, do diabła, nawet cały weekend nie będziesz robił nic, tylko oddychał głęboko i chłonał uroki życia? Co złego się wydarzy, jeżeli - po tym, jak ta impreza dobiegnie końca - rzeczywiście zaczniesz czerpać prawdziwą przyjemność z towarzystwa Giny? Usiądziecie objęci i nareszcie poczujesz, jak bardzo jesteś szczęśliwy. Nie musisz być szczęśliwy przez całą wieczność, wystarczy, że będzie tak przez jedną krótką chwilę.

Max dalej się nie odzywał.

A Jules ośmielony jego milczeniem brnął dalej.

- Potem może zechcesz powtórzyć ten eksperyment w czasie następnego weekendu. Nie mówię, żebyś udusił się z nadmiaru szczęścia - dodał szybko. - Tego absolutnie nikt nie pragnie. Mówię, żebyś poczuł zadowolenie z własnego życia, ponieważ ta zadziwiająca kobieta stała się jego częścią, ponieważ dzięki niej zacząłeś się uśmiechać i pewnie też w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałeś, że można tak wspaniale się pieprzyć... No widzisz? Naprawdę mnie słuchasz. Nie zabijaj mnie, chciałem się tylko przekonać, że się nie wyłączyłeś.

Max obrzucił Julesa dobrze znanym spojrzeniem.

- Skończyłeś wreszcie?

- Och, mój drogi, nigdzie nie musimy się spieszyć, a do wschodu słońca mamy jeszcze mnóstwo czasu. Ja dopiero zacząłem się rozkręcać.

„Cholera”, bez wątpienia to właśnie miała znaczyć mina Maksa.

Po drugiej stronie ulicy od kilku godzin panował całkowity bezruch. I dalej nic się nie zmieniło, a mimo to Max podszedł do okna, żeby osobiście to sprawdzić.

Jules siedział w milczeniu przez całe półtorej minuty.

- Na wypadek gdybym nie wyraził się całkiem jasno... Uważam, że zasługujesz, całkowicie zasługujesz, na tyle szczęścia, ile tylko zdołasz zagarnąć. Nie wiem, jaką krzywdę wyrządził ci ojciec, ale...

- Ja po prostu nie wiem, czy potrafię to zrobić - przerwał mu Max. - No wiesz, to o czym przed chwilą mówiłeś. Tak zwyczajnie wrócić z pracy do domu i...

Chryste Panie, Max się odezwał! W ogóle zechciał wykrztusić choć jedno słowo! Jules czekał na dalszy ciąg, ale Max tylko pokręcił głową.

- Wiesz, co się stanie, jeśli tyłek ci odpadnie od nadmiaru roboty? - spytał Jules i zaraz sam sobie odpowiedział. - Przy najbliższej okazji przekonasz się, że już nie masz tyłka. I będziesz musiał wziąć się do następnej istotnej części ciała. Powinieneś dać sobie czas, żeby się odbudować, żeby ponownie naładować baterie. Kiedy ostatnio byłeś na wakacjach? W dziewięćdziesiątym pierwszym czy dziewięćdziesiątym drugim?

- Cholernie dobrze wiesz, że ostatnio miałem naprawdę długi wypoczynek po...

- Nie, sir, wcale nie. Hospitalizacja i dochodzenie do zdrowia po prawie śmiertelnym postrzale to nie wypoczynek - zgasił go Jules. - Max, czy leżąc na oddziale intensywnej opieki, zastanowił się pan choć raz, jak to się stało, że został pan trafiony akurat w klatkę piersiową? Czy może był to skutek zmęczenia spowodowanego pracą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu?

Max westchnął ciężko i pochylił głowę.

- Wiem, że spieprzyłem sprawę. Co do tego nie ma wątpliwości... - Przez moment nic nie mówił, a potem dodał: - Rzeczywiście ostatnio za dużo pracowałem. - Rzucił spojrzenie w głąb pokoju, gdzie leżał Jones i zakrywając rękoma oczy, udawał, że śpi. - Za często

odgrywałem rolę Boga. Zresztą nie wiem, może za bardzo wierzyłem we własne szczęście, aż w końcu los obrócił się przeciwko mnie i spróbował mnie ugryźć.

- Dobrze, że nie w tyłek - zauważył Jules.

Max uśmiechał się, ale ten uśmiech szybko zbladł.

- Tak, raczej wydaje mi się, że wybrał gardło.

Potańczał otwartą dłonią czoło, podczas gdy Jules siedział i tylko się przyglądał.

- To zawsze tkwi w mojej głowie - powiedział tak cicho, że Jules ledwie go słyszał. - Te wszystkie sprawy, które powinienem załatwić. Wszystko, czego akurat nie robię. Nie mogę tego zostawić ot tak sobie, jak się zostawia na biurku stos segregatorów, i tak po prostu pójść do domu.

Podniósł oczy, a wtedy Jules dostrzegł w nich prawdziwe cierpienie.

- Jak mógłbym oczekiwać, że ktoś taki jak Gina zechce to wytrzymać?

O rany...

Okay. Nareszcie to była prawdziwa rozmowa, a nie tylko wymiana zdań.

- Ale spodziewałaś się, że Alyssa to wytrzyma, tak? - sprzeciwił się Jules. - Bo przecież poprosiłaś, żeby za ciebie wyszła.

Cisza. Długa, przygnębiająca cisza. Jules właśnie miał dać sobie w pysk za to, że poruszył temat Alyssy Locke, swojej przyjaciółki i byłego partnera w FBI, którą najwyraźniej Max wciąż z bólem wspominał.

- Ona miała zwyczaj zostawać w pracy nawet dłużej niż ja. Czasami czułem się przy niej jak kompletny mięczak.

Jules zupełnie się z tym zgadzał. Ilekroć przychodził do pracy, niezależnie od godziny, Alyssa już tam była.

- Nawet żartowaliśmy, że oszczędza na wynajmie mieszkania i że całkiem przeprowadziła się już do biura. - Zaśmiał się, ale zaraz przestał. - Żarty na bok. Chyba wiesz, że w tamtych czasach praca była dla niej jedyną rozrywką? To znaczy teraz, kiedy pracuje w cywilnym sektorze - co, nawiasem mówiąc, bardzo jej odpowiada - potrafi wziąć urlop. Wyjeżdża na weekendy. Ona i Sam właśnie kupili nowy dom, jakąś kompletną ruinę. Postanowili wyremontować go własnymi siłami.

- Co takiego? - Max zaśmiał się z niedowierzaniem. - Jak Sam zamierza to zrobić? Niewiarygodne!

- Alyssa wydaje się naprawdę szczęśliwa - zauważył Jules.

Max skinął głową.

- To dobrze. Dokonała słusznego wyboru... Mam na myśli to, że nie chciała za mnie wyjść.

- Dlaczego tak uważasz? Bo tak naprawdę wcale jej nie kochałeś?

- Chryste, nie mam pojęcia - odparł Max. - Czy jak się zakochasz, to czujesz się tak, jakbyś potrzebował solidnej porcji lekarstw? Jakbyś miał za chwilę eksplodować, ponieważ jednocześnie pragniesz tej dziewczyny i chcesz ją chronić, a możesz zrobić tylko jedno albo drugie, a nie dwie te rzeczy naraz, więc żołądek zwija ci się w kłębek i zaczynasz zachowywać się jak kompletny szaleniec, i w rezultacie każdy na tym traci? Psiakrew!

Jules przyłożył palec do policzka i udawał, że zastanawia się nad jego słowami.

- Rozumiem, że odpowiedź brzmi „nie” - powiedział. - Że tak na prawdę nie kochałeś Alyssy, ponieważ kiedy mówisz „dziewczyna”, zwykle masz na myśli Ginę... Mój drogi, z tego, co wiem, Gina jest w stu procentach kobietą. Powinieneś zacząć swoją metamorfozę od tego, że spróbujesz trochę mniej się wygłupiać, dobrze? I przestań wreszcie mówić o niej w sposób, który całkowicie mija się z prawdą.

Max zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

- Więc wszystko, co mam zrobić, to przestać nazywać Ginę dziewczyną, a sprawy same się ułożą, tak? I będziemy żyć jak w bajce, długo i szczęśliwie.

- Nie będziesz szczęśliwy, dopóki nie pozwolisz sobie być szczęśliwym - odparował Jules. - I dopóki nie zaakceptujesz tego prostego faktu, że nie możesz ocalić życia wszystkim na tym świecie. Ludzie umierają, Max. Nie możesz uratować każdego, ale możesz pomóc niektórym, oczywiście jeśli zbyt intensywna praca w końcu cię nie zabije. Wtedy skończy się na tym, że... Czeka, pobawimy się trochę w matematykę... Zero dodać zero... Wiesz, wykombinowałem, że to będzie zero.

- A jeśli to właśnie Gina jest jedną z tych osób, które chcę ocalić? Jeśli pragnę czegoś... Sam nie wiem, czegoś lepszego dla niej... Cholera, to nie jest właściwe słowo, ale...

Ale Jules już podjął myśl.

- Lepszego niż co? - prychnął z niesmakiem. - Lepsze niż dzielenie życia z mężczyzną, który, używając jego własnych słów, kompletnie oszalał na jej punkcie? Człowiekiem, który zyskał podziw i szacunek absolutnie każdego, z kim pracował, włączając w to trzech prezydentów Stanów Zjednoczonych? Facetem, który potrafi być sexy, nawet kiedy śmierdzi potem? No dalej, Max, powiedz mi, pod jakim względem musisz być jeszcze lepszy, co? Moim zdaniem jedyne, czego ci trzeba, to porządnej, naprawdę porządnej terapii.

- Nie. - Max pokręcił głową. - Nie... Miałem na myśli całkiem co innego. Mniej... Nie wiem, jak to ująć. Trudno mi o tym mówić... - Zamknął oczy i odetchnął głęboko. - Nieraz wyobrażam sobie przyszłość i widzę, jak zaczynam Ginę ranić. I... Boże, widzę, że ona rani mnie. To nie do uniknięcia. Ale jednak nie potrafię żyć z dala od niej. Mam zamiar tam wejść... - gestem wskazał ciemny budynek po drugiej stronie placu - ... wydostać ją stamtąd, a potem zawieźć do domu i już nigdy nie pozwolić odejść. Dopóki będę mógł jej czegokolwiek zakazywać. Dopóki nie dojdzie do tego nieuchronnego rozdźwięku między nami.

Jules przez dłuższy czas siedział i nic nie mówił.

- No cóż - powiedział w końcu. - To też jakiś pomysł, mój panie romantyku. A potem żyli dość żałośnie rozczarowani sobą nawzajem, wcale nie długo ani nie szczęśliwie...

Mięśnie na twarzy Maksa znów zaczęły na przemian zaciskać się i rozluźniać.

- Może lepiej przestańmy już rozmawiać na ten temat, dobrze? To wcale mi nie pomaga.

Tym razem Jules pozwolił, żeby cisza nocy wzięła ich we władanie na całe trzy minuty.

- Wiesz chyba... - w końcu przerwał tę ciszę, bo, do cholery, być może Maksowi pomoże to, co zaraz usłyszy - że spędziłem trzy lata w prawdziwie... prawdziwie toksycznym związku z facetem o imieniu Adam, który po kawałku wydierał mi serce... Nie, to ja mu pozwalałem wydierać sobie serce. I zawsze się zgadzałem, żeby do mnie wrócił. Aż w końcu dotarło do mnie, że on w kółko będzie mnie ranił. Wreszcie to zrozumiałem. Przez tyle czasu nie umiałem go właściwie ocenić i ciągle popełniałem ten sam błąd, ponieważ jakaś część mnie nie chciała go odrzucić... Ponieważ mój umysł nie umiał

zaakceptować rzeczywistości... Zupełnie jakbym powtarzał sobie: „Tym razem będzie inaczej. Tym razem on będzie mnie kochał tak, jak chcę być kochany”. W końcu osiągnąłem taki punkt, w którym musiałem uciszyć tę wiecznie optymistyczną, niewinną jak sześciolatek i wierzącą w Świętego Mikołaja część mnie samego. Musiałem zacząć trzymać ją pod kluczem i to zrobiłem. Kiedy raz mi się to udało, nagle zorientowałem się, że mogę odejść od Adama. Do diabła, odkryłem, że mógłbym odejść od... dosłownie od każdego, gdyby to było konieczne. Co wcale nie oznacza, że zerwanie tamtego związku wcale mnie nie bolało... Bolało, i to cholernie.

Jules umilkł na moment i pomyślał o tych wszystkich billboardach, tych reklamowych zdjęciach na autobusach, na które natykał się dosłownie wszędzie.

- Mimo to pewnego dnia obudziłem się i doszedłem do wniosku, że bardziej chyba żałuję utraty tego dziecka, które mieszkało we mnie. Bez tego szczęśliwego malca stałem się osobą, która wcale mi się nie podoba... Jestem teraz strasznym ponurakiem, wiesz?

Zbyt podobnym do ciebie, Max.

Nie powiedział tego na głos, ale czuł, że Max i tak właściwie odebrał przesłanie.

- Spędziłem mnóstwo czasu, zastanawiając się, czego tak naprawdę chciał ten mój sześciolatek - mówił dalej spokojnym tonem. - I odkryłem, że wcale nie chodziło mu konkretnie o Adama. Tak samo nie o Robina, tego drugiego... Zresztą nieważne. - Pokręcił głową. - Chcę powiedzieć, że doszedłem do wniosku, że wcale nie pragnąłem Adama, ja tęskniłem za ideałem, którego ubrałem w jego postać. I pragnąłem kogoś podobnego do tego Adama z moich marzeń. Chciałem kogoś, kogo mógłbym kochać i kto w zamian kochałby mnie w ten sposób, w jaki ja pojmuję miłość i szacunek.

Max westchnął.

- Czy zdarzyło ci się kiedyś po prostu siedzieć? Siedzieć i nic nie mówić?

- Chcesz żebym się zamknął, zanim dotrę do sedna tej historii? - spytał Jules.

- Och, więc jest tam jakieś sedno? W takim razie...

- Pieprz się, Max.

- ... nie przeszkadzaj sobie.

- Zmierzałem do tego, żeby ci powiedzieć, że udało mi się wyciszyć, trochę dopasować i wypuścić znów na wolność mojego sześciolatka.

Max najwyraźniej nie pojmował, o co chodzi Julesowi.

- I nie zmieniłem się w przygnębioną, mrukliwą i nieszczęśliwą osobę pozbawioną wszelkiej nadziei... na przykład jak twój ojciec. Ciągłe słyszę w sobie bojowy okrzyk mojego sześciolatka: Pewnego dnia zjawi się mój książę z bajki. Oczywiście jak wiesz, on też ma swoje problemy. To znaczy: Cześć, dalej szukasz jakiegoś ideału? W każdym razie robię postępy. Mówię ci o tym, ponieważ wiem, że gdzieś tam w środku ciebie, w jakiejś dawno zapomnianej dziurze mieszka twój wewnętrzny i pełen nadziei chłopczyk. Kochany, musisz go tylko odnaleźć i pozwolić mu wrócić do gry. Jeśli nie chcesz, to wcale nie musisz spędzać długich godzin na psychologicznych analizach, kto - może twój ojciec - zamknął w tobie tę część duszy, która wierzy w Świętego Mikołaja. Chociaż to wcale nie musi boleć. Jestem wielkim fanem poznawania siebie i zastanawiania się nad sobą. Lecz nawet jeśli te poszukiwania zakończą się fiaskiem, to i tak możesz przekazać w głąb własnej duszy wiadomość: Wolno mi być szczęśliwym. Wolno mi pozwolić sobie na to, żeby Gina mnie kochała. I może wówczas, kiedy jutro kopniemy w tamte drzwi, będziesz mógł zabrać ją do domu bez tego pieprzenia o nieuchronnej klęsce i tak dalej.

- Taak... - zgodził się Max. - Tylko... Mam wrażenie, że Gina jest w ciąży.

Co takiego?!

- Nie, to niemożliwe - odparł Jules. - Z nikim się nie widywała. Trochę się zachwycała Lesliem, to znaczy Jonesem, kiedy tylko go poznała. Ale rozumiem, że nie chcesz o tym słuchać. Prawdę mówiąc, mniej więcej miesiąc temu dostałem od niej list. Napisałaby mi o czymś takim. A ja powiedziałbym tobie, chyba o tym wiesz.

- Tak, ale chyba jednak było inaczej - rzekł Max. - To był jakiś Kenijczyk. Paul Jimmo. Został zabity kilka miesięcy temu podczas walk o prawo do wody.

- Nie, to wcale nie tak - odparł z ulgą Jules. - Wspominała mi o nim w którymś z listów. Ten człowiek miał farmę mniej więcej sto mil na północ od ich obozu, gdzie mieszkał z żoną i dziećmi. Skarbie, on był żonaty!

Max gapił się na niego z osłupieniem.

- Zdaje się, że on poprosił Ginę, by została jego drugą żoną. Przez chwilę krążyło to po obozie w formie dowcipu, ponieważ, sam rozumiesz, chodziło o Ginę, a ona raczej nie jest typem kobiety, która miała by chęć dzielić się mężem. Ale nawet jeśli go lubiła... Może najpierw tak było, ale potem on stał się odrobinę za bardzo nachalny i to ją odstręczyło. Ale na litość boską, nawet gdyby była w nim zakochana - a to w ogóle nie wchodziło w grę - to nie wplątałyby się w romans z żonatym mężczyzną. Nie Gina. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Jedno spojrzenie na Maksa wystarczyło Julesowi, by się przekonać, jak bardzo przeraziła go ta nowina.

Jules wiedział, co teraz myśli Max. Jeśli Gina naprawdę nie spotykała się z nikim innym, to...

- A tak w ogóle, to skąd wiesz, że ona jest w ciąży? - spytał Jules.

Max bez słowa wyciągnął z kieszeni jakiś papier, rozprostował go i podał Julesowi.

W rzeczywistości były to dwa kawałki papieru. Jakiś list i coś, co wyglądało na rachunek. Jules pospiesznie rzucił okiem na jedno i drugie.

- Czy dzwoniłeś...?

- Tak - przerwał mu Max. - Ale nie chcieli ze mną rozmawiać, a ja nie miałem czasu, żeby załatwiać to oficjalnymi kanałami. Nie znam nawet niemieckich praw dotyczących ochrony prywatności... I czy w ogóle są jakieś drogi, którymi można załatwić tego typu sprawę.

- To jest taki typowy urzędowy list - zwrócił uwagę Jules. - A co do testu, to może chodziło o rutynowe badania? Kobiety powinny robić coś takiego raz do roku, prawda? Gina przebywała w Kenii i nagle znalazła się tutaj, żeby pojechać do kliniki z Molly, więc może pomyślała, że trzeba wykorzystać okazję. Może akurat tam test ciążowy jest po prostu częścią corocznych normalnych badań?

- Może - powtórzył jak echo Max, choć nie wyglądał na przekonanego.

- No dobrze, założmy, że mamy do czynienia z najgorszym scenariuszem. Gina rzeczywiście jest w ciąży. O ile ją znam, to przygody na jedną noc nie są w jej stylu, ale... - zaczął Jules i nagle urwał.

Cholera, przecież jego słowa miały pocieszyć Maksa, a wyszło całkiem odwrotnie. Tekst w stylu: „Hej, mam dla ciebie miłą wiadomość. Kobieta, którą kochasz, mogła zajść w ciążę po nocy spędzonej na uprawianiu seksu z jakimś przypadkowym facetem”, raczej nie zapewniał psychicznego komfortu.

I nie miało znaczenia, że ten pomysł był nieco mniej okropny niż ewentualność, że Paul Jimmo nie przestał nagabywać Giny. I że nie uważał jej zdecydowanego „nie” za ostateczną odmowę.

Było raczej oczywiste, co na ten temat myśli Max, biorąc pod uwagę, że robił, co mógł, żeby pokruszyć resztę trzonowych zębów, jaka mu jeszcze pozostała.

- Wygląda na to, że nasza rozmowa raczej nie poprawiła ci humoru - zauważył Jules.

Kiedy Max nie odpowiedział, stało się jasne, że koncentruje wszystkie siły, żeby nie wyskoczyć przez okno i nie polecieć na skrzydłach własnej wściekłości na drugą stronę placu i nie przebić się przez ścianę tamtego domu, gdzie Gina i Molly trzymane były pod kluczem. Boże w niebiosach, spraw, aby rzeczywiście tam byli!

Jules wiedział także, że jeśli wyjdzie na jaw, że Paul Jimmo tknął Ginę bez jej zgody, to Max znajdzie jego grób, wykopie ciało i jakimś cudem przywróci je do życia tylko po to, żeby zaraz udusić sukinsyna własnymi rękoma.

Kiedy Molly wyszła z łazienki, Gina rozbierała właśnie na części metalową konstrukcję łóżka, odkręcając śruby i wyciągając bolce palcami.

- Będziemy mieć tylko jedną szansę, żeby to zrobić - powiedziała i wręczyła Molly dość długi pręt, razem z nogą łóżka zakończoną jednym kółkiem. Miał on kształt wydłużonej litery L, bo jego zadaniem było podtrzymywanie skrzyni ze sprężynami, i niestety nie dało się go wygodnie uchwycić. - Musimy teraz tylko czekać, aż tu wejdą. I lepiej by było, gdybyś już się ubrała. Twoje ciuchy są jeszcze trochę wilgotne, ale powinnyśmy być przygotowane do ucieczki.

- Pamiętaj, że ci ludzie mają broń - przypomniała Molly.

Próbowała trzymać pręt jak kij baseballowy i z całej siły wziąć zamach. Wydawał się ciężki jak diabli, ale czy rzeczywiście uderzenie czymś takim mogło ogłuszyć dorosłego mężczyznę?

- Jeden pistolet - odpowiedziała Gina.

- Tego nie jesteśmy pewne.

Materac stał oparty o ścianę, więc Molly wyciągnęła spod wepchniętego w kąt stolika jedno z dwóch krzesełek, żeby na czymś usiąść.

- Ostatnim razem, kiedy Emilio tu wszedł, nie widziałam, żeby miał przy sobie pistolet. Zresztą chyba i tak nie ma za wiele amunicji - poinformowała ją Gina, która, nawiasem mówiąc, nie miała zielonego pojęcia, co to znaczy być rannym po postrzale z pistoletu. - Pamiętasz, że w ogóle nie próbował go użyć, kiedy do nas strzelano.

- Równie dobrze może mieć mnóstwo amunicji. - Molly ciężko opadła na krzesło, bo nogi wciąż odmawiały jej posłuszeństwa.

Tak naprawdę Emilio potrzebował jedynie dwóch pocisków, żeby przerwać życie trzech istot.

- Może jednak nie - rzekła Gina z determinacją. - A jeśli mam rację, to tylko strach trzyma nas tutaj.

- Owszem, i ten wściekły mały facecik z łomem, którego widziałyśmy w holu.

Gina zastanowiła się.

- Uważasz, że był wściekły?

- Albo to, albo miał kłopoty z wypróżnieniem.

Podczas gdy Molly brała prysznic - ostrożnie myjąc się kawałek po kawałku, żeby ominąć miejsce po biopsji - Gina opowiedziała jej zarówno o wydarzeniach na świecie, jak i bardziej lokalnych rewelacjach - że jacyś tajemniczy „oni”, którzy za wszelką cenę chcieli dostać w swoje łapy Grady'ego Moranta, porwali żonę Emilia, tworząc w ten sposób prawdziwy łańcuch cierpienia.

- Ubieraj się - poleciła jej Gina, która najwyraźniej nie traciła z oczu raz wytyczonego celu. - Mówię serio, Mol, włóż także tenisówki. Jak tylko będziemy gotowe, otworzę te drzwi. O ile wiem, gość z łomem już nie czai się na zewnątrz. A nawet jeśli tak, to... - Dźwignęła swój pręt, także zakończony kółkiem.

- Nie jestem pewna, czy okażę się pomocna - jęknęła Molly, wciągając wilgotne spodnie. - Ciągłe kręci mi się w głowie. I mam mdłości. Poza tym walenie ludzi w łeb nie jest moją specjalnością.

- Powinnaś coś przekąsić - zauważyła Gina i zaczęła majstrować przy puszcze z jedzeniem.

O kurczę!

- Nie, proszę, zostaw to. Nie mogę jeść - zaprotestowała Molly.

- Dobrze, więc zabierzemy to z sobą - zdecydowała Gina, zabierając się do ściągania poszewki z jednej z poduszek, żeby załadować w nią kilka puszek. - Wiem, że nie podoba ci się pomysł zranienia kogoś, ale alternatywą jest...

- Wiem, co jest alternatywą - przerwała jej Molly zajęta sznurowaniem butów. Jones zabity. Albo nawet gorzej. One we dwie, razem z jej dzieckiem - także. Albo gorzej. - Potrafię zdzielić kogoś tym prętem, jeśli będę musiała, możesz mi wierzyć. Miałam na myśli tylko to, że przypuszczalnie nie pójdzie mi to jak z płatką. Jednak wciąż nie przekonałaś mnie, że mamy jakiekolwiek szanse, jeśli facet wyciągnie broń.

- Ciii... - syknęła Gina, podnosząc rękę.

Z korytarza dobiegały jakieś głosy. O Chryste!

- Musimy biec do garażu, prosto do końca korytarzem, a potem na lewo. - Gina podsunęła się do drzwi i uniosła nad głowę kawałek metalowej ramy łóżka, przybierając doskonałą pozycję do ataku.

Wielki Boże!

- Kochanie, czy najpierw nie powinniśmy spróbować czegoś innego? - zapytała błyskawicznie Molly. Ruszyła w stronę Giny, ale nie bardzo wiedziała, gdzie ma stanąć. Jej zadaniem było walnięcie w głowę kogoś, kto wejdzie przez te drzwi, nie zaś Giny. I tak samo dobrze by było, żeby przyjaciółka zachowała podobną ostrożność. - Może należałoby udąć jakąś poważną chorobę, co? Odegrać komedię, że któraś z nas musi jechać do szpitala? Być może wtedy Emilio...

- On nie wypuści nas tak po prostu - przerwała jej Gina. - Jesteś szalona, jeśli myślisz że...

- Przynajmniej powinniśmy dać mu szansę - upierała się Molly.

- Ciii... - syknęła znowu Gina.

Co to za dźwięk dobiegł z korytarza? Przypominał odgłosy wydawane przez jakieś zwierzątko albo...

Albo przez małe dziecko.

Drzwi stanęły otworem i mały chłopczyk, nie więcej niż dwuletni, stanął w przejściu, chwiejąc się na niepewnych nóżkach.

- Nie! - wrzasnęła Molly do Giny.

Ale Gina nie miała zamiaru zdzielić malucha. Nawet zdążyła stanąć przed Molly, zasłaniając dzieciaka własnym ciałem.

I wtedy zjawił się Emilio. Wystarczyło mu jedno spojrzenie - Molly wciąż trzymała nad głową ów nieszczęsny pręt - żeby zorientować się, co się dzieje, i złapać małego w ramiona.

Trudno było jednoznacznie stwierdzić, czy jego zamiarem było chronienie chłopczyka, czy użycie go w charakterze tarczy.

- Widzę, że panie są zajęte - powiedział z tym swoim uroczym akcentem. - Czy mogę paniom przedstawić mojego wnuka Danjumę? Dziękuję wam, że nie zrobiłyście mu krzywdy.

Rozdział Piętnasty

Z nadejściem świtu na ulicy zapanował ruch. Max znów usiadł przy oknie i patrzył, jak ludzie spieszą do pracy na targu. Dzieci wybiegły z domów, żeby pobawić się na zakurzonej placówce.

Kiedy zabręczała komórka Julesa, Grady Morant, który chciał, żeby nazywano go Jonesem, poderwał się na równe nogi.

Jak większość agentów działających w terenie, których Max poznał przez lata pracy w FBI, Jones potrafił w mgnieniu oka przejść od snu do całkowitego rozbudzenia.

Oczywiście Max nie musiał się martwić takimi drobnostkami. Miał lepszy sposób. Wcale nie kładł się spać.

Przynajmniej od chwili, gdy Gina wyjechała.

- Mamy następny mail - oznajmił Jules, trzymając telefon przy uchu. - To Yashi - powiedział do Maksa, a potem zwrócił się w stronę Jonesa. - Joe Hirabayashi - wyjaśnił. - Nasz kolega z zespołu w Nowym Jorku. Tak, tak, Yash, mów dalej. Czeka, coś mi przerywa...
- Odwrócił się i poszedł w stronę okna. - Teraz lepiej cię słyszę. Mów.

Max i Jones nie ruszyli się z miejsca.

- Naprawdę powinieneś trochę odpocząć - zauważył Jones. - Słyszałem, jak wychodziłeś zeszłej nocy, już po tym, jak wróciłem. Spałeś chociaż trochę?

Max popatrzył na niego nienawistnie.

- Chyba lepiej będzie, jeśli przez następnych kilka dni ograniczysz swoje wypowiedzi do „tak jest, sir” i „nie, sir”.

- Odpieprz się. - Uśmiech Jonesa bardziej przypominał wyszczerzenie zębów niż prawdziwe rozbawienie. - Myślisz, że już wszystko o mnie wiesz, dupku? - Przysunął się bliżej i ściszył głos, najwyraźniej świadomy tego, że Jules cały czas ich obserwuje. - Czy ty w ogóle masz pojęcie, kim jestem i do czego jestem zdolny?

Max nawet nie drgnął.

- Wystarczy, że wiem, że byłeś zdolny wciągnąć dwie niewinne kobiety w niebezpieczną sytuację. Ciekawe, jaki następny kretyński numer zamierzasz nam wykreślić?

- Jestem gotów tam iść - odparł zapalczywie Jones. - I to zaraz. Wypocząłem jak należy i teraz mogę iść i wyciągnąć je stamtąd. Postanowiłem przyjść do ciebie, żeby ci pomóc, ale najwyraźniej nie jesteś w stanie skorzystać z oferty, więc postanowiłem...

- Co za błyskotliwy plan - zakpił Max. - Przejdiesz na drugą stronę ulicy, celnym kopnięciem rozwalisz drzwi... I co potem? Jak zamierzasz wydostać się z tej wyspy?

- Mniej więcej trzy mile stąd jest pas dla samolotów - poinformował go Jones. - Domyślam się, że nie dotarłeś aż tak daleko. Na tej wyspie jest masa pieniędzy... Mówię to na wypadek, gdybyś i tego nie zauważył.

- No więc wsiądziesz do samolotu i polecisz... Dokąd? - naciskał Max.

- A czy to ma jakieś znaczenie?

- Biorąc pod uwagę, że twoja żona potrzebuje pomocy medycznej w związku z nowotworem... Może będziesz chciał znaleźć się gdzieś, gdzie można zająć się tą drobnostką.

Jones cały się zjeżył.

- Nawet na sekundę o tym nie zapomniałem.

- A mnie się wydaje, że zapomniałeś... - mówił dalej Max - ... że ktokolwiek chce cię dostać, ma wystarczająco dużo kasy, żeby przetransportować Ginę i Molly z Niemiec aż tutaj, i to bez paszportów. Naprawdę ludzisz się, że ci ludzie nie postarają się cię dostać, kiedy tylko się pojawisz na tej wyspie? Zapomnij o tym!

- Są sposoby, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo - odparł Jones. - Zawsze coś da się wymyślić.

- Na przykład jakie? Zawieziesz ją do ambasady amerykańskiej? Ambasada jest w Din. Rzeczywiście, Molly będzie tam bezpieczna - ale ty nie. Więc co zrobisz? Podrzucisz ją pod bramę? Świetnie. Jeśli zaś chodzi o bezpieczeństwo, to Molly może na nie liczyć wyłącznie w murach ambasady. Jednak jeśli choć na sekundę wyjdzie z budynku - na przykład, żeby pojechać na lotnisko, skąd mogłaby odlecieć do domu - znowu stanie się celem ataku. Jak wówczas zamierzasz ją ochronić? Może chcesz powierzyć jej życie przypadkowym strażnikom z ambasady? Albo kilku chłopcom z piechoty morskiej, z których każdy ma mniej więcej dziewiętnaście lat?

- Więc nie zawiozę jej do ambasady - wycodził Jones.

- Ach tak! Czyli wolisz narazić ją na niebezpieczeństwo.

- Doskonale zdajesz sobie sprawę, że nie chciałem, by to się wydarzyło, i wiesz, że nie chcę ryzykować jej zdrowia ani życia! Ale wiesz, co ci powiem? Ona chce. Gdyby mnie posłuchała, siedziałaby teraz w Iowa u swojej matki jak u Pana Boga za piecem. Zrobiłem

wszystko jak trzeba. Upewniłem się na sto sposobów, że jest bezpieczna, zanim przyjechałem do Kenii. Czekałem całe lata, żeby zyskać pewność, że nic jej nie grozi. Ale psia krewa, popełniłem jeden błąd, nie wziąłem pod uwagę możliwości, że ona zachoruje. A potem ona uparła się, że beze mnie nie pojedzie do Iowa. Odmówiła opuszczenia mnie, chociaż wierz mi, próbowałem wszystkiego. Zagroziłem, że zniknę, ponieważ wtedy będzie wolna i będzie mogła wyjechać, ale odpowiedziała, że poczeka na mój powrót tam, gdzie jest, w obozie. I że jeśli chcę być pewien, że nie otrzyma odpowiedniej pomocy medycznej, to wybrałem właściwy sposób postępowania i...

Jones robił się coraz bardziej wściekły, a w jego oczach pojawił się ból i desperacja.

- Ja ją kocham - powiedział cicho. - Podjąłem to ryzyko i zaufałem Krausowi. Gdybym mógł, cofnąłbym czas i zrobił wszystko inaczej. Mam na myśli całe moje życie.

Max świetnie wiedział, o co tamtemu chodzi.

Wiele lat temu, kiedy Jones nazywał się jeszcze Grady Morant, jego oddział wpadł w zasadzkę w trakcie potajemnej wojny, jaką Stany Zjednoczone prowadziły z pewnym potężnym baronem narkotykowym rezydującym w Azji Południowo - Wschodniej.

Cały oddział został wycięty w pień. Przynajmniej tak głosiły oficjalne raporty, które Max widział.

Najwidoczniej ciało Moranta także zostało odnalezione. Albo, mówiąc ściśle, odkryto pewne fragmenty ludzkich zwłok, a obok nich identyfikator z nazwiskiem Moranta. Lecz tych szczątków było zbyt mało, żeby przeprowadzić wiarygodną identyfikację poprzez odciski palców lub dokumentację stomatologiczną.

Słyszało się różne plotki, jak zawsze gdy chodziło o niemożność potwierdzenia tożsamości żołnierza poległego podczas akcji, ale wszystkie uważano za typowy przykład pobożnych życzeń.

Kiedy te pogłoski nie słabły - jakoby jakiś Amerykanin był przenoszony z więzienia do więzienia - w końcu podjęto śledztwo, ale na pół gwizdka. A ponieważ kosztowało ono zbyt wiele czasu i pieniędzy, w końcu postępowanie umorzono. Wynik nie przyniósł rozstrzygnięcia.

I dopiero ostatnimi laty, kiedy zaczęto masowo stosować testy DNA, wyszło na jaw, że zwłoki pochowane w grobie Grady'ego Moranta nie mają nic wspólnego z jego osobą.

Dokładnie w tym samym czasie zaczęły krążyć wieści o nowym poruczniku Chaia, który rzekomo był Amerykaninem i ekszołnierzem sił specjalnych.

Grady Morant nie zginął w tamtej zasadzce. Zamiast tego spędził wiele lat w piekle więzień Azji Południowo - Wschodniej katowany niehumanitarnie przez oprawców, modląc się, by ktokolwiek go odnalazł, przyjechał i odstawił do domu.

Kilka lat temu Max szczerze współczuł Grady'emu Morantowi. Po pierwszym spotkaniu stało się jasne, że tamte lata w więzieniach nie były żadną fikcją. Morant nie zdradził chłopców ze swojego oddziału, jak każdy przypuszczał, gdy wiadomo już było, że pracuje dla Chaia. Morant nie zdezerterował, przeciwnie, to ojczyzna opuściła go w potrzebie.

Życie bywa naprawdę okrutne.

Lecz w oczach Maksa żadne zło świata nie usprawiedliwiałoby tego, co zrobił Morant, kiedy ów narkotykowy baron, z którym niegdyś walczył, przyjechał w końcu, żeby go uratować i zwrócić mu wolność.

Max wolałby umrzeć. Wolałby zgnieć w więzieniu, niż zacząć pracować dla wroga.

A teraz ten żaloszny dupek, a co najmniej kłamca, przemytnik i złodziej, odnalazł w życiu szczęście. Molly Anderson naprawdę poślubiła tego sukinsyna.

Życie zgotowało im kolejny cios. Jednak Max nie miał żadnych wątpliwości, że kiedy Gina i Molly dotrą bezpiecznie do domu, Molly wygra wojnę z rakiem i będzie żyć długo i szczęśliwie. Jako pani Morant, Pollard, Smith czy też inna, w zależności od tego, jakie nowe nazwisko wymyśli jej mąż.

Psiakrew, biorąc pod uwagę jego cholerne szczęście, Jones pewnie stanie przed sądem za swoje rozliczne zbrodnie i z jakichś proceduralnych względów zostanie uniewinniony.

A w tym czasie Max będzie żył w samotności, podczas gdy gdzieś tam, setki mil od jego prywatnego piekła, Gina będzie wychowywała dziecko nieżyjącego mężczyzny.

- Życie nie pozwala nam na powtórki - powiedział Max do Jonesa.

- Fakt - zgodził się tamten. - Ale czasami daje drugą szansę.

- Okay - odezwał się Jules, wracając do nich i zamykając komórkę. - Sprawa wygląda tak: nasz gość wysłał następny mail. Chce dostać numer telefonu, żeby skontaktować się z nami i przekazać dalsze instrukcje, więc Yashi podał mu numer, po którym Emilio nie będzie mógł nas zlokalizować. Jego telefon zostanie przekierowany na moją komórkę. Wiem, że chciałeś rozmawiać z Giną, ale teraz nie ma co nawet o to prosić. - Spojrzał na Maksa. - Lepiej, by ten porywacz sądził, że Jones przyjechał tu sam. I nie będziemy stawiać wygórowanych żądań, przynajmniej nie w tej chwili. Kiedy natomiast już będziemy mieć pana Testę przy telefonie...

- Wiem - odparł ponuro Max.

- Ale poprosiłem Yashiego, żeby cztery ostatnie cyfry tego fikcyjnego telefonu były te same co w twojej komórce. Chciałem, żeby Gina wiedziała - jeśli przypadkiem zobaczy numer - że tu jesteśmy. Wiem, że szanse są niewielkie, ale...

Jules wzruszył ramionami.

- Dziękuję - powiedział Max.

- Yashi ma też zadzwonić do biura w Dzakarcie i zobaczyć, czy nie da się nawiązać kontaktu z Bennym - relacjonował dalej Jules. - Tak czy inaczej będę się starał zdobyć sprzęt do prowadzenia podsłuchu i obserwacji.

- A ewentualne wsparcie wojskowe? - spytał Jones.

Jules pokręcił głową.

- Wszyscy w tym rejonie zostali postawieni w stan podwyższonej gotowości. Zagrożenie atakiem terrorystycznym jest wciąż określane jako wysokie, natomiast nasza sprawa jest na końcu listy priorytetów. Wiem, że to doprowadza was do szału, ale musimy po prostu siedzieć na tyłku i czekać.

Molly udała omdlenie.

Gina miała ochotę bić brawo, bo doprawdy przyjaciółka nie mogła wybrać lepszego momentu, ale Emilio nie pospieszył jej z pomocą. Zamiast tego cofnął się gwałtownie, by Gina nie mogła go uderzyć prętem, i wciąż ściskając w ramionach wnuka, zaczął wykrzykiwać jakieś rozkazy w języku, który w brzmieniu przypominał wioski.

Niski mężczyzna z łomem wbiegł do pokoju. Na widok Molly odgrywającej finałową scenę z Jeziora łabędziego stanął jak wryty, ale potem podskoczył zwawo i pomógł Ginie z powrotem ułożyć materac na łóżku. Niemniej ani na moment nie spuścił oka z prowizorycznej broni, którą Gina oparła o ścianę.

Kiedy poprawiała prześcieradła i wygładziła koce, upośledzony pod względem wzrostu okaz pokazał, na co go stać i dźwignął jak piórko spoczywającą na podłodze Molly, a następnie ułożył ją na łóżku.

Molly umocniła swoją pozycję w wyścigu o Oscara dla najlepszej aktorki, bo przez całą drogę nie pisnęła ani nawet nie otworzyła oczu.

Prawdę mówiąc, dopóki nie znalazła się na łóżku i Gina nie pochyliła nad nią, Molly nawet nie drgnęła.

Brawo!

Emilio znowu krzyknął coś w głąb korytarza; tym razem na wezwanie zjawiała się ciemnowłosa kobieta i nisko spuściwszy głowę, wręczyła mu kilka butelek wody, po czym bezszelestnie zniknęła.

- Ona musi jechać do szpitala - oznajmiła Gina. S

korzystała z pierwszej okazji, by wypróbować pomysł Molly, jako że idea wyrwania się na wolność siłą nie wchodziła już w rachubę.

Emilio podał butelki Małemu z Łomem, a on gniewnym ruchem wręczył je Ginie. Wzięła je posłusznie, bo bała się, że za chwilę po prostu rzuci nimi w jej kierunku.

Boże, teraz naprawdę zaczęła się go bać.

- Jak pani widzi, te butelki są zamknięte, podobnie jak żywność - powiedział Emilio.

Gina odkręciła butelkę, a następnie pomogła Molly usiąść i pociągnąć łyk zimnej wody.

- Ona ma gorączkę - skłamała, patrząc na Emilia, chociaż, do diabła, skóra Molly była zaledwie ciepła. Prawdę mówiąc, Molly miała oznaki odwodnienia.

- Dobrze się czujesz? - wyszeptała jej prosto do ucha, bo nagle dotarło do niej, że to piękne przedstawienie, godne talentu Meryl Streep, wcale nie było przedstawieniem.

Molly oderwała się wreszcie od butelki, skrzywiła i odepchnęła rękę Giny.

- Do łazienki - powiedziała krótko, a Gina pomogła jej wstać i dotrzeć jak najszybciej do małego miejsca odosobnienia.

Ojej! Zamknęła drzwi, żeby zapewnić przyjaciółce odrobinę prywatności w czasie konwersacji z muszlą klozetową, i postarała się, by w jej głosie zabrzmiał prawdziwy niepokój.

- Ona tak rzyga od kilku godzin - poinformowała Emilia. Następne kłamstwo, ale co z tego? - Jest poważnie odwodniona, a do tego ma wysoką gorączkę. Ostatnim razem, kiedy była tak chora, dostała drgawek.

Emilio wyglądał na wstrząśniętego tym, co usłyszał, choć jego konsternacja pewnie też była udawana.

- Ona musi jechać do szpitala - powtórzyła z naciskiem.

Emilio pokręcił głową.

- To niemożliwe.

- Czy naprawdę pan chce, by tutaj umarła?!

Z łazienki dobiegł odgłos odkręcanej wody. Gina uchyliła drzwi i zajrzała do środka. Molly stała pochylona nad umywalką i przyskała na twarz zimną wodą. Tym razem nie należało oczekiwać, że wynurzy się z łazienki, mówiąc to co zwykle, kiedy przydarzały jej się - w prawdzie rzadkie - napady porannych nudności: „No, teraz czuję się znacznie lepiej”.

Gina wślizgnęła się do środka, zabierając ze sobą napoczętą butelkę. Nie miała zamiaru jej zostawiać nawet na chwilę, żeby tamci nie dosypali do wody jakiegoś świństwa.

- Pomogę ci stąd wyjść i dowlec się do łóżka - szepnęła. - Powiedziałam im, że musisz jechać do szpitala, więc tak się zachowuj, dobrze?

Molly wytarła twarz ręcznikiem.

- Nie chcę, żeby się dowiedzieli, że jestem w ciąży.

- Wiem - odparła Gina. - Powiedziałam im, że masz gorączkę. Postaraj się udawać, że tak jest.

Otworzyła drzwi, a Molly ciężko wsparła się na jej ramieniu.

Emilio nadal stał na zewnątrz, ale jego wnuk zdążył już znaleźć się na podłodze, gdzie teraz bawił się puszkami z jedzeniem. Na ich widok mężczyzna przesunął się tak, że znalazł się pomiędzy nimi a dzieckiem, podczas gdy Molly sadowiła się na łóżku.

Ciekawe po co? Czy sądził że Gina schwyta małego i zagrozi, że skręci mu kark?

Boże, co to za straszny pomysł! Czy rzeczywiście byłaby do tego zdolna, gdyby oznaczało to odzyskanie wolności? Co za ironia losu, zakładniczka bierze zakładnika... Mogłaby zażądać, żeby Emilio oddał jej pistolet. A jeśli już będą miały w ręku broń...

Tylko co zrobi, jeśli on pozna, że to tylko blef? Nie było szans, żeby Gina skrzywdziła bezbronnego malucha, i Emilio z pewnością zdałby sobie z tego sprawę, gdyby tylko spojrzął jej w oczy.

Max powiedział kiedyś, że ludzie, którzy biorą zakładników, muszą być przygotowani psychicznie na morderstwo. Muszą chcieć odebrać życie przynajmniej jednemu z zakładników. Jeśli nie są gotowi, negocjatorzy natychmiast to wyczują i wyślą tam oddział, który wedrze się do środka i zakończy całą sprawę bez rozlewu krwi.

Przynajmniej bez rozlewu niewinnej krwi.

- Pański wnuk jest prześlicznym dzieckiem - powiedziała Molly do Emilia, kiedy Gina podała jej napoczętą butelkę, a sobie wzięła następną. - Jak on ma na imię? Danjuma?

Chłopczyk podniósł główkę na dźwięk swojego imienia, a potem roześmiał się głośno, kiedy jedna z puszek potoczyła się po podłodze, i żwawo popęzł na czworakach w jej kierunku.

- Zdziwiał mnie łatwość, z jaką dzieci przystosowują się do okoliczności - mruknął Emilio, który także obserwował harce malca. - Nie dalej jak w zeszłym miesiącu jego ojciec, a mój syn, został zabity na jego oczach.

O Boże!

- Tak mi przykro - wyszeptała Molly.

- Jego matka... - mówił dalej Emilio - ... a moja synowa, którą widziałyście przed chwilą, była pewna, że chłopca także zamordują. Czasami rzeczywiście tak robią. Zabijają dzieci, zwłaszcza chłopców, bo kiedy dorastają, stają się bojownikami opozycji. Ale jego oszczędzili, za to znalazł się w więzieniu. Znaleźli się tam wszyscy troje, bo była tam także moja żona. Patrzyła, jak umiera jej jedyny syn.

Molly bez zastrzeżeń uwierzyła w tę wzruszającą historyjkę. W jej oczach pojawiły się łzy. Z kolei Gina zastanawiała się, dlaczego on im to opowiada. Czy po to, żeby wzbudzić w nich współczucie? A może by zrozumiały, dlaczego znalazły się tutaj w charakterze zakładniczek?

- Kto są ci „oni”? - spytała.

- Źli ludzie - odparł. - Chciwi ludzie, którzy mogą wiele stracić, jeśli porządek i prawo powrócą do Timoru Wschodniego.

- Mają jakieś nazwiska? - drążyła.

- Ich nazwiska nic wam nie powiedzą. Dla mnie i dla moich sąsiadów są przyczyną wiecznego strachu - zwrócił się ku Molly, najwyraźniej uznając ją za lepszego odbiorcę tej dramatycznej historii.

- W więzieniu mój wnuk został oddzielony od matki na kilka dni. Imelda, to znaczy moja synowa, szalała z niepokoju. Kiedy wreszcie z powrotem oddali jej syna, gotowa była spełnić wszystko, czego zażądają.

Zerknął na drzwi, przysunął się bliżej i ściszył głos, żeby synowa nie mogła go usłyszeć.

Zakładając, że w ogóle rozumiała cokolwiek po angielsku.

Molly kurczowo ścisnęła dłoń Giny, najwyraźniej wierząc w każde słowo tej okropnej opowieści.

Natomiast Gina zastanawiała się, gdzie się podział pistolet Emilia i jak mogłaby go zdobyć.

Czy ta cała historia była prawdziwa? Być może.

Gina nauczyła się w życiu, że ludzie potrafią robić innym okropne rzeczy.

Pomyślała o Narari, tam w Kenii, która umarła, mając zaledwie trzynaście lat. I o Lucy, której pomogła wydostać się z tego piekła, a której starsza siostra wciąż tam była; zbliżała się data porodu, a kiedy dziecko będzie przychodzić na świat, ją znowu potną.

Pomyślała o terroryście, którego nazwała Bob i który opowiedział jej swoją historię, kiedy trzymał ją jako zakładniczkę na pokładzie tamtego samolotu. Była pełna współczucia, bo jego życie okazało się ciągłą walką z przeciwnościami losu. Potrafiła dostrzec w nim nieszczęśliwego człowieka, a nie tylko porywacza grożącego jej pistoletem.

Za to on widział w niej tylko środek do osiągnięcia krwawego celu.

- Nie mam pojęcia, co zrobili Imeldzie - kontynuował Emilio. Jego głos był znacznie spokojniejszy, choć pojawiła się w nim hardość. - Ale powiedziała mi, że zanim ją wypuścili razem z Danjumą, kazali jej podziękować za zamordowanie męża. Mojego syna. - Głos mu się załamał. - Wybaczcie mi, proszę.

- Za to, że pan nas porwał? - spytała Gina. - Nie ma sprawy, wszystko wybaczymy, tylko proszę nas wypuścić.

Ale Molly zaczęła mrużyć pod nosem.

- Przestań, to przecież okropne.

- Powiedzieli jej... - w oczach Emilia pojawiły się łzy - ... żeby mnie odszukała i przekazała, że mają także Sumayię, moją żonę. I że jeśli chcę jeszcze kiedyś ją zobaczyć, to muszę... - Szerokim gestem wskazał wewnątrz pokoju. - Ten pokój nie był używany od ponad dziesięciu lat, a przynajmniej nie do tego, do czego pierwotnie był przeznaczony. Tak, to prawda, w swoim czasie zbiłem niezłą fortunę na... na nieszczęściu innych ludzi. Ale to dawne czasy. Nie mam już takich możliwości jak kiedyś. Wiem, że znacznie prościej byłoby ściągnąć tutaj Grady'ego Moranta... Postarać się, żeby sam do mnie przyszedł...

- Musi być jakiś inny sposób, żeby wyciągnąć z więzienia pańską żonę! - przerwała mu Molly i odwróciła się do Giny. - Możesz przecież zadzwonić...

Gina ścisnęła mocno jej palce i oczyma dała znać, żeby nie wypowiadała imienia Maksa ani nie wspomniała, że ma on jakieś powiązania z FBI. Na wypadek gdyby Molly nie zrozumiała, o co chodzi, sama podjęła temat.

- ... do mojego brata? On pracuje w policji w Nowym Jorku - skłamała, patrząc prosto w oczy Emilia. - Może zna kogoś w FBI czy CIA, sama nie wiem, kto mógłby pomóc.

Molly w lot pojęła jej intencje, jednak Emilio smutno pokręcił głową.

- Już za późno.

Gina wiedziała, że to dla jej tryskającej optymizmem przyjaciółki najbardziej znienawidzone zdanie. Molly natychmiast usiadła prosto na łóżku.

- Nigdy nie jest za późno! - wykrzyknęła z zapalem.

- Sumayia nie żyje - wyjaśnił Emilio. - Tę wiadomość otrzymałem dziś rano od mojego informatora, który ma stały dostęp do tamtego więzienia. Umarła w zeszłym tygodniu, a jej ciało zostało pochowane w masowym grobie. Podejrzywałem, że tak właśnie jest, bo moje natarczywe prośby o dowód życia - pamiętacie to nagranie z telewizorem w tamtym składziku? - pozostały bez echa.

Odwrócił się do Giny, która usiłowała zrozumieć ten nagły zwrot w opowieści.

- Widzę, że na pani nie robi to wrażenia. Zresztą czemu miałyby pani wierzyć w cokolwiek, co pani powiem? Moja fortuna powstała z pieniędzy, które dostawałem za porwania. Pod groźbą użycia broni za pakowałem was do kontenera i przewiozłem przez pół świata wbrew waszej woli. Mogę was tylko zapewnić, dopóki nie padnę trupem z nadmiaru wysiłku, że nie jestem waszym wrogiem ani nie miałem zamiaru was skrzywdzić. Robiłem to tylko po to, żeby ocalić kobietę, którą kocham.

Gdyby zaczął teraz płakać, Gina odniosłaby się sceptycznie do jego wynurzeń. Ale nie zaczął. Jego oczy i głos były zimne jak lód.

- Ale ona już nie żyje, więc mam teraz inny cel. Nie spełnię ich żądań. Nie wiem, w jaki sposób mam was chronić, bo mój wróg jest wszędzie dookoła, na tej wyspie i na sąsiedniej. Zabrałbym was do szpitala w Din, ale boję się, że tam groziłoby wam jeszcze większe niebezpieczeństwo. Mam przyjaciela, który jest lekarzem. Mój nowy plan wygląda następująco: zawiozę was do niego do domu, gdzie on się wami zajmie. Rzecz jasna, jeśli nie macie nic przeciwko temu. Tam nic wam nie grozi.

- Może lepiej do ambasady amerykańskiej? - Gina zerwała się na równe nogi.

Boże, czy to mogła być prawda? Czy naprawdę zamierzał po prostu je uwolnić?

- Na tej wysepce nie ma ambasady. A nawet gdyby była... - Zaśmiał się gorzko. - Nie chcę narobić sobie kłopotów, dlatego że wam pomagam. Imelda, Danjuma i ja będziemy musieli opuścić nasz dom na zawsze, ale Ameryka nie da nam bezpiecznego schronienia, to mogę wam zagwarantować. - Pokręcił głową. - Jak już będziecie u mojego przyjaciela, może uda się wam go przekonać, żeby odstawił was do najbliższej ambasady. On ma samolot, chociaż jego pilota łatwo przekupić. Moi wrogowie szybko zorientują się, że uciekłem, i od tego momentu zaczną intensywnie was poszukiwać.

Pogrzebał w kieszeni i wyjął z niej jakiś przedmiot. Pistolet? Gina odruchowo cofnęła się o krok, ale on trzymał w dłoni telefon komórkowy.

- Proszę. - Wyciągnął rękę w jej kierunku.

Wzięła go i otworzyła, ledwo wierząc własnym oczom. Ale wskaźniki pokazywały, że bateria jest pełna i że telefon znajduje się w zasięgu sieci.

Emilio znów sięgnął do kieszeni i wyciągnął kawałek zmiętego papieru.

- Mój informator zauważył w Dżakarcie Moranta. On jest tutaj. Za dzwoni do niego. - Podał jej kartkę.

To był... wydrukowany e - mail? Z podanym numerem telefonu. „Oczekuję następnych wiadomości. GM”.

Chwileczkę!

Gina знаła na pamięć ten numer, a przynajmniej kilka ostatnich cyfr.

Święci pańscy, Max też był tutaj!

Cała reszta świata rozlatywała się na kawałki, ale on zjawił się tutaj, żeby ją ratować. Nogi ugięły się pod nią i musiała usiąść.

- Zadzwoń do niego - powtórzył Emilio. - Powiedz, że zabieram was do rezydencji doktora Olhana Katipa, która znajduje się w północnej części Medy. Jesteśmy w pobliżu wyspy Wetar. Katip ma ogrodzoną posiadłość...

Być może Emilio mówił dalej.

Jednak Gina przestała go słuchać. Wstała i odeszła od łóżka, żeby Molly nie wyrwała jej z rąk kartki ani telefonu.

Serce waliło jej jak młot. Wybrała numer, modląc się w duchu, żeby los nie potraktował jej okrutnie i żeby zbieżność cyfr nie okazała się zwyczajnym przypadkiem.

Mniej więcej o dziesiątej rano komórka Julesa znów zaczęła brzęczeć.

Jones właśnie grzebał w kuchni, szukając w dobrze zaopatrzonych szafkach czegoś pożywnego, co zawierałoby dużo węglowodanów.

Zdecydował się na trzy puszki z wołowiną, które stały z brzegu na środkowej półce.

Doprawdy, dla kogoś takiego jak on był to niesamowity luksus wziąć puszkę stojącą na samym wierzchu i nie przejmować się tym, że gospodarz zorientuje się, iż miał nieproszonych gości.

Jules powiedział mu, że to mieszkanie było wykorzystywane przez CIA do prowadzenia śledztwa dotyczącego miejscowych terrorystów.

Terrorysta, o którym była mowa, mieszkał dwa domy dalej od domu podejrzanego o uprowadzenie Giny i Molly.

Co za szczęśliwy traf! Co prawda Jones nie wierzył ani w szczęście, ani w korzystny zbieg okoliczności.

Doskonale wiedział, jakie mechanizmy rządzą takimi małymi, oddzielonymi od reszty świata wysepkami. Fakt, że podejrzany o terroryzm przeprowadził się do domu sąsiadującego z domem Testy, stanowił tego najlepszy dowód.

Niezależnie od tego, co łączyło obydwie sprawy, to mieszkanie okazało się prawdziwym dobrodziejstwem. Dzięki niemu unikali deszczu, który zwykle padał przed wschodem słońca. Bez tego mieszkania ostatnią noc spędziliby na dachu. Podobnie zresztą jak wszystkie poprzednie.

Do wieczora tu zostaną, później zapewne pójdą wykopać drzwi Emilia Testy.

Dzisiejszy dzień zaczął się cholernie niedobrze, z Dżakarty nadeszła wiadomość, że Benny, informator Julesa, nie żyje.

Jules i Max pogrążyli się w dyskusji, czy powinni zostać tu, czy raczej jak najszybciej się ulotnić. Nikt nie wiedział, czy śmierć Benny'ego miała cokolwiek wspólnego z ich misją i czy Jules ma wracać do Dżakarty, żeby przywieźć stamtąd sprzęt niezbędny do prowadzenia obserwacji. Jules spojrzał na dzwoniący telefon.

- Okay - powiedział na tyle głośno, by Jones go usłyszał. - To nie jest Yashi. Ten numer nic mi nie mówi, więc to może być nasz człowiek.

Jones natychmiast wyszedł z kuchni.

- W takim razie ja powinienem go odebrać.

- Przełączę go na głośnik - zgodził się Jules. - Pamiętaj tylko, że on być może zrobi to samo.

Jones czuł, jak skacze mu adrenalina. Zmusił się do zawierzenia Julesowi, że porywacz nie ma możliwości namierzenia ich przez satelitę, a wszystko dzięki Yashiemu z biura w D.C., który postarał się o wyeliminowanie takiej możliwości. Na siłę skupił uwagę, bo całkiem łatwo przestawało się słuchać, kiedy rozmowę przełączano na głośnik. Było łatwo słyszeć tylko to, co się chciało słyszeć, i opacznie zrozumieć nawet najprostsze komunikaty.

Ale Jones wcale nie był przygotowany na to, co usłyszał, kiedy Jules odebrał telefon, a on sam burknął do słuchawki: „Morant”. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz przedstawiał się w ten sposób.

- Cześć, to ja!

Chryste Panie! To był głos Giny!

Po drugiej stronie pokoju Max siedział przy oknie, ze wzrokiem wbitym w dom Testy. Nikt tam nie wchodził ani stamtąd nie wychodził, odkąd zaczęli go obserwować. Teraz odwrócił się gwałtownie i na migi dał znać Julesowi, żeby wcisnął klawisz „mute”, by ani Gina, ani nikt, kto słuchał tej rozmowy, nie domyślił się jego obecności.

Ulga, jaką odczuł na dźwięk jej głosu, musiała nim wstrząsnąć, bo osobiście przekonał się, że Gina żyje i ma się dobrze, przynajmniej na razie. Ale kiedy Jules wypełnił polecenie, Jones zrozumiał, że Max koncentruje się teraz tylko na tym, czy Molly także pozostała przy życiu, ale nie chce narażać ich na dodatkowe niebezpieczeństwo.

- Nie powiedziała: „Tu Gina”, powiedziała „To ja” - rzekł błyskawicznie. - Nie mów do niej po imieniu ani nie nazywaj po imieniu Molly. Testa może nie wiedzieć, która z nich jest twoją żoną, i lepiej, żeby tak pozostało. Zapytaj: „Czy wszystko z tobą w porządku, czy z wami wszystko w porządku?”.

Na skinienie Maksa Jules zwolnił przycisk „mute” i Jones dokładnie powtórzył pytanie.

- Tak - odpowiedziała Gina i Jones odetchnął z ulgą.

Dzięki ci, Boże. Musiał usiąść, bo ulga dosłownie ścięła go z nóg. W jaki sposób Maksowi udawało się stać?

- Obie czujemy się nieźle - mówiła dalej. - To znaczy Molly jest trochę odwodniona...

No to tyle, Max, jeśli chodzi o unikanie wymieniania imion.

- Zresztą obie jesteśmy - kontynuowała Gina. - To żadna frajda być zakładnikiem, nawet jeśli pilnuje cię tylko jeden facet uzbrojony w mały pistolecik.

Jules znowu wcisnął „mute” i pokręcił z zachwytem głową.

- Właśnie powiedziała nam, że...

- Tak - uciął krótko Max, bo Gina wciąż coś mówiła.

- To znaczy Imelda robi wrażenie bardzo onieśmiałej, a jej syn Danjuma ma tylko dwa latka, ale... Tak naprawdę dość straszny jest

jedynie taki gość z łomem... Oczywiście w domu mogą być inni ludzie, których dotąd nie zauważyliśmy...

Jones wstał na widok szerokiego uśmiechu na twarzy Julesa. Gina właśnie poinformowała ich, że cała grupa porywaczy składa się zaledwie z czterech osób, które, jak się wydaje, dysponują jednym pistoletem.

- Może po prostu wywalmy te pieprzone drzwi - zaproponował szeptem.

Ale Gina mówiła dalej. Nastąpiła krótka przerwa, usłyszeli jakiś gwar w tle, a potem znów odezwała się ona.

- Emilio mówi, że tracę tylko czas. Przepraszam, ale... Czy Max jest z tobą? - Zaśmiała się i usłyszeli w jej głosie coś na kształt niedowierzania. - Emilio chce nas uwolnić.

- Co?!

- Oni schwytali jego żonę - powiedziała. - Ale on odkrył, że ona już nie żyje, że tamci ludzie ją zabili, więc teraz nie chce, żeby... Posłuchaj, to wszystko brzmi niezwykle skomplikowanie, ale sytuacja byłaby znacznie prostsza, gdyby był z tobą Max... Czy on tam jest? Proszę, chciałabym zamienić z nim chociaż kilka słów.

Max wyrwał telefon z rąk Jonesa i odblokował klawisz „mute”.

- Gina... - powiedział. - Jestem tutaj.

- Och, Max! - W jej głosie brzmiał prawdziwy entuzjizm. -
Dzięki Bogu!

Ale nagle ktoś jej przerwał.

W słuchawce rozległ się męski głos. To musiał być Emilio.

- Wasze spotkanie jest naprawdę wzruszające, ale czas nagli. Zamierzam odwieźć obie panie do mojego przyjaciela, który mieszka w północnej części Medy, leżącej na północ od Timoru Wschodniego. Będą tam bezpieczne, dopóki nie przyjedziecie.

Kilka minut po tym, jak Emilio zabrał Ginie telefon, sytuacja nagle stała się niezwykle przykra.

Najpierw rozmawiał spokojnie z Maksymem i tłumaczył mu, jak dojechać do posiadłości doktora, a następnie przestał gadać, jakby pilnie słuchał tego, co Max miał mu do powiedzenia. A potem bez ostrzeżenia zaczął wrzeszczeć.

Znajomość włoskiego ograniczała się u Molly do nazw potraw, które zamawiała na deser, ale przypadkiem знаła również słowo, które po angielsku znaczyło „pośpiech”.

I teraz to słowo pojawiło się w okrzykach Emilia, i to wielokrotnie.

Imelda wbiegła do pokoju, porwała syna i zniknęła. Gość z łomem wpadł z obłędem w oku, rzucił parę słów po włosku, pochwycił z rąk Emilia coś, co wyglądało na pęk kluczy, i wybiegł, jakby ścigał go rój wściekłych os.

Nagle ten mały paskudny pistolet, którego nie widziały od chwili, gdy pakowały się do kontenera, znów pojawił się w dłoni Emilia.

W dodatku skierowany był prosto w serce Giny, która wciąż wydawała się oszołomiona faktem, że Max przyjechał tu, by ją odnaleźć, i że naprawdę z nim rozmawiała.

Zamachała rękoma, kiedy Emilio bez ostrzeżenia cisnął w jej stronę komórkę, ale jakoś ją złapała.

- Co się dzieje? - dopytywała się Molly.

- Powiedz swojemu przyjacielowi... - wycodził przez zęby Emilio
- ... że jeśli ktokolwiek ośmieli się przestąpić przez próg mojego domu, ty zginiesz pierwsza.

Rozdział Szesnasty

Max popełnił duży błąd, dając do zrozumienia porywaczowi, że ekipa ratunkowa znajduje się już na wyspie Meda.

Było oczywiste, że Emilio nie spodziewał się ich tak szybko. Przy okazji wyszło też na jaw, że oczekiwał przyjazdu wyłącznie Jonesa, więc obecność Maksa sprawiła mu niemiłą niespodziankę.

Max uczestniczył w dyskusji na temat przewiezienia Molly i Giny do posiadłości doktora, gdzie znajdował się - och, co za przypadek - samolot, który mógł posłużyć Jonesowi do wywiezienia z wyspy wszystkich zainteresowanych.

I właśnie wtedy Max popsuł sprawę. Zasugerował Emiliowi, że po prostu mógłby przekazać im zakładniczki tutaj, we własnym domu, i już jego głowa, by bezpiecznie opuściły wyspę. Co prawda nie zdradził mu poufnej informacji, że tak naprawdę siedzą właśnie po drugiej stronie ulicy i nie spuszczają oka z drzwi wejściowych, ale pozwolił mu wysnuć wniosek, że są gdzieś niedaleko.

Od tego momentu spokojna wymiana zdań została zastąpiona przez krzyki, aż do chwili gdy Emilio skorzystał z funkcji „mute” we własnym telefonie.

Max powinien był zgodzić się na wszystkie propozycje, a potem gładko przejąć zakładniczki w czasie podróży. Oczywiście w tym wypadku musiałby wziąć pod uwagę niebezpieczeństwo, jakim było zaskoczenie człowieka, który miał przy sobie przynajmniej jedną sztukę broni. Max z doświadczenia wiedział, że broń plus element zaskoczenia to fatalne połączenie.

- Niech to szlag - powiedział.

- Taak... - przytaknął Jules obserwując to, co działo się na ulicy. - Mam absolutnie mieszane uczucia. W pierwszej chwili pomyślałem, że to musi być jakaś cholerna pułapka, ale potem przyszło mi do głowy, że może on naprawdę chciał je wypuścić...

- Gówno mnie obchodzi, co chciał, a czego nie chciał. - Jones był gotów do akcji i pewien sukcesu. - Idę tam, zanim je gdzieś wywiezie.

- Popatrzcie! - zawołał Jules. - Otwierają się drzwi garażu.

Na te słowa Jones jednym kopnięciem zerwał zasłonę i wyskoczył na zewnątrz przez boczne okno.

Niech to diabli! Powinien biec ostatni, nie jako pierwszy. Na litość boską, w tym momencie stanowił doskonały cel.

Wtedy Max usłyszał znów w słuchawce głos Giny.

- Max, Emilio ma pistolet i mówi, że nie chce, byś tu wchodził... Gdzie jesteście? Och, mój Boże, naprawdę tak blisko?! Tak, tak, wiem przecież. - W jej głosie brzmiało zdenerwowanie, gdy zwróciła się do kogoś stojącego obok, najprawdopodobniej Emilia. - Max, on powiedział, że jeśli tu wejdiesz, to mnie zastrzeli... - i znów zwróciła się do tamtego. - Powiedziałam to, co mi kazałeś, zgadza się?

- Z garażu wyjeżdża biały van - Jules starał się przekrzyczeć pisk opon.

Psiakrew!

- Czy ty i Molly wciąż jesteście w domu? - krzyknął Max, idąc w ślady Jonesa.

Za nim na ziemi wylądował Jules.

- Tak - odparła.

- Nie jesteś w jadącym samochodzie - upewnił się raz jeszcze.

Na ulicy stał zniszczony ford escort. Jones jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki, wskoczył do środka i próbował zapalić silnik.

- Nie - odpowiedziała zdecydowanie.

- A Molly? Jest z tobą?

- Tuż obok. Max, co się dzieje?

Jules był już w garażu z bronią gotową do strzału. Ktokolwiek wyjechał tym samochodem, spieszył się tak bardzo, że zostawił nie tylko otwartą bramę, ale nawet drzwi prowadzące do wnętrza domu.

A były to naprawdę solidne drzwi. Takie, jakie widuje się w bunkrach, zdolne wytrzymać prawie każdy atak.

- Zatrzymaj się - zawołał Max przyciszonym głosem.

Jules wcisnął coś pomiędzy skrzydło a framugę i upewnił się, że drzwi nie zatrzasną się, kiedy je puści, a potem skinął głową, że zrozumiał polecenie i nie wejdzie ani kroku dalej.

- Jones - zasyczał, żeby ściągnąć na siebie jego wzrok, kiedy znów znalazł się w otwartej bramie.

Gestem pokazał mu, żeby usunął się z ulicy, a potem wzrokiem wskazał wnętrze garażu i ułożył ręce tak, jakby trzymał w nich kierownicę. Jego przesłanie było całkiem jasne - w środku znajdował się jeszcze jeden samochód. Jones skinął głową, zamknął drzwiczki escorta i pobiegł w kierunku domu.

Max całą uwagę skupił na Ginie, która wciąż znajdowała się na drugim końcu linii.

- Powiedz Emiliowi, że jestem na zewnątrz i chcę wejść do środka. Tylko po to, żeby porozmawiać. Bez pistoletu, nieuzbrojony, ręce będę trzymał w górze. Powiedz, że mogę nawet rozebrać się do naga, jeśli tego zażąda. Bóg mi świadkiem; że już nieraz musiałem to robić.

Mimo powagi sytuacji Gina zaczęła się śmiać.

- Naprawdę?

- Tak. Powiedz mu.

Jej głos brzmiał... dokładnie tak samo jak zawsze. Max nie wiedział, czego właściwie się spodziewał. Może oczekiwał, że Gina będzie wystraszona, przybita i smutna, że przygnębi ją świadomość, jak nikłe są jej szanse, aby wyjść z tej opresji cało.

- Och, Max - usłyszał jej radosny szczebiot. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że znów słyszę twój głos!

- Gina, powiedz mu to - powtórzył, ale nie mógł się powstrzymać, żeby nie dodać: - I całą resztę też.

Włączył przycisk „mute”, gdy Gina wypełniała jego polecenie, bo zauważył, że Jules chce coś dodać. Ale Jones go uprzedził.

- Nie mamy zbyt wiele czasu do przybycia posiłków.

- A czy mamy pewność, że Emilio nie mówi prawdy? - spytał Jules. - Gdybym ja kogoś porwał i zdecydował się uwolnić, i gdyby wówczas wściekły mąż pojawił się u moich drzwi, chyba tak samo zaszyłbym się w kąt. Jeśli żona Emilia nie żyje...

- Jeśli w ogóle miał żonę - wtrącił Jones.

- Lepiej poczaruj ten samochód - polecił mu Jules. - Pewnie Testa nie zechce nam dać kluczyków. Musimy być gotowi, żeby stąd zwiewać. Ja zadzwonię do naszej ambasady w Din, żeby ich ostrzec, co tu się dzieje. Daj mi swój telefon - zwróci! się do Maksa. - Ty wzięłeś mój.

Max pogrzebał w kieszeni i wręczył mu aparat.

- Max? - W telefonie Julesa znów odezwał się głos Giny.

- Jestem - odpowiedział natychmiast.

- Możesz wejść - oznajmiła. - Tylko masz być w T-shircie, bez marynarki, bez nakrycia głowy, masz mieć puste dłonie i ręce trzymać w górze, tak jak sam zaproponowałeś. Emilio mówi, że jeśli już będziesz w środku, a on usłyszy na korytarzu jakiś hałas, to mnie zabije.

- Zrozumiałem. - Max już ściągał kurtkę, kaburę, broń i wszystko po kolei rzucał na betonową podłogę. - Idę - powiedział do Julesa.

Jones oderwał się od samochodu.

- Nie pozwól mu zrobić im krzywdy.

- Nie pozwolę - obiecał Max.

To nie było łatwe zostać tutaj, kiedy Molly znajdowała się wewnątrz mieszkania, ale Jones posłusznie skinął głową.

- Za cholerę nie mogę dodzwonić się do tej pieprzonej ambasady - warknął Jules.

- Próbuje dalej. Gina... - rzekł Max do słuchawki. - Powiedz Emiliowi, że otwieram drzwi między garażem a domem. Nie przerywaj połączenia, jeśli tylko będzie to możliwe, dobrze? Zostawiam ten telefon Julesowi i chcę, żeby słyszał, co się dzieje.

Wcisnął „mute” i wręczając telefon Julesowi, dodał ściszym głosem:

- Jeśli krzyknę „ognia”, to wpadacie do środka i zaczynacie strzelać tak, żeby faceta zabić. Zrozumiano?

Jones skinął głową.

- Max. - Jules zatrzymał go jeszcze na moment, kładąc rękę na ramieniu. - Nie zrób żadnego głupstwa, dobrze?

- Szkoda, że nie było cię na miejscu półtora roku temu, żeby udzielić mi dobrej rady - mruknął. - Idę korytarzem - zawołał na głos, podnosząc nad głowę ręce z rozpostartymi dłońmi.

Więc Jules Cassidy też tu był?

Gina nie miała czasu, żeby się zastanowić, ilu ludzi ze swojego zespołu Max przytaszczył na tę wyspę ani jak Jones zdołał nawiązać z nimi kontakt, bo Emilio przesunął pistolet spod jej żeber pod podbródek.

Lufa była chłodna w dotyku i nieprzyjemnie twarda. I w dodatku w każdej chwili mogła odstrzelić jej głowę od reszty ciała, gdyby tylko Emilio nacisnął spust.

Gina stała więc nieruchomo jak posąg, ściskając w spoconej dłoni otwartą komórkę.

I wtedy w otwartych drzwiach pojawił się Max.

- Cześć - powiedział swobodnie, jakby przypadkiem spotkali się w supermarkecie przy dziale z płatkami śniadaniowymi.

Zresztą czy w ogóle istniały odpowiednie słowa, którymi można przywitać kogoś, kto znajdował się w podobnej sytuacji? Mimo

zamętu w głowie Gina dostrzegła, jak bardzo Max się zmienił, i to nieco złagodziło jej napięcie.

Złapała się na tym, że przez głowę przelatują jej idiotyczne myśli, na przykład, że obojczyk Maksa musiał się chyba całkowicie zagoić, skoro jest w stanie podnieść tak wysoko ręce.

A może to czarny T-shirt optycznie powiększał jego klatkę piersiową albo uniesione ramiona napinały gładki materiał na rękawach, ale odniosła wrażenie, że podczas tych miesięcy, kiedy jej nie było, Max całkowicie powrócił do dawnej formy.

Do dawnej formy, albo i lepiej.

Ale nie tylko jego supermuskularne kształty sprawiły, że wyglądał jak ktoś obcy. Najwyraźniej ostatnio nie miał okazji się golić, toteż gęsta szczecina pokrywała jego brodę i policzki. Włosy utworzyły kołtun, od dawna nieczesane i niemyte, jakby przez całe dni nie zdejmował czapki.

Zamiast porządnie skrojonego garnituru miał na sobie dzinsy i trampki, choć Gina zdążyła się przyzwyczać, że podczas pobytu w centrum rehabilitacji też nosił mało wyszukane ubrania.

Nie, to jego oczy sprawiły, że wyglądał jak obcy, a jednocześnie nie obcy.

Gina uwielbiała patrzeć w oczy Maksa. Były tak głębokie, że zdawały się nie mieć dna, i tak ciemnobrązowe, że prawie czarne.

W dodatku patrzył teraz na nią tak, jak zawsze marzyła, by patrzył. Jakby nie miał niczego do ukrycia. Jakby widziała jak na dłoni wszystkie jego uczucia.

Strach. Gniew. Wrażliwość. Frustrację... A oprócz tego niewiarygodną ulgę.

I ogromne pokłady nadziei.

- Cześć, Max - szepnęła w odpowiedzi.

Ale on skupił już całą uwagę na osobie Emilia. I na tym pistolecie.

- Proszę odsunąć się od niej, panie Testa. Nie ma potrzeby, żeby pan ją straszył. Proszę ją puścić, cofnąć się o dwa kroki i skierować broń we mnie.

- Ilu was jest? - spytał Emilio.

Oddychał chrapliwie i w ogóle wydawał się spięty jak diabli. Gina czuła na plecach mocne uderzenia jego serca. Choć może tak naprawdę to było jej serce.

- Odsuń się od tej dziewczyny - powiedział Max. - Tej kobiety - poprawił się natychmiast, posyłając w jej kierunku przepaszający uśmiech.

- Ja tu ustalę reguły gry. - W głosie Emilia brzmiało wyraźne zdenerwowanie. - Ostatecznie to ja mam broń.

- Wiem, że nie chcesz jej zrobić krzywdy. - Max z kolei starał się mówić uspokajającym tonem. - Po prostu skieruj pistolet w moją stronę, i...

- Czy Grady Morant też tu jest? - spytał Emilio. - Pewnie czeka w garażu, tak? Nie chcę, żeby wchodził do mojego domu.

- Nie wejdzie. A jeśli odsuniesz się od Giny, to zaczniemy rozmawiać, jak najlepiej zapewnić nam wszystkim bezpieczeństwo.

Gina nagle się zorientowała, że modli się, by Emilio pod wpływem stresu nie zacisnął dłoni i jej nie zastrzelił, wszystko jedno, umyślnie czy przypadkiem. I nie tylko dlatego, że nie chciała, by jej mózg rozbryzgał się po ścianie. Wiedziała na pewno, że jeśli Emilio ją teraz zabije, to Max nigdy nie wróci do psychicznej równowagi.

I tak już wprowadziła w jego życie zbyt wiele cierpienia.

- Wiesz... - odezwała się do niego - ... w tym momencie te studia prawnicze wydają mi się bezpowrotnie straconą życiową szansą.

Uśmiechnął się, choć raczej przypominało to smutny grymas.

- Taak...

Nawet na nią nie spojrzał, bo całkowicie pochłaniało go obserwowanie Emilia.

A on wreszcie zdecydował się ją puścić.

Gina zachwiała się, bo nagle poczuła, że nikogo już nie ma za jej plecami. Opadła na kolana, podpierając się rękoma, a przy okazji upuściła telefon, bo starała się jak najdalej odsunąć głowę od pistoletu.

Niestety Emilio skierował teraz tę cholerną zabawkę prosto w pierś Maksa.

- No dobrze - powiedział głośno Max, bez wątpienia na użytek Julesa. - Trzymaj tak dalej ten pistolet, prosto na mnie.

- Błagam, nie strzelaj do niego - zaczęła prosić. - Wolałabym zginąć niż...

- To w niczym nie pomoże - przerwał jej Max.

- ... przeżywać to jeszcze raz - skończyła. - Czy mógłbyś trzymać ten pistolet wycelowany w podłogę? Proszę!

- Max może nadal trzymać ręce nad głową - poparła ją Molly. - Ostatecznie wszystkim nam chodzi wyłącznie o jedno: żeby wyjść z tego cało. Więc niech pan opuści trochę tę lufę.

O dziwo, Emilio jej posłuchał.

Gina poczuła tak wielką ulgę, że aż nogi się pod nią ugięły i musiała usiąść na brzegu łóżka.

- Dziękuję - powiedziała do Emilia Molly i objęła Ginę. Max nie tracił czasu.

- Trzeba działać. Pozwól mi zabrać Ginę i Molly do portu. Wynajmiemy tam hydroplan, którym dostaniemy się do ambasady amerykańskiej w Din. Wyjdziemy stąd jak gdyby nigdy nic i po prostu znikniemy. Zresztą możemy wyjść w tym samym czasie - ty pójdiesz w jedną stronę, a my w drugą. Wcale nie mamy zamiaru cię przymknąć, Testa. Chcemy tylko, żeby Gina i Molly znalazły się w bezpiecznym miejscu. Widzę, że dobrze się nimi zajmowałeś. Naprawdę to doceniam...

- Jakim cudem tak szybko mnie namierzyliscie? - spytał Emilio.

- To teraz nie ma znaczenia - odparł Max. - Teraz musimy się skupić...

- Owszem ma, ponieważ muszę się nad czymś zastanowić. Nie chcę, żeby tym draniom, którzy zamordowali moją żonę, uszło to na sucho. Jeśli masz jakieś powiązania z waszym rządem albo z CIA... Wiem, że mają komórkę gdzieś tu, na wyspie Meda. Czy właśnie stąd dostaliście informacje na mój temat? Jeśli jednak możesz mi zagwarantować... Czekaj, jak to się nazywa? Nietykalność? A więc nietykalność i może jakąś finansową gratyfikację, dzięki której będę mógł przenieść się w inne miejsce... Zebrałem trochę informacji, które mogą się wam przydać.

Widocznie Emilio Testa w mig zorientował się, że jeśli Max i jego zespół byli skłonni zawrzeć układ z Gradym Morantem, to gotowi będą przystąpić do podobnych pertraktacji z kim innym.

Jones nie zaufałby temu łajdakowi, ale to Max i Jules prowadzili rozmowę - ten ostatni przez komórkę, podczas gdy z drugiego telefonu cały czas starał się połączyć z ambasadą - i to tak, jakby od razu został ich najlepszym przyjacielem. Oczywiście trudno było ocenić, czy naprawdę wierzą w to, co mówi Emilio, czy tylko chcą, by on myślał, że wierzą.

Niezależnie od intencji technika negocjacji skrajnie różniła się od tej, jaką Max zastosował w Hamburgu, kiedy otworzył drzwi pokoju hotelowego i zobaczył Jonesa.

Mimo wszystko, cokolwiek robili, robili jak należy.

- Jones! - usłyszał wołanie Julesa i oderwał się od dłubania przy zamku bagażnika impali.

W korytarzyku prowadzącym do wnętrza domu stała Molly.

Była blada i wyglądała na zmęczoną; odgarnięte w tył włosy splotła w warkocz. Ubrana była w długie spodnie, jakby znajdowała się latem w północnych Niemczech. Podwinęła nogawki, żeby bardziej przystosować swój strój do upałów panujących w Indonezji, a dookoła wyraźnie poszerzonej talii zawiązała rękawy bluzy.

- Czy potrzebuje pani pomocy medycznej? - spytał Jules.

Ale Molly zdążyła już zauważyć Jonesa.

I jak błyskawica pomknęła w jego kierunku. Chwilę później trzymał ją mocno w ramionach. O Chryste!

- Proszę, powiedz mi...

- Czy jesteś...

Molly oderwała się od niego i zaczęła przyglądać mu się badawczym wzrokiem, tak samo zresztą jak on jej.

- Wszystko w porządku.

- Czuję się świetnie.

Oboje wykrzyknęli te słowa prawie równocześnie, dodając jeszcze:

„Na pewno?”

Jones sam nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Molly robiła na zmianę jedno i drugie, podczas gdy on całował ją jak szalony. Jednak nagle skrzywiła się, a wtedy on natychmiast ją puścił.

- Jesteś ranna, tak? Zabiję skurwysyna!

- Nie, nie! To tylko ta biopsja...

Jezu! Zupełnie wyleciało mu to z głowy. Znowu się odsunął i spojrzał na nią.

- Czy już wiesz, czy to jest... - nie mógł dokończyć zdania.

- Nie wiem. - Pokręciła głową. - Na wyniki trzeba czekać kilka dni.

Wierzchem dłoni otarła łzy i spróbowała się uśmiechnąć.

- Czuję już, jak dziecko się porusza. W Hamburgu poszliśmy z Giną na kolację i wtedy poczułam to po raz pierwszy.

Dziecko.

Jones wiedział, że powinien powiedzieć coś miłego, ale nie potrafił się zmusić do kłamstwa.

- To było takie ekscytujące! - opowiadała. - Kelner przyniósł nam dodatkową porcję deseru, żeby uczcić to wydarzenie.

Bóg jeden wiedział, że nie mógł się zdobyć na powiedzenie jej prawdy. Delikatnie przyciągnął ją do siebie, żeby nie widziała jego twarzy ani nie zorientowała się, o czym myśli.

- Tak mi przykro - wyszeptał, zmieniając temat. - Z powodu tego, co się stało.

- Mnie też...

Kiedy znów oderwała się od niego, spojrzała surowo, jak nauczyciel na niesfornego ucznia.

- Nie powinieneś tutaj być - zbesztła go.

- Ty też - zauważył.

- Chociaż nawet nie wiem, gdzie dokładnie jesteśmy.

- We wschodniej Indonezji. Bardzo blisko Timoru Wschodniego.

- Oczywiście. Ze wszystkich tutejszych wysepek, na których panuje bezprawie, jesteśmy najbliżej tej najgorszej.

Po przeciwnej stronie garażu Jules cały czas obsługiwał dwa telefony - swój i Maksa - a na dodatek starał się uważać na to, co działo się na ulicy. Do diabła, co oni robią tak długo w środku?

Molly odpowiedziała na to nieme pytanie.

- Już idą, tylko muszą znaleźć jakiś sposób, żeby Emilio nie czuł się zagrożony. Moim zdaniem on się ciebie boi, kochany.

- No proszę, jaki sprytny chłopiec.

- Chyba powinnam ci przypomnieć, że to ty jesteś tu na celowniku i że raczej powinieneś chodzić ze spuszczoną głową. Muszę usiąść z tobą na tylnym siedzeniu w samochodzie i, sama nie wiem, chyba użyć jakichś żoninych sposobów, żeby cię zająć. Żebyś nie zastrzelił Emilia albo nie zrobił czegoś równie głupiego.

Molly zrobiła pewną charakterystyczną minę zarezerwowaną na okazje, kiedy miała zamiar czemuś się sprzeciwić.

Gina też opanowała sztukę robienia min, ale to Molly była w tej dziedzinie prawdziwą mistrzynią. Unosiła nieznacznie brwi, szeroko otwierała oczy i brała głęboki oddech. Delikatnie wykrzywiała przy tym kąciki ust, żeby wyrazić zainteresowanie dyskusją, która właśnie

miała się zacząć - co oznaczało dla niej prawdziwą przyjemność - albo żeby zasygnalizować, że czuje się dezorientowana i rozdrażniona.

Tym razem chodziło o to drugie.

Jones przygarnął ją i próbował pocałunkami rozproszyć niepokój.

- Kocham cię - wyszeptał. - Wsiadajmy do tego samochodu i jedźmy gdzieś przed siebie. Chcę się wreszcie stąd wyrwać.

W odpowiedzi zerknęła na Julesa kręcącego się w drugim końcu garażu.

- To raczej ty powinieneś się stąd wyrwać. I to zaraz - odparła szeptem.

Ale Jones pokręcił głową.

- Skarbie, bez ciebie nigdzie się nie ruszę.

- Musisz - zrobiła się śmiertelnie poważna. - My jedziemy do ambasady w Din. Jeśli pojedziesz tam z nami, to...

- Bardzo żałuję, ale nie wyjadę, dopóki nie będę pewien, że nic ci nie grozi. Stąd do Din jest jeszcze kawał drogi.

Pociągnął ją w głąb samochodu.

- Ale oni na pewno cię zamkną - upierała się.

- Pewnie tak. - Wzruszył ramionami. - Ale zaraz potem będziemy w drodze do Stanów.

Znów ją pocałował.

- Zaryzykowałem, Mol, ale się nie udało.

- Co zaryzykowałeś? - Nie rozumiała o co chodzi.

- Mówię o tym, że próbowałem załatwić sobie paszport, dzięki któremu mógłbym legalnie wrócić do domu. Właśnie po to skontaktowałem się z Krausem - wyjaśnił. - Ciągle nie wiem, kto za tym wszystkim stoi ani czego chce, ale jedno jest pewne: Gretta Kraus mnie zdradziła.

Molly skinęła głową.

- Emilio dopadł nas właśnie tam, w jej warsztacie.

- Wiem - rzekł poważnym tonem. - Widziałem nagranie z ukrytej kamery. To była komórka terrorystyczna, ci ludzie, którzy tam wpadli z bronią w rękę i mało was nie pozabijali. Niech to diabli.

- Mój Boże - powiedziała. - Aż trudno w to uwierzyć. Z początku w ogóle nie wiedziałam, co się dzieje, i...

- Trudno uwierzyć - przerwał jej Jones - jeśli ktoś otwiera ogień w kościele albo w centrum handlowym... Jednak jeśli coś takiego dzieje się w studiu profesjonalnego fałszerza, dokąd schodzą się

rozmaici kryminaliści, żeby załatwić sobie nową tożsamość, to już całkiem inna sprawa. Ty i Gina w ogóle nie powinniście się tam znaleźć.

Czyli było tak, jak podejrzewał. Ona po prostu się o niego martwiła.

- Chciałam cię tylko ostrzec - szepnęła. - Wiedziałam, że jesteś śledzony. Kiedy wracałyśmy z kościoła, Emilio stał na korytarzu niedaleko naszego pokoju. Bałam się, że...

- Potrafię sam o siebie zadbać. - Przez chwilę miał ochotę nią potrząsnąć. - Trzeba było jechać prosto do ambasady.

- Ale ja wiedziałam, że to jedyne miejsce, gdzie ty absolutnie nie możesz iść! - protestowała.

- Jak udało się wam odnaleźć to studio? - Celowo nie dał jej adresu Krausów.

- No cóż, musiałyśmy zwrócić się o pomoc do niezbyt eleganckiego towarzystwa. Trafiłyśmy w jakieś miejsce, które było po trosze lombardem, a po trosze czymś w rodzaju burdelu. Udawałyśmy, że potrzebujemy paszportów, żeby się dostać do Nowego Jorku.

Jezu! Wyobrażał sobie, co to była za nora. Na samą myśl o tym chciało mu się... Jak to mówiła Gina? Srać w gacie. Chociaż gdyby to on chciał nawiązać kontakt z Gretą Kraus, zabrałoby mu to przynajmniej półtora tygodnia i kosztowało o wiele więcej niż jedną wizytę w obskurnym burdelu.

- No więc weszłyśmy tam... - opowiadała Molly - ... udając, że w ogóle nie znamy angielskiego. Na zmianę mówiłyśmy tylko „Excuse please” i „Help”... Do tego dołożył jeszcze wielkie niewinne oczęta jak u małego psiaka... - zademonstrowała jak to wyglądało - ... plus gruzliczy kaszelek, żeby nikt nie podszedł zbyt blisko. Nie musiałyśmy nawet demonstrować naszych wdzięków.

Jezu! Teraz on także miał minę, na którą pozwalał sobie od czasu do czasu. Nazywał ją „wkurwionym wyrazem twarzy”. Ale Molly jeszcze nie skończyła.

- Gina wsadziła kurtkę pod koszulę i udawała, że też jest w ciąży. To była taka gra... Musiałyśmy przecież mieć jakiś powód, dla którego chcemy jechać do Ameryki. Więc udawałyśmy, że chodzi o to, żeby nasze dzieci urodziły się w Ameryce.

Była cholernie dumna z siebie, kiedy wkraczała do burdelu wypełnionego bez wątpienia najgorszymi szumowinami, jakimi może poszczycić się rodzaj ludzki. Złodzieje. Sutenerzy. Handlarze niewolników. Narkomani i sprzedawcy narkotyków. Mordercy. Gwałciciele...

- Gina mówiła na okrągło „No speak English” i „Sprech kein Deutch” i udawała, że zaczyna płakać, ilekroć ktoś spojrzał w jej kierunku. Była doprawdy zachwycająca. - Molly skończyła opowiadanie i pochyliła się do Jonesa, żeby go pocałować. - Proszę, jedźmy stąd. Musimy obmyślić jakiś plan, gdzie się spotkamy, kiedy to wszystko się skończy. Po tym, jak pojedę do domu i załatwię te szpitalne sprawy.

„Załatwię te szpitalne sprawy”. Jakby uwolnienie się od raka zżerającego ciało było równie łatwe jak spacer po parku. I jakby szczęśliwe zakończenie było czymś oczywistym.

Lecz Molly wydawała się zdeterminowana.

- Może w takim miejscu jak Perth, Tajwan czy nawet Kuala Lumpur? Moglibyśmy pomóc w robieniu porządków po tsunami. Na pewno wciąż potrzebują wolontariuszy.

- Nie mogę - odparł Jones.

- Ależ możesz!

- Nie! - przerwał jej. - Nawet gdyby udało ci się mnie przekonać, że od tej chwili jesteś już bezpieczna, to i tak nie mógłbym odjechać. Żeby cię odnaleźć, Molly, musiałem zaprzedać duszę diabłu.

Nie zrozumiała go.

- Zawarłem z Makssem pewien układ - wyjaśnił. - Że dostanie mnie za ciebie i Ginę. On przynajmniej nie chce mojej śmierci, tak jak inni ludzie.

To był kiepski żart, dlatego Molly nawet się nie uśmiechnęła. Przestała jednak prosić, by uciekali, ponieważ szczerze wierzyła, że jej mąż jest człowiekiem honoru; człowiekiem, który dotrzymuje słowa. Po drugiej stronie garażu Jules sprzeczał się z Makssem.

- Nie - powiedział do słuchawki. - Będę. - Pauza. - Nie, ja to zrobię. Ktoś musi przecież zostać z Molly i Giną...

Obaj cierpieli chyba na nadmiar testosteronu. Najwyraźniej chodziło o jakieś niebezpieczne zadanie, które mógł wykonać tylko prawdziwy bohater.

Jak na człowieka honoru przystało, Jones pozostał w samochodzie i dalej tulił do siebie żonę.

Jules prychnął ze złością.

- Nie. To ja odpowiadam za tę akcję, więc się streszczaj i rób, co ci każe.

No proszę, facet jednak miał jaja, mimo że był gejem.

- Weźmiemy prawnika. - Głos Molly sprowadził go z powrotem w otchłań czarnej niepewności, która była ich przyszłością.

- Tak - odparł, patrząc w jej oczy.

Zmusił się do uśmiechu, modląc się jednocześnie, by nie dostrzegła przerażenia, które dusiło go za każdym razem, gdy myślał, że może ją utracić.

Lecz nawet gdyby jakimś cudem mogli teraz przejść przez bramę wiodącą do domu jej matki w Iowa, to i tak niebezpieczeństwo, że w ciągu kilku lat będzie musiał pożegnać Molly na zawsze, nie zmniejszyłoby się ani trochę.

Jones podniósł głos i zawołał do Julesa:

- Powinniśmy już ruszać. Czemu to trwa tak długo?

Jules w końcu zrezygnował z dzwonienia do ambasady, bo telefon wciąż był zajęty, i schował komórkę do kieszeni.

Nadszedł już najwyższy czas, żeby zacząć działać.

Sprawdził, czy jego broń jest naładowana, i po raz setny pożałował, że nie zabrał więcej amunicji.

Na pocieszenie został mu kapelusz. Zniszczony filcowy kapelusz z wywiniętym rondem, który wyglądał tak, jakby jakiś wicher zdmuchnął go z czupryny Humphreya Bogarta podczas kręcenia Key Largo. Zassany do atmosfery przetrwał tam huragan, jaki zapanował w branży filmowej, i po upływie sześćdziesięciu lat wylądował na drugim końcu świata.

Na głowie Julesa.

Choć długo przeleżał wciśnięty w jakiś kąt szafy, wydzielął z siebie woń, która sugerowała, że mniej więcej trzy dekady służył jako podkładka pod klatkę dla ptaków.

Taak...

Włożenie go było taką samą przyjemnością jak wciśnięcie się w skózaną kurtkę pilotkę. Chociaż taka opinia z pewnością nie była fair w stosunku do kurtki. Kurtka stanowiła okaz znakomicie zakonserwowanej staroci i wcale nie śmierdziała. Poza tym Julesowi

było w niej całkiem do twarzy, to znaczy wyglądał tak jak w swoich chłopięcych marzeniach.

Dzień zmienił się w prawdziwe piekło. Jules miał wrażenie, że w cieniu jest chyba milion stopni. Właściwie potrzebował jeszcze tylko rękawiczek z jednym palcem albo wełnianego szala, żeby dostać w najbliższym czasie udaru ciepłego.

- Dzisiaj rolę Indiany Jonesa alias Grady'ego Moranta odgrywa Jules Cassidy - oznajmił, wciskając ręce w wąskie rękawy.

Ciekawe, czy ktokolwiek da się nabrać na tę maskaradę? Jones był przecież znacznie wyższy.

Ale tak naprawdę zasadnicze pytanie brzmiało: czy w ogóle gdzieś tam na zewnątrz czai się ktoś, kogo będą mogli oszukać?

Emilio Testa był przekonany, że tak.

Uważał, że jeśli wyjedzie swoim samochodem, trzymając na muszce jakiegoś gościa, to ten, kto obserwuje jego dom, będzie przypuszczał, że Grady Morant wpadł w zastawione sidła.

Teoria numer dwa - teoria pierwsza zakładała, że faktycznie są pod obserwacją - opierała się na przypuszczeniach, że śledzący natychmiast wskoczą do swojego auta i puszczą się w pościg. A jeśli zdołają zatrzymać po drodze wóz Emilia? Ups, w środku nie będzie Grady'ego Moranta, tylko Jules.

A w tym czasie Jones i reszta wyjadą sobie spokojnie impalą przez nikogo nie niepokojeni.

Teoria numer trzy głosiła, że samochód wielkości małego czołgu może przejechać niezauważony. Kto wie, mogło tak się zdarzyć.

Ogólnie rzecz biorąc, przyjęty plan zakładał, że wyruszą dwoma samochodami, które spotkają się w umówionym miejscu - w dokach poniżej portu.

Jules i Emilio dotrą tam pierwsi i nawiążą kontakt z właścicielem hydroplanu, który miał po nich przyplłynąć, a któremu Emilio ufał jak sobie samemu. Ten hydroplan miał później posłużyć jako środek lokomocji na Diini, gdzie mieściła się ambasada amerykańska.

W tym czasie reszta zainteresowanych powinna nieco opóźnić przyjazd do doków, aż Jules powie im przez telefon, że droga wolna.

Oczywiście zakładając, że będzie wolna.

Po obu stronach istniała spora doza nieufności. Na przykład Emilio stanowczo odmówił oddania pistoletu mimo przekonywania, że teraz są po tej samej stronie.

Jules nie lubił poddawać się depresji, ale w dramatycznej opowieści Emilia o porwaniu i morderstwach zauważył sporo niejasności.

Jak wytłumaczyć fakt, że Jules, Max i Morant weszli do domu przez garaż piętnaście minut temu? Po tym, jak biały van ruszył stąd z takim piskiem opon, że postawiłby na nogi każdego, kto obserwował posiadłość Testy?

Emilio gładko wywinął się od odpowiedzi i zaczął domagać się natychmiastowego odjazdu.

No dobrze, ale co w takim razie z białym vanem? Kto siedział za kierownicą i dlaczego zależało mu na takim pośpiechu? Emilio wyjaśnił, że to jego pomocnik Anton zabrał synową i jego wnuka w bezpieczne miejsce.

W porządku, tylko że w raporcie CIA wyraźnie napisano, że Testa ożenił się zaledwie dziesięć lat temu. To oznaczało, że jego syn musiał być doprawdy niezwykły; w wieku dziewięciu lat miał już żonę i dziecko.

Wskazywanie takich dziur w historyjce Emilia z pewnością nie przyspieszyłoby spraw, więc Jules zachował wątpliwości dla siebie.

Negocjacje z uzbrojonym porywaczem bardziej dotyczyły sposobów zakończenia sprawy niż środków, które miały służyć temu celowi, a oddzielenie Giny i Molly od Emilia i jego śmiercionośnej broni było absolutnym priorytetem.

Jules miał również nieco niejasne pojęcie, kim byli „oni” - ci, którzy obserwowali dom, jak również ich mocodawcy - ale w tym momencie wiedza ta wydawała mu się mało istotna.

Emilio wspominał bez przerwy o swoich kontaktach z człowiekiem o nazwisku Ram, tylko Jules nie mógł się zorientować, czy ów Ram przejął imperium Chaia, niedawno zmarłego barona narkotykowego, czy pracował dla rządu Indonezji.

Oczywiście na tej wysepce wszystko było możliwe, nawet to, że tajemniczy Ram robił i jedno, i drugie.

Bez wątpienia wszystko to się wyjaśni, kiedy wreszcie dotrą do azylu, jakim była ambasada amerykańska w Diii.

Ale Jules ciągle nie mógł się tam dodzwonić, co tylko pogarszało sytuację. Próbował dobić się do paru oficjeli w Dżakarcie, jak również do biura CIA, ale wszędzie słyszał nieustannie ten sam sygnał. Numer zajęty. Także Yashi dołożył swoje trzy grosze do tej niezwykle

radosnej atmosfery, bo nagle przestał odbierać telefony w biurze w Waszyngtonie.

Ho, ho!

W końcu Gina wynurzyła się z wnętrza domu. Emilio trzymał ją mocno pod ramię, jednocześnie wbijając lufę pistoletu w jej kręgosłup. Max szedł kilka kroków za nim z taką miną, jakby za chwilę miał urodzić jeża.

Maestro Emilio wyglądał mniej więcej tak jak na tamtym materiale filmowym ze studia Gretty. Doskonale ostrzyżony, o nienagannych manierach. Nawet z bliska nie wyglądał na więcej niż pięćdziesiąt lat. No dobrze, może jego szyja wyglądała na sześćdziesiątkę. Używał niezłej wody kolońskiej, chociaż chyba polewał się nią ciut za obficie.

Facet dokładnie wiedział, jak zapewnić sobie maksymalnie korzystne warunki współpracy; cały czas trzymał lufę pistoletu przy zakładniku, w tym wypadku Ginie.

Gdyby palec Emilia zacisnął się na spuście, nie było najmniejszych możliwości, by pocisk nie dosięgnął celu.

- Dzięki, że to robisz - powiedziała Gina do Julesa.

Tak jakby w ogóle wchodziło w grę, że to Max pojedzie z Emiliem w charakterze zakładnika.

I wcale nie chodziło o to, że Emilio był uzbrojony i niebezpieczny, a Max nie należał już do grona agentów rządu Stanów Zjednoczonych.

Jules słuchał pilnie prawie każdego słowa, które tamci wymienili, kiedy spotkali się w głębi domu, i było dla niego jasne, że Max jeszcze nie zdążył porwać Giny w ramiona i odegrać słynnej sceny pocałunku Hana Solo z księżniczką Leią z Imperium kontratakuje.

Gdy tylko Jules i Emilio wyjdą z garażu i skierują się do tego antycznego escorta - który również, jak się okazało, stanowił własność Testy - Max z pewnością wykorzysta okazję, żeby wreszcie pocałować tę kobietę, którą tak bardzo adorował.

A może wcale nie.

- Kochanie, podziwiam twoją fryzurę - powiedział do Giny, oddając Maksowi komórkę. - Wyglądasz fantastycznie jak na kobietę, która od pięciu dni nie żyje.

- Co? - Nie zrozumiała go, a on nie miał czasu niczego wyjaśniać.

- Max powie ci, o co mi chodziło.

Jasne! Z pewnością Max nie potrafi bez zamglonego spojrzenia i wilgotnych oczu opowiedzieć o tym, jak ujrzał jej nazwisko na liście ofiar zamachu. Widząc jego wzruszenie, Gina na pewno rzuci mu się w ramiona albo zrobi nawet coś jeszcze. Jeśli wtedy Max nie odpowie jej pocałunkiem, po którym wszystko stanie się jasne, to będzie znaczyło, że nie zasługuje na tę kobietę.

- Auu! - jęknął, kiedy Emilio wbił mu lufę pistoletu w nerkę.

- Przepraszam.

Co prawda Emilio wykrztusił to słowo dość uprzejmym tonem, ale był tak zestresowany, że nie starczyło mu sił, by dopasować do tego wyraz twarzy. Dziwne, pomyślał Jules. Zwłaszcza kiedy Emilio znów szturchnął go poniżej żeber.

- Idziemy.

Czyż to nie zaczynało być zabawne? Tymczasem Max przesunął się tak, że znalazł się przed Giną. Jules napotkał jego spojrzenie.

- Czekamy na twój telefon - powiedział, ale nie odwracał wzroku. Bez słów przekazał mu jeszcze jedno polecenie: jeżeli Emilio zacznie sprawiać jakieś kłopoty, Jules bez wahania powinien go zastrzelić.

Nieważne, że to właśnie Emilio miał przy sobie naładowaną broń. Nieważne, że Jules trzymał ręce wysoko nad głową i gdyby tylko spróbował włożyć je do kieszeni, natychmiast miałyby w plecach dziurę po pocisku.

Mimo niesprzyjających okoliczności Max wierzył niezachwianie, że Jules potrafi zyskać przewagę nad przeciwnikiem.

Całkiem możliwe, że był to najwspanialszy moment w całej karierze Julesa - tutaj, w tym zatechłym garażu i z wbitym pod żebra pistoletem, który trzymał jakiś kmiotek.

- Niedługo się zobaczymy - obiecał, odwracając się do Maksa.

Wolnym ruchem przesunął ręce nieco do przodu i naciągnął głębiej kapelusz.

Następnie obaj z Emiliem wyszli na zewnątrz.

Rozdział Siedemnasty

Max patrzył, jak escort Testy dławi się i kaszle, aż wreszcie odjeżdża. Jules siedział za kierownicą. Odwrócił się. Gina stała za jego plecami i nerwowo ścisnęła ręce, patrząc na niego tak, jakby właśnie zamordował jej ukochanego szczeniaka.

- Nic mu się nie stanie - powiedział uspokajająco.

- Co Jules miał na myśli, kiedy byliśmy jeszcze w tamtym pokoju, a on powiedział, że ty nie jesteś już jego szefem?

- Właśnie to. Że nie jestem już jego szefem - wykręcił się. - Posłuchaj, teraz musimy się pospieszyć...

- Masz rację, przepraszam. Po prostu... Po prostu miło cię znów zobaczyć, Max. Ostatecznie minęło trochę czasu.

Była wściekła jak diabli. Nie patrząc na niego, odwróciła się do samochodu.

Jones właśnie pomagał Molly wysiąść.

- Idziemy pieszo - oznajmił Max, zanim Gina zdążyła o cokolwiek zapytać. - Ja też się cieszę, że cię widzę.

To i tak było więcej, niż sobie wyobrażała.

- Pieszko?! Ale...

Wiedział, że słyszała, jak rozmawiał z Emiliem o tym, że pojedą impalą.

- Nie bierzemy tego samochodu, ponieważ Emilio właśnie tego chciał - wyjaśnił Max. - Ani trochę mu nie ufam.

Odwrócił się do Jonesa.

- Dasz radę zaprowadzić nas na to lądowisko, które odkryłeś ostatniej nocy?

- Jasne.

Gina była bardzo nieszczęśliwa.

- Ale pozwoliłeś, żeby Jules z nim odjechał.

- Nie mogę Julesowi niczego zabraniać. Zresztą bądź pewna, Jules potrafi zadbać o siebie. Czy mamy coś, co dziewczyny mogłyby włożyć na głowy? - zwrócił się do Jonesa.

- Na przykład co, papierowe torby? - zażartowała Molly. - Wiem, że wyglądamy fatalnie, ale...

- Jakieś szaliki - przerwał jej. - Żeby schować włosy.

Jak mogła żartować w takim momencie? Co prawda dwie Amerykanki i tak będą się wyróżniały w tłumie w zachodnich

ciuchach, nawet jeśli zakryją włosy. Może zresztą to nie ma znaczenia. Tyle tylko że rudawe włosy Molly rzuciły się w oczy.

- Może coś się znajdzie tam w środku.

Jones znalazł łom i próbował teraz podważyć klapę bagażnika impali.

- Możemy poszukać czegoś w domu - zasugerowała Gina.

- Nie - zdecydował Max. - Szkoda czasu. Po prostu...

- O rany! - zawołał Jones, spoglądając na zawartość bagażnika.

Molly podbiegła, żeby rzucić okiem.

- Wielki Boże...

Gina była nieco mniej pobożna.

- Cholera jasna!

Max nic nie powiedział. Bez słowa gapił się na kolekcję, która wypełniała bagażnik impali. Był tam bogaty wybór broni, od małych pistoletów aż po szeroki wachlarz karabinów, od półautomatycznych M3 i HK - MP5 aż po snajperskie remingtony z pełnym wyposażeniem i groźnie wyglądające śrutówki.

Było ich dość, by wyposażyc małą armię. Albo tuzin komórek terrorystycznych.

To intuicja kazała mu nie ufać Emiliowi Teście. Tyle tylko że nie wiedział, do jakiego stopnia powinien mu nie ufać.

- Chyba ta cała historia o porwaniu i zamordowaniu żony była zwykłą bajeczką - zauważył Jones.

I to dobrze wymyśloną bajeczką. Emilio miał pod ręką taki arsenał, a mimo to wmówił im, że on - i ten, kto uciekł białym vanem - miał jedynie mały pistolecik. Max prawie go podziwiał. Prawie.

- A Jules pojechał z tym facetem - jęknęła Gina.

Tak jakby Max coś przez chwilę o tym zapomniał.

- Tak.

Max wyjął telefon i wybrał numer Julesa, a w tym czasie sam - podobnie jak Jones - wziął sobie jeden z HK i sporo amunicji.

Cholera, dopiero teraz zauważył, że trzyma w ręku komórkę Julesa. Nie wiadomo, jak i kiedy zdołali je zamienić. A to oznaczało, że Max musi wybrać własny numer, czego nigdy dotąd nie robił... Znalazł swoje nazwisko w książce telefonicznej pod literą B. Nie „Bhagat”, tylko „Boss, Max”. Wybrał numer.

- Ruszajmy - zdecydował.

Przyciskając telefon do ucha, puścił się biegiem i osłaniał tył uciekających.

Emilio otworzył komórkę, kiedy Jules skręcił w drogę prowadzącą u podnóża górskiego zbocza, która wiodła aż do portu.

Opuścił broń zaraz, gdy wyjechali z centrum miasteczka i skierowali się na tę wąską, pełną zakrętów drogę z obu stron otoczoną przez dżunglę.

Wtedy właśnie Jules zaczął się zastanawiać, czy Emilio przypadkiem nie mówił im prawdy. Coraz bardziej prawdopodobne wydawało się, że następne minuty przebiegną zgodnie z planem, a podróż do doków odbędzie się bez większych zakłóceń.

- Proszę mi wybaczyć... - powiedział teraz - ... ale wolałbym, żeby pan nigdzie nie dzwonił, dopóki nie będziemy na miejscu.

- Tak - odezwał się do słuchawki Emilio.

Niestety, nie chodziło bynajmniej o demonstracyjne ignorowanie poleceń Julesa. Pistolet znów wycelowany był w plecy kierowcy.

Sprawy nie wyglądały już tak różowo.

Trzymając przy uchu słuchawkę, Emilio zaczął wyrzucać z siebie potok słów z szybkością karabinu maszynowego w języku, którego Jules nie znał. Nie potrzebował jednak dyplomu magistra z portunezyjskiego, czy jak tam się zwała ta mieszanka portugalskiego z indonezyjskim, żeby zgadnąć, co Emilio miał do powiedzenia. „Zmiana planów. Morant jest teraz w moim domu i czeka na telefon, że droga wolna. Ma jechać w stronę doków moim błękitnym chevy impalą. Lepiej zgarnijcie go teraz”.

Potem nagle przeszedł na angielski, jakby z drugiej strony odezwał się ktoś inny.

- Nie! - rzucił gniewnym tonem. - Nie, nie zgadzam się. Ściągnąłem go na wyspę i to wszystko, co wam obiecałem. Reszta należy do was...

Jules poczuł, jak schowana w kieszeni skórzanej kurtki komórka zaczyna delikatnie wibrować. To dziwne, przecież wyciszył dźwięk w telefonie Maksa, a nie w swoim... Niech to szlag! Musiał się pomylić i dać Maksowi niewłaściwy aparat.

Chciał po niego sięgnąć, ale Emilio zauważył ten ruch.

- Łapy na kierownicy - warknął. - Żebym je widział!

Najwyraźniej uważał, że Jules miał zamiar wyciągnąć broń. To zresztą było w tej sytuacji bardzo dobrym pomysłem, jeśli się nad tym głębiej zastanowić.

Emilio nie mógł tak po prostu zastrzelić Julesa, ponieważ to on siedział za kierownicą. Droga była wąska i pełna rozpadlin, z mnóstwem ostrych zakrętów i barierek, które tu i ówdzie zdążyły się pokryć rdzą. Nie trzeba było wiele, żeby wypaść z drogi i w przyspieszonym tempie znaleźć się na samym dole.

Nie, Emilio nie mógł zabić Julesa. Ale Jules mógł zastrzelić Emilia.

- Zjedź na bok - polecił Emilio, zamykając komórkę.

- Nawet nie mam zamiaru - parsknął Jules i z całej siły wdepnął w gaz.

- Niech to szlag - odezwał się Max.

To wyrażenie nie znajdowało się na liście wykrzykników, które Molly życzyła sobie w tym momencie usłyszeć, jak na przykład: „Hurra!” i zaraz potem: „Jesteśmy bezpieczni, możemy się zatrzymać”. Albo: „Kto życzy sobie na lunch coś z grilla, a na deser ciasto czekoladowe?”.

Molly zakończyła właśnie fazę porannych mdłości i teraz zaczynała ją ogarniać wilczy apetyt.

- Nie mam zasięgu - oznajmił Max.

- Może jesteśmy zbyt blisko wieży - wysapała Gina.

Bieg pod górę nie był jej ulubionym zajęciem, tak samo jak Molly.

Biegli już strasznie długo, co zdarzyło się pierwszy raz, odkąd Molly została poddana biopsji.

- Co to jest, do diabła? - spytał Jones.

O co mu chodziło? Prawie wpadli w poślizg, kiedy próbowali zatrzymać się na zakurzonej i brudnej pobocznej drodze. Molly pochyliła się, starając uspokoić oddech.

„To” znaczyło w tym wypadku trudny do pomylenia z czymkolwiek innym dźwięk zbliżającej się ciężarówki. Znajdowała się jeszcze poza zasięgiem wzroku gdzieś przed nimi, ale mogli się założyć, że nie był to tir z dostawą świątecznych talerzyków i papierowych serwetek do najbliższego Wal - Martu.

- O kurwa... - mruknął Jones.

Z wcześniejszych doświadczeń Molly, która spędziła w tym rejonie świata ładny kawał życia, wynikało, że odgłos nadjeżdżającej ciężarówki - dudnienie silnika i skrzypienie skrzyni biegów - mogły oznaczać tylko jedno.

Max wyjaśnił to Ginie bez ogródek.

- Prawdopodobnie to transport żołnierzy.

Transport żołnierzy, który zbliżał się w ich kierunku. Najważniejsze pytanie brzmiało: czyi żołnierze znajdowali się w tym samochodzie?

Fakt, że ambasada amerykańska przeniosła się do pobliskiego Timoru Wschodniego, oznaczał, iż w pobliżu mogli się kręcić marines, których zadaniem była ochrona obiektu, prawda? Nie wydawało się więc tak całkiem nieprawdopodobne, że tą ciężarówką mogli podróżować ich sojusznicy.

Ale Jones i Max wymienili spojrzenie, z którego Molly wyczytała, że nie liczą na taki scenariusz.

- A może lepiej się schować i przeczekać, aż nas miną? - zaproponowała Gina.

- Wygląda na to, że to więcej niż jedna ciężarówka - odparł Jones. - Mają za zadanie nas odszukać, więc pewnie nie przejadą obok ot, tak sobie.

Po jednej stronie drogi ciągnął się rząd ciasno ustawionych domów, które obejmowały uściskiem podstawę stromego wzniesienia. Z drugiej strony znajdowało się urwisko. Widok zapierał dech w piersiach, ale nigdzie nie było czegokolwiek, co nadawałoby się na kryjówkę.

- Tędy! - rzucił Max i wszyscy czworo cofnęli się tam, skąd przyszli. Zresztą nie mieli zbyt wielkiego wyboru. Ostatnio mijali coś, co wyglądało na wąską ścieżkę, która odchodziła od drogi i pięła się ostro w górę.

- Tam nie ma przejścia! - zawołał Jones, kiedy Molly ruszyła w tamtą stronę.

- Skąd wiesz? - spytała.

- Bo wychodziłem zeszłej nocy. - Jones nie był nawet trochę zmęczony. Oczywiście, nie był w ciąży i nie miał na piersiach świeżych szwów... - Jest inne przejście, którym się dostaniemy na lądowisko. Nie prowadzi tam prosta droga - zwrócił się do Maksa. - Musimy zejść trochę, a potem wejść pod górę z drugiej strony.

Propozycja schodzenia wszystkim przypadła do gustu. Zwłaszcza kiedy podczas cofania się pionowy klif po lewej stronie zamienił się w gęstą, rosnącą na stromiźnie dżunglę. Max prowadził; zatrzymał się, żeby przejść przez barierkę i podał rękę najpierw Ginie, a potem Molly.

- Ostrożnie - ostrzegł, ale Gina zdążyła się już poślizgnąć. - Jones! Jones był tuż za Molly. Trzymał ją mocno, a Max złapał Ginę za rąbek spódnicy.

- O mój Boże!

Gina zaczęła zjeżdżać na siedzeniu, pociągając za sobą Maksa. Ale on jej nie puścił. Razem ześlizgiwali się po zboczu, aż wreszcie Max zahaczył ręką o jakieś drzewo.

W tym momencie Gina przywarła całym ciałem do jego nogi.

- Nic ci nie jest? - spytał Max.

- O mój Boże! - powtórzyła.

Jones objął ręką nadgarstek Molly i pokazał jej, jak ma go trzymać, żeby wzajemnie się blokowali. Zaczęli schodzić tą samą drogą co Gina i Max, tylko o wiele wolniej.

- Chciałbym mieć linę - westchnął Jones.

- Gdybym mogła wyrazić teraz jakieś życzenie, to na pewno nie marnowałabym go na głupią linę - odparła Molly.

- Celną uwagę - powiedział, nie przerywając schodzenia. - Więc ja chciałbym mieć przed sobą jeszcze dziesiątki lat, żeby zestarzeć się z tobą w jakimś malutkim miasteczku... Sam nie wiem gdzie, może w północnej Kalifornii?

Zaśmiała się, bo jego słowa zupełnie ją zaskoczyły.

- Naprawdę? Myślałam, że nienawidzisz Stanów.

Jones wzruszył ramionami.

- Bo tak jest.

Chyba sam poczuł się nieco zakłopotany tym wyznaniem.

- Ale to wcale nie znaczy, że nie chcę wrócić do domu.

Aż dotąd myślała, że jego chęć powrotu do Ameryki jest czystym przykładem poświęcenia się dla kogoś. O wiele bardziej podobało jej się to, co usłyszała przed chwilą, tylko nie miała czasu mu tego powiedzieć, bo właśnie dogonili Maksa i Ginę.

Max właśnie pokazywał jej, jak powinna złapać się jakiejś rośliny, jeśli przypadkiem znów zacznie się ześlizgiwać.

Trzymał ją w talii, bezpiecznie opartą o jego pierś, podczas gdy ona owinęła jedną rękę dookoła jego szyi. Jej twarz znajdowała się kilka centymetrów od jego twarzy, ale Max nie skorzystał z okazji i nie pocałował Giny.

Zamiast tego zwolnił uścisk i spojrzał na Jonesa.

- Którędy dalej?

- Nie wiem - przyznał Jones. - Nie zbadałem wczoraj tej części gór.

Max wyraźnie się zmartwił.

- Ja też nie.

- Jestem prawie pewien, że znajdujemy się na północ od domu Emilia - powiedział Jones. - Kierowaliśmy się dokładnie na południe i trafiliśmy na ten klif, pod którym znajduje się dach jego domu. Dla nas najlepszym kierunkiem jest wschód. Jak najdalej od drogi.

Rzeczywiście szli na wschód.

Max znów prowadził, ale tym razem trzymał Ginę w ten sam sposób, w jaki Jones trzymał Molly.

- Dasz radę iść odrobinę szybciej? - spytał ją.

Szybciej?! O Boże...

- Postaram się - obiecała.

Ale ślizganie się i łapanie równowagi podczas schodzenia okazało się bardziej wyczerpujące niż wbieganie pod górę. Po krótkim czasie Molly nie mogła złapać oddechu. Jones zwolnił tempo.

- Dlaczego nie pójdziesz po pomoc? - spytała, choć ledwie mówiła ze zmęczenia.

- Nie ma mowy. - Objął ją w talii i jeszcze bardziej zwolnił.

- Grady, proszę...

- Nie zostawię cię tutaj.

- Ale...

- Nie ma mowy - przerwał. - Lepiej nie marnuj oddechu na gadanie.

Jules musiał trzymać kierownicę oburącz, kiedy z impetem wszedł w pierwszy zakręt i pokonał go na dwóch kołach. Bok samochodu zaczepił o metalową barierkę z rozdzierającym uszy zgrzytem.

A Emilio złapał kurczowo rączkę nad tylnymi drzwiami. Ręką, w której trzymał pistolet.

Teraz albo nigdy, pomyślał Jules. Błogosławił w myślach Cranky Hanka, byłego komandosa, który prowadził zajęcia na strzelnicy, gdy regularnie trenował tam zespół Maksa. Dzięki niemu Jules nauczył się strzelać lewą ręką; ćwiczył bez wytchnienia, aż oczy odmawiały mu posłuszeństwa.

Sięgnął po broń, starając się jednocześnie jedną ręką kontrolować ruch samochodu, który pędził drogą, bez przerwy wpadając w poślizg.

Jednak łatwiej było to powiedzieć, niż wykonać, i Jules szybko złapał oburącz kierownicę, zanim auto stoczyło się w dół zbocza.

- Ty skurwysynu! - wrzasnął Emilio albo tak zrozumiął to Jules, bo Emilio krzyknął coś po włosku.

Pistolet Emilia wypalił, a pocisk roztrzaskał szybę obok siedzenia pasażera, tuż za głową Julesa.

Jezu! Brakowało zaledwie kilku milimetrów! Jules szarpnął samochodem ostro w lewo, kierując się prosto na ustawioną przy jezdni barierkę i jednocześnie wdepnął w hamulec, ponieważ tylko jeśli nagle się zatrzymają - co powinno zaskoczyć Emilia - on będzie mógł wydostać swój pistolet i...

Ale samochód jak pocisk przebił się przez barierkę i potoczył w przepaść, a Jules skulił się w sobie, drżąc o życie.

Bo Emilio zdołał jakimś cudem strzelić do niego jeszcze raz.

Niebo.

Przed nimi pojawiło się zbyt wiele świetlistego błękitnego nieba. Max ścisnął dłoń Giny i zwolnił kroku.

Przez pół sekundy łudził się nadzieją, że oto dotarli do drogi wijącej się u podnóża z drugiej strony góry. Ale przestrzeń, jaką widział przed sobą, była stanowczo zbyt wielka jak na jedną wąską drogę.

- Zaczekajcie! - zawołał do Jonesa, który włókł się za nimi, podtrzymując Molly.

Rzeczywiście, wyglądało na to, że zamiast znaleźć drogę, dotarli na koniec świata.

Oczywiście to nie był prawdziwy koniec świata. Tylko sprawiał takie wrażenie.

Dżungla kończyła się w tym miejscu stromym urwiskiem.

- Trzymaj się tego. - Oparł Ginę o solidny pień i upewnił się, że zacisnęła dłonie, a potem ostrożnie zbliżył się do krawędzi przepaści.

- Uważaj - krzyknęła za nim Gina.

Max posłuchał i zwolnił. Nie chciał, by się jeszcze bardziej bała. Gina napędziła mu strachu za nich dwoje, kiedy zaczęła ześlizgiwać się z dół zbocza zaraz po przejściu tamtej barierki.

Miał naprawdę sporo szczęścia, że zdążył zacisnąć palce na krawędzi jej spódnicy i że dał radę ją przytrzymać.

Chociaż gdyby mu się nie udało, rzuciłby się na oślep w ślad za nią.

I tak zbyt długo trwało, zanim chwycił drzewko, które nie dało się łatwo wyrwać i wyhamowało ich poślizg. Poraziła go wówczas nagła wizja, jak oboje przelatują ponad krawędzią urwiska i spadają w bezdenną przepaść, a on za cholerę nie może nic wymyślić, żeby ich uratować.

Zadziwiająco, do jakiego stopnia strach może zagłuszyć ból.

Po drodze jakaś gałąź walnęła go prosto w jądra, ale on niczego nie poczuł, dopóki nie przyciągnął do siebie Giny i nie chwycił jej w ramiona, kiedy leżał już wraz z nią na miękkiej ziemi, drżąc z przerażenia jak liść. Nigdy dotąd różnica pomiędzy żywym a martwym człowiekiem nie wydawała mu się tak niewielka i mało znacząca. To była naprawdę cieniutka linia, którą można było przekroczyć w najmniej oczekiwanym momencie.

I teraz, zbliżając się do brzegu urwiska, ostrożnie stawiał stopy i starannie sprawdzał oparcie dla rąk.

- Max! - usłyszał znów wołanie Giny.

- Wszystko w porządku - krzyknął.

Musiał sprawdzić, czy ten klif naprawdę jest tak stromy.

Niestety. Nigdzie nie dostrzegł żadnej ścieżki prowadzącej w dół.

Widok zapierał dech w piersiach - soczysta zieleń pagórków i dolin leżących poniżej wyglądała niezwykle kusząco, jakby zachęcała do tego, by skoczyć i wylądować bez szwanku w jej puszystej miękkości. W oddali portowe miasteczko mieniło się żywymi kolorami, a leżący za nim ocean skrzył się i migotał w słońcu.

Skąła ciągnęła się na południe, ale w żaden sposób nie można było dojrzeć, dokąd prowadzi.

Max wspiął się z powrotem na zbocze, gdzie czekała Gina. Naprawdę łatwiej było się wspinać, niż schodzić, bo mógł chwytać wystające z ziemi korzenie i pędy winorośli, które sprawdził już uprzednio, wieszając się na nich całym ciężarem.

- Tędy - powiedział wskazując na ścieżkę biegnącą równoległe do urwiska.

Gina wyciągnęła rękę, a on ujął ją mocno. I znów ruszyli przed siebie.

Jules jednym kopnięciem wywalił pokruszone okno w drzwiach obok kierowcy i wyczołgał się z wraku auta.

Spod klapy silnika wydobywały się kłęby pary i rozlegało się ciche tykanie, jakie zwykle wydają silniki, kiedy stygną po nadmiernym rozgrzaniu.

Emilio zdążył się ulotnić. Nie zapiął wcześniej pasa i Jules nie miał pojęcia, w jaki sposób opuścił samochód, z wyboru czy mimowolnie.

Całkiem możliwe, że stało się to wtedy, gdy Julesowi udało się wydobyć z kabury pistolet i odbezpieczyć.

Wątpliwe, czy udało mu się celnie strzelić, ale jednego mógł być pewien: trafił tego sukinsyna. Boczna szyba przy siedzeniu pasażera była obficie spryskana krwią.

A w jaki sposób Emilio stąd wyszedł? Wszystko jedno, czy stało się to przypadkiem czy celowo, Jules miał nadzieję, że skurczybyk połamał sobie parę kości, biorąc pod uwagę prędkość, z jaką jechali.

Mimo wszystko nie bez powodu w FBI brano pod uwagę jego osobę jako najlepszego kandydata na szefa zespołu agentów. Trzymając broń w pogotowiu, zaczął przeciskać się przez okno, które było teraz znacznie węższe niż zazwyczaj ze względu na częściowo pognieciony dach.

Cholera, naprawdę miał fart, że opatrność poskąpiła mu imponującego wzrostu.

Prawa noga zdecydowanie odmawiała mu posłuszeństwa i zamiast stać obok samochodu, Jules przewrócił się na ziemię. Diabelna kończyna nie tylko nie chciała utrzymywać ciężaru ciała, ale w ogóle nie miała zamiaru się ruszać. Zupełnie jakby należała do kogoś innego i tylko przypadkiem ktoś przyczepił ją do tułowia Julesa.

Zaczął się czołgać, podpierając mocno łokciami, byle znaleźć się jak najdalej od dymiącego wraku. O rany, jak boli!

Chryste, i jeszcze głowa! Mimo że poduszka powietrzna zadziałała jak trzeba i tak walnął głową w coś twardego. Miał

wrażenie, że w mózgu wszystko mu się pomieszało; w dodatku miał kłopoty z widzeniem i obraz zamazywał mu się przed oczyma.

Ale żył. Wiedział, że żyje, bo każda cząstka jego ciała sprawiała mu straszny ból. Bolało go pod pachami i bolały go palce stóp.

Ale zaraz przyszła mu do głowy ważna rzecz. Trzeba ostrzec Maksa.

Musiał przetoczyć się na plecy, chociaż w tej pozycji czuł się bezbronny i odkryty, zupełnie jakby był żółwiem albo karaluchem. Ale tylko w ten sposób mógł się dostać do telefonu.

Znalazł go. Aparat uwalany był krwią.

Niech to szlag, to przecież jego krew! Ten skurwiel Testa jednak go zranił!

Jules położył pistolet na brzuchu, żeby w razie potrzeby mieć go pod ręką, a następnie zaczął się obmacywać w poszukiwaniu rany.

Pocisk - z broni małego kalibru, bo w innym wypadku Jules ciągle byłby w samochodzie, martwy i zapewne w dwóch kawałkach - trafił go dokładnie w bok. Udało mu się znaleźć otwór wylotowy, co wydawało się względnie dobrą nowiną.

Jeszcze lepszą byłaby wiadomość, że krwawienie ustało.

Przycisnął ranę lewą ręką, prawą zaś wytarł telefon w nogawkę. Niech to diabli, nic dziwnego, że głupie wyprostowanie pleców wydawało mu się równie wielkim wyzwaniem jak chodzenie i tak cholernie bolało.

Dobrze byłoby, gdyby głowa pozostała na swoim miejscu, to znaczy przytwierdzona do ramion. Psiakrew, naprawdę wszystko wirowało mu przed oczyma. Ale to nic. Ważne sprawy pozostawały ważne. Trzymał w ręku telefon Maksa, nie swój, a to znaczyło, że musi zadzwonić do siebie. Skoncentrował się i postarał skupić spojrzenie...

- Oni wyłączyli wszystkie wieże przekaźnikowe na wyspie. Do nikogo się nie dodzwonisz.

Kurwa mać.

- Tak myślałem, że nie ma co liczyć na to, że gdzieś skręcisz sobie kark - powiedział Jules, odwracając głowę w kierunku Emilia i patrząc prosto w czarny otwór lufy pistoletu.

Niestety, nadzieja, że sukinsyn zgubił gdzieś po drodze tę pieprzoną pukawkę, również okazała się złudna.

Gina natychmiast rozpoznała ten dźwięk. To był dźwięk, który dręczył ją w nocnych koszmarach.

Max biegł kilka kroków za nią. Do jej uszu dobiegi jego krzyk.

- Na ziemię, natychmiast na ziemię!

Tamci zaczęli do nich strzelać.

Max był już tuż za nią i osłaniał ją własnym ciałem, popychając z całych sił.

- Idź, no idź!

A dosłownie kilka chwil temu czuła się taka odprężona. Nareszcie wyszli z gór na drogę, która prowadziła do jakichś domów.

Ale droga skręcała w prawo i...

Nagle Max i Jones jak na komendę rzucili kilka soczystych przekleństw.

Bo ujrzeli, że są dokładnie tam, skąd wyszli. Przed domem Emilia.

W dodatku nie było dokąd iść, jedynie przed siebie. Droga otwierała się na mały brudny placik otoczony niskim murkiem, dookoła którego stały domy.

Nie było tam żywej duszy, jeśli nie liczyć kilkorga dzieci bawiących się dokładnie w tym samym miejscu co wtedy, gdy wychodzili. Jednak poza tym ulice sprawiały wrażenie zupełnie wymarłych.

Aż do chwili, gdy zagrzechotały pociski.

Po drugiej stronie placu stała ciężarówka, nie, nawet dwie. Ta druga była mniejsza, zwykły jeep z karabinem maszynowym zamontowanym na dachu. Podskakiwał na wybojach drogi, sunąc w ich kierunku. To właśnie z niego dobiegało terkotanie.

- Zabierz je do środka! - wrzasnął Jones do Maksa.

Max chwycił Molly, nie wypuszczając z rąk Giny, i pociągnął je obie pod osłonę garażu Emilia.

Rozdzierający uszy hałas zrobił się jeszcze głośniejszy, kiedy Jones zaczął się ostrzeliwać, jednocześnie cofając w kierunku bramy, którą Max zdążył już do połowy opuścić.

Ktoś zaczął krzyczeć i dopiero, gdy Max głośno spytał, czy ją trafili, Gina zorientowała się, że ten krzyk wydobywa się z jej gardła.

Natychmiast zamilkła, bo ten wrzask nikomu nie pomógł.

- Jesteś ranna? - spytał bez tchu.

Przesuwał rękoma po jej ciele, delikatnie dotykał i obracał w objęciach.

- Chyba nie - odparła, by go uspokoić. - A ty?

Jones wyszedł z wnętrza domu, co Maksowi wydało się dziwne.

Wcale nie zauważył, kiedy tam wchodził.

- Na razie spokój - powiedział.

- To dobrze - odparł Max i ostrożnie popchnął Ginę w stronę Molly. - Wejdźcie do środka.

- Jesteśmy w pułapce - oznajmił Jones. - Tu nie ma tylnego wyjścia. Przycisnęli nas do muru.

- Nie martw się, ten dom robi wrażenie prawdziwej fortecy - powie dział Max. - Czasem trzeba się bronić w gorszych miejscach niż to. Lepiej przenieśmy do środka tyle broni, ile tylko damy radę.

Zaczął wyjmować to, co znajdowało się w bagażniku impali, i po kolei układał karabiny na wyciągniętych rękach Jonesa.

- Ja też mogę pomóc - zaofiarowała się Gina.

Max wyciągnął z bagażnika plecak.

- Proszę - powiedział.

Gina zachwiała się pod jego ciężarem.

- To amunicja - poinformował ją. - Zanieś ją do środka.

Gina wręczyła plecak Molly.

- Uważaj, to ciężkie - ostrzegła ją, a Max już podawał jej następny.

Tym razem była przygotowana.

Wchodząc do domu przez drzwi oddzielające garaż, pomyślała, że takie drzwi mogłyby się znajdować w skarbcu bankowym.

Albo w schronie.

Albo w domu, którego właściciel jest cierpiącym na paranoję przemytnikiem broni i porywaczem - czyli, ogólnie rzecz ujmując, bandytą - i który zbudował swoją siedzibę tak, by móc wytrzymać długie oblężenie całej armii.

- Gina, czy ty...? - spytała z przerażeniem Molly.

Na jej dłoniach Gina dostrzegła krew. Molly jeszcze raz dotknęła plecaka i znów spojrzała na palce. Tym razem krwi było jeszcze więcej. Jasnoczerwonej, świeżej krwi.

Gina popatrzyła na swoje dłonie i na plecak, który niosła. Jej ręce również były mokre.

- To nie moja krew - powiedziała do Molly.

Odwracając się w stronę garażu, czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Niestety jej podejrzenia okazały się słuszne. Max był ranny.

Rozdział Osiemnasty

Ty krwawisz - powiedziała ponownie Gina.

- Wiem - powtórzył Max nie wiadomo już po raz który. Właśnie robił przegląd broni i amunicji, którą zabrali z kufra samochodu, i nie miał zamiaru przerywać. - Ale mimo to czuję się świetnie.

Zabrał obydwie dziewczyny do tego pokoju, który jego zdaniem służył do przechowywania zakładników, podczas gdy Jones - o wiele bardziej sprawny, bo jak dotąd żaden pocisk nie tkwił mu w pośladku - poszedł obejrzeć z bliska pozostałą część budynku.

Max zdążył tylko pospiesznie rzucić okiem na dolny poziom, gdzie mieściła się kuchnia oraz dwa pomieszczenia przeznaczone do użytku dziennego, ale to wystarczyło, żeby uznać opis Jonesa za absolutnie odpowiadający prawdzie. Ten dom był naprawdę jakąś cholerną fortecą.

Emilio zainstalował w swojej małej i wąskiej, zaledwie piętrowej willi o wiele więcej urządzeń służących poprawie bezpieczeństwa niż tylko kilkoro stalowych drzwi. Nieliczne okna, w dodatku wszystkie znajdujące się od frontu, wyposażył w solidne grube sztaby.

Z pozoru ten dom nie różnił się niczym od pozostałych budynków stojących w tej średnio zamożnej części podrzędnej i mało znanej wysepki. Lecz żelazne sztaby nie miały służyć odstraszeniu zwykłych złodziei, jak w sąsiednich obiektach. Ich zadaniem było powstrzymanie znacznie bardziej zdeterminowanych napastników.

Ściany domu także były nadspodziewanie grube, miejscami nawet na trzy stopy. Nawet te dzielące poszczególne pomieszczenia sprawiały wrażenie nadzwyczaj wytrzymałych. Najogólniej rzecz ujmując, było to dość niezwykle.

Dzięki miniaturowym kamerom zainstalowanym na zewnątrz cały system wyglądał na nowoczesny i zaawansowany technicznie.

Gina nie dała się zbić z tropu.

- Świetnie będziesz się czuł wtedy, kiedy przestaniesz krwawić.

Sprawa miała wrażenie oburzonej jak diabli.

I śmiertelnie wystraszonej, pomyślał Max. Z jego powodu. Postanowił więc całą uwagę skupić tylko na niej.

- Przede wszystkim jestem posiniaczony - powiedział.

Zdawał sobie sprawę, że wydarzenia ostatnich kilkunastu minut były dla Giny jakimś sennym koszmarem. Bóg jeden wiedział, że on

także odbył swoją pospieszną podróż do piekła, kiedy Gina zaczęła krzyczeć zaraz po tym, jak rozpętała się strzelanina. Nawet teraz na myśl o tym czuł, jak oblewa go zimny pot. Ginie nie powinno teraz przyjść do głowy, że on w każdej chwili może paść trupem.

- Nie bój się, ten pocisk wytracił cały impet - dodał.

Ale ona dalej wyglądała na bardzo zaniepokojoną.

- Nie mam pojęcia, co to znaczy. Jak to wytracił impet?

- Pomyśl, jak to wygląda w kontekście praw fizyki - wytłumaczył, wracając do sortowania amunicji na dziewięćmilimetrową i kaliber 44.

Użycie niewłaściwej amunicji mogło przynieść fatalne skutki. Półautomatyczny HK 9 mm MP5 był budzącym grozę tygrysem, lecz MP5 z zapasem amunicji kalibru 44 był równie groźny jak mały pudelek.

- Pocisk nie leci tak po prostu swoim torem aż w coś trafi, prawda? - mówił dalej. - Bo co się stanie, jeśli nie będzie w co uderzyć? Nie możesz wystrzelić z karabinu na wybrzeżu Jersey i spodziewać się, że trafisz kogoś w Hiszpanii, ponieważ rozdziela was ocean.

- No tak, to przecież jasne - odparła.

- Więc pocisk leci, dopóki nie wytraci energii - powiedział. Dobrze, że rozmawiali. Nie wyglądała już na przerażoną, a temat konwersacji był całkiem bezpieczny i z pewnością nie wywoła jeszcze większego mętliku w jego głowie. Udało mu się mówić spokojnie i z opanowaniem. - A kiedy wytraci energię, nie spada tak po prostu na ziemię jak w filmach rysunkowych o Króliku Buggsie. Dalej leci przed siebie, ale jego efektywność jest coraz mniejsza. Wtedy mówi się, że wytracił impet.

- Ale jeśli tak było z tym pociskiem, który cię trafił, to czemu krwawisz? - spytała, krzyżując ramiona.

- Bo on prawie wytracił impet, ale jeszcze nie do końca.

- Chcę to zobaczyć - upierała się Gina.

- Później. Ale ona już wiedziała.

Jak zawsze jej superczuły wykrywacz kłamstw zadziałał bez pudła.

- Chcę to zobaczyć teraz.

- Chcesz, żebym tak po prostu opuścił spodnie? - spytał. - Teraz?

Nie powiedziała więcej ani słowa. Nie musiała. Po prostu popatrzyła mu w oczy.

I nagle ten sam żar, który Max czuł, ilekroć spoglądał zbyt długo w oczy Giny, obudził się do życia. Nagle wszystko w nim stopniało, jakby wszedł do łaźni parowej.

Niczego nie chciał tak bardzo jak tego, by się z nią kochać, choć wcale tego nie chciał.

Chociaż właściwie chciał.

I tak, i nie, ponieważ tak naprawdę, kiedy powiedziano mu o śmierci Giny, niczego nie pragnął bardziej niż tego, by po prostu była.

Po prostu była...

Gina. Żywa.

Tyle tylko że kiedy żyła, oddychała i stała przed nim, znów obudziło się w nim pożądanie, poczucie winy i wspomnienie jej uśmiechu, i pamięć o tym, jak iskierki w jej oczach zmieniały się w wyraz satysfakcji, kiedy on... kiedy oni...

Odrzuciła w tył głowę, przerywając kontakt wzrokowy, a Max - ja zawsze doskonały w zmienianiu chaosu, jaki panował w jego głowie, w gwałtowną burzę - przyłapał się na tym, że zastanawia się, czy ona wzbudzała tak zwierzęce przyciąganie również w ojcu swojego nienarodzonego dziecka.

Jak najciszej położył dwie beretty M9 obok dziewięćmilimetrowej amunicji. To nie był odpowiedni czas na taką rozmowę.

Westchnęła. Teraz Max był przekonany, że Gina się wycofa i może pójdzie sprawdzić, co się dzieje z Molly. Ale ona znowu zwróciła się do niego.

- Posłuchaj, ja bardzo przepraszam, ale tylko chciałabym się upewnić, czy naprawdę z tobą wszystko w porządku.

Chryste.

- Gina, to na pewno wygląda fatalnie i tylko się zdenerwujesz. Musisz mi zaufać, to nie jest śmiertelny krwotok. Nie mam zamiaru umierać.

Nie miał zamiaru jej opuszczać, to chciał powiedzieć. W żadnym wypadku.

- To znaczy nie umrę, jeśli pozwolisz mi się przez chwilę zastanowić, co powinniśmy dalej robić - dorzucił.

To nie było ładne zagranie, ale podziałało. Gina natychmiast się wycofała.

- Czy mogę jakoś pomóc?

- Tak. Idź i sprawdź, czy z Molly wszystko w porządku.

Kiedy tylko tu weszli, Molly udała się prosto do łazienki i starannie zamknęła za sobą drzwi.

- Na pewno wszystko w porządku - powiedziała Gina. - Ona tam poszła, żeby zapewnić nam krótkie sam na sam, na wypadek gdybyśmy chcieli powiedzieć sobie coś intymnego. Na przykład gdybym chciała ci podziękować, że zrezygnowałeś z pracy, by mnie ratować...

Gina była sprytną kobietą i Max wcale się nie zdziwił, że wszystkiego się domyśliła.

- Na wypadek gdybyś tego nie zauważyła, zaznaczam, że jeszcze cię nie uratowałem - odparł.

- ... albo gdybym chciała powiedzieć: Przykro mi, że ciągle cię wkurzam...

Sapnął z rozdrażnieniem.

- Wcale mnie nie wkurzasz.

- ... albo nawet coś w stylu: Nie spodziewałam się, że w ogóle przyjedziesz - skończyła spokojnie.

Kurczę blade, no i co powinien jej odpowiedzieć?

- A myślałaś, że co? - spytał cierpko. - Że wzruszę ramionami i powiem, że już nie jestem za ciebie odpowiedzialny?

- No brawo! - zawołała. - Nareszcie to wielkie słowo na „o"! Zastanawiałam się, kiedy wreszcie je usłyszę! Pamiętaj, nigdy nie byłeś za mnie odpowiedzialny i nigdy nie chciałam, żebyś był. Czy naprawdę z tego powodu przejechałeś taki kawał świata? Bo mimo że już nie jesteś odpowiedzialny, to ciągle uważasz, że troszczenie się o mnie należy do twoich obowiązków? Na litość boską...

- Gina, może będziemy się o to kłócić, kiedy już znajdziesz się w bezpiecznym miejscu?

- Jak udało ci się przeżyć, Max, te wszystkie miesiące, kiedy byłam w Kenii? - Gina naprawdę wpadła we wściekłość. - Czy nie wariowałeś z niepokoju, że pożrą mnie dzikie zwierzęta albo że zostanę zabita w jakiejś potyczce, do jakich bez przerwy dochodzi między różnymi plemionami?

Tak jak został zabity jej przyjaciel Paul Jimmo. Max zupełnie się zagubił. Czuł, że za chwilę do reszty straci panowanie nad sobą.

- Owszem, wariowałem! - krzyknął na nią, choć w życiu nie przypuszczał, że potrafi tak się zachować. - Myślałem, że w końcu dostanę szału!

- A nie powinienes! - wypaliła bez namysłu. - Chciałeś przecież, żebym wyjechała. Nie można mieć wszystkiego naraz, Max. Albo chcesz, żebym była w twoim życiu, albo nie. I jeśli zdecydowałeś, że nie, straciłeś prawo do wariowania z niepokoju, co się ze mną dzieje. Sam zrezygnowałeś...

- Ja? - popatrzył na nią z niedowierzaniem. - To przecież ty mnie opuściłaś.

- Nie! - rzuciła mu prosto w twarz. - Ty mnie opuściłeś. Czy w ogóle masz pojęcie, czym było...

- ... czym było życie ze mną? - dokończył za nią, wrzeszcząc bez opamiętania. - Tak, kurwa mać, świetnie wiem, bo sam muszę ze sobą wytrzymać, i to przez dwadzieścia cztery godziny na dobę! I przykro mi, że musiałaś przez to przejść! Cholera, naprawdę tego żałuję... Wszystkiego żałuję! A chcesz może wiedzieć, czego najbardziej? Że nie pojechałem do tej pieprzonej Kenii półtora roku temu i siłą nie przywlokłem cię z powrotem do domu!

O cholera, tego nigdy nie powinien jej mówić!

Zapadła głucha cisza. Gina dosłownie zaniemówiła ze zdumienia. Max pomyślał, że taką samą minę pewnie by miała, gdyby nagle sznaucery jej ojca zaczęły wyśpiewywać arie operowe, i to w dodatku czysto.

Na schodach zadudniły kroki Jonesa. Dzięki Bogu. To oszczędziło im zakłopotania związanego z koniecznością prowadzenia dalszej rozmowy, co było nie lada wysiłkiem po tak gwałtownym starciu.

Najgłupsze w tym wszystkim wydawało się to, że Max naprawdę od bardzo, bardzo dawna nosił się z zamiarem przeproszenia Giny. Bez wątplenia był jej to winien, ale wyszło zupełnie nie tak, jak zamierzał.

Chciał jej powiedzieć, że prawdziwie, szczerze i uczciwie żałuje, że żałuje prawie wszystkiego, co zdarzyło się między nimi w ciągu ostatnich kilku lat.

No cóż, prawie wszystkiego.

Pamiętał te noce, kiedy naprawdę spał, ponieważ ona leżała w jego ramionach; jej sposoby na doprowadzanie go do śmiechu; jej upór, żeby czytać mu na głos, kiedy przebywał w szpitalu; jej spojrzenie, które rzucała mu zza długich rzęs; jej uśmiech tuż przedtem, nim zamykała na zasuwkę drzwi i...

No cóż, tego również żałował, ale w całkiem inny, bardziej skomplikowany sposób.

- Na górnym piętrze jest pięć małych sypialni - relacjonował Jones, a Max zmusił się, żeby uważnie go słuchać.

Nawet Molly wysunęła się z łazienki, a to oznaczało, że sam na sam Maksa i Giny definitywnie dobiegło końca.

- Dwie od frontu, ale tylko jedna z nich ma okno. Trzy są z tyłu i w jednej z nich znajduje się taki sam zestaw monitorów jak w kuchni... Na trzech ekranach widać obraz, jaki przekazują kamery zamontowane i na zewnątrz, i wewnątrz. Pokoje są mniejsze, niż powinny, bo wydaje się, że ściany między nimi są sporo szersze, nawet na górze. Moim zdaniem Emilio przetrzymywał tu jednocześnie kilku przymusowych gości i nie chciał, żeby porozumiewali się między sobą.

Gina patrzyła prosto na Maksa, a jej oczy wypełniły się łzami. Wspaniale. Dobra robota, Bhagat. Udało ci się doprowadzić tę dziewczynę... Ups, to znaczy kobietę... do płaczu.

- Zastanówmy się, jakiego rodzaju zawodowy przestępca potrzebuje domu, który jest zbudowany jak forteca, ale nie ma zapasowego wyjścia ani tunelu służącego do ucieczki - Max sformułował wreszcie jedno z ważniejszych pytań, na które powinni sobie odpowiedzieć. - Dobrze przyjrzałeś się temu, co jest na monitorach? - spytał Jonesa.

Jones skinął głową i podrapał wierzchem dłoni szczecinę pokrywającą policzki.

- No właśnie miałem wam o tym powiedzieć. Spójrzcie na obraz z siódmej zewnętrznej, dobrze? Czy myślicie...

- O tak - odparł Max.

Emilio miał w sumie siedem kamer zamontowanych na zewnątrz domu. Jedna z nich znajdowała się na dachu, dwie z różnych ujęć pokazywały frontową elewację, jedna była w garażu, a kolejne dwie strzegły bocznych ścian. Nie było potrzeby montowania czegokolwiek z tyłu, ponieważ dom opierał się plecami o strome górskie zbocze.

Mimo to pozostawało ujęcie z jeszcze jednej, tajemniczej kamery. Przekazywany przez nią obraz ukazywał coś, co wyglądało na zarośniętą ścieżynkę w środku dżungli, Bóg jeden wie gdzie.

Ta kamera musiała znajdować się przy końcu tunelu służącego do ucieczki.

Po prostu musiała.

- O czym wy mówicie? - Molly nie zorientowała się, o co chodzi.

- Mówimy, że Emilio musiał mieć jakieś zapasowe wyjście... Jakiś tunel, na wypadek gdyby musiał uciekać - wyjaśnił Jones. - Tylko że dotąd nie udało się nam go znaleźć.

Odwrócił się do Maksa.

- Może rzucisz okiem na salon i kuchnię, co? Mnie nie udało się znaleźć tego cholernego wejścia, ale może będziesz miał więcej szczęścia.

Bum!

- Co to było? - Gina poderwała się na równe nogi.

- Granat - odparł spokojnie Jones, idąc do kuchni razem z Molly.

- Będą musieli bardziej się postarać. Ten dom to prawdziwa twierdza.

Max włókł się za nimi i starał nie krzywić, żeby nie pokazać, jak bardzo boli go siedzenie. Gina szła tuż za nim i bacznie obserwowała każdy jego ruch.

- Więc jak, zaciągnąłbyś mnie za włosy do domu? - spytała przyciszonym głosem.

Co?! No pięknie. To znaczyło, że jednak miała coś do powiedzenia na temat jego idiotycznej uwagi o zmuszeniu jej do powrotu z Kenii.

- Bo gdybyś nie chciał mnie ciągnąć za włosy, to zdecydowanie nigdzie bym nie poszła - dokończyła szeptem.

Jak mogła żartować na ten temat, i to w takiej chwili?

- Mocne uderzenie w klatkę piersiową albo jeszcze lepiej dwa byłyby prawdziwą pieszczotą - dodała. - Nic mnie tak nie podnieca jak brutalne traktowanie kobiet. Tak jak w epoce kamienia łupanego.

- Już dobrze - odparł. - Możesz przestać?

Nagle jakieś wspomnienie przemknęło mu przed oczyma. Nie był to obraz Giny, która siedziała na nim okrakiem, śmiejąc się radośnie, lecz okryta całunem postać tamtej młodej kobiety leżącej w kostnicy na lotnisku. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, by nie paść od razu na kolana i nie podziękować Bogu, że odnalazł Ginę całą i zdrową.

- Czy teraz też cię wkurzyłam? - usłyszał jej głos. - Och, zaczekaj, przecież to ty jesteś mistrzem w denerwowaniu mnie.

Zacisnął kurczowo palce na blacie kuchennym, co ona wzięła za oznakę nagłego ataku bólu. Jej sarkazm natychmiast zniknął.

- O Boże, Max! - zawołała. - Dobrze się czujesz?

Skinął głową, żeby ją uspokoić; bał się, że jeśli tylko spróbuje otworzyć usta, zamiast słów wydobędzie się z nich nieartykułowany jęk.

- Tak mi przykro - szepnęła, obejmując go mocno.

O Boże, to prawie wystarczyło!

- Ja też cię przepraszam - odsunął się od niej, wściekły jak diabli na siebie za to, że na jej twarzy znów pojawił się wyraz przestachu.

Musiał jednak wziąć się w garść i przeczesać to pomieszczenie, by odnaleźć ukryte wejście do tunelu.

Gdyby był na miejscu Emilia, gdzie postarałby się je ukryć?

Facet najwyraźniej nie liczył się z kosztami. Całe wyposażenie kuchni było mniej więcej takiej jakości jak w restauracji.

Max wykorzystał kilka sekund na uspokojenie oddechu i powrót do rzeczywistości, w której Gina nie leżała martwa na tamtym stole.

Zmusił się, by spojrzeć na wbudowany w ścianę zestaw monitorów; technologia wyglądała na początek lat dziewięćdziesiątych, kiedy urządzenia cyfrowe były drogie jak cholera. Wszystkie kamery okazały się włączone i w pełni sprawne, a trzy monitory po kolei przekazywały ujęcia z każdej z nich. Wszystkie obrazy potwierdzały, że żołnierze otaczający dom ciągle trzymali się w odpowiedniej odległości. Nie było też widać żadnych szkód wyrządzonych przez granat.

Nieźle, pomyślał.

On albo Jones pewnie będą musieli pójść na chwilę na piętro i ostrzelać pustą ulicę. To powinno przez jakiś czas powstrzymać napastników przed wejściem w pole rażenia.

Należało za wszelką cenę odstraszyć ewentualnego samotnego kowboja, który odważyłby się podejść do okien i próbował wyrwać sztaby. To była naprawdę ostatnia rzecz, jakiej potrzebowali.

Oczywiście wyrwanie sztab nie było łatwym przedsięwzięciem.

Max jeszcze nigdy nie znajdował się po tej stronie barykady; nie szkodzi, że akurat tutejsi żołnierze nie sprawiali wrażenia ani tak wyćwiczonych, ani tak doskonale wyposażonych jak ci, z którymi

zwykle miał do czynienia. Mimo wszystko to robiło wrażenie - te ciężarówka i ci ludzie. Max wiedział, że z każdą godziną będzie ich przybywać.

Kiedy dowodzący akcją oficer zbierze swych podwładnych, powinien od razu kazać im zniszczyć kamery. Zakładając oczywiście, że wiedział o ich istnieniu.

Max przypuszczał, że jednak ktoś o nich wie, jeśli Emilio wciąż był wśród żywych. Wydawało się wielce prawdopodobne, że człowiek, który budował ten dom, z chęcią i bez zahamowań wskaże jego słabe punkty.

A to oznaczało, że pokaże również, gdzie kończy się ten cholerny tunel, którego Max powinien zacząć szukać już pół godziny temu, gdyby docenił spryt Emilia.

Nagle Gina odezwała się wystarczająco głośno, żeby wszyscy ją słyszeli.

- A może trzeba tu zaczekać, aż Jules sprowadzi jakąś pomoc?

Jones rzucił na Maksa pytające spojrzenie: Powiesz jej czy ja mam to zrobić?

Max wziął to na siebie. Kilka razy musiał odchrząknąć, zanim przyszły mu do głowy właściwe słowa.

- Jules... Być może Jules nie da rady nam pomóc - powiedział. - On... on prawdopodobnie ma kłopoty z dotarciem do ambasady, i to większe, niż początkowo sądziliśmy... Ci żołnierze, Gina... Oni do nas strzelali. Nie tak wygląda standardowa procedura. Otworzyć ogień do cywili bez ostrzeżenia czy zażądania dokumentów? Nie, moim zdaniem jest w to zamieszany ktoś, kto zajmuje wysokie stanowisko w dowództwie. W porwanie i całą resztę. Kimkolwiek są ci ludzie, byli w stanie wyłączyć sieć komórkową na całej wyspie. Oni naprawdę mają tu władzę.

Potrząsnął głową, bo wiedział, że bez względu na to, jak bardzo się stara osłodzić gorzką prawdę, Gina i tak wyczyta wszystko w jego twarzy.

Miał rację. Gina nie przebierała w słowach.

- Więc myślisz, że Jules nie żyje?

- Mam nadzieję, że żyje - odparł ostrożnie. - Tylko sądzę, że ma... kłopoty.

Odchrząknął znowu, przyglądając się, jak Jones pomaga Molly odsunąć lodówkę, na wypadek gdyby za nią znajdowało się sekretne

przejście. To wydało mu się śmieszne, bo jego zdaniem tunel musiał być łatwo dostępny. Mimo wszystko trzeba było jednak sprawdzić każdą ewentualność.

Gina wzięła go za rękę i mocno uścisnęła.

- On jest dobrym chłopcem, wiesz o tym, prawda? Ludzie nie doceniają Julesa, bo on zawsze żartuje. I jest za przystojny. Jest miłutki i wygląda tak młodo, więc uważają, że... Ale jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.

- Taak... - mruknął Max.

W oczach Giny znów pojawiły się łzy, ale widać było, jak bardzo stara się uśmiechać i myśleć pozytywnie. Ale Max, mimo że naprawdę próbował, nie zdołał się uśmiechnąć.

Za lodówką nie było żadnego wejścia. Tak samo za kuchenką. Jones ukląkł i na kolanach obmacywał dno szafki pod zlewozmywakiem.

- Gdybym ja miał nieograniczone środki... - powiedział stamtąd do Molly - ... i przygotowywał sobie drogę ucieczki, to ukryłbym wejście w najmniej prawdopodobnym miejscu. Żeby moi wrogowie musieli tracić czas na zgadywanie.

Bum!

Przez ekran monitora przemknęła smuga dymu.

- Tym razem było głośniejsze - zauważyła Molly.

Max wyszedł do sąsiedniego pokoju i patrzył na meble, które Jones zdążył poodsuwać spod ścian. Znów uderzyło go, jak wielkie pieniądze zostały wpompowane w urządzenie tego domu.

- Wcale nie - odpowiedział jej Jones, a jego głos dolatywał z kuchni. - Tylko się nie denerwuj.

- To nie jest twoja wina. - Gina poszła za Maksem, a teraz delikatnie dotknęła jego ramienia, żeby zwrócił na nią uwagę. - Wiem, powiedziałam, że nie powinieneś pozwolić, żeby Jules odjechał z Emiliem, ale miałeś rację. Nie chodzi o to, że pozwoliłeś mu odjechać, tylko że nie mogłeś go powstrzymać.

Max skinął głową. Racja.

- Tak, mam ten problem z wszystkimi moimi przyjaciółmi, nie zauważyłaś?

- Nienawidzę tego słowa - rzuciła przez zaciśnięte zęby. - Przepraszam, Max, nie przeszkadzaj sobie. Tylko powiedz mi, czy

naprawdę nie znajdowałam się choć odrobinę wyżej w hierarchii niż na przykład Jules?

- Owszem - powiedział. Natychmiast spostrzegł, że Gina mówiła w czasie przeszłym i on także sformułował zdanie w ten sposób, bo znów zaczął go ogarniać gniew. - Byłaś najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem... A jeśli chodzi o to, czy pozwoliłem ci odejść, kochanie, to wiedz, że naprawdę ci kibicowałem, kiedy przechodziłaś przez tamte drzwi. Byłem...

Nagle przestał mówić, odwrócił się na pięcie i poszedł z powrotem do kuchni, ponieważ nagle - dzięki gwałtowności uczuć i frustracji, jakich teraz doświadczał - coś do niego dotarło.

Coś się wyjaśniło.

- Najmniej prawdopodobne miejsce będzie moim zdaniem na piętrze - odezwał się do Jonesa. - Załóżmy, że ktoś cię goni, a ty uciekasz na górę... Napastnik przestaje się spieszyć, bo sądzi, że zapędził cię w ślepią uliczkę. To jest na górze. Musi tam być.

Jones otrząpiał ręce z kurzu i wstał z podłogi. Popatrzył na Ginę, a potem przeniósł spojrzenie na Maksa; widać było, że czuje się niezręcznie z powodu ich kłótni.

- Mówiłeś, że ściany działowe są bardzo grube - upierał się Max. - Pewnie znajduje się tam klatka schodowa, która przechodzi przez cały dom aż do tunelu prowadzącego w głąb góry... - Wskazał na obraz ukazywany przez siódmą kamerę. - I dalej aż do tego miejsca.

Zerknął na Ginę, ale po wyrazie jej twarzy nie mógł się domyślić uczuć, jakie obudziła w niej ich rozmowa. Proszę, Panie Boże, pomyślał, tylko niech to nie będzie litość.

- To dość szalony pomysł - zauważył Jones. - I kosztowny jak diabli, ale kto wie... W którym miejscu zrobienie wejścia do tunelu pociągnęło za sobą największe koszty? - Parsknął z odrazą. - Chciałbym mieć tyle kasy co on, żeby móc ją wyrzucać garściami.

- Wszystko w porządku? - Max usłyszał, jak Molly pyta Ginę.

Wlókł się po schodach za Jonesem.

- Szczerze mówiąc... - odpowiedziała. - Tak. W porządku.

- Trafiony! - z piętra doleciał okrzyk Jonesa. - Jest tutaj. W pieprzonej półce na książki!

Być może - ale nie na pewno - ich los miał się odmienić.

Emilio znajdował się gdzieś po drugiej stronie samochodu, trochę powyżej Julesa, ale wystarczająco blisko, żeby wrak służył mu za osłonę.

- Trzymaj łapy tak, żebym je widział - warknął.

Niestety, Jules odsunął się dość daleko od auta, na wypadek gdyby miała nastąpić eksplozja. Leżał teraz na jakiejś polance; jeśli tak można ją było nazwać, biorąc pod uwagę, że gałęzie i liście prawie całkowicie blokowały dostęp promieni słonecznych. Zawsze wydawało mu się, że dżungla jest gęsta i aby przedrzeć się przez jej poszycie, trzeba wyrąbać sobie drogę maczugą. Ale ponieważ nie docierało tutaj słońce, rośliny w dolnych partiach nie miały szans się rozwinąć. Na dole rosło parę marnych paproci i kilka innych pnączy, które przy szczęściu Julesa mogły okazać się sumakiem.

Najzwyczajniej w świecie Jules nie miał za co się schować, zwłaszcza że jego możliwości poruszania się inaczej niż poprzez turlanie były mocno ograniczone. Zanim doturlałby się do najbliższej zasłony z pni i korzeni, Emilio nafaszerowałby go ołowiem.

Upuścił więc na ziemię telefon komórkowy, a potem podniósł prawą rękę i rozprostował palce. Myśl, myśl, powtarzał sobie. Cholera, kiedy patrzył, na brzegach obraz zdawał się zanikać. To nie był dobry znak.

Ciągle jeszcze jednak żył. Czuł na piersiach ciężar pistoletu ukrytego przed wzrokiem Emilia pod rękawem skórzanej lotniczej kurtki. Musiał tylko chwycić go i...

Tylko w jaki sposób się stąd wydostanie, kiedy ma tak ograniczone pole widzenia? Jak pójdzie na nodze, która jest całkiem bez czucia i ciężka jak sto diabłów? I złamana w Bóg wie ilu miejscach? Okay. Wszystko będzie dobrze, trzeba tylko wziąć się w garść.

- Ręce! - wrzasnął Emilio. - Obie na wierzch, i to już!

- Lewa ręka jest złamana. - Pod wpływem nagiego olśnienia wiedział już, co powinien mówić. Gdzieś tam kołatała się myśl, że to prawdziwy cud, iż Emilio jeszcze go nie zastrzelił, ale może facet też uderzył się w głowę, więc zwolniony tok działania Julesa nie odbiegał według niego od normy. - Nie mogę nią poruszyć. Chyba że chcesz, bym ją wyjął prawą ręką.

I wówczas Jules miałby okazję wydobyć broń...

- W takim razie wcale się nie ruszaj - rozkazał Emilio.

Jules pomyślał, że chyba wygląda na bardziej rannego, niż jest w istocie. Zerknął w dół i zauważył czerwone plamy na koszuli i spodniach, a pod sobą lepką kałużę... Cholera, rzeczywiście nie był w najlepszej formie.

Jeśli zaś chodzi o Emilia... Kiedy podszedł bliżej, Jules przekonał się, że on także zalany jest krwią. Musiał mieć złamany nos, bo cała koszula z przodu spryskana była na czerwono. Prawą ręką podtrzymywał się w pasie, jakby od tego zależało, czy da radę utrzymać się na nogach. Prawdopodobnie uszkodził sobie bark albo naruszył obojczyk. Albo może złamał parę żeber.

W każdym razie poruszał się tak, jakby coś bardzo mu dolegało.

To dobrze. Przynajmniej dla Julesa.

Bo jeśli z nieba nie spadnie oddział antyterrorystów z Navy SEAL, by chronić jego tyłek, wyglądało na to, że przyjdzie mu umrzeć z ręki Emilia.

Więc dobrze, Panie Boże. Przyślij ten helikopter w dowolnie wybranym przez Ciebie momencie...

Niestety jedynym dźwiękiem, jaki do niego dolatywał, był daleki terkot karabinów maszynowych.

To nie wróżyło nic dobrego. Wyglądało na to, że Max także nie będzie mógł przybyć mu z pomocą, przynajmniej nie w najbliższej przyszłości...

Tylko od łutu szczęścia zależało, czy Jules umrze, czy będzie żył. Mógł jedynie chwycić za broń, ale takie działanie zapewne sprowokowałyby Emilia do natychmiastowego strzelenia mu w głowę.

I najprawdopodobniej Emilio zrobiłby to, zanim Jules sięgnąłby po pistolet.

Szanse na wygraną w takim pojedynku były, szczerze mówiąc, żadne.

Z pewnością nie pomogłoby również to, że wszystko zamazywało mu się przed oczyma i trząsał się z zimna. Zwyczajna reakcja organizmu na utratę krwi.

Proponowanie facetowi, żeby się poddał, też nie miało większego sensu, ale Jules doszedł do wniosku, że nie będzie po prostu leżał i czekał, aż tamten go zabije.

- Nie rób tego - powiedział, starając się wyraźnie wymawiać słowa, choć wcale nie było to łatwe, bo zęby szczękały mu jak w febrze. - Nieważne, w co się wpakowałeś, pomogę ci z tego wyjść.

- Ty możesz mi pomóc? - Emilio się zaśmiał.

Z wyraźnym bólem przykuśtykał bliżej.

Coś w tym obrazku nie pasowało, ale co?

Jules wiedział, że powinien na coś zwrócić baczną uwagę. Na górnej wardze Emilia lśniły kropelki potu, a ręka w której trzymał pistolet nieznacznie drżała, kiedy podsuwał się coraz bliżej.

- Bardzo wątpię, czy możesz mi pomóc - mówił. - Ale ja mam za miar pomóc tobie. Obawiam się, że twoi współnicy nie będą mieli tyle szczęścia. Jak wpadną w ręce pułkownika Subandrio, będą błagali, żeby ktoś strzelił im w łeb.

Pułkownik jaki?

A więc tak... Jules nie mógł teraz umrzeć. Absolutnie się na to nie godził. Ta scena wyglądała zbyt melodramatycznie, zupełnie jakby ten gość studiował technikę zła, wzorując się na czarnych charakterach z filmów o Jamesie Bondzie. Poza tym byłoby naprawdę żałosne, gdyby konwersacja z tym kretyńcem miała być ostatnią rzeczą, jaką Jules robił na tej ziemi.

Bóg nie mógł być tak niesprawiedliwy.

Ale zaraz potem pomyślał o swoim ekspartnerze Adamie, który związał się z Robinem - Robinem, pierwszą od lat osobą, którą Jules na serio się zainteresował...

Och tak, Pan Bóg potrafił być niesprawiedliwy.

W porządku. Jeśli nawet Jules miał zginąć, nie zamierzał ginąć bez walki.

Mimo wszystko musiał cierpliwie czekać, aż główny bohater dramatu wyjdzie zza samochodu, i dopiero wtedy sięgnąć po broń. Nie chciał stracić jedynej szansy na oddanie strzału, ponieważ jak dotąd sukinsyn w każdej chwili mógł dać nura za błotnik.

- Chyba nie znasz moich kumpli - oznajmił spokojnie, żeby sprowokować Emilia do dalszej rozmowy, a siebie utrzymać w pełnej gotowości. - Nie sądzę, żeby Max kiedykolwiek kogoś o coś błagał.

- A kim on jest? - zainteresował się Emilio, wlokąc się noga za nogą. - Na pewno jest kimś więcej niż tylko dyplomata, jak mi powiedział.

Taak... Zupełnie jakby Jules miał zamiar opowiedzieć temu dupkowi o związku Maksa z FBI.

Poza tym było jasne, że Emilia guzik obchodzi, kim jest Max i czym się zajmuje. Po prostu gadał cokolwiek, byle zająć czas, ale

akurat Julesowi było to na rękę. Każdy krok tamtego zwiększał jego szanse. Oczywiście postęp był znikomy, ale Jules zamierzał wykorzystać wszystko, co tylko można.

- Chwilowo Max nie ma stałego zajęcia - odpowiedział, żeby podtrzymać rozmowę. - Chociaż wspomniał coś o tym, że jego szef odmówił przyjęcia rezygnacji, którą złożył. Ale ja sądzę, że kiedy Max zabije już ciebie i tego pułkownika, i wszystkich waszych wspólników, to z pewnością będzie chciał zrobić sobie wakacje. Spędzić miesiąc na jakiejś odludnej plaży, oczywiście razem z Giną.

- Ach - odparł Emilio. - Z uroczą Giną... Być może pułkownik wykorzysta Ginę, żeby nauczyć Maksa błagania.

- Pieprz się - rzucił Jules przez zaciśnięte zęby, a głośno dodał: - Czy nie czujesz jakiegoś dyskomfortu, kiedy musisz kogoś zabić? To znaczy, kiedy niszczysz w ten sposób czyjeś życie?

- To właśnie jest problem was, Amerykanów - odpowiedział Emilio.

Bla, bla, bla...

Jules przestał go słuchać.

Przestał, ponieważ Emilio znajdował się już wystarczająco blisko, żeby zabić Julesa jednym strzałem w głowę, co zresztą mógł zrobić już od pewnego czasu. Był naprawdę niedaleko, ale wciąż mógł użyć samochodu jako zasłony.

Chyba że...

Było całkiem prawdopodobne, że - w przeciwieństwie do Julesa - Emilio nie poświęcił wielu godzin, by nauczyć się strzelać, trzymając broń w mniej wprawnej ręce.

W głowie Julesa rozległ się brzęczyk.

Co mu nie pasowało na tym obrazku, który miał przed oczyma?

Nawet w stanie kompletnego zamroczenia udało mu się to „coś” zauważyć. Emilio, który do tej pory robił wszystko prawą ręką - trzymał słuchawkę telefonu, wymachiwał pistoletem - tym razem ścisnął broń w lewej.

Poza tym wydawało się wielce prawdopodobne, że facet nie miał za wiele amunicji. Musiał więc podejść na tyle blisko, żeby zyskać pewność, że nie chybi, kiedy mniej wyćwiczoną ręką będzie naciskał spust, oddając w głowę Julesa „strzał miłosierdzia”.

A Jules wreszcie dostał swoją szansę, kiedy Emilio, nie przestając mówić, wysunął się z za maski samochodu, by wykończyć

przeciwnika. Ale Jules był już gotów. Błyskawicznie przeturlał się na brzuch, wyszarpnął spod kurtki pistolet i poderwał go w górę, naciskając dwa razy spust.

Emilio ciężko osunął się na ziemię, a na środku jego czoła pojawiły się dwie małe okrągłe dziurki.

Jules strzelił jeszcze raz, na wypadek gdyby wzrok płatał mu figle.

Czasami, gdy strzelał do kogoś po to, by zabić, czuł się źle, podobnie jak teraz. Tyle tylko że tym razem żałował jedynie, iż ktoś inny już wiele lat temu nie uwolnił świata od tego łajdaka.

W porządku. Oddychaj. Tlen jest potrzebny.

Nie mógł pozwolić sobie na to, żeby uczcić zwycięstwo chwilowym omdleniem. Nie było na to czasu. Weź się w garść, Cassidy.

Krok pierwszy - nie wykrwawić się na śmierć. Jakoś dał radę wypłatać się z kurtki. Z T-shirtem poszło znacznie gorzej, ale w końcu się udało. Podarł na kawałki cienki materiał i zrobił z niego prowizoryczny bandaż.

Kiedy skończył całą operację i z powrotem włożył kurtkę, był wykończony. W głowie kręciło mu się bardziej niż kiedykolwiek, a przed oczyma wirowały ciemne plamy.

Mimo to wiedział, co musi zrobić. Zabrać pistolet Emilia. Następnie schować do kieszeni swój pistolet, a także komórkę, którą musi odnaleźć, macając gąbczaste poszycie dżungli, ponieważ z każdą sekundą wzrok coraz bardziej odmawiał mu posłuszeństwa. Ale tak czy inaczej musi ją znaleźć, bo może ktoś wejdzie na te wieże i je włączy...

Palce natrafiły na telefon, wciąż lepki od jego krwi. Pochwycił go czym prędzej.

Drżąc jak liść, mimo iż temperatura przekraczała dwadzieścia pięć stopni, zaczął się czołgać w dół zbocza i szukać drogi.

Rozdział Dziewiętnasty

To tyle, jeśli chodzi o łatwe wyjścia. Idąc za Molly z powrotem do domu zawilgoconym, pełnym pajęczych sieci przejściem, Jones wyobrażał sobie rozmowę między żołnierzami i ich dowódcą.

„Czego nie rozumiecie, idioci?”

„Sir, drzwi się otworzyły, sir! Więc zaczęliśmy strzelać, zgodnie z rozkazem!”

„I wtedy drzwi szybko się zamknęły. Na zamek. Nikt nie został ranny, zabity ani nikogo nie udało się pojmać!”

„Tak jest, sir! Po naszej stronie też nie ma zabitych. Może te nowiutkie mundury i dziesięciominutowa musztra nie wystarczyły, żeby zrobić z nas prawdziwych żołnierzy, sir!”

Serce waliło mu młotem. To naprawdę mogło skończyć się fatalnie. Żołnierze musieli przejechać tam, kiedy oni weszli już do tunelu, który doprawdy był jedynym słabym punktem w projekcie całego układu bezpieczeństwa domu Emilia.

Oczywiście w doskonałym świecie, gdzie człowiek otoczony był służbą, monitor przy wyjściu z tunelu mógł wydawać się zbędny. Bo w doskonałym świecie nikt nie wyłączał telefonów komórkowych. Wystarczyło połączyć się z Igorem, który kręcił się w kuchni, i już było wiadomo, czy należy wychodzić, czy też nie.

Jednak Jones nie dysponował ani Igorem, ani komórką, więc otworzył drzwi bardzo, bardzo ostrożnie.

Zresztą Max spodziewał się, że będą kłopoty. Przez cały czas niósł mopa, którego zabrał z kuchni.

Na początku marszu przez tunel Jones sądził, że Max wziął mopa po to, by się na nim opierać; widocznie był poważniej ranny, niż się przyznawał. Ale potem Max zaczął usuwać nim pajęczyny i Jones doszedł do wniosku, iż niewykluczone, że błyskotliwy i wszechmocny Max Bhagat histeryzuje jak małe dziecko, jeśli chodzi o zbyt bliskie kontakty z różnymi robalami.

Jednak kiedy znaleźli się przy wejściu i otworzyli drzwi, a właściwie klapę, Jones odkrył właściwy powód, dla którego Max przez całą drogę taszczył mop.

Max powoli włożył mop w otwór, jakby to była czyjaś głowa, która ostrożnie wysuwa się na zewnątrz...

I nagle rozległa się seria strzałów, a mop rozpadł się w jego rękach na tysiąc kawałków.

Kłapa zatrzasnęła się z hukiem.

Byli bezpieczni.

Albo w pułapce.

Zależy od punktu widzenia.

Kolejna sytuacja bez wyjścia, w jakiej się znaleźli, nie zrobiła na Jonesie większego wrażenia. On i tak był w pułapce, miotając się między ciężką Molly a jej śmiertelną chorobą.

Nie wiedział, co powiedzieć, kiedy Molly oznajmiła mu radośnie, że poczuła pierwsze ruchy dziecka. Zawsze powtarzała, żeby uczciwie mówił, co myśli, ale chyba tym razem wolałaby nie słyszeć, co miał jej do powiedzenia.

Bo było to coś w rodzaju: „Cholera, a ja miałem nadzieję, że te traumatyczne przeżycia wywołają poronienie”.

No dobrze. Molly wyznawała także zasadę, że w każdej sytuacji trzeba myśleć pozytywnie, ponieważ więc w obecnej chwili nie mógł ofiarować jej uczciwości, postanowił, że będzie patrzył na wszystko optymistycznie, żeby nadrobić tamten brak. Tak, w małej i przytulnej fortecy Emilia byli bezpieczni. Na razie. Zgoda, musieli się ograniczyć do planu numer trzy, a według ich wersji trójka oznaczała oblężenie. No chłopcy, możecie do nas strzelać, ile dusza zapragnie! Co prawda w domu Emilia nie wytrzymałoby bezpośredniego ataku artyleryjskiego, ale mogli się przeciwstawiać próbom wdarcia się do domu, i to w miarę skutecznie.

Ich nieobecny gospodarz przygotował wszystko jak należy, niech Pan Bóg go za to wynagrodzi.

A to oznaczało, że jeśli dwukrotnie sprawdzą zabezpieczenie wszystkich drzwi i okien, wyłączą klimatyzację i wentylatory - na wypadek gdyby napastnicy zamierzali użyć gazu - i napełnią wodą wszystkie wanny, zlewy i każdy pojemnik, jaki uda im się znaleźć, oraz jeśli będą bez przerwy sprawdzać na monitorach, co dzieje się wokół domu, żeby wykluczyć możliwość bezpośredniego ataku...

To będą mieli do dyspozycji nieco więcej czasu.

Dzięki temu, kiedy obaj po kolei wezmą wreszcie prysznic, może Max wreszcie dojrzeje do tego, by pozwolić Jonesowi rzucić okiem na ranę, o której wciąż mówił, że to małe draśnięcie i w ogóle nic poważnego.

Kiedy Jones szorował w kuchni ręce - ile czasu minęło od chwili, gdy robił coś takiego po raz ostatni? - Molly i Giną zmywały

dokładnie wielki stół. Zagotowały także wodę do sterylizacji zestawu noży i innych kuchennych przyrządów, za pomocą których Jones zamierzał wyciągnąć kulę z pośladka nieszczęśnika.

W końcu generator, który odkryli przy końcu tunelu, zużyje cały zapas paliwa. Do tego czasu będą oszczędzać.

Znaleźli także apteczkę, ale po pierwsze była ona wielkości pudełka na drugie śniadanie, a po drugie jej zawartość została już mocno uszczuplona. W środku znajdowało się jednak kilka samoprzylepnych bandaży przeznaczonych do zabezpieczenia świeżych szwów. To dobrze, bo zamiast chirurgicznej nici ktoś wrzucił do środka minizestaw do szycia, taki jaki daje się gościom w niektórych luksusowych hotelach.

Brak chirurgicznej nici mniej niepokoił Jonesa niż brak jakichkolwiek antybiotyków. W tym klimacie Max łatwo mógł złapać jakieś poważne zakażenie, biorąc pod uwagę, że kula, którą miał w tyłku, przeszła na wylot przez brudne jak diabli dżinsy.

Emilio wydał kilka milionów dolarów na kamery, które miały zapewnić mu bezpieczeństwo, ale najwyraźniej pożałował kilku baksów na niezbędne podstawowe leki.

Tego można się było spodziewać.

Odziany w biały szlafrok, który zdążył już przesiąknąć krwią, i zdecydowanie bardziej podobny do dawnego Maksa - dzięki jednorazowej maszynce do golenia znalezionej w łazience - Max przeglądał teraz kuchnię w poszukiwaniu borka z alkoholem.

- Jeśli niczego nie znajdziesz, to jako substytut wystarczy nam zwykły cukier - powiedział mu Jones. - Rozumiem, że chodzi ci raczej o coś zamiast antybiotyku niż o znieczulenie.

Max nawet nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. Głupie pytanie.

- Kiedy skończymy tutaj, musimy dokładnie przeszukać cały dom - odparł. - Każdą szafę i każdy schowek. Może uda nam się znaleźć krótkofalówkę.

- Dobry pomysł - odparła Molly.

- Nie mogę uwierzyć, że przez cały czas, kiedy byłeś w Kenii, ani razu nie pofatygowałeś się, żeby pomóc w szpitalu - Gina rzuciła te słowa w przestrzeń, więc Jones dopiero po dobrej sekundzie zorientował się, że mówiła to do niego. Nie tylko mówiła, tak naprawdę chciała mu dokuczyć.

Ugryzł się w język, żeby nie odpowiedzieć jej w ten sam sposób. Niewypowiedziane pytanie: „Co jest, do diabła, masz jakiś problem?“, zawisło w powietrzu.

Lecz Jones świetnie wiedział, na czym polegał jej problem. Była śmiertelnie przerażona, że Max jest o wiele ciężiej ranny, niż się do tego przyznaje. Oprócz tego ona i Max całkiem niedawno wymienili kilka zdań, jak określiła to Molly.

Jones nie wziął więc sobie do serca wrogiego stosunku Giny do wszystkiego, co ją otaczało. Przyszło mu do głowy, że pewnie Gina martwi się też o Julesa Cassidy'ego, który zdaniem Maksa zapewne „ma kłopoty“.

Dość tych ogólników. Max został postrzelony, on i Gina pokłócili się jak diabli, a Jules raczej już nie żył.

Kłopoty Julesa dobiegły końca. Z jego strony pomoc już nie nadejdzie.

Jeśli w ogóle mają liczyć na jakiś ratunek, to muszą czekać tak długo, aż ktoś w biurze CIA w Dżakarcie przypomni sobie, że Jules i Max przepadli gdzieś na końcu świata.

Tyle tylko, że zapewne trochę to potrwa. Rząd Stanów Zjednoczonych miał w tym tygodniu inne sprawy do załatwienia. Niewykluczone zresztą, że nikt nigdy po nich nie przyjedzie. Obleżenie mogliby wytrzymać tylko wtedy, gdyby dysponowali nieograniczonymi zasobami jedzenia i picia, a ich zapasy w końcu się wyczerpią. Kiedy to się stanie, będą musieli przejść do planu numer cztery. Czwórka oznaczała śmierć. Również jego śmierć.

Teraz starał się uczciwie przedstawić ewentualne perspektywy, choć te wydawały się dość nieciekawe. Jones doszedł do wniosku, że czasami nie da się być szczerym i jednocześnie pełnym optymizmu, bo jedno wykluczało drugie.

- Nie mógł przecież pracować w naszym szpitalu - Molly ujęła się za mężem. - Gdyby przyznał się, że zna się trochę na medycynie, ktoś mógłby się domyślić, że Leslie Pollard i David Jones, względnie Grady Morant, to jedna i ta sama osoba.

- Więc jesteś prawdziwym lekarzem czy tylko...? - Gina zwróciła się do Jonesa.

Jej mina świadczyła, że tak naprawdę wcale jej to nie obchodzi, choć z drugiej strony budzi pełne dezaprobaty zainteresowanie, krótko mówiąc, miała minę typowego nowojorczyka. Kogoś, kto jest

śmiertelnie przestraszony, ale za wszelką cenę stara się to ukryć i dlatego robi się napastliwy. Nowojorczycy od dziecka są uczeni nieokazywania strachu.

- Byłem sanitariuszem w armii - wyjaśnił. To znaczy między innymi również sanitariuszem. - Uczono mnie, jak opatrywać wszystkie obrażenia, które mogą powstać w czasie bitwy. Postrzały to moja specjalność.

- Czy przypadkiem korpus medyczny nie zajmował się tylko doraźną pomocą, zanim ranni dotrą do prawdziwego szpitala? - Gina niepokoiła się coraz bardziej.

- Nie martw się, on przez dwa lata kierował szpitalem, kiedy pracował dla Chaia. - Molly objęła ją mocno. - Można to porównać z pracą na izbie przyjęć w takim mieście jak Chicago czy Nowy Jork. Uratował mnóstwo ludzi. - Molly upewniła się, że Max też jej słucha. - A zanim powiesz: „No tak, ale to byli handlarze narkotyków, mordercy i złodzieje”, powinnaś się dowiedzieć, że jego pacjentami byli też zwykli ludzie, którzy pracowali u Chaia, ponieważ w tym regionie tylko u niego można było pracować na stałe. A poza tym wiedzieli, że jeśli odrzucą jego propozycję, to skończą w jakimś masowym grobie. Zanim Grady tam przyjechał, bywało tak, że jeśli ktoś został ranny w starciu z wrogim gangiem, to zostawiano go, żeby wykrwawił się na śmierć.

Jones podniósł głowę i napotkał spojrzenie Maksa, który przyglądał się, jak Jones sterylizuje szczególnie ostry nóż.

- Ja i Jezus musimy być bardzo podobni - powiedział. - Bo ludzie często nas mylili.

- Możesz mnie przedrzeźniać, jeśli chcesz. - Molly przybrała urażoną minę. - Ja tylko mówię, co myślę.

Być może Max dał się na to nabrać, ale Jones wiedział, że Molly odgrywa rolę niezmordowanego krzyżowca. Bardzo się starała, żeby Max trzymał jego stronę, na wypadek gdyby udało im się ujść stąd z życiem.

Ale Molly jeszcze nie skończyła.

- To prawda, że Grady Morant pracował przez parę lat dla Chaia. Po tym, jak Stany Zjednoczone zostawiły go bez pomocy, żeby zdechł jak pies gdzieś w sali tortur. Jest naprawdę bardzo zły... Tylko co robił podczas tych dwóch lat? Ach, ratował ludziom życie...

- Uprawiałem zawód lekarza bez licencji - wtrącił się Jones. - To kolejna rzecz, o którą Max może mnie oskarżyć, kiedy dotrzemy do domu.

„Kiedy”, nie „jeśli”. Nawet jeśli nie był przekonany, że tak się stanie, użył tego słowa celowo. Spojrzenie, jakie rzuciła mu Molly, było przepelnione wdzięcznością.

Jego spojrzenie wyraźnie mówiło: Podziękujesz mi później, maleńka, kiedy będziemy sami. Miał nadzieję, że ją to rozbawi i rzeczywiście, Molly zaczęła się śmiać.

Tymczasem Max znalazł butelkę rumu. Osiemdziesiąt procent alkoholu. Ho, ho!

- No to zaczynamy - powiedział i odwrócił się do Giny.

- Nie mam zamiaru stąd wyjść - powiedziała, zanim zdążył ją o to poprosić. - Na wypadek gdybyś chciał dodać mi otuchy.

Najwyraźniej nawiązywała do ich wcześniejszej sprzeczki. Max tylko zamknął oczy i ciężko westchnął.

- Przepraszam, że straciłem panowanie nad sobą.

- A ja nie - odparła. - Ja cię przepraszam, że cię opuściłam. Myślałam wtedy... - Zaśmiała się z obrzydzeniem i pokręciła głową. - Myliłam się. Powinnam była zostać. Nie wolno było pozwolić, żebyś mnie wygonił tylko dlatego, że się bałeś.

- Super, Gina! - zawołał Jones. - Jak zawsze wybrałaś sobie najlepszą porę.

- Co? - zdziwiła się. - Więc jak długo miałam czekać, żeby to powiedzieć? Do kiedy? Aż uda się nam zostać we dwoje? Och, zapomniałam o tym plutonie żołnierzy na zewnątrz, z których niektórzy mają pewnie zaawansowane technicznie urządzenia podsłuchowe?

- Być może nie mają - zauważył Jones. - W tej części świata takie nowinki nie są zbyt popularne.

Gina wcale się nie przejęła.

- Właśnie o to chodziło, prawda? - zwróciła się znów do Maksa. - Żeby mnie wygonić.

- Czy możesz przynajmniej pozwolić, żeby mój pacjent położył się na stole, zanim zaczniesz go przypiekać? - spytał Jones.

- Ależ proszę. - Gina odsunęła się o krok i szerokim gestem wskazała na stół. - Nie chcę opóźnić operacji.

Max podjął ostatnią, desperacką próbę.

- Naprawdę wolałbym, żebyś...

- Nie ma mowy!

Max wymownie popatrzył na Molly.

- Złapię ją, jeśli zacznie mdleć - zapewniła go.

Pokręcił głową; najwidoczniej doszedł do wniosku, że jeśli kiedykolwiek był odpowiedni czas na poddanie się, to właśnie teraz.

Wdrapał się na stół i położył na brzuchu, a głowę ukrył w splecionych ramionach.

Jones ostrożnie podwinął szlafrok...

- O mój Boże! - Gina wstrzymała oddech.

To nie było zwykłe draśnięcie, jak twierdził Max. Wyjęcie tego pocisku będzie bardzo bolało. W dodatku Jones musi potem oczyścić ranę.

- O Chryste, ładnie to wygląda - jęknęła Molly. - Nie ma co, piękny pośladek, Bhagat.

- Hej! - zawołał Jones głównie dlatego, że wiedział, iż Molly na to czeka.

Jak zwykle kobieta, która być może cierpiała na raka, starała się zaprezentować optymistyczne nastawienie do życia.

Rzeczywiście, spojrzała na niego pytająco i tak niewinnie, jakby była małą dziewczynką ze szkoły niedzielnej, jak sama zresztą kiedyś powiedziała Ginie.

- Jego rana naprawdę jest powierzchowna. To znaczy, chciałam powiedzieć, że... tak, na pamiątkę zostanie mu mała urocza blizna. - Molly zwróciła się z uśmiechem do Jonesa: - Ty też masz piękne pośladki, kochanie.

- O mój Boże - odezwała się Gina, tym razem głosem znacznie słabszym niż uprzednio; Jones spojrzał na nią z niepokojem. Faktycznie zasługiwała na opinię, która przyłgnęła do niej jeszcze w Kenii. „Przygotujcie dodatkowe łóżko dla Vitagliano”, mruczała niechętnie siostra Podwójne M, kiedy Gina wchodziła do szpitalnego namiotu, żeby pomóc przy jakiejś operacji. Teraz była po prostu zielona, choć jeszcze nic się nie wydarzyło.

- Mol... - szepnął ostrzegawczo.

- Tak, zaraz się nią zajmę.

- Gina, chodź tutaj i potrzymaj mnie za rękę - wycedził Max przez zaciśnięte zęby, a Molly popchnęła ją delikatnie na krzesło i

pochyliła jej głowę między nogi. - Jones, czy możesz jej powiedzieć, do cholery, że nic mi nie będzie?!

- Gina, wszystko z nim w porządku, naprawdę - powtórzył posłusznie Jones.

Drugą część zdania zachował dla siebie. „Zakładając, że ta armia, która czeka na zewnątrz, nie sprowadzi tu jakichś ekspertów od materiałów wybuchowych i nie odkryje, jak można wyrwać dziurę w tej niedostępnej twierdzy Emilia”.

Jules słyszał głosy.

Całkiem możliwe, że to były dobre głosy. Nie takie, jakie słyszał w głowie i jakie namawiały go, żeby choć na chwilę zamknął oczy i poddał się, oczywiście na krótko, władzy ciemności.

Odkrył, że najlepiej będzie, jeśli zacznie z nimi dyskutować, z tymi wewnętrznymi głosami.

- Wszyscy wiemy, że jeśli zamknę oczy, to będzie ze mną koniec. „A czy koniec nie może być czymś miłym i pożądanym? Nie bez powodu nazywa się ten stan wiecznym odpoczywaniem...”.

- Zamknijcie się, zamknijcie się, zamknijcie się... - powtarzał jak mantrę. Lub może raczej jako zachętę do marszu. Prawy łokieć należy wypchnąć do przodu na pierwsze „zamknijcie się”, potem oprzeć się na nim i przesunąć ciężar ciała. Od czasu do czasu stosował wy dłużoną wersję: Zamknijcie się, kurwa mać, zamknijcie się, kurwa mać...

Ale teraz głosy, które słyszał, dobiegały z zewnątrz. Chyba że tamte głosy, uparcie i coraz donośniej dźwięczące mu w głowie, połączyły siły z nieustępliwym bólem i podwójnymi konturami, które widział przed oczyma. Być może sprawiły, że miał halucynacje.

„W takim wypadku oznaczałoby to, że dałeś się nabrać”.

Okay, to jednak nie był Jules.

To jeden z głosów usiłował się pod niego podszyć. Ale on nie pozwolił się oszukać. Stanowczo się na to nie zgadzał. Po prostu powinien dalej je ignorować.

Bo „wieczny odpoczynek” brzmi stanowczo zbyt monotannie. Jules wcale nie miał ochoty wiecznie odpoczywać. Za to chciał wiecznie przebywać na wakacjach w Provincetown z mężczyzną swoich snów. Chciał być kochany całą wieczność, a nawet pragnął poślubić tego kogoś i mieć dwoje dzieci i psa.

„Idealna miłość to czysta fikcja. Tak naprawdę chcesz mieć kogoś, z kim mógłbyś się pieprzyć przez całą wieczność”.

- Zamknij się - mruknął Jules, pełznąc na brzuchu. Czuł, jak słońce przypala mu tył głowy. - To wcale nie jest fikcja. A jeśli ktoś kocha kogoś całą wieczność, to pieprzenie jest tylko dodatkowym bonusem.

„Tak, tak święta racja. Sam w to nie wierzysz, prawda?”.

- Stephen znalazł taką miłość. Cholera, miałem opowiedzieć Ginie o Stephenie i o tym, jak do niego poszedłem...

Po powrocie z ostatniej podróży do Los Angeles Jules zebrał się wreszcie na odwagę, poszedł do mieszkania księcia z bajki, który dawno już przestał być nowym sąsiadem, i nacisnął dzwonek.

- Miałem zamiar zaprosić go na kolację. No wiesz, na randkę. Chciałem powiedzieć coś w stylu: No hej, co tam słyhać? Nie widzieliśmy się przez jakiś czas. Zastanawiałem się, czy może masz dziś wolny wieczór...

Tyle tylko że to nie Stephen otworzył drzwi. Zrobił to Brian. Brian, gliniarz, który wyglądał jak umięśniony sobowtór Julesa. Niewysoki, uroczy, ciemne włosy, brązowe oczy. Zabawny i przyjacielski. I najwyraźniej po uszy zakochany w Stephenie, który był tak szczęśliwy, że aż promieniał.

- Zostałem u nich na kolacji - mówił do Giny.

Chwileczkę. Przecież jej tu nie było.

Mimo to miała rację co do Stephena. Był naprawdę doskonały pod każdym względem.

„To mógł być Jules zamiast Briana; właśnie teraz pakowałby manatki, żeby przeprowadzić się do Massachusetts i wziąć tam ślub”.

- Miałem na myśli, że jest doskonałym partnerem dla Briana - wyjaśnił upartym głosem.

Chryste, jak mu było gorąco! Dlaczego nagle zaczęło mu być tak przedziwnie gorąco?

I dlaczego te głosy zaczęły coś wrzeszczeć w języku, którego za cholerę nie mógł zrozumieć?

Było ich mnóstwo, gadały do siebie i jeden przez drugiego... Co było naprawdę uroczą gierką, ponieważ stanowiły integralną część jego osobowości. Były ciemną stroną jego duszy, to prawda, ale kiedy to jego ciemna strona poszła i zapisała się na zajęcia w szkole Berlitz, a jasna strona nic o tym nie wiedziała?

- Ej, wy! - zawołał do nich Jules. - Jeśli nie zaczniecie mówić po angielsku, nie będę zwracał na was uwagi.

Hej, nagle okazało się, że te głosy mają stopy. Mnóstwo stóp. Nagich i przyodzianych w znoszone buty albo sandały.

Stopy, nogi... Jules chciał spojrzeć w górę, ale słońce świeciło zbyt jasno.

Jeden z tych głosów pochylił się, zmieniając się z niewyraźnej plamy w rozmazaną podwójną twarz. Azjatycką twarz o ciemnych włosach i oczach, wydatnych kościach policzkowych i opadających wąsach, które prawie zakrywały usta.

„Przykro mi z powodu twojej koszuli”.

Jak z filmie z kiepskim dubbingiem usta dalej się poruszały.

- Okay - powiedział Jules. - Zdecydowanie nie jesteś rzeczywisty. Następna twarz - twarze - pojawiła się w polu widzenia. „Trzymaj się z daleka od tej paskudnej Peggy Ryan”.

- To wcale nie jest śmieszne - odparł Jules.

To wcale, ale to wcale nie było śmieszne. Właśnie to powiedział do niego Robin, kiedy widzieli się po raz ostatni. Robin, który obchodził go najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie. Zamiast „żegnaj” Jules usłyszał „idź precz”.

Pierwsza twarz wróciła.

„Mam nadzieję, że pewnego dnia znów będziemy przyjaciółmi”.

Jednak dosyć to znaczy dosyć.

- Odpieprz się ode mnie! - wrzasnął Jules i nagle wszyscy się cofnęli. Sięgnął po broń i starał się ją wyszarpać z wnętrza piekarnika, ja kim stałą się w tym upale kieszeń skórzanej kurtki.

Jedna para stóp ruszyła w jego kierunku, jakby głowa Julesa była piłką. Nie był w stanie się ruszyć, ale co tam. Wyimaginowani ludzie nie zrobią mu przecież krzywdy...

Łup!

Jules i poczuł, i usłyszał. Poczul, jak leci w tył, a jego ciało idzie w ślad za głową, co chyba nie było takie złe.

Nowy ból zmieszał się ze starym. Gwiazdy zamrugały i zaczęły przygasać. Ale zanim szarość ustąpiła miejsca czerni, w polu widzenia znów pojawiły się wąsy.

- Gol! - powiedział, jakby komentował w telewizji międzynarodowy mecz piłki nożnej.

Jules walczył, by coś powiedzieć.

- Amerykańska... - wykrztusił. „Ambasada w Din”, starał się powiedzieć. Ale świat odpłynął w bezdenną czerń.

- To może trochę boleć - oznajmił Jones. Boleć? Trochę?

Zupełnie jakby dotąd nic nigdy go nie bolało. Max zamknął oczy i zacisnął zęby, czując, jak oblewa się potem.

Chryste Panie!

- Na trzy - dorzucił Jones. - Raz, dwa...

- Zaczekaj! - usłyszał gdzieś koło ucha głos Giny, miękki i łagodny. - Max, nic się nie stanie, jeśli zaczniesz krzyczeć.

- Owszem, stanie się - wystękał.

- Absolutnie nic. Poza tym otwórz oczy. Czytałam gdzieś, że mniej boli, jeśli ma się otwarte oczy. Jak je zamykasz, zaczynasz się koncentrować na bólu...

Max posłusznie wykonał polecenie. Rzeczywiście była tuż obok - jej oczy, jej twarz. Wyglądała nieco blado, gdy tak siedziała na krześle, które przywlokła skądś Molly. W obu dłoniach trzymała jego ręce.

- Naprawdę nie muszę krzyczeć - zapewnił ją.

- Założyłam się sama ze sobą, że nie musisz - odparła. - Nie pozwól, żebym wygrała.

Co?

Próbował nieco rozluźnić uścisk, bo stanowczo zbyt mocno miętosił jej palce, ale ona nie pozwoliła mu cofnąć rąk.

Przeżył już w życiu niejedno, ale ostatnie pięć minut było szczególnie warte zapamiętania. I nic - dosłownie nic - nie utkwiło mu w pamięci równie mocno jak kilka ostatnich dni.

- Trzy! - zawołał Jones. - Zaczynam!

Matko Boska! Max zamknął oczy, bo nic nie mógł na to poradzić.

- Otwórz oczy - ponagliła Gina. - Max, nie powstrzymuj się, krzycz!

- No dalej, Max - głos Molly dobiegał gdzieś z pobliza źródła bólu. - Wszyscy będziemy krzyczeć razem z tobą.

- Nie chcę... was straszyć...

O Boże, Gina...

- Wcale nie o to chodzi. - Jej głos wyraźnie drżał. - Ty nie chcesz straszyć siebie. Mnie nie możesz przstraszyć, jeszcze tego nie zauważyłeś?

- Prawie skończyłem - powiedział Jones, a ból nieco zelżał.

Oczywiście za moment powrócił, gorszy niż kiedykolwiek.

- Mój Boże - stęknął Max i wstrzymał oddech.

- Wiesz, ty też byłeś najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałam - powiedziała Gina.

Ciągle ten czas przeszły. Otworzył oczy; wciąż była obok. Widział zadrapanie na jej policzku, które psuło jego idealną gładkość. Prawdopodobnie zahaczyła o jakąś gałąź podczas tej idiotycznej ucieczki przez dżunglę. Wyglądało to jak pręga po uderzeniu, lekko różowa i wypukła, choć z bliska Max mógł dostrzec kilka kropelek krwi w miejscu, gdzie gałąź przecięła skórę.

Mimo że walczyła jak lwica, łzy zaświeciły w jej oczach. Jedna z nich wymknęła się spod powieki i spłynęła w dół.

Życie... Cudowne w swej obfitości życie. Była tak pełna życia, tak nim wypełniona, że życie dosłownie sączyło się z niej.

Z jej ust.

- Chociaż wydaje mi się, że powinnam była użyć innych słów - do dała. - Bardziej pasuje „byłeś miłością mojego życia”.

Może zakłopotanie, jakie w tym momencie poczuł, miało coś wspólnego z tym cholernym pieczeniem w pośladku, ale musiał upewnić się, czy na pewno chciała powiedzieć to zdanie w czasie przeszłym.

- Byłem? - wystękał. - Czy jestem?

Gina odwzajemniła jego spojrzenie z tą samą determinacją, która wywarła na nim takie wrażenie, gdy po raz pierwszy z nią rozmawia! przez radio znajdujące się w porwanym samolocie.

- A czy to ma jakieś znaczenie? - spytała. - Czy celowo nie zadzwoniłeś, żeby powiedzieć mi o śmierci Ajaya, bo chciałeś, żebym cię opuściła?

- Prawie skończyłem - powiedział Jones.

- Przestań pieprzyć o tym w kółko, tylko wreszcie skończ! - To bardziej przypominało wycie niż krzyk.

Tak, Gina znów miała rację. Bał się jak wszyscy diabli.

- Ja grałam uczciwie, prawda? - spytała.

- Tak, tak - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Prawda. Jestem samolubnym dupkiem, od początku cię o tym uprzedzałem.

- Czy właśnie to sobie bez przerwy powtarzasz? - Była już nieźle wkurzona. - Że jesteś samolubem? Może to łatwiejsze niż powiedzenie sobie prawdy, że po prostu się boisz!

- Cholera!

- Co by się stało, Max, gdybyś mnie dopuścił do swojego życia? Gdybyś nie cierpiał w samotności po śmierci Ajaya, ale podzielił się ze mną tym, co czujesz?

- Nie wiem, naprawdę nie wiem - rzekł pospiesznie. - Jezu, Gina... Jones, co do kurwy nędzy...

- Prawie skończyłem.

- Boże... - miał ochotę wyć, ale zwalczył tę potrzebę i z trudem łapał powietrze. - Cholera jasna...

- Dlaczego tak się boisz pozwolić sobie na odrobinę ludzkiej słabości? - naciskała Gina. - Zresztą jak pewnie wiesz, właśnie dlatego cię kocham.

Czas terażniejszy, nareszcie czas terażniejszy! Gina przerwała tylko po to, żeby nabrać powietrza, ale zaraz podjęła temat.

- Bo nawet wtedy, gdy starasz się to ukryć, widzę to wyraźnie. Nie jesteś chodzącą doskonałością. Nikt nie jest. Cholera, Max, jeszcze nie rozumiesz? Ja nie pragnę doskonałości. Chcę tylko ciebie. Chcę być z tym małym chłopcem, który oglądał filmy z Elvisem razem ze swoim dziadkiem. Chcę być z tym mężczyzną, który walił pięścią w mur, bo nie był w stanie powstrzymać złych ludzi przed zrobieniem mi krzywdy. I wiesz co? Chcę być nawet z tym człowiekiem, który starał się być taki... taki zimny i odległy i który bez przerwy obwinał się za to, co uważał za swoje niepowodzenia. Chciałabym, żebyś zrozumiał, że ludzie uczą się na własnych błędach. Uczymy się, dorastamy i puszczamy w niepamięć własne pomyłki, bo wiemy, że następnym razem postąpimy inaczej. Oczywiście jeśli będziemy mieć szczęście i w ogóle nadejdzie następny raz.

Nie wypuszczając jego rąk, wytarła policzek w rękaw własnej koszuli.

- Jesteś. Odpowiadam jasno na twoje pytanie. Jesteś miłością mojego życia. I wiesz co? Coś wreszcie zrozumiałam. Jeśli mi wybaczysz, że tak łatwo zrezygnowałam z ciebie, jeśli dasz nam drugą szansę, nie pozwolę, żebyś mnie znów odstraszył.

Jezu...

- Mam - zawołał Jones z triumfem. - Przepraszam, ale tkwił tam jeszcze kawałek materiału czy czegoś takiego, ale w końcu udało mi się wyciągnąć. Jesteś gotów na akcję odkazania na osiemdziesiąt procent?

- Tak - wychrypiał Max.

Jesteś. Czas terazniejszy. Jeśli on będzie mógł wybaczyć jej? Mimo wszystko Gina mówiła serio.

Tak, teraz był gotów prawie na wszystko.

Kiedy Jones polał wysokoprocentowy rum na otwartą ranę, Max otworzył usta i zawył jak zwierzę.

- Jeezu...

Tak jak obiecały, Gina i Molly zaczęły wyc z nim, choć Ginie raczej wyrwał się nerwowy śmiech. Zresztą trudno powiedzieć, bo po chwili zalała się łzami.

Zrobiło się tak strasznie głośno, bo nawet Jones włączył się do akcji, że ledwie to usłyszeli.

Głos. Przez megafon.

- Grady Morant.

Molly usłyszała go ostatnia; oboje, Gina i Jones, zaczęli ją uciszać.

- Grady Morant! - dobiegło zza okna.

- O Boże - westchnęła Gina, kiedy Max w końcu uwolnił jej dłoń.

Jones szybko zabandażował ranę i podszedł do zlewu, żeby umyć ręce. Max podniósł się, podpierając na rękach i kolanach.

- Czy ktoś widział moje spodnie?

- Są zupełnie mokre - poinformowała go Molly. - Próbowałam wyczyścić plamy krwi, ale...

- Znajdę ci coś innego - rzuciła Gina i zniknęła.

- Grady Morant, jesteś otoczony - mówił głos z megafonu. - Poddaj się ze względu na bezpieczeństwo twoich towarzyszy. Nie stawiaj oporu, a nikomu nic się nie stanie.

Rozdział Dwudziesty

Gina popędziła do kuchni, niosąc naręcze ubrań wyjętych z czegoś, co wyglądało na garderobę Emilia, podczas gdy człowiek z megafonem nadal domagał się, aby Grady Morant się poddał.

Molly i Jones zdążyli już pójść na górę z lornetką Emilia, żeby rozejrzeć się po najbliższej okolicy.

Max stał właśnie nad zlewozmywakiem i opryskiwał sobie twarz zimną wodą.

- Nadeszła chwila prawdy - powiedział, zakręcając kran.

Gina rzuciła stos odzieży na jedno z kuchennych krzeseł i podała Maksowi ręcznik, który wisiał na drzwiach lodówki.

- Dzięki. - Wytarł twarz i ręce. - Teraz dowiemy się, dla kogo na prawdę pracował Emilio. Całkiem możliwe, że ci żołnierze, którzy próbowali nas zabić, nie wypełniali żadnego oficjalnego rozkazu. Jeśli jest inaczej, to ten, kto nimi dowodzi, powinien się zgodzić, żebyśmy poddali się specjalnemu kontyngentowi wysłanemu z ambasady amerykańskiej w Din. Jeśli uda mi się to przeprowadzić, będziemy w domu.

Gina skinęła głową. A jeśli się nie uda?

- Jeśli nie, to... - Max napotkał jej spojrzenie i uśmiechnął się smutno. - To znaczy, że nikomu się nie uda. I wcale nie chodzi o to, że jestem zarozumiały.

- Wiem. - Gina przeglądała to, co przyniosła. - Masz coś przeciwko włożeniu gatek Emilia? - Odwróciła się do Maksa, trzymając w ręku dwie pary slipków, każde w innym stylu. - Są mniej więcej tego samego rozmiaru. I czyste. Były zapakowane w papier, jakby właśnie wróciły z pralni.

Max rzucił jej znaczące spojrzenie, ponieważ oprócz bardzo miłych w dotyku i niezwykle kosztownych bokserek z czarnego jedwabiu Gina wygrzebała w szafie gospodarza również parę stringów.

- No i co? - spytała.

Te stringi na pewno były przeznaczone dla mężczyzny. Miały wszyte dodatki dla różnych części ciała, zdecydowanie niekobiecych.

- Nie bądź śmieszna.

- Nie jestem - odparła, starając się zachować powagę. - Po pierwsze nie widzieliśmy się przez jakiś czas i może twój gust się

zmienił. A po drugie pewnie stringi będą wygodniejsze, biorąc pod uwagę, gdzie nosisz bandaże...

Bez słowa wziął z jej rąk bokserki.

- Najwyraźniej się pomyliłam. - Odwróciła się i zaczęła grzebać w stosie spodni i krótkich spodenek, które przyniosła. Jednocześnie starała się obserwować go kątem oka, ale tak, by tego nie widział. Wyraźnie się bała, że Max zaraz się przewróci.

Racja.

Po włożeniu bokserek zdjął szlafrok i...

Okay, zdecydowanie nie wydawał się już tak wychudzony jak w czasie długiego pobytu z szpitalu. Spodnie Emilia raczej nie będą na niego pasować. Chociaż była jedna para, która wyglądała na nieco luźniejszą... Oto one. Bermudy w ostrym żółtozielonym kolorze.

Max znów rzucił jej spojrzenie znaczące „no chyba żartujesz” i powiesił szlafrok na oparciu sąsiedniego krzesła.

- Boże, czy naprawdę sądzisz, że kiedykolwiek w życiu miałem na sobie coś takiego?

Spróbowała się nie uśmiechnąć.

- Chyba nie masz wielkiego wyboru. - Odważyła się wreszcie popa trzeć na niego. - Zresztą możesz chodzić w samych bokserkach. Przynajmniej dopóki nie wyschną twoje spodnie. Wiesz, co powinieneś koniecznie do tego włożyć? Muszkę.

Odwróciła się, jakby miała zamiar pójść z powrotem do szafy.

- Jestem pewna, że Emilio miał smoking. Sądząc po innych ubraniach, na pewno będzie z poliestru, jasnozielony z domieszką żółtego, ale być może muszka...

- Gina... - Max zatrzymał ją, zanim sięgnęła do klamki.

Gestem pokazał, żeby wróciła.

Wyciągnęła w jego kierunku zielone szorty, lecz zamiast wyjąć je z jej rąk, Max przyciągnął ją do siebie.

- Kocham cię - powiedział takim tonem, jakby wysyłał właśnie jakąś okropną, złowieszczą wiadomość, która jednak w jakiś sposób nieco go bawiła.

Gina miała nadzieję, że on to wreszcie powie, modliła się nawet o to, ale fakt, że zdołał się przy tym uśmiechnąć, choćby tylko trochę, zakrawał na prawdziwy cud.

A potem, zanim jej serce zdołało wrócić do normalnego rytmu, Max ją pocałował.

Och, była bardziej niż gotowa na ten szczególny cud, na miękkość jego warg, na twarde uścisk otaczających ją ramion. Było go więcej niż kiedyś, bo odzyskał już dawną sylwetkę, i to także było zdumiewające i niezwykle. Przesuwała rękoma po jego muskularnych plecach, po silnych ramionach, podczas gdy jego pocałunek zmieniał się z czułego w coraz bardziej namiętny.

O Boże, to też był prawdziwy cud.

Jednak nie mogła nic na to poradzić, że zaczęła zastanawiać się nad słowami Maksa wyrwanymi na siłę, jakby wypowiedzenie ich na głos kosztowało go nie wiadomo ile trudu. Dlaczego zdecydował się na to właśnie teraz?

Tak, czekała od lat, by usłyszeć, jak on mówi, że ją kocha, ale...

- Czy ty... Czy powiedziałaś to... Bo uważasz, że wkrótce zginiemy? - spytała bez tchu.

Max był tak zaskoczony, że aż zaczął się śmiać.

- Nie. A czemu...? - Nagle zrozumiał, o co jej chodziło. - Nie, nie, Gina... Ja po prostu... Ja powinienem był wyznać ci to wcześniej. Całe lata temu, ale tak naprawdę to powinienem to powiedzieć zamiast tego idiotycznego „cześć”. - Zaśmiał się znowu wyraźnie zde gustowany samym sobą. - Boże, zachowałem się jak ostatni kretyn! To znaczy, mam na myśli to „cześć”. Trzeba było wejść tam i od razu od tego zacząć: „Gina, pragnę cię i kocham cię. Nigdy więcej mnie nie zostawiaj”.

Gapiała się na niego bez słowa. Może i dobrze, że wówczas tego nie zrobił, bo zemdlałaby, jak amen w pacierzu.

Wyraźnie czekał na jej reakcję, ale ona nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Okay - odezwał się w końcu. - Boję się, że chyba za późno na takie wyznania, prawda...

Niepewność w jego tonie nadała tej wypowiedzi formę pytania.

- Już jest za późno? - powtórzył, jakby naprawdę sądził, że...

Mimo że było jej naprawdę przyjemnie patrzeć, jak Max skręca się z niepokoju, zmusiła swoje płuca i struny głosowe do działania.

- Czy ty...? - musiała odchrząknąć, bo coś jej przeszkadzało w gardle. Jednak to, co chciała powiedzieć, nie miało już znaczenia, ponieważ łzy w jej oczach wyraźnie mówiły mu wszystko, co pragnął usłyszeć.

Ujrzała, jak się odprężył. Nadal się bał, widziała to wyraźnie, ale strach mieszał się z czymś, co musiało być nadzieją. I z czymś, co cholernie przypominało szczęście.

Szczęście. W oczach Maksa!

- Czy naprawdę prosisz mnie, żebym ci dała jeszcze jedną szansę? - tyle tylko zdołała wykrztusić.

Wpił się w jej usta łapczywie, jakby nie mógł dłużej znieść, że stoi tak blisko i jej nie całuje.

- Proszę... - wyszeptał i znowu poszukał jej ust, i... Boże... Mogłaby tam stać przez całe wieki i pozwalać, by ją całował, ale ten gość z megafonem za nic nie chciał się zamknąć.

Poza tym Gina musiała się upewnić, że chodziło o coś więcej niż seks.

- Czy naprawdę chcesz, bym była częścią twojego życia? - spytała. - No bo wiesz, pożądanie to miła rzecz, ale...

Wskazuje na brak wolnej woli. Z drugiej strony „chcieć” to...

- Chcę - odparł z mocą. - Tak. Bardzo chcę. Chcę, żebyś stała się częścią mojego życia. Gina, bez ciebie byłem całkiem zagubiony... - Nagle się połapał. - Bardziej zagubiony albo... - Pokręcił głową. - Do diabła, jestem jak wrak, ale jeśli z jakiegoś powodu ciągle mnie chcesz, tak w ogóle... Jeśli naprawdę myślałaś to, co mówiłaś, no wiesz, o... - W jego oczach znów pojawił się znajomy wyraz. Nadzieja. - W każdym razie, jeśli mnie kochasz...

- Nie kocham cię „w każdym razie” - odpowiedziała, choć czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. - Kocham cię „ponieważ”.

Delikatnie dotknęła jego twarzy i pogładziła świeżo ogolone policzki.

- Chociaż, jeśli sam o tym wspomniałeś, to przyznaję, że faktycznie jesteś nieuporządkowany, a ja prawdopodobnie mam się tym zająć. W pewnych dziedzinach oczywiście. To znaczy w każdym związku potrzebny jest pewien kompromis, prawda?

Naprawdę myślał, że Gina mówi serio.

- No tak.

- Powiedzmy, jeśli zwrócę ci uwagę, że wyglądałbyś niezwykle seksownie, gdybyś włożył te stringi...

Max zaczął się śmiać.

- Cholera, a już myślałem, że mówisz poważnie.

- Cholera - zaczęła mu dokuczać. - Bo mówię poważnie.

Ujął jej twarz w obie ręce i spojrzał tak namiętnie, że poczuła, jak nogi się pod nią uginają.

- Włożę je, jeśli i ty włożysz...

Znowu ją pocałował, tyle że tym razem chodziło o czysty seks. Jego usta nie były już delikatne i przyciągał ją blisko, coraz bliżej, aż w końcu przywarła do niego całym ciałem i zanurzyła palce w jego włosach. Chciała go dotykać, tego niewiarygodnie zdrowego Maksa, o muskularnych ramionach i szerokich plecach, bujnie obdarzonego przez naturę tym, co zaskoczyło ją za pierwszym razem, gdy zobaczyła go nagiego, a było to w jej pokoju w motelu na Florydzie, całe wieki temu.

Jeśli nawet nie całe wieki, to - przynajmniej dla Maksa - dwie rany postrzałowe temu. Oddając mu pocałunki, zaczęła się zastanawiać, czy agenci FBI rzeczywiście mierzą upływ czasu według swoich rozmaitych obrażeń.

Zastanawiała się też, czy wiedział, że gibkie ciało tak naprawdę się tu nie liczyło. Wychudzony czy tłusty, muskularny czy sflaczały, nie obchodziło jej to ani trochę. Chciała, żeby był zdrowy i żywy, i radosny na tyle, żeby się do niej uśmiechał, tylko o to się troszczyła.

Mimo to nie mogła się nacieszyć dotykiem jego ciała. Jego pleców, ramion, barków.

Och, i do tego pachniał tak pięknie.

Gina zatraciła się w jego pocałunkach, rozpaczliwych, spragnionych, zaborczych. Zatraciła się w dotyku jego rąk, bliskości jego piersi, mocnej i nieustępliwej, podczas gdy on wciskał się między jej nogi, coraz bardziej twardy wobec jej miękkości.

Poczuła jak jej uda opierają się o kuchenny stół, poczuła jak Max gmera przy zatrasku jej spodni, a potem, o Boże, zaczęła mu pomagać. Zsunęła nogawki, żeby mógł ją unieść i posadzić na blacie, gdzie już nic ich nie rozdzielało. Oplotła nogi dookoła jego bioder i...

Boże!

Jak bardzo za nim tęskniła, tęskniła za tym; chciała mu to powiedzieć, ale on całował ją tak zapalczywie, jakby chciał sięgnąć językiem do dna jej duszy.

Całkiem możliwe, że mu się to udało.

Jedyne, co mogła wykrztusić, to „jeszcze...” i „proszę...”.

Trzymał ją tak, żeby jej żebra z tyłu nie wciskały się w twardą powierzchnię stołu; było jej dobrze, niewiarygodnie dobrze, kiedy tak całował ją bez końca, wchodząc głęboko, coraz głębiej w jej ciało.

Był Max i był seks, ale ten seks nie przypominał w niczym tego, który dotąd uprawiali, ponieważ Max nie starał się być ani ostrożny, ani uważny. Nie dlatego, że złamany obojczyk zdążył się już całkowicie zrosnąć. I nie z jej powodu.

Gina nie była na górze.

Wiedziała, że on woli, żeby była na górze, gdyż w ten sposób mogła nad wszystkim zachować kontrolę. Nawet gdy rany Maksa zagoiły się na tyle, że w grę wchodziły inne możliwości, zawsze robił wrażenie przewrażliwionego na tym punkcie, jakby bał się, że ona może poczuć się zmuszana do czegoś, jeśli zaczną się kochać w klasycznej pozycji.

Gina wiedziała także, że Max stara się w ten sposób ułatwić pewne rzeczy, nie utrudnić, ale jeśli nie zamknęła oczu, częściej się zdarzało, że powracały do niej we wspomnieniach sceny z porwania samolotu i z gwałtu, jakiego padła ofiarą. Przyczyną tego była nadmierna ostrożność Maksa, jego ciągle sprawdzanie, czy na pewno wszystko jej odpowiada, i nieudolny sposób, w jaki starał się ukryć fakt, że wciąż o tym myśli. A myślał o tym zawsze. Zawsze. Ale tym razem to wrażenie gdzieś zniknęło. Nic ich nie dzieliło. Tym razem był tylko Max. I wcale do niczego jej nie zmuszał. Przeciwnie, był jej oparciem, wzbudzał w niej poczucie bezpieczeństwa.

- Gina... - nabrał powietrza, kiedy poczuł, jak ona się napina, żeby być bliżej niego. Jeszcze bliżej. - Czy ty...?

Boże, nie pytaj, czy wszystko jest w porządku! Proszę, nie pytaj...

- O Chryste! - odetchnął głęboko, jakby te słowa same wyrwały się z niego. - Boże, jak dobrze... Już nie mogę... Nie...

Jego nagły orgazm był czymś tak niespodziewanym i podniecającym, że Gina także zaraz zaczęła szczytować. Rozkosz obezwładniła ją, wzmocniona dodatkowo przez świadomość, że i on czuje to samo.

- Kocham cię - wyszeptała, czując gwałtowne bicie własnego serca, kiedy Max trzymał ją blisko, i czekała, aż oboje odzyskają oddech. Za nic sobie nie mogła przypomnieć, czy już mu to mówiła.

- O cholera! Bardzo was przepraszam! - To był głos Jonesa.

Chryste Panie! Gina odwróciła się w stronę korytarzyka prowadzącego do kuchni, który dalej łączył się z holem; nawet nie było tam drzwi, które można by zamknąć na wypadek, gdyby ktoś potrzebował odrobiny intymności.

Max rzucił się jak ranny dzik, starając się okryć jej nagość szlafrokiem i własnym ciałem.

Ale Jonesa już tam nie było. Przynajmniej w tej chwili.

- Nie patrzę! - zawołał z głębi holu. - Przepraszam, ale po prostu... Max, jesteś nam potrzebny na górze.

Głos w megafonie monotonnym tonem powtarzał w kółko tę samą informację. Śmieszne, ale Gina po niedługim czasie naprawdę przestała ją słyszeć.

- Chryste, Bhagat, lepiej wezmę tę nitkę, żeby cię dokładniej pozszywać, jeśli zaraz po tym zaczniesz... Co takiego?

Molly zamruczała coś, ale nie rozróżnili jej słów, a potem do ich uszu doleciał odgłos oddalających się kroków.

Gina zaczęła się śmiać jak szalona, zażenowana tym, co zaszło.

- O mój Boże? - wykrztusiła. - Czy my naprawdę to zrobiliśmy?

Tak i - cholerny świat! - zrobili to bez prezerwatywy. To było zupełnie niepodobne do Maksa.

Całkiem możliwe, że oszukiwał ją, kiedy mówił, iż jego zdaniem ujdą stąd z życiem. Ochrona przed niepożądaną ciążą wydawała się zupełną bzdurą, jeśli mieli przed sobą kilka dni życia - albo kilka godzin.

Max, naciągając na siebie ohydne zielonkawe szorty, miał minę świadczącą zarówno o tym, że czuje się winny, jak i o tym, że przeprasza. Otworzył usta, ale go powstrzymała.

- Tylko nie waż się mówić mi, że jest ci przykro - uprzedziła. - Bo mnie wcale nie jest. Wiem, że nasze poczucie czasu było... no, wyłączone i że prawdopodobnie powinniśmy byli...

- Chciałem tylko powiedzieć, że ja też cię kocham - przerwał jej. - Czy będzie okay, jeśli to powiem? Owszem, miałaś rację, bo pewnie zaraz bym dodał, że przepraszam albo coś w tym stylu...

- Tak, będzie okay, jeśli powiesz mi tylko to co na początku - wtrąciła. - Ale reszty nie mam zamiaru słuchać. La, la, la...

- ... że to zdarzyło się w takim miejscu zamiast w bardziej, no, czy ja wiem, romantycznych okolicznościach albo przynajmniej w większym odosobnieniu.

- Chyba żartujesz - odparła. - Uprawianie miłości na kuchennym stole jest jedną z większych, wręcz ponadczasowych kobiecych fantazji - aż do ewentualnego nakrycia przez kogoś. Oczywiście chodzi o to, żeby tak naprawdę nikt cię nie nakrył. O mój Boże!

Zaczęła się śmiać.

Max też się roześmiał, ale skrzywił się natychmiast, gdy zaczął poprawiać bandaż.

Niech to diabli, zupełnie zapomniała o tym jego nieszczęsnym pośladku!

- Nie uraziłam cię, prawda? - dopytywała się z niepokojem.

- Absolutnie nie. - Pocałował ją i chwycił ze stosu ubrań pierwszą z brzegu koszulkę. - Nie obrazisz się, jeśli nie będę na ciebie czekał, dobrze?

Skinęła głową. Musiała się umyć. To zadziwiające, że Max dotąd nie wspomniał o tym, iż zapomnieli się zabezpieczyć, że zamęt, jaki zwykle odczuwał po stosunku, i żal jeszcze nie dały o sobie znać.

- Postaram się pospieszyć. Muszę tylko...

- Gina! - z góry doleciał krzyk Molly. - Strasznie przepraszam, ale naprawdę Max naprawdę jest nam potrzebny, i to zaraz!

Pocałował ją i skierował się do wyjścia. Ale zanim przestąpił próg, odwrócił się raz jeszcze.

- No tak, zupełnie wyleciało mi to z głowy - oznajmił swobodnym tonem. - Jest jeszcze jedna sprawa, o której zamierzałem ci powiedzieć. Chcę, żebyś została moją żoną.

I z tymi słowami odszedł.

To było nie do uwierzenia.

Absolutnie nie do uwierzenia. Molly wpadła w furję.

- Ktokolwiek wpadł na pomysł, żeby wykorzystać do tego dziecko, powinien za to wisieć!

Co prawda wszyscy mieszkańcy sąsiednich domów zostali ewakuowani, ale wielu z nich stało z tyłu, tuż za linią żołnierzy i obserwowało rozgrywający się na ich oczach dramat.

Może ten dramat nie tak do końca rozgrywał się na ich oczach, bo sprawa ciągnęła się już od dobrych kilku godzin. Ale teraz któryś z mówiących po angielsku żołnierzy przejął megafon, żeby nawoływać Jonesa do poddania się.

I nagle inny żołnierz wyrwał jedno z dzieci - niemowlę, na oko ośmiomiesięczne - z ramion trzymającej je kobiety i osłaniając się nim jak tarczą, ruszył w poprzek placyku, w stronę domu Emilia.

Niemowlę wrzeszczało i szukało matczynych rąk, a matka zawodziła rozpaczliwie podtrzymywana przez grupkę starszych kobiet.

To zabawne, ale większość cywili natychmiast dała nogę. W jednej chwili stali tam, a w następnej nie było po nich śladu. Oczywiście z wyjątkiem zdesperowanej matki i dwóch jej towarzyszek. Wszyscy pozostali zniknęli w wydłużających się cieniach upalnego popołudnia.

Ale nic zabawnego nie było w pomysle wykorzystania dziecka w charakterze żywej tarczy.

Któryś z żołnierzy podszedł do zawodzącej kobiety i podniósł broń. Płacząca upadła na kolana i może nie umilkła całkiem, ale zachowywała się znacznie ciszej.

- Nie strzelajcie - odezwał się głos z megafonu, najpierw po angielsku, a później w dialekcie, który Molly co nieco rozumiała. Różnił się trochę od języka używanego na Parwati, gdzie spędziła kilka lat, ale był na tyle zbliżony, że bez trudu wyłapywała podobne słowa.

- Co się stało? - Max wpadł do pokoju.

Dopinał właśnie ostatni guzik koszuli i jeśli nie liczyć baraniego spojrzenia rzuconego na Molly ani próby szybkiego przyglądzenia włosów, jego uwaga była całkowicie skupiona na tym, co działo się na zewnątrz.

- Wygląda na to, że chcą nam dostarczyć coś w rodzaju radia - oznajmił Jones i wręczył mu lornetkę.

Okno przepuszczało światło tylko w jedną stronę, z zewnątrz było lustrzane. Oni widzieli tych, co stali na placyku, ale tamci nie mogli ich dostrzec. Mimo to Jones powiedział do Molly, że to nie gwarantuje im bezpieczeństwa, bo gdzieś po drugiej stronie mógł zacząć się snajper wyposażony w sprzęt optyczny nowej generacji, dla którego lustro nie będzie stanowiło przeszkody. Max najwyraźniej uważał tak samo, bo gdy wyglądał przez przerwę między żelaznymi sztabami, starał się stać z boku.

- Radio? - spytał z niedowierzaniem.

- Taak... - odparł Jones. - Ale nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Moim zdaniem to jednokanałowe walkie - talkie. Nasz tłumacz pewnie nie znał odpowiedniego słowa, więc powiedział, że to radio.

- Mmm... - przyznał Max, obserwując przez lornetkę grupkę wojskowych stojącą na przeciwległym końcu placu. - Najwyraźniej uważają, że znajdują się poza naszym zasięgiem. Chyba nie mają pojęcia, jak jesteśmy uzbrojeni. Zastanawiam się...

- Może wiedzą po prostu, że nie zrobimy z tego sprzętu użytku - zasugerowała Molly. - To znaczy, że nie strzelimy do tego łajdaka, żeby przypadkiem nie zrobić krzywdy malutkiej dziewczynce.

- To dziecko zostało przyniesione tutaj z naszego powodu - wyprowadził ją z błędu Max, ciągle wypatrując czegoś przez lornetkę.

- To my mamy wierzyć, że oni nie zaczną do nas strzelać, kiedy otworzymy drzwi, bo na progu będzie leżało dziecko.

Żołnierz z dzieckiem znajdował się już całkiem blisko i Molly ujrzała, że rzeczywiście niósł coś oprócz niemowlęcia.

- Schodzę na dół - powiedział Max.

- Ja też. To ja powinienem otworzyć te cholerne drzwi - zaproponował Jones.

- A jeśli to bomba?

Molly odwróciła się i ujrzała stojącą tuż za progiem Ginę. Gina wyglądała na potwornie zdenerwowaną, jakby już zdążyła wsiąść do pociągu zmierzającego wprost do nieba.

- To bardzo uprzejmie z ich strony, że chcą nam dać radio - wyjaśniła, o co jej chodzi. - Tylko co będzie, jeśli to wcale nie jest radio?

Max pokręcił głową.

- Z tego, co widziałem, wątpię, czy dysponują technologią, która wystarczy do...

- A jeśli dysponują?

Popatrzył na nią takim wzrokiem, że Molly aż wstrzymała oddech.

Ale jego słowa nie były ani protekcyjalne, ani poniżające, jak na przykład: „Wszyscy wiedzą, że dopiero co cię przeleciałem, więc będę udawał, że cię szanuję, i odpowiem na twoje głupie pytanie tak, jakby miało ono jakiegokolwiek znaczenie”.

Zamiast tego odpowiedział jej całkiem szczerze.

- To byłoby naprawdę niedobrze. Ale my musimy nawiązać z nimi kontakt. Gina, według mnie nie mamy wyboru.

Skinęła głową.

- Przynajmniej upewnij się, że to naprawdę radio, i dopiero wtedy wnieś je do środka.

- To nie będzie takie łatwe - wtrącił się Jones.

Gina spojrzała na niego surowo.

- Zawołaj tego dupka, który ukradł dziecko... - wskazała na okno
- ... i każ mu nawiązać łączność z kolegami za pomocą sprzętu, który nam niesie. Niech powtórzą przez megafon to, co mu powiemy. To musi być coś niezwykłego, coś, czego nie powiedzą ot, tak sobie... Jakiś wiersz albo piosenka. Wtedy przekonamy się, czy to rzeczywiście jest radio.

Nagle zmarszczyła brwi.

- No, chyba że zabrał jeszcze drugie...

Max znów przyłożył do oczu lornetkę.

- Nie widzę, żeby sterczały tam jakieś druty. I wątpię, czy ma takie miniaturowe nadajniki, na przykład w uszach, skoro nie mają pieniędzy nawet na kamizelki kuloodporne.

Jednak Gina postanowiła odgrywać rolę adwokata diabła.

- No dobrze. A co zrobimy, jeśli on nie mówi po angielsku?

Żołnierz, który przyniósł im radio, mówił po angielsku akurat tyle, ile trzeba.

Strategia Giny podziałała bez zarzutu. Walkie - talkie okazało się głównianym sprzętem o krótkim zasięgu, odbierało tylko na jednym kanale i z pewnością było bezużyteczne, jeśli chciałoby się wezwać pomoc. Nikt nie zaczął strzelać do Maksa, kiedy zabierał je spod drzwi, a następnie zamykał rygle.

Niemowlę zostało zabrane na drugi koniec placu i oddane w ręce zapłakanej matki.

Wszystko ułożyło się cudownie, włącznie z uśmiechem Giny, ponieważ Max wybrał cytat z piosenki Elvisa.

„Like a ribbon floats, Girlie, do you see” płynęło z megafonu z wymuszonym obcym akcentem. Większość słów została poważnie poprzekręcana albo źle zrozumiana, zupełnie jakby była to niezwykle ważna wersja telefonicznej gry. „Doily, sowing, goats, some things are men do be...”.

Ale i tak było to wystarczająco zbliżone do oryginału.

Wszystko układało się cudownie, z wyjątkiem jednej rzeczy, która miała wpływ na pozostałe.

Z wyjątkiem negocjacji.

Oficer odpowiedzialny za przeprowadzenie tej operacji zdecydowany był trzymać się rygorystycznie otrzymanych rozkazów, co dla Maksa stało się jasne w ciągu pierwszych piętnastu sekund rozmowy przy udziale tłumacza. Oficer ten nie był zawodowym negocjatorem i od razu wyjaśnił Maksowi, że nie został upoważniony do nawiązywania ugody.

Wskazywało to na coś więcej niż tylko zwykły brak wyobraźni z jego strony. Ten człowiek miał przed sobą jeden cel - uratować własny tyłek. Max miał nieraz do czynienia z ludźmi, którzy działali według ściśle ustalonych reguł, ponieważ w nie wierzyli. Jednak ten oficer robił to tylko dlatego, że się bał.

Max spędził mniej więcej trzydzieści minut, tłumacząc mu - delikatnie, aby jeszcze bardziej go nie wystraszyć - że jest Amerykaninem i chce rozmawiać z kimś z ambasady amerykańskiej i że tak, doskonale wie, iż na wyspie Meda nie ma żadnej ambasady. Chce rozmawiać z kimś z ambasady znajdującej się na terenie Timoru Wschodniego, w Din.

Dowiedział się tylko, że ambasada w Din została zamknięta. Ewakuowana w związku z rosnącym zagrożeniem terrorystycznym. Cały personel został przeniesiony w miejsce, które wydawało się znacznie bezpieczniejsze.

A potem usłyszał coś jeszcze gorszego.

Oficer dowodzący akcją został poinformowany przez swoich przełożonych, że Grady Morant jest przywódcą komórki terrorystycznej, poszukiwanym zarówno przez rząd Stanów Zjednoczonych, jak i Indonezji.

Och tak, poza tym wymknęło mu się, że dostał rozkaz, aby ich wszystkich zastrzelić od razu, kiedy tylko wyjdą z budynku, i nawet jeśli zrobią to z podniesionymi rękoma.

To tyle, jeśli chodzi o ocalenie życia towarzyszy Grady'ego Moranta.

A teraz, może ze względu na barierę językową, Max nie umiał przekonać oficera, że to wszystko jest grubym nieporozumieniem.

- Chcę rozmawiać z Emilio Testą - powiedział w końcu.

- A kim jest Emilio Testa? - usłyszał w odpowiedzi.

Max zerknął za siebie i przekonał się, że Gina nie spuszcza z niego oka. Wiedziała, dlaczego o to zapytał. Jeśli Emilio wciąż jeszcze żył, Jules prawdopodobnie był martwy.

- To jest człowiek, który mieszkał w tym domu - powiedział Max do walkie - talkie.

Zapadła chwila ciszy przerwana tylko przez Ginę.

- Gdyby Jules żył i miał nam przybyć z pomocą, to już by tu był, prawda? - zapytała spokojnie.

Max nie potrafił zdobyć się na kłamstwo.

- Tak - odpowiedział wprost.

- Nie znamy tego człowieka. Tego Testy - zaskrzeczało walkie - talkie.

- To może być kłamstwo - Max zwrócił się do Giny. - A może i nie. Może Testa kontaktował się z kimś innym z dowództwa.

- Czy jesteście gotowi się poddać? - odezwał się głos w walkie - talkie. Najwyraźniej był to cytat z ich podręcznika do nauki angielskiego, a dokładnie z rozdziału o prowadzeniu negocjacji.

To był chyba ponury żart. Jeśli poddanie się miało oznaczać, że po otwarciu drzwi zostaną zastrzeleni...

- Chcę rozmawiać z jakimś Amerykaninem - oznajmił twardo Max. - Najlepiej z kimś z biura CIA w Dżakarcie albo z przedstawicielem ambasady amerykańskiej. Ale zgodzę się - powtarzam, zgodzę się - na rozmowę z jakimkolwiek oficerem z dowolnego rodzaju formacji armii Stanów Zjednoczonych. Z kimkolwiek, byle był Amerykaninem.

- Wasza sytuacja nie pozwala na stawianie nam żadnych żądań - przyplłynęła odpowiedź znowu wyczytana z książki.

- Z pewnością - zgodził się Max. - Ale mamy tu wystarczający zapas żywności i wody, żeby bronić się miesiącami.

Gówno prawda, ale jeśli ten oficer nie miał kontaktu z Emilio Testą, nie mógł dowiedzieć się, że to blef.

- Naprawdę chcecie siedzieć tu tak długo? - dodał. - Nasz pułkownik przyjeżdża jutro. I będzie miał z sobączołg.

Max usiadł prosto. Co jest, do kurwy nędzy?

- Czy on powiedział „czołg”? - spytała Gina, szeroko otwierając oczy.

- Proszę powtórzyć - powiedział Max do walkie - talkie.

Ale odpowiedziała mu martwa cisza. Ktokolwiek znajdował się na drugim końcu, wyłączył odbiornik.

Nic dziwnego, że tamten człowiek nie okazał się zbyt zdolnym negocjatorem. Nie musiał się starać.

Pułkownik, ktokolwiek nim był, już do nich jechał. To była dobra wieść albo zła. Dopóki nie znajdzie się na miejscu, trudno będzie stwierdzić.

Jeśli zaś chodzi o czołg, sprawa wydawała się jasna. To nie była zła wiadomość, tylko przerażająca.

Rozdział Dwudziesty pierwszy

To może być blef - oświadczyła Molly.

- A może nie - odparł Max, napotkawszy spojrzenie Jonesa. - Czy masz jakieś doświadczenie z...?

- Z czołgami? - Jones wzruszył ramionami, starając się ukryć strach. Strach wędrował przez niego falami, odkąd usłyszał nowiny przyniesione przez Maksa, aż w końcu usadowił się bezpiecznie gdzieś w okolicy jelit. - Wystarczy wam wiedzieć, że są dwa miejsca, w których nigdy nie chciałbym się znaleźć. Pierwsze to czołg podczas bitwy, kiedy chłopcy przeciwnika dysponują artylerią przeciwczołgową, a drugie to miejsce, które sukinsyny siedzące wewnątrz obrały sobie za cel... Uważam, że ten budynek wygląda na dość solidny, ale... Czołg może go uszkodzić, co do tego nie ma wątpliwości.

Trudno było sądzić, że Jones przesadza.

W tym momencie zdecydowali się rozdzielić: Molly i Jones poszli na górę, Max z Giną zostali na dolnym poziomie. Kuchnia stanowiła ich bazę operacyjną, kiedy przekopywali się przez każdą szafę i schowek, jaki tylko znajdował się w domu.

Szukali nadajnika radiowego. Albo czegokolwiek, co pomogłoby im się wydostać w jednym kawałku z tej cholernej pułapki.

Może pary czarodziejskich pantofli? Albo magicznej bramy wiodącej do innego wymiaru? Ewentualnie podręcznego zestawu do budowy helikoptera wyposażonego dodatkowo w specjalne pole magnetyczne, dzięki któremu uniknęliby zestrzelenia, kiedy wystartują z okna na piętrze?

Jak dotąd bez rezultatu.

Niemniej udało im się znaleźć grill George'a Foremana i ekspres do kawy. Urządzenie do karaoke wzbudziło fałszywy alarm, ponieważ wyglądem przypominało upragnione radio. To znaczy bardziej wyglądało na radio niż na przykład grill Foremana.

Znaleźli kserokopiarkę i pięć ryz papieru. I zapas świec na rok. I antyczną skrzyneczkę, na której napis głosił, że w środku znajduje się urządzenie do robienia „niewiarygodnych pyszności”; a która okazała się po brzegi wypełniona kartami baseballowymi między innymi takich graczy jak Tom Seaver czy Ted Williams.

Po odłożeniu skrzyneczki na bok - czy nie będzie miło, jeśli Emilio w ten sposób pomoże zapłacić kilka rachunków za leczenie

Molly? - Jones przeszedł do sypialni. Otworzył pierwszą z brzegu szafkę po to tylko, by w środku znaleźć telewizor z płaskim ekranem.

Po włączeniu na ekranie ukazał się jedynie śnieg, ale obok stał odtwarzacz DVD plus mnóstwo płyt wypełniających szelnie trzy półki.

Emilio miał chyba słabość do gwiazdeczki porno o imieniu Ruksana, która na okładkach wszystkich płyt występowała w stroju uczennicy katolickiej szkoły, zapięta pod szyję i uczesana w warkoczyki.

Oczywiście Molly musiała przyłapać Jonesa na tym, jak przeglądał kolejne tytuły.

- Pozwól, niech zgadnę - powiedziała. - Przyglądasz się tym świństwom, żeby lepiej zrozumieć, kim był Emilio. W ten sposób łatwiej ci będzie odgadnąć, gdzie mógł ukryć coś takiego jak radio. Oczywiście, jeśli w ogóle miał radio, które chciał ukryć.

Jones zaczął się śmiać.

- Oczywiście, że tak. - Sam chyba nie wymyśliłby podobnej bzdury, żeby jakoś się wyplątać z niezręcznej sytuacji. - Odkryłem, że Emilio był bardzo do mnie podobny. Pod pewnymi względami. Obaj mamy słabość do ładnych dziewczyn.

Molly popatrzyła na okładkę płyty, którą trzymał w ręku, i też się zaśmiała. Na samym dole drobnymi literami wydrukowany był angielski tytuł: Bardzo psotna panienska w wielkim kłopotcie. Najwyraźniej coś zostało pominięte w trakcie tłumaczenia.

- Jeśli kiedykolwiek zacznę spisywać wspomnienia, zdecydowanie wykorzystam ten tytuł - zauważyła, przeglądając zawartość pudełka. - Kto by przypuszczał, że mam tak wiele wspólnego z jakąś tam Ruksaną.

Jones popatrzył na nią. Dom prawie pozbawiony okien wypełniał półmrok - zaczęli używać świec, żeby oszczędzać benzynę w generatorze - ale Molly potrafiła wnieść odrobinę światła nawet do najciemniejszego pokoju.

Odkładając płytę na półkę, obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Gdybyś miał radio, gdzie byś je schował?

- Ja nie miałbym radia - odparł, bawiąc się kosmykiem jej włosów. Ze względu na upał nosiła je teraz wysoko upięte, ale jak zwykle niesforne kosmyki wymykały się spod spinek. - Jeśli człowiek pracuje sam, radio jest mu niepotrzebne. Ale gdybym pracował z

kimś, z kim powinienem mieć kontakt, trzymałbym radio w swoim samochodzie. Albo na łódce, albo w samolocie.

- Więc sądzisz...?

- W impali niczego nie ma - uprzedził jej pytanie. - Przeszukałem wóz dokładnie. Prawdę mówiąc, zrobiłem to parę razy, jeszcze zanim zaczęła się wymiana ognia.

Zamknął oczy i starał się przywołać z pamięci widok deski rozdzielczej malutkiego gównianego autka stojącego na ulicy przed domem. Samochodu, którym później odjechał Emilio z Julesem. Jones próbował wówczas włączyć silnik, bo przypuszczał, że Molly znajduje się wewnątrz białego vana, który przed chwilą wystrzelił z garażu i z piskiem opon ruszył przed siebie.

Próbował odtworzyć w myślach obraz schowka na rękawiczki i sprawdzić, czy był wyposażony w jakiś nadzwyczaj solidny zamek. Ale nic z tego. Po prostu nie potrafił sobie niczego przypomnieć.

- No i co? - spytała Molly.

- Gdybym ja był na miejscu Emilia... - odparł - ... trzymałbym radio w tym samochodzie, którego używam, gdy... hm, niekoniecznie postępuję zgodnie z literą prawa. W samochodzie jak najmniej rzucającym się w oczy. Jak na przykład ten malutki ford, którym odjechał.

- Cholera! - Molly rzadko przeklinała, ale jeśli kiedykolwiek był na to właściwy czas, to właśnie teraz.

Przeszukali już dokładnie każdą szafę, schowek czy szufladę.

Ani śladu radia. Przynajmniej takiego, które posłużyłoby jako nadajnik. Ale w tym momencie wbiegła Gina, promieniując radosnym podnieceniem.

- Hej, czy udało wam się znaleźć... - Spojrzała na nich stojących obok otwartej szafki. - Wspaniale, właśnie tego szukałam!

- Filmów porno? - zapytał z niedowierzaniem Jones.

- Kochanie... - upomniała go Molly cierpliwym, prawdziwie żoninym tonem, który nieodmiennie kojarzył mu się z komediowymi serialami w telewizji - Gina nie potrzebuje pornosów, żeby jeszcze bardziej uatrakcyjnić swoje życie seksualne.

- Och, czy to chłopak z pizzerii? - Jones zaczął naśladować wysoki głos Giny. - Naprawdę? Chce pan tutaj, w kuchni? Nawet kiedy moi przyjaciele siedzą na górze? W porządku. No to raz, dwa!

- Zamknij się wreszcie! - Gina zaczęła się śmiać, ale jej policzki lekko się zaróżowiły. - Daj mi spokój, nie widziałam tego faceta od półtora roku!

- I od razu przyszło ci do głowy, żeby natychmiast go dosiąść? Nawet bez... - nagle Jones uświadomił sobie, co wygaduje.

Molly patrzyła na niego bez mrugnięcia. Ups!

- Wybacz, nie chcieliśmy sprawić ci przykrości - powiedziała do Giny.

- Siedzę zamknięta w jakimś pieprzonym bunkrze, który z pozoru wygląda na normalny dom, na zapomnianej przez Boga indonezyjskiej wysepce - wybuchnęła Gina. - Pilnowana przez cholerną armię, której dowódca otrzymał rozkazy, żeby nas powystrzelać, nawet jeśli będziemy chcieli się poddać. W dodatku czołg już jest w drodze i jedzie tu po to, żeby wysadzić nas w powietrze!

- Wszystko rozumiem - odezwał się Jones. - Ale dlaczego szukałaś pornosów?

Wyjął z rąk Giny pudełko z płytami. Ruksana z wizytą w Watykanie.

- Czy Ruksana nie dostała za ten film jakiejś nagrody? - spytał. - Za najbardziej pozbawione dobrego smaku i szmatławę gówno, jakie wyprodukowano w tamtym roku?

- Och, skarbie - odrzekła Molly, kiedy rzuciła okiem do środka. - Całkowicie się mylisz.

- Otwórz to pudełko - powiedziała Gina. Aha. W środku nie było żadnego filmu, lecz dyskietka komputerowa.

- Naszym zdaniem to jakiś rodzaj zapasowych kopii - wyjaśniła Gina. - To było schowane w spiżarni. Razem ze starym komputerem. Zupełnie jakby ktoś sprawił sobie laptopa, ale nie chciał wyrzucać na złom starego peceta. Pomyślałam, że to dość dziwny pomysł chować tam DVD, więc... Oczywiście to jest porno i przypuszczam, że ludzie, którzy byli w to zamieszani, i tak by to ukryli, ale zajrzałam do środka i...

Molly zdążyła już wziąć z półki następne pudełko i je otworzyć.

- Tu jest następna - zawołała.

- Max włącza w kuchni komputer - poinformowała ich Gina. - Jeśli uda mu się go uruchomić, przekonamy się, co jest na tych dyskietkach.

Komputer naprawdę wyglądał na przedpotopowy model; monitor w porównaniu z obecnymi standardami był malutki. Sapiąc, powracał do życia, podczas gdy Gina przyprowadziła Molly i Jonesa do kuchni.

- Znalazłaś coś jeszcze? - spytał Max, moszcząc się na podłodze.

Nie mógł normalnie siedzieć, więc kuczał w półprzysiadzie i podkładał pod pośladki poduszkę, bo wtedy ból wyraźnie się zmniejszał.

- Główne złoże - odpowiedziała. - Jeszcze dziesięć dyskietek. Zawartość spiżarki została wyrzucona na kuchenną podłogę; było tam wszystko, od stosów starych gazet, poprzez karmę dla psa, po pudełka z ulotkami wydrukowanymi częściowo po indonezyjsku, a częściowo po portugalsku, które zapewne miały służyć w jakiejś kampanii politycznej. Musieli dobrze uważać, żeby na nic nie nadepnąć, kiedy zmierzali w stronę stołu.

- Czy ktoś życzy sobie herbaty? - spytała Molly, podchodząc do kuchenki.

Gina położyła dyskietki w takim miejscu, żeby Max mógł łatwo po nie sięgnąć.

- Tak, ja się napiję, ale pozwól, że sama ją zrobię - odparła i ruszyła w stronę Molly.

W przelocie musnęła kark Maksa; była to najlżejsza z pieszczot, zaborcza i intymna zarazem, a Max nagle uświadomił sobie, że klęczy przy tym samym stole, gdzie niedawno...

Okay. Czy ktokolwiek inny w tym pokoju także o tym myślał? Max zerknął na Jonesa, który zauważył to spojrzenie i dołożył wszelkich starań, żeby się nie uśmiechnąć.

Taak... Jones też.

- Siadaj - powiedziała Gina do Molly. - I oprzyj wysoko stopy.

- Dzięki, kochanie.

Molly wróciła do stołu i zajęła miejsce dokładnie naprzeciwko Maksa.

On z kolei udawał, że jest absolutnie zafascynowany ikonką, na której wciąż widniała klepsydra. Kątem oka zauważył, jak Jones przysuwa krzesło, żeby Molly miała na czym oprzeć nogi.

- Zaczęły mi puchnąć łydki - poskarżyła się, patrząc wprost na Maksa. Nie wypadało mu na nią nie spojrzeć, więc oderwał się od monitora. O Chryste, czyżby naprawdę zaczął się rumienić? - I to od niedawna.

Zaczekaj. Opuchnięte łydki oznaczały... Czy to mógł być objaw raka piersi?

Na widok jego przerażonej miny uśmiechnęła się łagodnie.

- Nie musisz się tak martwić, Bhagat. To całkiem normalne. Przypuszczalnie to skutek upału. Muszę tylko uważać na siebie, no bo wiesz, mam już ponad czterdzieści lat...

Tym razem Max zaniemówił ze zdziwienia. Uśmiech Molly stał się wyraźnie szerszy.

- O co chodzi? Przyglądasz mi się, jakbym...

Nagle jej uśmiech zgasł.

- Nie powiedziałaś mu, że jestem w ciąży, prawda? - zwróciła się do męża.

- Jak to, ty też jesteś w ciąży?! - zawołał Max i spojrzał przez ramię na Jonesa. - Nie, nawet słówkiem mi nie wspomniał.

Jones zaczął trzeć czoło otwartą dłonią, jakby cierpiał na dokuczliwy ból głowy.

- Mol... Uważałem, że to nasza osobista sprawa. Dopóki nie przyjdą wyniki biopsji...

Molly wpadła w szal.

- I co, pomyślałeś, że wtedy mnie namówisz na usunięcie ciąży, tak?

- Pomyślałem... - wpadł jej w słowo - ... że jeśli porozmawiasz z następnym lekarzem albo z dwudziestoma kolejnymi, to może dojdiesz do wniosku, że ratowanie własnego życia jest ważniejsze, A gdyby tak się stało, to pewnie chciałabyś, żeby to pozostało naszą prywatną...

- Ja przede wszystkim chcę tego dziecka - przerwała mu Molly.

Max napotkał spojrzenie Giny. Chyba myślała w tym momencie to samo co on: że są winni Molly i Jonesowi przeprosiny za to, że zaczęli walczyć z sobą w ich obecności. Bycie świadkiem podobnej rozmowy jest nieznośnie bolesne.

- Wiem, że chcesz - odparł poważnie. - I przykro mi, że ze mną jest inaczej. Na Boga, Molly...

- No cóż. To dobrze, że wreszcie zebrałaś się na odwagę, żeby mi to powiedzieć. - Molly podniosła się z krzesła. Zawsze trzymała się bardzo prosto, ale w tym momencie wydawała się jeszcze wyższa niż zazwyczaj. - Wybacz mi, proszę - zwróciła się do Maksa i poszła w stronę wyjścia.

Jones był wyraźnie sfrustrowany. I zdrowo wkurzony.

- Chciałem tylko powiedzieć: Na Boga, Molly, nie chcę go, jeśliby to miało cię zabić. Do cholery, Mol, przestań...

Ale ona zdążyła już wyjść z kuchni. Chciał ją dopaść i ruszył zbyt szybko; przeskakując przez torbę z psim jedzeniem, zaczepił nogą o pudło z ulotkami i rozsypał je po całej kuchni.

- Cholerny świat! Przepraszam.

- Ja to pobieram - powiedziała Gina, przychodząc mu z pomocą.
- Ty po prostu idź.

Ale Jones stał jak wmurowany. W następnej chwili schylił się i podniósł z podłogi karteczkę, wpatrując się w zdjęcie uśmiechniętego kandydata.

- Kurwa mać! - zaklął na cały głos. Szybko przeleciał wzrokiem po tekście, najwyraźniej szukając części, która byłaby napisana po angielsku, ale jej nie znalazł.

- Molly! - wrzasnął. - Chodź tu szybko, jesteś mi potrzebna!

Spojrzał na Ginę.

- Idź i przyprowadź ją! - polecił szorstko.

Gina nie wyglądała na przekonaną, że akurat teraz jest właściwy moment na takie sprawy, ale Jones był nieustępliwy.

- Powiedz Molly, że potrzebuję jej pomocy przy przeczytaniu pewnego tekstu. Lepiej ode mnie zna te języki - wyjaśnił i odwrócił się do Maksa. - Chyba już wiem, o co w tym chodzi. I wiem, kto tak mnie ściga.

Podniósł wysoko ulotkę.

- Widzisz tego gościa? Zapłacił Chaiowi okrągłą sumkę za to, żebym zamordował jego kochankę.

- Facet nazywa się Heru Nusantara - opowiadał Jones. - Nie mam pojęcia, o co się ubiega, ale najwyraźniej ktoś zainwestował duże pieniądze w jego kampanię.

- To chyba nie jest kampania - sprostowała Molly. Z powrotem siedziała przy stole i studiowała uważnie ulotkę. - To coś w rodzaju, sama nie wiem, jakiejś propagandy? Tu zresztą nie ma ani słowa o tym, na jaki urząd kandyduje. Przynajmniej ja nie mogę się doczytać. Widzę pewne podobieństwa do dialektów, które trochę znam, ale...

- I tak robisz to znacznie lepiej niż na przykład ja - powiedziała Gina.

Herbata wreszcie naciągnęła, więc Gina nalała gorącego płynu do dwóch kubeczków i jeden z nich podała Molly.

- Ta część tutaj ma coś wspólnego z Timorem Wschodnim. - Molly wskazała na samą górę strony. - Dzięki. - Uśmiechnęła się do Giny.

Gina wzięła swój kubek i usadowiła się obok Maksa, który przeglądał kolejno dyskiety.

Było oczywiste, że Molly jest przegrzana, zmęczona, zmartwiona i przestraszona - to Gina stwierdziła na pierwszy rzut oka. Miała za sobą piekielny miesiąc i wszystko wskazywało na to, że jeszcze daleko było do końca tego gorącego okresu.

Max chyba czytał w jej myślach, bo dotąd opierał podbródek na dłoni, ale teraz przesunął rękę tak, że znalazła się na oparciu krzesła Giny. W kuchni panował zbyt wielki upał, żeby mógł ją objąć, lecz i tak udało mu się nawiązać z nią fizyczny kontakt; czubkami palców przesunął po jej plecach, delikatnie je masując.

Ta pieśczoła sprawiła, że o mało co nie zaczęła płakać.

Był tutaj. Tuż obok.

Kochał ją. W jakiś sposób w końcu dopuścił do siebie tę myśl.

Nie pragnęła niczego więcej, no może tylko tego, żeby żyć przez następne sto lat z nim u boku.

Problem był w tym, że mieli zapas wody i jedzenia na kilka tygodni. Najwyżej. Poza tym nie można było zapominać o czołgu, który wcześniej czy później pojawi się przed ich kryjówką.

Mimo wszystko Max siedział tutaj z nią. Nie był jedynie głosem w radiu ani wytworem jej wyobraźni.

- Tu jest coś o jakiejś amerykańskiej firmie - Molly spojrzała na Jonesa. - Czy w Timorze Wschodnim nie ma...? Wiem, że to nie chodzi o ropę...

- O złoża gazu - wyjaśnił. - Ale nikt nie chciał się w to bawić ze względu na ciągle rozruchy w tym rejonie.

- Wygląda na to, że tu jest napisane, że ten polityk - Heru Nusantara - pomoże w porozumieniu z kompanią o nazwie Alliance Co. - oznajmiła Molly. - W podtekście chodzi o to, że dzięki niemu pojawią się tu pieniądze i zostaną stworzone nowe miejsca pracy. I Timor Wschodni raz na zawsze stanie się prawdziwą częścią Indonezji.

- Tak. - Jones parsknął śmiechem. - Gównu prawda. Ktoś się cholernie wzbogaci, ale na pewno nie będą to przymierający głodem biedacy z Timoru Wschodniego. To jasne jak słońce.

- Tu jest też coś o tym, jak to się stało, że w Din powstała ambasada amerykańska - czytała dalej Molly. - Wygląda na to, że po to, by wspierać Alliance Co. Podobno obecność Amerykanów ma zapewnić stabilność na terenie Timoru Wschodniego.

- A co ten polityk ma wspólnego z tobą? - spytał Jonesa Max.

- Nusantara był jednym z... Nie wiem, jak to określić... Wspólników Chaia w biznesie. Chyba tak byście go określili - wyjaśnił Jones.

Molly prychnęła z niesmakiem.

- A tu jest powiedziane, że dzięki niemu do Indonezji powróci uczciwość i praworządność. Zresztą cała ulotka jest o tym, jaki to bohater. Nieprzekupny. Cha, cha, cha... Heru - heros dla ludu. Racja.

- Jeśli tak się sprawy mają, to rozumiem, czemu on mnie szuka - powiedział Jones. - Mam dowody, że jest poważnie zamieszany w kilka brudnych spraw.

- Na przykład? - Max zdawał się całą uwagę koncentrować na monitorze, ale nie umknęło mu ani jedno słowo. - Wspomniałeś coś o jego kochance...

Jones skinął głową.

- Miała zaledwie szesnaście lat. I była w ciąży. Chai kazał mi ją zabrać i powiedział, że mam ją zabić.

- Wielki Boże... - westchnęła Molly.

- Nie zrobiłem tego, okay? - zwrócił się do niej ostro. - Ale dziękuję za zaufanie.

Molly wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozplakać.

- Ja wcale nie...

- Wiem - odezwał się znacznie łagodniejszym tonem. - Cholera, przepraszam... - Potarł ręką czoło i spojrzał na Molly zza rozcapierzonych palców. - Są pewne sprawy... Sprawy, o których ci nie mówiłem. Sprawy, za które powinienem... - Przerwał i po chwili podjął na nowo. - Po prostu pozwól mi... spróbować.

Molly skinęła głową, ale była blada jak płótno. Siedziała z przyklejonym do twarzy uśmiechem, a zmarszczki na jej twarzy wydawały się głębsze niż zwykle. Robiła wrażenie absolutnie wykończonej.

Po raz pierwszy od czasu, gdy Molly odkryła w piersi guzek, Gina pomyślała, że być może jej przyjaciółka umiera.

Wydawało się oczywiste, że tak samo Jones nie potrafi myśleć o niczym innym, odkąd dowiedział się, że Molly musi wykonać biopsję. Wyraźnie uważał, że jej choroba jest pewnego rodzaju odpłatą za zło, które uczynił. Karą boską za jego przewinienia.

Właśnie teraz chyba zamierzał im opowiedzieć o jednym czy może dwóch grzechach, które popełnił w przeszłości.

Od chwili poznania Jonesa Gina podejrzewała, że jego reputacja wyjątkowo niebezpiecznego człowieka nie wzięła się tak całkiem znikąd. I nie zanosilo się na to, żeby historia, którą miał opowiedzieć, była łatwa i przyjemna w odbiorze.

Zresztą jemu też nie było łatwo o tym mówić, zwłaszcza kiedy Molly czuła się tak bardzo przygnębiona.

Ale gdy siedział tak skulony i szukał właściwych słów, wyciągnęła rękę i zamknęła w uścisku jego dłoni.

- Po prostu powiedz nam, co się stało - odezwała się łagodnie. - Wiesz, że cię kocham bez względu na wszystko. To, co się stało, już się nie odstanie. Nie mam zamiaru bawić się w sędzięgo... Ani ja, ani nikt inny. Ostatecznie wszyscy popełniamy błędy.

Jones przez długą chwilę wytrzymał jej spojrzenie, a potem skinął głową.

- A więc... - Wziął głęboki oddech i wyrzucił z siebie jednym tchem. - To było przy końcu mojej... współpracy z Chaiem. Przypuszczam zresztą, że właśnie to wydarzenie przesądziło sprawę i Chai zdecydował się mnie pozbyć. A wszystko zaczęło się wtedy, gdy Chai zorientował się, że większość czasu spędzam w szpitalu, ratując ludziom życie. Nie wychodząc i nie...

Otrząsnął się, jakby chciał odpędzić złe wspomnienia.

- Nie wiem, może pomyślałem, że wystarczająco już odpłaciłem mu się za to, że mnie wy dostał z więzienia. Naprawdę nie mam pojęcia, co sobie wówczas myślałem. To było inne... To było całe wieki temu. Ale definitywnie odciąłem się od... hm... bardziej paskudnej strony biznesu, jaki prowadził. Jestem przekonany, że wtedy Chai chciał sprawdzić moją lojalność. - Zaśmiał się niewesoło. - Najwyraźniej go zawiodłem.

- Widzicie, w tamtym czasie Nusantara był... sam nie wiem, chyba burmistrzem - kontynuował po chwili przerwy. - A może

gubernatorem... Nie potrafię sobie przypomnieć, w jakim mieście ani na jakiej wysepce to się stało. Moje wspomnienia są mgliste. Ale zdecydowanie była to jakaś podrzędna wysepka i w dodatku bardzo biedna. Mimo to ubiegał się o reelekcję, a wyścig był bardzo ostry. Sądzę, że doszedł wtedy do wniosku, że pora odegrać bohatera. Miał jakiś związek z...

- Nusantara? - upewnił się Max.

- Tak - potwierdził Jones. - Łączyły go dość napięte stosunki z innym przywódcą przestępczego świata, który rezydował na sąsiedniej wyspie. Tamten facet robił mnóstwo zamieszania. Bawił się w piractwo, co tutaj w Indonezji jest naprawdę lukratywnym biznesem. W każdym razie był to ktoś, kto plasował się znacznie niżej niż Chai. I w związku z tym Chaia nie interesowało, że taki podrzędny zbir chadza sobie w blasku sławy.

- No i Nusantara postanowił gościa wykończyć. Wynajął paru zawodowych morderców, którzy mieli przyjść i ogniem karabinów zmieść go z powierzchni ziemi, kiedy będzie jadł posiłek na swoim patio. Tylko, ups! Zgadnijcie, kto przyszedł na obiad owego fatalnego dnia, prawdopodobnie po to, by spróbować pogadać z facetem, żeby zostawił w spokoju miejscowych rybaków. Przeciwnik polityczny pana Nusantary. Biedak przyjechał tam razem z żoną i dwójką dzieciaków.

- O Boże! - jęknęła Molly.

- Tak - przytaknął Jones. - To była prawdziwa krwawa łaźnia. Nikt nie uszedł z życiem. Nusantara tak wszystko urządził, żeby nikt nie mógł powiązać go z tamtą zbrodnią. Postarał się, żeby gang, któremu zapłacił za zastrzelenie tamtego, wpadł w pułapkę. A to nie byli ludzie, którzy spokojnie oddaliby się w ręce policji... Wszyscy zginęli. Nareszcie był panem sytuacji. Ale kiedy odkrył, że wśród ofiar znalazło się dwoje dzieci, wpadł w panikę. Wykonał pewien telefon, który na swoje nieszczęście podsłuchała jego kochanka Esmá. Był zbyt wrażliwy, żeby samemu popełnić morderstwo, co było prawdziwym szczęściem dla Esmy - mówił dalej Jones. - Ciekawe, że zlecenie różnych zbrodni nie budziło w nim oporów... Przyjechał do Chaia z tą dziewczyną i oświadczył, że ona musi zniknąć. A Chai wyznaczył do tego zadania właśnie mnie.

Przerwał na chwilę i odchrząknął.

- Skłamałbym przed wami, gdybym oświadczył, że nigdy nikomu nie odebrałem życia dlatego, że Chai tak chciał - powiedział cicho, patrząc prosto na Molly. - Ale starałem się zawsze osądzać to, co mi zlecano. Przejeździłem kawał świata w pogoni za różnymi złymi ludźmi... Ale tego nie mogłem zrobić. Tyle tylko że wiedziałem, że jeśli odmówię, to wyrok wykona ktoś inny. Więc wykorzystałem dwuznaczność rozkazu. Mój szef kazał mi pozbyć się jej raz na zawsze. I tak właśnie postąpiłem.

Pożyczyłem hydroplan i zabrałem Esmę daleko od bazy operacyjnej Chaia. Zawiozłem ją do pewnej wioski na małej wyspce. Z powietrza zauważyłem ich kościół... Wylądowałem, podpłynąłem do zatoczki, a potem poszliśmy pieszo w górę...

Powiedziałem mieszkańcom tej wioski, że ona jest wdową i że to ja zabiłem jej męża. Że ponieważ odkryłem, że jest w ciąży, i w związku z tym już jej nie chcę. Jednak zamiast ją zabić, postanowiłem, że ma zostać w ich wiosce. Jeśli kiedykolwiek znowu ją zobaczę, zabiję jak psa. A potem wrócę i ich także pozabijam. Ale uprzedziłem lojalnie, że jeśli kiedyś przyjadę, a jej tam nie będzie, to też zapłacę za to życiem. Dałem jej trochę pieniędzy, które miałem dzięki uprzejmości Chaia. Nie za dużo, ale wystarczająco, żeby zapewnić jej łatwy start. A potem zszedłem na dół, wsiałem do hydroplanu i odleciałem. To wszystko.

Zaczął się śmiać.

- Chociaż nie, to jeszcze nie był koniec. Myślałem, że ponieważ byłem, no wiecie, ukochanym synem Chaia, jego ulubionym amerykańskim wyrzutkiem, to pośmiejemy się razem, kiedy powiem, jak zinterpretowałem polecenie, że mam się dziewczyny pozbyć. Powiedziałem, że właściwie jest jakby martwa, ponieważ już nigdy o niej nie usłyszymy.

Żeby się streszczać, dodam tylko, że Nusantara dostał białej gorączki. Chciał, żeby ona umarła, żądał dowodu, że nie żyje. Przypuszczam, że bał się jak cholera, że ona zjawi się pewnego dnia, przywożąc z sobą jego nieślubne dziecko, i że oskarży go o morderstwo. Jones pokręcił głową. - Wtedy wyszło na jaw, że Chai potrzebuje Nusantary do współpracy przy transporcie narkotyków, który miał właśnie wyruszyć w drogę. Chciał, żeby policja trzymała się z daleka od miejsca załadunku, więc musiał zadbać o dobry nastrój tego drania.

Chai kazał mnie pobić, czego właściwie mogłem się spodziewać. Ale nie powiedziałem mu, dokąd zabrałem tę dziewczynę. Nie dlatego, że chciałem zgrywać bohatera - dodał spokojnie, znów zwracając się do Molly. - W zasadzie spodziewałem się, że sytuacja może się tak rozwinąć, więc celowo postarałem się zataczać kręgi po wystartowaniu z tamtej wysepki, żeby nie mieć pojęcia, gdzie ona się znajduje. To znaczy ogólnie wiedziałem na jakim obszarze, ale... Powiedziałem im to. Chaiowi i Nusantarze. Ale miałem wrażenie, że przynajmniej Nusantara nie wierzy mi ani trochę. Niedługo potem zorientowałem się, że Chai zamierza mnie wrobić. Postanowił odesłać mnie do Stanów jako dezertera, co brzmiało jak kiepski żart, zważywszy na to, że pozostawiono mnie bez pomocy na trzy lata w tamtejszym więzieniu... W każdym razie wiecie już, o co chodzi. Heru Nusantara, bohater ludu, ma krew na rękach. Moim zdaniem musi ubiegać się o coś naprawdę ważnego. O stanowisko premiera, może prezydenta? Kogo oni tu mają w tej Indonezji? Nigdy nie zwracałem uwagi na takie rzeczy.

- Prezydenta - odparła Molly.

Musiała ścisnąć jego dłoń, trzymała ją zamkniętą między palcami w czasie całego opowiadania, ponieważ on na nią popatrzył. Próbował nawet się uśmiechnąć, ale w jego wzroku pozostał wyraz udręki.

- Mam wrażenie, że to wydarzyło się całe wieki temu - szepnęła. - Staram się nie myśleć o tamtych czasach.

Wypuścił z płuc powietrze i odwrócił się do Maksa.

- Przypuszczam, że teraz Nusantara chce załatwić wszystkie stare sprawy - powiedział. - Co o tym myślisz? Czy uważasz, że zwariowałem, czy...?

- Myślę... - odezwał się Max, nie odrywając wzroku od komputera - ... że Emilio sprzedał informację o ambasadzie amerykańskiej w Dżakarcie razem z ładunkiem broni, jakiejś wyjątkowo silnej komórce Al - Kaidy, która przywędrowała tu z Afganistanu w dwa tysiące pierwszym roku.

Mówiąc to, wyjął dyskietkę z komputera i wsunął na jej miejsce kolejną.

- Moim zdaniem ten skurczybyk wciąż żyje.

- Musimy to komuś powiedzieć - odezwała się Molly.

- Może temu pułkownikowi, który tutaj jedzie - zasugerowała Gina.

Jones chrząknął znacząco.

- Powiedźcie, co sądzicie o...

- Uważam, że nareszcie odkryłeś, kto cię ściga i dlaczego - przerwał mu Max. - Jak dotąd udało mi się znaleźć mocne powiązania pomiędzy Emiliem a Nusantara. Emilio dostawał od niego pieniądze za dystrybucję tych ulotek, chociaż - jak widać - nieszczególnie przykładał się do pracy. Zgadnijcie, ile wziął forsy za tę konkretną robotę?

- No, chyba sporo - zadrwił Jones. - Ile? Dziesięć, dwadzieścia kafli?

- A co byś powiedział na pół miliona dolarów? Amerykańskich? - spytał Max.

- O kurczę! - zawołała Gina. - Mówisz serio?

I nagle zrozumiała. Te pieniądze tak naprawdę były pierwszą częścią nagrody za ściągnięcie na tę wyspę Grady'ego Moranta.

- Czy to Nusantara mu płacił? - dopytywał się Jones. - Tak bezpośrednio?

- Nie. - Max pokręcił głową. - Był w to zaangażowany ktoś trzeci. Ktoś, kto nazywa się Ram Subandno. Mówi ci to coś?

Jones wyprostował się i oparł o tył krzesła.

- O, tak... - mruknął. Z jego miny Gina jasno widziała, że dźwięk te go nazwiska obudził w nim nieszczególnie miłe wspomnienia. - Pamiętacie, jak znaleźliśmy się w tym zasranym bunkrze, jak dowiedzieliśmy się o czołgu i tak dalej? No cóż, nasza łódź właśnie się wywróciła. Mój stary „przyjaciół” Ram Subandrio tak jak ja pracował kiedyś dla Chaia. Chai znalazł go w tym samym więzieniu co mnie, tyle tylko że Subandrio stał po drugiej stronie „elektrycznego pastucha”.

Ale Jones nie powiedział jeszcze wszystkiego. Najgorszą wiadomość zostawił na koniec.

- Z tego, co ostatnio słyszałem, Subandrio został pułkownikiem w pewnej specjalnej formacji tajnej policji.

Rozdział Dwudziesty drugi

- Powiedz mi tak zupełnie szczerze, czy naprawdę uważasz, że nas jutro nie zabiją? - spytała Gina, kiedy Max robił dla nich kolację. Oczywiście jeśli otwarcie puszki i nałożenie na talerzyk małej porcji tak lubianego przez Ginę gulaszu z małego mięsa można było określić mianem robienia kolacji.

Zaczęli racjonować zarówno wodę pitną, jak i żywność, co w ich sytuacji było może nieco zwariowanym pomysłem. No, chyba że widmo zbliżającego się czołgu okaże się zwyczajnym oszustwem.

- Nie sądzę, żebyśmy mieli jutro zginąć. Moim zdaniem, kiedy przy jedzie tu ten pułkownik, będę tylko musiał z nim ponegocjować i wszystko uda się rozwiązać w cywilizowany sposób.

Max podszedł do ogromnej torby z suchą karmą dla psa, otworzył ją i zaczął przeczesać palcami jej zawartość, sięgając aż do dna; bez wątpienia chciał sprawdzić czy przypadkiem w środku nie ukryto radia. Gina widziała, jak nabrał pełną garść kulek i je powąchał, a potem pokruszył na drobne części.

Na widok zde gustowanej miny Giny uśmiechnął się i wyciągnął w jej kierunku otwartą dłoń.

- Nie, chyba jednak dziękuję. - Pokręciła głową.

- To wcale nie jest takie złe.

- Zaczekam, aż nie będę miała wyjścia - odparła, ale ruszyła w jego kierunku przywabiona uśmiechem, który nie zniknął z jego ust, i pełnym ciepła spojrzeniem.

Niespokojne, drgające światło z monitorów padało na jego twarz z ukosa. Poza migoczącą świeczką ustawioną na stole było to jedyne źródło światła w pokoju.

Max sprawiał wrażenie wyczerpanego. I zestresowanego zawartością szaf Emilia, która ciągle walała się po kuchennej podłodze. Gina widziała, jak bardzo jest nieszczęśliwy z powodu trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Zdążyła już poznać go wystarczająco, by wiedzieć, że oblężenie i całkowita utrata kontroli nad biegiem wydarzeń musiały doprowadzać go do rozpacz.

Gdyby nawet go namówiła, żeby zrezygnował z przekąski i znalazł pokój wyposażony w drzwi i wygodne łóżko, to i tak zdrzemnąłby się najwyżej na krótką chwilę. Za moment znów byłby na nogach i siedziałby - ostrożnie, bo zoperowany pośladek bolał go

bardziej, niż chciał się przyznać - gapiąc się na stos bezużytecznych gratów, które znaleźli w tych wszystkich szafach i schowkach.

Siedziałby bez ruchu i starał się ustalić, co ważnego mu umknęło. Albo jak powinien wykorzystać ten zbiór przypadkowych rzeczy, który znajduje się w każdym normalnym gospodarstwie domowym, żeby skonstruować z nich nadajnik.

- Nie myśl sobie, że nie zauważyłam, jak wykręcasz się od odpowiedzi na pytanie, jakie ci zadałam - oświadczyła.

- Przecież ci odpowiedziałem - odparł, a ponieważ była już blisko, wyciągnął ramiona, żeby ją przytulić.

Patrzył na nią w taki sposób, o jakim zawsze marzyła. Jakby już nie bał się dać jej do zrozumienia, jak bardzo ją kocha. To było coś cudownego. A właściwie mogłoby być, gdyby nie otaczali ich uzbrojeni żołnierze, którzy mieli za zadanie ich zabić.

Objęła go i pocałowała, bo nie mogła dłużej opierać się pokusie. Jego usta były ciepłe i pełne słodczy, ale nie, nie miała zamiaru pozwolić, żeby rozproszył w ten sposób jej uwagę.

- Wcale nie odpowiedziałeś - rzekła buńczucznie. - Pytanie brzmiało, czy możesz szczerze mi powiedzieć. To wymaga jednej prostej odpowiedzi „tak” albo „nie”.

Znowu ją pocałował. Tym razem dłużej i bardziej leniwie. Jakby ta armia czekająca na zewnątrz wcale go nie przerażała.

Może rzeczywiście tak było. Może ta sytuacja jedynie budziła w nim wściekłość. Może ona była tu jedyną osobą, która czegoś się bała. Max nigdy dotąd nie znalazł się w podobnych okolicznościach, zwykle to on trzymał w ręku megafon.

- Lepiej darujmy sobie tę kolację - powiedziała bez tchu - i poszukajmy jakiegoś pokoju z drzwiami.

Odsunęła się gotowa pociągnąć go w głąb holu, ale on jej nie puścił.

- Tak, będę całkiem szczery - oznajmił, jakby wiedział, że jej nagła chęć, by się z nim kochać, częściowo wynika z obaw, iż to ich ostatnia wspólna noc. Że to ich ostatnia noc na ziemi. - Obiecuję. Naprawdę nie uważam, że tamci jutro nas pozabijają.

Obdarzył ją następnym uśmiechem, ale ten uśmiech szybko zbladł.

- Jedynym powodem, dla którego się tu znaleźliśmy, jest Grady Morant - dodał.

I znowu nie była to konkretna odpowiedź.

- On jest dobrym człowiekiem - powiedziała pospiesznie Gina. -
Być może robił w swoim czasie złe rzeczy...

- Bardzo złe - zgodził się Max.

- Ale najpierw to jemu ktoś wyrządził krzywdę - zauważyła. -
Zostawiono go bez pomocy, na pewną śmierć... Żeby zgnił w tamtym
więzieniu torturowany przez ludzi, którzy nie znali litości. I to trwało
przez całe trzy lata. Czy ty masz pojęcie, Max...

- Tak - przerwał jej. - Mam pojęcie.

Molly opowiedziała jej kiedyś co nieco - naprawdę niewiele - o
gehennie, jaką przeszedł Jones. Bicie, znęcanie się zarówno fizyczne,
jak psychiczne... Gina na samą myśl o tym dostawała gęziej skórki.

- Więc twoim zdaniem tamte przeżycia usprawiedliwiają fakt, że
zaczął pracować dla Chaia? - spytał lodowatym tonem.

Gina nie zastanawiała się długo. Chai wyciągnął Jonesa z tamtego
piekła i sprawił, że tortury się skończyły.

- Tak - powiedziała po prostu.

Max skinął głową.

- Widzę, że szykuje się nam bardzo interesująca dyskusja na
temat etyki.

- Tu nie chodzi o etykę. - Gina odsunęła się od Maksa, dała krok
nad stertą papieru i podeszła do blatu, gdzie wciąż stały talerze z ich
kolacją. - Tu chodzi o życie człowieka.

- Taak... - mruknął Max. - Możesz mi wierzyć albo nie, ale ja
naprawdę go polubiłem. A to już coś znaczy, bo na początku było
wręcz przeciwnie. Tylko nie jestem tak przekonany jak ty, że można
mu odpuścić dawny styl życia i pracę dla grupy przestępczej.

- Proszę, nie oddawaj go pułkownikowi i temu Nusantarze -
poprosiła Gina. Wyjadała właśnie resztki jedzenia, które odłożyli dla
Jonesa i Molly. W tym upale nie mogło długo stać, a było jasne, że
tamci nie zejdą na posiłek. Odkąd odłączyli lodówkę od prądu,
temperatura wewnątrz niej była zaledwie o stopień niższa niż w
pokoju. - Jeśli on twierdzi, że mają zamiar go zabić, to na pewno to
zrobią.

- Wydaje się, że jest skłonny się poświęcić.

Gina wręczyła mu talerz i widelec.

- On naprawdę kocha Molly.

- Wierzę - odparł Max. - Jest nawet gotów umrzeć dla niej.

- Boże, co to za cholerna głupota! - zawołała Gina. - Umrzeć dla kogoś! Chcesz być prawdziwym bohaterem? To wymyśl jakiś sposób i uratuj życie osoby, którą kochasz, a także swoje. A potem spędź resztę życia, harując jak wół, żeby twój związek przetrwał i miał się dobrze. Umierać jest cholernie łatwo. To życie jest prawdziwym wyzwaniem.

Max bez słowa skinął głową i oboje zaczęli jeść gulasz. Na stojąco, nie ruszając się z miejsca. Był zimny i lekko tłustawy.

- Wiesz co, żarcie psa jest lepsze - powiedział Max i Gina wybuchnęła śmiechem.

- Och tak, założę się, że masz rację. - Wylizała talerz do czysta. - Chciałam powiedzieć, żebyś nigdy nie wpadł na pomysł, by dla mnie umierać, ale zmieniłam zdanie. Teraz ci powiem, żebyś w ogóle nigdy nie umierał.

Max uśmiechnął się.

- Kocham cię - powiedział.

Tym razem wcale nie wyglądał na urażonego. Jakby sam pomysł nie wydawał mu się odstręczający.

Jakby był czymś absolutnie surrealistycznym.

- Co się właściwie stało? - spytała, kiedy on także zaczął wylizywać talerz.

Gina nie zrobiła tego, żeby zasugerować wylizywanie jako zastępczą formę mycia talerzy. To po prostu wydawało jej się najlepszym wyjściem, bo musieli jakoś sobie radzić z brakiem jedzenia i wody do zmywania. Ale kiedy Max zaczął to robić, nie potrafiła myśleć o niczym innym jak tylko o tym, żeby znaleźć pokój z drzwiami, które można zamknąć. Nigdy dotąd żółtozielone szorty nie wydawały jej się tak ponętne. Odchrząknęła i sprecyzowała pytanie.

- Między tym, jak mnie zostawiłeś, a chwilą, kiedy zdecydowałeś... no wiesz... że chcesz, żebym za ciebie wyszła. Co się zmieniło?

- Po prostu przekonałem się, jak bardzo za tobą tęsknię - powiedział.

Gina rzuciła na niego pospieszne spojrzenie i ukradkiem zaczęła wycierać brzegiem ubrania talerze i oba widelce. Jej matka, fanatyczka higieny, chyba padłaby z obrzydzenia, ale przecież jej matka nigdy nie znalazła się w obłęzionym domu.

- Tylko tyle? Żadnych rewelacji w stylu, jak to Abraham Lincoln, Walt Whitman i Elvis razem wzięci postanowili cię oświecić i kazali ci mnie poszukać? A właściwie... Jak to się stało, że mnie znalazłeś?

Uśmiech Maksa wyraźnie się poszerzył i gdyby Gina umiała udawać, że nie dostrzega napięcia, jakie mu towarzyszyło, zapewne by uwierzyła, iż Max byłby całkiem szczęśliwy, gdyby mógł stać tak przez całą wieczność i patrzeć jej w oczy.

- Jak w ogóle mogłem przypuszczać, że potrafię żyć bez ciebie? - dziwił się na głos.

To były słowa, których nigdy nie spodziewała się usłyszeć, chyba że w marzeniach sennych. Serce zabiło jej nieco mocniej, a uśmiech Maksa sprawił, że o mały włos się nie przewróciła. Boże, jeszcze nie zdążyła się przyzwyczaić do sposobu, w jaki teraz na nią patrzya.

- No cóż, od lat ci to powtarzałam. - Gina skrzyżowała ramiona i oparła się plecami o blat kuchenny.

Z miejsca, gdzie stała, doskonale widziała stół. Ten widok obudził w niej świeże wspomnienia, a to plus uśmiech Maksa, jego oczy, ręce, usta, żółtozielone szorty oraz sposób, w jaki wylizywał talerz, sprawiło, że niemyślenie o seksie stało się wręcz niewykonalne. Ale gdyby Molly albo Jones zeszli na dół i znów zastali ich w jednoznacznej sytuacji, to chyba spaliłaby się ze wstydu.

- Więc w jaki sposób mnie znalazłeś? Czy Jones zadzwonił do ciebie, czy...?

- Prawdę mówiąc, nie. - Max także oparł się o blat, ostrożnie, by nie urazić siedzenia. Skrzywił się nieco z bólu, ale oczywiście natychmiast postarał się to ukryć. - Ja już byłem wówczas w Hamburgu.

- Ach, tak. Ten zamach terrorystyczny - przypomniała sobie Gina. - Widziałam wiadomości w telewizji. Telewizor działał, kiedy tu przyjechałyśmy... Zanim Armia Ciemności zestrzeliła talerz satelity. To właśnie dlatego byłeś w Niemczech, zgadza się?

- W pewnym sensie. - Zamilkł na dłuższy czas, a potem dokończył. - Twoje nazwisko było na liście ofiar tego ataku.

Gina wyprostowała się jak struna.

- Co takiego? - szepnęła przerażona.

- Pojechałem do Hamburga, żeby zidentyfikować twoje ciało - powiedział beznamiętnym tonem zawodowego negocjatora. Ale wyraz jego oczu nie był ani beznamiętny, ani chłodny. - Okazało się, że twój

paszport miała przy sobie jakaś obca kobieta. Kiedy porzuciłaś go u tych fałszerzy, terroryści odpowiedzialni za tamten zamach znaleźli go i...

Gina z wrażenia nie mogła złapać oddechu.

- Nie chciałam, by Emilio się zorientował, która z nas to Molly - wy jaśniła. Ciągle nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. - Max, czy ty na prawdę myślałeś, że ja nie żyję?

Kiwnął głową, ale niepotrzebnie się trudził, bo i tak odpowiedź wyczytała w jego oczach.

- To było jak objawienie, tyle że innego rodzaju. Twoje ciało leżało na tamtym stole i... Musiałem wejść do tego pomieszczenia... To znaczy do kostnicy, która znajduje się na lotnisku... - Jego głos drżał. Naprawdę drżał. - Tylko na szczęście okazało się, że to nie byłaś ty...

Ale wchodząc tam, był przekonany, że to ona. Ktoś mu powiedział... Podbiegła do niego, a on chwycił ją w ramiona i zamknął w mocnym uścisku.

- Jak długo? - wyszeptała, ale on zrozumiał.

- Prawdę poznałem dopiero po dwudziestu czterech godzinach. - Zmusił się do uśmiechu. - To był naprawdę zły, bardzo zły dzień.

- Tak mi przykro - powiedziała cicho. O mój Boże... - A moi rodzice?

- Oni z początku o niczym nie wiedzieli - zapewnił szybko Max i delikatnie pogładził ją po policzku, jakby wciąż nie mógł tak do końca uwierzyć, że Gina żyje.

W jakiś sposób wiedziała, co on czuje. Usiadła obok szczęśliwa, że jest blisko. Tak samo siadywała całymi dniami w szpitalu, wtedy kiedy Max o mało nie umarł.

- Potem Jules pilnował, żeby byli o wszystkim informowani na bieżąco - mówił dalej. - Oczywiście dopóki nie straciliśmy komórek.

Jules.

Było jasne, że Max też o nim pomyślał. Mięśnie na jego twarzy poruszyły się, kiedy zacisnął szczęki.

- Gina... - odezwał się, przyciągając ją i biorąc za ręce. - Wiem, powiedziałaś, że mnie kochasz. Takiego, jaki jestem... Nie dalej jak ostatniej nocy rozmawialiśmy z Julesem i mówiłem mu wtedy, że boję się, by cię nie skrzywdzić. Że nie chcę, żebyś... Żebyś musiała żyć tak jak ja, w moim świecie, razem z... Ze wszystkimi moimi bzdurnymi

sprawami... Nie mogę obiecać, że twoje życie będzie usłane różami. Mogę tylko powiedzieć, że będę się starał... Kiedyś mnie oskarżyłaś, pamiętasz, że nie próbuję nawet... - Pokiwał głową. - I miałaś rację. Ale też zawsze powtarzałaś, że ja z tobą nie rozmawiam i...

- Nie miałam racji - przerwała mu łagodnie i splotła swoje palce z jego.

- I tak rozmawiałem z tobą więcej niż z kimkolwiek na świecie - przyznał. - Nie jestem podobny pod tym względem do Julesa. On naprawdę potrafi... potrafi docierać do ludzi. Szybko nawiązywać z nimi kontakty na bardzo osobistej płaszczyźnie. Siedziałem naprzeciw niego zeszłej nocy i dziękowałem Bogu, że on jest gejem, bo inaczej wy dwoje już dawno byście razem uciekli. A ja po prostu... Są rzeczy, o których nie jest mi łatwo mówić. Jeśli więc tego ci potrzeba, to...

Gina nie zdołała opanować ataku wesołości.

- Kiedy poznałam Julesa, byłam już po uszy zakochana w tobie. I nie miało najmniejszego znaczenia, czy on jest gejem, normalnym facetem czy kimkolwiek innym. Kocham ciebie. I tylko ciebie pragnę. I proszę, przestań mówić o Julesie tak, jakby go już nie było. Nie wiemy na pewno, co się z nim dzieje.

Może i nie, ale Max mocno podejrzewał, że jednak on wie. Gina łatwo mogła to dostrzec w jego oczach.

- Ja też kochałem cię już od bardzo, bardzo dawna - przyznał. - Chyba od momentu, kiedy zapytałaś mnie, czy jestem dozorcą. - Zaśmiał się cicho, kręcąc głową.

- Co takiego? Kiedy...? - Gina nie miała pojęcia, o czym on mówi.

- To była pierwsza rzecz, jaką powiedziałaś do mnie przez radio, kiedy byłaś na pokładzie porwanego samolotu - przypomniał jej Max. - Spytałem, czy wszystko z tobą w porządku, a ty chciałaś koniecznie wiedzieć, czy jestem może stróżem na lotnisku, bo zadaję takie głupie pytania. To znaczy głupie, biorąc pod uwagę okoliczności.

- W ogóle tego nie pamiętam.

- A ja tak - odparł. - I pamiętam, jak pomyślałem, że jesteś chyba najodważniejszą kobietą pod słońcem, skoro zrobiłaś to, co zrobiłaś. Przeżyłaś swoje, a jednak ciągle potrafiłaś żartować i... I nie bałaś się dalej żyć - przerwał na moment. - I wybaczyłaś mi, że pozwoliłem, by to się zdarzyło.

- Pozwoliłeś na to akurat w tym samym stopniu co ja - oświadczyła kategorycznie.

Boże, proszę, nie pozwól mu znów drążyć tego tematu!

- Wiem. Ale to nie powstrzymało mnie przed roztrząsaniem tego, co zrobiłem. Były sprawy, które mogłem załatwić całkiem inaczej. To jednak była ryzykowna gra. Wiedziałem o tym. - Popatrzył w dół na ich splecione ręce. - Straciłem tyle czasu, myśląc, co by było, gdybym zrobił to albo tamto. Gdybym to zrobił inaczej albo tamto zamiast tego...

- Gdybyś cokolwiek zrobił inaczej, niż zrobiłeś... - przerwała mu Gina - ... to ja pewnie bym zginęła, a nie tylko...

- Wiem - przerwał jej. - Wszystko to wiem. I zawsze wiedziałem. Logicznie rzecz biorąc, wszystko, co zrobiłem, miało sens. Ale nie potrafiłem przestać o tym myśleć. - W oczach Maksy błysnęły łzy. - A potem... Potem powiedziano mi, że nie żyjesz - wykrztusił z trudem. - Że zostałaś zabita w ataku terrorystycznym w Hamburgu.

Przełknął ślinę.

- Myślałem, zanim jeszcze to się stało, że spokojnie poczekam, aż wrócisz. Liczyłem na to, że pewnego dnia jakiś zmysł podpowie ci, żebyś z powrotem wepchnęła się do mojego życia. Aż tu nagle wybuchła bomba i ten dzień odpłynął w wieczność. Ty odeszłaś do wieczności. Na zawsze.

- Och, Max... - wyszeptała bez tchu.

- I nagle wszystko przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nic się nie liczyło. Ani to, co powinienem zrobić cztery lata wcześniej, ani to, co mogłem zrobić... Obchodziło mnie tylko to, czego nie zrobiłem w zeszłym roku, kiedy jeszcze miałem szansę. Bo nie powiedziałem, jak bardzo cię kocham, ani nie przyznałem, że pragnę, byś była częścią mojego życia, zakładając, że byłabyś na tyle szalona, by ze mną wytrzymać.

Gina nie mogła nic na to powiedzieć, ponieważ czuła niezdolny ucisk w gardle. Podniosła jedynie do ust jego rękę i ją ucałowała. Jego palce, jego dłoń. Pogładził ją po policzku, a kiedy podniosła oczy, ujrzała w jego wzroku tyle miłości, że aż zabrakło jej tchu.

Miłości i pożądania.

To trochę go zawstydziło albo może doszedł do wniosku, że w tak podniosłej chwili nie wypada o tym wspominać, bo chociaż uśmiechnął się, był smutny i zaraz odwrócił wzrok.

- Wiesz, uwielbiam, kiedy patrzysz na mnie tak jak teraz - wyszeptała.

Poszukał oczami jej oczu... Och tak, zdecydowanie nadszedł czas, żeby rozejrzeć się za jakimś pokojem. Z drzwiami. Co do łóżka, to naprawdę nie było konieczne.

Tylko że...

- O cholera - powiedziała. - Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

Ale zanim zdążyła otworzyć usta, niebieskawe światło monitorów zamrugało, a potem zgasło.

- To generator - powiedział cichutko Jones, żeby nie obudzić żony, która spała w sąsiednim pokoju. - Benzyna się skończyła.

Widział, jak Gina odetchnęła z ulgą, kiedy dowiedziała się, że to nie było w żaden sposób związane z działaniami czekających na zewnątrz żołnierzy, że na przykład nie zniszczono wszystkich kamer, co stanowiłoby zapowiedź o wiele gorszego nocnego ataku, który dla oblężonych mógłby skończyć się fatalnie.

- Nie sądzę, żeby oni wiedzieli, że mamy kamery. - Max użył lornetki, by popatrzeć z piętra na wojsko koczujące na przeciwnym krańcu placu.

Można by spróbować umknąć pod osłoną nocy i w ten sposób uniknąć niebezpieczeństwa.

To była najbardziej sensowna koncepcja spośród tych, które dziś rozważali, kiedy zastanawiali się nad sposobem ucieczki lub powiadomienia przyjaciół czy sprzymierzeńców.

Niektóre z pomysłów były wręcz głupie, głównie dzięki wysiłkom Molly, która mimo że martwiła się o Jonesa, to wciąż starała się dbać o dobry humor całego towarzystwa.

Mieli mnóstwo pudełek wypełnionych papierem do kserokopiarki. Mogli zrobić z nich tysiące małych samolocików z napisem „Help!” i wypuścić je z okien.

Czy mogli próbować przedrzeć się jakoś przez tunel? Może wykopać inną drogę prowadzącą na powierzchnię? To wydawało się raczej nierealne; trzeba by raz jeszcze zejść na dół i dokładnie przyjrzeć się konstrukcji. Jones zdobył się na ten wysiłek, ale wracając, pokazał obecnym kciuki skierowane w dół.

Dwie osoby mogły spróbować odwrócić uwagę żołnierzy, podczas gdy dwie inne wsiadłyby do impali i spróbowały przedrzeć się przez kordon.

Tyle tylko że wóz - i każdy, kto znalazłby się w środku - błyskawicznie zostałyby podziurawiony tysiącami pocisków.

Ta sugestia - tak samo jak pomysł, żeby spróbować szczęścia z o wiele mniejszą grupą żołnierzy czekających przy wyjściu z tunelu - powędrowała do teczki ze złymi pomysłami.

Molly zaproponowała śpiewanie karaoke. Emilio miał płytę z podkładami Whitney Houston. Gdyby we czworo wspólnie wykonali Will Always Love You, to z pewnością żołnierze rozproszą się i zaczną z krzykiem uciekać.

Ale urządzenie do karaoke było zasilane prądem, a prądu używali już wyłącznie do komputera i monitorów kamer, biorąc pod uwagę - a było to jakiś czas temu - że generator miał mały zapas paliwa.

Taak... Właśnie dlatego był to całkiem durny pomysł.

Niemniej spowodował wybuch szczerego śmiechu, który tak bardzo był im potrzebny.

Wtedy Gina zasugerowała, że powinni zacząć strzelać, by ściągnąć czyjąś uwagę. Gdyby strzelali bez przerwy przez dłuższy czas - wszystko jedno, w powietrze czy na ulicę - to ktoś mógłby się zainteresować, co tu się dzieje. Albo przynajmniej wspomnieć komuś z kręgów ambasady amerykańskiej, że chyba na wyspie Meda rozgrywa się regularna bitwa.

A będzie jeszcze lepiej, jeśli uda się im strzelać w określonym rytmie.

Najwyraźniej Gina miała jakiegoś przyjaciela służącego w SEAL, który w podobnych okolicznościach tak rozłożył w czasie serię wybuchów, że utworzyły one rytm Shave and a Haircut - bum, da, da, bum, bum - bo miał nadzieję, że usłyszy je któryś z kolegów i pospieszy mu z pomocą.

Oni zaś mogli wybrać jakiś utwór, dzięki któremu natychmiast zidentyfikowano by ich jako Amerykanów. Na przykład Take Me out to the Bali Game albo The Star - Spangled Banner, albo Hit Me Baby One More Time. Efekt byłby mniej więcej taki, jakby utworzyli najbardziej donośną sekcję perkusyjną na świecie.

Zwykle nadawanie morsem sygnału SOS wydawało się mniej widowiskowe, ale również mogło przynieść pożądany skutek.

Albo, wymyślił Max, kiedy przyjedzie pułkownik, oddadzą mu dyskietkę z informacją o zbliżającym się ataku na ambasadę amerykańską w Dzakarcie. Zapisał na niej także wiadomość o ich przymusowym pobycie w domu Emilia.

Przy odrobinie szczęścia ta dyskietka powinna trafić w odpowiednie ręce.

Ale jak dotąd szczęście im raczej nie sprzyjało, zauważył Jones. Jego zdaniem powinni zacząć się zastanawiać, w jaki sposób wykorzystać jego osobę jako kartę przetargową.

Molly skoczyła jak oparzona, bo zrozumiała, że Jones chce namówić Maksa na oddanie go w ręce pułkownika. Natychmiast wysunęła żądanie, aby Max obiecał jej, że taka możliwość w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Oczywiście Max nie miał zamiaru składać obietnic, których mógłby nie dotrzymać, więc Molly po raz drugi tego dnia na znak oburzenia demonstracyjnie wyszła z pokoju.

Jones ruszył za nią.

Wściekła Molly odmówiła jakiegokolwiek rozmowy, ale zabrała Jonesa do łóżka, gdzie widok jej obandażowanej po biopsji piersi na nowo rozbudził w nim wyrzuty sumienia.

Na koniec Molly zalała się łzami, co do reszty złamało mu serce.

Zapadła w kamienny sen tuż przed zachodem słońca, trzymając go mocno w objęciach, jakby nigdy nie miała zamiaru pozwolić mu odejść.

Wkrótce zapadła ciemność, ale ucieczka pod osłoną nocy nie wchodziła już w rachubę.

Ktoś inny przejął kontrolę nad sytuacją. Na plac wjechały trzy jeepy. Stały nieruchomo z pracującymi silnikami, a ich reflektory skierowane były na front domu. Miały włączone światła przeciwmgielne, a to oznaczało, że zniszczenie reflektorów wymagało użycia nie sześciu pocisków, lecz dwunastu. Co za cholerny pech.

Max nie spuszczał oka z monitorów; powiedział Jonesowi, że przy wyjściu z tunelu dzieje się chyba to samo, chociaż trudno jest mu stwierdzić, czy stoi tam jeden jeep czy kilka.

I dopóki kamery działały...

Ale teraz były wyłączone, a Jones i Max musieli wrócić do starych metod obserwowania poczynań wroga.

- Ty bierzesz pierwszą wartość czy ja? - spytał Jones.

Max trzymał w ręku lornetkę, ale już przez nią nie patrzył. Zamiast tego gapił się na ścianę, marszcząc przy tym brwi.

Okay. Całkiem możliwe, że ten facet z braku snu zaczynał mieć halucynacje, więc Jones podjął decyzję sam.

- Ja będę czuwał pierwszy - oznajmił. - Ostatecznie jestem bardziej wypoczęty.

Popatrzył na Ginę.

- Dopilnuj, żeby on się choć trochę przespał.

Ale Max nie wypuścił z rąk lornetki.

- Hej, zaczekaj - powiedział. - Chyba wiem, jak nas stąd wszystkich wydostać.

Max odwrócił się do Jonesa i wówczas stało się jasne, że cały czas nie tracił ostrości widzenia. Może był zmęczony, ale wciąż wszystko bacznie obserwował.

- Muszę z powrotem nawiązać łączność z oficerem odpowiedzialnym za akcję - oznajmił stanowczo. - Daj walkie - talkie i pomóż mi go obudzić.

- Molly, Mol...

Obudziwszy się, ujrzała, że to Gina delikatnie potrząsa jej ramieniem. Światło świecy rzuciło roztańczone cienie na ściany pokoju i mroczną twarz przyjaciółki. Molly zacisnęła kurczowo dłonie na skraju prześcieradła, bo przeszył ją nagły lęk, kiedy przekonała się, że Jonesa nie ma w łóżku.

- Co się stało? - zapytała z przerażeniem w głosie. - Gdzie jest Grady?

- Nic złego, naprawdę - zapewniła ją Gina. - On i Max mają zamiar trochę namieszać, strzelając w powietrze, więc nie chciałam, żebyś się obudziła i pomyślała, że to atak.

Przez chwilę poczuła ulgę, która jednak zaraz zniknęła bez śladu, kiedy do ich uszu doleciał terkot broni maszynowej. Choć Molly się tego spodziewała, to i tak podskoczyła ze strachu. Ten odgłos doprowadzał ją do obłądu. Boże, cóż to za straszliwy dźwięk. Chwycała dłoń Giny i siedziały przytulone do siebie, starając się powstrzymać drżenie.

Molly wiedziała, że Gina też nienawidzi terkotu karabinów.

Ale tym razem Max i Grady wysyłali w powietrze sygnał SOS; Molly rozpoznała rytm.

Gina zauważyła jej pytające spojrzenie i skinęła głową.

- Tak, chcę upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu! - krzyknęła, żeby Molly mogła ją usłyszeć ponad tym piekielnym łoskotem.

Nagle zapadła cisza. Trwała dosłownie kilka chwil i znów Max i Jones powtórzyli całą sekwencję.

Molly mogła tylko sobie wyobrazić, jak to słyhać przy otwartych drzwiach.

- Co się dzieje? - spytała Giny, kiedy przedłużająca się cisza zdawała się dźwięczeć im w uszach.

- Max ma zamiar negocjować z tym oficerem, który tu dowodzi - powiedziała Gina. - Wiesz, że znalazł na dyskietkach wiadomość o planowanym ataku na ambasadę?

Na amerykańską ambasadę w Dżakarcie. Molly skinęła głową.

- Max nie zamierza przekazywać nikomu tych informacji, które są na dyskietce - mówiła dalej Gina - ale modli się, żeby trafiła ona do kogoś, kto będzie umiał odcyfrować wiadomość o tym, że wzywamy pomocy. Za to tutejszemu oficerowi powie, że wiemy coś na temat zbliżającego się ataku terrorystycznego. Jeśli komendant zapragnie poznać szczegóły, będzie musiał sprowadzić tu kogoś z naszej ambasady, żeby pomógł w negocjacjach.

Wielki Boże...

- Kiedy w sprawę zaangażują się Amerykanie, zniknie obawa, że zostaniemy zastrzeleni zaraz po poddaniu się - ciągnęła Gina. - Grady'ego aresztują, to pewne, ale będzie w areszcie amerykańskim. To chyba lepsze, niż gdyby miał zginąć.

Molly znów skinęła głową. Bez wątpienia Gina miała rację.

- W zasadzie Max pozostawia temu oficerowi wolny wybór. Jeśli odda Grady'ego Amerykanom, Nusantara i jego tajemniczy pułkownik prawdopodobnie nieźle się wkurzą, prawda? Ale jeśli zatrzyma dla siebie tę informację, a ambasada rzeczywiście zostanie zaatakowana...

- To mogą zginąć niewinni ludzie - dopowiedziała Molly.

Nienawidziła samej myśli o tym, co może się stać.

- Tak - zgodziła się Gina. - Max chce, żeby on tak właśnie uważał. Tak samo, żeby wziął pod uwagę fakt, że z pewnością wyjdzie na jaw, iż wiedział o tym wcześniej i zupełnie nic nie zrobił. Bo o wszystkim przecież będą wiedzieć adiutanci i tłumacz. Ludzie odkryją prawdę i oskarżenie padnie na jedną osobę. Zawsze tak się dzieje. Ta sprawa rzuci cień również na Nusantarę i pułkownika. Właśnie teraz Max rozmawia z tym oficerem, bo chce mu jasno dać

do zrozumienia, że powinien skontaktować się z Nusantarą i powtórzyć to, co usłyszał. Bo Nusantara będzie musiał dokonać wyboru. A co może bardziej zaszkodzić mu w karierze politycznej? Oskarżenie o morderstwo rzucone przez zbrodniarza o zaszarganej reputacji czy fakt, że nie powstrzymał w porę ataku terrorystycznego, bo wolał załatwić prywatne porachunki?

Zbrodniarz o zaszarganej reputacji...

Gina zawsze potrafiła w lot odczytywać myśli Molly.

- Wiesz przecież, że wcale tak o nim nie myślę, prawda? Staralam się tylko, żeby zabrzmiało to jak najbardziej wiarygodnie.

Jak na sygnał Jones wsadził głowę przez uchylone drzwi.

- Spóźniliśmy się - powiedział stanowczo. - Ambasadę zaatakowano wczoraj.

- W impali jest jeszcze zapas benzyny - zauważył Jones.

Molly obrzuciła go poważnym spojrzeniem.

- No dobrze, ale kto pójdzie do garażu, żeby ją przynieść?

- Posłuchaj, Mol...

- Przestań z tym „posłuchaj, Mol”! Mam tego dość! - wrzasnęła na cały głos. - Sam mi mówiłeś, że garaż nie jest wzmocniony! I że to niebezpieczne w ogóle otwierać tamte drzwi! Jeśli ktoś tam wyjdzie....

- Uspokójcie się - powiedział łagodnie Max.

Trzymając przy oczach lornetkę, przesunął wzrokiem po oblegającej ich armii. Wszędzie panował spokój, a żołnierze szykowali się do snu.

- Ja chciałem tylko zaznaczyć, że w impali jest benzyna, a my potrzebujemy benzyny, żeby uruchomić generator... - dorzucił Jones.

Wszyscy zgromadzili się we frontowym pokoju na piętrze; siedzieli na podłodze, tak żeby nie znaleźć się w zasięgu okna. Poza Maksem, który stał z boku przy drzwiach.

Podczas ostatniej tury negocjacji Jones poszedł do łazienki i przyniósł z apteczki lusterko. Zdołał ustawić je tak, że dzięki niemu mogli zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz, bez konieczności narażania się na ewentualny atak snajpera.

- Gdybyśmy znów uruchomili komputer... - mówił dalej Jones
- ... może udałoby się nam znaleźć coś ciekawego na którejś z pozostałych dyskietek.

- Chyba to ja powinnam pójść po benzynę - odezwała się Molly.

Cholera! Gdyby Max miał w zasięgu ręki czworo obłączonych przestępców, na pewno nie siedziałby z założonymi rękoma, szykując się do drzemki.

Trzymałby ich przy radiu i zmuszał do mówienia. Staralby się tak działać, żeby wciąż musieli być w gotowości i nie mieli czasu na sen. Dodatkowo zapewniłby im stałą dawkę decybeli albo głośną kakofoniczną muzykę, albo inne drażniące dźwięki nadawane przez głośniki, względnie powtarzające się w nierównych odstępach czasu serie strzałów.

Ta ospałość po obu stronach barykady była doprawdy czymś zabawnym.

Chyba że informacja o nadjeżdżającym czołgu nie była blefem.

- Co takiego, ty chcesz odciągnąć paliwo ze zbiornika impali? - spytał Jones.

- Wiem, jak się to robi. - Molly wydawała się szczerze oburzona, że mógł sądzić inaczej.

Max popatrzył na jeepy, na ich oślepiająco jaskrawe reflektory. Ocenił odległość i zaczął czynić jakieś obliczenia. Dwanaście reflektorów. Ile czasu mogło trwać rozwalenie wszystkich, licząc od pierwszego strzału? Dwanaście strzałów, podzielone między dwóch strzelców...

- Wiecie przecież, że możemy pomóc - Molly zwróciła się błagalnym tonem zarówno do Jonesa, jak i Maksa. - I Gina, i ja. Nie jesteśmy czymś... czymś w rodzaju worków kartofli, żebyśmy miały siedzieć i czekać, aż mężczyźni nas uratują. My także umiemy co nieco. Ja na przykład od pewnej zakonnicy, którą zmusiły do tego okoliczności, nauczyłam się podczas pobytu w krajach Trzeciego Świata odciągać benzynę. Ona przypuszczalnie mogłaby was nauczyć paru ciekawych rzeczy, na przykład jak się robi szwindle na czarnym rynku.

A gdyby strzelców było trzech...

- Potrafisz strzelać do celu? - przerwał jej Max.

Molly zamrugnęła ze zdziwienia.

- Masz na myśli strzelanie z pistoletu?

- Z karabinu - sprecyzował.

Pokręciła głową.

- Niestety, używanie tych kijów do zabijania nie jest moją specjalnością. Za to jestem niezła w rzucaniu strzałkami w balony.

Ach tak, i jeszcze w doprowadzaniu mojego męża do białej gorączki. W tym naprawdę jestem dobra.

- Gina? - spytał Max, choć w zasadzie znał odpowiedź.

- Przykro mi... - odparła cicho.

- Ty wcale mnie nie denerwujesz - powiedział do Molly Jones. - Wręcz przeciwnie, budzisz we mnie zachwyty. No chodź, powinnaś wrócić do łóżka. Dosłownie padasz z nóg. Jak w ogóle możesz stroić sobie żarty z...

Kiedy Molly i Jones wyszli z pokoju, a odgłosy ich sprzeczki umilkły w korytarzu, Gina przysunęła się bliżej Maksa. Usiadła na podłodze pod oknem i oparła się plecami o ścianę. Następnie palcami stopy przysunęła poduszkę, której wcześniej używał Max, i ułożyła ją obok siebie - jak milczące zaproszenie, żeby przyszedł i usiadł.

- Co miałeś na myśli? - spytała.

Max wzruszył ramionami.

- Myślałem, że moglibyśmy zniszczyć reflektory, ale to się nam nie uda. Za dużo ich. Ja dobrze strzelam, ale jednak nie tak jak Alyssa Locke. - Zerknął w dół na Ginę. - Ona jest strzelcem wyborowym, wiedziałaś o tym?

Oczywiście, że Gina wiedziała. Alyssa pomagała odzyskać kontrolę nad porwanym samolotem. To właśnie ona była jednym ze snajperów, którzy wysłali na tamten świat terrorystów zgromadzonych w kokpicie, gdzie przetrzymywano Ginę.

Taak... Gina była dość dokładnie zaznajomiona ze śmiertelną celnością strzałów Alyssy.

Teraz uniosła lekko brwi.

- Wspominasz swoją byłą dziewczynę, ponieważ...?

Max tylko wzruszył ramionami i spojrzał przez lornetkę, żeby sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz budynku.

- Chciałem zaznaczyć, że moglibyśmy zaryzykować, gdyby był wśród nas ktoś, kto strzela jak ona. Ja strzelam przyzwoicie, ale... Zresztą kto wie, może nawet Alyssa nie zdążyłaby oddać dwunastu strzałów w tak krótkim czasie. Nawet gdyby zrobiła to względnie szybko, to co dalej, zakładając, że światła by zgasły. Jak stąd uciekać w takim zamieszaniu? Co innego przekraść się między żołnierzami wroga, kiedy śpią, a co innego, kiedy czuwają... To byłoby prawdziwe wyzwanie. Moglibyśmy przebrać się w ubrania Emilia, postarać się

tak je przystosować, by przypominały mundury, i spróbować wmieszać w tłum...

Pokręcił głową i wręczył Ginie lornetkę.

- Na pewno jest stąd jakaś droga ucieczki, ale chyba nie ta.

Ostrożnie usiadł na przygotowanej poduszce.

- Rozumiem, że to my pełnimy pierwszą wartę - powiedział przez zaciśnięte zęby, starając się znaleźć pozycję, w której najmniej bolałby go pośladek.

- Bardzo żałuję, że nie potrafię strzelać tak jak Alyssa Locke - powiedziała Gina, ale w jej głosie było o wiele więcej zdenerwowania niż żalu. Irytowało ją, że Max w ogóle wspomniał o Alyssie.

Była chyba trochę zazdrosna.

Dobrze. Lepiej, żeby Gina była zazdrosna niż śmiertelnie przerażona z powodu zbliżającego się świtu.

Max wyciągnął rękę i ujął jej podbródek, a następnie popatrzył jej prosto w oczy. Miała tak cudownie gładką skórę, tak niesamowicie miękką. Przysunął się bliżej.

I zaczął ją całować.

Z początku się opierała, mniej więcej przez jedną dziesiątą sekundy. Ale wiele dziesiątek sekund później sam musiał się od niej oderwać.

Słowo „warta” oznaczało, że powinien mieć oczy i uszy otwarte... Korzystając z lusterka, wyjrzał na zewnątrz. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak wcześniej. Żadnego ruchu, żadnej zmiany.

- Boże, nienawidzę, kiedy to robisz - powiedziała Gina, kiedy tylko odzyskała normalny oddech. - Za dobrze całujesz. To powinno być zabronione. Najpierw doprowadzasz mnie do szału, opowiadając o swojej byłej dziewczynie, a potem zabierasz się do całowania i chociaż jestem cała na „nie”, to zaraz zaczynam być na „tak”.

- Ona tak naprawdę nie była moją dziewczyną - powiedział Max. - Alyssa... Byłem w niej zakochany, to prawda, ale tak naprawdę wcale jej nie kochałem. Nie tak jak ciebie. Pociągała mnie jak diabli, ale to nie było... Zresztą i tak trzymałem się z daleka, ponieważ pracowała dla mnie, a jak wiesz, uważam sypianie z podwładnymi za fatalny pomysł. W każdym razie powiedziałem sobie, że muszę zachować pewien dystans, i tak zrobiłem. To wcale nie wymagało ode mnie szczególnego wysiłku. Za to kiedy próbowałem trzymać się z

dala od ciebie... - Zaczął się śmiać na samą myśl o tym. - Potrafiłbym odejść od każdej kobiety na świecie z wyjątkiem ciebie.

- No cóż, świetnie cię rozumiem - odparła Gina, a jej gniew malał z każdą sekundą. - Bo tylko ja miałam na ciebie chrapkę, zgadza się?

- Nie - powiedział. - To chodzi o coś więcej... Pamiętasz tę specjalistkę od konfliktów małżeńskich, u której byliśmy?

Gina skinęła głową.

- Ritę?

Max przytaknął.

- Kiedy wysłaś z pokoju, zapytała mnie, czego właściwie się obawiam. - Zerknął na Ginę.

Zdecydowanie po jej złości nie został nawet najmniejszy ślad. Prawdę mówiąc, wyglądała na niesamowicie zdziwioną, że on w ogóle powraca do tamtych spraw.

- Miałem masę czasu, żeby wszystko sobie dokładnie przemyśleć. Nie chcę się usprawiedliwiać, ale... W moim środowisku nie przykładają się wielkiej wagi do kochania kogoś albo czegoś. To... To zbyt ryzykowne. Bo jeśli kochasz, to możesz to utracić. To ty byłaś przyczyną mojego strachu. Bycie z tobą wydawało mi się potworną pomyłką z różnych powodów, ale sam pozwoliłem na to, żeby te powody urosły w mojej głowie do nieprawdopodobnych rozmiarów... Żebym mógł udawać, że największym problemem nie jest mój strach. A tuż obok była Alyssa. Piękna i bystra. I wystarczająco silna, żeby rozprawić się ze wszystkimi głupotami, które sobie uroiłem. A najważniejsze, że byłem w niej zakochany, choć tak naprawdę wcale jej nie kochałem. Od razu wiedziałem, że mógłbym bez niej żyć. Poprosiłem ją o rękę, bo sądziłem, że to zmusi mnie do trzymania się od ciebie z daleka - przyznał szczerze. - Bo bałem się, że za bardzo cię kocham...

Odchrząknął znacząco. Boże, był przecież czas - i to wcale nie tak dawno - kiedy zrobiliby wszystko, byle tylko Gina nie dowiedziała się prawdy. A teraz siedział jak gdyby nigdy nic i dzielił się z nią najbardziej intymnymi przemyśleniami.

- Powinnaś o tym wszystkim wiedzieć.

- Jeśli chcesz, możesz mnie pocałować - zaproponowała. - I rób to zawsze, kiedy tylko poczujesz ochotę.

Taka odpowiedź rozśmieszyła go.

- No dobrze, ale ja powinienem teraz stać na warcie.

- Na jakiej warcie. - Wzruszyła ramionami. - Tam nikt nawet nie ma zamiaru się ruszać, przynajmniej do czasu gdy przybędzie czołg.

- Racja - odparł.

- Czy próbowałaś kiedyś kochać się z otwartymi oczami? - spytała Gina.

Popatrzył na nią znacząco.

- No co - obruszyła się. - Ja tylko staram się podtrzymać rozmowę.

- W porządku.

Max znów zerknął na nią z ukosa, a wtedy obdarzyła go tym swoim uśmiechem. Tym pełnym obietnic, rozkosznym uśmiechem i już wiedział, że bezbłędnie zgadła, o czym on w tej chwili myśli.

- Au! - powiedział, bo doszedł do wniosku, że tylko w ten sposób może powstrzymać to, co zaraz się zacznie. - Ta noga dokucza mi jak cholera.

- No dobrze - poddała się. - Wygrałeś. Co prawda mogłabym powiedzieć, że ją pocałuję i zaraz ci będzie lepiej, ale tego nie zrobię.

Okay. Max z zadowoleniem kiwnął głową.

- Dobry pomysł, żeby tego nie robić.

Miał ochotę roześmiać się z całego serca. To było coś wręcz niesamowitego - to niczym niezmacone zadowolenie z życia.

Znajdowali się naprawdę w poważnych tarapatach. Jeśli ten czołg nie był zwykłym wymysłem - a intuicja Maksa podpowiadała, że nie był - to trzeba będzie poważnie rozważyć konieczność rzucenia Grady'ego Moranta wilkom na pożarcie.

Tylko że jeśli to robi, Gina nigdy mu nie wybaczy.

Tym razem siedzieli w milczeniu około dwunastu sekund.

- Mogę ci opowiedzieć coś śmiesznego? - spytała Gina. Nie czekała, aż on powie „tak” albo „nie”, tylko mówiła dalej. - To jest o... No wiesz, o tej całej hecy z różnicą wieku.

- O różnicy wieku... - powtórzył jak echo Max. - Jesteś pewna, że to śmieszne?

- Czy to dalej nie daje ci spokoju? - spytała. - Co z tego, że jesteś trochę ode mnie starszy? Te twoje uprzedzenia są śmieszniejsze niż najlepszy dowcip.

- Dwadzieścia lat to nie jest trochę - odparł poważnie.

- Powiedz to archeologom.

Okay, tym razem postanowił sobie odpuścić.

- Po prostu powiedz mi tę historię.

- Dawno, dawno temu, kiedy Jones przyjechał po raz pierwszy do Kenii, nie miałam pojęcia, kim on właściwie jest - zaczęła Gina. - Molly nic mi nie powiedziała, a on przyszedł do naszego namiotu na herbatę i... Może zresztą nie ma w tym nic śmiesznego, może to będzie bardziej opowieść z cyklu „posłuchajcie, jakim jestem dupkiem”. Bo ja natychmiast doszłam do wniosku, że on oszalał na moim punkcie i tylko dlatego zjawił się w naszym namiocie. W ogóle nie wpadło mi do głowy, ta myśl nawet nie przemknęła przez mój ograniczony kurzy mózdzek, że być może chodzi mu o Molly. A ona jest mniej więcej dziesięć lat od niego starsza. Pamiętam, że kiedy to odkryłam, siedziałam tam i myślałam, że... Cholera, ludzie łatwo wyciągają różne głupie wnioski tylko na podstawie czyjegoś wieku i wcale nie byłeś szalony, zwracając na to uwagę. - Uśmiechnęła się do niego. - To znaczy nie bardziej szalony niż zwykle. I teraz chciałam cię przeprosić za to, że przez ten cały czas bez przerwy z ciebie pokpiwałam.

- Nie ma za co - odparł. - Nie zawsze jest tak, że jak się człowiek zakocha, to przestaje liczyć. Staralem się o tym pamiętać. - Popatrzył na nią. - Usiłuję właśnie to sobie wmówić. No i jak to brzmi? Przekonująco?

- Moim zdaniem całkiem nieźle. - Przez chwilę siedzieli w milczeniu, aż wreszcie Gina dodała: - Może powinnam sprawić sobie T - shirt z napisem: „Nie jestem jego córką. Jestem jego żoną”.

Max skinął głową.

- Nawet teraz kpisz sobie ze mnie - powiedział ze śmiechem.

- Tak - przyznała. - Bo guzik mnie obchodzi, co na nasz temat myślą inni ludzie, i sędzę, że ty też powinieneś mieć to w nosie.

Zapatrzył się w noc odbijającą się w lusterku.

- Czy mam rozumieć, że wspomniałaś o tej żonie, żeby w ten określony sposób dać mi do zrozumienia, że za mnie wyjdiesz?

- Zaczekaj. - Gina wzięła lornetkę i podpełzła do drzwi. Tam wyprostowała się i wyjrzała na zewnątrz. - Chciałam się tylko upewnić, czy nikt nam nie będzie przeszkadzał - wyjaśniła.

- Miałaś powiedzieć mi coś ważnego - przypomniał Max.

- Tak, ważnego i dość skomplikowanego - odparła.

- Jesteś w ciąży, tak? - rzucił znienacka.

Najwyraźniej ją zaskoczył.

- Skąd...? To znaczy, to jest część tego, co chciałam ci powiedzieć, ale naprawdę nie wiem... - Podpełzła z powrotem na dawne miejsce i usadowiła się obok niego. - Co prawda nie wiem tego na pewno, ale zgadza się. Może jestem w ciąży.

Max skinął głową. Nie bądź zazdrosny, nie bądź zazdrosny, powtarzał sobie w kółko.

- Pewnie będziesz na mnie zła, ale kiedy próbowałem cię odnaleźć, musiałem przeszukać twój pokój w hotelu... Znalazłem tam rachunek z kliniki, gdzie robiłaś test ciążowy.

Spojrzała na niego figlarnie.

- Powiedziałam, że może jestem w ciąży, ponieważ wtedy, w kuchni... No wiesz, spontaniczny seks, zero zabezpieczenia...

- Ale... Ja mówię o tym teście, który zrobiłaś wtedy. W Niemczech.

- Nie robiłam testu, żeby się przekonać, czy jestem w ciąży, czy nie. Wiedziałam, że nie jestem.

Okay, Max był już bardzo zmęczony, ale to, co słyszał, zdecydowanie nie miało sensu. Wiedział, że powinien czuć ulgę, ale czuł wyłącznie zakłopotanie.

- No więc czemu zrobiłaś ten test? - zapytał w końcu.

- Naprawdę sądziłaś, że mogę być w ciąży? - Ginie wreszcie zaczęło coś świtać. - Max, na litość boską, a kto miałby być ojcem tego dziecka?

Pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Zresztą to nie ma znaczenia... Jeśli wciąż go kochasz, choć mam wrażenie, że tak nie jest, to...

- Dobry Boże... - powiedziała i odwróciła się ku niemu. - Z iloma kobietami spałeś, kiedy wyjechałam do Kenii?

Mówiła serio?

- A nie domyślasz się, sądząc z moich wyczynów na kuchennym stole? - spróbował obrócić wszystko w żart.

- Z nikim? - spytała. - Bo ja spędziłam ponad rok w absolutnej wstrzemięźliwości, dzięki czemu moja ewentualna ciąża byłaby doprawdy czymś niezwykłym. A jeśli chodzi o bicie rekordów, to wyczyny na kuchennym stole przeszły wszystko, co dotąd przeżyłam. Mam tylko nadzieję, że nie będziemy musieli czekać kolejnego roku, żeby to powtórzyć.

Poczuł nieodpartą potrzebę, żeby wybuchnąć śmiechem. Rozbroiła go zupełnie.

- Rzeczywiście poszło nam dość szybko - zauważył.

- Uwielbiam wszystko robić szybko - powiedziała. - No, mów dalej, bo robię się zazdrosna. Czy ty też przez ostatni rok zachowywałeś czystość?

- Tak - przyznał bez oporów. - Kochałem cię, ty wyjechałaś... Co miałem robić?

- Czy naprawdę czujesz się zażenowany, że nie jesteś takim typem macho, który...

- Wcale nie - przerwał jej. - Wstydzę się wyłącznie tego, że musiałem przeżyć to cholerne półtora roku plus kilka najgorszych chwil w życiu, by przekonać się, że nie mogę bez ciebie żyć.

Oczy Giny lśniły, wyglądała na absolutnie szczęśliwą, choć otaczała ich gromada żołnierzy, którzy czekali tylko, by ich zabić.

- Rzeczywiście - powiedziała. - To zabrało ci o wiele więcej niż cholerne półtora roku... Więc teraz ci powiem, o co chodziło z tym testem ciążowym. Kiedy lekarze powiedzieli Molly, że być może ma raka, zaczęłam się dowiadywać, co można zrobić, ponieważ Grady'ego ta sprawa doprowadzała do obłądu. Chciał, żeby jak najprędzej poddała się pełnej terapii, chemii i naświetlaniom, czego ona nie mogła zrobić, dopóki nie urodzi dziecka. Oczywiście, jeśli nie zdecydowałyby się na usunięcie ciąży.

Wyczytałam gdzieś coś na temat matki zastępczej; chodzi o to, że trzecia osoba, na przykład ja, nosi w łonie cudze dziecko aż do terminu porodu, żeby potem oddać je biologicznym rodzicom. To coś całkiem innego niż matka, która rodzi własne dziecko dla innej kobiety, ponieważ w tym wypadku zarówno komórka jajowa, jak i sperma pochodzą od Molly i Grady'ego. Ja tylko oddaję do dyspozycji własną macicę i poświęcam dziewięć miesięcy życia. Na początku lekarze myśleli, że uda im się wyjąć płód z Molly i przetransplantować go do mojego brzucha, ale okazało się, że to jednak niemożliwe. Być może pewnego dnia technologia będzie na tyle zaawansowana... Molly najbardziej przerażało to, że po chemii i radioterapii przypuszczalnie w ogóle nie będzie mogła mieć dziecka - ciągnęła Gina. - Bo cała kuracja może przyspieszyć menopauzę i spowodować Bóg wie jakie komplikacje. Zaofiarowałam się więc, że mogę zostać matką zastępczą, jeśli zajdzie potrzeba. Pomyślałam, że

będzie jej trochę lżej, kiedy się dowie, że może liczyć na moją pomoc w razie... Boże uchroni! Wiesz, co mam na myśli?

Matka zastępcza musi wykonać test ciążowy, poza tym musi mieć doskonałe wyniki innych badań. To ma sens, prawda? Więc pojechałam do kliniki razem z Molly, zrobiłam badania i sprawa zaczęła się toczyć. Chociaż kiedy tam byłam, jeden z lekarzy powiedział, że to trochę za wcześnie. Bo oni radzą pacjentkom po kuracji nowotworowej odczekać parę lat z urodzeniem dziecka.

Gina odetchnęła głęboko.

- Wiesz, złożyłam Molly pewną obietnicę... A to oznacza, że za parę lat będziemy musieli dodać kilka słów do napisu na tej śmiesznej koszulce, którą zamierzam sobie zamówić. Na przykład:” ... i jest w ciąży z dzieckiem swojej najlepszej przyjaciółki Molly”.

Max nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Udało mu się powstrzymać i jedno, i drugie.

- Jak najbardziej jestem za - powiedział w końcu. - Nawiasem mówiąc, chyba w tej chwili kocham cię bardziej niż kiedykolwiek.

Pochyliła się i oparła głowę na jego ramieniu. Teraz to ona starała się pohamować łzy.

- Mogę cię jeszcze o coś zapytać?

- No jasne - odparł.

Nie potrafił wyobrazić sobie, o co mogło jej chodzić. Znajac Ginę, z pewnością o coś dobrego.

- Powiedz, czy poprosiłeś mnie o rękę tylko dlatego, że myślałeś, że jestem w ciąży? - spytała. - Że noszę dziecko innego mężczyzny?

O cholera!

Max wiedział, że musi powiedzieć jej prawdę.

- Nie - odparł szczerze. - Poprosiłem, ponieważ cię kocham. - Za stanowił się przez chwilę. - I jeszcze dlatego, że naprawdę myślałem, że jesteś w ciąży, i nie chciałem, byś musiała zmagać się z tym sama. Bo tak naprawdę nie miało dla mnie znaczenia, kto był ojcem twojego dziecka, chociaż żywiłem coś w rodzaju nadziei, że był to ktoś, kogo choć trochę lubiłaś, a nie ktoś, kogo nie lubiłaś wcale... I tak samo miałem nadzieję, że zrozumiesz, że dla mnie liczy się tylko to, byś była zdrowa, bezpieczna i byś znowu zjawiała się w moim życiu.

Milczała przez dłuższą chwilę.

- To dobra odpowiedź - odezwała się w końcu. - Jeśli jutro przyjdzie nam umrzeć...

- Na pewno jutro nie umrzemy - przerwał jej Max.

- Rozumiem, ale jeśli jednak tak się zdarzy... - powiedziała, a Max zrozumiał, że ona całkiem poważnie bierze to pod uwagę - ... to mamy przed sobą chociaż tę jedną noc.

Dużym palcem u nogi popchnęła drzwi, które zatrzasnęły się z delikatnym kliknięciem.

Wręczyła mu lornetkę, przy okazji obdarzając wiele mówiącym uśmiechem.

- Gina... - zaczął.

- Ciii... - szepnęła. - Muszę sprawdzić, jak wygląda twój opatrunek - dodała, rozwiązując mu szorty. - Będę delikatna, obiecuję...

Wkrótce Max przekonał się, że trzymanie otwartych oczu czasami bywa poważnym wyzwaniem.

Rozdział Dwudziesty trzeci

Jules miał chyba najgorszego kaca w życiu. Kiedy tylko otworzył oczy, oślepiło go światło. Jego źródłem były świece, które bez wątpienia miały tworzyć romantyczny nastrój, ale jakimś tajemniczym sposobem świeciły za jasno. Przez większość czasu musiał trzymać oczy zamknięte. Psiakrew, miał wrażenie, że za chwilę łeb mu pęknie.

Na pewno można było wyrazić to w lepiej dobranych słowach, ale w głowie wszystko mu okropnie pulsowało, a żołądek... Boże, po prostu bolał jak sto diabłów. W dodatku cały jeden bok palił go tak, jakby był przypiekany żywym ogniem.

Znajdował się w pomieszczeniu, którego nie mógł sobie przypomnieć; w łóżku, którego chyba nigdy wcześniej nie widział. Do diabła, co on najlepszego wyprawia? Taki styl życia zarzucił przecież wkrótce po ukończeniu college'u.

Głosy. Śmiech z oddali jakby z innego pokoju albo może... Z zewnątrz? Czyżby impreza jeszcze się nie skończyła?

Powoli, bardzo powoli uniósł powieki. Tylko na tyle, żeby cokolwiek zobaczyć.

Cholera jasna, a to kto? Jakaś dziewczyna?!

Otworzył oczy nieco szerzej, choć głowa o mało mu się nie rozpadła. Musiał jednak dokładniej zbadać sytuację, ponieważ obok niego na łóżku leżała nieznajoma. Przypuszczalnie była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział - długie ciemne włosy, delikatne rysy charakterystyczne dla mieszkańców Indonezji... A najważniejsze, że chociaż była już kobietą, mogła mieć najwyżej szesnaście lat.

Nagle pamięć mu wróciła i to w taki sposób, że o mały włos nie zaczął wyć z bólu.

Przypomniał sobie tę dziewczynę, jak pochylała się nad nim z troską pięknej twarzy i mówiła coś do mężczyzn, którzy go nieśli. Porozumiewała się z nimi w języku, którego nie rozumiał. Odsunęła mu włosy z twarzy, żeby mu się lepiej przyjrzeć, i nawet moment nie przestała trajkotać, kiedy mężczyźni kładli go na łóżku, wydawała im polecenia, co do tego nie było wątpliwości... Ale potem zaważyła, że Jules ma otwarte oczy albo przynajmniej bardziej otwarte niż dotąd, i uśmiechnęła się promiennie.

- Wszystko będzie w porządku - odezwała się w prawie doskonalej angielszczyźnie z amerykańskim akcentem.

Jules pamiętał stopy. I twarze. Indonezyjczycy z wąsami i kozimi brudkami.

I wypadek. Samochód spadający ze stromego zbocza.

Emilio.

Emilio padł trupem. Emilio, nie Jules. Ból, który teraz odczuwał, był najlepszym dowodem, że wciąż żyje.

Złamał nogę i solidnie uderzył się w głowę w tym niezupełnie przypadkowym wypadku. I został postrzelony z pistoletu Emilia.

Tak, to dlatego tak go boli.

Przypomniał sobie o Maksie. Zobaczył go, jak stoi w głębi tamtego wozu. Max na pewno będzie się o niego niepokoił. Pod warunkiem, że , Gina i pozostali zdołają umknąć z pułapki, jaką zastawił na nich Emilio. Pod warunkiem, że w ogóle jeszcze żyją.

Nagle zorientował się, że zniknęła gdzieś jego lotnicza skórzana kurtka, a razem z nią komórka i pistolet. Tak samo jak spodnie. Nawet batki, które miał na sobie, stanowiły cudzą własność. Chryste, miał nadzieję, że Miss Indonezji nie zabawiła się z nim, kiedy był nieprzytomny, jak z wielką lalką o imieniu Ken. Nie ze względu na niego, ale na nią. W każdym razie ciekawe, co ona porabia w jego łóżku.

Zgoda, mogła zwyczajnie spać. Na brzegu koca, którym był przykryty. Chciała być pod ręką, na wypadek gdyby się ocknęła.

Chyba jest moją opiekunką, pomyślał z wyraźną ulgą.

Wyciągnął rękę, żeby obudzić ją delikatnym szturchnięciem, ale ten ruch wywołał nową falę piekielnego bólu. Choć nie wrzasnął w dosłownym tego słowa znaczeniu, to jednak dźwięk, jaki się z niego wydobył, musiał być podobny do wrzasku.

Udało mu się. Dziewczyna poderwała się i usiadła na łóżku, szeroko otwierając oczy.

- Cześć - wychrypiał.

Gardło miał suche jak pieprz, a usta opuchnięte i popękane. Czy to możliwe, żeby ktoś go kopnął w twarz?

- Czy mogę pożyczyć od ciebie telefon? - szepnął.

Dziewczyna zaczęła coś mówić, głośno i gwałtownie, ale nie rozumiał ani słowa z języka, którym się posługiwała.

Psiakrew!

To wspomnienie, jakoby odezwała się do niego po angielsku, musiało być wytworem wyobraźni albo halucynacją.

- Nazywam się Jules Cassidy - powiedział powoli, kładąc rękę na piersi. - Muszę... - wykonał ręką gest oznaczający telefon, co w amerykańskim języku migowym było bardzo podobne do zdania: „Kocham cię”, z tą różnicą, że Jules pokazał ten gest w okolicach ucha - ... zadzwonić.

Może miała przy sobie pióro i kawałek papieru, żeby mógł jej narysować, o co chodzi.

Boże, głowa pękała mu z bólu. Tylko tego mu jeszcze brakowało do szczęścia, by z rozwaloną głową bawił się w zgadywanki, kiedy stawką było życie lub śmierć.

Do pokoju weszła jakaś starsza kobieta; na tacy niosła szklankę z czymś, co jak miał nadzieję, było wodą pitną. Postawiła ją obok jego towarzyszki, która na moment nawet nie przestała terkotać.

Dziewczyna wzięła szklankę i przechyliła ją tak, żeby mógł się napić.

A potem zaskoczyła go jak diabli.

- Przepraszam pana, panie Cassidy - odezwała się znakomitą angielszczyzną. - Nie mamy tu zwykłego telefonu, a wieże przekaźnikowe telefonii komórkowej najwyraźniej wciąż są wyłączone.

- Chłopie, przecież ty powinienes teraz spać - powiedział Jones, kiedy Max wszedł do pokoju, w którym trzymali wartę.

Świt już się zbliżał. Za kilka minut, najwyżej pół godziny, kolor nieba na wschodzie zmieni się z czarnego na szary.

- Albo przynajmniej powinienes udowodniać teraz Ginie, jak bardzo ją kochasz - dodał po chwili.

- Ona śpi - odparł Max.

Wysunął się z łóżka zaraz po tym, jak oddech Giny stał się głęboki i równomierny. Trochę wcześniej zajmował się... hm... uwielbieniem jej i uważał, że poszło mu całkiem nieźle. Oczywiście nie miał zamiaru zwierzać się Jonesowi, chociaż naprawdę było czadowo, jak mawiała Gina.

Nagle złapał się na tym, że uśmiecha się w ciemności.

- Ty naprawdę ją kochasz, co? - spytał przytłumionym głosem Jones, nie ruszając się ze swojego stanowiska pod oknem. Cisnął w stronę Maksa poduszkę, żeby i on miał na czym usiąść. - A teraz wiadomość od Molly: Jeśli masz zamiar tylko pokręcić się koło Giny,

a potem gdzieś spieprzyć, to najlepiej od razu przestań. Bo jeżeli zrobisz jej krzywdę, to kurewsko pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś.

Wiadomość od Molly, hę?

- Och, ja tylko wyraziłem innymi słowami jej myśl - powiedział prędko Jones.

- Naprawdę ją kocham - odparł Max i opadł na poduszkę. Auu!

- To widać na pierwszy rzut oka - przyznał Jones. - Ale obiecałem Molly, że cię jakoś postraszę. Nawiasem mówiąc, ona naprawdę wzbudza respekt. Mam na myśli Ginę. A ty masz cholerne szczęście, sukinsynu.

Max tylko pokręcił głową. Chyba wojskowi przechodzą jakiś specjalny kurs kreatywnego przeklinania, którego on jako cywil nie musiał kończyć.

- No więc, chcę ci powiedzieć, że z ciebie naprawdę jest równy gość - ciągnął Jones. - Zresztą w gronie tych totalnych skurczybyków ty jesteś w porządku. Wyobraź sobie moje zdziwienie.

- Taak... - mruknął Max.

Chociaż czy to nie on powinien wygłosić tego typu tekst?

Gina miała rację. Jones był, może jeśli nie całkiem dobrym, to na pewno przyzwoitym człowiekiem. Poza tym Max obserwował z zainteresowaniem, jak szybko wrócił do dawnej formy, stając się znowu profesjonalnym i skutecznym żołnierzem.

W gronie antyterrorystów znane było powiedzenie: „Dobry trening to ciągły trening”.

Ale Max nie czuł się w żaden sposób zaskoczony. Lata doświadczeń w pracy z przedstawicielami wszystkich branż, zarówno sektora wojskowego, jak i cywilnego, sprawiły, że miał własne zdanie na ten temat: „Od każdego oczekuj maksymalnego wysiłku i przygotuj się na to, że będziesz zaskoczony, widząc, jak dalece przekraczają twoje oczekiwania”.

- Jeśli ten pułkownik, który tu jedzie, jest osobą, o której myślę...

- Jones nie zwracał sobie głowy dalszą uprzejmą wymianą zdań, tylko od razu przeszedł do właściwego tematu.

Max czekał.

- To ważne - powiedział Jones cicho. - Bo jeśli oddasz mnie w jego ręce - a on nazywa się Ram Subandrio - to tak jakbym już nie żył.

Max odchrząknął.

- Nie sądzę...

- Tak - przerwał mu Jones. - Ja też nie sędzę. Ja po prostu wiem. I wymyśliłem chyba najlepszy sposób, jak załatwić tę sprawę. Żeby... żeby to było łatwiejsze dla Molly... Ale, psia krew, to nie będzie proste, bez względu na to, jaką drogę wybiorę... Wiem jedynie, że będę potrzebował twojej pomocy, bo jestem pieprzonym tchórzem i sam nie odważę się tego zrobić.

Chryste...

- Posłuchaj, Grady... - odezwał się Max. - Może...

- Lepiej ty posłuchaj, co powinniśmy zrobić - przerwał mu Jones. - Trzeba, żebyś mnie stąd wyprowadził. W ogóle na zewnątrz budynku. Możemy powiedzieć Molly i Ginie, żeby zeszły do tunelu, to wtedy niczego nie będą widzieć. Ja podniosę ręce, tak jakbyś wziął mnie do niewoli i wyprowadzał na plac. Zabierzesz ze sobą broń i...

- Opowiedz mi coś o tym Subandrio - wtrącił Max. - Jeśli to on jest tym pułkownikiem, to właśnie z nim zamierzam rozmawiać.

- To pieprzony psychol - powiedział Jones. - Chai znalazł go w tym samym więzieniu co mnie, tyle tylko że ten skurwiel tam pracował. Z własnej nieprzymuszonej woli. Czy możesz mi po prostu obiecać...

- Nie mam zamiaru cię zabić - stanowczo odparł Max. - Musimy znaleźć jakieś inne wyjście.

Jones milczał przez chwilę.

- Na przykład jakie? - spytał wreszcie.

- Jezu, na razie nie mam pojęcia.

Z miejsca, gdzie Max siedział, nie mógł dostrzec twarzy rozmówcy, ale widział, że Jones zaczął kręcić głową.

- A co ty na to, jeśli ci powiem, że Subandrio zacznie mnie żywcem obdzierać ze skóry, żeby wydobyć informację, dokąd zawiozłem tę kochankę Nusantary? - szepnął. - Że będzie tygodniami utrzymywał mnie przy życiu? Nawet miesiącami. Będzie zabijał mnie po kawałku, a potem pozwalał mi ozdrowieć. Co ty na to, że dopóki ja będę żył, on postara się dostać w swoje łapy Molly, a nawet Ginę. Będzie miał mnie, a ponieważ czołg bez trudu wywali dziurę w tym cholernym bunkrze, dziewczyny też stąd wyciągnie i zacznie torturować - na moich oczach, żebym jesz cze bardziej cierpiał. A ty... Ty też nie jesteś na to uodporniony, przyjacielu. On każe ci patrzeć na ich męki. Wyrwie moje dziecko z łona Molly... Chcesz widzieć, jak to

będzie robił? Wierz mi, robił już wcześniej takie rzeczy. Prawdopodobnie czeka z utęsknieniem na kolejną okazję.

Boże.

- Zresztą nie wiem... - kontynuował Jones drżącym głosem. - Może Subandrio zechce torturować Molly i Ginę nawet potem. Nawet kiedy mnie już nie będzie. A wtedy najlepsze, co możesz zrobić, to zapewnić im szybką śmierć.

- Może to wcale nie Subandrio ma tu przyjechać - odezwał się Max.

- Tak i może Molly wcale nie choruje na raka piersi - parsknął Jones.

- Może nie choruje, skąd wiesz.

- Racja. - Roześmiał się, ale nie był to przyjemny śmiech.

Max odetchnął głęboko.

- Grady, wiem, że jesteś przerażony, ale tak czy inaczej ja nie mam zamiaru...

- Jesteś skończonym idiotą, jeśli wciąż wierzysz w jakieś cholerne cuda! Myślisz, że co? Że nie wiem, o czym mówię?!

- Nie... - próbował wtrącić Max, ale Jones go nie słuchał.

- Zgoda, jestem tchórzem, a nawet gorzej niż tchórzem - rzucił gorączkowo. - Bo co, bo pozwoliłem sobie na załamanie?! Jezu, ale z ciebie pieprzony, arogancki kutas! Uważasz, że o wszystkim wiesz więcej niż ja! Co, sądzisz, że nie załamałbyś się, gdyby to ciebie wsadzili do tego pierdła? Trzy lata tortur... A ty uważasz, że to bułka z masłem, co? Wiesz co, Bhagat? Pieprz się! Mimo tego, co myślisz na swój temat, jesteś tylko zwykłym człowiekiem! I jak każdy inny człowiek na tej planecie też masz swoją granicę wytrzymałości!

- Posłuchaj mnie, Grady... - Max spróbował raz jeszcze.

- Naprawdę tak bardzo ci zależy, żeby dowiedzieć się, gdzie jest twoja granica? Więc pozwól, żeby zdzierano ci skórę z podeszew stóp. Pozwól, żeby cię biczowano tak długo, że wystarczyłoby jeszcze jedno uderzenie, a padłbyś trupem. To przecież żaden problem, prawda? Ty jesteś niezniszczalny. Twoje przeklęte zadufanie w sobie utrzymałoby cię przy życiu. Ale zaczekaj... Co byś powiedział, gdyby do twojej celi przyprowadzono Ginę? Jak byś się wtedy poczuł? Gdybyś musiał patrzeć, jak gwałcą ją na twoich oczach, gdybyś słyszał jej wrzaski, a sam nie mógł wykonać najmniejszego ruchu, nie

mówiąc o tym, żeby pospieszyć jej z pomocą? Dałbyś radę siedzieć spokojnie i patrzeć? Jedno jest pewne: będziesz musiał.

Cisza.

Max nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Na przykład: „Tak, już przez to przeszedłem. Słyszałem, jak Gina wrzeszczy i nie mogłem jej pomóc”.

Kiedy to przeżywał, a później cierpiał, wspominając, nie wiedział tylko, że to ma jakąś nazwę.

Tortury.

W całym swoim życiu tylko raz doświadczył czegoś jeszcze gorszego.

Kiedy uwierzył, że Gina nie żyje.

Jones wstał. Znajdował się dokładnie na wprost okna.

- Siadaj - polecił mu Max.

Ale Jones nie usiadł. Nie schylając się, wyszedł przez próg.

- Właśnie skończyłem swoją zmianę - powiedział. - Daj mi znać, kiedy wyczerpie ci się zapas dobrych pomysłów. Mam zamiar spędzić resztę życia z moją żoną.

Jules oderwał wzrok od doktor Dewi Emalii i spojrzał na jej trzech wspaniałych braci, modląc się w duchu, żeby mu uwierzyli.

Cholera, jeśli ktokolwiek miał prawo być tutaj sceptyczny, to właśnie on! Czy to możliwe, żeby ta szczuplutka dziewczynka miała tytuł lekarza medycyny uzyskany na Uniwersytecie Tufta?

Oczywiście to ona poskładała mu połamaną nogę i pozszywała rany, więc pewnie należało wierzyć, że odebrała takie wykształcenie. Alternatywa, że pannica była przedwcześnie dojrzałą nastolatką, która zdobyła odznakę chirurga w drużynie harcerskiej, budziła w nim znacznie mniej entuzjazmu.

Kiedy trzech bracia doktor Emalii zgromadzili się dookoła łóżka, ich siostra oznajmiła Julesowi, że jest jedynym lekarzem po tej stronie wyspy i że ta malutka, pozbawiona elektryczności chatka jest jedynym obiektem w promieniu wielu mil w miarę przypominającym szpital.

Doktor Emalia była nieco zmartwiona, ponieważ Brat Numer Jeden powiedział, że jacyś terroryści zaszyli się w pewnym domu stojącym nieco wyżej na zboczu góry. Brat Numer Dwa dodał, że wojsko ma zamiar sprowadzić czołg, by zmieść tych bandytów z powierzchni ziemi.

A to oznaczało - zgodnie z doświadczeniami doktor Emalii - że zapewne będzie musiała się zająć opatrywaniem poważnych obrażeń.

Taak... Nie ma żartów.

A najciężej ranni zostaną Max, Gina, Jones i Molly. To wcale nie terroryści zabarykadowali się w tamtym domu. To przyjaciele Julesa.

Doktor powiedziała jeszcze, że liczba rannych byłaby z pewnością wyższa, gdyby w sprawę wmieszali się Amerykanie.

Jednak wszystko wskazuje na to, że Amerykanie nie zostali o niczym powiadomieni, choć zdaje się, że ci terroryści należą do organizacji, która przeprowadziła atak na ambasadę amerykańską w Dżakarcie, gdzie zginął ukochany mąż stanu pochodzący z wyspy Meda. Gdyby Amerykanie wkroczyli do akcji, wzięliby tych terrorystów do niewoli, zamiast wymierzyć im natychmiastową i sprawiedliwą karę.

- Jestem agentem amerykańskiego Federalnego Biura Śledczego - powiedział Jules, żałując że nie ma na sobie czegoś bardziej stosownego niż pożyczone gatki, bokserki z logo bostońskich Red Sox. W dodatku były dość niedbale spięte z jednej strony, żeby dopasować się do szyny, która usztywniała nogę Julesa. - Przyjechałem na wyspę w sprawie śledztwa dotyczącego porwania dwóch Amerykanek.

Zaczekał chwilę, żeby doktor mogła przetłumaczyć jego słowa braciom.

Ale musiał czekać dłużej, niż zamierzał, bo do pokoju wszedł następny mężczyzna. Na pierwszy rzut oka Jules rozpoznał w nim kolejnego brata doktor Emalii; ci ludzie nie mogli nie wyglądać na rodzeństwo, nawet gdyby się bardzo starali. Wszyscy odznaczyli się tą samą egzotyczną urodą.

Nastąpiła chwila ożywionej dyskusji, gestykulowania i ukradkowych spojrzeń rzuconych w jego stronę.

W końcu doktor Emalia gestem uciszyła całe towarzystwo i odwróciła się do Julesa.

- Moi bracia chcieliby się dowiedzieć, czy to ty zabiłeś Emilia Testę.

Jules popatrzył na rząd twarzy w nogach jego łóżka, ale nie mógł niczego z nich wyczytać. Dosłownie niczego. Były zupełnie pozbawione wyrazu i to wszystko, co udało mu się odkryć.

Uczepił się nadziei, że Emilio Testa nie był ich bliskim przyjacielem.

Molly obudziła się i stwierdziła, że leży w łóżku sama.

Ale nie była sama w pokoju. Jones jak niemy cień w półmroku przysiadł na podłodze w pobliżu drzwi i przyglądał się jej bacznie.

- Cześć - powiedziała z wysiłkiem, odgarniając z twarzy kosmyki mokrych od potu włosów. - Co się stało? Skończyłeś już swoją zmianę? Czy teraz moja kolej?

- Nie... nie - odparł. - Przepraszam, że cię obudziłem.

- Wcale nie obudziłeś.

Na stoliku obok łóżka stała świeca. Poszukała jej po omacku i znalazła pudełko zapalek. Światło okazało się jednak zbyt słabe, żeby sięgnąć, aż do ściany. Wcale nie widziała lepiej twarzy męża.

- Co tam robisz? - spytała, wspierając się na łokciu.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał.

- To wygląda na początek jakichś przeprosin - odparła. - Nie ma sprawy, przyjmuję. Wszystko ci wybaczam.

- Tak mi przykro... - szepnął. - Powinienem był trzymać się od ciebie z daleka. Nie wolno mi było jechać do Kenii.

Molly wcale nie czekała na tę rozmowę, ale to nie znaczy, że się jej nie spodziewała. Dobry nastrój opuścił Jonesa w chwili, gdy przekonał się, że Max nie może wykorzystać jako karty przetargowej ich wiedzy na temat planowanego ataku na ambasadę, ponieważ ten atak już się odbył.

Możliwe, że przygnębiająca sytuacja, w jakiej się znaleźli, i tak popsułaby mu humor, ale pomysł Maksa wlał w niego odrobinę nadziei.

Nadziei, która prysła jak bańka mydlana.

- No cóż - odezwała się Molly. - Możliwe, że gdybyś nie pojechał do Kenii, to żadne z nas nie znalazłoby się tutaj...

- To pewne jak cholera.

- ... ale chcę, żebyś wiedział, że nie zamieniłabym ostatnich czterech miesięcy spędzonych z tobą na nic innego - dokończyła z zapalem.

- Więc co, chcesz powiedzieć, że oddałabyś życie za te cztery nędzne miesiące spędzone w ciągłym kłamstwie? - spytał stanowczo.

- No, wolałabym raczej nie umierać, wielkie dzięki. A na czym konkretnie polegało to kłamstwo? Chodzi o twoje nazwisko czy może

o udawany akcent? Wielkie mi rzeczy. Przestań się zadręczać tym, że zrobiłaś ze mnie najszcześliwszą kobietę pod słońcem. No, może z wyjątkiem Giny, ale tylko wtedy, kiedy była na tym stole w kuchni...

Jones nie roześmiał się, jak oczekiwała. Na jego ustach nie pojawił się nawet cień uśmiechu. Opuścił głowę i oparł na skrzyżowanych ramionach.

- No chodź - powiedziała. - Co się stało z twoim defetystycznym stosunkiem do życia?

Odrzuciła prześcieradło, wzięła ze stołu świecę i przeszła przez pokój. Naga czterdziestoparoletnia kobieta ze zwisającymi tu i ówdzie fałdami tłuszczu i nieco zbyt pulchnym brzuszkiem - efekt wchłoniętych ciasteczek i czekoladek - który wciąż nie przypominał brzucha ciężarnej. I z powiększonymi nieznacznie piersiami. Zawsze miała tendencję do pełnych kształtów, ale przez ciężę jej figura nabrała prawdziwie groteskowych cech. Przynajmniej Molly tak uważała.

Ale kiedy Jones na nią patrzył, czuła się piękna. Niekiedy nawet miała wrażenie, że jest szczupła, za to zawsze, niewiarygodnie seksowna.

Nawet pomimo bandaża skrywającego szwy na piersi, przez co wyglądała jak żeńskie wydanie Frankensteina.

Problem polegał na tym, że w tym momencie najwyraźniej nie miał ochoty na nią patrzeć. Był przerażony i wściekły, a jego duszę wypełniało przecucie nadchodzącego nieszczęścia i potworny żal do samego siebie.

- Powiniennem umrzeć wiele lat temu - wyszeptał, kiedy usadowiła się na podłodze obok niego. - Przypuszczam, że tak miało się stać, ale byłem zbyt wielkim sukinsynem, by sobie zdawać z tego sprawę.

- Gdybyś faktycznie miał umrzeć, tobyś umarł - zauważyła. - Zakładając oczywiście, że jest w życiu coś takiego jak „przypuszczanie”. Ale okay, pójdźmy tym tropem. Według ciebie, kiedy to powinno było się stać?

- Kiedy dostałem tego zakażenia - powiedział. - O mały włos wtedy nie umarłem.

Molly skinęła głową. Natychmiast przypomniała sobie tamte dni.

Po raz pierwszy ujrzała pamiątkę tego wydarzenia w ich noc poślubną - szeroką bliznę, całkiem nową w imponującej kolekcji

blizn, jakie nosił jej mąż. Przecinała jego szerokie plecy, postrzępiona i ciągle przerażająca, mimo że upłynęło już tak wiele czasu od chwili, gdy został ranny.

Ściśle rzecz biorąc, ugodzony nożem.

Powiedział jej wówczas, że tę ranę otrzymał w czasie podróży do Afryki całe lata wcześniej.

W rzeczywistości to wydarzyło się zaraz po tym, jak Molly wyjechała z Indonezji. Po tym, jak ona została postrzelona, on zaś pobity niemal na śmierć. Po tym, jak każde z nich narobiło bałaganu we własnym życiu i w łączącym ich związku, bo nie ufali sobie nawzajem.

Jones wsiadł na statek płynący na wschód, zdecydowany zrobić wszystko, by odnaleźć Molly, a potem ukorzyć się przed nią i błagać o wybaczenie.

Ale ludzie wysłani przez Chaia potrafili go wytropić. Odszukali go i skatowali prawie na śmierć, a kiedy zaczął walczyć o życie, otrzymał mordercze pchnięcie nożem w plecy.

I właśnie wtedy, kiedy czołgając się, opuścił pokład statku na terytorium Sri Lanki - z krwawiącą raną, która potem o mało nie zabiła go po raz drugi, kiedy wdało się w nią zakażenie - doszedł do przekonania, że Chai nie spocznie, dopóki nie ujrzy go martwego.

Nie był w stanie się ukryć, mógł jedynie uciekać. A jeśli kontynuowałby podróż do Afryki, tak jak powiedział Molly, to poprowadziłby tego sukinsyna prosto do niej i naraził ją na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Przysiągł sobie wówczas, że już nigdy nie popełni tego błędu.

Molly wyczuła instynktownie, że Jones myśli teraz właśnie o tamtym wydarzeniu.

- Przestań się oskarżać - rzekła łagodnie. - Nie ma w tym twojej winy. I wcale nie powinieneś być wówczas umrzeć.

- Owszem powinienem - odparł. - I nie przekonasz mnie, że nie mam racji. Psiakrew, Mol, czuję się tak, jakbym cię zabił. W ten czy inny sposób. Jeśli nawet przetrwasz tę gehennę, to... Do diabła! Nadejdzie czas na walkę z rakiem, tylko gdzie ja wówczas będę, rzecz jasna jeśli pozostanę przy życiu? Dość trudno mi będzie trzymać cię za rękę, jeśli będę siedział w pierdłu. - Głos mu zadrżał. - Gdybym nie przyjechał do Kenii, nie zaszłabyś w ciążę i martwiłabyś się teraz

jedynie o własne zdrowie, a nie o to pieprzone nasienie szatana, które nosisz w sobie!

- Auu! - zawołała. - To było ciut za ostre!

- Boże, tak mi przykro - wyszeptał. - Myślisz, Molly, że on mnie słyszy? Cholera, chyba będzie lepiej, jeśli ja... Pewnie byłbym bardzo kiepskim ojcem.

- Nie - powiedziała, celowo ignorując tryb, jakiego użył.

Zamiast tego postanowiła skupić się na fakcie, że po raz pierwszy Jones dopuścił do siebie myśl, że ich dziecko, które ona nosi, jest prawdziwą, niezależną istotą.

- Nie sądzę, żeby miał już coś na kształt uszu. A jeśli nawet tak, to pewnie jeszcze i tak musi popracować nad angielskim. Ja mówiłam, że to było za ostre ze względu na ciebie. Bo jeśli ja noszę „pieprzone nasienie szatana”, jak byłeś uprzejmy to określić, to kim ty jesteś?

Jones odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

- Jesteś naga - oznajmił takim tonem, jakby dopiero teraz to zauważył.

- Tak właśnie się to zaczyna - powiedziała z przesadnym westchnieniem. - Typowy początek końca. Najpierw: „Och, jesteś naga!”. - Włożyła w te słowa maksimum ekscytacji, na jaką ją było stać. - A po kilku miesiącach małżeństwa odwracasz się i co? „Jesteś naga? Znowu?”.

Nareszcie uśmiechnął się słabo.

- Wcale nie to miałem na myśli - powiedział. - Mol, ja jestem... Jestem przerażony jak sto diabłów!

- To jeszcze nie znaczy, że mamy tak po prostu ze wszystkiego zrezygnować - oznajmiła łagodnie.

I wtedy to się zdarzyło. Znowu. Dziecko zaczęło się ruszać. Molly ujęła rękę męża i położyła ją sobie na brzuchu.

- Czujesz? - spytała.

- Nie wiem. - Odetchnął i spojrzał na nią badawczo, jakby poprzez kontakt wzrokowy mógł lepiej poczuć to co ona.

- To jest takie... trzepotanie. Jakby coś... Jakby coś latało wewnątrz mnie. Jakby moja kolacja tańczyła ze szczęścia, że została zjedzona.

- Co? - zapytał.

Molly uśmiechnęła się radośnie.

- Tak - powiedziała. - Czyż to nie jest zdumiewające?

- Jezu... - powiedział, a w jego oczach zalśniły łzy. - Wielki Boże. Więc to jest...

- Nasze dziecko - dopowiedziała Molly.

- Chryste, to coś nieprawdopodobnego.

- Grady, wewnątrz mnie mieszka ktoś, kto żyje własnym życiem. Ktoś, kto nie pojawiłby się, gdybyś ty nie kochał mnie, a ja ciebie. To niewiarygodne i fantastyczne, prawda? To nasze dzieło. Ty nie zrobiłeś tego sam, ja też nie... Zrobiliśmy to wspólnie. Pomyśl o tym. Jeśli razem potrafiliśmy zrobić coś tak cudownego, to z pewnością poradzimy sobie z tak przyziemnymi problemami, z jakimi się tu stykamy.

Zaczął się śmiać.

- Więc to są dla ciebie przyziemne problemy? Na przykład przeżycie ataku czołgowego albo pokonanie raka? Boże, tak bardzo cię kocham!

- To dobrze. I tego się trzymaj. A teraz chodź, poszukamy Maksa - zasugerowała. - Zobaczymy, może udało mu się wpaść na jakiś pomysł, jak nas wydostać stąd cało i zdrowo.

- Czy możemy usiąść jeszcze na minutkę? - poprosił. - Chciałbym tylko...

Chciał znów poczuć, jak wewnątrz jej brzucha dziecko porusza się pod jego ręką.

A Molly pomyślała w tym momencie, że jeżeli ich dziecko okaże się dziewczynką, to da jej na imię Nadzieja.

Zakładając oczywiście, że jej tatuś wyrazi na to zgodę.

Rozdział Dwudziesty czwarty

Gina nie wierzyła własnym uszom.

- Czy twoim zdaniem powinnam się niepokoić, że Grady jest teraz sam z Molly w innym pokoju? - spytała.

Max pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się, żeby naprawdę mógł to zrobić. Moim zdaniem raczej próbował przekonać się, czy jeśli zaistnieje taka konieczność, ja będę skłonny to zrobić.

- „Zabij za mnie moją żonę, dobrze?” - powtórzyła Gina i potrząsnęła głową. - To przecież czyste wariactwo.

- Nie, wcale nie - odparł Max, przykładając do oczu lornetkę, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

W ciągu krótkiego czasu słońce zdążyło się już wspiąć wyżej. Od razu zapanował niewiarygodny upał, a z każdą minutą robiło się coraz goręcej.

- On przeżył naprawdę coś okropnego - mówił do Giny Max, wciąż odwracając od niej spojrzenie. - Coś wręcz nie do zniesienia. Opowiadał mi o tym co prawda niedużo, ale... Nie jestem pewien, ale odniosłem wrażenie, że bardziej cierpiał, kiedy torturowano innych w jego obecności, niż kiedy jemu samemu zadawano fizyczny ból. Myślę, że jego oprawcy też o tym wiedzieli. Słyszałem kilka mrożących krew w żyłach opowieści na temat więzienia, w którym go przetrzymywano. Historie o mężczyznach, którzy musieli się przyglądać, jak systematycznie gwałcono ich żony i mordowano dzieci... - Wreszcie spojrzał na nią. - Do pewnego stopnia potrafię sobie wyobrazić, co przeżywali.

Gina wyciągnęła do niego rękę, a on ujął jej dłoń. Ale właśnie w tym momencie w walkie - talkie coś zatrzęszczało.

- Grady Morant - odezwał się jakiś głos ledwie słyszalny poprzez zakłócenia. - Jak to miło, że pofatygowałeś się taki szmat drogi, żeby znów ze mną pogadać.

Max wcisnął guzik.

- Czy to pułkownik Subandrio?

- Poznałeś mnie więc, ty plugawa, zasrana szmato, zgadza się?

Więc zaczęło się od obrzucania wyzwiskami?

Gina skrzywiła się z niesmakiem, udając przed Maksem, że raczej chodzi o obrzydzenie, jakie wzbudził w niej mało wyszukany zestaw epitetów, niż o fakt, że być może usłyszała właśnie głos człowieka,

który zamierza ją zabić. Na dodatek będzie to robił powoli i zmusi Maksa, żeby patrzył.

- Rozpoznajesz ten dźwięk? - mówił dalej pułkownik. - To dźwięk nadciągającego czołgu, który zmiecie twoje ścierwo prosto do piekła.

- Ja niczego nie słyszę - szepnęła Gina. - Może on blefuje?

- Posłuchaj uważnie - powiedział Max. - W tle słychać takie niskie dudnienie.

O Boże! Więc oni rzeczywiście ściągnęli tu czołg!

- Zapamiętaj sobie - zawołała - że ja raczej zaryzykuję tortury niż śmierć. Dopóki żyjemy, zawsze są jakieś szanse, że pozostaniemy przy życiu. Jeśli ty...

Max zamknął jej usta pocałunkiem.

- Wiem - powiedział. - A ty pamiętaj, że jestem z tobą. Teraz ciii... Daj mi zamienić parę słów z tym gościem.

I wcisnął guzik.

- Sir - powiedział spokojnie. - Nazywam się Max Bhagat. Jestem obywatelem amerykańskim i jednym z najważniejszych dowódców w FBI. Nigdy dotąd się nie spotkaliśmy, ale moi przełożeni poinformowali mnie, że przybywa pan tutaj, aby przedyskutować sytuację dotyczącą Heru Nusantary i Grady'ego Moranta. Teraz muszę pana prosić, sir, aby pozostał pan przez chwilę na linii, ponieważ właśnie przed sekundą nadeszła radiowa wiadomość od prezydenta Bryanta.

I przerwał połączenie. O kurczę!

- Kłamca, kłamca. Od nadmiaru łgania pańskie zielone szorty jeszcze bardziej pozieleniały - zawołała Gina.

- Jeśli już mówimy o spodniach, to chciałbym wreszcie dostać własne - oznajmił Max. - Wszystko jedno, mogą być wilgotne. Będziesz tak miła, żeby je przynieść? I sprawdź, czy Emilio ma jakąś marynarkę i koszulę, które będą na mnie pasowały. Aha, przy okazji znajdź jakiś krawat, na którym nie ma nagich panienek tańczących hula. Tylko postaraj się zrobić to w miarę szybko.

Gina rzuciła się biegiem. Kiedy była jeszcze w korytarzu, usłyszała jak Max woła Molly i Jonesa.

Jules stał się nowym bohaterem dnia.

Najwyraźniej odnalezienie zwłok Emilia Testy wywołało w domu doktor Emalii szal radości.

Jej bracia przyholowali wrak samochodu do swojej posiadłości i już zaczęli rozbierać go na części, żeby je potem sprzedać. To był ostatni akt ich zemsty wobec długoletniego i darzonego pogardą wroga.

- Potrzebuję telefonu - powtarzał uparcie Jules. - I czegoś, co mógłbym na siebie włożyć.

Lekarka powiedziała coś do braci, którzy wciąż kłębili się wewnątrz domu, a ci jak na komendę zaczęli się rozbierać.

- Okay, już wystarczy! - zawołał Jules.

Ale młoda kobieta zdążyła już ich powstrzymać - najmłodszemu zabrała kolorową hawajską koszulę, a temu z wąsami czarne szorty. Wydała jeszcze jakieś polecenie, a drugi brat posłusznie obciął nogawkę tak, żeby Jules nie musiał naciągać jej na usztywniającą nogę szynę.

Następnie pani doktor i jej najmłodszy brat pomogli Julesowi włożyć koszulę i upięli na nim spodnie, podczas gdy ten z wąsami zniknął w głębi innego pokoju i wrócił po chwili, niosąc w ręku parę kul.

- Moi bracia twierdzą, że najbliższy telefon znajduje się na samym dole, w porcie, obok posterunku policji - poinformowała Julesa doktor Emalia. - Ale jesteśmy zdania, że on i tak nie działa, więc możesz wypożyczyć hydroplan i polecieć na Soe lub Kupang. Mój brat Daksa sugeruje, żebyś raczej unikał Din. Rexi odwiezie cię do miasta swoim mini.

Boże, głowa wciąż pękała mu z bólu. Nawet wstanie z łóżka wydawało się zadaniem ponad siły, nie wspominając o balansowaniu na kulach. Ale i tak stracił już zbyt wiele czasu, kiedy leżał nieprzytomny.

Ruszył w stronę drzwi, ale nagle do wnętrza wtargnęli dwaj pozostali bracia, wykrzykując coś na cały głos. A w rękach trzymali...

- Wiem, że wolałbyś telefon - powiedziała doktor Emalia. - Ale czy radio też może być? Umar znalazł tę krótkofalówkę w samochodzie Testy.

- Potrzebujemy kawałka liny - oznajmił Max.

- Widziałam jakiś sznur w kuchni. - Gina odwróciła się na pięcie i już na schodach dudniły jej kroki.

- Hej! - zawołał za nią Jones. - Panno z Nowego Jorku, jeszcze nie skończyliśmy lekcji!

Molly wyjęła z jego rąk lekki półautomatyczny karabinek.

- Zawsze trzymaj lufę skierowaną w dół i z dala od innych ludzi - wyrecytowała, dokładnie wykonując każde zalecenie. - Potem zrób tak... i... naciśnij spust. Strzelaj z okna w stronę ziemi, nie w powietrze, bo wtedy ktoś mógłby zostać ranny. Nie strzelaj w domu. To nie chodzi o zwykłego pecha, jak na przykład przy otwieraniu parasolki, ale o to, że te ściany są wzmocnione, więc pocisk mógłby rykoszetować, co skończyłoby się tak, że któraś z nas dostałaby w pośladek jak Max. W najlepszym razie. Zapas amunicji znajduje się w plecaku. Mamy wystrzelić cztery razy, nie więcej, a potem zejść na dół. - Popatrzyła na męża. - Kochanie, jak widzisz wszystko zapamiętałam. Gina na pewno też.

Co za zwariowany widok - Molly trzymająca karabin. Odwrócił się do Maksa.

- Nadal uważam, że one powinny pójść do tunelu, dopóki nie będzie po wszystkim.

- Bardzo przepraszam! - zawołała Molly. - Połowa „onych”, o których byłeś uprzejmy wspomnieć, stoi tuż obok. Jesteśmy gotowe i chętne wam pomóc, ale pragnę zauważyć, że zwykle kiedy grupa A otwiera ogień do grupy B, grupa B odwraca się i także zaczyna strzelać. Czy nie będzie to pewien problem, jeśli taka sytuacja zaskoczy was na środku placu?

Max zdążył już poprawić fryzurę, a teraz odstawił lusterko na miejsce.

- Szczerze mówiąc, uważam, że przede wszystkim dadzą nura za jakąś osłonę - powiedział do Molly. - Z tego, co wiem, jedyną osobą zaangażowaną osobiście w tę operację jest pułkownik Subandrio, który zdecydowanie pracuje dla Heru Nusantary. Wszyscy pozostali będą przede wszystkim zainteresowani tym, żeby chronić własny tyłek - zwrócił się do Jonesa, żeby włączyć go do tej podnoszącej na duchu gadaniny. - Mamy zamiar wykorzystać tę wiedzę.

- Przyniosłam sznur - powiedziała Gina, wchodząc do pokoju.

- Dobrze - odparł Max. - A teraz potnij go na trzy części. Dwiema z nich zwiąż Jonesowi ręce w nadgarstkach, a trzecią zapętlij w luźny węzeł... Chodzi o to, żeby wyglądał na związanego, ale żeby bez trudu mógł sam się uwolnić, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Włożył marynarkę Emilia i sprawdził po kolei broń ukrytą w rozmaitych kieszeniach oraz tę przytwierdzoną na plecach na wysokości krzyża. Jones wyciągnął ręce w stronę Giny.

- A teraz porozmawiajmy o tym czołgu - zarządził Max.

Jones miał wcześniej okazję dokładnie obejrzeć przez lornetkę wzmiankowany obiekt.

- To mi wygląda na coś, co mogło być wyprodukowane w Związku Radzieckim w końcu lat osiemdziesiątych. Załoga z pewnością ma bardzo ograniczone pole widzenia i nie rejestruje wszystkiego, co dzieje się na zewnątrz. Mogą liczyć wyłącznie na kontakt radiowy, zarówno jeśli chodzi o wskazówki, jak i odbieranie rozkazów.

- To dobrze - powiedział Max.

Molly odłożyła karabin i zaczęła pomagać Ginie.

- Przyznaj, że podoba ci się, że dwie kobiety cię związują - zauważyła, napotykając spojrzenie Jonesa.

- Na razie jestem zbyt przerażony - odparł. - Ale kiedy to wszystko się skończy i wyjdziemy z tego cało, to czy będziesz miała coś przeciwko temu, byśmy kiedyś to powtórzyli? Oczywiście tylko we dwoje. To znaczy Gina jest milutka, ale jeśli ją zaprosimy, to trzeba będzie zaprosić także Maksa, a to zepsuje całą przyjemność.

Molly roześmiała się, ale w oczach miała łzy. Pewnie dlatego, że wiedziała, ile kosztuje go ten udawany humor.

- Potrzebujemy jeszcze czegoś, co będzie wyglądało jak krew. - Max albo nie zwrócił uwagi na ich rozmowę, albo celowo postanowił ją zignorować.

- Zaraz sobie poradzę z tym problemem - powiedział do niego Jones i odwrócił wężły tak, żeby dotykały skóry.

- W lodówce jest ketchup - zawołała Gina.

Niestety ketchup nie tylko wygląda jak ketchup, ale również tak pachnie. To nie był dobry pomysł. Jeśli cała impreza miała się udać, jeśli chcieli nabrać takiego starego wygę jak pułkownik Subandrio, wszystko musiało wyglądać realnie. Ostatecznie Subandrio widział już w swoim życiu rzekę krwi.

- Mam go przynieść? - spytała Gina.

- Och nie, dzięki - powiedział Jones. - Jeśli będziemy musieli go użyć, to... Lepiej, żeby był świeży. - Podniósł oczy i napotkał spojrzenie Maksa. - Może już pójdziemy?

Molly stała z boku; bez karabinu wyglądała zdecydowanie mniej groźnie. Ze zdenerwowania zaczęła wykręcać sobie palce, choć chyba nie zdawała sobie z tego sprawy. Ale mimo wszystko zdołała się uśmiechnąć do męża.

- Dziękuję, że kochasz mnie na tyle, by podjąć takie ryzyko - szepnęła.

- Taak... - mruknął. - No cóż...

Nie chciał jej o tym mówić, ale on i Max mieli przygotowany zapasowy plan, który z pewnością by odrzuciła, gdyby o nim wiedziała.

- Jeśli cokolwiek się nie uda, uciekajcie do tunelu. Może od razu nie znajdą wejścia.

- Jeśli to będzie chłopiec, to damy mu na imię Leslie - odezwała się Molly.

Co?! Przed nimi była dopiero pierwsza z serii katastrof, jakie musieli przeżyć, a ona zastanawiała się nad wyborem imienia dla dziecka?! Ale, kurczę blade, jeśli już o tym myślała, to mogła wykombinować coś bardziej... normalnego. On, kiedy dorastał, zawsze marzył o takim imieniu jak na przykład John albo Jim. Albo Tom lub Dan.

Uśmiechała się do niego, jakby domyśliła się, co chodzi mu po głowie. Zresztą pewnie tak było, jak się nad tym bliżej zastanowić.

Jones doszedł do wniosku, że Molly celowo starała się odciągnąć jego myśli od przyszłości, w której on był martwy, a ona musiała ukrywać się w ciemnym tunelu, i skierować kutej, gdzie będą mieć dziecko, które potrzebuje imienia.

- Wiesz, zawsze lubiłem imię David - powiedział, ponieważ tak bardzo pragnął, aby ta druga wersja ich przyszłości stała się rzeczywistością, że prawie zdążył poczuć jej smak.

Ale kręcący się w drugim końcu pokoju Max wziął do ręki walkie - talkie.

- No to zaczynamy.

Max był naprawdę utalentowanym kłamcą.

Gina obserwowała, jak rozmawiał przez walkie - talkie i jak tonem nieznoszącym sprzeciwu przekonywał tłumacza, że musi bezpośrednio porozumieć się z samym pułkownikiem Subandrio.

Na sobie miał marynarkę, krawat i świeżutką białą koszulę, dzięki czemu wyglądał bardziej jak tamten Max, którego poznała cztery lata temu.

Marynarka, krawat, a do tego dżinsy i znoszone trampki... Gina nigdy nie przypuszczała, że dożyje chwili, gdy ujrzy Maksa w takim stroju, ale nie było wyjścia. Spodnie Emilia w żaden sposób nie dały się dopasować.

W skupieniu czekał, aż pułkownik się odezwie, ale mimo to zauważył, że Gina mu się przygląda.

- Szkoda, że nie mam prawdziwego garnituru - powiedział.

- Wyglądasz wspaniale. - Uśmiechnęła się, starając się zapanować nad strachem. - Proszę cię, nie umieraj dzisiaj.

- To z pewnością nie byłby dobry pomysł - zgodził się, ale nie zdążył dodać nic więcej, bo w walkie - talkie rozległ się głos pułkownika.

- Nie odebraliśmy żadnych sygnałów radiowych w tym rejonie - powiedział, nie siląc się na żaden wstęp. - Jeśli myślisz, że...

Max wcisnął guzik nadajnika i urządzenie zapiszczało.

- Pułkowniku... - odezwał się, kiedy pisk ucichł. - Z pewnością pan wie, że do najnowszego systemu dowodzenia, jaki jest używany w Stanach Zjednoczonych, nie wykorzystuje się konwencjonalnych fal radiowych. Przez jakiś czas mój odbiornik był wyłączony, ale udało nam się go uruchomić. Rozmawiałem z prezydentem Bryantem, jak również z jego doradcami do spraw Indonezji, i zostałem dokładnie poinformowany o zaistniałej sytuacji. W pełni teraz rozumiem, że ta sprawa jest sprawą najwyższej wagi dla pana Nusantary i wymaga natychmiastowego załatwienia.

Max odetchnął głęboko.

- Wyraziłem panu prezydentowi swoje przeprosiny i pana również chcę poprosić o wybaczenie, sir. Kiedy zostałem zaangażowany w sprawę, która z pozoru wydawała się zwykłym uprowadzeniem, nie sądziłem, że Grady Morant jest poszukiwany za tak wiele różnych zbrodni zarówno przez rząd mojego kraju, jak i pańskiego. Proszę przekazać wyrazy ubolewania z powodu zaistniałej sytuacji także panu Nusantarze i zapewnić go, że prezydent Bryant i rząd Stanów Zjednoczonych w pełni popierają jego kandydaturę. Wierzimy, że jest najlepszym człowiekiem, który może stanąć na czele tego państwa pomimo jego dawnych nieroztropności. Prezydent

Bryant, a także ja osobiście jesteśmy gotowi zrobić wszystko, co w naszej mocy, by poprzeć kandydaturę pana Nusantary.

Max wciąż nie pozwalał, żeby pułkownik miał choćby cień szansy włączenia się do rozmowy.

- Skoro wszystko zostało już wyjaśnione, sir - kontynuował - to informuję, że otrzymałem rozkaz, aby pominąć amerykańską ambasadę i oddać Grady'ego Moranta w ręce władz indonezyjskich, które pan reprezentuje. Czy jest pan gotów zaraz go aresztować, czy musi pan poczynić jakieś przygotowania do ewentualnego przetransportowania Moranta z tej wyspy?

Max zwolnił przycisk włączający nadajnik, a Gina wstrzymała oddech.

- Zaraz się dowiemy, czy faktycznie za tym wszystkim kryje się Nusantara - powiedział do niej, ale także do Jonesa i Molly.

Ale z drugiego końca odpowiadała mu tylko głucha cisza. Jones podniósł do oczu lornetkę i popatrzył na czołg.

- Żadnego poruszenia - oznajmił. - Po prostu tam siedzą.

- Dlaczego on tak długo nie odpowiada? - zaniepokoiła się Gina.

Jules czuł, że głowa zaczyna mu pękać, kiedy próbował porozumieć się z matosem siedzącym w biurze CIA w Kupang.

- Tak, wiem, że wszyscy są w stanie podwyższonej gotowości - powtarzał. - Ale czy właśnie to nie jest jednym z powodów, dla którego utrzymywana jest ta gotowość? Żeby pomóc w nagłej sytuacji?

Już wystarczy.

- Proszę połączyć mnie z pańskim przełożonym - powiedział w końcu. - Odbiór.

- Niestety, teraz ja tu decyduję, sir. Mamy obecnie dość ograniczone możliwości reagowania. Czy chce nas pan powiadomić o zagrożeniu atakiem terrorystycznym? Odbiór. - Głos po drugiej stronie zabrzmiał nagle tak, jakby jego właściciel właśnie się obudził.

- Tak jest. Potwierdzam.

Jules doszedł do wniosku, że chyba po śmierci trafi prosto do piekła.

Miał to pewne jak w banku za wszystkie kłamstwa, których się dopuścił. Ale akurat to, o czym mówił teraz, nie było takim stuprocentowym łgarstwem.

- Mam wiele doniesień na temat komórki terrorystycznej, która została oblężona w górach na wyspie Meda. Czy macie gdzieś w pobliżu jakieś lotniskowce? Odbiór.

- Sir, to nie jest bezpieczne połączenie. Nie mogę ujawniać takich informacji. Odbiór.

Taak... Zupełnie jakby wszystkie wrogie rządy na całym świecie nie miały dostępu do satelitów wskazujących dokładne położenie każdej jednostki morskiej należącej do Stanów Zjednoczonych.

- Potrzebuję bezzwłocznie na wyspie Meda przynajmniej trzech helikopterów z pełną obsadą piechoty morskiej - powiedział Jules. - Czy może mi to pan zagwarantować? Odbiór.

Nastąpiła przerwa w rozmowie. Ale Jules czuł, że ten rodzaj milczenia zazwyczaj poprzedza negatywną odpowiedź.

Cholera, w dodatku znów zaczął krwawić. Nic dziwnego, że tak bardzo kręciło się mu w głowie.

Radio zatrzeszczało. A potem...

- Przykro mi, sir. Nie mogę tego zapewnić. Odbiór.

- Bardzo dobrze - powiedział Max. - Dziękuję panu, pułkowniku.

W takim razie wyprowadzam więźnia.

I wyłączył walkie - talkie.

To była chwila, o którą się modlił. I której jednocześnie tak bardzo się obawiał.

Molly płakała, ale tylko dlatego, że Jones zdążył już zejść na dół. Wstał, kiedy pułkownik oznajmił, że jest gotów aresztować Grady'ego Moranta. Poprosił, żeby Molly została na górze, pocałował ją na do widzenia, a potem poszedł do kuchni, żeby jak najbardziej upodobnić się do umarlaka.

Teraz przyszedł czas na Maksa.

Gina z całych sił walczyła, żeby się nie rozplakać.

- Pamiętaj, żeby zamknąć drzwi - przypomniał Max, trzymając ją moc no w objęciach. - Zarygluj je, kiedy tylko wyjdę. I nie otwieraj nikomu.

Skinęła głową.

- Z wyjątkiem ciebie. Tobie otworzę.

- Nie otwieraj nawet mnie - powiedział szybko. - Nie wiem jeszcze, co będę musiał powiedzieć pułkownikowi, by go przekonać, że on i ja jesteśmy po tej samej stronie. Jeśli Jones ma rację co do niego, to niewykluczone, że będzie chciał aresztować również ciebie i

Molly. A do tego za nic w świecie nie możemy dopuścić. Dlatego nie otwieraj tych drzwi, nawet jeśli zobaczysz, że to ja.

- A może ustalilibyśmy jakieś hasło? - rzuciła, zanurzając palce w jego włosach i przytulając się do niego całym ciałem. - Jeśli je usłyszę, będę wiedziała, że wszystko w porządku i że mogę otworzyć.

- Czy wiesz, że bardzo w tobie kocham ten twój spryt?

Gina uśmiechnęła się, ale Max wiedział, że ten uśmiech wiele ją kosztował. Wolałaby stać tak przez całą wieczność, trzymając go w objęciach. Zrozumiał to natychmiast, ponieważ czuł to samo.

Niestety, to nie wchodziło w rachubę.

Max pocałował ją, a ona przyłgnęła do niego, ponieważ wiedziała, czym była ta pieśczoła. Żadne z nich nie ośmieliło się powiedzieć tego głośno, ale oboje byli świadomi, że to mógł być ich ostatni pocałunek.

Na wieki.

- Naszym hasłem będzie piosenka Elvisa - odsunęła się, żeby mu to powiedzieć. - Jakakolwiek piosenka Elvisa. Ty zaśpiewasz, a ja wpuszczę cię do środka. Jeśli nie, to...

Wzruszyła ramionami. Max zaczął się śmiać.

- Wiem, chodzi ci o to, że chcesz usłyszeć, jak śpiewam.

- Pewnie. A jeśli jeszcze przy tym zatańczysz... No cóż, nie jest powiedziane, co zdarzy się potem, kiedy już otworzę te drzwi. - Popchnęła go lekko w stronę korytarza. - No to co, ty dzika bestio, niedługo się widzimy, tak?

Max, schodząc po schodach, nagle się zorientował, że uśmiecha się od ucha do ucha.

Zamiast obawiać się spotkania twarzą w twarz z groźnym pułkownikiem, przypominał sobie wszystkie ulubione utwory Elvisa i zastanawiał się, która z piosenek w jego wykonaniu wywoła największy uśmiech na twarzy Giny.

Całkiem możliwe, że nawet za dobrze się bawił, zważywszy na powagę chwili.

Chryste, naprawdę był pokręcony jak diabli.

Ale to nie miało już żadnego znaczenia. Max wiedział, że Gina kocha go niezależnie od wszystkiego.

Na dźwięk wystrzału, który dobiegł z kuchni, Molly podskoczyła ze strachu.

Czekała na ten dźwięk, bała się go, ale mimo to zareagowała właśnie w ten sposób.

Gina wyciągnęła rękę i ujęła mocno jej dłoń.

- Zobaczysz, że wszystko się uda - szepnęła.

- Wiem. - Molly starała się, żeby w jej głosie zabrzmiało takie samo przekonanie. - Wierzę w Maksa. Rozmawiając z tym pułkownikiem, przechodził samego siebie. Sama prawie mu uwierzyłam... Uwierzyłam, że chce przekazać Grady'ego.

Podczołgała się do lusterka i przechyliła tak, żeby móc wyjrzeć na ulicę przed domem.

Obie usłyszały trzask zamykanych drzwi. Gina dołączyła do Molly, żeby też spojrzeć.

- O Chryste... - Molly zatrzymała na moment oddech.

Max niósł Jonesa tak jak robią to strażacy - przerzucił go przez ramię jak worek z kartoflami.

Głowa Jonesa zwisała bezwładnie, a kiedy Max powoli oddalał się od budynku, Molly przez moment zobaczyła twarz męża.

Była cała czerwona, a włosy rozczochrane i polepione krwią.

- To nie jest ketchup - wyszeptała, czując, jak ogarnia ją paniczny strach. - Wielki Boże, Gina! Co Max mu zrobi!?!

Max doszedł do połowy drogi. W pamięci zaznaczył sobie miejsce na placu, które znajdowało się prawie dokładnie w takiej samej odległości od domu za jego plecami, jak od barykady złożonej z jeepów, ciężarówek i stojącego tuż za nimi ogromnego czołgu.

Sam fakt, że dotarł aż tutaj i jeszcze nikt nie nafaszerował go kulami, mógł być uznany za małe zwycięstwo.

Zwłaszcza że oprócz Jonesa niósł także mały pistolet kalibru dwadzieścia dwa. Tak trzymał broń w ręku, żeby cała widownia mogła ją dokładnie obejrzeć.

Oczywiście zasięg takiej dwudziestkidwójki można było porównać do zasięgu rurki, z której strzela się ziarnkami grochu.

Ale Max bez zawahania parł do przodu.

Sam marsz był wystarczająco trudnym zadaniem, zważywszy na świeżą ranę w pośladku, żeby nie wspomnieć o stu dziewięćdziesięciu funtach żywej wagi, które taszczył na ramieniu.

Ale szedł. Wypełniał swoje zadanie.

Tyle tylko że marynarka i krawat zdążyły już przesiąknąć potem. Poza tym Jones pobrudził je krwią.

Poranne słońce grzało aż do przesady. Ostatniej nocy spadł deszcz, ale cała wilgoć wyparowała już wiele godzin temu.

W końcu dostrzegł pułkownika Subandrio, który wychylał się zza czołgu. Wyglądał mniej więcej tak, jak opisywał go Jones. Przysadzisty, potężnie zbudowany, z głową osadzoną tak nisko, jakby połknął własną szyję, i olbrzymimi policzkami, które niemal opadały mu na ramiona.

Max posuwał się naprzód, choć każdy krok kosztował go wiele bólu.

Gina wbiegła za Molly do kuchni.

- To jest krew - zawołała Molly. - Max strzelił do Grady'ego!

- Nie, na pewno nie! - zaprzeczyła gorąco Gina, choć wcale nie była przekonana, czy Molly nie ma racji.

Czy właśnie nie o tym obaj mężczyźni dyskutowali tak cicho i poważnie, kiedy one zostały wysłane do pomieszczenia, gdzie przechowywali broń, żeby wybrały sobie karabiny, które będzie im najwygodniej trzymać?

A jeśli były dwa plany - pierwszy, o którym powiedzieli Ginie i Molly, i drugi, według którego Max rzeczywiście miał oddać Moranta w ręce pułkownika?

- O mój Boże... - szlochała Molly.

Krew była wszędzie, na kuchennej podłodze, stole, gałce jednej z szafek...

Smugi krwi były nawet w naczyniu z wodą, które stało w pobliżu zlewu.

Zupełnie jakby ktoś chciał obmyć ręce po popełnieniu makabrycznej zbrodni.

- Grady przecież powiedział, że muszą wszystko tak urządzić, żeby wyglądało prawdziwie - przypomniała Molly Gina.

Max nie zdobyłby się na coś takiego.

Na pewno?

Molly wybuchnęła łzami.

- Zabiję go za to - łkała. - Zabiję jak psa!

- Molly, zaczekaj! Co zamierzasz zrobić?! - zawołała Gina, kiedy Molly odwróciła się na pięcie i popędziła do schodów.

- Stać!

Ten rozkaz wreszcie padł, a Max nie znajdował się blisko niczego, za czym mógłby się schować. Ale posłusznie zatrzymał się, bo nie chciał rozwścieczyć pułkownika.

Stojący w grupie innych oficerów pułkownik wciąż wyglądał zza czołgu odległego od nich o mniej więcej dwadzieścia jardów.

- Rzuć broń!

To polecenie padło z ust człowieka, który przed przybyciem pułkownika Subandrio pełnił tu funkcję komendanta, jak uprzejmie określił to tłumacz.

- Pułkowniku, proszę pamiętać, że jesteśmy po tej samej stronie!
- zawołał Max. - Morant nie palił się do tego, żeby się z panem zobaczyć. Zaczął się opierać, więc... No cóż, powiedziano mi, że jest poszukiwany żywy lub martwy, toteż zdecydowałem, że najlepiej będzie dla wszystkich, jeśli raz na zawsze powstrzymam jego wybryki.

Gina popędziła po schodach za Molly.

- Hej! - wydyszała, siadając na podłodze, kiedy tylko przekroczyła próg pokoju. - Zaczekaj! Nie wiemy przecież...

Ale właśnie wtedy ujrzała przez okno, jak Max rzuca Jonesa na zakurzoną ziemię.

Wylądował na niej ciężko i bezwładnie, jakby nie było w nim życia... Wielki Boże...

- To tylko gra - powiedziała stanowczo do swojej przyjaciółki, jak by sama siebie chciała przekonać. - On nie jest martwy. Po prostu Max stara się w ten sposób nabrać pułkownika... Molly, spójrz, tutaj leży nóż. Moim zdaniem Grady skaleczył się w rękę. Zobacz, ma owiniętą jakąś szmatę dookoła dłoni... Bo gdyby Max do niego strzelił, no to wiesz, wszędzie byłyby bryzgi krwi. Na ścianach albo jeszcze gdzieś...

Max cały czas coś mówił. Widać to było sposobie, w jaki stał.

Widziała także tego małego paskudnego pułkownika, który nie miał ochoty wyjść zza czołgu przypuszczalnie dlatego, że Max wciąż trzymał w ręku broń.

I nagle ujrzała, jak Max odwraca się od pułkownika. Skierował pistolet w stronę Jonesa i...

Bum!

Do ich uszu dobiegło echo wystrzału. Obie z Molly przysiadły kompletnie ogłupiałe z przerażenia.

A potem Molly zupełnie straciła zmysły.

Jezu Chryste!

Max, ten pieprzony psychol, rzeczywiście do niego strzelił! Prosto w pieprzoną nogę!

Jones musiał użyć całej siły woli, żeby nie krzyknąć ani nie zacząć wrzeszczeć. Jakimś cudem udało mu się nawet nie drgnąć.

Ból ogarnął go jak płomień, ale on skupił się na oddychaniu - powolnym i płytkim. Pułkownik Subandrio z pewnością zwróciłby uwagę, że martwy człowiek zaczął haustami nabierać powietrze.

- Widzi pan, on nie żyje - usłyszał słowa Maksa skierowane do Subandria. Do jego uszu doleciał trzask rozpinanego rzepa, kiedy Max chował do kabury swoją dwudziestkędwójkę.

- Bardzo mi miło, że wreszcie pana poznałem, pułkowniku - zwrócił się przyjacielskim tonem do tamtego człowieka. - Wiele o panu słyszałem. Zwrócił pan na siebie uwagę nawet prezydenta Bryanta. Wspomniał coś o tym, że spotkał kiedyś pana w Dżakarcie.

- Jeszcze nigdy dotąd nie miałem przyjemności spotkać pana prezydenta - odezwał się pułkownik.

Ten wazeliniarski głos śnił się Jonesowi w nocnych koszmarach.

- W takim razie musiałem coś źle zrozumieć - oświadczył Max gładko. - Mówił coś o podróży do Dżakarty, więc pewnie ma ją w planach. I wymienił pańskie nazwisko, czyli przypuszczalnie będzie chciał pana poznać. Proszę wybaczyć moje roztargnienie, ale mam za sobą kilka naprawdę ciężkich dni. Spędziłem je na ściganiu Moranta i jestem pewien, że kto jak kto, ale pan wie, o czym mówię... - Roześmiał się beztrasko.

- Max! Ty cholerny sukinsynu!

Co jest, do jasnej cholery? Jones odkrył dalsze rezerwy samokontroli, bo nadal udało mu się pozostać w całkowitym bezruchu. To był głos Molly. Piskliwy i dobiegający z dalekiej odległości, ale zupełnie czytelny.

- Zabiję cię, ty skurwielu! - wrzeszczała. - Zabiję cię za to! Obiecałeś, że go nie skrzywdzisz! Obiecałeś!

Czy Molly naprawdę myślała, że...?

- Molly, na litość boską, przestań! Odsuń się od okna!

Ale kiedy Gina odsunęła się o krok, Molly, szlochając bez opamiętania, porwała z podłogi jeden z półautomatycznych

karabinków, na których przykładzie Jones pokazywał im, jak się strzela.

- Okay, Molly! - zawołała Gina do najbardziej szalonej osoby, jaką kiedykolwiek w życiu spotkała. - Już wystarczy! Odłóż tę broń, i to za raz! Molly, spójrz na mnie. Spójrz na mnie, do cholery! Zaufaj Maksowi, dobrze? Musisz wierzyć w Maksa!

- To jego żona - wyjaśnił Max pułkownikowi. - Musiałem ją ogłuszyć, zanim zabrałem się do Moranta. Najwyraźniej odzyskała przytomność.

Pułkownik Subandrio kupił tę historię bez mrugnięcia okiem.

Max nie miał pojęcia, która z dziewczyn wpadła na pomysł, żeby krzyczeć z okna, ale to był prawdziwy majstersztyk.

Bo dzięki temu pułkownik wylazł wreszcie zza czołgu.

Podszyty tchórzem komendant sunął tuż za nim, chcąc udowodnić, że wcale nie jest beznadziejnym żołnierzem. Tłumacz szedł z tyłu, ściskając w rękach walkie - talkie.

Max trącił nogą bezwładne ciało.

- Grady Morant nie wygląda już groźnie, prawda?

- Miał na swoim koncie wiele potwornych zbrodni - odezwał się pułkownik. - Raczej nikt nie będzie za nim tęsknił, z wyjątkiem jego... żony, powiedział pan?

O cholera... W tego typu grze nigdy nie należy z własnej woli ujawniać jakichkolwiek informacji, a Max właśnie rzucił Subandriowi kość. Jones nawet nie drgnął, ale Max czuł, jak wzbiera w nim wściekłość. W tym czasie pułkownik podszedł już całkiem blisko.

- O ile wiem, to zwykle się z nimi nie żenił. Zwykle je zabijał, kiedy już mu się znudziły. Przynajmniej to właśnie zrobił z moją siostrą. Nigdy nie udało nam się odnaleźć jej ciała.

Zakłamaną workę gówna.

Jones nie ruszył się. Nie skoczył na równe nogi i nie wrzasnął w twarz bezczelnemu kłamcy, że pierwszym miejscem, w którym ten gównojad powinien poszukać swojej zmarłej siostry, jest jego własny ogród, a dokładniej grządka z różami.

Ale czarne myśli zaczęły mu krążyć po głowie. Bo całkiem możliwe, że Max uwierzy słowom Subandria. Słowom pułkownika w pięknym mundurze, nie zaś byłemu współpracownikowi barona narkotykowego... Co będzie, jeśli Max pomyśli...

Ale Max bąkał tylko jakieś standardowe kondolencje, kiedy człowiek, którego Jones oskarżał o torturowanie dzieci na oczach ich rodziców, znów skierował temat rozmowy na Molly.

- Chciałbym ją poznać, tę żonę Moranta...

Raczej trudno będzie ci to zrobić, pomyślał Jones. Diabelnie trudno! Ale Max zgrabnie ominął niebezpieczną rafę.

- Nie wydaje mi się, żeby zgodziła się stamtąd wyjść, dopóki nie przylecą helikoptery z piechotą morską - oświadczył beztrzesko.

Te słowa wcale nie były takim kłamstwem, jak mogłoby się wydawać. Max po prostu pominął fakt, że dotąd nie nawiązali kontaktu z dowództwem piechoty morskiej. Ale to się stanie, gdy tylko dorwą jakieś radio.

- Helikoptery? - dopytywał się Subandrio.

- To standardowa procedura - oznajmił Max. - Powinny tu być lada chwila. Startują z lotniskowca, który znajduje się na wschód od wyspy Meda. Czy to jest wschód?

Jones miał zamknięte oczy, więc nie widział Maksa wskazującego na góry, ale wyobrażał sobie, że właśnie taki gest wykonał.

To był umówiony sygnał. I rzeczywiście, Molly i Gina otworzyły ogień z okna na piętrze.

A nagle Jones powrócił do życia.

- Uwaga! - wrzasnął Max, blokując czającego się za pułkownikiem komendanta.

Jego ramię uderzyło w klatkę piersiową mężczyzny i obaj zwalili się w kurz ulicy. Max szamotał się, starając się go przytrzymać i jednocześnie wyrwać spod ubrania broń - nie słabiutką dwudziestkędwójkę, ale czterdziestkęczwórkę zdolną odstrzelić kończynę - ale robił to tak, żeby wydawało się, iż stara się osłonić komendanta przed atakiem.

Jones skoczył na kark pułkownika jak szalony zombi, który dobrał się wreszcie do swojej ofiary. Białka jego oczu lśniły dziko w pokrytej krwią twarzy, kiedy włókł Subandria, trzymając go na muszce, aż wreszcie jego plecy oparły się o bok czołgu. Dobry plan, pomyślał.

- Wstrzymajcie ogień! - wrzasnął, kiedy strzelanina w końcu ucichła.

Max gramolił się obok na równe nogi. Przed sobą trzymał jak tarczę nieszczęsnego komendanta, a lufę pistoletu wbił w jego gardło.

- Wyciągnij ręce tak, żebym je widział - syknął.

Jones powtórzył te same słowa pułkownikowi, tyle że w znacznie bardziej barwnym języku.

Tłumacz leżał płasko z twarzą ku ziemi, Jones kopnął więc w jego kierunku chmurę pyłu.

- Hej, ty! - zawołał rozkazującym tonem. - Powiedz im, że mają się wycofać albo zabiję pułkownika, a potem, kurwa mać, zabiję także ciebie!

„Strzelając, liczcie do czterech, nie więcej, a potem zmykajcie na dół” - słowa Jonesa dzwięczały w głowie Giny razem z dzwonekami, które były reakcją na cztery sekundy ogłuszającego huk.

Pociągnęła Molly za sobą, aż obie oparły się plecami o ścianę.

- Ruszał się, widziałas? - spytała Molly, która tylko skinęła głową, a łzy pociekły jej po policzkach.

- Naprawdę myślałam, że on nie żyje.

- Wiem - odparła Gina i mocno przytuliła przyjaciółkę. - Wszystko z nim w porządku. Z obydwojema wszystko w porządku.

Jak dotąd.

Ale gra jeszcze się nie skończyła.

Pułkownik Subandrio przyjął tę nieoczekiwaną zmianę miejsc z pełną pogardą odwagą, za to zakładnik Maksa miał mokre spodnie.

- Powinienem to przewidzieć - odezwał się do Jonesa. - Ale chyba nie myślisz, że się wymkniesz, co? Jest was dwóch przeciwko kilkuset żołnierzom.

Jones przycisnął broń po podbródka Subandria, a jednocześnie drugą ręką zgrabnie przeszukał kieszenie więźnia, wyrzucając z nich prosto na ulicę nóż, portfel i rewolwer z inkrustowaną perłami rękojeścią.

- Gdzie jest radio, żeby skontaktować się z załogą czołgu?

- Ja go nie mam - odparł pułkownik, ale jego spojrzenie powędrowało na ułamek sekundy w kierunku tłumacza.

W porządku.

- A jeśli sądzisz...

- Stul ten cholerny pysk! - Jones przesunął lufę w stronę ucha pułkownika.

- Rozkaż żołnierzom, by się wycofali - polecił pułkownikowi Max. - Każ załodze czołgu otworzyć właz i wyjść na zewnątrz. Natychmiast!

- Mam was gdzieś - odparł Subandrio. - Rzućcie broń albo rozkażę, żeby czołg rozpoczął ostrzeliwanie domu. Wystarczy jedno moje słowo i...

Max spojrzał znacząco na Jonesa.

A ten, nie mrugnawszy nawet okiem, wpakował dwa pociski prosto w głowę Subandria, a następnie delikatnym ruchem opuścił zwłoki na ziemię.

Max skupił uwagę na komendancie, który chyba znów narobił w spodnie.

- Rozkaż żołnierzom, żeby się wycofali, a załodze czołgu, żeby wyszła na zewnątrz. Szybko.

To tylko kwestia czasu, kiedy któryś z otaczających ich żołnierzy zdecyduje się odegrać rolę bohatera, i Max świetnie o tym wiedział.

Przerażony komendant gapił się na leżące u jego stóp ciało Subandria, ale zaraz podniósł głowę, bo Jones przysunął się bliżej.

- Masz to zrobić natychmiast - warknął.

Rozdział Dwudziesty piąty

Jules przybył za późno. Kiedy mini Rexiego Emalii wpadł w poślizg przy gwałtownym hamowaniu, Jules ujrzał na środku placu ciało leżące obok czegoś, co bez wątplenia było potężnym czołgiem.

Wygramolił się z auta, ale uraził się przy tym w złamaną nogę i mało nie zwymiotował z bólu. Ale na takie sprawy nie było teraz czasu; Jules wsparł się na kulach i kuśtykając, zbliżył się do zwłok.

To nie był Max. Ani Jones.

Ten mężczyzna bardziej przypominał ropuchę niż człowieka, choć miał na sobie piękny mundur... Wyglądał jeszcze bardziej paskudnie niż wtedy, kiedy zaczynał ten dzień, bo brakowało mu połowy twarzy.

Dom po drugiej stronie placu - dom Emilia - ciągle był w jednym kawałku. Sądząc z pozycji, jakie zajęli żołnierze, to właśnie w tym budynku zaszyli się „terrorysty”.

Najwyraźniej Max i spółka nie zdołali opuścić siedziby Emilia po tym, jak Jules wyjechał razem z gospodarzem na przyjemną wycieczkę w góry.

- Kto tutaj dowodzi? - wrzasnął z całych sił.

Ale nikt mu nie odpowiedział. No jasne, przecież zawołał po angielsku.

Usłyszał zawodzenie silnika małego samochodu i odwrócił się w samą porę, by zobaczyć jak Rexi mruga mu na pożegnanie światłami i rusza z miejsca. Hej, wielkie dzięki, powiedział w myślach! Oczywiście nie było szans, żeby Rexi mógł mu pomóc w kłopotach z tłumaczeniem.

Czuł się naprawdę niezręcznie, zupełnie jakby się znalazł na planie filmowym. Jakby żołnierze rozmieszczeni w strategicznych punktach dookoła placu byli aktorami, którzy właśnie mieli przerwę w zdjęciach, więc gadali coś między sobą, drapali się pod pachami i popijali wodę albo palili cygara.

W końcu podszedł do niego mężczyzna, który wyglądał na oficera.

- Amerykanin? - zapytał krótko.

- Tak - powiedział Jules, a wtedy z ust tego człowieka popłynął potok słów, któremu towarzyszyło intensywne wymachiwanie rękoma w stronę leżącego na ziemi ciała, żołnierzy, jeepów, czołgu i domu.

Niestety jego wywód nie miał nic wspólnego z językiem angielskim ani z hiszpańskim, którym Jules też władał całkiem niezle.

- Proszę mówić po angielsku - powiedział, kiedy tamten przerwał na moment dla zaczerpnięcia oddechu. - Czy ktokolwiek tutaj mówi po angielsku?

I znów oficer wskazał czołg.

A czołg - jakby na dany sygnał - nagle ożył.

Znakomicie.

- Przekaż swoim ludziom, że mają się cofnąć... - Jules próbował po rozumieć się na migi. Wskazał na swoje usta, a potem na szyk żołnierzy. Wszystko dobrze, ale jak sformułować na migi następną część zdania? - ... i nie strzelać. - Pokazał broń, którą oficer trzymał w ręku, udał, że przymierza się do strzału, a potem zrobił przesadnie szeroki gest oznaczający „nie”.

Oficer zdawał się uradowany tym, że może coś przekazać żołnierzom.

Tylko co zrobić z tymi wewnątrz czołgu? Kto zanieś im wiadomość?

Jules zwrócił się w stronę żelaznego olbrzyma, ale wówczas olbrzym cofnął się nieco i z szarpnięciem zatrzymał. Potem ruszył w przód i znowu stanął. Wieżyczka przekreśliła się w prawo, potem w lewo, jakby ktoś testował właśnie wszystkie układy.

Jules był tuż obok, tylko jak, do cholery, miał zwrócić na siebie uwagę załogi?

Zapukać w kadłub?

Czołg znów drgnął. Ruszył powolutku, kierując się prosto w stronę domu Emilia.

Nie potrzeba było wielu strzałów z działa czołgowego - zwłaszcza z bliska - żeby zmienić budynek w stertę dymiących gruzów.

- Hej! - powiedział Max do Giny. - Wyjrzyj przez okno.

Gina i Molly leżały na plecach na podłodze w pokoju na piętrze zupełnie wyczerpane. Głos Maksa, który jasno i wyraźnie dobiegł z walki - talkie, był najśłodszy dźwiękiem, jaki Gina kiedykolwiek słyszała.

Molly chwyciła walkie - talkie i zaczęła przeproszać Maksa za to, że chciała go zabić, ale niech jej powie, czy rzeczywiście postrzelił Grady'ego tam, na placu?

Zanim Max zdążył cokolwiek powiedzieć, Jones był już przy nadajniku. Tak, Max strzelił do niego, ale rana okazała się powierzchowna. Max znakomicie potrafi celować i wszystkie ważne narzędzia nadal znajdowały się tam, gdzie powinny.

Część A planu zakończyła się wspaniałym sukcesem. Max i Jones uzyskali całkowitą kontrolę nad czołgiem. Niestety, część B okazała się nieco bardziej problematyczna, ponieważ opierała się na założeniach, że w czołgu musi być radio. Ale radio nie było. Przynajmniej nie było nic lepszego niż ten sam rodzaj walkie - talkie, jaki już mieli w ręku. Postanowili więc zmienić plany i tak wymanewrować czołgiem, żeby zatrzymał się tuż przed domem i stał tam na straży jak olbrzymi groźny pies. Wcześniej czy później pomoc powinna nadejść. A dopóki musieli liczyć wyłącznie na siebie, lepiej było, że to właśnie oni sprawowali kontrolę nad największą strzelbą na wyspie.

Mimo to Max powiedział Ginie, że gotów jest się założyć, iż pomoc nadejdzie ze strony miejscowych władz. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że wzięli do niewoli komendanta i tłumacza.

Ale teraz Max chciał jedynie, żeby Gina wyjrzała przez okno.

- Kawaleria przybyła na odsiecz - powiedział tylko.

Ktoś stał tuż naprzeciw czołgu. Jakiś oparty na kulach chłopak ubrany w strój surfera. Kimkolwiek był, jedną rękę trzymał wyciągniętą ku górze jak policjant zatrzymujący ruch na skrzyżowaniu.

Oczywiście czołg posłusznie się zatrzymał.

A Gina nagle uświadomiła sobie, że to nie jest żaden surfer, tylko Jules Cassidy.

Jules żył!

A już myślała, że nie ma siły krzyczeć.

Max śmiał się do rozpuku, spoglądając w szparę w pancerzu czołgu.

- On nie ma pojęcia, że my tu jesteśmy.

Psiakrew, Jules wyglądał tak, jakby się zderzył z autobusem.

- Chryste Panie, ten gość naprawdę ma jaja - zachwycił się Jones i odwrócił się do tłumacza, który wciąż nie mógł uwierzyć, że nikt nie zamierza go zabijać. - Otwórz włącznik.

- Tak jest, sir. - Wykonał polecenie i wysunął głowę na zewnątrz.

- Czy mówisz po angielsku? - przez uchyloną klapę Max usłyszał pytanie Julesa.

- Tak jest, sir.

- Więc powiedz oficerowi, który dowodzi czołgiem, żeby się cofnął. Tak naprawdę, żeby w ogóle opuścił to miejsce. Teraz ja odpowiadam za całą sytuację. Nazywam się Jules Cassidy, jestem Amerykaninem i agentem Federalnego Biura Śledczego. W drodze są już uzbrojone helikoptery z piechotą morską. Powinny nadlecieć tu lada chwila. Są wyposażone w broń przeciwpancerną, więc lepiej się wycofajcie, póki czas.

- Powiedz mu, że Jones pyta, czy helikoptery naprawdę już tu lecą, czy to takie zwykłe pieprzenie, którego uczą w FBI, żeby mydlić ludziom oczy, kiedy zajdzie potrzeba.

Tłumacz powtórzył pytanie.

Max widział, jak zaskoczenie i ulga przemknęły przez twarz Julesa.

- Czy Max też tam jest? - spytał.

- Tak jest, sir - odparł tłumacz.

- Cholera jasna. - Jules uśmiechnął się od ucha do ucha. - Powinienem być zostać w szpitalu.

- Słyszę helikoptery! - zawołała Gina przez walkie-talkie. - I już je widzę. To Amerykanie!

Max odetchnął głęboko, nacisnął guzik i zaśpiewał: Love me tender, love me sweet, never let me go...

Jones siedział w kuchni w domu Emilia, trzymając Molly w objęciach.

Pomogła mu wyczyścić się z rozmaitych fałszywych ran i z satysfakcją stwierdziła, że w jego nodze nie tkwi pocisk z dwudziestkidwójki.

- Wiedziałeś, że on ma zamiar to zrobić? - pytała. - Że chce do ciebie strzelić?

- Nie - odparł Jones. - Ale to był natchniony pomysł.

- Myślałam, że on cię zabił - przyznała Molly. - Pierwszy raz od długiego, bardzo długiego czasu byłam tak wściekła, że aż gotowa komuś zrobić krzywdę.

- Witaj w moim świecie - powiedział. - Wiesz co? To muszą być hormony.

Molly zaśmiała się, ale zabrzmiało to cokolwiek za poważnie.

- Ostatni raz pozwalam ci coś podobnego powiedzieć... -
Rozejrzała się dookoła. - Wiesz, że jesteśmy sami?

- Wiem.

Jones świetnie się orientował, dokąd Molly zmierza, a naprawdę nie miał chęci na tę rozmowę. Próbował więc skierować ją na inną tory.

- A co? Chcesz rozwalić w drobny mak ten stary kuchenny stół?

Roześmiała się, ale znów zbyt szybko spoważniała.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że zawarłeś z Maksym pewien układ...

- I nic się nie zmieniło - odpowiedział. - Jeśli cokolwiek, to tylko tyle, że teraz zawdzięczam mu jeszcze więcej.

- A nie przyszło ci do głowy, że może celowo odkładał rozmowę z kapitanem marines, żeby umożliwić ci ucieczkę?

- Jeśli nawet, to co z tego? Dałem mu słowo. Wiesz, Mol, rozmawialiśmy trochę, kiedy siedzieliśmy w tym czołgu. O tym, że mogę spróbować zawrzeć pewien układ. Informacje na temat Heru Nusantary w zamian za czyste konto. Za szansę powrotu do domu. Żebym mógł razem z tobą wychowywać nasze dziecko.

- Czy to nie nazbyt... ryzykowne?

- Twoim zdaniem bardziej ryzykowne niż czekanie z chemioterapią do narodzin dziecka?

- Masz rację - odrzekła.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, aż wreszcie Molly odchrząknęła.

- Może chcesz porozmawiać o tym...

- ... o tym, co widziałaś z okna? - wpadł jej w słowo.

Znów dokładnie wyczuł, o czym myślała. O tym, jak zabił Rama Subandrio.

- Nie - odparła. - To znaczy, ja patrzyłam, ale tak naprawdę nie widziałam, co się stało. Po prostu w jednej chwili stał przed tobą, a za moment już leżał na ziemi.

- Bo to mniej więcej tak właśnie wygląda.

- Czy to cię dręczy? - spytała.

- Czy czuję się winny, że go zabiłem? Nie. Kiedyś widziałem, jak z zimną krwią zamordował dwuletnie dziecko. Kiedy wychodziliśmy stąd z Maksymem, miałem coś na kształt nadziei, że skończy się tak, jak się skończyło.

- Puk, puk. - W drzwiach ukazała się głowa Giny.

- Wejdz, prosimy - zawołał Jones. - Dla odmiany my mamy na sobie swoje ciuchy. Och, zaczekaj, to przecież ciebie przyłapałem na uprawianiu seksu na...

- No dobrze... - mruknęła Gina. - Czy kiedykolwiek zostanie mi to wybaczone i puszczone w niepamięć?

- W końcu pewnie tak - pocieszyła ją Molly. - Co innego Max śpiewający piosenkę Elvisa przez walkie - talkie... Kochanie, tego do śmierci nie zapomnę.

- Moim zdaniem to było urocze - powiedział Jones.

- Śpiewanie czy wyczyny na stole? - spytała prowokacyjnie.

- I to, i to - odparł. - A teraz poważnie, Gina. On jest w porządku. Kiedyś nie znosiłem go za to, że byłaś przez niego taka nieszczęśliwa, ale teraz... Teraz myślę, że to porządny facet.

Gina skinęła głową.

- Jest bardzo troskliwy i liczy się z innymi, i... Ach, jeśli już o tym mówimy, to prosił mnie, żeby wam to oddać.

Wręczyła Molly telefon komórkowy.

- Kazał powiedzieć, że marines założyli tymczasowe wieże przekaźnikowe. Teraz w Hamburgu jest siódma czterdzieści siedem rano, a klinikę otwierają o siódmej, więc... - podała jeszcze jakiś świstek. - Tu jest zapisany numer telefonu. Poproś doktora Blooma.

- Chyba nie podadzą mi przez telefon wyników biopsji... - rzekła Molly. - Myślicie, że podadzą?

Wyniki biopsji, dzięki której dowiedzą się, czy Molly ma raka i jak bardzo jest on zaawansowany. Jones był zadowolony, że siedzi.

- Wcale nie muszą ci odmówić - powiedziała Gina. - Max posłał do nich kogoś z biura w Hamburgu, żeby z nimi porozmawiał i wyjaśnił, co się dzieje. Doktor Bloom czeka na twój telefon. Wie, że wyjechałaś z miasta w pewnego rodzaju ważną podróż.

Objęła Molly, a potem ruszyła do drzwi. Ale Molly złapała ją za rękę.

- Zostań - poprosiła.

Jones wyjął z rąk żony karteczkę i telefon i wybrał numer.

Kapitan piechoty morskiej Ben Webster był całkiem wyluzowany jak na faceta, który wyglądał tak, jakby bez trudu mógł dźwignąć całą zachodnią półkulę.

Wydawał się zadowolony z faktu, że chociaż on i jego ludzie zostali wysłani na wyspę Medę, żeby skopać tyłki jakimś terrorystom,

to na miejscu okazało się, że zamiast walki czeka ich robienie porządku po żenującym incydencie, który udowodnił udział wysokiego rangą indonezyjskiego oficera pułkownika Subandrio w porwaniu i morderstwie, a także ujawnił jego powiązania z gangiem handlarzy bronią i siatką terrorystyczną.

Max upewnił się, że dysk z komputera Emilia został odpowiednio zabezpieczony. Marines zostali rozmieszczeni dookoła domu w celu pilnowania go, przynajmniej do momentu przyjazdu specjalnego zespołu CIA z biura w Dżakarcie, którego zadaniem będzie dokładne przeszukanie budynku.

- Proszę mi wybaczyć, panie Bhagat, że panu przeszkadzam...

Max przerwał konwersację z Websterem i zobaczył, że obok nich stoi jeden z sanitariuszy służących w oddziałach piechoty morskiej.

- O co chodzi, kapralu?

- O pańskiego współpracownika, pana Cassidy, sir. Moim zdaniem trzeba go zabrać do pokładowego szpitala - oświadczył z poważną miną żołnierz. - Jego noga powinna zostać prawidłowo złożona. Zgoda, została umieszczona w szynie, ale musimy obejrzeć ją jeszcze raz. W dodatku na skutek postrzału utracił wiele krwi. Oprócz tego ma obrażenia głowy, a to może okazać się dość niebezpieczne.

- Dobrze - odparł Max. - Zabierzcie go.

- Tak, sir, ale w tym jest cały problem. On nie chce jechać z nami. Upiera się, że musi porozmawiać z panem i z kapitanem Websterem.

O wilku mowa... Jules, kuśtykając, zmierzał w ich kierunku. Na powitanie wyciągnął rękę.

- Kapitanie Webster, raz jeszcze powiem, że niezmiernie mi miło pana poznać. Pańscy ludzie mają o panu bardzo dobre zdanie. - Obaj mężczyźni wymienili uścisk dłoni. - Nie chciałem odjeżdżać, nie podziękowawszy panu - dodał.

- To chyba ja powinienem dziękować - odparł Webster z uśmiechem. - Moi ludzie są szczęśliwi, że choć na chwilę zeszli na ląd. Zostaliśmy wysłani i postawieni w stan gotowości, odkąd rozeszły się pogłoski o zagrożeniu brudną bombą. Mieliśmy nadzieję, że dostaniemy rozkaz powrotu do San Diego i przez jakiś czas wyglądało na to, że tak się stanie. Oczywiście, kiedy przeprowadzono

atak na ambasadę w Dżakarcie, byliśmy daleko jak cholera, o wiele za daleko, żeby w czymkolwiek pomóc.

Jules odwrócił się do Maksa.

- Nie wiem, czy pan słyszał, sir, ale ten atak pochłonął niewiele ofiar.

- Ale jednak. To bardzo nas sfrustrowało - mówił dalej Webster.
- Przyznam, że nie każdego dnia otrzymujemy rozkazy bezpośrednio z Białego Domu.

Co? Max spojrzał na Julesa.

- Tak, no cóż... - Jules tylko przez krótką chwilę odwzajemniał to spojrzenie.

- Miło się z wami gawędzi... - wtrącił Webster - ... ale wiecie, ten nasz Barney to sprytny dzieciak. Jeśli on mówi, że powinien pan trafić do szpitala, to znaczy, że powinien pan jechać.

- Jeszcze raz dziękuję panu, sir. - Jules na pożegnanie raz jeszcze uściskał dłoń kapitana.

- A ja jeszcze raz mówię „proszę bardzo”. - Kapitan uśmiechnął się ciepło. - Wracam na statek około dziewiętnastej. Jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu, zajrzę do szpitala, żeby sprawdzić, jak się pan czuje.

Sukinsyn. Czyżby swój trafił na swego? Max jeszcze raz przyjrzał się Websterowi. Wyglądał jak normalny oficer piechoty morskiej. Umieśniony, ubrany w starannie dopasowany mundur, z gładko przyczesanymi włosami... Nic nie wskazywało na to, że jest gejem. Poza tym z takim samym uśmiechem zwracał się również do Maksa. Facet był po prostu życzliwy i przyjaźnie usposobiony. A jednak... Jules sprawiał wrażenie podenerwowanego.

- Dziękuję - powiedział. - To będzie... To miło z pańskiej strony. Czy wybaczy nam pan na sekundę? Muszę porozmawiać z Maksem w cztery oczy, zanim... uh, zanim pojedę na statek.

Webster uściskał dłoń Maksa.

- To był dla mnie prawdziwy zaszczyt poznać pana, sir.

I znów uśmiechnął się do Julesa. No tak, jednak był to całkiem inny uśmiech niż ten, który kierował do Maksa.

Max zaczekał, aż kapitan i sanitariusz znajdą się w takiej odległości, że na pewno nie usłyszą niczego z ich rozmowy.

- Czy on...? - zawiesił znacząco głos.

- Och, nie pytaj, nie pytaj! - zawołał Jules. - Ale... Mój Boże!

- Wydaje się całkiem miły - zauważył Max.
- Bo jest miły.
- No więc do rzeczy. Chodzi o Biały Dom?
- Tak, właśnie... - Jules wziął głęboki oddech. - Powinienem ci powiedzieć, że być może będziesz miał telefon od prezydenta Bryanta.
- Być może... - powtórzył Max.
- Tak - potwierdził Jules. - W bardzo konkretnej sprawie. - Mówił szybko, starając się łączyć słowa. - Odbyłem z nim bardzo interesującą rozmowę, w trakcie której wymknęło mi się coś o twojej rezygnacji. Był bardzo niezadowolony z tego powodu, więc powiedziałem, że może uda mi się namówić ciebie na powrót do służby, jeśli zaraz wyda rozkaz, żeby trzy helikoptery z pełną obsadą marines wyleciały w kierunku wyspy Meda, i to jak najszybciej.
- Zadzwoiłeś do prezydenta Stanów Zjednoczonych? - Max nie mógł się nadziwić. - W czasie międzynarodowego zagrożenia terrorystycznego? I po prostu użyłeś subtelnego szantażu, żeby wysłał tu piechotę morską?
- Jules zastanowił się przez chwilę.
- Tak. Tak właśnie było. Chociaż to była bardzo dziwna rozmowa, ponieważ rozmawiałem przez radio z jakimś gburem z biura CIA. Kazałem mu zadzwonić w moim imieniu do prezydenta... Wyszedł z tego pewien rodzaj sztafety.
- Zadzwoiłeś do prezydenta... - powtórzył Max. - A połączenie uzyskałeś...
- No wiesz, miałem przy sobie twoją komórkę. Przypadkowo włączyłem ją i... w twojej książce telefonicznej był bezpośredni numer prezydenta...
- Max skinął głową.
- Rozumiem - powiedział krótko.
- No więc? - pyta! Jules. - Wrócisz do roboty? Czy mogę zadzwonić do Alana i mu to powiedzieć? Wiesz, zdążyliśmy już przejść na ty, ja i prezydent.
- Nie - odparł Max. - Jest coś więcej. Kiedy będziesz dzwonił do swojego kumpla Alana, powiedz mu, że owszem, jestem zainteresowany powrotem do służby, ale czekam na jego zgodę na zawarcie pewnej umowy z byłym rezerwistą sił specjalnych.
- Chodzi o Grady'ego Moranta - domyślił się Jules.

- On dysponuje pewnymi informacjami na temat Heru Nusantary, które mogą zainteresować prezydenta. W zamian chce otrzymać pełne odpuszczenie win i nową tożsamość.

Jules skinął głową.

- Według mnie to się da załatwić.

Ruszył w stronę helikoptera, ale po kilku krokach odwrócił się raz jeszcze.

- Wiesz może, jak ma na imię Webster?

- Ben - powiedział z uśmiechem Max. - Miłych wakacji.

- Leczenie w szpitalu rany postrzałowej to nie są wakacje. Chryste, powinieneś to sobie gdzieś zapisać. Na rękę albo w innym widocznym miejscu.

Max zaczął się śmiać.

- Jules...?

Jules znowu się odwrócił.

- Tak?

- Dzięki, że okazałeś się takim dobrym przyjacielem.

Twarz Julesa rozświetlił piękny uśmiech.

- Nie ma za co, Max.

Nagle uśmiech zbladł.

- Uhu, głowa do góry... Na szóstej godzinie widzę płaczącą dziewczynę. I to twoją dziewczynę.

O Boże, nie... Max odwrócił się we wskazanym kierunku i ujrzał pędzącą ku niemu Ginę.

Chryste, niech to będą łązy radości!

- I jaki werdykt? - zapytał bez tchu.

A Gina powiedziała właśnie to słowo, o które się modlił.

- Łagodny.

Max porwał ją w ramiona - tę kobietę, która okazała się miłością jego życia - i złożył na jej ustach gorący pocałunek. Na oczach wszystkich marines.

Rozdział Dwudziesty szósty

Los Angeles, Kalifornia

29 czerwca 2005

Kiedy koła samolotu dotknęły pasa startowego w porcie lotniczym Los Angeles, Molly ścisnęła dłoń Jonesa.

- Wszystko w porządku? - spytała.

Przez ostatnie kilka minut siedział przyklejony do okna i patrzył, jak w miarę zbliżania się do lotniska, Los Angeles robi się coraz większe i większe, ale teraz przeniósł wzrok na żonę.

- Chyba podświadomie wciąż czekam na to, że zaraz otoczy mnie żandarmeria wojskowa z bronią gotową do strzału i każą mi położyć się twarzą do ziemi.

- Na pewno nic podobnego się nie zdarzy - powiedziała z przekonaniem.

Jones skinął głową. Nawet zdobył się na coś w rodzaju uśmiechu.

Ale i tak nie wierzył w to, co mówiła.

I rzeczywiście, kiedy z głośników odezwał się głos wzywający pasażerów do pozostania na swoich miejscach aż do momentu zatrzymania się maszyny, podeszła do nich jedna ze stewardes.

- Sir, otrzymaliśmy wiadomość z ochrony lotniska. Jest pan proszony o pozostanie na pokładzie, dopóki pozostali pasażerowie nie opuszczą samolotu.

Jones rzucił Molly pospieszne spojrzenie. „A widzisz”, mówił jego wzrok.

- Dziękuję - zwrócił się do stewardesy.

Ale Molly ją zatrzymała.

- Przepraszam - powiedziała. - Czy wyniknął jakiś problem?

W odpowiedzi ujrzała promienny uśmiech.

- Absolutnie nie - wyjaśniła dziewczyna. - Chyba po prostu osoba, która na pana czeka, nie chciała, żeby zgubił się pan w tłumie.

- Widzisz? - Molly zwróciła się do Jonesa. - To nic wielkiego.

Ale on i tak nie wierzył.

- Cokolwiek się zdarzy, obiecuję, że polecisz jutro do Iowa, dobrze?

Przede wszystkim chciał, żeby odwiedziła matkę, a także lekarza, który ją leczył.

- Okay - zgodziła się potulnie, żeby poprawić mu humor.

- Mówię całkiem poważnie.

- Wiem. - Pocałowała go. - Hej, Byron się obudził. Byron?!

- A co, nie podoba ci się? - Najwyraźniej zaczynała mu dokuczać.

Jones potrząsnął głową. Samolot z wolna pustoszał, a on przywarł dłonią do brzucha Molly, żeby poczuć, jak ich dziecko zaczyna tańczyć.

- Przepraszam... Czy państwo Jonesowie?

Mężczyzna, który szedł wzdłuż rzędów foteli w ich kierunku z pewnością był agentem FBI. Musiał nim być. Ciemny garnitur, nierzucający się w oczy krawat...

- Nazywam się George Faulkner - powiedział. - Pracuję dla Maksa Bhagata. On bardzo żałuje, że nie mógł przybyć osobiście. Chciał mieć pewność, że wszystko przebiegło bez zakłóceń i że państwa potrzeby zostały zaspokojone.

- Dziękujemy - odezwała się Molly w imieniu ich obojga, bo choć Jones uścisnął rękę nieznanego, nie wierzył w to, co tamten mówił.

Nie było możliwości, żeby niezatrzymywany przez nikogo miał opuścić pokład tego samolotu.

Ale Faulkner trzymał w ręku jakąś walizeczkę. Teraz ją otworzył i wyjął ze środka coś, co wyglądało na dokumenty.

- To dla państwa - powiedział.

Paszporty. Prawa jazdy. Świadectwa urodzenia. Karty ubezpieczenia społecznego. Dokumentacja wojskowa z dzisiejszą datą poświadczająca honorowe zwolnienie ze służby sierżanta... Papiery wystawiono na Williama Davisa Jonesa.

Faulkner mówił coś jeszcze, ale Jones go nie słuchał. Molly kiwała głową, najwyraźniej przywiązując dużą wagę do jego słów.

- To zaległa wypłata - powiedziała, kiedy spojrzał pytająco na koper tę, którą podawał mu Faulkner.

Jones otworzył ją i... Psiakrew, tego naprawdę się nie spodziewał.

Spodziewał się, że będzie leżeć z policzkiem przytulonym do chodnika, a potem skują mu z tyłu ręce i wepchną do czekającego w pobliżu wozu policyjnego.

Z niedowierzaniem patrzył na raczej pokaźną sumkę wypisaną na czeku i...

I ciągle nie mógł uwierzyć.

Molly zebrała swoje torby i książki, a Faulkner zdjął ich bagaże w górnej półki. Jones poszedł za nimi w stronę wyjścia z samolotu, przy którym stała uśmiechnięta stewardesa i mówiła im „do widzenia”.

Pasaż prowadzący do wyjścia wyglądał jak wyjęty z filmu fantastycz - nonaukowego... Naprawdę minęło już sporo czasu, odkąd Jones ostatni raz był w Los Angeles. Sama bramka została oddzielona od reszty terminalu tymczasowymi ściankami, które tworzyły korytarz wiodący podróżnych do taśm z bagażami. Zdaniem Jonesa trochę przypominało to tunel, przez który przechodziło bydło w rzeźni.

Faulkner mówił coś na temat samochodu czekającego na nich przed wyjściem i gawędził z Molly na temat spodziewanego terminu rozwiązania oraz restauracji w pobliżu ich hotelu, które jego zdaniem były godne polecenia.

W pewnym momencie Molly wzięła męża za rękę.

- Dobrze się czujesz? - spytała ponownie.

Przytaknął, ale czuła, że kłamie. Nie puściła jego dłoni.

- Nie nadawaliśmy niczego na bagaż - poinformowała Faulknera.

- Wiem - odparł. - Ale teraz muszę was prosić, żebyście obydwójcie podeszli tutaj i...

Więc to tak. Jones wyjął z kieszeni kopertę z czekiem i wsunął w dłoń Molly.

- Lepiej ty to weź - powiedział i bez wahania skrzył za róg, gdzie czekał na niego...

Orkiestra wojskowa? Grający na powitanie Slars and Stripes Forever... A nad nimi rozpostarty był olbrzymi transparent z napisem: „Sierżancie Jones, witamy w domu”.

- Przepraszam za ten podstęp! - Faulkner usiłował przekrzyczeć hałas robiony przez trąbki i tubę. - Max chciał być pewien, że dostaliście wiadomość.

Potrząsnął na pożegnanie ręką Jonesa, a później Molly.

- Pamiętajcie, że samochód czeka, kiedy będziecie gotowi wyjść. Gdybyście jeszcze czegoś potrzebowali, po prostu do mnie dzwońcie - rzucił i już go nie było.

Jones i Molly stali w budynku terminalu lotniska w Los Angeles. Otoczeni przez innych podróżnych, którzy bili im brawo, nie zaś przez policję z gotową do strzału bronią.

Niektórzy z pasażerów nawet ściskali mu rękę i dziękowali za ofiarną służbę.

Kiedy zagrzmiały dźwięki America the Beautiful, Molly pociągnęła Jonesa w stronę wyjścia. Wyszli przez automatyczne drzwi na podjazd, gdzie czekało mnóstwo samochodów; faktycznie, jeden z kierowców trzymał tabliczkę z napisem „Jones”.

Kalifornijskie słońce przyjemnie grzało mu twarz, kiedy podawał taksówkarzowi bagaże swoje i Molly.

- Skąd przyjeżdżacie? - spytał mężczyzna.

- Z Kenii - odparł Jones. - Przez Dżakartę i Hongkong.

- Mmm... - mruknął tamten z podziwem. - Bardzo przyjemna podróż. Ale, jak to mówią, nie ma jak w domu.

- O tak - odparł Jones, sadowiąc się z tyłu obok Molly. - Nie ma jak w domu.

- Dobrze się czujesz? - spytała raz jeszcze.

- Znakomicie - odpowiedział.

I tym razem wierzyła mu bez zastrzeżeń.

Easl Meadow, Lang Island

16 lipca 2005

Jak dotąd szło nieźle.

Max stał koło baru w towarzystwie dwóch starszych braci Giny i miał minę, która świadczyła o tym, że nie zamierza się poddawać. Trudno jednak było stwierdzić, czy tamci wzięli go w krzyżowy ogień pytań, czy po prostu chcieli obronić przed natarczością innych gości.

Bo trzeba naprawdę odwagi, żeby przyjść do Włoskiej Restauracji Anthony'ego i od razu wpaść w objęcia całej rodziny Vitagliano.

Max sprawiał wrażenie spokojnego i opanowanego - jak zwykle. Jednak Bóg jeden wiedział, co sobie myślał, zwłaszcza po rozmowie z dwiema ciotecznymi babciami, Lucią i Tilly, które koniecznie chciały się dowiedzieć, z jakiej części Włoch pochodzi rodzina Bhagatów. Z kolei wuj Arturo nie dawał mu spokoju i bez przerwy pytał, ile właściwe zarabia rocznie agent FBI.

Gina w przelocie napotkała spojrzenie Maksa. Uśmiechał się do niej. Dzięki Bogu... Ale zaraz musiała się odwrócić, bo wreszcie kelner znalazł się obok niej.

Na tacy niósł eleganckie długie kieliszki wypełnione szampanem.

- Przepraszam - powiedziała. - Mniej więcej pół godziny temu prosiłam o ginger ale. Czy byłby pan łaskaw je przynieść, i to jak najszybciej?

Wymruczał pod nosem coś niezrozumiałego i skierował się... Niestety, nie do baru, ale dalej, w kłębiący się wokół tłum.

Cholera.

Czuła, że natychmiast powinna coś przełknąć, bo w przeciwnym razie całe zaręczynowe przyjęcie zamieni się w totalną klęskę.

Ale jeśli podejdzie do baru, będzie musiała zatrzymać się i porozmawiać z ojcem Timothyem i z kuzynami, i z panią Fetterson, która mieszka obok dziadków Giny od ponad czterdziestu pięciu lat...

- Gina!

Jej matka machała do niej z odległego kąta sali, gdzie sprzeczała się z żonami Roba i Leo, dwiema najpaskudniejszymi szwagierkami pod słońcem, o to, jakie miejsce na Long Island będzie najodpowiedniejsze do urządzenia wesela.

- Debbie mówi, że La Maison ma otwarcie w grudniu dwa tysiące siódmego roku...

- Przepraszam na sekundę, mamó... - Gina ominęła je szerokim lukiem. Uciec, byle stąd uciec... Chryste, gdzie jest ta cholerna toaleta?

Poczuła, jak ktoś obejmuje ją w talii, i odwróciwszy się, zobaczyła Maksa.

- Wszystko w porządku? - pochylił się i szepnął wprost do jej ucha.

Pokręciła głową, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Nie pytając o nic więcej, pociągnął ją w kierunku kuchni. Tak, na szczęście toaleta znajdowała się tuż obok.

Ruszyła pędem, modląc się, żeby w przeciwieństwie do pozostałych damskich toalet na tej planecie przypadkiem nie było tam kolejki.

Nie było.

Torując sobie drogę do jedynej wolnej kabiny, o mały włos nie podcięła sympatycznej Mulatki.

- Gina? Psiakrew...

Kobietą, którą prawie wepchnęła do umywalki, okazał się nie kto inny, tylko Alyssa Locke!

Max powiedział jej, że Alyssa i jej mąż Sam w tym tygodniu są w Nowym Jorku, więc Gina wysłała im zaproszenie na przyjęcie, które państwo Vitagliano urządzali z okazji zaręczyn córki. Jules nie mógł przyjechać, podobnie jak Molly i Jones, więc Gina pomyślała, że Maksowi będzie miło, jeśli wśród gości znajdzie się ktoś, kogo on zna.

- Cześć - zawołała Gina zamykając za sobą drzwi. - Alyssa, mam rację?

- Tak. Jak się masz? - spytała Alyssa. - Moje gratulacje...

- Och, wielkie dzięki - odparła Gina - Wybacz na moment... - dodała zaraz.

Nie było sposobu, żeby dali jej spokojnie zwymiotować.

Mimo wszystko pewnie udałoby jej się umknąć, rzucając jakiś uroczy komentarz na temat alergii na skorupiaki poparty ostrzeżeniem, żeby Alyssa uważała na ravioli, które najwyraźniej były nadziane krewetkami.

To mogłoby się udać, gdyby nagle nie zakręciło jej się w głowie... Tak jak czasami zdarzało się, gdy wstała zbyt szybko, tyle tylko że tym razem zawrót głowy nadszedł, kiedy próbowała usiąść.

Skończyło się na tym, że jej spotkanie z podłogą nastąpiło nagle i o wiele za gwałtownie, zwłaszcza że nie dotyczyło wyłącznie tylnej części ciała przeznaczonej do siedzenia.

Max przykleił się do ściany obok drzwi prowadzących do damskiej toalety, starając się być zupełnie niewidzialny, żeby wuj Arturo znów nie zaczął go wypytywać o zarobki.

Popatrzył na zegarek. Jak długo ona tam siedzi? Brat Giny Leo wspominał coś na temat wyjątkowo paskudnego wirusa, który kolejno atakuje wszystkich w jego biurze.

Nagle drzwi się otworzyły, więc się wyprostował. Ale to nie była Gina.

- Max! Chodź szybko!

To była Alyssa. Wciągnęła go do damskiej toalety, gdzie... Gina leżała na podłodze w jednej z kabin. Drzwi były zamknięte od wewnątrz, więc musiał wejść dołem.

Gina niezgrabnie usiłowała się podnieść.

- O kurczę, uderzyłam twarzą w podłogę - jęknęła.

Max pomógł jej wstać i oprzeć się o ścianę.

- Co się stało? - spytał, otwierając szeroko drzwi.

- Przepraszam, ale ta łazienka jest chwilowo nieczynna - usłyszeli głos Alyssy, która stała na straży przy wejściu. - Druga jest na górze. Przepraszam za utrudnienia i proszę mi wybaczyć, ale czy mogłaby pani poczekać jeszcze minutkę? Ogromnie dziękuję.

- Już mi lepiej - odezwała się Gina. - Po prostu... Po prostu powinnam była zjeść lunch.

Alyssa weszła, niosąc w jednym ręku zwitek mokrych papierowych ręczników, a w drugim kilka suchych.

- Idę poszukać słonych paluszków albo krakersów - powiedziała.

- I przyniosę ci ginger ale. To zwykle pomaga.

- Naprawdę już dobrze się czujesz? - spytał, kiedy Alyssa zniknęła w drzwiach.

Gina skinęła głową i wytarła twarz mokrym ręcznikiem.

- Pamiętasz, jak namawiałeś mnie na studia na wydziale prawa? - spytała.

Skinął głową. Oczywiście Uniwersytet Nowego Jorku nie wchodził już w grę, bo był stanowczo za daleko, ale ostatecznie w Waszyngtonie też znajdowało się parę niezłych szkół.

- Czy naprawdę chcesz, żebym skończyła studia? - spytała. - To znaczy, czy w jakimś podręczniku dla żon agentów FBI jest napisane, że muszę mieć tytuł magistra albo lepiej?

- Oczywiście, że nie - odparł Max. - Chodzi o to... Ja pracuję całymi godzinami i bardzo często wyjeżdżam z miasta, więc... - Zmusił się, żeby powiedzieć to głośno. - Nie chcę, żebyś poczuła się zmęczona moją osobą. Zawsze byłaś taka... taka niecierpliwa. Ten cały wyjazd do Kenii i w ogóle... Chcesz, żebym przyprował samochód i odwiózł cię do domu?

Gina potrząsnęła głową.

- Wszystko będzie w porządku, kiedy Alyssa wróci z... Boże, jestem prawie pewna, że domyśliła się, o co chodzi. Dzięki Bogu, że to akurat ona tu była, a nie moja szwagierka Debbie, największa plotkara w całym wszechświecie.

Nie bardzo nadążał za jej myślami.

- Czego się miała domyślić? Gina, jeśli cokolwiek jest nie tak, na prawdę powinniśmy wyjść.

Wydawało mu się, że Gina chce wstać, więc pomógł jej, żeby mogła utrzymać się na własnych nogach.

- Nie znalazłam w Kenii tego, czego szukałam.

- A czego szukałaś? - Podtrzymał ją, kiedy szła w kierunku umywalki.

Wciąż drżała jak osika.

Popatrzyła na niego w lustrze, kiedy myła ręce. I kiedy nabrała łyk wody, żeby wypłukać usta.

- Właśnie tego - odpowiedziała. - Spójrz na siebie. Jesteś tu, żeby mnie złapać, kiedy się będę przewracać. Stoisz obok mnie.

Osuszyła ręce i cisnęła ręcznik do kosza.

- Wiem, że chcesz mnie chronić przed całym złem, jakie tylko może mnie spotkać w życiu, i wiem, że dostajesz szału na myśl, ile paskudnych rzeczy może się zdarzyć, choć większości nie jesteśmy w stanie zapobiec. Ale na pewno możesz być obok, kiedy coś takiego mi się przytrafi. I to samo ja chcę zrobić dla ciebie.

Max skinął głową. Do czego zmierzała? Postanowił spokojnie poczekać. Cokolwiek to było, i tak zaraz miało nadejść.

Pogrzebała w torebce i wyciągnęła stamtąd pudełko z cukierkami miętowymi. Jedną drażetkę wsadziła do buzi, a pudełko wyciągnęła w jego kierunku. Pokręcił głową.

- Wiesz, długo czułam coś w rodzaju... odpowiedzialności za to, żeby prowadzić życie, które ma jakiś sens - powiedziała. - Bo uważałam, że nie bez powodu dane mi było przeżyć tamto porwanie samolotu. Ale ostatnio pomyślałam sobie, że chyba za bardzo się starałam. Bo żyć z sensem niekoniecznie znaczy, że trzeba jechać do Kenii czy stać się drugą Matą Hari albo Matką Teresą z Kalkuty. Czy nawet Ally McBeal. Wszystko, co muszę robić, to starać się żyć jak najlepiej i być szczęśliwą. I właśnie kiedy jestem blisko ciebie, czuję, że żyję w pełni. - Odwróciła się, żeby na niego popatrzeć.

- Jeśli w ten zawiły sposób pragniesz mi dać do zrozumienia, że nie wybierasz się na wydział prawa, to się nie trudź. Nie musisz na siłę mnie przekonywać. Jeżeli naprawdę nie chcesz...

- Myślę, że o wiele bardziej wolę być matką, która siedzi w domu z dzieckiem - przerwała mu Gina.

I nagle wszystko stało się jasne. Gina nie złapała wirusa od swojego brata Leo. Gina była w ciąży.

Wielki Boże w niebiesiech! Max miał wrażenie, że zaraz się przewróci.

- Jesteś pewna? - zapytał bez tchu.

- Nie - odparła, ale głową kiwnęła na „tak”. - Co prawda jeszcze nie robiłam domowego testu, ale... Po prostu wiem.

- O kurczę! - zawołał. Więc zostanie ojcem. - Nie mam pojęcia, co to znaczy być ojcem. Dobrym ojcem. To znaczy, wiem jak być bardzo złym...

- No chyba żartujesz! A to jak traktowałeś Ajaya? Ja byłam wręcz zachwycona.

Ajay nie żył, a Max wciąż nie mógł przeboleć jego śmierci.

- Wiem, co sobie teraz myślisz - Gina przysunęła się bliżej. - Następna osoba do kochania i następna, którą można utracić, tak? Pamiętasz, co mówiłam niedawno o tym, że nie nad wszystkim możemy zachować kontrolę? I oto cała filozofia. Jako rodzic starasz się zapewnić dziecku maksimum bezpieczeństwa, ale przez cały czas pamiętasz, że są rzeczy, na które nie masz wpływu. Jeśli cokolwiek stanie się naszemu dziecku, to nie dlatego że nie zdołałeś go ochronić, ale dlatego że w życiu zdarza ją się różne przypadki.

Różne przypadki...

- Czy teraz zupełnie wytrąciłam cię z równowagi? - spytała po chwili.

- Nie... - odparł, ale zaraz się opamiętał. - To znaczy tak, ale w tym pozytywnym znaczeniu.

Gina zaczęła się śmiać.

- Dobra odpowiedź - powiedziała i obdarzyła go pocałunkiem.

W życiu zdarzają się różne przypadki.

Ze wszystkich stron otaczał go chaos. Tak jak zawsze. Ale Max postanowił, że już nigdy nie oderwie się od tej niewiarygodnej kobiety, która wniosła w jego życie światło i radość.

- Czy chcesz zanieść mojej matce tę nowinę, że jeśli chodzi o nasz ślub, to grudzień dwa tysiące siódmego roku nie wchodzi w rachubę? No, chyba że nasza córeczka miałyby tam rzucać kwiatki...

Rzeczywiście, w życiu Maksa zdarzyły się różne przypadki, ale ten najważniejszy miał na imię Gina.

Notka o autorce

Od chwili pojawienia się na rynku wydawniczym przed ponad dziesięciu laty Suzanne Brockmann napisała ponad czterdzieści książek i jest obecnie uważana za jedną z czołowych autorek w dziedzinie romantycznych powieści akcji. Dzięki swoim książkom regularnie pojawia się na liście bestsellerów „USA Today” i „New York Timesa”, jak również otrzymuje liczne nagrody, a wśród nich między innymi Romance Writers of America, Book of the Year - trzy lata z rzędu, w 2000, 2001 i 2002 roku - dwie nagrody RITA i wiele Romantic Times - nagród recenzentów. Suzanne mieszka na zachód od Bostonu razem ze swoim mężem i dwojgiem dzieci. Odwiedź jej stronę: www.suzannebrockmann.com